



Richard Rayner

DOSIĘGNAĆ
NIEBA

Richard Rayner

DOSIĘGNAĆ NIEBA

Z angielskiego przełożyła
Anna Dobrzańska-Gadowska



Świat Książki

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

Dla Paivi, Harry'ego i Charlie

Nie ma łatwej drogi z ziemi do gwiazd
Włodzimierz Majakowski

Prolog: 1928

Mężczyzna w garniturze w grube prążki, o przystojnej, opalonej twarzy, wyszedł zza rogu energicznym, szybkim krokiem. Czarne włosy nie przesłaniały wysokiego czoła, czarne brwi prawie łączyły się nad nosem, a biel odsłoniętych w drapieźnym uśmiechu zębów podkreślała ciemny odcień cery. Jasna, wyraźnie widoczna blizna przecinała skórę skroni, znikając w fałdzie nieco opadającej lewej powieki. Zmierzał w stronę Esko, a emanująca z niego energia wypełniała cały korytarz atmosferą zagrożenia. Minął Esko, prawie niezauważalnie utykając na jedną nogę, i nawet się nie obejrzał. W ślad za nim kroczył wielki orszak – mężczyźni w luźnych garniturach, z wystającymi z ust wykałaczkami i rękami w kieszeniach, otoczeni aurą brutalnej siły gangsterzy, którzy przy swoim przywódcy sprawiali wrażenie potulnych baranków. Esko stał nieruchomo i dopiero po ich przejściu uświadomił sobie, że aż do tej pory wstrzymywał oddech.

Przy kolacji dowiedział się, że mężczyzna, który minął go w korytarzu, był najslawniejszym i najbardziej osławionym pasażerem statku, tego pozłacanego, pulsującego życiem i przegrzanego pałacu w stylu art déco. Był to przemysłnik alkoholu, gangster Paul Mantilini, którego syndykat posiadał osiem gorzelni w samym Nowym Jorku. Każda z nich przynosiła ponad 10 milionów dolarów zysku rocznie. Mimo to wiele osób twierdziło, że Paul Mantilini obraca się raczej w środowisku ludzi z Wall Street niż wśród zatwardziałych przestępców, chociaż w szybkich, nerwowych, błyskotliwych i pozbawionych wszelkich zahamowań latach dwudziestych granica między obiema tymi kategoriami bywała trudna do określenia. Podobno Mantilini był po imieniu z burmistrzem Nowego Jorku i dziewiętnastoma

senatorami Stanów Zjednoczonych, pił z Gershwinem, Carusem i Darrow, widział się z Houdinim na kilka godzin przed jego śmiercią i osobiście pomógł napełnić bak Szczęściarzowi Lindy'emu. Inne plotki o Mantilim były może nieco mniej egzotyczne, ale równie fascynujące – mówiono, że jest tak próżny, iż nosi dodające mu wzrostu wkładki w butach, że bez chwili wahania dał 10 tysięcy dolarów gotówką dziennikarzowi, który w swoim artykule nazwał go „Beau Brummelem z Broadwayu”, że dwóch pracujących na statku masażystów było stale do jego dyspozycji i codziennie nacierało olejkiem z orzechów włoskich jego gładkie, opalone ciało, że nie umiał zasypiać w ciemności i kładł się do łóżka przy zapalonych lampach, w masce z najwyższej jakości czarnego jedwabiu, i wreszcie, że nad jego snem zawsze czuwało pięciu ludzi, codziennie innych, ponieważ obawiał się zamachu na swoje życie.

Mantilini rzeczywiście lekko utykał, ponieważ został ranny w nogę podczas niedawnego ataku wynajętych zabójców. Po tym incydencie Mantilini kazał swoim ludziom wyłapać jak najwięcej swoich rywali i sam przeprowadził śledztwo. Kiedy pewien starzejący się Włoch i jego syn zdołali już prawie dowieść, że nie byli zamieszani w zamach i zaczęli błagać o życie, obiecując, iż na zawsze wyjadą z Nowego Jorku, Mantilini polecił im wybierać, któremu z nich ma darować życie. Ostatecznie ojciec poświęcił życie dla syna i dostał kulę w tył głowy, syn zaś się powiesił. Mantilini przyglądał się, jak umierają. Nadal wściekły, zepchnął innego podejrzanego do szybu windy, a jednemu ze swych współpracowników kazał połamać nogi za to, że przez pomyłkę otworzył ważny telegram. Nieprzewidywalny Mantilini nie przebaczał nikomu.

Esko był fińskim architektem, chłopcem z lesistego kraju, którego większość ludzi nie potrafiła umiejscowić na mapie, nawet jeżeli w ogóle o nim słyszeli. Obecnie miał trzydzieści osiem lat i wyrobił sobie doskonałą opinię na Manhattanie, w nowej stolicy świata. Dość wysoką pozycję w środowisku architektów zawdzięczał nie tylko umiejętnościom i talentowi, ale także cierpliwości, odwadze, uporowi i temu, co Finowie z dumą nazywają *sisu* – zdolnością przekroczenia granic wy-

trzymałości. Finowie są stoikami. Nie lubią mówić o tym, co czują, dopóki trochę wypiją, a wtedy robią to zawsze. Niestety, prawie nigdy nie piją trochę, ale dużo, w konsekwencji albo rzucają się ludziom na szyję, ściskając ich serdecznie, albo wbijają im w brzuch ostry, krótki nóż, zwany *puukko*.

Esko nabrał już trochę dystansu do swojej narodowości. Przebywał w Ameryce wystarczająco długo, aby zapomnieć o *puukko*. Wiedział, że Amerykanie uwielbiają wielką pompę, imponujący styl i wszystko, co zwraca uwagę, i hołdują tym upodobaniom jeśli chodzi o swój język, legendy, budynki, a nawet gangsterów. Nie mogli więc nie kochać Paula Mantiliniego, który nigdy nie patrzył w dół ani wstecz i z niezwykłą nonszalancją dosiadał narowistego rumaka niepewności. Życie Mantiliniego pełne było niebezpieczeństw, które uważał za nieuniknione i z których czerpał energię. Można było odnieść wrażenie, że ryzyko jest dla gangstera paliwem, dzięki któremu stale odradza się jak feniks z popiołów.

Mantilini był na wakacjach, z których przywiózł sto skrzyń wyprodukowanego w Szkocji alkoholu. W każdej skrzyni znajdowało się osiem palet po dwanaście butelek każda. Tajemnicą poliszynela było, że kiedy „Ile de France” wpłynie do portu, człowiek Mantiliniego wręczy celnikowi klucze do skrzyń, a wraz z nimi po trzy dolary od palety za „dobrą obsługę”. Celnik okaże się oczywiście bardzo usłużny i nie zaprotestuje, kiedy następnego dnia do portu przyjedzie po ładunek jedna z ciężarówek Mantiliniego. W ten sposób wielki gangster zarobi około 75 tysięcy dolarów – zupełnie nieźle jak na wakacje.

W sali jadalnej Mantilini siedział w odległym rogu razem ze swoimi ludźmi, instruktorem do gry w tenisa, włoskim poetą, kochanką (smukłą i uwodzicielską czarnoskórą śpiewaczką operową, która miała wyraźną słabość do błyszczącym sukien) oraz ponuro wyglądającymi ochroniarzami. Podczas przechadzek po pokładzie zawsze nosił ciemne okulary i kapelusze o szerokich rondach, które chroniły go przed słońcem. Posiadał całą kolekcję eleganckich garniturów oraz koszul w żywych kolorach i wydawał się mieć dostęp do drzwi i przejść, o których istnieniu i przeznaczeniu nikt inny nie wiedział. Pewnego dnia liniowiec

z niewiadomej przyczyny zwolnił i zatrzymał się pośrodku oceanu, a wtedy zbliżył się do niego kanadyjski frachtowiec, z którego pokładu nadano jakąś wiadomość alfabetem Morse'a. Wszyscy przyjęli z góry, że Mantilini na pewno maczał w tym palce. W ostatni wieczór rejsu, na tradycyjnym balu kostiumowym, gangster miał na sobie strój włoskiego chłopca i śpiewał arie z *Toski* i *Rycerskości wieśniaczej* lekkim i zaskakująco dźwięcznym tenorem. Pozostali pasażerowie powitali ten występ hucznymi oklaskami i okrzykami uznania, potwierdzając w ten sposób, że na czas podróży statek przeistoczył się w mały wszechświat, całkowicie podporządkowany władzy Paula Mantiliniego.

Otoczająca gangstera atmosfera tajemniczości zwiększała tylko pragnienie Esko, aby jak najszybciej znaleźć się znowu w Nowym Jorku. W upalny wrześnieowy ranek przepłynęli przez cieśninę, minęli Sandy Hook i ujrzeli przed sobą poruszaną leniwą falą, oleiście gęste wody portu. Esko od razu przypomniał sobie ubiegłe lato, kiedy rodziny nowojorczyków wylegały na balkony domów i daremnie szukały ochłody w parnym Central Parku. Ludzie wynosili materace na dachy, wydawało się, że całe miasto lada dzień stopnieje niczym położona na dłoni kostka lodu. Gorącego, wilgotnego powietrza nie były w stanie poruszyć nawet miliony rozpaczliwie huczących elektrycznych wentylatorów. W to piekielne lato Esko pracował jak nigdy dotąd. Fale upału, podnoszące się w górę od chodników, raczej nasilały niż osłabiały jego zdolność koncentracji. Na myśl o tym serce zabiło mu szybciej. Z uczuciem pełnego niecierpliwości oczekiwania patrzył, jak statek – spoczywający na powierzchni oceanu wieżowiec – otoczony powarkującymi holownikami i dymiącymi barkami straży pożarnej, powoli zmierza w kierunku nadbrzeża, przedzierając się przez gęste powietrze. Esko miał przez chwilę dziwne wrażenie, że liniowiec skęci w niewłaściwą stronę, wpłynie prosto na brzeg i spocznie w lesie kolosów, wznoszących się w niebo spośród mgły spowijającej dolny Manhattan, okutych w kamień i szkło, wspartych na stalowych szkieletach, które właśnie zaczęły tańczyć przed jego oczami w rozgrzanym powietrzu. Wieżowiec Woolwortha przesunął się

na wschód, drapacz chmur Singera ruszył na południe, a wszystkie pozostałe wysokościowce podjęły rytm, zmieniając miejsca w tym walcu perspektywy, wymieniając pocałunki i dotykając się pieśczośliwie. Ciągnięty przez holowniki „Ile de France” niespiesznie płynął w górę rzeki Hudson.

Powrót do Nowego Jorku był jak zwykle wspaniałym przeżyciem i Esko na chwilę zupełnie zapomniał o swoich troskach. Jako chłopiec dorastał wśród zamarzniętych jezior, teraz zaś jego domem była ta majestatyczna platanina stali i kamienia. Architektura nigdy nie kłamie, zawsze bowiem stanowi wyraz swojej epoki i charakteru tworzących ją ludzi, toteż Esko wiedział, że te budzące niepokój, imponujące budynki są typowe dla czasu i miasta, które nie znają granicy, dla których nie istnieje pojęcie „za daleko”. Zdawał sobie sprawę, że już za rok linia wieżowców, rysująca się na szarym od upału nowojorskim niebie wyglądać będzie zupełnie inaczej. Na przełomie XIX i XX wieku po trzydziestopiętrowym drapaczu chmur w Nowym Jorku powstał czterdziestopiętrowy w Chicago, natomiast teraz ukończenie sześćdziesięciopiętrowego wieżowca w Nowym Jorku powodowało szybkie narodziny o dziesięć pięter wyższego budynku po drugiej stronie ulicy. Była to era zachwytu nad beztróskim poszukiwaniem nieistniejących granic ludzkich możliwości w dziedzinie architektury. Dlaczego nie zbudować stu piętrowego drapacza chmur? A może wznieść budynek liczący sto pięćdziesiąt pięter? Odpowiedź na pytanie: „Jak wysoki może być wieżowiec?” zmieniała się z dnia na dzień, podobnie jak sytuacja na rynku. Dla architekta były to uderzające do głowy, niebezpieczne i być może heroiczne czasy. Esko wyobraził sobie nagle, że znajduje się w jednym z kanionów na Manhattanie, gdzie światło ostrymi kątami szerokich pasm rozcinało głębokie cienie. Ubrany w garnitur, szedł przed siebie długim, zdecydowanym krokiem i był człowiekiem światowym, człowiekiem tego cudownego nowego świata, utalentowanym i cywilizowanym, człowiekiem z powodzeniem walczącym z wyrokami losu. To, co widział oczami wyobraźni, świadczyło o romantyzmie, głupocie i być może pewności siebie, ale wbrew zdrowemu rozsądkowi utkwiło w jego sercu niczym gwóźdź, wbity głęboko w pień drzewa.

Liniowiec nie wpłynął na brzeg, unosząc wysoko dziób i nie stał się ostentacyjnym wkładem Francuskich Linii Oceanicznych w rozbudowę Wall Street. Pod względem architektonicznym pojawienie się statku w samym centrum Manhattanu okazałoby się prawdopodobnie mniej szokujące niż realizacja niektórych znanych Esko projektów budowlanych. Nie, holowniki spokojnie ciągnęły wielkie stalowe cielsko w kierunku nadbrzeża, na które tłumnie wylegli oczekujący bliskich nowojorczy. Dookoła Esko tłoczyli się przy burtach, wołając i machając rękami do czekających na brzegu. Inni niecierpliwie poganiali bagażowych, którzy znosili opatrzone taśmami z nazwiskami walizki i kufry. Atmosfera stała się jeszcze bardziej dramatyczna, gdy przez tłum na nadbrzeżu przedarł się sierżant nowojorskiej policji, tęgi mężczyzna w mundurze opinającym się na wydatnym brzuchu. Policjant zaczął wydawać polecenia przez megafon, nakazując zgromadzonym, aby rozstąpili się i przepuścili liczny oddział policji, stłoczony za jego plecami.

Esko dostrzegł stojącego w odległej części głównego pokładu Paula Mantiliniego, który z wyniosłym wyrazem twarzy obserwował rozgrywające się wokół niego sceny. Był sam, bez otaczającego go zwykle orszaku.

– Wreszcie go dopadli – odezwał się jeden z pasażerów pierwszej klasy, który przystanął obok Esko.

Esko potrząsnął głową, ponieważ wiedział, że mężczyzna się myli. Wizja jego samego jako barwnego motyla wielkiego świata, która nawiedziła go przed chwilą, szybko rozwiała się w gorącym powietrzu. Sierżant z wielkim brzuchem i jego towarzysze wcale nie czekali na Paula Mantiliniego. Czekali na niego. Od zawsze.

CZEŚĆ PIERWSZA
MIT

1

Wszystko zaczęło się od wiadomości o windzie, która w 1901 roku była urządzeniem najzupełniej nieznanym. W maleńkiej fińskiej wiosce, gdzie dorastał Esko, mniej więcej w połowie drogi między Helsinkami i Kołem Polarnym, nikt o niej nie słyszał. W tym czasie, na początku nowego wieku, Pyhajarvi była jeszcze nietknięta ręką nowoczesnego świata i przyszłości, która już wkrótce miała całkowicie zmienić ten sam od setek lat styl życia wioski, a w pewnej mierze i kraju. W 1901 roku, kiedy Esko miał jedenaście lat, do wioski nie dotarła jeszcze kolej, a jedyny w promieniu kilkudziesięciu kilometrów telefon spoczywał, niczym korona, na małym dębowym tronie w gabinecie na plebanii, jedynym domu, do którego doprowadzono elektryczność. Nieprzeliczone armie sosen i świerków ugiwały się pod śniegiem w mroźne, niekończące się zimy, strzegąc wąskiej, nierównej drogi, prowadzącej do Pyhajarvi. Droga, a raczej szlak, biegła obok niewielkiego sklepu kolonialnego, który pachniał skórą, zawilgłymi ziemniakami i jutą, i wiła się między czterema cmentarzami, na których w czasie świąt Bożego Narodzenia płonęły tysiące lodowych lampek. Mieszkańcy Pyhajarvi zapalali po jednej lampce za każdego zmarłego i płomyki chwiały się na wietrze, dzielnie rozświetlając ciemność Północy. Dalej droga nie zagłębiała się jednak między farmy rozrzucone wśród lasów tak gęstych, dzikich i niezgłębionych, że obcy nie śmieli zapuszczać się tu bez przewodników. Było tu także jezioro długie na prawie trzydzieści kilometrów, skute lodem przez osiem miesięcy w roku, które potrafili odnaleźć tylko miejscowi. Lasy zamieszkiwały niedźwiedzie i wilki, a na każdym kroku można było się natknąć na cierpko pachnące mrowiska, w które noga zapadała się aż po udo. Był to świat

biedy, głodu i częstych samobójstw, świat, w którym większość ludzi doskonale pamiętała, jak smakuje chleb ze startego na proszek sosnowego drewna. Mimo to nikt tu nie narzekał, bo mieszkańcy Pyhajarvi, podobnie jak wszyscy Finowie, nie byli zbyt rozmowni, z wyjątkiem chwil, kiedy język rozwiązywał im wypity alkohol. Wieśniacy mieli czujne oczy i twarze, które szybko starzały się w tym zakątku świata, gdzie posiadanie ziemi i zima były najbardziej znaczącymi faktami. Ziemia była marna i niechętnie wydawała plony, nawet jeżeli stanowiła własność pracującego na niej człowieka, co nie zdarzało się często. Tutejsi ludzie nie interesowali się historią i nie ciekawiło ich, co dzieje się na świecie. Sprytni, twardzi i przebiegli, byli fatalistami, którzy z gorzkim uśmiechem kręcili głowami nad przejawami nadziei czy idealizmu, uważając je za typowe dla głupców i ludzi bardzo niebezpiecznych. Ojciec Esko, Timo Vaananen, cieszył się opinią takiego właśnie niebezpiecznego człowieka.

To surowe miejsce miało więc swego zapaleńca, Timo, a także swoją prawdziwie imponującą budowlę. Widziany z dala, stary drewniany kościół, wydawał się mieć dwie wieże, obie pomalowane na ceglasty odcień czerwieni, jedną wyglądającą zza drugiej. Dopiero z bliska widać było, że dwie wieże należą do dwóch różnych budynków – jedna, cebulasta kopuła, wieńczyła kościół wzniesiony na planie krucyfiksu, druga zaś, o wiele wyższa i wdzięcznie smukła, ze stromym daszkiem, należała do dzwonnicy. W ubiegłych latach Esko często wspinał się z kolegami na schody i prowadzącą na sam szczyt drabinę, aby bawić się w chowanego między linami i dzwonami, a także ze swoją matką, żeby podziwiać północne słońce, które powoli znikało za jeziorem i w cudowny sposób prawie natychmiast zaczynało wznosić się ponad linię horyzontu. Na początku 1901 roku w życiu Esko zaszły jednak poważne zmiany, w których wyniku chłopiec przestał odwiedzać wieżę dzwonnicy. Czasami patrzył na nią z daleka, lecz jej sylwetka wydawała mu się dziwnie złowroga. Była przypomnieniem i ostrzeżeniem. Nie oddalaj się od stada, mówiła, nie odchodź za daleko.

Kiedy tamtego czerwcowego wieczoru zjedli kolację, Esko

uprzątnął i umył naczynia, licząc, że uda mu się umknąć, zanim ojciec będzie gotowy, aby rozpocząć lekcję. Niestety, była to płonna nadzieja. Timo okazał się szybszy i jak zwykle bardzo zdecydowany. Położył na stole książkę w brązowej marmurkowej oprawie, obok zaś postawił szklanę i butelkę wódki, którą odkorkował, wydobywając z szyjki odgłos pyknięcia. Potem trącił szklanę butelką, nalał sobie wódki, wypił ją jednym haustem, ponownie napełnił do połowy i kazał Esko usiąść.

– Teraz będziemy się uczyć – powiedział.

Timo Vaananen uważał, że jego misją jest nauczyć Esko wszystkiego. W wiejskiej szkole, gdzie Timo był jednym z dwóch nauczycieli, nie było tak źle, ponieważ w szkole nauka nie wiązała się z obrywaniem bolesnych razów. Wśród innych uczniów Esko czuł się względnie bezpieczny. Z głową pochyloną nad książką musiał tylko udawać pochłoniętego zgłębianiem zasad geometrii, algebry i trygonometrii, triumfów i smutnych klęsk z historii Finlandii, a także subtelności znaczeń słów i struktur języka szwedzkiego, fińskiego i obowiązkowego teraz rosyjskiego oraz żałobnego rytmu *Kalewali*, narodowego poematu epickiego. Bohaterami poematu *Kalewala* byli Väinämöinen, poeta i czarodziej, który stwarza świat i pokonuje wrogów potęgą pieśni, Aino, piękna panna, która odrzuca Väinämöinena, Lemminkäinen, który kłamie, porywa i oszukuje, oraz smutny i skazany na porażkę Kullervo. Czytając *Kalewałę*, Esko miał wrażenie, że widzi świat podobny do tego, który go otacza. W 1901 roku, w okresie rodzącego się buntu i patriotycznego entuzjazmu, nie brakowało takich, którzy twierdzili, że poemat jest literackim opisem przeszłości Finlandii. Idea ta podobała się Esko i przerażała Timo, który wołał, aby historia miała bardziej konkretny koloryt.

Wieczorami, w domu, po zakończeniu roku szkolnego, nie można już było udawać skupienia. Timo miał czas wyłącznie dla syna i z pełnym furii zapałem wbijał mu wiedzę do głowy. Czasami długo i w milczeniu wpatrywał się w Esko, czyhając na błędną odpowiedź na zadane wcześniej pytanie, kiedy indziej zrywał się na równe nogi i recytował, nie *Kalewałę* jednak, lecz rewolucyjne wiersze poety Maksyma Gorkiego. Zdarzało się

również, że godziny mijały, butelka opróżniała się powoli, a w pokoju panowała cisza i pijana rozpacz. Esko siedział bez ruchu, przygniatając dłonie pośladkami, i czuł się tak, jakby znalazł się w ciemnej jaskini, jakby wszystkie jego narządy wewnętrzne zostały usunięte, a ich miejsce wypełniła gorąca wściekłość. Pamiętał dni, kiedy ojciec bawił się z nim i żartował, lecz teraz ożywał się tylko wtedy, gdy prowadził wykład, z podnieceniem opowiadając, w jaki sposób socjaliści i tylko socjaliści wywołają powszechne powstanie i uwolnią Finlandię spod okrutnej dominacji tej koronowanej czarnej owcy, cara Mikołaja II.

– Zaczniemy tam, gdzie skończyliśmy wczoraj wieczorem – rzekł Timo. Był wysokim, smukłym mężczyzną o jasnych włosach i przenikliwych niebieskich oczach, nadal bardzo przystojnym. – Dowiemy się czegoś więcej o Ferdynandzie Lassalle’u. Powiedz mi, Esko, kim był Ferdynand Lassalle.

– Był niemieckim socjalistą, ojcie – odezwał się Esko powoli i cicho, jakby z trudem. – Urodził się 11 kwietnia 1825 roku, ojcie. Był jedynym synem i podobnie jak Karol Marks, był utalentowany i uwielbiany przez swojego ojca, ojcie.

Timo długo wpatrywał się w niego bez słowa.

– Pozwalasz sobie na kpiny ze mnie, Esko? – zapytał w końcu.

Esko poczuł, jak jego żołądek kuli się ze strachu.

– Nie – wyciągnął rękę i szybko przekręcił butelkę.

Timo drgnął.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo zrobiłem – odparł Esko, zmuszając się, aby patrzeć ojcu prosto w oczy.

Chciał powiedzieć mu, że nienawidzi wódki i że boi się ojca, kiedy jest pijany, ale się nie ośmielił. Poza łękiem kierowało nim jeszcze coś innego. Niecały rok temu ich dawny dom spłonął. Esko nie mógł wydostać się na zewnątrz i doznał licznych poparzeń. Teraz, mając jedenaście lat, był wysokim jak na swój wiek, chudym chłopcem oszpeconym blizną, która zaczynała się u podstawy szyi i niczym drzewo wspinała ku lewej stronie twarzy. Wyraźnie odcinające się gałęzie w kolorze

bakłażana obejmowały kość szczękową i dolną część policzka. Poparzona skóra ściągnęła się, utrudniając chłopcu normalne otwieranie ust, z których wydobywały się niewyraźne słowa. Z lewego ucha pozostała skręcona, zwinięta, szokująco biała muszla, żywo kontrastująca z barwą skóry twarzy. Włosy, które spaliły się do samej skóry, odrosły gęstymi kępkami, tu i ówdzie sztywniejsze i grubsze niż w pozostałych miejscach.

To nie wszystko – Esko stracił także lewe oko. Pokrytą bielmem gałkę oczną zasłaniał skórzany okular, którego brzegi były wyraźnie zniszczone, ponieważ chłopiec nie mógł się powstrzymać, aby go nie dotykać. Czasami rana swędziła go, kiedy indziej miał wrażenie, że uszkodzone oko ogarnia płomień lub że roją się w nim setki mrówek. Po wypadku ostrość widzenia w drugim oku znacznie się poprawiła, jakby prawa gałka postanowiła wynagrodzić Esko poniesioną stratę lub jakby cieszyła się z utraty swej partnerki. W efekcie, wszystkie znajdujące się w zasięgu jego wzroku przedmioty często sprawiały wrażenie, że nie znajdują się we właściwym miejscu i należy je przestawić.

Esko przełknął ślinę.

– Sam zwykle tak ją stawiasz, ojciec – wykrztusił. – Szklanek tutaj, a butelkę tutaj, i wtedy światło przenika przez szkło i pada na otwartą książkę. Musiałem jednak przekreślić butelkę, bo w poprzednim ustawieniu etykieta rzucałaby na papier czerwony cień, widzisz?

Timo zerknął na syna i spuścił wzrok. Nalał sobie jeszcze trochę wódki.

– Bóg Odyn wylupił sobie oko w zamian za czarę pełną wody ze źródła mądrości... Myślisz, że właśnie to cię spotkało, Esko?

Twarz chłopca znowu płonęła żywym ogniem.

– Potem włożył czapkę o szerokim rondzie, zasłonił nim oczodół i przez dziewięć dni i nocy wisiał na szubienicy, którą sam zrobił, poświęcając samego siebie, ponieważ poszukiwał także mądrości zmarłych. Czy ty również masz taki zamiar?

Esko milczał.

– Masz taki zamiar? – surowo powtórzył Timo.

– Nie, ojciec.

– To dobrze.

Timo opowiedział synowi, jak Lassalle zaprzyjaźnił się z Karolem Marksem i jak potem pokłócili się o pieniądze, o dług osobisty, ku skrytej uciechu drugiego ucznia Marksa, Fryderyka Engelsa.

– Czasami nasi przyjaciele są naszymi wrogami, nawet jeżeli tego nie chcą, Esko – rzekł Timo. – Pamiętaj o tym.

Opowiedział też Esko, jak niemiecki kanclerz Bismarck dmuchnął dymem z cygara prosto w twarz Lassalle’a.

– Ci, którzy mają władzę, zwykle są aroganccy, a my musimy czasami wykorzystać ich arogancję, aby ich zniszczyć – powiedział Timo. – Pamiętaj o tym.

Utkwił ostre spojrzenie w twarzy syna i nalał do szklanki kolejną porcję wódki.

– Jak to możliwe, że wielki polityk, człowiek, który próbował zmienić świat, pozwolił wciągnąć się w pojedynek z dandysem znacznie lepiej obeznanym z pistoletem niż on sam? – zapytał retorycznie.

Był to wstęp do opowieści o fatalnej miłości Lassalle’a, o pojedynku, podczas którego otrzymał postrzał w brzuch i śmierci w straszliwych męczarniach.

– Stało się tak z powodu kobiety, Esko, z powodu rudowłosej kokietki...

Timo pochylił się do przodu, chwycił butelkę i pociągnął z niej duży łyk, nie trując się nalewaniem alkoholu do szklanki.

– Kobiety mogą cię zabić, Esko, niewykluczone więc, że twoja twarz okaże się dla ciebie prawdziwym błogosławieństwem. Pamiętaj o tym, pamiętaj.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Timo wstał i po chwili Esko usłyszał nieco cyniczny, rozbawiony głos Kalliokoskiego, wioskowego pastora. Kalliokoski wszedł do kuchni, rozmawiając z Timo o Starym Adamie, o dziedzictwie grzechu pierworodnego i szatanie, który wstępował w członków niektórych rodzin, skazując je na życie wśród szaleństwa, buntu i smutku.

– Dom bez Boga pada ofiarą każdej burzy, jaka nadchodzi z drugiej strony jeziora – powiedział Kalliokoski, zamykając za sobą drzwi.

Był wysokim, bardzo szczupłym mężczyzną o małych, trochę wylupiastych oczach, sztywnych czarnych włosach i pięknie przyciętej bródce wiernego nakazom mody dworzanina. W postaci Kalliokoskiego dominowała czerń – czarne były jego błyszczące oczy, osadzone w głębokich oczodołach, czarne buty, czarne spodnie i surdut, bez którego Esko nigdy go jeszcze nie widział.

Timo nalał do drugiej szklanki resztę wódki i Kalliokoski szybko wypił alkohol, marszcząc brwi i pospiesznie oblizując wargi, jakby spełniał nie toast, lecz przykry obowiązek.

– Przyniosłem gazetę – oznajmił.

Timo pochylił głowę. Milczał. Ponieważ Kalliokoski połączył go węzłem małżeńskim z Julie, a potem, zanurzając w lodowatej wodzie jeziora ochrzcił Esko, który zachowywał się wręcz ze stoickim spokojem, zdradzając jedynie żywe zaciekawienie przebiegiem ceremonii, Timo uznał, że daje to pastorowi pewne prawo do wtrącania się w jego życie.

– Zobacz, jak świat posuwa się naprzód – rzekł Kalliokoski, wskazując trzy kolumny druku pod rozmazaną ilustracją. – W jednym z budynków w Helsingfors założyli elektryczną skrzynię, która potrafi wznosić się w górę, ku niebu. Nazywa się to „winda”. Jest to klatka, służąca do przewożenia rzeczy lub ludzi coraz to wyżej i wyżej.

Pastor uśmiechnął się a Timo przytknął butelkę do ust i wypił ostatnie krople wódki. Esko w skupieniu wpatrywał się w rysunek, dotykał go i pocierał lekko, potem zaś podniósł palec naznaczony smugą czarnej farby drukarskiej, polizał go i poczuł smak metalu, cyny, jakby krwi, czegoś, co nawet dosyć mu smakowało.

– Sam widzisz, Timo – ciągnął Kalliokoski. – Historia dzieje się na naszych oczach, w Helsingfors.

– Historia znajdzie nas i tutaj, nie ma potrzeby szukać jej w... w Helsingfors – powiedział Timo, mrugając znacząco do Esko i wykpiwając pompatyczny sposób, w jaki Kalliokoski używał szwedzkiej nazwy stolicy Finlandii.

Timo słusznie uważał, że jeśli Finowie chcą być Finami, to powinni mówić po fińsku.

Esko pochylił się nad stołem, jakby chciał całym sobą wniknąć w tekst artykułu na pierwszej stronie „Hufvudstadsbladet”.

– Esko, jesteś bardzo blady – zauważył Timo. – Może chcesz pójść już do łóżka?

Chłopiec przytulił przecięty blizną policzek do wykonanego tuszem rysunku i spojrzał na ojca.

– Winda, ojcze... – szepnął. – Co to znaczy?

Twarz Timo przybrała niezdrowy kolor.

– Co to znaczy? – powtórzył. – Nic. Karol Marks coś znaczy, Marek Aureliusz coś znaczy, ale przedmioty nic nie znaczą. Przedmioty nie żyją, nie mają snów. Po prostu istnieją, nic więcej.

Esko przypomniał sobie, jak zimno mu było, kiedy ojciec wbijał mu do głowy fakty dotyczące życia i marnej śmierci Ferdynanda Lassalle’a. Teraz całe jego ciało skąpane było w przyjemnym cieple. Było mu gorąco, był podekscytowany. Ten przedmiot, winda, musiał coś znaczyć, bo dawał mu coś więcej, coś, co z pewnością nie było chłodem. Esko nie wiedział, co to było, ale pobudzało to jego wyobraźnię, rzucając wyzwanie tajemnicy, zagadki...

– Tak, ojcze, rozumiem, ale winda ma... Ma... – Chłopiec zaciął się, szukając właściwego słowa. – Ma jakieś znaczenie.

– Jakie?

Esko poczuł, że znowu robi mu się zimno.

– No, słucham?

Esko zamknął oczy, szukając odpowiedniego skojarzenia. Wiedział, że winda musi coś znaczyć, ale jego umysł był zamknięty, zamarznięty.

– Nie wiem, ojcze – odparł.

– Przecież to jasne – odezwał się Kalliokoski, zdrapując z kłapy surduta drobinę zaschniętego tłuszczu, nieestetyczną plamkę, która szybko ustąpiła pod naporem zadbanego paznokcia. – Chłopca fascynuje wszystko, co wiąże się z Helsingfors. Musi tam pojechać. Słuchaj, Timo, obaj wiemy, co dzieje się w naszym okręgu, ale nie chcemy o tym mówić. Porozmawiajmy. Nie da się ukryć, że nie jesteś zamożnym człowiekiem, lecz nie

w tym rzecz. Kościół wyłoży pieniądze. Mówię poważnie. Kościół zapłaci, i to chętnie.

Zapadło pełne straszliwego napięcia milczenie. O wąski prostopokąt kuchennego okna obijała się ćma, usiłując uciec na podwórko i mierząc prosto w blednący promień nocnego słońca.

– Esko, idź do swojego pokoju – powiedział Timo. – A tobie, panie, życzę dobrej nocy.

Przez sekundę Esko siedział nieruchomo, wpatrując się w nierówną powierzchnię blatu. Jego pierś była dziwnie rozgrzana i ściśnięta, modlił się z szeroko otwartymi oczami. Dobry Boże, jeśli istniejesz, spraw, żeby zostawił tę gazetę, błagam cię, spraw, żeby ją zostawił, powtarzał w myśli, wyraźnie i dobitnie, zupełnie inaczej niż w rzeczywistości.

– Dobranoc – rzekł, wstając zza stołu i nie patrząc ani na ojca, ani na Kalliokoskiego.

– Dobranoc, Esko – powiedział Kalliokoski. – Niech cię Bóg błogosławi.

On również podniósł się powoli, lecz wcześniej złożył „Hufvudstadsbladet” i niepostrzeżenie upuścił ją na podłogę pod stołem.

2

Rodzina Vaananens popełniła najgorszą zbrodnię, jaką fiński ród może popełnić. Przodkowie Esko stracili fińską ziemię, a co gorsza, próbowali oddać ją w obce ręce. Nic dziwnego, głosiła plotka od lat krążąca po Pyhajarvi, że odtąd fiński los nie dawał im spokoju. Wieśniacy wyznający bardziej chrześcijańską doktrynę prezentowali inny punkt widzenia: Vaananensowie nierozsądnie rozdrażnili Boga, plując na jego błogosławieństwa, On zaś w odpowiedzi kazał im przespać resztę ich dni na łożu z żelaznych gwoździ. Jakkolwiek by na to patrzeć, rodzinę Vaananens rzeczywiście prześladował pech, a pech, nie tylko w Finlandii, ale i na całym świecie, zawsze jest przyczyną skrzętnie tajonej radości, oczywiście pod warunkiem, że nie dręczy nas samych. Niezależnie od tego, czy Vaananensowie

cierpieli z wyroku losu, czy surowego luterńskiego Boga, ich historia była znana i chętnie omawiana w całym okręgu.

Ojciec Timo, dziadek Esko, którego chłopiec nigdy nie poznał, był przed Kalliokoskim pastorem w Pyhajarvi. Ten wysoki mężczyzna o delikatnych rysach miał trzech synów, a więc niewiele jak na ówczesną Finlandię, gdzie w większości rodzin na świat przychodziło po kilkoro, często nawet kilkanaścioro dzieci. Lauri, najstarszy, najsilniejszy i najbystrzejszy chłopiec, wydawał się przeznaczony do wielkich rzeczy, gdy zupełnie niespodziewanie, po ukończeniu studiów na uniwersytecie w Turku i na progu prawniczej kariery, zastrzelił się, nie pozostawiając żadnego listu, który wyjaśniałby powód tego desperackiego kroku. Mówiono o jakiejś dziewczynie, o zawodzie miłosnym i rozstaniu, lecz prawda nigdy nie wyszła na jaw. Ojciec Lauriego i Timo, który zawsze był zamknięty w sobie, teraz odwrócił się plecami do życia, jakby każda droga okazała się nagle zbyt trudna, a każde pomieszczenie zbyt zatłoczone i gwarne. Zdjął strój duchownego, nie odzywał się, nie jadł i nie pił. Nikł w oczach, obwiniając się za śmierć syna, aż w końcu umarł bez słowa skargi.

Drugi brat, Juhani, wziął swoją część spadku i kupił małą farmę w wiosce, natomiast Timo, najmłodszy, został nauczycielem i dziennikarzem w Tampere, i wkrótce zasłynął tam jako „Ognisty Timo”. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych XIX wieku Juhani wyjechał do Ameryki, gdzie wszelki ślad po nim zaginął, Timo wrócił do Pyhajarvi i objął farmę. Oświadczył, że będzie prowadził ją zgodnie z socjalistycznymi zasadami, na co wieśniacy zareagowali milczeniem i spojrzeniami wyrażającymi zdumienie i rozbawienie jednocześnie. Zgodnie uznali, że Timo należy do tego samego gatunku terrorystów (ludzi pragnących czegoś lepszego niż to, co mają), który plenił się w Rosji, przyczyniających się do wielu problemów i rozlewu krwi. Był to okres, kiedy bogacze nadal uważali, że jakiegokolwiek zmiany w hierarchii majątkowej są po prostu niemożliwe. Wyobrażali sobie, że Finlandia w jakiś cudowny sposób wyswobodzi się spod panowania Rosji i zdobędzie niepodległość, podczas gdy oni nadal będą tyć i opływać w dostatki. Nie dostrzegali, że

świat stoi na krawędzi wielkich zmian. Na ich usprawiedliwienie powiedzieć można tylko, że niewielu Finów widziało, co się dzieje. Timo należał do tej mniejszości, ale on zawsze był wizjonerem.

Od samego początku sprawy na farmie układały się źle. Krowy padały jak muchy, a w czasie najgorszego lata plony zmalały o połowę w stosunku do lat poprzednich. Ludzie i zwierzęta głodowali. Kiedy zdechł koń Timo, zarządca jednego z okolicznych majątków powiedział żartem, że pożyczycy mu ulubionego osiołka swoich dzieci. Timo przyjął tę propozycję i od tej pory często widywano go, jak przedzierał się przez śnieg na bardzo niskim osiołku o wielkich, przejmująco smutnych oczach.

– Wyglądasz jak Don Kiszot – powiedział Kalliokoski, który niedawno objął parafię w Pyhajarvi. – A może Sanczo Pansa?

Timo, który musiał zacząć uczyć w miejscowej szkole, wkrótce odkrył, że niektórzy chłopcy śmieją się z niego za plecami. Gardzili nim głównie dlatego, że otwarcie mówił o nadziei na lepszą przyszłość. W takiej właśnie atmosferze walki z losem i rozczarowania Timo pojął za żonę Julie Agren, swoją daleką kuzynkę, której nigdy wcześniej nie widział. Ojciec Julie był oficerem w szwedzkiej armii królewskiej, przegrał w karty i ruletkę ogromny majątek, a potem się zastrzelił, jak Lauri. W rezultacie tych wydarzeń matka Julie, niegdyś najpiękniejsza panna w całym Sztokholmie, została ubogą wdową z czterema niezamężnymi córkami, co zmusiło ją do całkowitej zmiany opinii na temat rodziny Vaananenów. Przed śmiercią męża uważała ich za prymitywnych fińskich chłopków, których po prostu nie sposób brać pod uwagę jako kandydatów do małżeństwa. Teraz nagle przypomniała sobie, że ojciec młodych Vaananenów był pastorem, a jeden z chłopców skończył nawet jakiś uniwersytet. I czy przypadkiem nie posiadali jakiegoś majątku ziemskiego, choćby niewielkiego?

Tak więc Julie Agren została wysłana promem do Vaasa, stamtąd zaś dalej na północny wschód. Podróż, przez wielkie fińskie lasy, drogami w fatalnym stanie, trwała całe pięć dni. Dziewczyna przybyła do Pyhajarvi w środku zimy, przywożąc ze sobą zamykany na kłódkę kufer oraz dziewięć skórzanych

waliz, będących jedynym dowodem na istnienie fortuny, która kiedyś należała do jej rodziny. Wysiadła z powozu ostrożnie, z nerwowym, nieco sztucznym uśmiechem osoby, która ma nadzieję zrobić jak najlepsze wrażenie, i natychmiast zapadła się w metrową zaspę. Timo i Kalliokoski rzucili się, aby wyciągnąć ją ze śniegu.

Kiedy się pobrali, Timo miał dwadzieścia dwa lata, panna młoda zaledwie siedemnaście. Julie poroniła pierwsze i drugie dziecko, Esko zaś urodził się dwa lata później, w 1890 roku. Przebieg ciąży był trudny, poród przedwczesny, lecz Esko od początku był silnym i zdrowym dzieckiem. W pierwszych wspomnieniach chłopca zachował się obraz matki jako kobiety pięknej i pełnej blasku. Julie malowała, czytała, nauczyła się palić papierosy i uwielbiała się śmiać. Razem z Kalliokoskim studiowała Pismo Święte i zabierała synka na przejażdżki łodzią po jeziorze.

Esko miał osiem lat, gdy 15 lutego 1899 roku car Mikołaj II wydał dekret, zgodnie z którym rosyjska policja zyskała prawo do działania na terenie Wielkiego Księstwa Finlandii, podatki miały wzrosnąć, a wszelkie niewłaściwe i pozbawione szacunku wypowiedzi przeciwko carowi karano uwięzieniem lub nawet śmiercią. Rosjanie postanowili wydoić Finlandię niczym mleczną krowę. Wzbudziło to gniew, niepokój i oskarżenia w całym kraju, nawet w jego najdalszych zakątkach, nawet w Pyhajarvi, gdzie chłopci obojętni byli na wszystko, z wyjątkiem konieczności napełnienia własnych brzuchów i perspektywy zdobycia następnej butelki wódki. Zaczęto mówić, że agenci carskiej ochrony są wszędzie. Otwierano i cenzurowano listy. W Helsinkach znajdował się czynny przez całą dobę sklep, którego głównym zadaniem było zaopatrywanie szpiegów i prowokatorów we wszystkie możliwe przebrania. Finlandia została wciągnięta w na wpół szalony świat zmierzchu Romanowów. Przerażona tym wszystkim Julie wpadła w obsesję. Twierdziła, że wieśniacy nieustannie ją obserwują, szpiegują i rozmawiają o niej. Timo nie wykluczał, że jego żona ma rację, lecz z zupełnie innych przyczyn, niż sobie wyobrażała – była przecież młoda, piękna i pochodziła ze świata, którego mieszkańcy Pyhajarvi nie znali

i nie rozumieli. Dopuszczał możliwość, że chłopci boją się jej i może jej zazdroszczać.

Julie nie pozwalała się jednak pocieszyć. Jej umysł pogrążał się w ponurych ostępach lęku.

– Śledzą mnie – mówiła, szybko kiwając głową. – Niski mężczyzna z ospowatą twarzą i włosami jak marchewka chodzi za mną i robi notatki. Naprawdę. Jest też drugi, z teleskopem. Widziałam, jak wyjął nóż i wyciął nim sobie brodawkę z dłoni, tak po prostu...

Julie drżała na całym ciele i powtarzała, że boi się wychodzić z domu. Całymi godzinami chodziła w tę i z powrotem po strychu, gdzie sypiali w upalne dni. Malowała obrazy, których nikt nie potrafił zrozumieć. Pewnego dnia Kalliokoski powiedział Timo, że niektórzy chłopci uważają ją za opętaną przez diabła. Julie rozbiła talerz i próbowała podciąć sobie żyły. Skarżyła się na ciągły ból głowy, nie mogła spać i bała się zostać sama. Mówiła, że jej krew zmieniła się w roztopiony ołów, że jej mózg waży pół tony lub że powietrze w domu zaciska się wokół jej gardła jak palce mordercy. Kiedyś wbiegła do kuchni, trzymając się za głowę i wołając, że jej mózg płonie. Zaraz potem rozebrała się do naga, czerwoną farbą nakreśliła wokół siebie duży owal i oświadczyła, że to miejsce, podobnie jak dom i cała wioska, jest jej trumną. Krzyczała, że robi coś złego sobie lub im wszystkim, jeżeli Timo jakoś jej nie pomoże.

Tej nocy Timo z Esko na plecach wyruszył pieszo w letnią noc, aby sprowadzić doktora. Lekarz przyszedł z nimi do domu, w którym zastali pokrytą farbą i krwią Julie. Najpierw pomalowała się grubą warstwą farby olejnej, potem zaś wytarzała w potłuczonym szkle. Timo na zawsze zapamiętał wyraz zagnębienia i wyrzutu na twarzy żony, kiedy podpisał odpowiednie dokumenty i pielęgniarze z Kuopio przybyli, aby zabrać ją do szpitala. W pewnym momencie prawie się poddał, nie mogąc znieść jej błagalnego spojrzenia.

Julie wróciła do domu kilka tygodni później; odległa, spokojna i uśmiechnięta, zupełnie jakby jakieś drzwi zatrzasnęły się raz na zawsze, odgradzając ją od samej siebie. Dookoła oczu miała czarne kręgi. W Kuopio ogolili jej głowę i później już zawsze nosiła krótkie włosy.

Nawet jako małe dziecko, Esko zdawał sobie sprawę, że matka go kocha i że nie jest zdrowa. Odkrył, że potrafi łagodzić jej wybuchy zaniepokojenia znacznie lepiej niż ojciec i od tej pory pragnął chronić ją i opiekować się nią. Kiedy spacerowali po lesie, pływali łodzią po jeziorze lub robili bałwana, nazywała go swoim „małym braciszkiem Esko”, a jego serce rosło wtedy z dumy. Chciał zawsze osłaniać ją przed wszelkim złem i gdy zaczynała płakać, obejmował ją w pasie ramionami i scałowywał łązy z jej policzków. Julie uczyła syna jeździć na łyżwach i rysować. Wspomnienia tych chwil były najcudowniejszymi i najspokojniejszymi, jakie w nim pozostały, ponieważ kiedy Julie znajdowała się na łodzie lub trzymała w ręku ołówki, roztaczała wokół siebie aurę cichego zadowolenia i pewności siebie. Była wybitnie uzdolniona w obu tych dziedzinach i na pewno dlatego bardzo jej zależało, aby przekazać synowi swoją wiedzę. Dała mu gorące, wrażliwe serce i ognistą, nieustępliwą wiarę w siebie – dziedzictwo romantyczne i niebezpieczne zarazem.

Tamtego wieczoru w 1901 roku, gdy Kalliokoski upuścił gazetę „Hufvudstadsbladet” na podłogę pod kuchennym stołem, Esko poszedł do swojego pokoju, ale nie miał zamiaru kłaść się spać. Stał przy oknie i przez malutkie, nierówne szybki wyglądał na podwórko na tyłach domu. Podwórko schodziło w dół koło wybiegu dla kur i obory z czerwonej cegły, aż do szeregu brzoź, których srebrzyste pnie lśniły w mroku jak szaty duchów. Było już po północy i podwórko, wioska i cała reszta świata wydawały się pogrążone w głębokim uśpieniu, martwe lub nieprzytomne, otulone cudownym kocem gęstego letniego światła. Dookoła panowała cisza, nawet psy nie szczekały.

Tego roku zima trzymała długo. Ludzie jeździli na łyżwach i nartach aż do połowy maja, kiedy to wreszcie słońce pochłonęło śnieg i wiosna wybuchła jak bunt, poruszając serce zamarzniętej ziemi. Na cmentarzach trawa między grobami wystrzeliła wysoko, do kolan, na szkolnym dziedzińcu drzewa zazieleniły się nagle, w lasach czarne chmary komarów atakowały ludzi, brzę-

cząc wrzaskliwie, jak anarchiści. Na farmach mężczyźni chodzili ze swoimi dziewczynami nad jezioro lub próbowali upić je, aby łatwiej skraść im kilka pocałunków albo coś więcej pod gałęziami słodko pachnącej kaliny. Gorące słońce ogrzewało lodowate wody jeziora, kusząc stare szczupaki, które wystawiały pyszczki nad powierzchnię. Wiosna okazała się nie porą roku, lecz eksplozją, aktem przemocy.

Przez ścianę pokoju Esko słyszał pijackie chrapanie ojca, grzmot o nierównym natężeniu dźwięku, który narastał, osiągając nieomalże chóralne crescendo, i znowu cichnąc. Esko kochał ojca i bardzo się go bał. Miał wrażenie, że Timo jest prawie zawsze wściekły, szczególnie wtedy, gdy są razem, we dwóch. Kiedy Esko był sam, całym sercem tęsknił za matką. Jej strata była bólem, który nigdy go nie spuszczał i czasami chłopiec miał wrażenie, że jakaś duża część jego ciała nie zablizniła się jeszcze po poparzeniu i ciągle krwawiła. Również świat zewnętrzny wydawał mu się surowy i zmieniony. Las, jezioro, wioska, kościół – wszystko było inne, przerażające, chaotyczne, bezkształtne. Matka była jego pogodą i krajobrazem, i wierzył, że odzyska ją, jeżeli dowiedzie, iż kocha ją dość mocno. W poemacie *Kalewala* znajdowało się wiele historii o tym, jak to zmarli okazują się być mimo wszystko żywi. Kiedy Lemmin-kainen został porąbany na kawałki, jego matka udała się nad rzekę śmierci, Tuonela, i siecią wyłowiła z niej fragmenty ciała syna – raz dłoń, raz kręgosłup, głowę, potem zaś na nowo tchnęła w nie życie. Stworzyła swego syna, ukształtowała go, nadała mu taką postać, jaką kiedyś posiadał. Gdy ciało było gotowe, namaściła je olejkami i pieśnią, a wtedy Lemminkainen powstał z martwych jak ze zwykłego snu.

Esko pełen był tajemnic, nadziei i obaw, z których nikomu nie mógł się zwierzyć. Z radością poszedłby nad rzekę śmierci, aby sprowadzić matkę z powrotem, gdyby tylko ktoś pokazał mu drogę. Listy i rysunki, które od dnia pogrzebu składał na grobie Julie, nie odniosły pożądanego skutku.

Odwrócił się od okna, zapalił świecę i usiadł przy biurku, które sam zrobił z dwóch wygładzonych sosnowych desek przybitych do rozciętej na pół beczki na wodę. Zastrugał ołówek,

przysunął bliżej kartkę papieru, szybko naszkicował na niej twarz matki i zaczął pisać. Początkowo ręka mu drżała, po chwili jednak pisał coraz pewniej.

Podobno *Kalewala* jest prawdziwym opisem zamierz-
chłych dziejów naszego kraju. Ojciec mówi, że to niebez-
pieczne kłamstwo i chyba ma rację, ponieważ w *Kalewali*
jest tak, że jeśli ktoś chce zagoić ranę od miecza, od
strzały lub od ukąszenia węża, śpiewa o pochodzeniu
miecza, strzały czy węża, przy pomocy pieśni unicestwia
wroga, usuwa go ze świata. Ciebie pochłonęło jezioro,
poznałem więc pochodzenie wszystkich naszych jezior.
Zostały ukształtowane, kiedy wielki lodowiec z północy
dotarł tutaj i zaczął topnieć. Wtedy przetoczył się po
skórze ziemi, pozostawiając wszędzie jeziora, potężne
głazy i skały. Jezioro zasila woda deszczowa, a deszcz
spada, gdy chmury są zbyt napęczniałe, aby go utrzymać.
Chmury zaś z kolei powstają w zależności od zmieniającej
się temperatury powietrza. Tańczyłem o północy na brzegu
jeziora, śpiewając tę pieśń, ale ty jeszcze nie wróciłaś.

Parę dni temu śniłem o tobie, Mamo. Lecieliśmy razem
po niebie, zupełnie jak wystrzeleni w górę na podobień-
stwo fajerwerków. Cieszę się, że miałem ten sen, ponieważ
dzięki niemu poczułem twoją obecność. Tęsknię za tobą,
Mamo, i codziennie o tobie myślę. Wydaje mi się, że
ojciec też za tobą tęskni.

Wiatr zagrzechotał szybą w wąskim oknie, płomień świecy
zachybotał w przeciągu od drzwi. Esko pomyślał, że być może
jakiś duch drwi sobie z niego albo go ostrzega. Szczerze mówiąc,
wcale nie uważał, że jego ojciec tęskni za Julie. Z głębi lasu
dobięł go nagły huk wystrzału. Ktoś polował nad jeziorem,
a może tylko straszył wrony, pożerające truskawki w północnym
słońcu.

Przepraszam, że długo do ciebie nie pisałem. Mam
nadzieję, że nie straciłaś do reszty cierpliwości i nie prze-
stałaś się mną interesować, ale ojciec nie daje mi chwili
wytchnienia. Bardzo dużo się uczę, a poza tym jak zwykle
jeździliśmy na spotkania.

Esko zakasłał i szybko pisał dalej, ponieważ tu także rozminął się z prawdą. Ojciec nie zmuszał go do nauki dzień w dzień i w gruncie rzeczy Esko miał mnóstwo wolnego czasu, spotkań zaś w ubiegłym miesiącu prawie nie było, zupełnie jakby Timo był czymś mocno zaniepokojony albo się ukrywał. Chłopiec wstydził się wyznać, że w ciągu kilku ostatnich tygodni rysy matki zatarły się w jego pamięci. Nie potrafił myśleć o tym inaczej jak o straszliwej, ohydnej zdradzie i bardzo go to dręczyło. Dopiero dzisiaj wieczorem, kiedy Kalliokoski usiadł przy stole w kuchni z gazetą w rękę, twarz Julie pojawiła się przed oczami syna, który poczuł się tak, jakby ktoś oddał mu zaginiony, bezcenny skarb.

Powiedziałaś kiedyś, że będziesz przy mnie we wszystkich trudnych dla mnie chwilach, albo gdy w moim życiu zacznie się dziać coś ważnego. Dziś wieczorem przyszedł do nas Iosip Kalliokoski i przyniósł tę samą gazetę co zwykle, tę szwedzką, którą ty i on często czytawaliście razem, a której ojciec nie lubi. Był tam jeden artykuł, Mamo, artykuł o czymś, co nazwano „windą”. Wiem, że jest to coś zupełnie niezwykłego.

Przerwał na chwilę, aby przy linijce starannie podkreślić słowo „wiem”.

Nie potrafię opisać, co czuję. Ta rzecz, ta winda, budzi we mnie niepokój. Musi ona coś znaczyć, chociaż ojciec twierdzi, że wcale nie. Mamo, potrzebuję twojej pomocy. Wyjaśnij mi tę tajemnicę, jeśli możesz, albo powiedz mi, co mam robić. Przysięgam, że wkrótce napiszę znowu. Twój syn, Esko.

Teraz, kiedy odłożył kartkę papieru i ołówek, w jego pamięci wypłynął inny obraz matki. Byli we dwoje w łodzi na jeziorze, gdy para żurawi przeleciała nad ich głowami i jeden z nich wydał smutny okrzyk.

– Nigdy nie widziałam, żeby leciały tak nisko – powiedziała Julie. – Żegnają się ze mną.

Przechyliła się przez burtę, nabrała dłonią trochę wody i podniosła ją do ust.

– Boże, utopiłam moją suknię – westchnęła, pokazując Esko ociekający wodą rękaw.

Roześmiała się cicho i zaraz znowu podążyła wzrokiem za żurawiami. Uwielbiała ptaki, lubiła je obserwować i szkicować. Nadawała im ludzkie osobowości i traktowała tak, jakby były mieszkańcami wioski. Niektóre z jej ptaków były spokojne i szczęśliwe, inne wojowniczo nastawione do świata i tryskające energią, jeszcze inne melancholijne i smutne.

Esko włożył list do koperty, zakleił ją i złożył na niej nieśmiały pocałunek. Nagle w uszach zabrzmiały mu dawno wypowiedziane słowa matki.

– W Sztokholmie znalazłam chłopca, który ciągle czytał i w końcu został pastorem w kościele baptystów. Czy ja także stracę cię na rzecz religii, Esko? Opuścisz mnie dla Kościoła? Albo może dla polityki, jak twój ojciec... Chodź, usiądziemy obok siebie i trochę porysujemy. Widzisz tego mężczyznę, który wchodzi do stajni, tego, który zawsze przychodzi rozmawiać o socjalizmie z ojcem? Ma taki smutny, zwyczajny wygląd, prawda? Jego palce są powykrzywiane, nos spłaszczony, a twarz przypomina zgnieciony ziemniak. Tak zabawnie mruży oczy i uśmiecha się bez przekonania... Pracuje na farmie. Ojciec nie rozumie, że tego człowieka zawsze bardziej interesować będą krowy niż komunistyczny kolektyw. To bardzo zwyczajny, przeciętny człowiek, ale my spróbujemy naszkicować go jako proroka, szalonego proroka, dobrze?

Julie wierzyła, że potrafi zobaczyć prawdziwą istotę ludzi i rzeczy. Timo mówił o materializmie i nieuniknionych procesach historycznych, ona natomiast wszędzie dostrzegała działanie Ukko, boga powietrza i Tapio, boga drzew. Opowiadała Esko o dobrych i złych duchach, i o trollach, które ukrywają złoto w zawleczonych wiecznymi mgłami zakątkach lasów i rzucają klątwy na ludzi. Jej uśmiech pojawiał się i przygasał jak płomień na wietrze.

Esko westchnął głęboko i ten odgłos uświadomił mu, że wokół zapanowała zupełna cisza. Nawet chrapanie ojca ustało. Dom pograżył się w milczeniu, lecz w pokoju było gorąco i duszno, i chłopiec miał wrażenie, że powietrze uciska ze wszystkich stron jego głowę.

Nadchodzi burza, pomyślał.

W lecie burze wybuchwały nagle, nadciągając bez ostrzeżenia z drugiej strony jeziora. Czasami, stojąc na brzegu, można było usłyszeć deszcz, zanim runął z chmur, i brzmiało to zupełnie tak, jakby powierzchnia jeziora była arkuszem cynowej blachy, który jakiś olbrzym obrzucał gradem drobnych kamyków.

Esko wyjrzał przez okno i zobaczył, że niebo pociemniało. Brzozy za stodołą gniewnie rzucały koronami. Pierwsza kropla deszczu uderzyła w szybę jak grudka metalu. Chłopiec podskoczył. Błyskawica rozdarła niebo, zaraz potem gruchnął grzmot, na parapet spadło jeszcze kilka wielkich kropli. Nie minęła sekunda i deszcz lunął z ogromną siłą, zalewając okna i waląc w dach domu tak mocno, że Esko przestraszył się, czy strop wytrzyma.

Zadrżał z lęku i wielkiej radości, ponieważ wiedział, że jego matka jest obecna w burzy. Była huczącym grzmotem. Była ulewą, która przeistoczyła szybę w mglistobiały ekran. Była wichurą, która otworzyła drzwi pokoju i zdmuchnęła świecę palącą się na biurku.

Moja matka jest wszędzie, pomyślał Esko. Wróciła. I nagle zrozumiał, co musi zrobić z przyniesioną przez Kalliokoskiego gazetą, wiedział to tak dokładnie, jakby Julie wyszeptała mu te słowa do ucha. Wyjął z pochwy *puukko*, nóż o krótkim ostrzu i zajrzał do pokoju obok, gdzie ojciec sapał cicho, rozciągnięty na łóżku, z szeroko otwartymi ustami, w ubraniu i butach. Jego jasne, mokre od potu włosy lśniły niczym aureola chorego anioła.

Esko rzadko przekraczał próg tego pokoju. W mroku widział poukładane w stosy książki i papiery. Było to jedyne starannie uporządkowane miejsce w życiu Timo. Na stole w kącie leżała strzelba, którą Timo przywiózł kiedyś z Helsinek. Z szafy mierzyła prosto w głowę Esko lufa czarnego rewolweru. Wysoki piec w przeciwległym roku wydzielał zapach sosnowego drewna i ciepłego metalu, który tworzył dziwną mieszankę z ostrym odorem potu i wódki, wydobywającym się ze wszystkich porów skóry Timo. Esko nienawidził ojca za to, że pił, i smród alkoholu zawsze doprowadzał go do wściekłości, sprawiał, że miał ochotę uderzyć Timo albo nawet dźgnąć go nożem. Dlaczego nic nie było teraz tak proste jak kiedyś? Chłopiec podszedł do łóżka,

chwycił ojca za pokryty kilkudniowym zarostem i zaschniętą śliną podbródek, i ostrym ruchem zamknął mu usta. Timo chrząknął, sapnął, przewrócił się na brzuch i znowu zaczął głośno chrapać, jakby chciał zagłuszyć burzę.

Gazeta „Hufvudstadsbladet” leżała tam, gdzie zostawił ją Kalliokoski, pod kuchennym stołem. Esko podniósł ją, szybko zapalił świecę i po stromych schodkach wszedł na strych, gdzie duszne, rozgrzane powietrze uderzyło go prosto w twarz, na chwilę zapierając dech w piersiach. Deszcz bił teraz o dach tuż nad jego głową, wprawiając w ledwo zauważalne drżenie długie, potężne sosnowe belki stropu. Esko przedarł się między stosami kartonowych i drewnianych pudeł oraz starych narzędzi, starając się omijać wielkie pajęczyny w drodze do wąskiego prostokąta szarawego światła, jedyne okna znajdującego się w odległym kącie. Serce biło mu coraz szybciej, kiedy stawiał lichtarz na podłodze i starannie wyglądał stronicę gazety. Wreszcie usiadł i zbliżył zdrowe oko do papieru, aby przeczytać o czarodziejskiej skrzyni, która sama wznosiła się ku niebu.

Pierwsza w Finlandii elektryczna winda została zainstalowana w nowym budynku Diktoniusa na Aleksander-gaten w Helsingfors. „Winda zabiera do dziewięciu pasażerów na raz i porusza się za przesunięciem dźwigni”, mówi Leonid Mimmelman, dyrektor domu towarowego Diktoniusa, który będzie się mieścił w nowym budynku. „Dzięki niej nasi operatorzy pomogą klientom znaleźć się bliżej nieba i naszych towarów, znanych z wyjątkowej jakości i wartości. W sumie winda przebywa dwadzieścia pięć metrów, a bezpieczeństwo podróży tym nowoczesnym urządzeniem zapewnia znajdująca się na dnie szybu poduszka powietrzna w niezwykle mocnym pokryciu. Do windy dostać się można jedynie przez przesuwane drzwi ze wzmocnionej stali, które działają automatycznie”.

Obok kolumny tekstu widniało zdjęcie Leonida Mimmelmanna, bladego mężczyzny w meloniku, o gładkiej twarzy i w bliżej nieokreślonym wieku. Zdaniem Esko pan Mimmelman wyglądał zdecydowanie zbyt przeciętnie i nieciekawie, aby mieć cokolwiek wspólnego z wydarzeniem tak niezwykłym

jak zainstalowanie windy, lecz pod jego podobizną znajdował się diagram, fragment planu budynku z wyraźnie zaznaczoną windą wraz z całym jej systemem dźwigni i kabli.

Esko pochylił głowę jeszcze niżej, aż jego oko znalazło się w odległości mniej więcej centymetra od rysunku i długo wpatrywał się w niego z mocno bijącym sercem, jak zahipnotyzowany. Potem swoim *puukko* starannie wyciął artykuł z gazety.

– Co ty tam robisz, Esko?

Chłopiec uniósł głowę i spojrzał w surową, ledwo widoczną w mroku twarz, która nie zmieniła wyrazu w odpowiedzi na jego uśmiech.

– Nic, ojciec.

– Co tam masz? Co czytasz?

Esko wstał i otrzepał z kurzu spodnie, które jakiś czas temu należały do Timo. Były sporo za duże, chociaż nogawki podwinęto, a przytrzymujący je pasek był mocno ściągnięty. Esko schylił się i jeszcze raz strzepnął materiał na kolanach, usiłując pospiesznie wymyślić jakiś plan.

– Nic – powtórzył, podnosząc na ojca oko i starając się wypowiedzieć to słowo jak najwyraźniej.

– Nic? Więc dlaczego tak szybko to schowałeś? Jeżeli to naprawdę nic, to przecież i tak tego nie zobaczę, prawda?

Esko kołysał się do przodu i do tyłu na piętach, próbując się skoncentrować. Czuł, że jeśli Timo zobaczy artykuł, zanim on sam zgłębi tajemnicę windy, wtedy moc tego sekretu, jakakolwiek by ona była, rozwieje się jak dym. Była to bardzo osobista rzecz, coś, w czym ojciec nie powinien mieć żadnego udziału.

Deski podłogi zaskrzypiały pod zbliżającymi się stopami Timo.

– Nie mam zamiaru się powtarzać, Esko. Co tu się dzieje? Wyraźnie widzę, że chowasz coś za plecami. Co to takiego?

Esko zamknął oko. Jego umysł miotał się bezradnie jak schwytane zwierzątko, szukając słów, które swą siłą usunęłyby Timo ze strychu i z domu.

– Pokaż mi to – powiedział ojciec zimno, takim tonem, jakby chciał ostrzec Esko, że skoro to on dał mu życie, w każdej chwili może je również odebrać. Timo przeczesał włosy

palcami. – Nie wierzę, żeby było to coś naprawdę ważnego, ale chcę znać prawdę – dodał nieco łagodniej.

Esko wetknął wycinek za pasek spodni i nagle uświadomił sobie, że zakurzone powietrze na strychu stało się chłodniejsze. Hałas na dachu ustał. Burza minęła i chłopiec poczuł, jak powoli ogarnia go spokój, specjalny dar od matki. Kiedy przemówił, słowa wypłynęły z jego ust zupełnie bez trudu, jakby wszystko to działo się we śnie.

– Moja matka wcale nie umarła – rzekł, szczerze przekonany, że ta wiadomość bardzo ucieszy ojca. – Ona jest tutaj. Była w burzy, wiem to na pewno.

Timo zamrugał nerwowo. Jego twarz lśniła od potu.

– Co to znowu za bzdury?

– To nie bzdury, ojciec. Mama wróciła z burzą.

Esko poczuł cios, zanim zdążył zobaczyć ruch ręki Timo. Zagrzechotało mu w głowie, uniesiony siłą uderzenia z impetem upadł na podłogę i bezradnie patrzył, jak wycinek z „Hufvuds-tadbladet”, który wypadł z jego spodni, wiruje w powietrzu i odpyływa lekko, niczym motyl.

– Podobało ci się? – zapytał Timo. Ślina prysnęła mu z ust i kilka kropel opadło na policzek syna. – Chcesz jeszcze dostać?

– Nie.

Chłopiec przyłożył rękę do piekącego miejsca. Uderzenie napełniło jego oczy łzami, ale ze wszystkich sił starał się nie rozplakać.

– Więc nie okłamuj mnie więcej – rzekł Timo przyciszonym głosem.

Esko pomyślał, że jego ojciec wygląda teraz jak gigant. Tak czy inaczej, nie mógł kłamać, a być może miał też ochotę sprowokować Timo i rozwścieczyć go jeszcze bardziej.

– Nie kłamię – powiedział, poruszając obolałą szczęką. – Mama tu była.

Timo ponownie podniósł rękę, tym razem zaciskając dłoń w pięść. Esko rzucił się naprzód, przepchnął obok ojca i szybko zbiegł po rozchwianych schodach, spadając z ostatnich trzech stopni. Nie myślał, chciał tylko znaleźć się jak najdalej od

Timo. Poderwał się i wybiegł z domu bosy. Przebiegł przez podwórko i skierował się w stronę ciemnego, ociekającego deszczem lasu. Przystanął dopiero wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie jest, i poczuł ból poranionych do krwi stóp.

3

Esko wyszedł na brzeg na powitanie łodzi, które sunęły ku niemu po gładkiej tafli jeziora. Z zawstydzeniem i lękiem zauważył szerokie barki ojca, siedzącego u wiosł w pierwszej łodzi, a tuż za jego plecami skupioną twarz Kalliokoskiego. Pastor uśmiechał się z dumą i wyczekiwaniem i Esko pomyślał, że zupełnie nie rozumie, co w tej sytuacji jest zabawnego. Westchnął, gotów na przyjęcie bez skargi każdej kary, jaka mogła przypaść mu w udziale. Już wcześniej postanowił, że zapomni o windzie, jeżeli tylko dzięki temu poświęceniu uda mu się zaprzyjaźnić z ojcem. Był zdenerwowany, lecz także dumny, ponieważ zdołał przeżyć całe dwie noce w dziczy. Uznał wyspę za swoją własność, za miejsce, gdzie trochę dorósł i gdzie zrozumiał, jak głupio i nierozważnie jest irytować dorosłych trudnymi pytaniami o istotne sprawy. Podjął decyzję, że nigdy więcej nawet nie wspomni o windzie i postara się w ogóle o niej nie myśleć. Może pewnego dnia ujrzy ją na własne oczy, ale na razie starannie wymaże ją ze swego umysłu.

Łodzie były już blisko i chłopiec słyszał rozmowy i pełen ulgi śmiech mężczyzn. Woda chlupotała głośno pod uderzeniami wiosł. Po raz ostatni rozejrzał się dookoła. Dwie rude wiewiórki goniły się po gałęzi świerku, niebo usiane było chmurkami podobnymi do kłębuszków waty. Słońce powlekało lśniącem srebrem szybko mknące, niskie fale i przeświecało przez skrzydła motyla. Na brzegu leżał gnijący kadłub starej łodzi. Esko obiecał sobie, że pewnego dnia wróci tu i znowu zobaczy to wszystko, i będzie wspominał swoją przygodę.

W pierwszej chwili dorośli wydawali się być pod wrażeniem tego, co zrobił, chociaż nie było to przecież nic wielkiego. Esko

wyrzeźbił prymitywne drewniaki z kawałka pnia, który woda wyrzuciła na piasek, ponieważ wybiegł z domu bez butów, zbudował też coś w rodzaju szałas z kamieni i gałęzi. Spał na wielowarstwowym materacu z brzoźowych liści.

– Zauważyliśmy twój sygnał – odezwał się Timo. – Dym z ogniska...

– Rozpaliłem ognisko, żeby upiec sobie rybę – powiedział Esko spokojnym, mocnym głosem.

Timo Vaananen wykonał wtedy dziwny taniec na plaży, wymachując rękoma i wyrzucając buty w powietrze. Po chwili znieruchomiał, zawstydzony swoją reakcją, i wziął głęboki oddech.

– Coś takiego! – zawołał. – No, coś takiego! Mój syn jest prawdziwym Finem! Umie złowić i przyrządzić rybę! I co wy na to? A gdzie jest łódź? Łódź też sam zrobiłeś?

Esko poczuł, jak silne ramiona ojca zamykają go w niedźwiedzim, niezgrabnym uścisku.

– Pożyczyłem łódź – odparł.

– Pożyczyłeś?

– Należy do Turkkili.

Mężczyźni ryknęli gromkim śmiechem. Turkkila był pijaczną, który najprawdopodobniej nawet nie pamiętał, że ma łódź. Gładka połowa twarzy Esko zarumieniła się z dumy. Chłopiec był szczęśliwy, że dorośli uznali go za swego towarzysza.

– Wracamy do domu, ojczy?

Timo odgarnął proste, jasne włosy z czoła i wbił wzrok w czubki swoich butów. Wykonał krótki, nerwowy ruch głową, gest pełen gniewu, a także rezygnacji i smutku.

Odwrócił się plecami do Esko.

– Tak, wracamy – oświadczył Kalliokoski, a słowa te, wypowiedziane zdecydowanym, gładkim głosem, zabrzmiały jak triumfalna aria.

Esko wsiadł do łodzi razem z Kalliokoskim, z niepewnym zdumieniem patrząc na ojca, który sam zajął miejsce w drugiej. Timo nadal zwrócony był do niego tyłem. Podniósł wiosła, uderzył nimi o wodę i skierował łódź w stronę odległego brzegu.

– Tato, płyniesz w odwrotnym kierunku! – krzyknął Esko. – Wieś jest tam!

Ale ojciec wydawał się go nie słyszeć. Siedział z pochyloną głową, mocno pracując wiosłami.

– Tato! Tato!

Esko był przerażony. Próbował wyskoczyć z łodzi, ale Kalliokoski objął go i przytrzymał.

– Tatusiu!

– Twój ojciec wyjeżdża – rzekł Kalliokoski. – Na pewien czas zamieszkasz ze mną i moją żoną, Esko.

Przez długą chwilę chłopiec w milczeniu zmagał się z tą nowiną.

– Nic nie rozumiem – powiedział wreszcie.

– Później ty także wyjedziesz, do szkoły w Helsingfors – dodał Kalliokoski, dając pozostałym mężczyznom znak, aby ruszali. – Będiesz z tego zadowolony, zobaczysz. Twój ojciec poprosił mnie, żebym się tobą zaopiekował. Zależy mu, abyś się uczył i zdobył dobrą pozycję w życiu. Zostaniesz prawnikiem, a może politykiem, w każdym razie na pewno kimś ważnym.

Esko odwrócił głowę, pozwalając, aby słowa pastora spływały po nim powoli. Patrzył na znikającą za cyplem wyspy łódź z maleńką, czarną sylwetką ojca. Jezioro było puste i zupełnie gładkie, dopiero po chwili zerwał się wiatr, tworząc zimne, ostre grzebienie fal, które wyglądały jak wykute z żelaza.

Tygodnie mijały, lecz dzieci z wioski nie przestawały dręczyć Esko plotkami na temat tajemniczego zniknięcia jego ojca. Timo Vaananen gnije w więzieniu, mówiły. Zebrze na ulicach Vaasy. Uciekł na wschód z jakąś mongolską dziwką. Leży gdzieś w rowie z poderżniętym gardłem i jego ciałem żywią się szczury i komary. Esko nie reagował na te okrutne drwiny i nie skarżył się nikomu, nawet Kalliokoskiemu. Na plebanii chodził z pokoju do pokoju, przyglądając się zgromadzonym tu zegarom, próbując wytyczyć między nimi jakąś ścieżkę dla siebie, czując, że ich skomplikowane, tykające i cicho chrzęszczące mechanizmy są w dziwny sposób złośliwe i próbują wyrzucić mu

krzywdę. Raz, kiedy wszyscy poza nim wyszli z domu, był przekonany, że stary szafkowy zegar stojący w salonie lada chwila ożyje i zaatakuje go. Podszedł bliżej, otworzył przeszklone drzwi szafki i, zsunąwszy przepaskę z oka, przycisnął twarz do tarczy tak mocno, że ostra strzałka na końcu dłuższej wskazówki przekłuła skórę jeszcze nie całkowicie zagojonego oczodołu, a po jego policzku spłynęło parę kropli krwi. Chłopiec obwiniał się za śmierć matki i wierzył, że to z jego winy ojciec uderzył go i nie chciał dłużej z nim mieszkać. Fakt, że myśl o ewentualnym powrocie Timo bynajmniej nie sprawiała mu radości, nasilał tylko wyrzuty sumienia. Nie mówił o tym nikomu, wznosił swój prywatny zamek wielkiej samotności i podniósł prowadzący do niego zwodzony most.

– Nie jesteś tu szczęśliwy, Esko? – zapytał Kalliokoski pewnego popołudnia.

Byli w kuchni na plebanii, gdzie na dużej fajercie grzał się ogromny czajnik. Przez cały dzień żebracy przychodzili tu, aby dostać porcję podawanej w drewnianych miskach gorącej zupy. Czasami Esko wyobrażał sobie, że widzi ojca, kiedy indziej wmawiał sobie, że któryś z żebraków rzeczywiście nim jest i wtedy wypełniał go nieposkromiony, kamienny gniew. Za każdym razem szybko przywoływał się do porządku, ale głęboki niepokój nadal drażył mu umysł, sprawiając, że chłopiec coraz gorzej czuł się we własnej skórze.

– Nigdy się nie uśmiechasz i nie biegasz z innymi dziećmi – ciągnął Kalliokoski, mieszając zupę. – Kilka razy mówiono mi nawet, że nie zjawiłeś się na porannej modlitwie w szkole. Czy to prawda? Czy tak powinien zachowywać się chłopiec, który ma nadzieję kontynuować edukację w stolicy?

Pastor uśmiechnął się lekko, usiłując zachęcić Esko do rozmowy, lecz on milczał uparcie, wpatrując się w swoje buty. Myślał o chłopcach, których może spotka w Helsinkach, chłopcach z dobrych rodzin, mieszkających w pięknych domach wznoszących się wysoko na wzgórzu nad portem.

– Czy to prawda? – cierpliwie powtórzył Kalliokoski.

Esko milczał. Uśmiech pastora stał się nieco bardziej sztywny.

– Nie przychodziłeś na poranną modlitwę?

Esko pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Nie wierzę w Boga – odrzekł bez wahania, zaskakując samego siebie.

Jezus zniknął z wnętrza jego głowy. Stało się to nagle, zupełnie niespodziewanie. Jezus był tam jeszcze wtedy, gdy Kalliokoski upuścił pod stół egzemplarz „Hufvudstadsbladet”, lecz potem odszedł, zostawiając po sobie puste miejsce, chociaż Esko nigdy nie kwestionował jego istnienia.

– Bóg nie żyje, prawda? – zapytał.

Kalliokoski drgnął, jakby ktoś go uderzył.

– To bluźnierstwo i wielkie kłamstwo, Esko – powiedział.

Szybko wyciągnął rękę, aby dotknąć żebraka, któremu właśnie podał miskę zupy, ale zaraz cofnął dłoń, ponieważ ujrzał, że po głowie nędzarza biega nieprzeliczone mnóstwo wszy. Z trudem przełknął ślinę.

– Kiedy straciłeś wiarę?

Esko milczał wyzywająco.

– Mówisz mi prawdę?

Kiwnięcie głową.

– To przygnębiające – rzekł Kalliokoski, wbijając wzrok w brunatną zupę. Po krótkiej chwili podniósł oczy i utkwił je w twarzy swego podopiecznego. – Esko, czy wiesz, dlaczego twój ojciec opuścił Pyhajarvi?

Dłoń chłopca dotknęła przepaski na oku i ześlizgnęła się po zgrubiałej skórze poparzonego policzka.

– Winda – wymamrotał cicho.

– Słucham?

– Winda – powtórzył Esko.

Tym razem słowo zabrzmiało głośno i wyraźnie. Esko przestąpił z nogi na nogę, przekonany, że zaraz wydarzy się coś strasznego.

Jeden ze stojących w kolejce po zupę mężczyzn wpatrywał się w niego z natężeniem. Był to Turkkila, chudy, mroczny i spowity w jakieś postrzępione szmaty, podobny do wygłodzonego psa o zbyt gęstym futrze. Jego mocno zaróżowione policzki

i nos koloru rozgniecionej truskawki świadczyły, że jak zwykle nie żałował sobie wódki. Przekrwione oczy pijaka zabłyśły nagle, co zdumiało Esko, bo co Turkkila mógł wiedzieć o windzie? Chłopiec zaczerwienił się, ponieważ zdał sobie sprawę, że Turkkila nie ma zielonego pojęcia o istnieniu windy. Turkkila był po prostu zażenowany, bo w gruncie rzeczy zupa wcale mu się nie należała. Nie był żebrakiem, lecz grabarzem, można więc było powiedzieć, że nie ma dobrej pracy, ale za to na pewno stała. Zauważył spojrzenie Esko i przestraszył się, że chłopiec na niego doniesie. Esko nie przyzwyczyił się jeszcze do szacunku, a nawet unizoności, z jaką wielu mieszkańców wioski zaczęło go traktować, odkąd zamieszkał w domu pastora. Ojciec byłby tym głęboko poruszony i zdegustowany.

Kalliokoski zamieszał zupę i napełnił następną miskę. Jego brodata twarz wyrażała wielkie skupienie.

– Chodzi ci o ten artykuł w „Hufvudstadsbladet”?

Usta chłopca wypełnił nagle smak metalu i farby drukarskiej, tak bardzo podobny do smaku krwi. Przypomniawszy sobie, jak przyłgnał policzkiem do gruboziarnistego zdjęcia windy, jak jego przyspieszony oddech wydawał się wprawiać urządzenie w ruch, zupełnie jakby samą siłą wyobraźni mógł ożywić wielką klatkę i poderwać ją do lotu w górę.

– Co zdarzyło się tamtego wieczoru, kiedy zostawiłem was samych, ciebie i twojego ojca? – zapytał Kalliokoski.

Ręka Esko znowu powędrowała ku przepasce na oku.

– Ukradłem ten artykuł z gazety.

– To niedobrze.

– Ojciec mnie uderzył.

– Narobiłeś mi mnóstwo zmartwienia i doskonale o tym wiesz – rzekł pastor, kiwając głową, jakby teraz wreszcie wszystko zrozumiał. Jego uśmiech był pełen ciepła. – Musieliśmy zorganizować ekipę poszukiwawczą.

Esko zaczerwienił się ze wstydu. Kiedy podniósł wzrok, zauważył, że Turkkila nadal się w niego wpatruje. Pijak miał tylko jeden ząb, żaloszny, zżółkły siekacz, który zwisał mu nad opadającą dolną wargą, kiedy się uśmiechał. Pospiesznie prze-

niósł spojrzenie na znacznie przyjemniejszą twarz Kalliokoskiego.

– Finlandia chce zdobyć wolność, pytanie tylko, w jaki sposób. Znasz Bongmana?

Turkkila uśmiechnął się szeroko, przekrzywiając głowę tak, że brązowa zupa wyciekła mu z ust i zaczęła kapać po brodzie.

– Nie mówię do ciebie, idioto – powiedział pastor tym samym łagodnym, spokojnym tonem. – Rozmawiam z moim przyjacielem Esko. Idź stąd. – I zamachnął się cynową łyżką wazową niczym kijem.

Turkkila obdarzył go jeszcze jednym uśmiechem i trzymając miskę z parującą zupą, powoli pokuśtykał do stołu.

– Tak, znam Bongmana – odparł Esko.

Bongman był drugim pastorem, poważnym, tęgim mężczyzną. Pracował głównie w biurze parafialnym, rozstawiając po kątach Turkkilę i dzwonników.

– Istnieją ludzie tacy jak on, którzy wierzą, że niepodległość uda się osiągnąć, oddając cześć wszystkiemu co narodowe oraz zawsze i wszędzie cytując *Kalewalę*.

Esko wyciągnął rękę i szybkim ruchem przesunął jedną z misek, aby tworzyły idealnie równy krąg na stole.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał ostro Kalliokoski.

– Teraz tworzą doskonale równy kształt – odparł Esko.

– To prawda – rzekł pastor, z lekko zmarszczonymi brwiami wpatrując się w ustawione na stole naczynia. Potem przeniósł spojrzenie na Esko i westchnął. – Twój ojciec ma inną wizję przyszłości, być może bardziej zgodną z rzeczywistością, ale i o wiele bardziej niebezpieczną.

– Ojciec należy do Czerwonych – powiedział Esko po prostu.

– No, właśnie. I niedawno się dowiedział, że w każdej chwili może zostać aresztowany. Posunął się za daleko i dlatego musiał zniknąć.

– Zniknąć, zniknąć – wymamrotał Turkkila. – Znikaj, mówi. Zjadłeś zupę, to znikaj. Co za burdel... Człowiek przychodzi, aby coś przekazać, a on uważa, że ma prawo go obrażać. No cóż, takie życie, co robić... Następnym razem będzie próbował mi wmówić, że ziemia jest kulista.

– Nie mówię do ciebie. – Kalliokoski westchnął ze zniecierpliwieniem. – Rozmawiam z chłopcem, nie z tobą, na miłość boską.

– A teraz jeszcze zachowuje się tak, jakbym w ogóle nie istniał – mruknął Turkkila, wzruszając ramionami i spojrzeniem szukając poparcia u Esko. – Miły z niego facet, co?

– Mój dobry człowieku, nie zamierzam wdawać się z tobą w filozoficzną dysputę – oświadczył pastor. – Dziękuj Bogu, że masz dziś pełny brzuch.

Turkkila wyprostował się, ujawniając, że pod znoszonym, podartym płaszczem nie nosi koszuli, a jego chude, żylaste ciało porośnięte jest czerwonożółtawymi włosami. Przez chwilę pijak wyglądał groźnie, jak stary wilk.

– Mój ojciec już nie żyje. Wybrał się popływać na dnje jeziora, och, wiele lat temu. Ale kiedy byłem młody, mieszkałem z nim w domu, gdzie kuchnia wcale nie była mniejsza od tej. Mieszkał w niej diabeł. W nocy wyłaził i próbował łapać chłopców i ich matki.

– Co to znowu za bzdury?! – Kalliokoski się zirytował, wychodząc zza kuchni. – Turkkila, czy to ty? Oczywiście, a któż by inny. Czyś ty kompletnie oszalał?

– Mały Esko Vaananen. Dobry, grzeczny, mądry chłopiec, smutny chłopiec, który widzi różne rzeczy, który był już nad rzeką śmierci i stanie na jej brzegu jeszcze dwa razy, zanim w niej utonie – powiedział Turkkila. – Strzeż się żelaza, chłopcze. Strzeż się stali. A nade wszystko wystrzegaj się tych... Jak im tam... Tych wigund.

Turkkila wyciągnął z kieszeni zgnieciony czarny kapelusz i usiłował włożyć go sobie na głowę, ale był tak pijany, że jego ręka zatraciła miarę jego ciała i musiał podejmować próbę kilka razy, zanim wreszcie sterane upływem czasu nakrycie głowy spoczęło na swoim miejscu.

– Strzeż się wigund – powtórzył, odwrócił się i niepewnym, rozchwianym krokiem podszedł do drzwi.

– To okropne, naprawdę okropne – rzekł Kalliokoski i potrząsnął głową, natychmiast zapominając o Turkkili i wracając do rozdzielania zupy. – Twój ojciec postąpił tak, a nie inaczej,

z powodów, które sam zna najlepiej, ale jego zniknięcie nie ma nic wspólnego z tobą czy z artykułem o windzie w „Hufvuds-tadsbladet”. Nie możesz winić za to ani siebie, ani jego, Esko. Rozumiesz? Bóg, w którego już nie wierzysz, a w każdym razie tak teraz twierdzisz, sam rozwiąże tę sprawę.

Esko pragnął, żeby rzeczywiście tak się stało i przez krótką chwilę poczuł się naprawdę pocieszony i uspokojony. Późnym wieczorem stał przy oknie w swoim pokoju na plebanii i patrzył w stronę jeziora, szarego, poznaczonego grzebieniami fal, niekończącego się bezmiaru, otoczonego drzewami, które w mroku i mgłę rysowały się tylko jako niewyraźne sylwetki. Z zamkniętymi oczami bez trudu mógł wyobrazić sobie, że nie są to wcale drzewa, ale zakapturzeni mnisi, świątobliwi mężowie, którzy zgubili drogę w puszczy. Nagle przypomniał mu się Turkkila, który wydawał się wiedzieć coś, co pozostawało zasłonięte przed wzrokiem Esko, Turkkila, który zajrzał wprost do umysłu Esko, a nawet jeszcze głębiej, do miejsca, gdzie kłębiło się to wszystko, co powodowało działaniem chłopca i pobudzało go do czynu. Tamtej letniej nocy Esko po raz pierwszy pomyślał o swojej przyszłości. Był ciekaw, co ona kryje i dlaczego Turkkila kazał mu wystrzegać się wind.

4

Miesiące mijały powoli, bez żadnej wiadomości od Timo. Nadszedł początek września, czas jarmarku organizowanego w wiosce z okazji dożynek. Esko tkwił w swoim pokoju. Na łóżku przed nim leżało nowe ubranie, które parę godzin wcześniej przyniósł mu Kalliokoski. Esko siedział na podłodze, z kolanami podciągniętymi pod brodę, i ze złością marzył o tym, jak pewnego dnia pokona Kalliokoskiego w jakiejś wielkiej bitwie. Może powali go uderzeniem topora, tak jak chłop Lalli, który kilkaset lat temu na zamarznętym jeziorze Koylio zadał śmiertelny cios angielskiemu biskupowi Henrykowi? Ale to byłoby chyba zbyt krwawe rozwiązanie, a poza tym Esko musiałby wyjść z domu, aby poszukać topora. Wreszcie wpadł na pomysł

zemsty doskonałej – włoży ubranie i pójdzie na jarmark, ale bez Kalliokoskiego.

Pięć minut później długie ciało Esko okrywał już garnitur z gryzącego tweedu, ściągnięty szerokim paskiem. Sztywne tweedowe spodnie sięgały do kolan, gdzie prawie stykały się ze skarpetami z grubej czarnej wełny, a stopy chłopca protestowały ostrym bólem, zmiażdżone uciskającymi i obcierającymi skórę butami. Na głowę włożył czapkę z tego samego okropnego tweedu. Wyglądał nie na bogatego i uprzywilejowanego, lecz na zupełnie szalonego. Szeroko otworzył okno w sypialni, stanął na parapecie, niespodziewanie stracił równowagę i zjechał po stromym dachu, w ostatniej chwili chwytając się biegnącej wzdłuż jego krawędzi rynny, na której zawisł, machając nogami w za ciasnych butach. Zeskoczył na ziemię i uważnie obejrzał ubranie. Na szczęście materiał nie rozdarł się ani specjalnie nie zabrudził. Esko włożył czapkę na bakier i pobiegł przez podwórko plebanii i przez cmentarz, gdzie pod żelaznymi krzyżami i nagrobkami z czarnego marmuru leżały późne róże, a powietrze intensywnie pachniało czarnymi porzeczkami. Był wolny, miał dla siebie sporą część popołudnia i cały wieczór. Dałby wiele, aby nikt nie zobaczył go w tym stroju, ale zaraz pomyślał sobie, że nie ma to żadnego znaczenia – chłopcy ze wsi i tak wyśmiewali się z niego lub odwracali do niego plecami, co było jeszcze gorsze. Tweedowy garniturek będzie przynajmniej konkretnym pretekstem do drwin, czymś, z czego i on sam mógłby się śmiać.

Jarmark odbywał się na łące za kościołem i domem Kivimaa, najbogatszego gospodarza w okolicy, w miejscu, gdzie krzyżowały się dwa płoty z plecionych brzozowych gałęzi. Na środku łąki chłopcy wykosili duże koło, poza którym trawa wznosiła się na wysokość piersi. Esko zwolnił kroku, otarł pot z czoła i skupił się na tym, aby z całkowicie obojętnym i swobodnym wyrazem twarzy spokojnie spacerować między straganami i namiotami, między handlarzami koni, którzy stali tu i ówdzie po dwóch lub trzech, z kciukami zatkniętymi za paski od spodni, i wiejskimi chłopcami w odziedziczonych po ojcach za dużych czapkach z daszkiem i kapeluszach derby. Już zaczął cieszyć się, że nikt

go nie rozpoznał, kiedy nagle zobaczył zmierzającego w jego kierunku syna Bongmana.

Syn Bongmana był o rok starszy od Esko i w ciągu ostatnich kilku miesięcy gwałtownie urósł, przez co wyglądał tak, jakby jego ciało rozpaczliwie usiłowało uciec nie tylko z ubrania, ale także od wszystkiego, co go otaczało. Twarz miał dosłownie usianą trądzikowymi krostami, trudno więc było się dziwić chłopom, którzy często nie potrafili oderwać od niej wzroku, a kiedy wreszcie to czynili, zaczynali nerwowo żuć swoje fajki i niewyraźnie mamrotać pod nosem. Stary Bongman był otyły, natomiast młody nieprawdopodobnie chudy, chudy do tego stopnia, że z pewnością mógłby bez najmniejszego trudu przejść przez ucho igielne prosto do królestwa niebieskiego. Ale syn Bongmana bynajmniej nie zdradzał zainteresowania życiem wiecznym. Większość czasu spędzał w lesie i otwarcie twierdził, że zna czarowników, od których uczy się, jak polować i hipnotyzować niedźwiedzie. W czasach, kiedy obaj chłopcy biegali razem po lesie, przed pożarem, który pochłonął dom Vaananeńców, Esko widział kiedyś, jak syn Bongmana złapał kaczkę, skręcił jej kark ruchem tak delikatnym i naturalnym, jakby strzepywał ręcznik, potem zaś na wszelki wypadek poderżnął ptakowi gardło.

– Idzie Człowiek z Blizną w idiotycznym ubraniu – odezwał się syn Bongmana.

Esko bez wahania wpadł do najbliższego namiotu i wybiegł z drugiej strony. Kiedy się obejrzał, zobaczył obute w ciężkie czarne trzewiki stopy syna Bongmana, który właśnie ruszył w pogoń za nim, wybierając dokładnie tę samą trasę. Esko obiegnął namiot i wszedł do niego po raz drugi. Chwilę rozglądał się po mrocznym wnętrzu, nim przykucnął w najciemniejszym kącie, zadowolony ze swego fortelu i pewny, że okaże się on skuteczny.

Tkanina namiotu załopotąła i wydeła się, jakby usiłowała walczyć ze światłem. Chwilami wydawało się, że namiot odniósł zwycięstwo i wtedy materiał opadał swobodnie, z pełnym satysfakcji westchnieniem, a pokonane światło wycofywało się z ciemnego wnętrza. I zaraz płótno znowu zaczynało łopotać

wściekle, jakby namiot miał lada chwila wzbić się w przestworza. Wiatr unosił założony na szczycie kawał tkaniny, pomagając swemu sojusznikowi, światłu, dostać się do środka i wypędzić mrok. Esko dziwił się, że nikt poza nim nie dostrzega tej walki na śmierć i życie. Wieśniacy stali grupkami, siedzieli na ławkach lub leżeli na ziemi, śmiejąc się, wymieniając szeptem jakieś uwagi i najwyraźniej czekając na rozpoczęcie zupełnie innego widowiska. W końcu na środek wyszedł mężczyzna w poprzecieranym w wielu miejscach garniturze i w słomianym kapeluszu zsuniętym daleko z czoła. Uśmiechnął się, zakasłał i przedstawił widzom innego człowieka, który zaraz zaczął żonglować szklanymi kulami i pałeczkami. Esko pomyślał, że nie ma w tym nic szczególnego i cały spektakl wypada bardzo blado w porównaniu z grą światła i cienia, jaką przed chwilą oglądał. Po żonglerze wystąpiło kilku mężczyzn w czarnych butach, czarnych surdutach i naciągniętych na głowy czarnych kapturach, którzy tańczyli niezgrabnie jak niedźwiedzie. Jeden z nich okręcił się wokół własnej osi, rycząc głośno i niespodziewanie rzucił się do przodu, w kierunku Esko, który z trudem powstrzymał się, aby nerwowo nie uskokczyć w bok. Zdobył się nawet na słaby uśmiech, chociaż serce waliło mu jak szalone. Potem swój sprzęt rozstawił dagerotypista, który natychmiast zaczął zapraszać ochotników. Z tłumu wysunął się rosyjski żołnierz z towarzyszką, karliczką, która sięgała mu głową do pasa. Dagerotypista z uśmiechem ustawił parę w najkorzystniejszej pozycji, zajął miejsce za swoim pudłem na wysokich nóżkach i przykrył głowę kocem. Podniósł w górę instrument, który błysnął oślepiającym światłem i natychmiast zgasł. Widzowie na sekundę wstrzymali oddech, a kiedy przestali mrugać zobaczyli, jak dagerotypista dziękuje żołnierzowi i karlicy i nerwowo rozgląda się dookoła w poszukiwaniu następnych ochotników.

Esko skulił się ze strachu, że mężczyzna bez trudu wyłowi ze stada najslabszą owieczkę i spadnie na niego niczym jastrząb. Nie mylił się. Dagerotypista uśmiechnął się i postąpił naprzód, wskazując go wyciągniętym ramieniem.

– Oto młody człowiek, który wydaje się mieć ochotę na tę

przygodę – oznajmił, a wszyscy obecni zgodnie zwrócili się ku Esko, śmiejąc się wesoło i trącając się łokciami. – Podejdź bliżej, młodzieńcze – polecił mężczyzna i zanim Esko zorientował się, co się dzieje, już czyjeś ręce popychały go w stronę aparatu. – Chodź, chodź, nie wstydź się.

Na ucieczkę było za późno. Esko rozejrzał się rozpaczliwie w nadziei, że może jakimś cudem jeden z tancerzy zostawił kaptur, który on mógłby chwycić i naciągnąć na głowę, ale nie, na ziemi nie leżało nic, co nadawałoby się do tego celu. Wyprostował się więc, poprawił sztywne klapy marynarki i zwrócił się twarzą do tłumu. Nagle odniósł wrażenie, że światło w namiocie stało się okropnie jasne i przejrzyste, zaczął się też zastanawiać, kiedy u wejścia ujrzy krostowatą twarz syna Bongmana, którego pojawienie się dopełniłoby jego upokorzenia.

Stało się jednak coś dziwnego i syn Bongmana nie pokazał się w namiocie. Dagerotypista, na którego obrzęklej, brodatej twarzy malował się szeroki uśmiech, rozstawił trochę szerzej nogi chłopca i ujmując go za podbródek odwrócił twarz Esko najpierw w lewą stronę, a potem w prawą. Zgromadzeni w namiocie obserwowali to wszystko bez cienia pogardy czy rozbawienia, za to z wyraźną fascynacją, zabarwioną lękiem i podziwem. Urządzenie, które trzymał w ręku dagerotypista, wydało odgłos podobny do wystrzału, i zdrowe oko Esko oślepiło na chwilę, jakby spalona siarka wchłonęła całe światło.

Po wyjściu na zewnątrz Esko spostrzegł, że niebo mocno już pociemniało i piękne popołudnie stało się pięknym wieczorem. Wschodzący księżyc przecinała na pół długa, cienka linia szkarłatnej chmurki. Powietrze wypełniał zapach dojrzałych czarnych porzeczek i nagranych słońcem brzoź. Parobcy wracali z pola po całym dniu pracy. Między straganami robiło się coraz ludniej i Esko musiał teraz przepychać się między nogami dorosłych. Tu jakaś kobieta sprzedawała garnki z czerwonej gliny, tam łysy mężczyzna pokazywał lalki na patykach, trochę dalej szklankami świeżego mleka z sokiem truskawkowym zastawiono duży stół, a jeszcze parę kroków dalej jakiś człowiek z Kuopio szkicował portrety za markę od sztuki. Esko stał parę chwil za

sztalugami rysownika i przyglądał się, jak pracuje. Po synu Bongmana nie było nigdzie śladu.

Przy wejściu do największego namiotu stał staruszek o czerwonej twarzy, z białymi bokobrodami. Ludzie podążali w jego stronę, uśmiechnięci i rozgadani, i Esko zrozumiał z ich słów, że w namiocie tym mają się wkrótce rozpocząć tańce. Stary człowiek był niski, ubrany w długi czarny płaszcz i tak zadowolony z siebie, jakby sam pretendował do miana najlepszego tancerza świata.

– Umiem tańczyć – powiedział Esko, podchodząc bliżej. – Moja matka mnie nauczyła. Często tańczyliśmy razem w kuchni.

Przepełniony dziwną pewnością siebie, uśmiechnął się do staruszka i wszedł do udekorowanego gałązkami i sadzonkami drzew namiotu, który pachniał lasem. Było tam też mroczno jak w lesie, ponieważ jedyne źródło światła stanowiła olejowa lampka, zawieszona u sufitu. Wkrótce lampka zaczęła się poruszać i kołysać w rytm przytupywania kilkudziesięciu stóp i Esko przeciskał się teraz wśród niebezpiecznie rozbrykanych buciorów i pantofli. Gorące, duszne wnętrze namiotu rozbrzmiewało niewyraźnymi, podniesionymi głosami. Mężczyźni podnosili w tańcu kobiety wysoko w górę, a kiedy któreś z partnerów się zmęczyło, obydwójce siadali na podłodze, pili i rozmawiali, podczas gdy inni dalej wirowali wokół nich. Pod ścianą naprzeciwko wejścia Esko dostrzegł muzyków – pianistę, niewidomego mężczyznę grającego na flecie oraz kobietę i mężczyznę ze skrzypcami, przytupujących z zapalem i podśpiewujących.

Tłum rozstał się na chwilę i środkiem namiotu przeszła uśmiechnięta dziewczynka z zawieszonym u przegubu dłoni małym lusterkiem. Dwaj chłopcy zastąpili jej drogę, próbując zaprosić ją do tańca, lecz ona podniosła lusterko i zbliżyła je do twarzy najpierw jednego, a potem drugiego, jakby odganiała złe duchy. Zapatrzony w nią Esko uświadomił sobie nagle, że jej uśmiech jest pełen dumy i pewności siebie, raczej wyniosły niż przyjazny. Chłopcy cofnęli się i zniknęli w tłumie, a mocno bijące w piersi Esko serce zamarło na sekundę, gdy zauważył, w którą stronę kieruje się spojrzenie dziewczynki. Jej zaplecione

w warkocz gęste włosy opadały do połowy pleców, ubrana była w sukienkę z czarnego aksamitu, której jedyną ozdobę stanowił krótki sznurek pereł na szyi, a szarozielone oczy miały trochę złośliwy, a trochę wyzywający wyraz. Uśmiechała się do Esko tak, jak cesarzowa uśmiecha się do jednego ze swoich poddanych, w każdym razie takie odniósł wrażenie. Był przekonany, że pokaże mu lusterko, ale nie uczyniła tego.

– Co stało się z twoją twarzą? – zapytała czystym głosem, którego brzmienie Esko miał zapamiętać do końca swoich dni.

– To po poparzeniu – rzekł. – Dlaczego mówisz po szwedzku? Nie znasz fińskiego?

Dopiero wtedy, gdy usłyszał wyraźnie wypowiedziane przez siebie słowa, poczuł, jak na jego policzki wypełza ciemny rumieniec.

– Fiński to prymitywny język prostaków, ale oczywiście go znam – odparła dumnie. Jej warkocz przypominał miękki sznur, który kołysał się przy każdym poruszeniu ciała. – Umiem mówić po szwedzku, rosyjsku, niemiecku i angielsku. – Wyliczała swoje atuty na palcach lewej dłoni. – Właśnie wróciliśmy z Paryża. Osłuchałam się też z francuskim, chociaż na ulicach ludzie mówią wieloma językami. Na Boulevard du Temple urządzają tam jarmark, który trwa całymi dniami, nie tak jak ta marnota. Występują sztukmistrze, akrobaci, zonglerzy, tresowane pchły i pies, który potrafi śpiewać. I jeszcze słonie i tygrysy! Żebracy z małpkami na ramieniu i mężczyźni przebrani za Turków, którzy sprzedają tak cudowne słodycze, że ich zapach można wyczuć z odległości kilometra! Paryż to jest coś! Ale ulice wcale nie są wybrukowane złotem, to tylko taka głupia opowiadka. A może ty w nią wierzysz, co? Na pewno myślisz, że pieniądze można tam zbierać wprost z chodników, jak liście, które opadły z drzew.

– Wcale tak nie uważam – powiedział Esko, myśląc gorączkowo, z czym właściwie kojarzy mu się stolica Francji. Paryż... Matka opowiadała mu o Paryżu i o żyjących tam poetach i malarzach. – Moja mama była kiedyś w Paryżu.

– Doprawdy? – rzuciła dziewczynka ze znużeniem i lekko

wzruszyła ramionami. Jedwabisty sznur warkocza muskał białą skórę karku. – Tańczysz?

– Mówisz do mnie?

– A do kogo miałabym mówić? – odpowiedziała i spojrzała na niego roześmianymi, taksującymi oczyma.

– Tak, tańczę.

– Więc chodź – rzekła, podnosząc ramiona. – To miejsce jest takie zabawne i ubogie... Dlaczego tu mieszkasz? I dlaczego ubrałeś się w ten sztywny, nowy garnitur? Nie wiesz, że nie należy wkładać rzeczy, które wyglądają na zupełnie nowe?

Esko uznał, że nie musi odpowiadać na te pytania. Wziął ją za rękę i wpatrując się w swoje stopy, uświadomił sobie, że nie pamięta kroków ani jednego z tańców, których uczyła go matka. W głowie mu szumiało i miał wrażenie, że jego udreńczony wysiłkiem mózg lada chwila eksploduje, więc w końcu zamknął oko i na ślepo zrobił zdecydowany krok lewą nogą. Dziewczyna nie miała innego wyboru, jak tylko ruszyć z miejsca razem z nim, ponieważ trzymał ją mocno w ramionach.

– Ta skrzypaczka naprawdę gra zupełnie nieźle, nie sądzisz?

Esko był pełen podziwu, ponieważ jego nowa znajoma mówiła jak osoba dorosła, ktoś, kto zwiedził i poznał świat, i gorączkowo się zastanawiał, co zrobić, aby wyrzeć na niej wrażenie bardziej dojrzałego, ale na razie był zbyt zajęty obserwowaniem własnych stóp. Modlił się, aby nie kopnąć ją w kostkę lub nie nadepnąć na palce, i przywoływał wspomnienie letnich wieczorów, kiedy razem z matką tańczył na podwórku starego domu, tego, który spłonął podczas pożaru. Z tym obrazem pod powiekami starał się tańczyć jak najlepiej, lepiej niż dobrze.

– Czy bardzo bolało, kiedy ogień poparzył ci twarz? – zapytała.

Podniósł wzrok i przez chwilę patrzył na nią w skupieniu. Jej twarz o regularnych, tchnących spokojem rysach przesuwiała się na tle pozbawionych ostrych konturów postaci muzykantów, i Esko miał wrażenie, że oni obydwójce stoją w miejscu. A przecież poruszali się, wirowali w tańcu, stopy Esko galopowały, uderzając o przyciętą trawę, a miękkie włosy dziewczynki muskały jego palce.

– Tak – powiedział. – Bolało.

Oślepię oko zaczęło go swędzić.

– Myślisz, że doznasz jeszcze kiedyś takiego bólu?

– Nie wiem. Nie sędzę.

Muzyka ucichła, więc zatrzymali się przed wejściem do namiotu. Na ciemnym niebie wisiał jasny księżyc, z zewnątrz napłynął zapach ciepłej nocy.

– Czy ja mogłabym cię tak bardzo zranić?

– Nie.

Wymierzyła mu mocny policzek.

– A teraz? Co myślisz teraz?

– Myślę, że jesteś wyjątkowo złą osobą – rzekł, bo z trudem zdołał utrzymać się na nogach.

Słyszał, jak dookoła niego chłopci śmieją się głośno. Ktoś zażartował, że małżeńskie szczęście zaczyna się bardzo wcześnie.

– Nie masz racji – odparła.

Chwyciła jego dłonie i z czułością pocałowała najpierw jedną, potem drugą.

– Jesteś bardzo silny, prawda? – powiedziała cicho. – Ale człowieka zranić można na wiele sposobów. Zatańczysz ze mną jeszcze raz?

Skrzypce jęknęły i zaniósł się śpiewną melodią, melancholijnym wezwaniem do tańca. Esko znowu wziął dziewczynę w ramiona. Jedną jego ręką otaczała jej talię, druga dotykała włosów i pleców. Zrobili pierwszy krok, przystanęli na ułamek sekundy i zawিrowali.

Tłum dość szybko się przeredził. Wysokie tony muzyki brzmiały teraz głośniejsz, a lampa przestała tak gwałtownie kołysać się nad głowami tancerzy. Ostro rysujące się na ścianie namiotu cienie sunęły za nimi dostojnie, ziemia zaś nie drżała już tak, jakby obawiała się stu uderzających w nią rytmicznie stóp. Esko miał wrażenie, że unosi się w powietrzu, chociaż wcale nie był pewny, czy czuje ogromne szczęście, czy też silny ucisk wokół serca, który wkrótce pozbawi go życia.

Nagle muzyka umilkła. Mężczyzna tańczący w parze tuż

przed nimi, ubrany w watowaną, wytłuszczoną kurtkę, wziął swą partnerkę za rękę i wyszedł z nią z namiotu.

– Dokąd oni idą? – zdziwiła się dziewczynka. – Nie wiedzą, że zabawa jeszcze się nie skończyła? Cóż to za dziwaczne i zabawne miejsce... – Rozejrzała się dookoła i nagle jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech. – Tatusiu! – zawołała i pofrunęła prosto w objęcia stojącego u wejścia do namiotu człowieka.

Był to przystojny, gładko ogolony, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna w eleganckim popielatym garniturze. Esko z przerażeniem ujrzał, że towarzyszy mu Kalliokoski. Od razu zauważył też coś jeszcze – mieszkańcy wioski, którzy jeszcze przed chwilą tańczyli, teraz dużymi grupami opuszczali namiot, skinieniem głowy lub uniesieniem kapelusza pozdrawiając Kalliokoskiego, natomiast całkowicie i wyraźnie celowo ignorując ojca jego nowej znajomej. Kilku chłopów splunęło nawet na ziemię i szybko odwróciło głowy w drugą stronę. Muzykanci spakowali instrumenty i wymknęli się drugim wyjściem. Wkrótce Esko spostrzegł, że w namiocie nie ma już nikogo poza nim. Postanowił zmobilizować całą odwagę i ruszył w kierunku dwóch mężczyzn i dziewczynki, z podniesioną głową, jak nauczyła go matka, choć skromnie splótł ręce za plecami.

– Jakie szpetne dziecko! – odezwał się ojciec dziewczyny. Mówił po szwedzku, ostrym, pełnym niechęci tonem. – Właśnie o tym przed chwilą mówiłem, Kalliokoski. Nie ulega wątpliwości, że w tych wiejskich, zabitych deskami zakątkach nie brak jeszcze bardziej ohydnych deformacji. I nie ma w tym nic romantycznego, nie może to być inspiracją dla wiersza czy symfonii. To wola boska, nic więcej. Powinniśmy zadbać, aby wszystkie te nieszczęsne fińskie dzieci znalazły się pod opieką cara, który chętnie osłoni je wielkim parasolem swej cesarskiej łaskawości.

Mężczyzna roześmiał się, zadowolony z poetyckiej przenośni.

– Rozumiesz mnie chyba, mój Kalliokoski? A przy okazji, kim jest ten chłopak? Ma ojca?

Na twarzy przybysza malowała się odraza i głęboki niesmak, zupełnie jakby Bóg postawił przed nim obrzydliwą postać tylko

po to, aby wywołać w nim te odczucia. Po chwili Esko ujrzał, jak paskudny uśmiezek nieznajomego gaśnie. Chłopcu przyszło do głowy, że być może mężczyzna dziwi się, dlaczego Wszehmocny nie okazał się na tyle domyślny, by pospiesznie usunąć brzydotę sprzed jego oczu.

Dziewczynka wspięła się na palce i szeptem odezwała się po rosyjsku do ojca. Esko wyraźnie słyszał jej słowa.

– To mój przyjaciel, ojciec. Ma poparzoną twarz, ale wcale nie zdeformowaną.

Mężczyzna uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Doprawdy, Katerino, czyżbyś znała to stworzenie? Widzę, że nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać.

– Nazywa się...

– Nazywam się Esko Vaananen – przemówił Esko po rosyjsku.

– Znasz rosyjski? – zapytała ze zdziwieniem Katerina.

– Trochę.

– Coś takiego! – Ojciec dziewczynki lekko unióśł brwi.

– Tańczyliśmy – dodała Katerina.

– Coś takiego! – powtórzył jej ojciec. – Nieprawdopodobne! Tutaj, w tym miejscu? Zupełnie niezwykle! Znasz tego chłopaka, Kalliokoski?

– Tak – odrzekł niepewnie pastor. – To sierota. Sam podjąłem się opieki nad nim i dbam o jego wykształcenie. Pozory świadczą być może przeciwko niemu, ale to bardzo inteligentne, wrażliwe dziecko.

– Wprost nie do wiary! Wobec tego i ja muszę go poznać, nie chcę znaleźć się poza kręgiem przyjaciół tak niezwyklego chłopca!

Mężczyzna wyciągnął rękę i Esko zrozumiał, że powinien uścisnąć jego dłoń, witając się z nieznajomym w angielskim stylu. Uczynił to i natychmiast poczuł, jak palce tamtego mocno, nieco zbyt mocno obejmują jego rękę. Pojął też, że ojciec Kateriny patrzy teraz na niego w zupełnie inny sposób, nadal zimno, lecz z absolutną otwartością, jakby jego spojrzenie było sztyletem, które może przeniknąć do samego środka umysłu świeżo poznanej osoby. Esko pragnął uniknąć ukłucia tym sztyletem.

– Jestem Stiepan Małyszew – powiedział mężczyzna. – Miło mi cię poznać.

5

Przemykające po niebie chmury zasłoniły księżyc, a mroźny wiatr od jeziora rozkołysał gałęzie drzew. Większość straganów była już nieczynna i ludzie szli gromadą w kierunku skraju łąki, gdzie między namiotem i przecinającą wioskę drogą zaczęły się jakieś występy. Esko włożył ręce do kieszeni i kopnął mały kamyczek. Buty obcierają mi nogi i jestem bardzo zmęczony, pomyślał, więc dlaczego czuję się taki szczęśliwy? Ale dobrze wiedział, dlaczego. Wyciągnął z kieszeni małe lusterko, które dała mu Katerina.

– Jest czarodziejskie – powiedziała. – Jeżeli będziesz patrzył w nie wystarczająco długo, pokaże ci, kim naprawdę jesteś.

To było to samo lusterko, które miała zawieszona u przegubu, to samo, które podsunęła pod oczy dwóm chłopcom. Było tak małe, że z łatwością mieściło się w dłoni. Chłopiec delikatnie pogładził palcami wyrzeźbione w srebrze grube fale, które otaczały i osłaniały szkiełko. Był to wspaniały podarunek.

Słyszając podniesione głosy, Esko ostrożnie włożył lusterko do kieszeni i wtopił się w tłum, aby sprawdzić, co się dzieje. Okazało się, że niezwykle, pełen cudów wieczór wcale się jeszcze nie skończył. Środkiem drogi jechał samochód, zdaje się, że pierwszy, jaki widziano w okolicy Pyhajarvi. Wprawdzie pogłoski o tych niesamowitych maszynach dotarły już do uszu większości chłopów, lecz prawie wszyscy zbywali je machnięciem ręki, jako zupełnie niewiarygodne i wysane z palca.

– Powóz bez koni? Znowu próbują zrobić z nas głupków – powiedział kiedyś grabarz Turkkila.

Teraz jednak mieli przed sobą dowód, że niebezpieczny nowy wiek rzeczywiście się rozpoczął. Błyszczący, wypolerowany, kanciasty i niezaprzeczalnie bardzo drogi samochód z wielkimi, na razie niezapalonymi reflektorami i wysuniętym do przodu, ciężkim pyskiem sunął powoli, sprawiając wrażenie, że odziany

w czarny uniform i gogle szofer ma nie tylko kierować ruchami tej dziwnej bestii, ale także pilnować, by nie ożyła niespodziewanie i nie połknęła tych, którzy ośmielili się przystanąć zbyt blisko jej masywnego cielska. Chłopi rozsądnie trzymali się z daleka, przyciszonymi głosami komentując zapach świeżo wyprawionej, drogiej skóry na fotelach, piętrzące się z tyłu kufry, być może wypełnione skarbami, oraz dodatkową parę lamp, które wznosiły się znad obudowy kół niczym chromowane kwiaty na krótkich, potężnych łądogach.

Esko nie miał cienia wątpliwości, że automobil należy do ojca Kateriny, szofer jest jego pracownikiem, przyjechali do Pyhajarvi z bardzo daleka i wkrótce odjadą. Przez głowę przemknęła mu szalona myśl, że mógłby porwać Katerinę i uwięzić ją w dal, mógłby wskoczyć do automobilu i stanąć za kierownicą, ona usiadłaby obok niego lub z tyłu, oparta o skórzane poduszki. Sądził, że chociaż go spoliczkowała, to z pewnością by nie protestowała, bo przecież później tańczyła z nim, pocałowała go i broniła przed ojcem. I dała mu lusterko. Może mnie kocha, pomyślał. Sam czuł, że kocha ją z całego serca i nigdy nie pokocha żadnej innej dziewczyny. Serce go bolało, a policzki płonęły ze wstydu, kiedy myślał o szorstkim, obraźliwym zachowaniu wieśniaków, które musiało sprawić ogromną przykrość jego ukochanej.

Szofer w czerni ze zniecierpliwieniem poprawił gogle, potem zaś zeskoczył na ziemię, przykucnął przed groźnie uśmiechniętym pyskiem maszyny i rozpoczął następną część pokazu. Chwycił korbę, oparł się na niej całym ciężarem i zakręcił z rozmachem. Silnik ożył i zamruczał głośno, szofer pospiesznie skoczył za kierownicę, aby nie stracić kontroli nad stalowym potworem. Z reflektorów chlusnęły promienie światła, tnąc i rozpraszając ciemności. Chłopi wstrzymali oddech. Grabarz Turkila, który znalazł się w blasku lamp, zasłonił oczy, zawył rozpaczliwie i zemdłał. Automobil zadrżał i zawibrował, dysząc i sapiąc jak rozwścieczone zwierzę.

Ciche gwizdy i pogardliwe okrzyki, które nagle rozległy się dookoła, uświadomiły Esko, że przy samochodzie pojawił się Stiepan Małyszew. Oznaczało to, że Katerina również znajduje

się w pobliżu. Chłopek zaczął się przepychać przez tłum, zastanawiając się, dlaczego chłopci, zazwyczaj zobojeźni na wszystko z wyjątkiem wódki, otwarcie okazali nienawiść Małyszewowi. Nie ulegało wątpliwości, że ojciec Kateriny musi być jakimś dygnitarzem, a może wręcz szpiegiem.

Nagle Esko znalazł się w samym środku sieci oślepiającego blasku, podobnie jak przed chwilą Turkkila. Wokół głowy wirowały ćmy, muskając skrzydłami jego policzki. Esko podniósł rękę i osłonił nią oczy.

– Katerina! – krzyknął.

Właśnie wtedy wydarzyło się coś dziwnego, czego Esko nie mógł pojąć, a w ciągu następnych lat uczucie to jeszcze się w nim umocniło. Gdy odwrócił oczy od straszliwej jasności, szukając ukojenia w mrocznym lesie i widocznym w dali jeziorze, miał wrażenie, że usłyszał głos Kateriny, cichy, lecz wyraźny: „Przejeźdź tego chłopca”. W tej samej chwili ziemia pod jego stopami zadygotała, mocne uderzenie zbiło go z nóg, runął w ciemność i wylądował na ziemi, z twarzą w pyłe, przygnieciony czymś ciężkim. Kiedy się poderwał, usiłując odzyskać oddech, zorientował się, że tym, który go przewrócił, musiał być najwyraźniej syn Bongmana, bo stał teraz na skraju łąki, rozprostowując stawy palców dłoni i uśmiechając się dziwnie.

– Człowiek z Blizną upaprał sobie nowe ubranko – oświadczył syn Bongmana. – Jego bogaci kumple próbowali go przejechać.

– Kłamiesz!

Syn Bongmana, który przed chwilą przewrócił Esko, aby uratować mu życie, teraz zrobił to jeszcze raz, z czystej wściekłości. Esko znowu znalazł się na ziemi, tym razem na plecach. Syn Bongmana usiadł mu na piersi i wymierzył kilka niezbyt silnych ciosów w twarz.

– Nie znasz się na żartach i nawet nie próbujesz walczyć – powiedział. – Chcesz się pobawić?

– Raczej nie – odparł Esko.

– Nie ma z ciebie żadnego pożytku – rzekł syn Bongmana z głębokim niesmakiem.

– Co się tu dzieje? – rozległ się nagle ostry, władczy głos Kalliokoskiego. – Esko, czy ten chłopiec ci dokucza?

– Nie – odparł Esko, wypluwając cienką strużkę krwi.

– Wobec tego dlaczego siedzi ci na piersi, jeśli mogę zapytać?

Dookoła nich zgromadziło się kilku chłopów, na których użytek grabarz Turkkila odtworzył swoją wersję wydarzeń. W umyśle Turkkili incydent z samochodem przerodził się już w całą skomplikowaną historię. Grabarz opowiedział słuchaczom o piekielnej, nowoczesnej maszynie, oślepiających światłach, obleczonym w czerń woźnicy niezwykłego pojazdu, który z całą pewnością był sługą szatana, skoro i sam Zły we własnej osobie pojawił się w wiosce, w towarzystwie dziewczynki tak ślicznej, że nie mogła być córką człowieka, ale diabła. Tak więc szatan i jego córka w swojej ryczącej maszynie ruszyli w drogę, nie zważając, czy przejadą niewinnego chłopca, czy nie. I wtedy nagle, w cudowny, niemożliwy do wytłumaczenia sposób, u boku Esko wyrósł jak spod ziemi syn Bongmana i uratował ze szponów szatana nie tylko Esko Vaananena, ale być może i całą wioskę.

– Przestań gadać bzdury – powiedział Kalliokoski, energicznym machnięciem dłoni przeganiając Turkkilę i kilku innych podpitych chłopów.

Odeszli niechętnie, a ich podekscytowane głosy długo jeszcze dobiegały spomiędzy sosen. Kalliokoski ściągnął syna Bongmana z piersi Esko, zdzielił go w ucho i kazał mu się wynosić.

– Ten chłopak źle skończy – mruknął pastor, pomagając swemu podopiecznemu wstać. – Och, Esko, spójrz tylko, jak wygląda twoje ubranie!

Nowiutki tweedowy garniturek Esko nie był już nieskalanie elegancki. Rozdarte na obu kolanach spodnie były brudne, marynarka podobnie, a czapka gdzieś się zapodziała. Esko splunął krwią.

Kalliokoski westchnął, raczej rozczarowany niż zły.

– Co za wieczór! – powiedział, kręcąc głową.

Esko wbił wzrok w nowe, za ciasne buty, teraz poplamione trawą. Buty do tańca, pomyślał z uśmiechem.

– Możesz płakać, jeśli chcesz. Chce ci się płakać?

Esko potrzęsnał głową, chociaż w gruncie rzeczy łyzy paliły go pod powiekami. Kalliokoski lekko dotknął jego włosów.

– Esko, ja wiem, jak to jest, kiedy dowiadujesz się, że nigdy nie dostaniesz czegoś, czego bardzo pragniesz. To smutne, ale takie jest życie. Chodźmy do domu.

– Pójdę sam.

– Twoja matka też wolala chodzić sama. To niedobrze, człowiek nie powinien być samotny.

Esko podniósł oczy, lecz zatrzymał spojrzenie na wysokości błyszczącego złotego łańcuszka od zegarka, zwisającego na płaskim, twardym brzuchu Kalliokoskiego. Dłoń chłopca powędrowała do ukrytego w kieszeni lusterka. Było bezpieczne.

– No, dobrze, Esko – powiedział Kalliokoski zrezygnowanym tonem. – Możesz iść sam, ale zaraz wracaj do domu, dobrze?

Esko był zirytowany, złościło go, że Kalliokoski używa sformułowania „do domu”, zupełnie jakby nie wiedział, że on od dawna nie ma domu. Chciał powiedzieć mu o tym, ale bez słowa odwrócił się na pięcie i pobiegł przez łąkę, na której środku czterech ponurych Cyganów niespiesznie składało wielki namiot. Chłopiec zanurzył się w ciszę lasu i wkrótce dotarł do jeziora.

Stanął na mokrym piasku i wciągnął w nozdrza przyjemnie ostry zapach trzcin. Obserwował, jak drobne czarne fale marszczą pozbawioną wyrazu powierzchnię wody, potem zaś wszedł na krótki drewniany pomost, położył się na nim na brzuchu i spojrzał w ciemną głębię, szumiącą cicho w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego twarzy. Myślał o dziewczynce, którą poznał, o jej włosach, talii, wargach, zapachu jej skóry. Przywołał w myśli chwilę, kiedy automobil ruszył na niego. Katerina wcale nie powiedziała: „Przejdź go”. Był teraz pewien, że jej słowa brzmiały: „Uważaj, bo go przejedziesz”. Próbowwała ostrzec szofera i powstrzymać go, nic więcej. Uśmiechnął się, zbliżając lusterko do powierzchni wody. W domu na przeciwległym brzegu zapaliło się światło. Jego promień zachybotał na falach. Esko podniósł lusterko, aby schwytać w nie blask.

Chmury całkowicie zakryły oko księżycy i znad jeziora zaczęła podnosić się mgła. Brzozy stały w długim szeregu, białe

i nieruchome jak duchy. Chłopiec zerwał się i pobiegł w kierunku plebanii, wstrzymując oddech, rzucając wyzwanie duchom i jednocześnie drżąc ze strachu, czy jakaś biała, zwiewna postać nie stanie mu na drodze. Nagle w jego sercu zrodziła się niezachwiana pewność, że pewnego dnia zdobędzie i poślubi Katerinę, jak kiedyś ojciec zdobył i poślubił matkę, będą mieli dzieci i będą żyć długo i szczęśliwie. Dopiero po chwili przypomniał sobie o swojej naznaczonej ogniem twarzy i znowu wpadł w rozpacz. Nie wiedział, w jaki sposób mógłby, kiedykolwiek poprawić wygląd swojej twarzy na tyle, aby zasłużyć na istotę tak bezgranicznie piękną jak Katerina.

6

Lato złamało daną ziemi obietnicę. Jezioro poszarzało, strasząc ludzi widmem lodu. Śnieg, pierwszy zwiastun zimy, pojawił się pewnego dnia, jak zawsze nieoczekiwanie. W szarym świetle dnia zamigotały duże, grube płatki, nieprawdopodobnie białe i miękkie, niechętnie opuszczające bezpieczne schronienie nieba. Ta piękna, niesamowita scena zapowiadała długie miesiące zimna i ciemności. Esko stał przy oknie w swoim pokoju i wpatrywał się w powoli opadające białe gwiazdki. Nagle panującą w domu ciszę przerwało pukanie do drzwi, w progu stanął Kalliokoski, wnosząc ze sobą świeży powiew chłodu i zapach śniegu.

– Dzień dobry, Esko – powiedział i skinął głową, usiłując zapanować na wyraźnym podnieceniu. Jego broda i włosy lśniły od topniejących płatków śniegu. – Przykro mi, chłopcze, ale muszę zadać ci nieprzyjemne pytanie. Czy widziałeś ostatnio swego ojca?

Esko odetchnął z ulgą, ponieważ na szczęście nie musiał kłamać. Mimo tego zaczerwienił się ze wstydu. Oczodół jego oślepego oka zapiekł go nagle, jakby ktoś przypalił skórę zapałką.

– Nie – odparł.

– To dobrze – rzekł Kalliokoski. Usiadł na brzegu łóżka,

westchnął i zaczął nerwowo rozgarniać włosy porządnie przyciętej bródki. – Naprawdę wolałbym ci o tym nie mówić, ale w Runni wydarzyło się coś strasznego.

– W Runni? – powtórzył Esko. Nagle przestraszył się, ponieważ przyszło mu do głowy, że może ojciec nie żyje i ktoś znalazł jego zwłoki.

Skąd jednak Timo mógłby się znaleźć w Runni, ulubionym uzdrowisku bogatych Szwedów i Rosjan?

Kalliokoski odchrząknął.

– Esko, pamiętasz tamten wieczór, kiedy w Pyhajarvi odbywały się dożynki? Pamiętasz jarmark?

Esko ostrożnie skinął głową.

– Pamiętasz Rosjanina, którego wtedy poznałeś? Tego, który przyjechał do wioski samochodem i wobec którego wieśniacy tak nieuprzejmie się zachowywali?

– Był z córką – odezwał się Esko. – Miała na imię Katerina i była bardzo piękna...

– Właśnie. Wiesz chyba, że był to nowy gubernator naszej prowincji, mianowany przez samego cara?

Esko potrząsnął głową. Nie miał pojęcia, że Stiepan Małyszew był nowym gubernatorem Finlandii.

– Trzy dni temu gubernator przebywał właśnie w Runni, kiedy jakiś mężczyzna wtargnął do jego pokoju i usiłował go zastrzelić. Małyszew zdawał sobie sprawę, że jego nominacja nie jest powodem do radości dla wielu Finów, dlatego sypiał więc z rewolwerem pod poduszką, w każdej chwili gotów się bronić. Zamachowiec zranił go w ramię, lecz gubernator się przechwala, że on także go postrzelił.

– A co z Kateriną? – zapytał niespokojnie Esko.

– Z Kateriną? A, chodzi ci o córkę gubernatora. Spała w innym pokoju na tym samym piętrze. Nic jej się nie stało.

– Więc co? – Esko bezskutecznie próbował zrozumieć, dlaczego Kalliokoski mówi mu o tym wszystkim.

Pastor wstał, podszedł do okna i ujął chłopca za ramiona, zbliżając twarz do jego twarzy. Esko wyraźnie widział krótkie czarne i siwe włosy zarostu na policzkach i zaróżowioną skórę na czubku nosa.

– Widzisz, Esko, władze zadają sobie pytanie, czy w zamach nie jest zamieszany twój ojciec.

– Mój ojciec?

– Dlatego jest niezwykle ważne, abyś mi powiedział, jeśli spróbuje się z tobą skontaktować. Należy to wyjaśnić, bo w przeciwnym razie będę miał poważne kłopoty, zresztą ty także. Rozumiesz, co mówię, Esko?

Chłopiec kiwnął głową.

– Mam nadzieję, że rzeczywiście to rozumiesz – westchnął Kalliokoski.

Wyprostował się i zdjął dłonie z ramion Esko. Jego spojrzenie spoczęło na obrazie, który wisiał na ścianie nad łóżkiem. Był to obraz namalowany przez matkę Esko, jeden z niewielu, które udało się ocalić z pożaru i jedyny, jaki posiadał Esko. Przedstawiał jezioro o świcie – spokojny, niebieski bezmiar wód i bezkresne, pełne dziwnego oczekiwania niebo.

– Byłem z nią, kiedy to malowała – Kalliokoski zakasłał i pochylił głowę. – Zawsze bardzo ją podziwiałem i czasami myślę, że byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że się tobą opiekuję. Była dobrą kobietą. Wierzę, że chciałaby, abyś o wszystkim mi mówił. Nie będziesz niczego przede mną ukrywał, prawda, Esko?

Kiedy Kalliokoski odszedł, Esko usiadł przy skleconym z dwóch desek biurku i próbował coś narysować, ale oko bolało go coraz bardziej i w ogóle nie mógł się skoncentrować, więc w końcu odłożył ołówek i cicho zszedł na dół. Mijał drzwi gabinetu, kiedy z wewnątrz dobiegł go głos pastora. Kalliokoski rozmawiał przez telefon. Najpierw poprosił o połączenie z jakimś numerem, potem zaś wdał się w urywaną rozmowę. Esko przywarł do ściany i dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że rozmówcą pastora może być ojciec Kateriny.

– Tak... Tak... – mówił pastor. – Hotel w Runni, tak... Dzień dobry, mam nadzieję, że dobrze się pan czuje... Tak, właśnie tak, nie inaczej... Vaananen? Może, nie wiem... Tak, całkowicie się zgadzam... Nie, w żadnym razie... Wydaje mi się, że chłopiec nic nie wie... Tak, tak, oczywiście, Vaananen musi zostać schwytany i postawiony przed sądem... Naturalnie... Niewątpliwie,

tak... Tak jest, z pewnością zostanie pojmany... Car domaga się tego procesu, rozumiem... Oczywiście... Jesteśmy w tej kwestii absolutnie zgodni...

Esko nie chciał słyszeć ani słowa więcej. Jak złodziej przemknął przez korytarz, jadalnię i kuchnię, wymijając po drodze kolejne zegary. Był przekonany, że na ganku zastanie żandarma, rosyjskiego żołnierza, agenta carskiej policji, a być może wszystkich trzech naraz, gotowych zakuć go w kajdanki, lecz na zewnątrz nie było nikogo.

Minał tydzień, w czasie którego coraz gęściej padający śnieg wypełnił wnętrza łodzi wyciągniętych na brzeg jeziora i zupełnie przykrył stromy dach plebanii. Esko szedł zaśnieżoną drogą w kierunku domu, kiedy niespodziewanie spomiędzy grobów po prawej stronie kościoła podniósł się jakiś mężczyzna.

– Psst! Esko, podejdź tutaj!

Było to bardzo chłodne popołudnie, na dworze zapadała już ciemność, płatki śniegu utrudniały widzenie, więc w pierwszej chwili Esko nie poznał ubranego w czarne palto mężczyzny, z którego ust wydobywały się obłoczki pary.

– Nie bój się, chłopcze, nie uciekaj, to ja...

Esko zbliżył się, usiłując dojrzeć twarz mężczyzny w gęstniejącym mroku, nie wierząc własnym oczom i uszom.

– Chodź tutaj, synu, niech ci się przyjrzę. Chodź, chodź, szybko. Tylko bądź cicho, nikt nie może się dowiedzieć, że tu jestem.

– Tato, to naprawdę ty?

– Oczywiście. Mów ciszej, chłopcze.

Esko stanął naprzeciw ukrytego w cieniu Timo. Syn i ojciec objęli się mocno, nieco niezgrabnie.

– Cieszę się – rzekł Timo przyciszonym głosem. – Dobrze wyglądasz, Esko. Naprawdę. Masz takie eleganckie ubranie, zupełnie jak jakiś dżentelmen...

– Ty też, ojciec – odparł Esko.

Mówił prawdę. Timo miał na sobie palto z grubej wełny w doskonałym gatunku, szary, gustowny garnitur i dobrze wywoskowane buty. Jego krócej niż zwykle ostrzyżone włosy

błyszczały od brylantyny i pachniały dobrą wodą kolońską. Zachowywał się swobodnie, ze spokojną pewnością siebie.

– Gdzie byłeś przez cały ten czas, tato?

– Zajmowałem się ważnymi sprawami, synu, bardzo ważnymi sprawami. Jak widzisz, nieźle mi się teraz powodzi. Jeżdżę po Finlandii z pewnym znamienitym gościem i chcę, żebyś go poznał. Jest w dzwonnicy. Musimy do niego pójść.

– Co to za człowiek, tato?

Timo ze zniecierpliwieniem zmarszczył brwi, zaraz jednak uśmiechnął się znowu.

– Sam zobaczysz – powiedział.

Między zasypanymi śniegiem grobami ruszyli w stronę furtki przy bocznej ścianie kościoła. Timo otulił się paltem, podniósł kołnierz i pochylił się do ucha Esko.

– Słuchaj, synu, bawię się z tym mężczyzną w pewnego rodzaju grę. On nie wie, że nazywam się Timo Vaananen, ponieważ przedstawiłem mu się jako Ernst Offermans. Nie martw się, nie musisz nic mówić – wystarczy, że nie powiesz nic, co mogłoby mi zaszkodzić. Czy to jasne?

Esko przystanął. Ojciec znowu mówił do niego tonem surowego nauczyciela, zupełnie jakby łąda chwila zamierzał wyrzucić z siebie potok informacji o Ferdynandzie Lassalle’u.

– Nie mam czasu, Esko – rzucił Timo. – Chcesz poznać tego człowieka czy nie? Daję ci słowo honoru, że warto.

Szybko pchnął drzwi do dzwonnicy, które zaskrzypiały przeraźliwie i weszli do środka. Wewnątrz nie było nikogo.

– Jestem tutaj, wyżej! – zawołał ktoś po szwedzku.

– Mogłem się tego domyślić – mruknął Timo, zerkając na wąską drewnianą drabinę, przystawioną do ściany dzwonnicy. – Herr Lazarus! Schodzi pan?

– W żadnym razie – odparł głos. – Tutaj jest wspaniale.

Timo westchnął i przeniósł spojrzenie na syna. W jego niebieskich oczach malowała się nieoczekiwana czułość.

– Esko, bardzo mi zależy, żebyś poznał tego pana. To ważne. Wejdiesz ze mną na górę?

Esko zdał sobie sprawę, że naprawdę cieszy się z powrotu ojca, chociaż jego zmieniony wygląd i zapach w pierwszej

chwili wzbudziły w nim pewien niepokój. Przez głowę przemknęła mu myśl, że wszystko to zapowiada zupełnie nowy rozdział w ich stosunkach, okres, w którym więcej będzie poczucia obcości niż bliskości.

– Oczywiście, ojciec – rzekł, bez wahania podchodząc do drabiny. Pokonywał jeden szczebel za drugim i sam dziwił się, dlaczego ta sytuacja nie napawa go ani odrobiną lęku czy zdenerwowania.

U szczytu drabiny silne ramię objęło go w pól i pociągnęło jeszcze wyżej. Po chwili Esko stanął na własnych nogach i spojrzął w nałaną, szeroką twarz z dużym znamieniem na prawym policzku. Mężczyzna ubrany był w futrzaną czapę i futro lśniące diamencikami topniejącego śniegu.

– A więc to on – odezwał się nieznajomy. – Wydaje mi się, że nasz młody bohater nie skarży się na lęk wysokości. Być może właśnie dlatego tak bardzo lubi maszyny, które wznoszą się prosto w niebo.

Puścił ramię Esko i żartobliwie potargał mu włosy. Na szyi miał szalik z szarego jedwabiu, którego węzeł zdobyła szpilka z dużą perłą. Jego pięści były wielkie jak młoty, a zarys potężnych ramion przywodził na myśl zapaśnika.

– Nazywam się Joseph Lazarus – powiedział. – A ty, jeśli dobrze rozumiem, jesteś tym młodzieńcem, o którym tyle opowiadał mi Herr Offermans. Tym samym, który uważa, że winda musi mieć jakieś znaczenie i przeznaczenie. Herr Otis byłby zachwycony, gdyby mógł cię poznać. Ja też bardzo cieszę się z tej możliwości.

Esko nie był pewien, czy mężczyzna kpi z niego, czy mówi poważnie. Nie przywykł, by dorośli zwracali się do niego jak do równego sobie.

– Winda to naprawdę wspaniały wynalazek – ciągnął Lazarus. – Otis był niezwykłym człowiekiem.

– Znał go pan? – wybuchnął Esko. – Znał pan Elishę Gravesa Otisa?

W ciągu miesięcy po wyjeździe ojca zgromadził sporo informacji o windach, co zasługiwało na tym większe uznanie, że w Pyhajarvi nie było łatwo znaleźć tego rodzaju wiadomości.

Kalliokoski przetłumaczył mu jednak tekst, który znalazł w angielskiej encyklopedii. Wynikało z niego, że po zainstalowaniu wind w budynkach w wielkim amerykańskim mieście o nazwie Chicago nastąpiła seria nieszczęśliwych wypadków. Były one spowodowane nie złym działaniem samych maszyn czy szybów, lecz tym, że serca niektórych pasażerów nie wytrzymały niezwykłego podniecenia, spowodowanego szybkim przemieszczaniem się w górę i w dół. Otis osobiście zagwarantował, że jego wynalazek jest całkowicie bezpieczny. Wziął także udział w specjalnym teście, wchodząc do windy z jajkiem w każdej dłoni i każąc mechanikowi przeciąć kabel urządzenia. Maszyna runęła w dół z wysokości szóstego piętra i miękko osiadła na zamontowanej na dnie szybu poduszce powietrznej. Otis nawet nie drgnął, a skorupki jajek nie pękały.

– Znał pan Otisa?!

– Poznałem go, kiedy byłem w twoim wieku. – Lazarus się uśmiechnął. – Zmarł kilkanaście lat temu, lecz miałem zaszczyt zainstalować wiele jego maszyn.

Zainstalować... Esko był ciekaw, co to słowo właściwie znaczy. Winda z rysunku w „Hufvudstadsbladet” wydawała się dzwonić i zgrzytać w jego głowie, uderzając lekko o szczyt czaszki.

– Ale co to wszystko znaczy? Jakie znaczenie ma winda?

Lazarus odrzucił do tyłu głowę i ryknął śmiechem. Esko poczuł, jak na jego policzki wypełza krwawy rumieniec.

– Nie śmieję się z ciebie, chociaż to twoje słowa są przyczyną mojego rozbawienia – rzekł Lazarus, pocierając duże znamię na policzku. – Jakie znaczenia ma winda? Chyba takie, że ludzie nie muszą już wdrapywać się na setki schodów. Na przykład ta dzwonnica mogłaby zostać wyposażona w windę... Co ja gadam, zeszpecenie takiej konstrukcji byłoby przecież zbrodnią. Jeśli się nie mylę, jest to dzieło Jacoba Rijfsa. Czerwony kolor ścian daje złudzenie, że to goła cegła, prawda? Twarz luterańskiego Boga... Cóż za twardy, niezdolny do kompromisu Bóg... Wierzysz w Boga, chłopcze? Przepraszam, ale nie wiem, jak ci na imię.

– Lauri – rzekł Timo, który także wszedł na platformę. – Nazywa się Lauri.

– Piękne imię – powiedział ciepło Lazarus. – Wierzysz w Boga, Lauri?

Esko spojrział przez otwarty łuk w północnej ścianie wieży. Przed sobą widział zmrożone szronem korony brzoź i jodeł, a w dali przykryte śniegiem łąki. Potrząsnął głową.

– Nic nie szkodzi – rzekł Lazarus. – Znaczy to tylko tyle, że być może nie powinieneś budować kościołów.

– Herr Lazarus będzie budował most w Iisalmi – wtrącił Timo. – Dzięki niemu do Pyhajarvi dotrze kolej i wtedy wszystko zacznie się zmieniać. To będzie jak cud. Naukowy, historyczny, nieunikniony cud...

– Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić, Herr Offermans. Ostatni cud, przy którym pracowałem, o mało nie pozbawił mnie życia. Natomiast prawdziwym cudem jest to, że przeżyłem i mogę o tym opowiadać.

– Co się stało? – zapytał Esko, patrząc na Lazarusa z głębokim podziwem.

– Proszę bardzo, niech mu pan opowie – zachęcił Timo.

– Muszę więc zacząć od tego, że jestem Niemcem.

– My zaś musimy wybaczyć ten drobiazg Herr Lazarusowi – powiedział Timo. – W końcu Karol Marks także był Niemcem. I Beethoven. I Goethe.

– Serdeczne dzięki, Herr Offermans. – Lazarus teatralnie strzelił obcasami. – Widzisz, chłopcze, budowałem dla Kaisera most w Afryce.

– W Afryce! – wykrzyknął Esko, otwierając szeroko usta.

– Tak. Istnieje na świecie takie miejsce, chociaż trudno w to uwierzyć, przebywając dzisiaj w Finlandii – ciągnął Lazarus, otulając się futrem. – Przez pięć lat budowałem most spinający dwa brzegi rzeki. Z tego przez trzydzieści trzy miesiące nękała nas susza, która zabiła wielu ludzi, ja sam ledwo ją przetrwałem. Byłem ciężko chory. Potem zrobiło się jeszcze gorzej.

– Jak to? – szepnął Esko, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

– Po prostu jeszcze gorzej – mruknął Lazarus.

Opowiedział Esko, jak w czasie suszy rzeka była tylko wąskim

strumyczkiem, leniwie płynącym po oślepiająco białym piasku między dwoma wieżami z czerwonej cegły, które wznosiły się coraz wyżej i wyżej na obu brzegach.

– Tubylcy ostrzegali mnie, że rzeka przeistacza się czasami w gniewnego boga i powtarzali, że powinienem być wdzięczny losowi, ponieważ bóg śpi. Wdzięczny! Wcale nie byłem wdzięczny! Uważałem, że spotkało mnie wszystko, co najgorsze.

Lazarus i jego ludzie zmagali się z potwornym upałem, z porażeniami słonecznymi, malarią, cholera i wieloma innymi chorobami, nie wspominając o katastrofach związanych z samą budową, pomyłkami i błędnymi wyliczeniami, w rezultacie których jego robotnicy ginęli tuzinami. Nie poddawali się jednak i uparcie stawiali nowe rusztowania, na które wspinali się z młotami i wiadrami z gorącą smołą.

– Pewnego dnia po południu dostałem telegram. Zaczął się monsun i rzeka w górnym biegu wystąpiła już z brzegów. Ostrzegano mnie, że mam tylko piętnaście godzin, tymczasem katastrofa wydarzyła się już po czterech. Wichura. Deszcz, najpierw obfity, lecz do wytrzymania, potem ulewa, ściana wody, deszcz, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem i mam nadzieję więcej nie zobaczyć. Wydaje mi się, że na taki deszcz musiał kiedyś patrzeć Noe. Pędząca, rozszalała woda lizała gardła wież, potem przykryła je całkowicie. Rzeka dźwignęła się z dna jak wąż, jak olbrzymia anakonda, która połknęła słońca i robi się coraz większa i większa. W jednej sekundzie zniosła baraki, w których mieszkali robotnicy. Największy dźwig zachwiał się, runął i popłynął w dal. Fatalnie. Woda zabrała dwa tysiące osłów, cały legion, potrafisz to sobie wyobrazić? Utonęło ponad trzystu mężczyzn, ponad sto kobiet i dzieci... A kiedy rzeka opadła, okazało się, że jakimś dziwnym zrządzeniem losu, jakimś cudem, bo trudno nazwać to inaczej, moje wieże ocalały. Tak więc zamiast niełaski i ruiny spotkał mnie wielki zaszczyt – sam Kaiser wręczył mi medal za zasługi. Ach, mało wtedy brakowało, bym znowu uwierzył w Boga...

– To nie był żaden cud – powiedział Timo. – Dobrze zbudowałeś swoje wieże, przyjacielu, i to wszystko.

– Na pewno – przytaknął Lazarus, w zamyśleniu dotykając

policzka. – Ale lepsi niż ja wznosili lepsze budowle i musieli patrzeć, jak przyroda zmiata je z powierzchni ziemi. I nigdy nie otrząsnęli się z szoku i przygnębienia, do końca życia pozostając złamanymi, smutnymi ludźmi. Ja miałem szczęście. Może nigdy mnie ono nie opuści... Jak myślisz, mały Lauri? Czy szczęście będzie mi towarzyszyło również i tutaj, przy budowie mostu na lodzie? A może ulegam takim samym marzeniom, jak Napoleon, gdy śnił o Moskwie?

Esko słuchał Lazarusa w pełnym zdumienia skupieniu, zupełnie jakby Niemiec snuł opowieść rodem z *Kalewali*. Oczyma wyobraźni widział wrzącą, rozszalałą rzekę i wyobrażał sobie, że stoi na szczycie jednej z tych dumnych wież z czerwonej cegły, stawiając opór powodzi.

– Jest pan inżynierem? – zapytał Esko.

– Tak. I architektem. Projektuję różne rzeczy.

– Co to znaczy?

Lazarus roześmiał się głośno.

– Kolejne dobre pytanie i trochę łatwiejsze niż to o windę. Znaczy to, że most narodził się w mojej głowie i wyszedł z niej.

Przez ponad minutę Esko rozważał tę niezwykłą odpowiedź.

Z dołu dobiegł nagle jakiś hałas. Ktoś z całej siły trzasnął drzwiami, potem przewrócił się, klnąc na czym świat stoi i mamrocząc pod nosem. Intruz zaczął powoli wspinać się po drabinie.

– Włosy mi wypadają, zęby gniją, dom ledwo stoi, za dużo dzieci, a tu następne w drodze, za dużo pracy, wieczna szarpanina, wieczna walka... I w tym sęk... Za dużo zmartwień... Plecy mnie bolą, głowa pęka i jeszcze teraz mam wykopać dwa groby w tym śniegu... Ludzie nigdy nie przestają umierać, o nie, nigdy...

Z otworu wyciętego w deskach platformy wychynęła najpierw para kościstych, długich rąk, potem czarny kapelusz, a na końcu pełna oburzenia twarz Turkkili o mocno zaróżowionych policzkach, nosie przypominającym rozgniecioną o szybę truskawkę i wspartym na spękanej dolnej wardze siekaczu. Turkkila oparł się o krawędzie otworu i z trudem podźwignął się na nogi.

– Wódka jest jak brat, wiecie? Ma swoje wady, o, tak, nikt nie może temu zaprzeczyć. Czasami jej nienawidzę, ale przecież

niezależnie od wszystkiego należy do rodziny i nie można wyrzucić jej z domu czy ignorować. Ach, tak to już jest...

Turkkila wyciągnął z kieszeni dużą butelkę, pociągnął łyk, oblizwał wargi i przymknął powieki, rozkoszując się ciepłem, którym alkohol nappełnił jego gardło i żołądek.

– Za braterstwo wszystkich ludzi! – mruknął i podniósł butelkę w górę. Nagle zauważył Esko i szeroko otworzył oczy. – Cholera jasna, niech mnie szlag trafi, jeśli to nie Esko Vaananen, chłopiec od wigund! Co ty tu robisz?

Turkkila usiłował trzymać się sztywno na nogach, lecz można było odnieść wrażenie, że w miejsce stóp ktoś przykręcił mu bieguny fotela. Chwiał się i zataczał, starając się skoncentrować spojrzenie przekrwionych oczu na imponującej postaci Josepha Lazarususa.

– A kim jest ten w futrze? Wygląda mi na kogoś ważnego... Bardzo pana przepraszam...

Turkkila mówił po fińsku i Esko natychmiast się zorientował, że Lazarus nie rozumie ani słowa. Turkkila również spostrzegł, że coś jest nie tak, lecz niezrażony niepowodzeniem postanowił skomunikować się z nieznanym w bardziej bezpośredni sposób. Wykonał kilka podskoków w miejscu, potem zaś parę ruchów jak przy nabieraniu ziemi na łopatę i pociąganiu za linę, dając do zrozumienia, że jest nie tylko grabarzem, ale także dzwonnikiem. Gestem polecił Esko i Lazarusowi, aby poszli za nim na drugą stronę platformy i wskazał palcem w górę, gdzie na szczycie wieży drzemały dzwony.

Uznawszy, że spełnił obowiązek przewodnika, odkorkował butelkę i podejrzliwie zerknął na Lazarususa, jakby obawiał się, iż ten zechce pozbawić go części błogosławionego napoju. Niemiec natychmiast rozwiał jednak jego obawy, wyjmując srebrną pierśiówkę z wewnętrznej kieszeni swego wspaniałego futra.

– Ach, ten pan bardzo przypadł mi do serca – westchnął Turkkila. Dotknął swego przypominającego zgnieciony guzik nosa i uśmiechnął się szeroko, owiewając twarz Lazarususa odorem alkoholu. – Kradnę wódkę przyjaciołom, chowam ją przed żoną, czasami sam pędzę. Jeżeli zdarzy mi się rozlać odrobinę na ziemię, to szybko rzucam się na czworaki i połykam nasiąknięty

nią śnieg. Chowam butelki w ławkach kościelnych, w trumnach, nawet w protezie. Zawsze trzeba mieć pod ręką spory zapas, to niezbędne.

Nie słuchając dłużej tego monologu, Timo obszedł platformę i skinąwszy ręką na Esko, zszedł na dół. Przez chwilę chłopiec nie wiedział, co ma zrobić. Lazarus i Turkkila z wyraźnym zadowoleniem pogłębiali zawartą dzięki wódce znajomość, podniósł więc tylko dłoń w geście podziękowania i pożegnania. Gdy Lazarus uśmiechnął się w odpowiedzi, Esko poszedł za ojcem, który czekał na niego na dole.

– Mam coś dla ciebie – powiedział Timo.

Wyciągnął z kieszeni palta skórzany portfel i wyjął z niego starannie złożony artykuł z „Hufvudstadsbladet”.

– Dziękuję, ojcze – odparł Esko, rozkładając kartkę.

Był to artykuł o windzie.

– Nie ma za co – rzekł Timo sztywno.

W jego umyśle panowała absolutna jasność w kwestii rewolucji, despotów i rewolwerów, lecz kiedy musiał porozmawiać z synem, czuł się całkowicie zagubiony. Wysoki i jasnowłosy Esko, który czasami uśmiechał się jak beztroski, pogodny anioł, był uparty, pełen pasji i nieustępliwy, jego prawe oko patrzyło przenikliwie i wystarczyło, aby odwrócił głowę, a Timo natychmiast ogarniał lęk o jego bezpieczeństwo na tym strasznym świecie.

– Synu... – przemówił cicho. – Esko, wybac mi, proszę. Wybac mi wszystko...

Esko podniósł wzrok. Twarz zaczęła go palić, może ze wstydu, a może z gniewu.

– Tak, ojcze – powiedział z pewnym wahaniem, składając artykuł i chowając go do kieszeni. Jedenastoletni chłopcy nie bardzo wiedzą, jak wybaczać. – Martwiłem się o ciebie, ojcze. Iosip... Pan Kalliokoski mówił, że byłeś ranny, że ktoś cię postrzelił.

– Jak to? – Timo się zdziwił, odrzucając z czoła gruby kosmyk włosów.

– Powiedział, że próbowałeś zastrzelić nowego gubernatora prowincji, Małyszewa. I że Małyszew także strzelił do ciebie. –

Zobaczył, że ojciec cofa cię o krok, jakby ktoś wymierzył mu silny cios, i pospiesznie przerwał milczenie, które wydało mu się przerażające. – Cieszę się, że nic ci się nie stało.

– On żyje?

– Och, tak, ojczy. Więc wszystko jest w porządku.

– Żyje? – powtórzył Timo. Podniósł ręce, objął nimi głowę i zatoczył się. – Wpakowałem w niego trzy kule... Jak to możliwe?

Esko potrząsnął głową, usiłując zrozumieć miotające ojcem uczucia.

– Nie wiem, tato. Ale wszystko jest dobrze, prawda?

– Oszukujesz mnie, Esko? Kłamiesz, na pewno kłamiesz! – wybuchnął Timo.

Podniósł rękę i w tym samym ułamku sekundy opuścił ją, ale było już za późno. Esko rzucił się w kierunku ciężkich drzwi, otworzył je jednym pchnięciem i wybiegł prosto w porażającą biel.

– Esko!

Esko biegł przed siebie, coraz szybciej i szybciej.

– Esko!

Lecz on nawet się nie obejrzał. Z jego ust rytmicznie wydobywały się obłoczki pary, a stopy pozostawiały wyraźne ślady na świeżym śniegu.

7

Turkkila nie miał zamiaru zdradzić Esko, słowa po prostu wymknęły mu się z ust. Wdał się w rozmowę z Mandą Virtanen, żoną sklepikarza, i nim się zorientował, już opowiedział jej o spotkaniu z tajemniczym nieznanym w dzwonnicy.

– Ach, cóż to za wspaniały pan! Wystarczy raz spojrzeć, żeby zrozumieć, że to ktoś naprawdę ważny. Ale wcale nie zarozumiały, o, nie. Nie, proszę pani. Nie przeczę, że wypłem kropelkę. Gadaliśmy trochę z bratem, ale nie byłem naprawdę pijany, nie tak, jak to bywa po spotkaniu z bratem... I kiedy schodziłem z wieży, nagle zobaczyłem tego jednookiego chło-

paka, Esko Vaananena, który biegł przez śnieg jakby go diabeł gonił. – Turkkila opowiadał z coraz większym zaangażowaniem, pociągając nosem. – Ciekawe, pomyślałem sobie. Wtedy usłyszałem głos. Ktoś wołał: „Esko! Esko!”, z rozpaczą, jakby mu serce pękało. Wie pani, czyj to był głos? Starego Czerwonego Timo, właśnie jego. Nie żartuję. Przysięgam, że to był on. I co pani o tym myśli? Jestem szalony, czy nie?

Manda Virtanen była dobrą Finką, ale miała duże ambicje, wysłała więc męża z wiadomością do Kalliokoskiego, ten zaś niezwłocznie zapukał do drzwi pokoju Esko. Esko milczał jak grób. Milczał, kiedy Kalliokoski przemawiał do niego łagodnie i zachęcająco, milczał, gdy Kalliokoski rozkazywał i grzmiał, i gdy ze zniechęceniem kręcił głową, wzdychał i ostrzegał, że Esko może zaprzepaścić swoją przyszłość, nadzieję na wyjazd do Helsingfors, wszystko, nad czym tak uporczywie pracowali. Nie odezwał się ani słowem także i wtedy, gdy pastor wyszedł z domu, a pani Kalliokoski bez wahania uderzyła go w twarz i nazwała złym, niewdzięcznym chłopcem. Esko rozumiał powagę sytuacji, ale milczał nawet wtedy, gdy Kalliokoski zawiózł go saniami do Iisalmi i zaprowadził do gabinetu kapitana lokalnego posterunku policji, zadowolonego z życia mężczyzny w szarym mundurze, który gniótł w zębach piniowe orzeszki i z apetytem je pochłaniał.

– Podziwiam twoją odwagę, młody człowieku, ale lepiej by było, gdybyś mi jednak powiedział, gdzie przebywa twój ojciec – oświadczył kapitan.

Esko mógł śmiało i zgodnie z prawdą odrzec, że nie ma pojęcia, gdzie jest ojciec, ale milczał uparcie, nie chcąc narażać Timo na jeszcze większe kłopoty.

– Niech pan sprawi chłopakowi solidne lanie – poradził Kalliokoskiemu kapitan i zmiażdżył w zębach następny orzeszek.

W drodze powrotnej pastor był raczej smutny i zrezygnowany niż zły.

– Nie mam zamiaru cię bić, Esko – powiedział, przykrywając siebie i chłopca niedźwiedzią skórą, i polecając woźnicy, aby jechał ostrożnie, chociaż dzień był pogodny i mroźny, a droga gładka.

Dzwonki sań podzwaniały radośnie, płozy świszcząły cicho, trąc o śnieg. Pograżony w zamyśleniu Kalliokoski długo milczał.

– On cię zdradzi, chłopcze – odezwał się wreszcie. – Zawiódł twoją matkę i ciebie także zawiedzie. Gdyby dostał się w ręce policji, wyśpiewałby wszystko. Mówię ci to po to, bo chcę, żebyś znał moją opinię o człowieku, którego chronisz.

Esko miał jedenaście lat i nie był w stanie przeniknąć myślą rozgrywających się wokół niego spraw. Wiedział, że wszystko zaczęło się od windy i powtarzał sobie, że gdyby udało mu się pojąć jej tajemnicę, ojciec nigdy by nie wrócił i nie próbował znowu go uderzyć. Gdyby ogarnął umysłem sekret windy, pewnego dnia byłby szczęśliwy z Kateriną. Gdyby odkrył, jakie znaczenie ma to przedziwne urządzenie, nikt nie śmiałby się z jego blizn, byłby wolny od pogardy ludzi takich jak Małyszew, znalazłby sposób, aby zasłużyć na podziw i sympatię ludzi takich jak Joseph Lazarus... Odzyskałby spokój i radość, i wszystko już zawsze byłoby dobrze, gdyby tylko rozwikłał zagadkę windy...

Przypiął artykuł z „Hufvudstadsbladet” do ściany tuż obok przedstawiającego jezioro obrazu, który namalowała jego matka. Kilka dni później przeniósł artykuł na drugą ścianę, naprzeciwko lustra, potem zaś umocował mniejsze lustro naprzeciw pierwszego, i w ten sposób widział jednocześnie odbicie własne i diagramu windy. Jeśli chodzi o świat zewnętrzny, to nie chciał mieć z nim do czynienia. Nie wychodził ani do kościoła, ani do wioski. Opuszczał swój pokój i dom tylko po to, aby samotnie przejść przez las nad jezioro. Przykrył się górą milczenia i samotności. Nie chciał z nikim rozmawiać i tylko czasami przemykała mu myśl, czy by nie zapytać kogoś o Josepha Lazarusa i planowaną budowę mostu w Iisalmi.

Noce były teraz coraz dłuższe. Nastął ponury październik, po nim zaś wielkie śniegi i mrozy listopada i grudnia. Między świerkami powstały ogromne zaspas. Śnieg skrzypiał dziarsko pod płozami sań i nart, a krótkie dni pospiesznie umykały w ciemność. Na nocnym niebie jasno świeciły duże gwiazdy. Lód nie skradał się od przybrzeżnych płycizn jeziora ku środkowi kawałkami

lodu, lecz zalegał grubą płaszczyzną na całej powierzchni. Wreszcie przyszedł prawdziwie zimowy mróz i cicha, niekończąca się noc. Nowy lód wyglądał jak żelazo, był połyskliwy i szary, i nie widać na nim było żadnych pęknięć czy wybrzuszeń. Jego idealnie gładka powierzchnia kusila i przyciągała jak magnes.

Pewnego ranka na ganku plebanii zjawił się niespodziewany gość. Z założonymi do tyłu rękami podskakiwał i przestępował z nogi na nogę, jakby przebywanie w tak bezpośredniej bliskości Boga niepokoiło go i denerwowało. Był to syn Bongmana. Na jego szyi wisały związane sznurkiem łyżwy, a zaczerwienioną od mrozu twarz pokrywała jeszcze grubsza niż zwykle warstwa ropiejących wyprysków. Kiedy Kalliokoski otworzył drzwi, syn Bongmana zapytał, czy Esko nie miałby ochoty pojeździć na jeziorze.

Esko usłyszał pytanie syna Bongmana, potem zaś kroki zmierzające w stronę jego pokoju.

– Nie wiem, dlaczego ten chłopak wyobraża sobie, że chcesz wybrać się z nim na łyżwy. Kiedyś się przyjaźniliście, ale teraz, kiedy wiadomo, że wasze drogi wkrótce się rozejdą, cała ta znajomość wydaje mi się zupełnie nieodpowiednia – rzekł Kalliokoski. Wolał nie spuszczać Esko z oka, zupełnie jakby chłopiec w każdej chwili mógł wymknąć się na tajemne spotkanie z Timo. – A poza tym, chyba bardzo długo nie jeździłeś na łyżwach, prawda?

– Od śmierci matki.

– No, właśnie. Na pewno zupełnie zapomniałeś, jak to jest. Powiem temu małemu zbójowi, że jesteś zajęty.

Oczywiście Esko poszedł na łyżwy, aby zmanifestować swój sprzeciw wobec opinii Kalliokoskiego, jak zawsze. Pobiegł przez śnieg z synem Bongmana, który w pierwszym odruchu odnowionej przyjaźni usiłował walnąć go w głowę łyżwą. Esko w ostatniej chwili uchylił się przed ciosem.

– Dobra, Człowieku z Blizną – powiedział syn Bongmana. – Kiedyś byłeś szybszy ode mnie na lodzie, ale teraz zobaczymy. Jeżeli prześcignę cię do końca jeziora i z powrotem, będziesz musiał stać spokojnie i czekać, aż zdzieję cię w łeb, zgoda?

– To niesprawiedliwe – mruknął Esko.

– W takim razie uderzę cię nawet jeśli wygrasz, co ty na to? – zaproponował syn Bongmana, drapiąc się po policzku chudą, dawno niemytą ręką.

– Jaka jest w tym dla mnie korzyść?

– Jeżeli się zgodzisz i wygrasz, to cię nie uderzę – odparł syn Bongmana z zadziwiającą logiką.

Było jeszcze ciemno, kiedy dotarli nad jezioro. Lód promieniał dziwną, niebieskawą poświatą, zupełnie jakby podczas zamarzania wchłonał blask miliona gwiazd. Tu i ówdzie wiatr omiótł gładką powierzchnię ze śniegu, gdzie indziej utworzył białe wzgórki, mostki, fale i duże zasy. W oddali Esko dostrzegł migające światełko, siejącą wokół iskierkami latarnię – to jakiś rybak podążał w kierunku przerębli, aby wyciągnąć z niej sieci.

Esko usiadł na kamieniu i zaczął szybko wkładać łyżwy. Usłyszał za sobą jakiś dźwięk, odwrócił głowę i ujrzał zataczającą się, mamroczącą coś pod nosem, drżącą i rozcierającą dłonie o ramiona postać, która wyłoniła się z lasu i zmierzała w jego stronę. Był to grabarz Turkkila, lub raczej były grabarz, ponieważ po historii z Timo i Lazarusem Turkkila stracił pracę. Na głowie miał kiedyś całkiem porządny kapelusz, na ciele obszarpaną marynarkę, a jego truskawkowy nos był siny z zimna.

– Chłopiec od wigund, młody Vaananen – odezwał się, ale mówił cicho i bez wyrazu, jak duch dawnego Turkkila, pozbawiony wszelkiej energii i siły. – Zawsze niezły był z ciebie chłopak, a ja wpędziłem cię i twego tatę w kłopoty, bo mam za długi jęzor. Timo nigdy nie zrobił mi nic złego, zawsze traktował mnie uczciwie. – Turkkila wytarł nos rękawem. – Takie jest życie, trudno. Starasz się, starasz, stajesz na głowie, żeby było dobrze, ale w końcu sprawiasz zawód i sobie, i innym. Nie ma ze mnie żadnego pożytku. Taki się urodziłem i taki jestem, wszystko jedno czy pracuję, czy nie.

– To nieprawda, Turkkila. Wcale nie jesteś bezużyteczny.

Twarz pijaka rozpromienił uśmiech.

– Miło, że tak mówisz, chłopcze od wigund, bardzo miło. Pamiętaj, co ci kiedyś powiedziałem? Strzeż się stali, strzeż się żelaza. – Turkkila gniewnie tupnął o lód. – Wystrzegaj się tych... Tych... Wystrzegaj się wind. No, wreszcie znalazłem to

słowo, które tak mnie dręczyło! Winda... I co to niby takiego? Czy można się nią pożywić, tą windą? Czy ona cię ogrzeje, chłopcze? Czy przytulisz się do niej w nocy, jak do żywej osoby?

Małe oczka Turkkili spoczęły na rybaku, który wracał od przerębli ku brzegowi, i nagle zaślnęły. Rybak ciągnął za sobą niewielkie sanki, a na nich kosz pełen połyskujących w świetle latarni ryb.

– Ten to miał szczęście, co? Może podzieli się nim ze mną, jak myślisz, chłopcze od wind? Pyszna rybka, pogawędka z bratem i byłbym szczęśliwy jak nigdy. Nie zapomnij o mnie. Pamiętaj o stali, o żelazie. O windach. I o drewnie. Trzymaj się drewna, chłopcze od wind. Drewno nie robi ci krzywdy...

– Zupełnie zwariował – rzekł Esko, kiedy Turkkila ruszył w stronę rybaka, potykając się i ślizgając na lodzie.

Syn Bongmana zmarszczył brwi, nadając w ten sposób niecodzienny wyraz zwykle doskonale stoickiej, usianej śladami po ospie i krostami twarzy.

– Stary Turkkila powiedział mi parę rzeczy o niedźwiedziach i lesie, wiesz? Mój tata mówi, że co jakiś czas przyjeżdża tu z Helsinek jeden człowiek, który chce spisać opowieści Turkkili i wydać je w książce.

– Chodźmy na lód – ponaglił go Esko.

Przed pożarem był świetnym łyżwiarzem, najlepszym w całej wiosce. Teraz niezgrabnie odepchnął się od brzegu jedną łyżwą, lecz zaraz zaczął rytmicznie i bez wysiłku przerzucać ciężar ciała z jednej nogi na drugą, jakby ruchami stóp władały nie mięśnie, lecz bezpośrednio mózg. Przekonał się, że umiejętność, z której tak dawno nie korzystał, nadal w nim tkwiła, nieupóźniona, a nawet udoskonalona. Choć miał wrażenie, że w ten sposób zdradza pamięć zmarłej matki, to odkrył, że potrafił teraz poruszać się na lodzie lepiej niż dawniej.

Tak więc wynik wyścigu był z góry przesądzony, o czym zresztą syn Bongmana najprawdopodobniej od początku wiedział. Nim Esko dotarł na środek jeziora, dystans dzielący go od przeciwnika był już tak duży, że zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem wszystko to nie zostało zaaranżowane przez Kalliokoskiego, aby zachęcić go do opuszczenia plebanii i spotkania

z kimś ważnym, zaraz jednak porzucił tę myśl. Nie miało znaczenia, dlaczego wyszedł ze swego pokoju, liczyło się tylko to, że całym sobą czuje piękno krajobrazu i świeże powietrze, którym napełniły się jego płuca. Na chwilę oparł dłonie na kolanach i zakreślił okrąg na lodzie, spoglądając w górę, na światła zorzy, zapalające się i gasnące nad jego głową. Światła tworzyły łuki i koła, tańczyły i płonęły, ścigając się po olbrzymiej kopule nieba, dotykały linii horyzontu i znowu wznosiły się wyżej, drżały i migotały, wreszcie znikwały, aby zaraz pojawić się w nowej, zaskakującej konfiguracji.

Oddychając równo, zgodnie z rytmem zgrzytających o lód łyżew, Esko zbliżył się do przeciwległego brzegu jeziora. Tam zawrócił i pomknął w kierunku zbitej chmury koron brzoź i sosen, rysującej się przed nim. Była to jedna z wysp. Esko dostrzegł spoczywającą na piasku starą łódź, którą natychmiast rozpoznał. Serce zabiło mu szybciej, pobudzone radosnym podnieceniem. Przed nim rozciągała się jego wyspa, ta sama, na której kiedyś schronił się przed ojcem.

– Jestem tutaj! – wykrzyknął, wysoko unosząc zaciśnięte pięści. – Esko wrócił! – Wzruszył ramionami, ponieważ zrobiło mu się głupio, ale uśmiech nie zniknął z twarzy. – Esko Vaananen wrócił do swojego królestwa!

Słowa natychmiast zniknęły w ciszy, która wydawała się spowijać całą Finlandię. Było tak cicho, że Esko miał wrażenie, iż słyszy odgłos, z jakim pojedynczy płatek śniegu opada na burtę łodzi. Pomyślał o tym, jak dźwięk może zimną zwieść znajdującego się nad jeziorem człowieka. Czasami lód huczał niczym grzmot, jakby cała zamrożona powierzchnia miała lada chwila pęknąć na dwie części. Odgłos strzału oddanego w odległości kilkuset metrów po lewej stronie mógł zostać przeniesiony w odwrotnym kierunku przez wiatr, a przy dużym mrozie wyraźnie słychać było rozmowę prowadzoną na drugim brzegu jeziora. Wyziębione powietrze nad powierzchnią lodu chwyciło dźwięk i nasilało jego brzmienie. Aby mu pokazać, jak zimno zmienia się dźwięku, matka oddaliła się kiedyś od niego prawie o pół kilometra i przeczytała wiersz. Potem powiedziała Esko, że mówiła szeptem, lecz on słyszał każde słowo tak wyraźnie, jakby uderzała w kryształ:

Już niedługo, a nad grobem staniemy,
Życie trawi nas jak ogień drewno w piecu.
Wyżej, coraz wyżej strzelają płomienie,
Brud i pył zostaje, duch wznosi się ku niebu.

– Esko, mój maleńki skarbie – powiedziała, kiedy dobiegł do niej i rzucił się jej w ramiona.

Uściskała go mocno i ucałowała, potem zaś, trzymając się za ręce, pomknęli na łyżwach do domu. Esko wyobrażał sobie wtedy, że zawsze będzie taki szczęśliwy.

Ból zakłuł go gwałtownie w okaleczonym oczodole. Uniósł zniszczoną skórzaną opaskę i potarł śniegiem wrażliwą skórę. Na chwilę zamknął zdrowe oko, a kiedy je otworzył, wyspa wydała mu się odmieniona w jakiś nieuchwytny, subtelny sposób. Dziwacznie wygięty krzew jałowca lśnił jak zrobiony ze szkła, ponieważ każda jego gałązka okuta była lodem. Wiatr ucichł zupełnie i w tej ciszy nagle zatrzeszczał śnieg gdzieś niedaleko, może pod stopami jakiegoś zwierzęcia. Esko poczuł, że ogarnia go niepokój i uczucie oczekiwania. Lęk ścisnął mu serce jak wtedy, gdy Katerina szła ku niemu przez środek namiotu, poruszając wiszącym u przegubu dłoni lusterkiem. Pomyślał teraz o niej. Nie wiedział, gdzie jest i co się z nią dzieje. Kalliokoski nie wspominał więcej o zamachu na gubernatora w Runni, więc Esko nie miał nawet pojęcia, czy rodzina Małyszewa nadal przebywa w Finlandii. Może wrócili już do Petersburga? Może Katerina była już bardzo daleko stąd?

Gałęzie jodeł zaszumiały nagle i znowu wszystko ucichło. Gęste, ciemne światło przypominało zawieszony nad jeziorem całun, całun nasiąknięty milionem maleńkich kropelek wody. Esko zadrżał i zaczął przytupywać. Jeżeli szybko nie zawróci do brzegu, za jakiś czas znajda go tu zamarzniętego.

Potoczył wzrokiem po jeziorze, spojrzął w kierunku, z którego powinien podążać ku niemu syn Bongmana, ale ten został tak daleko w tyle, że jeszcze nie było go widać. Esko odwrócił się w drugą stronę, twarzą ku wiosce, usiłując dojrzeć w mroku dwie czerwone kościelne wieże. Bezskutecznie.

I wtedy nagle coś jednak zobaczył.

Zamrugał, pewien, że to złudzenie wywołane przemieszczeniem się północnych światła, lecz kiedy otworzył oko, winda nadal tam była. Wynalazek pana Otisa wznosił się w górę, prosto w grudniowe niebo, a wokół szybu widać było kolejne piętra, które winda mijała.

Esko stał bez ruchu, ani na sekundę nie odwracając wzroku od niezwykłego obrazu. Budynek był wyższy niż zwykły dom, wyższy od kościoła, wyższy od piramidy, wyższy od wszelkich konstrukcji, jakie chłopiec widział na ilustracji w gazecie lub książce historycznej.

Oto miał przed sobą granitową podstawę budowli, otoczony kamieniem szyb i lśniące, szklane ściany. Piętra układały się jedno na drugim wokół szybu, doskonale symetryczne i piękne.

Wreszcie zrozumiał, jakie znaczenie ma winda, pojął, że dzięki niej można w nieskończoność powielać piętra budynku. Coś, co wydawało się niemożliwe, w rzeczywistości istniało i miało prawo istnieć.

W ciągu następnych lat często wracał myślami do tamtej wizji. Stojąc na środku skutego lodem jeziora, przed świtem, w małej fińskiej wiosce, gdzie dorastał na przełomie wieków, ujrzał własną przyszłość. Zobaczył drapacz chmur.

CZEŚĆ DRUGA

Historia

1

Późnym popołudniem październikowego dnia 1917 roku młody architekt Esko Vaananen zjechał windą na parter Budynku Diktoniusa, podziękował Karlowi, portierowi, który otworzył przed nim stalową bramkę (Karl był już wtedy jego dobrym znajomym, prawie przyjacielem) i wyszedł w kanion ulicy Aleksanterinkatu, owijając wełniany szalik wokół szyi i ust. Szedł szybko, długim równym krokiem. Sanie i sanki mijały go, a ich sylwetki rysowały się wyjątkowo wyraźnie na tle oślepiającej bieli. Temperatura spadła do dziesięciu stopni poniżej zera, w powietrzu lśniły płatki śniegu, obietnica harmonii i spokoju. W taki dzień wszystko jest możliwe, pomyślał Esko, nawet stworzenie nowej Finlandii bez konfliktów, nawet wybudowanie drapacza chmur.

Dwudziestosiedmioletni Esko był wysoki, mocno zbudowany i niebieskooki, przy czym jedno oko w dalszym ciągu przesłaniała przepaska. Jego nieosłonięte kapeluszem gęste, jasne włosy miały rudawy odcień. Między grubymi brwiami widać było pionową zmarszczkę, znamionującą człowieka skłonnego do popadania w zamyślenie, odważnego i upartego, którego poważna, surowa maska skrywała może zbyt wiele marzeń i nadziei. Jego śmiech był zaraźliwy i pełen uroku, ale nieczęsto słyszany w helsińskich barach i restauracjach. Esko chętnie uczył się języków i chociaż znano go jako człowieka milczącego, mówił płynnie po szwedzku i francusku, całkiem niezłe zaś po angielsku i rosyjsku. Często miał wrażenie, że coś tamuje słowa na dnie jego istoty i nie pozwala im wydobyć się na zewnątrz. Zastanawiał się, czy pewnego dnia nie zerwą one tamy i nie wypłyną wielką falą, i trochę liczył, że tak właśnie się stanie.

Pod pachą trzymał dużą teczkę z rysunkami. Dłoń tej samej

ręki wetknął do kieszeni, dotykając srebrnego lusterka, które zawsze nosił ze sobą jak talizman. Poły jego czarnego płaszcza powiewały na wietrze. Wydawało się, że Esko idzie całkowicie pogrążony w myślach, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, lecz on przedzierał się wśród tłumu szybko i sprawnie, ze zdumiewającą u tak mocno zbudowanego mężczyzny lekkością, od czasu do czasu podnosząc pełne skupienia spojrzenie na mijane budynki. Ktoś mógłby pomyśleć, że Esko dostrzega w nich coś magicznego, bo patrzył na nie tak, jakby były bohaterami sztuki teatralnej wystawianej wyłącznie dla niego. Lekko zmarszczył brwi, kiedy jego wzrok spoczął na budynku firmy ubezpieczeniowej Pohjola, przysadzistym kamiennym zamku, strzeżonym przez monstrualne trolle z palcami w kamiennych uszach i wywalonymi kamiennymi językami, natomiast pogodnym uśmiechem powitał budynek Lundqvista, smukłą budowlę o wielkich oknach, która wydawała się tańczyć w wirującym śniegu. Budynek Pohjola przycupnął przy ziemi, skarłały i paskudny jak ropucha, podczas gdy budynek Lundqvista zachęcał ludzi do uniesienia oczu w górę. Pierwszy był znakiem szpetnej fińskiej przeszłości, drugi wskazywał piękniejszą, lepszą przyszłość.

Esko wskoczył na stopień tramwaju, zerkając na rozłożoną gazetę, którą trzymała w ręku stojąca wyżej kobieta. Całą pierwszą stronę zajmowały wiadomości z Petersburga – informacje o strajkach, buntach, leżących na ulicy zwłokach. Każdy dzień obfitował w przerażające wieści z Rosji, wieści kryjące w sobie zapowiedź niepewności, o której Esko nie chciał nawet myśleć, podobnie jak nie chciał widzieć wyperfumowanych wdzięków właścicielki gazety. Nie miał czasu na politykę, a świadomość wyglądu własnej twarzy już dawno pozbawiła go wszelkich złudzeń co do szans na romans. Architektura była jego ambicją, marzeniem i życiem, całym życiem. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że wielkie uczucie, jakie wkładał w każdy wykonany rysunek, mogłoby pomóc mu w uwiedzeniu regimentu kobiet.

Dotknął ukrytego głęboko w kieszeni lusterka, poprawił teczkę, zeskoczył ze stopnia i szybko ruszył ulicą prowadzącą na szczyt wzgórza. Pchnął żelazną furtkę i wszedł na podjazd imponującej willi z kolumnadą. Gazowa latarnia, zawieszona

nad szerokimi czarnymi drzwiami z wypolerowaną mosięzną kołatką, syczała cicho.

– Esko Vaananen, do pana Diktoniusa – powiedział, kiedy w drzwiach stanął służący w liberii.

Wszedł do wyłożonego marmurem holu i chwilę czekał na powrót lokaja.

– Proszę tędy – odezwał się starszy mężczyzna, wprowadzając go do dużego, niskiego i miłego pokoju. – Pan Diktonius jest w bibliotece.

Ściany biblioteki od podłogi do sufitu zabudowane były półkami pełnymi oprawionych w skórę książek, których grzbiety lśniły złotem. W jednym rogu pokoju stał wielki globus na mosiężnych ptasich nogach, w drugim promieniował ciepłem kafłowy piec. Kiedy drzwi zamknęły się cicho, Esko ujrzał mężczyznę podnoszącego się od biurka stojącego pod oknem.

– Pan Vaananen, nieprawdaż? – powiedział, wychodząc na spotkanie Esko i podkręcając koniec wąsa. Był krępy, tęgawy, miał bystre oczy i twarz o ciężkiej, kwadratowej szczęce. Wsunął ręce do kieszeni spodni, najwyraźniej nie zamierzając witać się z gościem. – Jestem Aleksander Diktonius. Proszę pokazać, co pan przyniósł. Może pan rozłożyć rysunki tutaj, na kanapie.

Esko rozwiązał teczkę, przełożył pierwszy rysunek, a drugi wyjął i starannie rozłożył na ciepłej, brązowej skórze, którą obita była kanapa.

Diktonius wyjął rękę z kieszeni i nerwowo podkręcił wąsa.

– To projekt biurowca, prawda?

– Tak jest, proszę pana.

– I cóż my tu mamy... Wieżowiec o prostej formie i mocno przeszklonych ścianach...

– Tak jest.

W pokoju zapadło długie milczenie. Słyszeć było tylko, jak Diktonius przesuwa językiem po zębach.

– Hmm... – mruknął wreszcie. – Wydawało mi się, że zamawiałem projekt wiejskiej willi.

– Wiem – rzekł Esko. Szybko sięgnął do teczki i wyciągnął z niej inny rysunek. – Oto on.

– Właśnie – powiedział Diktonius neutralnym tonem, oglądając

drugi projekt. – To dzieło Oskarięgo Bromberga, tak? Poznaję jego rękę.

– Tak, proszę pana, ten projekt wyszedł spod ręki Oskarięgo – odparł Esko, który przez ostatnie trzy lata pracował jako projektant, rysownik i młodszy architekt w biurze Henrika Arnefelta i Oskarięgo Bromberga, dwóch najslawniejszych fińskich architektów.

Arnefelt i Bromberg specjalizowali się w przysadzistych biurkach (jak Pohjola) i w willach w stylu art nouveau. Byli najwybitniejszymi postaciami fińskiego kierunku architektonicznego, którego produktem były głównie ciężkie kamienne bryły i trolle.

– Natomiast ten drapacz chmur, *pilvenpiirtaja*, to pana własna praca?

– Tak.

– Dlaczego chciał mi pan go pokazać?

– Ponieważ jest pan najbogatszym człowiekiem w Finlandii – powiedział Esko.

Była to prawda. Syn marynarza, kiedyś czeladnik stolarza, Aleksander Diktonius był dziś właścicielem stoczni w Helsinkach i Sztokholmie, wytwórni parasoli w Genewie i w fińskim mieście Tampere oraz jednej z największych mleczarni w całej Europie. Wartość tylko tej ostatniej firmy wynosiła kilka milionów dolarów.

– I dlatego że wiele lat temu doprowadził pan do powstania biurków Diktoniusa i Lundqvista, pod względem architektonicznym dwóch najnowocześniejszych budynków w Helsinkach – ciągnął Esko. – Ponieważ zna pan Franka Lloyda z Ameryki i Adolfa Loosa z Wiednia. Bo pańska przyjaciółka jest śpiewaczką operową i czasami wykupuje pan wszystkie miejsca na sali, aby posłuchać, jak śpiewa Verdiego wyłącznie dla pana. I dlatego że jest pan romantykiem o nowoczesnym guście, podobnie jak ja, tylko że mnie nie stać na wybudowanie *pilvenpiirtaja*.

– A czy w ogóle zdążył już pan coś wybudować? – zapytał Diktonius, wymownie unosząc brwi nad bystrymi oczami.

– Jeszcze nie.

Trzymając w ręku projekt drapacza chmur, Diktonius usiadł za biurkiem i włączył lampę.

– Nie sądzi pan, że sytuacja w kraju jest zbyt niepewna, aby zastanawiać się nad realizacją tego planu? – odezwał się po chwili.

Od lutego, kiedy w Rosji upadł tron Romanowów, w Finlandii trwały niekończące się kłótnie lewicy z prawicą, Czerwonych z Białymi i niezliczonych frakcji mieszczących się wewnątrz tych ugrupowań. Wszyscy spierali się o to, jaką drogę do niepodległości powinna obrać Finlandia. Kraj nie znajdował się już pod władzą cara, ponieważ car przestał mieć jakąkolwiek władzę. Pozostawało jednak pytanie, kto ma rządzić Finlandią. Esko nawet nie próbował na nie odpowiadać. Polityka w ogóle go nie interesowała, a przyszłość nie wiązała się dla niego z kwestią państwowości i ideologii, lecz doskonałości, idealnej jakości architektonicznego cudu. W tej przyszłości miał bliżej poznać tajemnicę swojej ukochanej windy, windy mknącej coraz wyżej, wkraczającej w obszar nieba, nadającej nowy kształt pradawnej horyzontalnej linii powierzchni ziemi. Wierny swoim przekonaniom, pilnie przestrzegał ustalonego planu dnia – wstawał bardzo wcześnie, godzinę lub dwie pracował w małym, porządnym i czystym mieszkaniu, potem szedł do biura, gdzie pracował do wieczora, wracał do domu, robił sobie kawę i kanapki z kiełbasą, wypijał szklanke piwa lub kieliszek wódki (tylko jeden) i pracował aż do chwili, gdy zaczynał zasypiać z głową wspartą o deskę kreślarską, na której zawsze kładł srebrne lustro.

Diktonius wypisał czek i podniósł wzrok znad biurka.

– Sądzę, że wzniesienie drapacza chmur byłoby w tych okolicznościach śmiałym gestem narodowej odwagi i pewności siebie – rzekł Esko.

Zdawał sobie sprawę, że chociaż zbudowanie nieprzeciętnego budynku jest jak stworzenie niezwykłego poematu, budzącego niezwykłe uczucia, to nie należy zapominać, że aby drapacz chmur powstał, ktoś taki jak Diktonius musi wyłożyć mnóstwo pieniędzy. Nie dziwiło go, że architektura nie jest domeną ludzi młodych. Doświadczenie było tu sprawą niezbędną, nie wspominając o iście

makiawelicznej zdolności radzenia sobie z inwestorami, rządem, klientami oraz ekipami budowlanymi. Architektura stanowiła przedziwne połączenie matematyki, pieniędzy, projektu oraz religii.

– Finlandii potrzebny jest nowy kierunek architektoniczny – dodał. – Kierunek pozbawiony kamiennych gnomów i szyszek.

– Całkowicie się z panem zgadzam – rzekł Diktonius, podchodząc do Esko i machając czepkiem, aby atrament szybciej wysechł. – Proszę jednak powiedzieć Brombergowi, że ta willa będzie mi potrzebna. – Dostrzegł cień rozczarowania na twarzy Esko i uśmiechnął się lekko. – Proszę się ze mną przejść. – Zadzwoił po służącego i kazał mu przynieść futro. – I może zostawi mi pan ten projekt, żebym mógł obejrzeć go później, dobrze?

– Oczywiście.

Na zewnątrz, okutany w futro i futrzaną czapę, założył ręce do tyłu i u boku Esko ruszył w dół wzgórza, w kierunku Esplanady.

– Taką pogodę lubię najbardziej – oświadczył z satysfakcją. – Całe miasto wstrzymuje oddech przed zimą. No, dobrze, Vaananen, niech mi pan opowie o sobie. Kim jest pański ojciec?

– Nie utrzymuję z nim żadnych kontaktów – odpowiedział Esko.

– A matka?

– Zmarła wiele lat temu.

– Czym zajmuje się pan w wolnym czasie? Co pan robił wczoraj wieczorem, na przykład? Założę się, że umówił się pan z kilkoma dziewczynami.

Diktonius słynął ze skłonności do hucznych zabaw i przyjemności.

– Obawiam się, że sprawię panu zawód – rzekł Esko. – Wczoraj wieczorem tłumaczyłem artykuł o amerykańskich silosach zbożowych napisany przez Waltera Gropiusa.

Diktonius przystanął, odrzucił głowę do tyłu, mierząc kwadratową szczęką prosto w rozgwieżdżone niebo i ryknął śmiechem.

– Tak, teraz wierzę, że pewnego dnia rzeczywiście zbuduje pan *pilvenpiirtaja!*

– Dlaczego nie teraz? Zróbmy to teraz!

– Muszę o tym pomyśleć.

– Ale czy naprawdę pan się nad tym zastanowi?

– Jest pan twardym i zdeterminowanym młodym człowiekiem, Vaananen. – Diktonius uśmiechnął się lekko. – Nie dziwię się, że Bromberg tak rzadko spuszcza pana z oka. Obiecuję, że dokładnie zastanowię się nad pańskim projektem.

Słowa i ton głosu sprawiły, że Esko pogwizdywał pod nosem, kiedy weszli na Plac Senatu z charakterystyczną niebiesko-złotą kopułą katedry, wyraźnie odcinającą się od białego śniegu. Nagle jakiś mężczyzna przebiegł obok i potrącił Esko, o mały włos nie zbijając go z nóg.

– Hej, uważaj, jak biegasz!

Huknął wystrzał, jeden i zaraz po nim drugi. Esko szybko spojrzał na Diktoniusa, który stał wyprostowany i całkowicie nieruchomy, albo bardzo opanowany, albo zeszywniały ze strachu. Esko poczuł, jak serce łomocze mu w piersi. Przed nimi na śniegu leżał jakiś człowiek, a krew sączyła mu się z ust i z boku głowy, niczym z niedokręconych kranów. Na nogach miał wysokie, błyszczące buty, ubrany był w szamerowany złotym sznurem mundur rosyjskiej marynarki wojennej. Jakby nie dość było kul, z jego piersi sterczał nóż o kościanej rękojeści, *puukko*. Podniósł się na łokciu, usiłując obetrzeć ciekącą z kącika ust krew, lecz nagle jego oczy zaszły mrokiem i stały się zupełnie obojętne. Bezwładnie opadł na śnieg. Z paczuszki, którą trzymał w ręku, posypały się zamrożone żurawiny.

Esko przyklęknął i zamknął powieki zabitego.

– Idź z Bogiem – powiedział.

Wstał i rozejrzał się dookoła, ale Diktonius zniknął. Uciekł. Dopiero wtedy Esko uświadomił sobie, że plac pełen jest biegających, uciekających i krzyczących ludzi, którzy albo wykrzykiwali jakieś ostrzeżenia, albo po prostu wrzeszczeli ze strachu. Wstrząśnięty, odwrócił się od zmarłego i poszedł w kierunku ulicy Mariankatu, u której szczytu stał kamienny budynek z wieżyczką krytą błyszczącą dachówką.

Oskari Bromberg i Henrik Arnefelt siedzieli na trzecim piętrze, w swoim wspólnym dużym gabinecie. Esko zadrżał na widok wysokich płomieni, tańczących w kominku. Długą chwilę stał w progu, wchłaniając atmosferę spokoju i bezpieczeństwa, jaką tworzyło ciemne drewno boazerii, mosiężne lampy, pięknie oprawione sztychy i intarsjowane kością słoniową biurka. Za deską kreślarską tkwił wysoki i chudy Henrik z wyrazem absolutnego skupienia na twarzy i cieniował ołówkiem róg projektu. Oskari opierał się o parapet nad kominkiem, w zamyśleniu przygryzając dolną wargę. W rękę trzymał książkę i zwilżonym śliną palcem powoli przewracał jej kartki. Na widok Esko pośpiesznie zamknął książkę.

– Jak ci poszło? – zapytał bez cienia wątpliwości, ze otrzymana pozytywną odpowiedź, ponieważ w świecie Oskariego Bromberga sprawy zwykle układały się dobrze i zgodnie z oczekiwaniami.

W pierwszej chwili Esko nie mógł sobie uzmysłwić, czego właściwie dotyczy to pytanie.

– Spotkanie – powiedział Oskari z pełną ironii, przesadną cierpliwością. – Miałeś spotkać się z Diktoniusem. Dał więcej pieniędzy?

– Wszystko poszło dobrze – odparł Esko, sięgając do kieszeni.

– Świetnie! Świetnie! – zawołał energicznie Oskari, zerkając na liczbę zer na czeku. – Po prostu świetnie! Co ci jest, Esko? Jesteś blady jak prześcieradło!

– Przed chwilą widziałem, jak ktoś zastrzelił na ulicy człowieka. Umarł na chodniku tuż przede mną...

– Co takiego? – Henrik odwrócił się od deski, wtykając kciuk w dziurkę od guzika tweedowej marynarki, wyraźnie poruszony. – Kogo zastrzelili?

– Rosyjskiego oficera.

– Mój Boże... – szepnął Henrik, a jego chuda twarz wydłużyła się tak bardzo, że oczy prawie wyszły mu na wierzch. – Oskari, daj chłopcu koniaku, na miłość boską!

Nieco później tego samego wieczoru, kiedy Esko wracał pieszo do domu, spotkał go jeszcze jeden wstrząs.

– Wielka nowina, towarzyszu! – krzyknął ktoś, kogo twarzy nie widział w ciemności i jakaś dłoń wcisnęła mu do ręki egzemplarz gazety.

W Rosji bolszewicy przejęli władzę. Powstał nowy rząd Republiki Rad. W gazecie na pierwszej stronie wydrukowano opis szturm na Pałac Zimowy, wielkiej burzy, która miała wkrótce poruszyć cały świat:

Zapadła cisza, którą zaraz rozdarły trzy wystrzały. Stałiśmy oniemiały, czekając na salwę z pałacu, ale dobiegł nas tylko trzask potłuczonego szkła, którym przysypany był bruk. Okna Pałacu Zimowego były wybite i nagle przed nami pojawił się marynarz, który wykrzyknął, że to już koniec – wróg się poddał. Przebiegliśmy przez plac i wspięliśmy się na barykadę, którą tego samego popołudnia wzniesli obrońcy Pałacu, i za zwycięskimi marynarzami i członkami Gwardii Czerwonej weszliśmy do olbrzymiego budynku zdobionego czerwoną sztukaterią. Na końcu korytarza znajdowała się wielka, pełna złoceń sala, oświetlona kryształowymi kandelabrami. Pod ścianami na parkiecie leżały rzędy brudnych materacy i koców, na których spali obrońcy. Wszędzie pełno było niedopałków papierosów, kawałków chleba i pustych butelek z francuskimi etykietkami. Ściany pokrywały olbrzymie płótna w masywnych złotych ramach. Przedstawiały one sceny z historycznych bitew, stoczonych 12 października 1812 i 6 listopada 1812 roku. Wyblakłe i zniszczone obrazy stanowiły pamiątki wielkich zwycięstw carskiej Rosji. Teraz jesteśmy świadkami nie zwycięstwa cara, lecz wszechrosyjskiej rewolucji, która wzywa do broni wszystkie swoje dzieci i stanowi zapowiedź nowego świtu, którego blask wkrótce rozjaśni niebo nad Rosją.

Esko zadrżał na widok nazwiska wydrukowanego pod tekstem – jego autorem był Timo Vaananen. W ten sposób Esko po raz pierwszy od ponad szesnastu lat dowiedział się, co dzieje się z jego ojcem.

W następnych dniach w Helsinkach zabito wielu rosyjskich oficerów. Część z nich padła od strzałów na ulicach, innych utopiono w porcie. Jakiś dowcipniś przybił na drzwiach swego biura tabliczkę: „Szkola pływania dla oficerów”. Czerwoni uznali, że można bezkarnie polować również na przedsiębiorców i właścicieli majątków ziemskich i przystąpili do masowych samosądów. Esko dowiedział się, że Aleksander Diktonius uciekł nie tylko z Placu Senatu, ale w ogóle z Finlandii. Schronił się w Szwecji i na łamach „Hufvudstadsbladet” obwieścił światu, że przenosi operacyjne centrum swego imperium do Sztokholmu. Żegnaj, willo z kamiennymi gnomami, żegnaj, szanso na modernistyczny drapacz chmur, pomyślał Esko z gorzkim uśmiechem. Będę musiał poszukać innego milionera.

Pewnego dnia poszedł na spotkanie, by posłuchać przemówienia jednego z przywódców rewolucji bolszewickiej. Mimo swego niewątpliwego bohaterstwa i błyskawicznego wstępu ku sławie męczyzna czuł się wyraźnie nieswojo i nie zaskarbił sobie natychmiastowego uznania ze strony słuchaczy. W jego szarej, ospowatej twarzy w oczy rzucały się przede wszystkim gęste, sztywne wąsy. Mówił tępym, pozbawionym jakiegokolwiek zabarwienia głosem, który zadawał kłam ogromowi jego dokonań.

– Finowie, podobnie jak inne ludy dawnego imperium rosyjskiego, mogą teraz swobodnie kształtować swoją przyszłość – oświadczył.

Minęło parę chwil, zanim ludzie w pełni zrozumieli, co powiedział. Na widowni wybuchła wrzawa, zewsząd rozbrzmiewały okrzyki radości. Słuchacze wyrzucali czapki wysoko w powietrze i klepali się po plecach, powtarzając słowa człowieka, który, jak dowiedział się później Esko, nazywał się Józef Stalin.

– Jeżeli chcecie naszej pomocy, otrzymacie ją – ciągnął Stalin. – Wyciągamy do was pomocną dłoń, towarzysze!

Jego głos odbijał się echem od sufitu i niósł po całej sali. Z rękoma zaciśniętymi na pulpicie, stał bez ruchu, tępym wzrokiem wpatrując się w szalejący z radości tłum i nie reagując na trwającą kilka minut owację.

– Naprzód, towarzysze, zmierzajmy prostą drogą do nowego socjalistycznego porządku! – wykrzyknął, kiedy sala ucichła.

Jego słowa powitał ryk uznania. Po Stalinie na mównicę wchodzili kolejno inni członkowie partii socjalistycznej. Delegat fabryki tekstylnej w Tampere domagał się zdecydowanej akcji przeciw właścicielom tkalni, rosyjski żołnierz dzielił się swoimi wspomnieniami z dni buntu floty wojennej, jakaś kobieta, potrząsając pięścią, mówiła o roli, jaką ona i jej towarzyszki spodziewały się odegrać podczas rewolucji.

Następnie za pulpitem stanął ojciec Esko. Timo był potężniejszy i bardziej imponujący niż kiedyś. Przytył, ale nadal wyglądał dobrze i zdrowo. Był starannie ogolony, miał na sobie eleganckie, dobrze skrojone ubranie i buty ze świetnej skóry. Jego włosy były długie i białe jak śnieg. Kąciki szerokich, skorych do uśmiechu ust drżały lekko, kiedy czekał, aż aplauz ucichnie. Nie ulegało wątpliwości, że znajdujący się w tej sali ludzie doskonale go znają.

– Przyjaciele, towarzysze, żyjemy w niezwykłych czasach – zaczął cicho. – Stoimy przed wielką historyczną przemianą. Jak powiedział już towarzysz Stalin, Finlandia jest wolna!

Ostatnie słowo zabrzmiało jak grzmot i Timo zwrócił twarz ku reflektorom, palącym się tuż pod sufitem. Sala zahuczała radością i podnieceniem.

– Ale wolna dla kogo? Dla bogaczy? Dla spekulantów? Dla tych, którzy zbijają fortuny, odmawiając wam chleba? Nie. Mówię – nie!

Pochylił się lekko, jakby zamierzał ująć pulpit w obie dłonie i rzucić nim przed siebie, aż do końca sali. Esko ujrzał tysiąc twarzy, na których malował się podziw dla Timo.

– Finlandia musi być wolna dla wszystkich! Tu, na ziemi, w naszym kraju zbudujemy królestwo wspanialsze niż to, które obiecują nam duchowni, państwo, za które nie żał będzie umierać, jeśli okaże się to konieczne! Jeżeli trzeba będzie rozlać krew, to niech tak będzie! Niech popłynie krew! Za długo byliście traktowani na równi z psami, towarzysze! Nadszedł wreszcie czas, aby się odgryźć! Przypomnijcie sobie słowa wielkiego francuskiego rewolucjonisty Dantona: „Tylko śmiałość

przewycięża lęk”! Tak jest, tylko śmiałość! Musicie uderzyć, teraz, jako pierwsi i bez lęku! Finlandia należy do was, wystarczy wyciągnąć po nią ręce! Chwyćcie ster państwa w dłonie, bo słusznie wam się należy! Bądźmy okrutni i nie skąpmy krwi!

Esko nigdy nie widział takiego szaleństwa jak to, które rozpełtało się w sali.

– Śmierć bogaczom! – wrzeszczał młody człowiek obok Esko.

– Rewolucja! Rewolucja! – krzyczał wsparty na lasce przygarbiony staruszek.

Mężczyźni znieśli Timo z mównicy i unieśli go wysoko na ramionach. Szyby w oknach drżały od okrzyków. Na twarzy Timo malował się surowy, zdeterminowany wyraz. Wydawał się w pełni świadomy władzy nad tłumem i zadowolony z jej posiadania.

Reakcja tłumu uświadomiła nagle Esko, jaka przyszłość czeka go w Helsinkach. Finlandia parła do wojny domowej, było to najzupełniej oczywiste. Esko zrozumiał, że jego kraj lada dzień pograży się w szaleństwie, które trzy lata temu rozpełtało się w Europie. Finlandia stała na skraju konfliktu, w którym Esko nie miał zamiaru uczestniczyć. Z równą nieufnością patrzył na pozorną układność Białych, co ekstremizm Czerwonych. W twarzy Timo, Stalina i otaczających go rozwrzeszczanych ludzi dostrzegł niezłomną wolę walki, walki na śmierć i życie, gotowość poniesienia wszelkich możliwych poświęceń za cenę osiągnięcia wielkich marzeń i nadziei. Wszyscy oni byli fanatykami, pragnącymi zmienić bieg historii. Esko wiedział, że w Finlandii dzieje się wiele zła, ale to, co widział, na pewno nie niosło obietnicy spokojnego naprawiania krzywd.

Na zewnątrz śnieg sypał z czarnego nieba, śnieg tak gęsty, że Esko przystanął i przysłonił oko, usiłując dojrzeć coś w zamieci. Za nim nadal brzmiały bojowe okrzyki. Ktoś zaczął śpiewać i tłum podjął pieśń, nie była to jednak *Marsylianka*, hymn wolności, lecz *Międzynarodówka*. Finowie śpiewali komunistyczny hymn i Esko miał wrażenie, że w Helsinkach powiał obcy wiatr. Nadchodził chaos. Budynki, które sobie wymarzył, które przeniosły się z zakamarków jego wyobraźni na kartki

notesu, nigdy nie powstaną w Helsinkach. Przez wiele lat Finowie nie będą nic budować, pomyślał. Architekci nie będą tu potrzebni.

Następnego dnia rano udał się prosto do biura podróży. W zakurzonym pomieszczeniu głośno tykał wiszący na ścianie zegar. Za biurkiem siedział młody mężczyzna w wieku Esko.

– Do Ameryki? – zapytał nosowym głosem, nie podnosząc wzroku. – Nie ma żadnych statków do Ameryki.

– Muszą być – odparł Esko, starając się nie traktować tych bzdur poważnie.

Urzędnik podniósł wreszcie oczy i podrapał się po nosie stalówką pióra.

– Mówię panu, że z Helsinek nie odpływają teraz żadne statki.

– Wiem – rzekł spokojnie Esko, bo nie miał zamiaru dać się wyprowadzić z równowagi. – A ze Sztokholmu?

– Ze Sztokholmu także nie odpływają teraz statki do Nowego Jorku. – Urzędnik uśmiechnął się z ponurym triumfem. – Nie słyszał pan, że jest wojna?

Esko puścił tę prowokacyjną uwagę mimo uszu.

– Więc może ze Sztokholmu do Liverpoolu?

Młody człowiek spuścił głowę, chrząknął i zaczął skrobać coś na kartce papieru.

– Mogę popłynąć ze Sztokholmu do Liverpoolu? – powtórzył Esko.

– Tak, to możliwe.

– A z Liverpoolu do Nowego Jorku?

Urzędnik westchnął ciężko i zaczął tłumaczyć nieustępliwemu klientowi, jak wielką głupotą jest wybieranie się w podróż w tak niebezpiecznym okresie. Ameryka pod wodzą prezydenta Woodrowa Wilsona przystąpiła do wojny i drapieżne U-Booty Kaisera patrolowały wszystkie szlaki wodne na Atlantyku.

– Chcę wykupić bilet – oświadczył Esko.

– To będzie sporo kosztować. – Urzędnik wsadził sobie do nosa brudny paznokieć.

– Popłynę czwartą klasą. Mam pieniądze.

– Niech pan przypomni sobie „Lusitanię” – rzekł urzędnik, który właśnie wygrzebał coś z nosa, uważnie obejrzał znalezisko

i przyklepił je do spodu blatu biurka. – Poszła na dno w niecałe dziesięć minut, a razem z nią tysiąc dwustu pasażerów. Zginęli straszną śmiercią. Pan na pewno też zginie.

– Posłuchaj mnie, przyjacielu – warknął Esko, chwytając urzędnika za klapy marynarki. – U-Boot przypomina fińskiego niedźwiedzia, który nie bardzo lubi zimę. Natomiast ja nie dbam, jak wielkie ryzyko podejmuję. Jadę do Ameryki, a ty sprzedasz mi bilet, rozumiano? Czwarta klasa, w jedną stronę.

Jak na Esko była to długa przemowa, ale najwidoczniej perspektywa pozostawienia za sobą Starego Kontynentu natchnęła go śmiałością.

– Zrozumiano?

Urzędnik wysunął do przodu szczękę i zmarszczył nos.

– Proszę wypisać bilet – rzucił Esko. – W tej chwili.

Młody człowiek westchnął, chrząknął i bez słowa sięgnął po pióro.

Niedługo potem Esko brnął przez śnieg do hotelu Kamp, w którym, jak wiedział, mimo tak wczesnej pory miał wielką szansę zastać Oskarię Brombergą. I rzeczywiście, Oskari siedział przy swoim stoliku, pod olejnym obrazem przedstawiającym trzech błyskotliwych i przystojnych fińskich intelektualistów, którzy wydawali się myśleć głównie o sztuce oraz śmierci. Ze śmiechem podnosił do ust francuski rogalik. Wyglądał na trochę zmęczonego i niewyspanego, lecz pełnego zwykłej energii. Obok niego siedziały dwie piękne młode kobiety i Oskari zwracał głowę raz ku jednej, raz ku drugiej, jakby nie mógł zdecydować się, czy ugryźć którąś z nich, czy posmarowany dżemem rogalik. Esko rozpoznał jedną z towarzyszących Brombergowi piękności – miała czerwone jak płomień włosy, uczesane w kok i była aktorką szwedzkiego teatru. Widział ją w jakiejś sztuce Ibsena.

– Esko! – wykrzyknął Oskari. – Siadaj, chłopcze! Masz taki wyraz twarzy, jakbyś właśnie podjął ważną decyzję! Patrzysz na mnie jak kot na miseczkę śmietanki, aż się boję! A może to ja jestem kotem? Niegrzecznym kocurem? Miau, miau! Co wy na to, moje panie? Czy Oskari jest niegrzecznym kocurkiem? Siadaj, Esko, siadajże wreszcie!

Esko przysunął sobie krzesło.

– Kawy? – zapytał Oskari.

– Nie, dziękuję.

– Koniaku?

Esko pokręcił głową. Oskari z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Widzę, że coś leży ci na wątrobie, młodzieńcze.

– Oskari, wyjeżdżam do Ameryki.

– Do Ameryki? Naprawdę? – Oskari podniósł brwi ze zdziwienia, wytrzeszczając przy tym oczy i zachęcając obie kobiety, aby przyłączyły się do zabawy. – Co za niezwykły pomysł! I cóż spodziewasz się tam znaleźć?

– Szansę.

Oskari roześmiał się głośno. Wyciągnął z kieszeni skórzaną papierośnicę i poczęstował wszystkich przy stole.

– Mówię poważnie.

– Wiem, Esko, ty zwykle mówisz poważnie. Ale tym razem robisz błąd.

Esko pochylił się nad stołem.

– W Finlandii wybuchnie wojna domowa, Oskari. Przez wiele lat nikt nie będzie tu nic budował, a ja muszę budować, i to teraz. Coś wielkiego, coś wspaniałego...

– Och, naturalnie, ależ ze mnie głupiec! Teraz wszystko już rozumiem. Przyjedziesz do Ameryki, bez trudu umówisz się na rozmowę z jakimś bogaczem, a on bez wahania wypisze ci czek na tyle milionów dolarów, ile zażadasz.

– Jestem gotowy.

– Słuchaj, Esko, teraz ja mówię poważnie. Jesteś najbardziej utalentowanym kreślarzem i projektantem, jakiego znam, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Twoje projekty są śmiałe, świeże, nowoczesne... Jesteś także trochę... Jak by to ująć? Trochę naiwny. – Oskari wypuścił z ust chmurkę dymu. – Czeka cię wspaniała przyszłość, ale tu, w Finlandii. Henrik i ja przygotowujemy cię do niej.

Esko wiedział, że kiedy Oskari zaczyna sypać komplementami, nie oznacza to niczego dobrego.

– Nie mogę tu zostać – powiedział z determinacją. – Jeśli zostanę, skończę jako zero.

– O, mój Boże. – Oskari westchnął i przewrócił oczami. – Dobrze, Esko, porozmawiamy o tym bardzo, bardzo poważnie, ale nie dzisiaj, proszę. Błagam. Jutro, dobrze? Jestem starszy od ciebie, chociaż z pewnością nie mądrzejszy, i dzisiaj jestem bardzo zmęczony. – Poglądził nagie ramiona siedzących obok niego kobiet. – Więcej niż zmęczony, wycieńczony...

– Do widzenia, Oskari – rzekł Esko, odwracając się ze złością.

– Przepraszam pana... – odezwała się jedna z kobiet, rudowłosa aktorka.

– Tak? – Esko rzucił jej lekki uśmiech.

– Czy jest pan tchórzem?

Pytanie zabrzmiało ostro i krótko, jak wystrzał. Esko drgnął, zaskoczony. W pierwszej chwili chciał zaprotestować. Gdyby była pani mężczyzną, chciał powiedzieć, spoliczkowałbym panią albo wyzwał na pojedynek. Zamiast tego przełknął jednak obelgę, ponieważ wiedział, że nie ma ona nic wspólnego z rzeczywistością. Nie opuszczał Finlandii dlatego, że bał się wojny i śmierci, że nie podobał mu się snobizm Bromberga i jemu podobnych, czy tyrania, którą jego ojciec gotów był narzucić krajowi, byle tylko osiągnąć swój cel. Prześladował go widok rysujących się na tle nieba drapaczy chmur na Manhattanie, widok ekscytujących sylwetek smukłych wieżyc z kamienia, szkła i metalu, otoczonych niższymi budynkami. Marzył o tym, aby stworzyć podobny krajobraz w Helsinkach, ale wiedział, że nie zrealizuje tych marzeń, dlatego musiał wybrać inną drogę. Podjął decyzję i nie zamierzał z niej rezygnować. Pragnął zbudować drapacz chmur, musiał więc wyjechać do Nowego Jorku, gdzie drapacze chmur wyrastały jak grzyby po deszczu.

– Tchórzem? – powtórzył spokojnym, dumnym głosem. – Nie, proszę pani, nie wydaje mi się, abym był tchórzem.

Następnego dnia przyszedł do pracy bardzo wcześnie, gotowy do walki. Co mogą mi zrobić, myślał, przecież nie przykują mnie łańcuchem do deski. W biurze nie było jednak nikogo. Gdzie oni są, do diabła, pomyślał ze złością.

Z rękoma w kieszeniach chodził w tę i z powrotem po wyziębionym pokoju. Na ścianie wisiał szkic przedstawiający jedno

z najnowszych dzieł spółki Arnefelt i Bromberg, budynek mieszkalny na ulicy Museokatu, na tyłach Muzeum Narodowego. Jego budowę sponsorował człowiek, który zarobił miliony na handlu drewnem, a może śledziami... Rysunek był naprawdę piękny, wykonany w charakterystycznym dla Oskariego stylu. Imponował dbałością o szczegóły, lekkością i miękką, płynną kreską, którą z taką łatwością posługiwał się Oskari, jeśli tylko się zmusił, aby usiąść za deską kreślarską. A jednak równie dobrze mógł to być szkic narysowany dwadzieścia lub więcej lat temu, wierny stylowi H.H. Richardsona czy Normana Shaw, całego pokolenia architektów, którzy pracowali w monumentalnym kamieniu. Stanąwszy pod jedną ze zwisających z sufitu olejowych lamp, Esko pomyślał, że on sam nakreśliłby zupełnie inny projekt tego samego budynku. Jego wyobraźnia zaczęła natychmiast działać, poprawiając wszystko, co w rysunku wydawało mu się błędne i po prostu śmieszne. Budynek był ciężki, ołowiany, wyglądał tak, jakby ktoś z impetem rzucił go na ziemię, a przecież powinien wyrastać z niej i lekko wznosić się w górę, był pompatyczny i przysadzisty. Przyglądając mu się, Esko poczuł przygniatającą wagę więzi łączących ludzi takich jak Oskari z bezużyteczną przeszłością, przeszłością, która mimo całej ich inteligencji i wyrafinowania wlokła się za nimi niczym kula u nogi. To właśnie oni wpędzili Finlandię w kłopoty i doprowadzili na skraj katastrofy. Esko zdawał sobie sprawę, że w jego kraju wybuchnie wkrótce wojna domowa, a po jej zakończeniu powróci dawny porządek. Potrząsnął głową, zdumiony, że nigdy nie widział tego tak wyraźnie. Powinien już od dawna być w Ameryce. Odbył studia w Paryżu, podróżował po Niemczech, Włoszech, Francji, Anglii i Szkocji, pracował w najbardziej prestiżowym biurze architektonicznym w Helsinkach i jeszcze niedawno, patrząc wstecz, był przekonany, że pokonał długą drogę. Dopiero teraz z całą jasnością pojął, że stoi na jej początku.

Z zamyślenia wyrwało go głośnie trzaśnięcie drzwiami.

Henrik strząsnął śnieg z parasola, powiesił palto i padł na krzesło przy desce kreślarskiej. Jego zachowanie wydało się Esko co najmniej dziwne. Henrik zawsze stał wyprostowany za

deską, nigdy nie pracował siedząc na krześle. Zwykle był surowy, poważny, sztywny i zdecydowany, teraz zaś ręce mu drżały, długa twarz była śmiertelnie blada i robiła wrażenie zapadniętej.

– Henriku, źle się czujesz?

Spuścił głowę.

– Dzień dobry, Esko – powiedział roztrzęsionym głosem. – Na pewno wiesz, że teraz zostaniesz współnikiem. Przynajmniej tyle dobrego z tego wyniknie...

– Wyjeżdżam do Ameryki, to nieodwołalna decyzja – rzekł Esko, który nie zamierzał dać się przekupić. – Przykro mi, ale jestem całkowicie zdecydowany.

– Do Ameryki? – Zaczerwienione, udręczone oczy Henrika patrzyły na niego ze zdumieniem. – Nic nie rozumiem...

– Nie mogę przyjąć twojej propozycji.

Na zewnątrz z hałasem przetoczył się tramwaj. Henrik zapadł się w krzesło, jakby coś wyszło nagle z jego ciała wszystkie kości. Esko nie wiedział, co robić – liczył, że Henrik odniesie się do jego postanowienia z większym zrozumieniem.

– Ty i Oskari okazaliście mi wiele serca – odezwał się. – Zdaję sobie z tego sprawę i jestem wam za to szczerze wdzięczny.

Henrik pokręcił głową.

– Tyle pracy... Przede wszystkim nowy plan miasta... Musimy od razu wziąć się do roboty, bo to najważniejsza sprawa...

Esko zmarszczył brwi, bardziej zaskoczony niż zirytowany. Czy Henrik w ogóle go nie słuchał?

Drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wpadł młody mężczyzna. W ręku trzymał futrzaną czapę, za jego plecami powiewały poły długiego futra. Był to Klaus, syn Henrika, wysoki, jasnowłosy, przystojny, z płatkami śniegu lśniącymi na gęstych, pięknie przystrzyżonych wąsach.

– Ojciec, dopiero przed chwilą dostałem wiadomość! Tak mi przykro... To straszne, po prostu straszne! – wyrzucił z siebie, przyciskając końce wąsów dolną wargą. – Trzymasz się jakoś, Esko?

Esko dopiero w tej chwili pojął, że wydarzyło się coś okropnego.

– Słyszałeś chyba, co się stało? – zapytał Klaus, widząc wyraz niepewności na jego twarzy.

Esko potrząsnął głową.

– Oskari zginął, został zastrzelony wczoraj wieczorem. Dwóch Czerwonych zamordowało go pod jego domem.

– Oskari nie żyje?!

– Jeden przytrzymał go za ramię, a drugi strzelił mu prosto w twarz. Żona Oskariego wybiegła na ganek, zaniepokojona hałasem. Skonał w jej ramionach.

3

– Oczywiście, że musisz jechać do Ameryki – powiedział Klaus, kiedy obaj z Esko schodzili ze wzgórza w kierunku portu. Przed chwilą odwieźli Henrika taksówką do domu i Esko dobrze wiedział, co go teraz czeka. Klaus zamierzał uraczyć go krótkim, ironicznym wykładem. – Naturalnie, że musisz, nie masz przecież innego wyjścia. Oskari nie żyje, na ulicach szaleją mordercy, mój ojciec najprawdopodobniej przeżywa ciężkie załamanie nerwowe, więc to doskonały moment na wyjazd, nie mogłeś wybrać lepszego. Ja natomiast właśnie teraz się zacho-
chałem.

Esko nie mógł przestać myśleć o Oskarim. Czuł się jak ostatni głupiec, chociaż w gruncie rzeczy to morderstwo w ostateczny sposób wyjaśniało sytuację, w jakiej znalazł się kraj. W Finlandii jeden Fin z satysfakcją podrzynał teraz drugiemu gardło lub strzelał mu w łeb, tak właśnie Czerwoni rozprawili się z Brombergiem. Finlandia była niewielkim lasem, w którym niedźwiedzie i wilki miały lada chwila skoczyć sobie do gardeł i pozagryzać się w morderczej walce. Esko nie miał żadnych wątpliwości, że decyzja o wyjeździe jest najlepszą, jaką mógł podjąć.

– Tylko to nie jest odpowiedni moment – rzekł Klaus.

– Wkrótce wybuchnie wojna.

– Właśnie dlatego nie jest to odpowiedni moment. – Przy każdym oddechu przed ustami Klause pojawiał się obłoczek pary. Pogładził wąsy osłoniętą rękawiczką dłonią. – Och, co za

cholema sytuacja... – mruknął, patrząc na zamrożnięte wody portu.

Mróz lśnił na masztach schwytanego w pułapkę lodu statku. Była druga po południu grudniowego dnia, godzina krótkotrwałego zimowego światła. Powietrze było czyste i ostre, a rysujące się przed idącymi śmiesznie wydłużone cienie podskakiwały na śniegu, potem zaś zaczęły wspinać się na czerwono-żółtą ścianę ratusza. Klaus trącił Esko łokciem w bok.

– Zmarzłem na kość – powiedział. – Chodźmy się czegoś napić.

Gadatliwy, pogodny i pełen poczucia humoru Klaus stanowił całkowite przeciwieństwo konserwatywnego ojca, po którym odziedziczył tylko niezwykle regularne, arystokratyczne rysy. Klaus drwił i z cara, i z zakochanych w *Kalewali* fińskich nacjonalistów. Kpił z tryskających energią Niemców i sztywnych Brytyjczyków, a ze szczególną satysfakcją wyśmiewał bolszewików. Lubił powtarzać, że żadnej rzeczy nie traktuje serio, chociaż Esko wiedział, iż istnieją sprawy, do których Klaus ma bardzo poważny stosunek. Jedną z nich było pisanie – Klaus publikował wiersze w wielu czasopismach literackich i pisywał teksty do fińskich i szwedzkich gazet, sprzedał też scenariusz filmowy pewnemu producentowi ze Sztokholmu.

W drodze na rynek Klaus uprzejmie witał się z mijającymi ich przechodniami. Zdejmował kapelusz na widok pań i robił zabawne miny do dzieci. Posiadał niezwykłą zdolność swobodnego traktowania wszystkiego i wszystkich. Wydawało się, że zawsze czuje się dobrze i w każdej sytuacji zachowywał się całkowicie naturalnie. Ze swoim wyglądem szlachetnie urodzonego wikinga był duszą każdego towarzystwa i Esko często myślał, że w osobie Klause dane mu było spotkać najrzadziej spotykane stworzenie na świecie – szczęśliwego, zadowolonego z siebie i z życia Fina. Esko zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa – jeśli ktokolwiek był w stanie nakłonić go do rezygnacji z wyjazdu, to tym kimś był właśnie jego przyjaciel.

– Uważaj! – rzucił Klaus, ramieniem odsuwając Esko z drogi ciężarówki, która obsypała ich śniegiem spod kół. – Chodzisz

z głową w chmurach, przyjacielu. Prawdę mówiąc, nie ma w tym nic złego, wręcz odwrotnie, zawsze cię za to lubiłem.

Poznali się w Paryżu, w kinie, na pokazie filmu pod tytułem *Siedem śladów szatana*. Esko przypominał sobie, że była to naprawdę straszna historia, chociaż wtedy, w dniach, kiedy kino było dla niego nowym przeżyciem, ekscytowała go głównie pełna napięcia atmosfera mrocznej sali i wrażenie, że pojawiający się na ekranie ludzie i rzeczy biorą go w posiadanie na krótki czas trwania seansu.

– Jak myślisz, dlaczego się wtedy poznaliśmy? – zapytał Klaus, kiedy usiedli już przy stole, a kelner postawił przed nimi kieliszki.

– Obaj roześmialiśmy się dokładnie w tej samej chwili.

– I potem odwróciliśmy głowy i spojrzeliśmy na siebie przez kilka rzędów. A wiesz, dlaczego tak się stało? Bo jesteśmy Finami, przyjacielu. Dlatego odnaleźliśmy się w Mieście Luster.

Klaus nazywał tak Paryż i Esko uważał, że jest to niezwykle trafne określenie. Idąc paryską ulicą, prawie bez przerwy widział swoje odbicie, ponieważ zakochani w lustrach Francuzi umieszczali je wszędzie, we wszystkich witrynach sklepowych, oknach kawiarni i restauracji. Klaus twierdził, że wynika to z ich cudownej próżności i potrzeby obserwacji. Napisał nawet o tym krótki esej, zatytułowany *Dlaczego Francuzi w niczym nie przypominają Finów*.

– Nie wydaje ci się, że powinieneś zostać i walczyć za swój kraj? – odezwał się Klaus.

– Za jaki kraj?

– Za Finlandię, za Suomi.

– Daj spokój, dobrze wiesz, że i Biali, i Czerwoni gadają bzdury. – Esko zawsze był absolutnie szczery, kiedy rozmawiał z Klausem. Nie do końca rozumiał, dlaczego zostali przyjaciółmi i czego szukali w sobie nawzajem, wiedział jednak, że łącząca ich więź jest bardzo mocna, chyba nierozzerwalna. Klaus załatwił mu pracę w firmie Arnefelta i Bromberga, wprowadził go w krąg swoich znajomych, w pewnym sensie pomógł mu zdobyć uznanie w oczach wielu ludzi. – Są takimi samymi idiotami, nie sposób między nimi wybierać.

– Może i tak, ale musimy dokonać wyboru, bo to, co dzieje się teraz, ukształtuje naszą przyszłość.

– Wojna wszystko niszczy, nie buduje...

– Ale to będzie wojna w dobrej sprawie, przeciwko złu, jakim są bolszewicy.

– To twoja opinia. – Esko wychylił kieliszek do dna. – Ja nie będę walczył po żadnej ze stron.

Klaus rozejrzał się po sali. Przez hol przeszedł tragarz, taszcząc wielką skrzynię. W progu stał obdarty żebrak, zaś przy stoliku pod oknem dama w eleganckiej sukni spoglądała przez lorgnon na ułożone na półmisku plastry łososa, posypane drobnymi kawałkami lodu.

– To są twoi rodacy, to jest twoja ojczyzna.

Esko nie po raz pierwszy pomyślał, że Klaus zna go chyba lepiej niż on sam siebie. Czy będzie tęsknił za Finlandią? Na pewno. Będzie mu brakowało twarzy, światła, śniegu, być może nawet zimowych ciemności. Nie wątpił, że wyjazd do Ameryki będzie miał dla niego długotrwałe, dramatyczne konsekwencje. I o to właśnie chodziło. Ta decyzja miała określić jego przyszłość, taki był w końcu jej cel.

– Moją ojczyzną jest architektura.

Klaus gwizdnął cicho.

– Teraz już wiem, że jestem w kłopotach. Padło wielkie słowo. Nie zdołam cię namówić, prawda? Cóż, trudno... Twoje zdrowie, Esko. – Podniósł kieliszek. – Życzę ci szczęścia, przyjacielu.

– Wiesz, że ja życzę ci tego samego.

Trącili się kieliszkami. Esko wyczuł, że Klaus pozwoli mu teraz złapać oddech i przystąpi do ataku dopiero po przegrupowaniu sił.

– Widziałeś już ten nowy film z Chaplinem?

Esko kiwnął głową.

– Jaki jest?

– Jak to Chaplin. Po wszystkim bierze dziewczynę na ręce i przenosi ją przez próg. Drzwi się zamykają, koniec filmu. Uroczy, jak zwykle. Lepiej opowiedz mi o swojej nowej dziewczynie. Mówiłeś, że się zakochałeś, stary draniu. Czyje serce złamiesz tym razem?

– Ta jest inna – rzekł Klaus, muskając palcem wąsy. – Mamy się pobrać. Wczoraj wieczorem przyjęła moje oświadczyzny.

Esko uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Cudownie! Gratuluję ci, chłopie! Bardzo się cieszę! – Przechylił się przez stół i mocno uściskał przyjaciela. – Ktoś cię w końcu złapał!

– Niewątpliwie. Nigdy nie przypuszczałem, że mogę być taki szczęśliwy.

– Jak długo znasz ten wzór cnót?

– Niedługo i wystarczająco długo. Wpadłem po uszy, Esko. – Klaus potrząsnął głową z pełnym zażenowania uśmiechem. – Nie przyszło mi do głowy, że mogę się aż tak zakochać. Miałem nadzieję, że będziesz moim przyjacielem, ale skoro jesteś zdecydowany wyjechać... – Podniósł dłoń, od razu zaprzeczając sugestii, jakoby usiłował wzbudzić w Esko poczucie winy. – Nie, nie, nie przejmuj się, nie powiem już ani słowa. I tak zawsze będziesz moim najlepszym przyjacielem i przyjacielem, nawet kiedy wyjedziesz.

Znowu trącili się kieliszkami i wypili. Po wódce Esko miał wrażenie, że gazowe latarnie na rynku palą się jaśniej niż zwykle.

– Bardzo cieszę się, że jesteś zakochany – powiedział. – I życzę ci, żebyś był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Czy przed wyjazdem mógłbym poznać twoją wybrankę?

– Oczywiście. W sobotę wieczorem zamierzam przedstawić Katerinę mamie i ojcu. Musisz koniecznie przyjść, twoja obecność pomoże nam przełamać pierwsze lody.

Esko dotknął wargami brzegu kieliszka.

– Katerina?

– Katerina Małyszewa. Jest Rosjanką.

– Naprawdę? – Wolna ręka Esko automatycznie zacisnęła się na ukrytym w kieszeni srebrnym lusterku.

Jego palce przesunęły się po szkle, sprawdzając, czy nie pękło. Było całe, co wydało mu się zupełnie niezrozumiałe, bo przecież przed sekundą jego serce wybuchło jak wielki pocisk i jego kawałki rozsypały się dookoła.

Służący wprowadził go do pustej jadalni. Esko włożył ręce do kieszeni i czekał, stanawszy plecami do pulsującego ciepłem niebieskiego kaflowego pieca. Z odległej części domu docierały wybuchy śmiechu i podniesione w radosnym podnieceniu głosy. Natychmiast zaczął dręczyć się myślą, że Katerina jest tutaj, pod tym samym dachem, i w towarzystwie Klause i jego rodziców ogląda właśnie dom narzeczonego. Próbował się pocieszać, że może to nie ona, że może ta Katerina Małyszewa nie jest, nie musi być jego Kateriną, że Katerina Klause nie ma zapewne nic wspólnego z piękną dziewczynką, z którą wiele lat temu tańczył na wiejskim jarmarku. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo przecież wyjeżdżał do Ameryki.

Zbudowana na początku wieku willa Henryka stanowiła niezwykle kosztowne połączenie wszystkich możliwych stylów architektonicznych, a tego wieczoru wyglądała wyjątkowo imponująco. Stół w jadalni nakryto najlepszym srebrem, najelegantszą zastawą i najwspanialszymi kryształami. Na gości czekały już krzesła z ciemnego dębu o wysokich, wąskich oparciach, z siedzeniami obitymi czerwoną skórą. Wiszące lampy miały prawie idealnie kwadratowy kształt, a ich lekko wklęsłe boki i spody z mlecznego szkła przyjemnie rozpraszały światło. W rogu jadalni nad upływem czasu czuwał stojący zegar, którego cichemu „tik” przytakiwało głośnie i dobitne „tak”.

Stół nakryto na dwanaście osób. Przy każdej zwiniętej w stożek serwetce znajdowała się karteczka z nazwiskiem. Esko miał usiąść na dawnym miejscu Oskariego Bromberga, co natychmiast wzbudziło w nim ponurą refleksję, że żona Henrika, która nie darzyła go zbyt dużą sympatią, miała nadzieję, iż to on odejdzie z kręgu żywych jako następny.

Jeden z pękatych kryształowych kielichów stał nierówno, więc Esko przykucnął i przesunął go lekko, milimetr po milimetrze, w skupieniu mierząc wzrokiem pozycję pozostałych nakryć. Wreszcie westchnął z zadowoleniem i podniósł się. Wszystkie pucharki stały na linii idealnego owalu, a odbijające się od ich powierzchni światło tworzyło bliźniaczy kształt na środku stołu.

– Doskonale – powiedział z uśmiechem, delikatnie uderzając palcem w brzeg kielicha.

– Więc to naprawdę ty!

Esko odwrócił się gwałtownie. Na policzki wyływał mu ciemny rumieniec. Jej głos brzmiał tak, jak go zapamiętał. Oczywiście był bardziej dorosły i może nieco bardziej miękki, ale ten sam – pełen rozbawienia, wyniosły, jej własny... Był to ten sam głos, który wypowiedział zaproszenie do tańca, i ten sam, który zawołał: „Przejeżdż go!”.

– Parę minut temu Klaus powiedział mi, że zaprosił swego przyjaciela Esko Vaananena, a ja pomyślałam: „Czy to możliwe, że jest to ten sam piękny, poważny chłopiec, którego kiedyś spotkałam?”. I oto mam cię przed sobą...

Policzki Esko płonęły.

Była wyższa, niż się spodziewał, i młodsza. W czasie ich poprzedniego spotkania zachowywała się w tak dojrzały, oparty sposób, że sądził, iż są w tym samym wieku, a może nawet Katerina jest nieco starsza od niego. Teraz uświadomił sobie, że musi mieć dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ubrana była w dopasowaną suknię z lśniącej czarnej satyny. Przegubów jej dłoni, palców i łabędziej bieli szyi nie zdobiła żadna biżuteria. Gęste włosy, ciemniejsze, niż pamiętał, obcięte miała krótko, jak chłopiec, i fryzura ta uwydatniała subtelny kształt głowy. Ubiór i cała sylwetka świadczyły o elegancji i bogactwie, był w niej jednak jakiś cień dzikiego, nieokiełzanego ducha, istoty zranionej, niepewnej i przenikniętej cierpieniem. Esko nie potrafił oderwać od niej wzroku. Lekkim krokiem obeszła stół, przesuując po obrusie smukłymi dłońmi o cudownie długich palcach, cicho podśpiewując jakąś melodię. Kiedy zbliżała się ku niemu, wychodząc z mroku, jej oczy błyszczały. Esko poczuł, jak krew przemienia się we wrzącą lawę, a mięśnie napinają się wokół żył, jak u gotującego się do odparcia ataku zwierzęcia. Przez ostatnie piętnaście lat życia prawie codziennie myślał o Katerinie, chociaż w gruncie rzeczy nigdy nie przypuszczał, że jeszcze się spotkają. Nie był w stanie wyobrazić sobie takich okoliczności, w jakich jego wielkie marzenie mogłoby się spełnić, i oto teraz stał bez ruchu, zlany

potem, onieśmielony i całkowicie bezradny w obliczu jej delikatnej, kruchej urody.

– Nic mi nie powiesz? Nie pamiętasz mnie? Nazywam się Katerina, Katerina Małyszewa...

– Wiem – odparł załamującym się głosem.

– Tak? – Rzuciła mu promienny uśmiech. – Klaus mówi, że jesteś architektem i pracujesz razem z jego ojcem. Co sądzisz o tym domu? Jest piękny, prawda?

Nim Esko zdołał się powstrzymać, instynktownie wzruszył ramionami, dając wyraz swojej opinii. Katerina wybuchnęła śmiechem.

– To także zapamiętałam – powiedziała. – Tamten chłopiec z blizną na twarzy był absolutnie szczery, nie potrafił niczego ukryć.

Esko znowu się zaczerwienił. Wszyscy dostrzegali przede wszystkim jego blizny.

– A więc jest pan nowoczesnym architektem, panie Vaananen, czy tak? Założę się, że gdybyś mógł, zburzyłbyś dom biednego starego Henrika.

Uśmiechnął się, ponieważ po raz pierwszy ktoś przy nim nazwał jego szefa „biednym starym Henrikiem”, i to w dodatku tonem, który wskazywał na całkowity brak szacunku. Dzięki temu dalej mógł być szczery.

– Nie jest to dom, jaki sam bym wybudował.

– Nie? Jaki jest dom pańskich marzeń, panie Vaananen?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Proszę się zastanowić. Teraz, dla mnie.

Stała teraz dokładnie naprzeciwko niego i patrzyła mu prosto w oczy. Intensywny zapach jej perfum otaczał go ze wszystkich stron, mamił zmysły.

– Dom? – powtórzył, przymykając oko.

– Właśnie. Cóż by innego?

– Architekci projektują również inne budowle.

– Nie wątpię.

– Dom dla mnie czy dom dla ciebie? – zapytał.

– Dom dla ciebie.

Jej zapach przywodził mu na myśl letni dzień, nagrzaną łąkę

tuż przed zachodem słońca. Nagle uświadomił sobie, że to dziwne, iż on, architekt, nigdy dotąd nie pomyślał o zaprojektowaniu własnego domu. Otworzył oko i uroda Kateriny poraziła go niczym cios w żołądek. Nie był teraz w stanie myśleć o architekturze, jej bliskość wprawiała go w najprawdziwsze upojenie.

– Pięknie wyglądasz – rzekł. – Dużo piękniej niż w moich snach. Często o tobie śniłem, Katerino. Ale twoje włosy...

– Musiałam je obciąć – rzuciła ostro. Jej oczy zabłyśły gniewem.

– Przepraszam. Zdenerwowałem cię.

– Nieważne. – Znowu się uśmiechnęła, lecz teraz uczyniła to z wyraźnym wysiłkiem.

Jej nastrój w jednej chwili uległ zmianie. Zadrżała.

– Zimno ci?

– Trochę.

– Przyniosę coś do okrycia ramion – rzekł Esko i odwrócił się ku drzwiom.

– Nie, Esko, zostań. – Chwyciła go za rękę i lekko ścisnęła. Dźwięk jego imienia w jej ustach głęboko nim poruszył. – Nie przejmuj się, nic mi nie jest. Lada chwila zjawią się tu pozostali...

Zegar w kącie jadalni wydał kilka głośnych tyknięć i zaczął wybijać godzinę. Katerina nadal patrzyła Esko prosto w oczy. Jej spojrzenie było tak przenikliwe, że cofnąłby się, gdyby nie trzymała go za rękę. Zastanawiał się, czego szuka w jego twarzy.

– Byłeś bardzo odważnym chłopcem. Miałeś mnóstwo powodów, aby czuć strach, a jednak zdołałeś go pokonać.

– Wcale nie czułem się wtedy odważny.

– Ale byłeś. Dałam ci lusterko, pamiętasz?

– Zawsze mam je przy sobie, w kieszeni – odparł.

W tej chwili drzwi otworzyły się szeroko i Katerina odwróciła się na pięcie. Do jadalni wszedł uśmiechnięty Klaus, prowadząc pod ramię matkę. Jej twarz rozjaśniła się na widok Kateriny (Esko pomyślał, że jest to zupełnie zwyczajna reakcja), lecz do przyjaciela syna zwróciła się z wyrazem niemożliwej do ukrycia niechęci w oczach. Esko nigdy nie potrafił zrozumieć, co zrobił, że wzbudzał w niej tak silną antypatię.

– Ach, pan Vaananen, jakże mi miło – powiedziała, mierząc go zimnym wzrokiem, zupełnie jakby rozważała, jaki rozmiar trumny będzie dla niego najlepszy. – Nigdy jeszcze nie widziałam pana w tak eleganckim stroju. Czy zna pan Katerinę?

– Och, mamó, przecież to zupełnie bez sensu – wtrącił Klaus. – Jakim cudem mogliby się znać? Wiesz, że Katerina zaledwie tydzień temu przyjechała z Piotrogradu. – Z aprobatą spojrział na Esko. – Muszę przyznać, że rzeczywiście wyglądasz imponująco. Nie kupiłeś chyba smokingu specjalnie na dzisiejszy wieczór?

– Nie, doszedłem do wniosku, że przyda mi się na statku – odrzekł Esko.

Powtarzał to sobie wiele razy, kiedy po południu wypisywał czek w eleganckim sklepie w Budynku Diktoniusa. Nie robię tego dla niej, myślał, bo to byłoby zupełnie absurdalne – nie wiem nawet, czy to rzeczywiście ona. Kilka razy odwieszał smoking i znowu po niego sięgał. Nie uznawał próżności, gardził nią, ale tak czy inaczej kupił smoking. Przyda mu się na statku.

– Kochanie – powiedział Klaus, ujmując dłonie Kateriny i całując ją w usta. – To jest mój przyjaciel z Paryża – Esko Vaananen.

– Ach, tak. – Pełnym wdzięku gestem podała Esko dłoń, zupełnie jakby nigdy dotąd nie zamienili ze sobą ani słowa. – Pan Vaananen... Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać.

– Stary Esko jest człowiekiem o bardzo skomplikowanym i tajemniczym charakterze – rzekł Klaus, biorąc narzeczoną w ramiona i uśmiechając się do niej. – Bywa milczący, burkliwy, bardzo nieśmiały i łatwo się gorszy. Z drugiej strony, uwielbia kino i czasami demonstruje ogromny urok, z którym przyszedł na świat. Uważaj więc, moja droga. Nikt nie zarzucił mu jeszcze elegancji, ponieważ Esko zwykle gardzi tak przyziemnymi sprawami jak strój.

– Jestem pewna, że pan Vaananen posiada wiele talentów, o których nikt z nas nie ma pojęcia. – Katerina obdarzyła Esko czarującym uśmiechem.

Zażenowany Esko utkwiał wzrok w czubkach swoich wypolerowanych butów i do końca kolacji milczał jak zakłęty. Uśmie-

chał się, pił i kiwał głową, słuchając Henrika, który rozprawiał o ostatnich wydarzeniach politycznych, o zagrożeniu ze strony Czerwonych, o zabójstwie szwedzkiego bankiera i o biednym, drogim Oskarim. Katerina siedziała obok pełnego uwielbienia Klausea i Esko ledwo ośmielał się na nią patrzeć. Za każdym razem, gdy podnosił wzrok, Katerina wydawała się nie widzieć nikogo poza Klausem. Ona także prawie nie brała udziału w ogólnej rozmowie i Esko zastanawiał się, co tak bardzo odmieniło jej nastrój. Wydawało mu się niemożliwe, aby była to uwaga o włosach. Był pewien, że Katerina nie jest próżna, ponieważ do swojej wielkiej urody miała stosunek chłodny, omalże obojętny. Nie mógł jej zrozumieć, tymczasem ona najwyraźniej czytała w nim jak w otwartej książce.

Po kolacji wzięła go na stronę.

– Życzę panu dobrej nocy, panie Vaananen. Jestem szczęśliwa, że mogłam pana spotkać – mówiła miękkim, nieco zachrypniętym i przyciszonym głosem. – Przyjdź do mojego mieszkania jutro po południu. Ulica Fabianinkatu dziewiętnaście. O trzeciej.

5

Tej samej nocy rozpętała się potężna wichura. Szarpała masztami i olinowaniem statków w porcie, ze świstem zamiatała ulice, promenady i aleje, wyrywała z korzeniami drzewa i krzewy, rozrzucała zasy śnieżne i sypała nowe. Z parapetów, balkonów i tarasów budynków spadały kamienne ozdoby, kawałki cegły eksplodowały na trotuarach, pozostawiając w nich pęknięcia i zagłębienia, i poważnie raniąc tych, którzy mieli nie szczęście znaleźć się na ich drodze bez żadnej osłony. Słabe, trupioblade światło późnego świtu wydobyło z mroku opustoszałe, nienormalnie ciche ulice. W kilku miejscach leżały wywrócone powozy i rozbite auta, a jeden ze statków wiatr uniósł na grzbiecie i, zerwawszy cumy, rzucił go na bruk Placu Senatu.

Esko nie spał przez całą noc, ponieważ jeszcze przed północą

wyrwały go z łóżka odgłosy szalejącej za oknem wichury, świeże wspomnienia minionego wieczoru, na zawsze utrwalony w pamięci obraz twarzy Kateriny i marzenia o Ameryce. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie mu tam łatwo. Wiedział, że musi poznać kulturę o wiele młodszą oraz bardziej żywotną i prężną od jego własnej, nie mówiąc już o dalszej nauce języka, którego nie opanował zbyt dobrze. Wiedział też, że przez długi czas będzie samotny i ubogi. Do chwili ponownego pojawienia się w jego życiu Kateriny ta perspektywa bynajmniej go nie przerażała, teraz jednak czuł, że coś się w nim zmieniło, osłabł, stał się narażony na niebezpieczeństwa, do których od dawna nie przywiązywał wagi. Katerina wróciła i niczym magik uwolniła z zamknięcia roztrzepotanego ptaka, który był tęsknotą za miłością.

Esko nie miał żadnych złudzeń co do swojego wyglądu. Był brzydki. Życie codziennie przypominało mu o tym fakcie. Wciąż widział, jak ludzie przechodzą na jego widok na drugą stronę ulicy, aby nie musiał być świadkiem wstrząsu, jakiego doznali. W Paryżu, pod wpływem pełnego fantazji Klausea, zapuścił brodę i nosił aksamitny kapelusz z szerokim rondem, uważał jednak, że to „przebranie” jest upokarzające. Nie chciał udawać kogoś, kim nie był. Już w dzieciństwie nauczył się radzić sobie z odrazą, jaką czasami budził, chociaż zdarzało się, że po powrocie do domu siadał przy stole i opierał głowę na dłoniach, usiłując odbudować spokój i pewność siebie, zburzone pełnym obrzydzenia wyrazem czyjejś twarzy. Gniew prowadził tylko do drwin i okrutnych uwag, wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Próby ukrycia zniekształconej części twarzy wywoływały pytania, po których nieuchronnie pojawiała się zabarwiona odrazą litość. Przeżył to już setki razy. A jednak właśnie reakcja Kateriny czyniła go całkowicie bezbronnym, być może dlatego, że Katerina uwolniła go ze ślimaczej skorupy. Bez cienia ironii nazwała go pięknym. Siedząc przy stole i słuchając gwizdania wiatru, uświadomił sobie, że właśnie na tym polegała różnica między Kateriną i resztą świata – ona patrzyła mu prosto w oczy i dostrzegała w nim cechy, o których istnieniu nawet on nie miał pojęcia.

Wstał i przeszedł do kuchni po butelkę piwa. Wróciwszy na swoje miejsce przy stole, odkorkował ją, wyjął z kieszeni srebrne lusterko i ułożył przed sobą ołówki oraz papier. Był to rytuał, który odprawiał tysiące razy. Z lusterkiem pod ręką mógł rysować całymi godzinami.

Wziął do ręki ołówek i zatemperował go swoim *puukko*. Katerina, ta, która natchnęła go ambicją, wróciła i obudziła go do życia i do cierpienia. Do życia, bowiem całe jego ciało płonęło na jej wspomnienie, do cierpienia, ponieważ nie wyobrażał sobie, w jaki sposób mógłby stworzyć coś na tyle wspaniałego, by zasłużyć na tak piękną kobietę. Powiedział jej, że jest architektem, i była to prawda. Ale czego tak naprawdę dokonał? Zaprojektował jedną małą fabryczkę i papiernię nad jeziorem w pobliżu Savonlinna, były to jednak zlecenia tak skromne, że nawet nie ośmielił się wspomnieć o nich Diktoniusowi. To prawda, że kilka lat pracował razem z Oskarim i Henrikiem, poznając różne tajniki zawodu, lecz mimo wszystko żałował, że nie ma na swoim koncie prawdziwych osiągnięć, którymi mógłby jej zaimponować.

Przypomniawszy sobie chwilę, kiedy stanęła przed nim w domu Henrika – na ustach miała lekki uśmiech, jej oczy wydawały się zielone jak szmaragdy, a w powietrzu wciąż jeszcze unosił się cichy brzęk kryształu niczym piękny motyl.

Narysował ołówkiem koło, które przeciął na dwie połowy i dopiero wtedy uświadomił sobie, że jest to kominek, serce domu. Wokół kominka naszkicował pokój, potem schody wiodące na piętro. Teraz było już jasne, że projektuje dom, nie dom dla siebie, ale dla nich obojga. Podniósł wzrok i spojrzał na japońską rycinę, którą powiesił na ścianie zaraz po wprowadzeniu się do tego mieszkania. Zapragnął, aby projektowany dom miał w sobie choć odrobinę eleganckiego wdzięku i prostoty, jakie charakteryzowały drzeworyt. Musiał jednak zawrzeć w projekcie cechy Kateriny, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Katerina była smukłą piękną o wielkich oczach, kruchą, a jednak twardą, rozkazującą, tajemniczą władczynią jego snów. Zdecydował, że dom musi być jednocześnie dwoma domami – inny na zewnątrz i zupełnie inny wewnątrz. Będzie

prostą, surową konstrukcją, która dopiero po pewnym czasie ujawnia ukryte w niej wspaniałe skarby. Będzie podobny do Kateriny – strzelisty, otwarty, a jednocześnie tajemniczy i pełen sprzeczności.

Pragniemy piękna, pomyślał Esko, chociaż dobrze wiemy, że piękno niesie ból, ponieważ trudno mu sprostać i trudno je osiągnąć, a kiedy je na chwilę ujrzymy, cierpimy, że ta chwila nie trwa wiecznie. Chcemy, aby to, co tworzymy, było doskonałe, tak idealnie piękne, jak migdałowe oczy Kateriny, tak zapierające dech w piersiach, jak zamarzniete jezioro. I często nie jesteśmy w stanie zadowolić się niczym innym.

Doświadczenie seksualne Esko było niewielkie. W Paryżu Klaus zabrał go kilka razy do burdelu na Montparnasse. Esko pamiętał dziewczynę, która go tam obsługiwała – blondynkę o pociemniałym przednim zębem i długich włosach, opadających na czoło jak zasłona. Kiedy zapytał, co stało się z jej zębem, wzruszyła ramionami i powiedziała, że kiedyś jakiś mężczyzna uderzył ją prosto w usta. Na oburzenie Esko zareagowała kolejnym wzruszeniem ramion. Po chwili zwierzyła mu się, że pchnęła winowajcę w pierś nożem. Była zaradna i sprytna, miła, amoralna i ustępliwa. Uwielbiała szampana, ale nie nalegała, aby Esko go kupował. O kilka lat młodsza od niego, po seksie zachowywała się jak stara, doświadczona życiem ciotka i zasympywała go dobrymi radami i wskazówkami, najwyraźniej pragnąc, aby szybko się wzbogacił, odwiedzał ją często i regularnie, i oczywiście stawiał jej szampana. Przez cały czas ich znajomości ani słowem nie wspomniała o jego twarzy – najprawdopodobniej zakładała, że wszyscy są szpetni w taki lub inny sposób. Można powiedzieć, że była dziwką o filozoficznym podejściu do życia i sercu twardym jak wieża Eiffla. Na imię miała Catherine. Klaus nie krył zaskoczenia, kiedy Esko przestał ją odwiedzać.

– Jest ładna i lubi cię, dlaczego nie chcesz się zabawić?

Esko wzruszył ramionami i odparł, że burdele nie są dla niego.

Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że podświadomie unikał innych kobiet, ale teraz, gdy płonął z miłości do Kateriny, zaczął się nad tym zastanawiać. Uczucie spadło na niego jak

tona cegieł, jeszcze gorących, świeżo wyjętych z pieca. Mieszkający w jego duszy realista powtarzał, że przecież wcale nie zna swojej ukochanej, widział ją zaledwie dwa razy w życiu, lecz czy romantyczna miłość nie miała być właśnie taka? Porażająca jak błyskawica, jak tajemniczy napar, który całkowicie odmienia człowieka, jak obsesja, która odrywa swą ofiarę od rzeczywistości i posyła ją w górę, ku słońcu, jak nie do końca uformowany Partenon. Esko pomyślał, że w gruncie rzeczy spędził z Kateriną większą część swego życia, a jeśli nie z nią samą, to z jakąś wersją jej osoby, która na zawsze zamieszkała w jego sercu. Teraz miłość do niej nabrała cech namiętności i z każdą chwilą zyskiwała na sile, coraz gorętsza i bardziej bolesna, jakby wszystkie jego uczucia, których przedmiotem jeszcze poprzedniego dnia była architektura, teraz zogniskowały się na niej. Tęsknił za nią całą swoją świadomością, jego umysł błąkał się po wietrznych ulicach Helsinek w poszukiwaniu serca, które wydawało mu się równie rozdarłe i zranione jak jego własne, chociaż ręka nie przestawała kreślić projektu domu, gdzie obydwójce mogliby żyć i cieszyć się miłością.

Wstał i przeciągnął się. Większość informacji o Katerinie, jakie posiadał, pochodziła sprzed wielu lat. Teraz musiał się dowiedzieć, co Katerina myśli, na każdy temat, o sztuce, o architekturze, o życiu... Co sądzi o Brunelleschim, który w cudownej kopule florenckiej katedry osiągnął wszystko, co jego współcześni uznali za nieosiągalne? Jaka jest jej opinia o lekkich, eleganckich i wysokich biurowcach Louisa Sullivana? O niezwykłych, olśniewających projektach wewnątrz pełnych światła i przestrzeni, stworzonych przez Franka Wrighta. O katedrze Larsa Soncka w Tampere.

Roześmiał się, ponieważ nagle zdał sobie sprawę, że być może Katerina nic nie wie o architekturze. Pociągnął łyk piwa, na chwilę położył się na kanapie i zaraz znowu zerwał się na nogi, aby wrócić do stołu i projektu domu. Wyobraził sobie inne życie, życie, w którym on i Katerina razem stawiliby czoło wszystkim burzom tego świata.

I wtedy poczuł, jak cały jego optymizm rozwiewa się niczym obłok dymu. Podszedł do okna i przyglądał się, jak tramwaj

przejeżdża bezgłośnie u wylotu ulicy. Potem przemknęły duże sianie, równie ciche i szybkie. Kogo próbował oszukiwać? Katerina była obcą kobietą, piękną nieznajomą, która zamierzała wyjść za jego najlepszego przyjaciela. Klaus musiał jej się wydać o wiele bardziej atrakcyjny. Był przecież dowcipny, swobodny i naprawdę odważny, wszyscy go lubili i podziwiali, był znawcą opery i malarstwa, świetnie strzelał i recytował wiersze. Był wymarzonym następcą tronu na fińską skalę, dziedicem małego, rządzącego się nieco przestarzałymi zasadami, lecz mimo wszystko ludzkiego i uporządkowanego świata. Klaus był złotym chłopcem. W salonach Piotrogradu i Paryża czuł się jak w domu, był błyskotliwym, czarującym kochankiem. Wróżył z kart do tarota znudzonym damom i pocieszał je, kiedy wpadały w przygnębienie. Esko znał Klause od tej strony, ponieważ bywał z nim w wielu miejscach i widział jak ludzie, a szczególnie kobiety, rozkwitają w obecności jego przyjaciela. Nie dziwił się, że wszyscy lubią go i kochają. Esko również lubił i kochał Klause, wiedział też, że niezależnie od tego, czy darzy go sympatią, czy nie, nie ma szans jako rywal.

Nie, to bez sensu, pomyślał. Katerina nigdy nie wybrałaby jego, skoro miała Klause, nawet gdyby Esko okazał się wystarczająco głupi, aby postawić ją przed takim wyborem. Po co jednak miał narażać się na upokorzenie?

Usiadł na sofie i ukrył twarz w dłoniach. Nie pójdę się z nią zobaczyć, pomyślał, przyciskając palce do policzków. Byłoby to zupełnie bezcelowe. Zadrżał, zawstydzony, że pozwolił sobie na snucie tak dziecinnych i romantycznych marzeń o odwzajemnionym uczuciu ze strony Kateriny.

Podszedł do stołu, aby zniszczyć rysunek domu i głupią nadzieję, jaką symbolizował, kiedy jednak ręka dotknęła miękkiego papieru, zrozumiał, że nie potrafi tego zrobić. Ponownie zatemperował ołówek i zabrał się do pracy. Ulica Fabianinkatu 19, o trzeciej po południu – to musiało coś znaczyć. Był to tylko nikły płomyk nadziei, ale nie potrafił go zgasić.

Przez wiele godzin, podczas gdy wiatr wył rozpaczliwie i szarpał framugami okien, Esko balansował na ostrzu dzielącym nadzieję i rozpacz, przechylając się raz w tę, raz w drugą stronę.

W końcu, około jedenastej rano, nastał świt i miasto wypełniło dziwne, podobne do mgły światło. Wiatr ucichł, na szybach pojawiły się malowane ręką mrozu wzory i z nieba sypnęły duże, ciężkie płatki śniegu. Esko był zbyt zdenerwowany, aby pracować. Naciągnął wysokie, podszyte futrem buty, włożył futrzaną czapkę i palto, zwinął rysunki domu w rulon i włożył je do wewnętrznej kieszeni. Ruszył zdecydowanym, szybkim krokiem, jakby całkowicie panował nad swoim przeznaczeniem, nie zwracając uwagi na śnieg, który osiadał mu na policzkach, powiece i wargach.

6

Mimo długiego spaceru w gęsto sypiącym śniegu długie nogi Esko bez wysiłku pokonywały po dwa stopnie naraz. Kiedy dotarł na górę, zdjął czapkę, wetknął ją do kieszeni i usiłował się uspokoić. Krople potu spływały mu z głowy na szyję i dalej, na plecy. Chore oko przeszył ostry ból. Jego nerwy były naprężone do ostateczności. To niemożliwe, pomyślał, zupełnie niemożliwe. Lepiej, żebym stąd poszedł. To szaleństwo, powtarzał sobie, nie spuszczać wzroku z zielonych drzwi prowadzących do mieszkania Kateriny, lecz drzwi otworzyły się, zanim zdążył zapukać czy zbiec po schodach na dół.

– To ty – powiedział na jej widok, wkładając czapkę na głowę i wykonując bezradny gest rękoma.

– Nie uciekaj. – Uśmiechnęła się, natychmiast dostrzegając jego zdenerwowanie. – Tak, to ja. A kogo spodziewałeś się zobaczyć? Dziewczynę z księżycą? Obawiam się, że dzisiaj nie przyjmuje gości...

– Muszę już iść – rzekł Esko, z trudem wydobywając słowa z mocno zaciśniętego gardła. – Pada śnieg, bardzo gęsty – dodał i pochylił głowę.

– Dobrze się czujesz, Esko?

Napotkał jej spojrzenie i siły opuściły go zupełnie.

– Katerino... Wyjdź za mnie i wyjedźmy razem do Ameryki.

Mój Boże, pomyślał, dlaczego to powiedziałem? Przez chwilę czuł się wolny, swobodny, pijany.

– Proszę cię, Katerino... Wyjdiesz za mnie?

Jej uśmiech zniknął, jakby ktoś stał go z jej twarzy. Podniosła dłoń o szczupłych, długich palcach i położyła ją u podstawy szyi. Zaczerwieniła się i Esko pomyślał, że być może jego propozycja sprawiła jej przyjemność, zaraz jednak jej oczy zubożniały i Esko zrozumiał, że musi coś zrobić.

– Jeżeli chcesz, uklęknię przed tobą. Jeżeli chcesz...

– Proszę cię, nie rób tego – szepnęła, chwytając go za ramię. – Och, Esko... Tak mi przykro...

Esko się cofnął. W głębi serca od początku wiedział, jaka będzie odpowiedź, a jednak przyszedł tu i wyrzucił z siebie wyznanie, którego nigdy nie powinien był uczynić. Teraz jego nadzieje legły w gruzach.

– Oczywiście, masz rację. To niemożliwe, niemożliwe. Wybacz, muszę iść...

– Ty drzysz, Esko. Wejź, w mieszkaniu jest ciepło.

Esko czuł się tak, jakby powoli tonął w ciemnych, lodowato zimnych wodach jeziora, jakby całe ciepło i światło, które nosił w sobie, nagle zniknęły.

– Dziękuję, ale mam mnóstwo pracy, rysunki, pakowanie, przygotowania... – Zamilkł, ponieważ nie bardzo wiedział, co mówi. – Jutro wyjeżdżam.

– Proszę, wejź – powiedziała z uśmiechem. Wzięła go za rękę i próbowała wciągnąć do środka. – Chciałabym ci wszystko wyjaśnić.

– Nie musisz mi niczego wyjaśniać – odparł, nie ruszając się z miejsca. – Oświadczyłem ci się, a ty mnie odrzuciłaś. Wykazałem się wielkim brakiem rozsądku, spodziewając się, że mogłoby być inaczej.

– Straszny z ciebie uparciuch.

– To prawda, jestem bardzo uparty – oświadczył, jakby było to wielkie odkrycie. – Nigdy do nikogo nie będę czuł tego, co czuję do ciebie.

Także i te słowa były dla niego całkowitym zaskoczeniem.

– Nonsens.

– Mówię prawdę, Katerino. Nie obawiaj się, ta sytuacja już się nie powtórzy. Odrzuciłaś oświadczyzny, na które w innych

okolicznościach na pewno bym się nie zdobył, ale mimo wszystko jestem zadowolony, że to zrobiłem.

Katerina nie kryła głębokiego wzruszenia. Nie spuszczała oczu z jego twarzy, ale on nie chciał podnieść wzroku. Był wytracony z równowagi, zraniony i usiłował wziąć się w garść.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała.

Wytarł powoli buty o umieszczone przy drzwiach szczotki i wszedł za nią do ciemnego korytarza, pachnącego woskiem i jej perfumami. Przypomnił sobie Budynek Diktoniusa, gdzie perfumy lśniły jak klejnoty zamknięte w buteleczkach z pięknego szkła, ustawione na jednym z kontuarów, które mijał w drodze do windy.

– Pozwól, że to wezmę – rzekła, zdejmując palto z jego ramion. Jej palce zatrzymały się na zwiniętych planach domu, którego projekt naszkicował. – Co to takiego?

– Nic – odparł ze smutkiem. – Pracowałem nad tym dziś rano.

W jej zielonych oczach wyczytał pytanie, ale nie udzielił na nie odpowiedzi, z wewnętrznym westchnieniem żegnając się ze swoimi nierozsądnymi nadziejami.

– Posłuchaj... – Katerina zerknęła na zegarek. – Zaraz zaczną się schodzić ludzie. Ma się tu odbyć spotkanie.

Szybko wytłumaczyła mu, o co jej chodzi. Chciała, żeby przesunął wszystkie meble pod ściany.

– Zaprosiłaś mnie po to, abym pomógł ci z meblami? – zapytał, zły i zawiedziony, zupełnie jakby Katerina nie dotrzymała danej mu wcześniej obietnicy.

Rzuciła mu ostre spojrzenie, nie kryjąc irytacji.

– Oczywiście że nie – odparła.

– Więc dlaczego?

Podłoga pokoju pokryta była grubymi, ciemnymi dywanami, w mrocznych niszach stały puste półki na książki, a na środku dwie otomany obite kretonem w czerwono-czarny wzór. Przy drzwiach jaśniała otwarta klawiatura fortepianu, nad kominkiem cicho tykał pozłacany zegar. W kominku trzaskał ogień, roztańczając intensywny zapach sosnowego drewna, który mieszał się z aromatem smażonej ryby, docierającym tu z mieszkania na niższym piętrze.

Esko pomyślał, że ten pokój nie mówi nic o Katerinie. Nie było w nim żadnych książek, obrazów, zdjęć, ubrań czy choćby bałaganu. Wszystko wyglądało tak, jakby wprowadziła się tu wczoraj i była gotowa opuścić mieszkanie następnego dnia. Zielone oczy znowu wydały mu się nieodgadnione. Jej tajemnica pozostała niemożliwa do przeniknięcia.

– Pomożesz mi czy nie? – zapytała, chwytając oparcie otomany.

Esko poczuł się wielki i niezgrabny, nie tylko smutny, ale także wykorzystany. Mimo tego ujął kanapę z drugiego końca, i przez piętnaście minut ciężko pracował, przenosząc stoliki i krzesła, przesuwając fortepian i przestawiając ozdoby na parapet nad kominkiem i na puste półki. Nie było mu już zimno, wręcz odwrotnie, kiedy środek pokoju został wreszcie oczyszczony ze sprzętów, Esko spływał potem. Wtedy Katerina zaprowadziła go do kuchni i wskazała mu dużą tacę z dwiema butelkami wódki i kilkunastoma szklankami.

– Teraz mam być kelnerem? – zapytał.

– Dostałeś awans – odpowiedziała z chłodnym uśmiechem. – Uważaj!

Wkrótce do drzwi zaczęli pukać poważni, elegancko ubrani mężczyźni. Wycierali buty o szmatki, rzucali palta na stół w korytarzu i wchodzili do pokoju, gdzie witali się z przesadną serdecznością, stawali przy kominku, aby ogrzać ręce i plecy, lub podchodzili do okien, udając pochłoniętych ważnymi myślami, niecierpliwie spoglądając na zegarki i sprawdzając jakieś zapiski w notesach.

Esko, który przechodził między nimi z tacą, bez trudu rozpoznał te symptomy. Każdy z mężczyzn zakładał, że znajduje się w towarzystwie o podobnych poglądach, lecz żaden z nich nie zamierzał zdradzić się ze swymi opiniami. Miało to być spotkanie polityczne, więc wszyscy zdawali sobie sprawę, że będą musieli położyć na szali ryzyka coś konkretnego – lojalność, pieniądze, może nawet życie. Sama myśl o takiej ewentualności sprawiała, że niektórzy nie potrafili opanować zdenerwowania, gdy tymczasem inni wzdychali ciężko, zapalali cygara i papierosy, i roztaczali wokół siebie aurę odwagi i dumy. Esko doszedł

do wniosku, że przypominają pawie. Dowodem ich próżności była obecność w tym pokoju, przyszli tu bowiem tylko dlatego, że gra miała toczyć się o najwyższą stawkę.

Katerina nie sprawiała wrażenia przytłoczonej czy zażenowanej. Krążyła między mężczyznami z wysoko podniesioną głową, jakby była nie tylko głównym ośrodkiem ich uwagi, lecz także tą, która zdecyduje, co stanie się dalej. Z uśmiechem ścisnęła dłonie gości, z każdym zamieniając kilka słów i przechodząc dalej, wciąż z tym samym wyrazem twarzy. Mimo przygnębienia i smutku Esko obserwował ją uważnie i szczerze podziwiał, zwłaszcza że pod powłoką spokoju i towarzyskiej swobody wyczuwał nerwowość i kruchość. Wydawała mu się dziwnie samotna i niepewna. Pragnął jej pomóc, wesprzeć swoim ramieniem, gdyby go potrzebowała, wiedział jednak, że to zadanie przypadło w udziale komuś innemu. On mógł przesuwac meble i częstować wódką jej gości, rola pocieszyciela i kochanka nie należała do niego.

– A to dopiero niespodzianka! – usłyszał nagle głos Klausa. – Esko, co ty tu robisz, na Boga?

Esko zaczerwienił się, lecz nie chciał kłamać.

– Katerina mnie zaprosiła.

– Tak? – Klaus lekko zmarszczył brwi. – Nie wspominała mi o tym...

– Może zapomniała.

– Katerina mówi mi o wszystkim – rzekł twardo Klaus.

Na jego twarzy przez chwilę malował się wyraz niepewności, lecz nagle skoncentrował się na scenie, która odgrywała się za plecami Esko. Do pokoju wszedł Henrik, który najwyraźniej spieszył się tak bardzo, że nawet nie zdjął przyprószonego śniegiem palta. Za nim powoli kroczył spokojny, niewysoki mężczyzna koło pięćdziesiątki. Jego zdecydowany, pełen skupienia, choć jednocześnie miły i elegancki sposób bycia natychmiast przyciągał uwagę. Oczy mężczyzny były głęboko osadzone, włosy gładko zaczesane do tyłu, wąsy starannie przystryżone. Trzymał się prosto, z nieświadomą arogancją arystokraty i przywódcy, który większą część życia spędził w siodle, wydając rozkazy innym. Można było odnieść wrażenie,

że w ciemnoszarym, doskonale skrojonym garniturze czuje się nieco nieswojo. Esko natychmiast zrozumiał, że ma przed sobą zdeterminowanego, ambitnego człowieka, który przywykł do noszenia nie cywilnego ubrania, lecz munduru.

Wszyscy obecni zwrócili się w stronę nowo przybyłego, chociaż w niektórych spojrzeniach malowała się nieufność, a nawet wrogość. Katerina podeszła do mężczyzny i przywitała go z ciepłym uśmiechem.

– Kto to jest? – zapytał Esko.

– Gustaf Mannerheim – odszepnął Klaus, muskając dłonią wąsy i częściowo zasłaniając usta. – Właśnie przybył z Piotrogradu. Myślę, że może nam się przydać.

– W jaki sposób?

Klaus wyjaśnił, że Mannerheim służył w carskiej armii w randze generała i przed ostatecznym opuszczeniem Rosji przez siedem dni przedzierał się do Piotrogradu z Odessy, bezustannie ryzykując własne życie.

– Czerwoni zabiliby go bez chwili wahania, gdyby wiedzieli, co zamierza – dodał.

Esko zastanawiał się, jakie znaczenie może mieć dla Finów chęć pomocy ze strony byłego oficera obalonego reżimu.

Henrik wystąpił na środek pokoju i, zaciskając dłoń na klapie tweedowego palta, poprosił zebranych o ciszę.

– Panowie, będę mówił krótko i wprost – zaczął, wyraźnie podekscytowany. – W ostatnich dniach czerwoni rzeźnicy zamordowali mojego bliskiego przyjaciela. Zastrzelili go na stopniach jego domu. Jak psa. – Zawiesił głos, aby jego słowa dotarły do wszystkich. – Nie ulega dla mnie wątpliwości, że jeśli nie podejmiemy zdecydowanego działania, Finlandia przestanie być naszym krajem. Władza przejdzie w ręce pospólstwa. Nie wolno nam do tego dopuścić, nie wolno nam nawet rozważać takiej możliwości. Nie ma jednak nic trudniejszego niż opanowanie sytuacji w kraju stojącym na progu wielkich zmian, nie ma nic trudniejszego niż przyjęcie odpowiedzialności za wprowadzenie nowego porządku. Ostateczne powodzenie takiego działania zawsze stoi pod znakiem zapytania. – Henrik znowu przerwał. Z jego palta unosiły się małe obłoczki pary. – Minał

czas modlitw i słów, nadeszła pora czynu, użycia siły. Właśnie dlatego chcę przedstawić wam człowieka, który posiada ogromne doświadczenie w takich sytuacjach. Z całego serca proszę, abyście udzielili mu poparcia. Oto baron Carl Gustaf Emil Mannerheim.

Wyraz twarzy Mannerheima nie zmienił się ani odrobinę. Stał przed kominkiem, sztywno wyprostowany, i zaczął mówić. Mówił po fińsku, powoli, przerywając co chwilę, aby znaleźć właściwe słowo. Sprawiało mu to tak wielką trudność, że po kilku zdaniach przeszedł na szwedzki.

– Jechałem przez Galicję i Polskę, widziałem wszystkie okropności wojny. Nikt, kto był ich świadkiem, nie sprowadza celowo takich nieszczęść na swój kraj. Muszę jednak wyznać, że nie mam dla was dobrych wieści. Po pierwsze, Finlandię ogarnie wkrótce wojna. To jest absolutnie pewne. Po drugie, wkrótce władzę przejmą tu bolszewicy, Czerwona Gwardia.

W pokoju zawrzało, lecz Mannerheim rozkazującym gestem uniósł dłoń, uciszając okrzyki oburzenia.

– Obawiam się, że tak właśnie będzie. Czerwoni zajmą Helsinki. Nie można temu zapobiec, a oznacza to, że w ich rękach znajdzie się nie tylko stolica kraju, ale także cała jego południowa część i większość zakładów przemysłowych. Dlatego tę wojnę należy wygrać szybko – w przeciwnym razie Finlandia będzie stracona na zawsze.

Esko uważnie słuchał Mannerheima. Zdawał sobie sprawę, że baron mówi o sprawach najwyższej wagi, lecz w gruncie rzeczy wcale go one nie interesowały. Dopiero znacznie później uświadomił sobie, że był świadkiem wydarzeń o niezwykle znaczeniu, punktu zwrotnego w historii oraz pierwszego publicznego wystąpienia człowieka, którego przeznaczeniem było osiągnąć wielkość i zasłużyć na wieczną wdzięczność Finów, człowieka, który stał się legendą. W tamtej chwili Esko był jednak pochłonięty własnym cierpieniem i rozczarowaniem, i wszystkim, co się z tym wiązało. Gdyby opuścił mieszkanie Kateriny, pozostałby niewątpliwie głęboko zaintrygowany tym, co usłyszał, lecz jego życie i plany nie zmieniłyby się nawet na jotę. Odszedłby, zdecydowany wyjechać do Ameryki i poświęcić

się swej wielkiej pasji, jaką była architektura, oczyszczony i wzmocniony po przejściu przez ogień odrzucenia. Miał zamiar odwrócić się i niepostrzeżenie wyjść, kiedy Katerina, która stała przy oknie, wpatrując się w gęsto sypiący śnieg, przeszła między mężczyznami na środek pokoju i stanęła u boku Mannerheima.

7

Esko widział ją z profilu. Spuściła głowę, odsłaniając piękną, smukłą szyję, a on drgnął niespokojnie, jakby obawiał się, że w każdej chwili może spaść na nią uderzenie ostrego topora. Zaczęła mówić nerwowym, cichym i niepewnym głosem, i do końca nie zmieniła tonu i nie podniosła głowy. Mimo to Esko miał wrażenie, że przed jego oczami rozwijają się sceny z prawdziwego życia, przesiąknięte cierpieniem i rozpaczą.

– Jako dziecko mieszkałam w Finlandii. Mój ojciec był gubernatorem prowincji Oulu. Na pewno pamiętacie, że było to w czasach, kiedy mój kraj prowadził wobec waszej ojczyzny politykę represji i okrucieństwa. Wtedy nic z tego nie rozumiałam. Wiedziałam tylko, że jacyś ludzie próbowali zabić ojca i bardziej przywykłam do obecności żołnierzy z pistoletami za pasem niż do towarzystwa innych dzieci. Ojciec płacił kilkorgu dzieciom, aby przychodziły bawić się ze mną, ale kiedy stracił stanowisko i wróciliśmy do domu, byłam bardzo szczęśliwa.

Chciałabym opowiedzieć wam o swoim domu. Nie przeczę, że los był dla mojej rodziny bardzo łaskawy. Byliśmy bardzo bogaci, mieliśmy wielki dom nad jeziorem na Krymie i oczywiście rezydencję w Petersburgu. Powozy. Ogrody. Korty tenisowe. Tak, nie ulega wątpliwości, że naiwnością było wierzyć, iż taki stan rzeczy będzie trwał wiecznie, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę wewnętrzną sytuację w Rosji w ostatnich latach. Nawet mój ojciec rozumiał, że nie będziemy tak żyli zawsze. Ciężko pracował nad wprowadzeniem reform. Kierował się nakazami sumienia i rozsądku, podobnie jak większość oświeconych Rosjan.

Wyszłam za mąż na kilka miesięcy przed moimi dwudzies-

tymi pierwszymi urodzinami. Mój mąż był bogatym człowiekiem, spadkobiercą wielkiego majątku, wysokim, eleganckim młodzieńcem, którego dziadek dobrze znał Puszkina. Zginął w Polsce w 1914 roku, prowadząc atak kawalerii na gniazdo karabinów maszynowych. Kule podziurawiły go jak sito. Przez długi czas po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci wyobrażałam sobie, że nie może mnie spotkać już nic gorszego...

Katerina przerwała i na chwilę podniosła głowę. Klaus podszedł do niej szybko, otoczył ją ramieniem i podał szklanekę wody. Objął ją z taką czułością, jakby była ptakiem, którego zdecydowany był chronić za wszelką cenę, a jego niebieskie oczy lśniły współczuciem i zaborczą dumą. Esko zrozumiał, że jego przyjaciel wziął na siebie rolę światowego mężczyzny, który ratuje z opresji tragiczną bohaterkę. Katerina napiła się wody i gestem kazała Klausowi odejść.

– Nie wątpię w szczerść przekonań bolszewików. Być może to właśnie jest w nich najbardziej przerażające. Oślepia ich pewność, że nie mogą się mylić. Potrzebują ogólnoswiatowych ideałów, aby dokonać czynów, które wstrząsną światem. Całym sercem wierzą, że za ich przykładem pójda robotnicy i chłopcy w innych krajach, przejmując władzę i zmieniając porządek. Uważają, że zaczniesz się to tutaj, w Finlandii.

Zebrani w pokoju Finowie zaprotestowali zgodnym chórem. Nie, nie, to niemożliwe, nie w Finlandii. Katerina wzruszyła tylko ramionami, patrząc na nich oczami pełnymi smutnej mądrości.

– Nam też się wydawało, że w Rosji sprawy nigdy nie zajdą aż tak daleko. Kto może przypuszczać, że całe jego życie obróci się w ruinę, a on sam stanie się świadkiem przerażających wydarzeń?

Byliśmy w kraju, kiedy car abdykował. Było bardzo źle, ale nadal nie mogliśmy uwierzyć w najgorsze. Dzień, w którym dowiedzieliśmy się o abdykacji, niczym nie różnił się od poprzednich. O zwykłej porze zjedliśmy obiad, graliśmy w karty i poszliśmy spać. Dotarły do nas wieści o wybuchu rewolucji, słyszeliśmy, że w Petersburgu zapanował chaos, ale w Odessie nic się nie zmieniło. I nagle pewnego wieczoru tramwaj, którym

jechaliśmy do przyjaciół, zatrzymał się na środku ulicy, między przystankami, i nie pojechał już dalej. Nikt nie wiedział, co robić.

Przez całe ostatnie lato żyliśmy w niepewności. Kiedy mojemu ojcu zaproponowano stanowisko w rządzie Kiereńskiego, uznał, że powinniśmy wszyscy przenieść się do Petersburga, bo tak będzie najbezpieczniej. Już wtedy w niektórych regionach kraju panował niepokój, ale spakowaliśmy walizki i wsiedliśmy do pociągu, zabierając ze sobą kanapki i dzbanki z kawą. Mieliśmy szczęście, bo bez żadnych przeszkód dotarliśmy do naszego domu w Piotrogradzie. Było to w sierpniu. Nadal nie wyobrażaliśmy sobie, że bolszewicy mogą przejąć władzę. Nic o nich nie wiedzieliśmy, nie znaliśmy nawet ich nazwisk. Byli mrocznymi postaciami, tajemniczymi fanatykami, którzy większą część życia spędzili w ukryciu lub na wygnaniu. Myśleliśmy, że nie mają pojęcia o rządzeniu krajem i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nadchodzą takie czasy, kiedy w ciągu piętnastu minut może wydarzyć się więcej niż kiedy indziej w ciągu piętnastu lat. Pewnego dnia jedna ze starszych służących postawiła przede mną talerz zimnej owsianki i bez słowa wyszła z pokoju. Poszłam za nią do kuchni, ale już jej nie było. Zniknęła też reszta służby. Byliśmy przerażeni.

Kilka dni później, tuż przed północą, usłyszeliśmy ogłuszający huk. To wielkie działa, powiedział ojciec. Działa okrętu wojennego, a więc Niemcy jednak przystąpili do inwazji. Mylił się. To bolszewicy ostrzeliwali Pałac Zimowy z pokładu krążownika „Aurora”. Tej nocy Czerwona Gwardia zajęła pałace, poczty, banki, stacje telegraficzne i kolejowe oraz elektrownie. Stało się to szybko i bez wielkiego rozlewu krwi. Wszystko było zaplanowane i świetnie zorganizowane przez ludzi, których nie doceniliśmy. Ale i bolszewicy popełnili błąd, źle oceniając żołnierzy, robotników i chłopów, których postanowili wyzwolić. Dla żołnierzy, robotników i chłopów rewolucja miała niewiele wspólnego z polityką i ideałami. W ich oczach cała ta sytuacja była o wiele mniej skomplikowana – polityka wiązała się jedynie ze zdobyciem władzy, zdobycie władzy oznaczało zwycięstwo, a zwycięstwo dawało chleb i wódkę. Przynajmniej wódkę, dużo wódki. Wielka orgia trwała bez końca, przez wiele dni.

Na ulicach pełno było ludzi, którzy być może wcale nie byli z gruntu źli, ale wódka uczyniła z nich bandytów. To oni przypuścili ponowny szturm na Pałac Zimowy, tym razem po to, aby splądrować piwnice i zdobyć nowe zapasy alkoholu. To oni wdzierali się do restauracji i domów, i napadali na pociągi.

Mówiliśmy sobie, że jeżeli będziemy siedzieć w domu i spokojnie czekać, aż ojciec zorganizuje ucieczkę, ci zbóje nic nam nie zrobią. Powtarzaliśmy to codziennie, jak słowa modlitwy...

Katerina przerwała, położyła dłoń na miękkim materiale czarnej sukienki tuż pod szyją i wzięła głęboki oddech.

– Pewnego wieczoru ojciec wyszedł, aby spotkać się z młodym człowiekiem, dobrym i wiernym przyjacielem, który wierzył, że uda mu się wywieźć nas z Petersburga do Wyborga, a stamtąd do Helsinek. Nie jest to daleka podróż. Kilka godzin jazdy i moglibyśmy znowu odetchnąć pełną piersią.

Bandyci rozbili drzwi i wdarli się do holu. Tam czekała na nich moja matka, która zastrzeliła jednego z nich z pistoletu ojca. Schodziłam po schodach i widziałam, że trzymała przed sobą broń tak, jakby się jej bała, lecz ona strzeliła prosto w pierś pierwszego bandyty, zabiła go jednym strzałem.

Powlekli ją do sali balowej... Pluli na nią, i wykręcili ręce do tyłu. Trzech zgwałciło ją, a potem poderżnęli jej gardło. Patrzyłam w oczy mojej matki, kiedy życie wyciekało z niej wielką strugą krwi. Jeden z nich zatkał mi usta szmatą, dwóch trzymało mi powieki, żebym wszystko widziała. Inni znaleźli wejście do piwnicy i przynieśli wino. Tłukli szyjki butelek i pili. Podłoga była śliska od krwi i wina. Moja babka wyszła z małej spiżarki, w której się ukryła, i natychmiast padła zemdlona. Wpakowali jej kilka kul w głowę. Jej ciało podskakiwało na podłodze. Może tak jest lepiej, pomyślałam, przynajmniej nie cierpiała. Babka miała siedemdziesiąt lat. Jako młoda dziewczyna tańczyła z książętami, którzy później zasiedli na tronach wielu krajów. Przeżyła śmierć trojga dzieci i dwóch mężów, ale nie przeżyła rewolucji.

Zgwałcili mnie. Powtarzałam sobie, żeby nie stawiać oporu, nie liczyć, ilu ich było i nawet o tym nie myśleć. Trochę później wprowadzili mojego ojca. Miał posiniaczoną, zakrwawioną

twarz, ręce związane na plecach. Oczywiście to im nie wystarczyło, zaczęli go dręczyć. Spójrz na nią, mówili, popatrz na swoją małą córeczkę. Ładniutka, co? Dlaczego sam jej nie zgwałcisz? No, panie senatorze, weź ją, a może puścimy cię wolno. Może nawet damy ci butelkę wina. Próbowалам wypluć knebel, chciałam powiedzieć ojcu, że wszystko będzie dobrze, byle tylko udało mu się oswobodzić ręce i rozciąć mi więzy, bo wtedy moglibyśmy umrzeć razem, walcząc, stawiając opór tym bestiom. Ale on nie był już sobą. Bał się na mnie spojrzeć, a jego oczy pełne były przerażenia i wstydu. Zorientowali się, że nie dostarczy im rozrywki, więc zaczęli pluć na niego, drwić i bić go butelkami. To musi się skończyć, myślałam, niemożliwe, aby Bóg na to pozwolił. Modliłam się, lecz Bóg nie słuchał i nic się nie stało. Przywiązali ojca do krzesła, postawili mu na głowie butelkę i jeden z nich rozbił ją celnym strzałem. Następna butelka, następny strzał. Ojciec drżał na całym ciele, ale próbował nad sobą zapanować. Wreszcie któryś spudłował. Kula trafiła ojca w czoło i zabiła go na miejscu. Podparli jego ciało i dalej rechotali, pili, pluli na niego i strzelali. Potem znowu przyszła moja kolej.

– Dosyć, Katerino – odezwał się Klaus, usiłując wziąć ją w ramiona.

– Nie, wcale nie dosyć – rzuciła ostro, a na jej twarzy pojawił się zaskakujący, dziki wyraz, który sprawił, że Klaus cofnął się o krok. Splotła przed sobą drżące ręce. – To ludzie tworzą historię, a wy musicie zdać sobie sprawę, że historia składa się z takich opowieści jak moja. Jeśli tego nie zrozumiecie, już wkrótce ofiarą gwałtu padnie Finlandia i fińskie kobiety.

Patrzyła im prosto w oczy, bez cienia lęku, zupełnie spokojnie, ostrzegając, że nie mogą być bierni.

– Towarzysz Lenin wzywa do wojny na śmierć i życie, do oczyszczenia Rosji z bogatego robactwa. Takie są jego słowa. Teraz wiemy, że bolszewizm to bujda, której prawdziwym przesłaniem jest zachęta do zemsty. Ale bolszewizm jest słaby, stoi dopiero na progu własnej historii. Można go powstrzymać, zniszczyć. Możecie zniszczyć bolszewizm tutaj, w Finlandii, a potem przekroczyć Ładogę i zniszczyć go w Rosji. Byłam

żołnierzem, który odniósł rany na pierwszej linii, odegrałam swoją rolę. Teraz wy musicie spełnić obowiązek, który na was ciąży. Błagam, stańcie do walki, nie poddawajcie się. Zniszczcie ich, zanim oni zniszczą was.

8

Pożegnawszy się z Klausem i Henrikiem, Esko poszedł na przystanek tramwajowy. Było późne popołudnie i park tonął w śniegu, port zaś zniknął za kotarą ciemności i wirujących w powietrzu płatków. Stojąc pod rzeźbą syrenki dłuta Vallgrena, Esko starał się uporządkować szalejące w jego głowie myśli. Był wstrząśnięty i przerażony tym, co przydarzyło się Katerinie. Przed jego oczami pojawiały się straszne obrazy – widział kobietę z poderżniętym gardłem, trzęsącego się ze strachu mężczyznę z butelką na głowie, Katerinę z ogolonymi włosami, w rozdartej, poszarpanej sukni. Usta miał zupełnie suche, w głowie kręciło mu się z wściekłości. Pragnął zemsty, chciał, aby Czerwoni ponieśli karę za to, co zrobili.

– Katerino! – zawołał, ujrawszy ją po drugiej stronie ulicy.

Stała na chodniku i rozglądała się niepewnie. Odwróciła się ku niemu i przebiegła przez jezdnię. Jej długi czarny płaszcz był zapięty pod szyję, podniesiony futrzany kołnierz okalał blade policzki. We włosach i na ramionach spoczywały lśniące płatki śniegu. Esko spojrzał jej w oczy i w tej samej chwili ogarnęła go wielka fala czułości. Nie potrafił wyobrazić sobie, ile wycierpiała i ile kosztowało ją, aby opowiedzieć tę historię w obecności grupy mężczyzn, w zdecydowanej większości obcych, którzy słuchając jej, nie mogli powstrzymać łez, chociaż byli przecież twardymi stoikami i realistami. Stojąc teraz przed nią, Esko czuł się dziwnie spokorniały i mały, zupełnie jakby jego człowieczeństwo zostało postawione pod znakiem zapytania. Pragnął wziąć ją w ramiona, wesprzeć swoim szacunkiem, lecz równocześnie nie mógł przestać myśleć o tym, że nie ma prawa tego uczynić. Chciał zapytać, co naprawdę łączy ją z Klausem, ale nie śmiał zadać jej tego pytania.

- Katerino, ja...
- Nic nie mów – powiedziała szybko. – Zabierz mnie do najwspanialszego miejsca w Helsinkach.
- Słucham?
- Do miejsca, które lubisz najbardziej. Tam, gdzie śnisz swoje sny.
- Nie jestem pewny, czy... – Przerwał, bo nagle zrozumiał, o co jej chodzi. – Jest takie miejsce...
- Zaprowadź mnie tam – rzekła z pogodnym uśmiechem, który wydawał się przeznaczony wyłącznie dla niego.
- Teraz? – zapytał.
- Tak, bardzo proszę.
- Będziemy musieli się pospieszyć. – Esko spojrzał na zegarek. W drobinkach szronu, który osiadł na jego brwiach, błyszczały maleńkie tęcze.
- Więc pospieszmy się – powiedziała bez tchu i wsunęła rękę pod jego ramię.

W parku latarnie oświetlały ścieżkę wykopaną między ścianami ze śniegu. Ścieżka była wąska, a przechodnie patrzyli na prawie biegnącą parę z wyraźnym zaniepokojeniem, a nawet lękiem. Być może podejrzewali ich, że są rewolucjonistami, którzy właśnie podłożyli gdzieś bombę, albo mają zamiar to zrobić. Całe Helsinki były niespokojne, jakby wstrzymywały oddech przed jakimś wielkim wydarzeniem.

Kiedy dotarli do Budynku Diktoniusa, drzwi były już zamknięte, a wszystkie światła wewnątrz pogaszone.

– Cholera jasna! – rzucił Esko. Nagle zauważył znajomą twarz – ulicą szedł windziarz Karl. – Zaczekaj chwilę! – zawołał do Kateriny i pobiegł śnieżnym kanionem ulicy Aleksanterinkatu.

Kilka minut później wrócił, triumfalnie dzwoniąc kluczami.

– Potrzebna nam będzie latarka – powiedział. – Muszę pójść po nią do domu. Może chcesz poczekać na mnie w kawiarni i napić się koniaku?

– Pójdę z tobą – oświadczyła bez wahania.

Była godzina szczytu, stali więc na stopniach tramwaju, uczeni poręczy, dotykając się, kiedy wagon przyspieszał i zakręcał.

– Jeśli chodzi o to spotkanie... – zaczął Esko.

Katerina położyła palec na jego wargach.

– Później. Mam ci coś do powiedzenia, w twoim ulubionym miejscu.

Gdy stanęli przed jego domem, próbował nakłonić ją, aby zaczekała na dole, lecz poszła z nim i wolnym krokiem obesła pokój, oglądając rozpostarte na stole rysunki i dotykając książek, podczas gdy on szukał latarki w już spakowanym kufrze.

– Jest! – zawołał w końcu i odwrócił się.

Siedziała na brzegu łóżka i uśmiechała się spokojnie, lecz on nie potrafił opanować dziwnego niepokoju.

– Bardzo tu czysto i porządnie – zauważyła. – Żyje pan jak mnich, panie Vaananen.

W jej głosie brzmiała lekka kpina. Esko z trudem przełknął ślinę.

– Chodźmy już – powiedział.

Klucz gładko obrócił się w zamku i bez przeszkód przekroczyli próg Budynku Diktoniusa, wielkiego domu towarowego, który tak długo udzielał Esko schronienia. Powietrze było tu ciepłe, przesiąknięte zapachem mydeł i perfum. Promień światła z latarki Esko wydobywał z ciemności pojedyncze przedmioty: szklaną ladę, pokrytą aksamitem tacę, na której wyłożono biżuterię, manekina w garniturze, stojak z parasolkami, marmurowe schody i wreszcie stalową klatkę windy. Esko czuł, że stoi u wejścia do zaczarowanego świata, swojej osobistej magicznej Arabii. Poprowadził Katerinę przez sklep, chwycił mosiężną klamkę i otworzył drzwi windy.

– Jedziemy na dach? – zapytała pełnym podniecenia głosem. – Czy jest tam ogród lodowy?

– Zaraz zobaczysz.

Esko nigdy dotąd nikogo tu nie przyprowadzał, nawet Klause, i zastanawiał się, czy magia będzie działać także i teraz, gdy nie jest sam. Kiedy jednak wszedł do czarnego, wykładanego drzewem orzechowym, ozdobionym złoceniami i lustrami małego pomieszczenia, kiedy poczuł, jak podłoga zachybotła się

pod jego stopami i oparł palce na klamce, której mosiądz wydawał się dziwnie ciepły i przyjazny, ogarnęły go spokój i radość. Nachyliwszy się ku Katerinie, powoli zasunął stalowe drzwi, które zamknęły się z tym samym co zwykle miękkim, łagodnym tąpnięciem, zadającym kłam ich wadze.

– Przytrzymaj to na chwilę – rzekł i podał Katerinie latarkę, aby wyciągnąć z kieszeni pudełko zapalek i zapalić dwie gazowe lampy, przymocowane do tylnej ściany windy.

Potem nacisnął dźwignię i winda ruszyła w górę. Zatrzymał ją między piątym a szóstym piętrem i szeroko rozpostarł ramiona.

– Co się stało? – zapytała i wbiła w niego rozszerzone z przerażenia oczy.

Esko zaklął w duchu, wymyślając sobie od idiotów. Jego gest nic nie oznaczał, lecz jego pożądanie wibrowało pomiędzy nimi, wisiało w powietrzu jak zapach perfum, nadał tak samo silne i niezmienione mimo tego, co usłyszał dzisiaj z jej ust. Zamknął oko, ponieważ widok jej pełnej lęku twarzy był dla niego zbyt trudny do zniesienia.

– To tutaj – powiedział, nie otwierając oka. – To jest moje ulubione miejsce. Nie sklep, ale winda. Często tu przychodzę, kiedy czuję się przygnębiony, ale także gdy jestem szczęśliwy.

Otworzył oko.

– Spójrz, widzisz te freski na suficie? Sam je namalowałem. To jedna z moich wycieczek w dziedzinę sztuki...

Patrzyła na niego teraz skupionym, pytającym wzrokiem.

– Wystąpiłem z prośbą do dyrekcji i pozwolili mi. Oczywiście nie wydaje mi się, aby pan Picasso poccił się w nocy, nękany myślami o swoim rywalu, panu Vaananen z Helsinek. Pociesza mnie tylko to, że pan Picasso nie interesuje się projektowaniem budynków, w każdym razie taką mam nadzieję...

Katerina rozpięła płaszcz i podniosła głowę, aby przyjrzeć się sufitowi. Im lepsze światło, tym jest piękniejsza, pomyślał Esko. Jest naprawdę piękna.

– Esko, one są cudowne – powiedziała, przenosząc na niego zaskoczone, pełne podziwu spojrzenie. – Po prostu wspaniałe!

Jej pochwała sprawiła mu absurdalną przyjemność i radość

tak wielką, że miał ochotę krzyczeć na cały głos, a jednocześnie bardzo go onieśmieliła.

– Nie są złe – przyznał. – Okres, kiedy nad nimi pracowałem, był dla mnie bardzo szczęśliwy. Przychodziłem tu wieczorami, po zamknięciu sklepu. Musiałem zapalać świece, bo gazowe lampy nie dawały dość światła, i wosk kapał mi na twarz. Nie przeszkadzało mi to. Czy płynny wosk mógł zaszkodzić mojemu wyglądowi? Wręcz odwrotnie, mógł go tylko poprawić. – Roześmiał się głośno.

Dookoła środkowego fresku namalował cztery krajobrazy z powtarzającym się motywem jeziora i wyspy. Każdy przedstawiał jedną z pór roku, wszystkie zaś układały się w serię kolejnych zbliżeń. Na pierwszym widniała wyspa widziana z pewnej odległości, wczesną wiosną, kiedy lód pokrywa się ciemniejszymi plamami i zaczyna topnieć. Na drugim widać było tylko wyspę w środku lata, rozkwitłą ciemną zielenią oraz czerwonymi i niebieskimi kwiatami. Trzeci przedstawiał leżącą na brzegu łódź, oświetloną blaskiem zachodzącego słońca, w ponurych kolorach dogasającej jesieni. Na czwartym czarny dzieciół siedział na rufie wypełnionej śniegiem łodzi, zagubiony i samotny, lecz zdecydowany znaleźć schronienie na zimę.

W scenie centralnej wyspa znajdowała się w tle. Na brzegu jeziora stał ociemniały chłopiec, którego za rękę trzymał zraniony anioł o nieodgadnionym wyrazie twarzy. Chłopiec uśmiechał się w ekstazie, lub jak głupiec, a nad ich głowami unosił się spłoszony dzieciół.

– Czy ten chłopiec to ty?

– Obawiam się, że symbolika jest trochę zbyt oczywista.

– Tam dalej, na jeziorze, widać kobietę w łodzi – rzekła Katerina. – Jak się tam dostała, skoro powierzchnia jest zupełnie zamrznięta?

– Ty mi to powiedz.

– W ramionach trzyma dziecko, prawda?

– Ta kobieta jest moją matką – powiedział Esko, zdumiony, że Katerina od razu zauważyła szczegóły, który inni dostrzegali znacznie później, jeżeli w ogóle.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytała. – Gdzie jest twoja matka?

Esko wbił wzrok w jej buty.

– Chciałem porozmawiać z tobą o tym, co dzisiaj się wydarzyło.

– Proszę, nie rób tego.

– Muszę. – Wielkim wysiłkiem woli powstrzymał się od wzięcia jej w ramiona. – Chciałem powiedzieć ci coś wtedy, w mieszkaniu, ale było tam tyle ludzi...

– Rozumiem, naprawdę – szepnęła, wpatrując się w drzwi windy z takim wyrazem twarzy, jakby liczyła, że uda się jej uciec.

– Zawstydyłaś mnie. Zawstydyłaś nas wszystkich. Nie miałem pojęcia...

– To nie ma znaczenia – powiedziała, spuszczać oczy na splecione dłonie.

– To ma ogromne znaczenie – rzucił z nagłą złością.

Szybko podniosła wzrok.

– Nie chciałem cię przestraszyć – rzekł miękko. – Nie złość się na ciebie, jakże mógłbym? Jestem wściekły na świat. Takie rzeczy nie powinny się wydarzać.

Winda zakołysała się, zatrzeszczała i jęknęła, kiedy Esko przycisnął czoło do chłodnego lustra nad obitą skórą ławką, ustawioną pod tylną ścianą. Odezwał się dopiero wtedy, gdy zrozumiał, że Katerina nic więcej nie powie.

– Pytałaś o moją matkę. To długa historia. Opowiem ci ją, jeżeli chcesz posłuchać.

Nigdy nie opowiadał nikomu o matce.

– Bardzo chcę.

– Dorastałem na dalekiej północy. Latem pogoda była cudowna, ale zima przypominała zamrożone piekło. To trudne, piękne miejsce. Miałem dziewięć lat, kiedy moja matka podpaliła dom. Nie zdawałem sobie sprawy, że to ona, nie wiedziałem też, jak bardzo niebezpieczny jest ogień. Widziałem tylko płomień buchające z okien i umierałem ze strachu, że matka jest w środku. Wpadłem do domu, pragnąc ją ratować. Salon jeszcze nie płonął, ale jej tam nie było. Nie było jej także na schodach. Pobiegnęłam do sypialni rodziców i otworzyłam drzwi. Pamiętam tylko potworne, miazdzące płuca gorąco i płomień o dziwnym,

błękitnawym odcieniu. Coś na mnie spadło, stąd te blizny. – Podniósł rękę do twarzy. – W rzeczywistości dom był pusty. Matka poszła nad jezioro, wsiadła do łodzi, przedtem napełniwszy kieszenie sukni nazbieranymi na brzegu kamieniami, wypłynęła daleko i utopiła się. Była malarką, piękną, bardzo zdolną malarką. We wsi mówiono, że była szalona.

Esko spojrział na sufit, wspominając długie noce, które spędził tu z farbami i pędzlami.

– Ojciec oddał mnie na wychowanie miejscowemu pastorowi. Może było to najlepsze rozwiązanie... Mój opiekun nazywał się Kalliokoski.

– Nienawidzisz go?

Esko milczał chwilę.

– Kalliokoskiego? Nie, nawet go lubię. Zawsze starał się traktować mnie sprawiedliwie. W gruncie rzeczy jest politykiem, nie duchownym. To jeden z tych ludzi, którzy czują się dobrze w każdym środowisku. Nie jest zły.

Katerina uśmiechnęła się lekko.

– Chodziło mi o twojego ojca.

– Naturalnie. – Esko zaśmiał się sucho. Nagle przypomniał sobie, że to Timo wiele lat temu dokonał zamachu na życie ojca Kateriny. Nie miał pojęcia, czy o tym wiedziała. – Bardzo długo uważałem go za szaleńca, pomyłonego fanatyka, kogoś w rodzaju Kolumba, rozumiesz? Takiego Kolumba, który pod koniec swojej podróży nie ma ani Ameryki, ani nawet okrętu. Bardzo możliwe, że teraz jest w Piotrogradzie i je kolację z samym Leninem...

– Naprawdę?

– Miesiąc temu przemawiał w Helsinkach zaraz po Stalinie. Odwróciła głowę.

– To mój ojciec, nie ja.

– Wiem – rzekła. – Wybacz mi, ale kiedy słyszę te nazwiska, czuję się tak, jakby ktoś przeszedł po moim grobie. Opowiadaj dalej, Esko.

– W końcu moja matka i ojciec razem podarowali mi coś wielkiego. Tak to widzę.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Jak to?

– Pewnego ranka, na środku zamrożonego jeziora, wkrótce potem, jak ojciec oddał mnie Kalliokoskiemu, pojąłem, dlaczego ta winda – każda winda – jest ważna. Dzięki windzie budynek może być tak wysoki, jak zechcesz. Tak wysoki, jak sobie wymarzysz. Wieżowiec. Niemcy nazywają je *Wolkenkratzers*, drapacze chmur. W języku fińskim taki budynek to *pilvenpiirtaja*. Wybuduję drapacz chmur. Od tamtej chwili ciągle o tym marzę. Wysoki na trzydzieści, czterdzieści pięter, chociaż właściwie dlaczego nie na pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt? Dlaczego nie stupiętrowy, na miłość boską? Budynek zalany światłem. Pełen natchnienia, jak wielkie katedry... Dlatego zostałem architektem.

Zbliżyła się do niego z jaśniejącą uśmiechem twarzą.

– I dlatego wyjeżdżasz do Ameryki.

Esko niepewnie wyciągnął rękę i delikatnie pogładził jej krótkie włosy. Przeszył go wewnętrzny dreszcz, kiedy oparła policzek o jego dłoń. W liniach jej twarzy więcej było piękna i gracji niż w Partenonie, Panteonie czy jakimkolwiek innym architektonicznym dziele, wzniesionym w ciągu całej historii ludzkości.

– Nie wyjeżdżam.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Dlaczego?

– Wiesz, dlaczego.

Przygarbiona, z opuszczoną głową opadła na skórzaną ławkę, jakby nagle zabrakło jej sił.

– Obawiałam się, że powiesz coś takiego.

– To nie jest dobry moment na egoizm. Zrozumiałem to dzięki tobie, Katerino. Niezależnie od tego, czego pragnę, wszystkie te wielkie idee i wspaniałe pomysły mogą poczekać.

Drżącą ręką wyjęła z kieszeni płaszcza paczkę papierosów.

– Podasz mi ogień, Esko?

– Oczywiście.

Mały płomyk zapalniczki błysnął pomiędzy ich twarzami, koniec papierosa rozjarzył się czerwienią i windę wypełnił intensywny aromat tureckiego tytoniu. Katerina przesunęła palcem po war-

dze, zdejmując z niej jakiś pyłek. Esko zobaczył, że jej rękawiczka jest wystrzępiona na przegubie dłoni i wydało mu się, iż w tych przetartych nitkach bawełny widzi świat, który Katerina straciła na zawsze, styl życia, który bezpowrotnie przeminął.

– Czytałeś Szekspira, Esko?

Potrząsnął głową.

– Jest taka jego sztuka, ostatnia, jaką napisał, bardzo, bardzo piękna. Pewną wyspą pośrodku mórz rządzi czarodziej. Ta wyspa jest cudowna i straszna jednocześnie, w zależności od tego, kim są bohaterowie. – Zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym z płuc, wpatrując się we fresk na sklepieniu. – Jest wspaniałym światem i przerażającym labiryntem, nad którymi czuwają dwa duchy. Jednym jest Kaliban, zły, paskudny potwór, nie pozbawiony jednak pewnych cnót i godności. Kaliban został zniewolony przez czarodzieja. Drugi duch to Ariel, także sługa pana wyspy, ale jakże inny... Ariel jest dobry i pełen życia, jest duchem powietrza. W jednej chwili może oblecieć cały świat dookoła, i potrafi przemieniać rzeczy. Śmieci w złoto, oczy trupów w perły...

Jeszcze raz zaciągnęła się dymem i zdławiła niedopałek w metalowej popielniczce przy ławce. Wstała i zrobiła krok w stronę Esko, zdejmując jedną rękawiczkę.

– Daj mi rękę, Esko. Proszę.

Niezgrabnie wyciągnął do niej swoją wielką łapę. Długie, smukłe palce Kateriny zacisnęły się na niej i Esko miał wrażenie, że gazowe lampy w windzie migoczą w rytm dawno zapomnianej melodii. Kąciki ust zadrżały mu w uśmiechu. Jej dotyk sprawiał, że chciało mu się tańczyć.

– Tamtego wieczoru, kiedy znowu cię zobaczyłam, przykucnąłeś przy stole i z przekrzywioną głową upewniałeś się, czy kieliszki na stole Henrika stoją w idealnie równej linii. To taka drobna rzecz, ale na twojej twarzy malowało się namiętne skupienie. Jesteś spragniony piękna i porządku. To naprawdę dobre, wspaniałe pragnienie. Zawsze wiedziałam, że nosisz w sobie Ariela, Esko Vaananenie. Wiele lat temu dostrzegłam tę część ciebie, która chce nim być. I dla mnie zawsze będziesz Arielem, rzadkim i pięknym duchem.

Podeszła jeszcze bliżej i zajrzała mu w twarz. Esko ujrzał swoje odbicie w jej oczach, poczuł zapach jej perfum i słodkiego tytoniu. Puściła jego dłoń i lekko dotknęła porysowanego bliznami policzka.

– Ta wojna to nie twoja sprawa. Jedź do Nowego Jorku.

– Pojedziesz ze mną?

– Przecież wiesz, że nie mogę tego zrobić – odparła, marszcząc brwi. – Nie mogę. Wychodzę za Klausea.

Esko nieświadomie podniósł do ust rękę, którą przed chwilą trzymała.

– Wobec tego ja także nie mogę wyjechać.

– Musisz – powiedziała cicho.

Pokręcił głową. Serce waliło mu tak mocno, że cała jego głowa wydawała się pulsować i drżeć, uniemożliwiając normalne widzenie.

– Marzę o tym, żeby budować, ale jeżeli mam wizję, jeżeli czasami mówię przez sen, to tylko dzięki tobie.

Znowu opadła na ławkę i bezradnym ruchem ukryła twarz w dłoniach.

– Jestem złą kobietą – zaszlochala. – Och, nienawidzę płakać, bo wtedy czuję się słaba. Jestem złą, niegodziwą kobietą.

Esko z wahaniem dotknął łuku jej drżących pleców, wyczuwając zarys kręgow i ciepło ciała, sączące się przez tkaninę płaszcza.

– Jesteś aniołem – powiedział.

Podniosła głowę i spojrzała na niego niebezpiecznie błyszczącymi oczami.

– Nie mów tak – rzuciła. – Nie znasz mnie.

– Myślę, że jednak cię znam.

– Opowiem ci coś, Esko, i chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchał. Tamtej nocy do naszego domu w Petersburgu przyszedł Klaus. To on był człowiekiem, z którym kontaktował się mój ojciec, tym, który miał nam pomóc w ucieczce. Klaus był moim aniołem stróżem. Pracował bez chwili wytchnienia, żebyśmy mogli jak najszybciej przekroczyć fińską granicę. Spóźnił się, ale nie z własnej winy. Tak czy inaczej, w końcu mógł uratować tylko mnie.

Katerina wyjęła z kieszeni koronkową chusteczkę i otarła oczy. Światło lamp zaśniło w strumyczkach łez, spływających po policzkach.

– Klaus zabrał mnie stamtąd, umył, opatrzył mi rany. I przeszkodził mi, kiedy próbowałam wyrwać mu rewolwer zza pasa, żeby się zastrzelić. Przywiózł mnie do Helsinek i powoli zaczął mi pokazywać, że życie może toczyć się dalej. Nie narzucał się, nigdy nie spróbował mnie nawet pocałować. Był tak delikatny i łagodny, jakbyśmy byli bratem i siostrą. Traktował mnie z najwyższym szacunkiem i jakaś część mnie szanuje go, podziwia i ceni. – Mówiła cicho, lecz jej oczy wydawały się płonąć. – Ale inna część mojej osobowości nienawidzi go, nienawidzi każdego centymetra jego przystojnej postaci. Tak właśnie jest! Jak mogę to wytłumaczyć? Nienawidzę Klause, ponieważ mnie uratował, ponieważ wojna niesie nieszczęście, gwałt i cierpienia, zadawane kobietom i dzieciom, a mężczyźni znajdują radość we władzy, jaką wojna im daje, ponieważ coś w głębi mojego serca domaga się straszliwej kary dla wszystkich mężczyzn, a Klaus jest mężczyzną, nie takim jak tamci, ale jednak mężczyzną. Niechby oni wszyscy poszli na najbardziej krwawą wojnę i pozabijali się nawzajem! Zaszokowałam cię, Esko?

– Trochę – powiedział ze słabym, pełnym zdumienia uśmiechem.

Ten uśmiech sprawił, że w Katerinie nagle coś pękło. Rzuciła się na niego, okładając jego pierś zaciśniętymi pięściami.

– Ci dranie mnie splamili! – wyrzuciła z siebie. – Przez nich czuję się brudna! Zranili mnie, upokorzyli! – Wymierzała mu cios za ciosem i wcale nie były to lekkie uderzenia. – Sprawili, że jestem brzydka, wszystko mi zabrali!

– Katerino, Katerino... – Esko objął ją i mocno przytrzymał. – Wczoraj zapytałaś mnie o lusterko, które mi kiedyś podarowałaś, pamiętasz?

Uwolnił jej ramiona i cofnął się o krok, podnosząc obie dłonie i wzrokiem błagając, aby się uspokoiła. Powoli opuścił jedną rękę i wyjął z kieszeni srebrne lusterko.

– Powiedziałaś mi, że ma magiczną moc. Że jeśli patrzy się w nie wystarczająco długo, można zobaczyć swoją prawdziwą

twarz. Spójrz w nie teraz, Katerino. – Wcisnął jej do ręki chłodny metal. – Jesteś piękna. Zawsze taka będziesz. Nikt ci tego nie odbierze, niezależnie od okoliczności.

Jej palce zdrząły. Nie patrząc w lusterko, łagodnie położyła głowę na jego piersi.

– Wyjdę za Klausea.

– Wiem.

– I chcę, byś mi obiecał, że wyjedziesz do Ameryki.

Esko milczał.

– Musisz mi to obiecać.

Zastanawiał się przez chwilę, ciesząc się ciężarem jej głowy na swojej piersi.

– Mam już bilet – powiedział.

Ich wargi zetknęły się w długim, namiętym pocałunku. Potem Esko przesunął dźwignię i winda zjechała na parter. Odprowadził Katerinę na ulicę Fabianinkatu. Przed drzwiami mieszkania uśmiechnęła się, dotknęła jego policzka i pożegnała się z nim. Esko długo stał pod zamkniętymi zielonymi drzwiami. Wreszcie zbiegł na dół i w rozpiętym płaszczu wypadł w usianą płatkami śniegu ciemność. Nie wiedział, dokąd idzie, szedł przed siebie jak lunatyk, słuchając nieregularnego bicia serca. Kiedy godzinę później oprzytomniał, zorientował się, że jest w porcie. Ostry wiatr rzucał twardymi pociskami śniegu, a lód wydawał się trzeszczeć i pękać. Esko podniósł wzrok i zobaczył rzed sobą dziób lodolamacza. Statek wychylał się ku niemu z ciemności jak wielki, potężny budynek. Esko zrozumiał nagle, że cała geografia i struktura jego życia zmieniła się w ciągu jednego dnia. Ameryka jawiła mu się teraz jako pustka, nie obietnica, jako część jego przyszłości, która została w cudowny sposób zniweczona w chwili, gdy jego wargi zapłonęły pod pocałunkiem Kateriny.

9

W nocy 2 kwietnia 1918 roku, w trzecim miesiącu szalejącej w Finlandii wojny domowej, Biała Armia Mannerheima stała

u wrót miasta Tampere, gotowa przypuścić atak na największą twierdzę Czerwonych. W Tampere Czerwoni zgromadzili wielką liczbę oddziałów, natomiast siły Białych liczyły pięć tysięcy żołnierzy. Mannerheim postanowił zaatakować od wschodu. Największy problem polegał na tym, że Tampere przedzielała rzeka płynąca z południa na północ, łącząca dwa okalające miasto jeziora. Nurt rzeki można było przekroczyć tylko w trzech miejscach spiętych mostami, wąskimi i dość łatwymi do obrony. Dlatego Mannerheim zdecydował się ruszyć do ataku w nocy, licząc na zaskoczenie. Zależało mu, aby odnieść wielkie, spektakularne zwycięstwo, zanim na południu kraju wylądują niemieccy sojusznicy Białych i pomaszerują na Helsinki. Chciał dowieść ponad wszelką wątpliwość, że w fińskiej wojnie domowej zwyciężyli Finowie, nie armia sprzymierzona.

Wszyscy żołnierze z kompanii Esko zapisali na kartkach swoje nazwiska i adresy na wypadek, gdyby zginęli. Stanęli w kolejce po dwie kanapki z serem i kubek herbaty, potem zaś w drugiej, tym razem po 250 pocisków i bagnet. Zgodnie z planem Mannerheima mieli przebiec przez najdalej na północ wysunięty z trzech mostów, przedrzeć się do środka Tampere i wyprzeć Czerwonych na zewnątrz. Przygotowani byli do walki o każdy dom, uzbrojeni w siekiery i niezgrabne granaty ręczne, które czasami wybuchały przed wyciągnięciem zawleczonej. Ich celem był kościół św. Mateusza, górujący nad torami kolejowymi w miejscu, gdzie skręcały one na zachód, biegnąc brzegiem jeziora.

Opuścili baraki i utworzyli pięć kolumn, dwudziestu żołnierzy w każdej. Wyszli na drogę obok cmentarza, w pobliżu którego kilka dni wcześniej stoczyli ciężką bitwę. Była pogodna, zimna i rześka noc, księżyc stał w pełni na rozgwieżdżonym niebie. Esko widział porozbijane nagrobki, oznaczone śladami pocisków. Nagrobki lśniły srebrzyście w świetle księżyca, a obok nich leżały roztrzaskane trumny i drzazgi ludzkich kości. Robiło to takie wrażenie, jakby zmarli zostali wydarci z objęć ziemi po to, aby zabito ich po raz drugi.

Wysoko nad głowami żołnierzy niósł się świszczący szept kul.

Serce Esko biło coraz szybciej. Mięśnie szyi i pośladków naprężyły się z całej siły. Dobrze, powiedział sobie, tak smakuje

strach. Ale rozpoznanie tego uczucia w niczym mu nie pomogło. Wypuścił powietrze z płuc, podskakując w miejscu, aby trochę się rozgrzać. Stojący obok niego Klaus wyjął z kieszeni talię kart do tarota i zaczął wróżyć dwóm żołnierzom. Klaus szarpnął wąsa i długą chwilę z poważnym wyrazem twarzy patrzył w karty. Potem uśmiechnął się pogodnie, jakby spłynęło na niego natchnienie albo otrzymał właśnie pocieszającą wiadomość, dotyczącą działania opatrności.

– Będziecie walczyć cały dzień i nic wam się nie stanie – oświadczył. – Wszystko dobrze się skończy.

Twarze obu mężczyzn rozjaśniły się, i nawet Esko się uśmiechnął, choć w ciągu minionych tygodni wiele razy widział, jak Klaus stawia karty. Czasami się mylił i żołnierze ginęli, ale inni nadal prosili go o wróżby, szukając w nich źródła siły i nadziei. Klaus wstąpił do wojska z tą samą pogodą ducha, z jaką podejmował wszystkie inne działania, z impulsywną beztróską, która wydawała się przekształcać optymizm w narzędzie losu.

Esko nie lubił wojska. W jego oczach służba oznaczała głód, zimno, strach, mało snu i mnóstwo wszy, chaos z trudem utrzymywany w ryzach cienką błoną wojskowej dyscypliny. Wojna była nieszczęściem, katastrofą dla jego kraju, musiał jednak wziąć w niej udział i zostać świadkiem zwycięstwa. Była to mała wojna w porównaniu z walkami we Francji, gdzie na polach bitew umierały miliony, lecz jej wybuch wyzwolił tłumione przez wieki uczucia i urazy, fale nienawiści i bratobójczej wrogości. Wojna na niewielką skalę, ale wyjątkowo okrutna i zaciekła. Czerwoni zabijali bogatych Finów bagnietami, wdzierając się nocą do ich domów, wieszali ich na latarniach i palili żywcem. Okrucieństwo nie było oczywiście domeną wyłącznie Czerwonych. W Huruslahti Biali wzięli tysiąc dwustu jeńców. Natychmiast zabili dowódców, a ponieważ brakowało im amunicji, aby rozstrzelać wszystkich, ustawili ich w długim szeregu i wywlekali co piątego. Koledzy Esko nazwali ten proceder loterią Huruslahti. Ponury żart pozwalał im cieszyć się życiem, które mogło wszak zostać zdmuchnięte jak świeca na wietrze, z radością smakować wódkę i czuć ziemię pod stopami.

Esko dotknął napiętej skóry na pooranym bliznami policzku

i szyi. Jako dziecko był kiedyś w Tampere. Pamiętał letni dzień, niedługo po śmierci matki. Stał razem z ojcem na moście, kiedy nagle usłyszeli wołanie o pomoc. Jakiś mężczyzna wpadł do rzeki i porwał go wir. Timo znalazł jakąś linę, zbiegł na brzeg i rzucił ją mężczyźnie, ale wir wessał go już pod powierzchnię. Spieniona rzeka gnała dalej, bulgocząc i szumiąc, zupełnie jakby nic się nie stało.

– Co się z nim stało? – Esko zapytał z przerażeniem.

Timo odpowiedział mu smutnym ruchem głowy.

Esko spojrzał w kierunku cmentarza. Słyszał, że Timo jest w Tampere, że dowodzi pociągiem pancernym, ale ostatnio nie brakowało plotek o jego ojcu. Timo Vaananen był cierniem w oku Mannerheima, jego nazwisko prześladowało Białych i nie pozwalało im spać spokojnie. Timo Vaananen, Czerwony Timo, Timo Rzeźnik... Mówiono, że w Helsinkach tłum robotników z czerwonymi sztandarami zebrał się na jego wezwanie na pokrytych śniegiem stopniach katedry! Podobno w Piotrogrodzie, w siedzibie sowieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, prowadził z bolszewikami negocjacje dotyczące dostaw zboża i broni. Widziano go na stacji kolejowej Terijoki, jak rozstrzeliwał wziętych do niewoli Białych. Teraz wszystko wskazywało na to, że jest w Tampere, dodaje swoim ludziom odwagi i zachęca ich, aby walczyli do ostatniej kropli krwi, nawet gdyby Mannerheim zmiażdżył miasto ostrzałem.

Selin, dowódca kompanii, przechadzał się przed szeregiem. Jego ludzie tworzyli dziwną zbieraninę komicznie ubranych obdartusów. Żaden z nich nie miał munduru. Mimo to Mannerheim, ubrany w białą futrzaną czapę i palto z futrzanym kołnierzem, nazwał ich najlepszą kompanią w całej armii.

– Nie będzie łatwo – mówił Selin. – W Tampere znajduje się co najmniej pięć tysięcy Czerwonych, może dziesięć, a może nawet dwadzieścia. Nas jest tylko pięć tysięcy. Czerwoni będą walczyć na śmierć i życie, nie mają innego wyjścia, a są lepiej zorganizowani, niż przypuszczaliśmy.

Selin był Finem szwedzkiego pochodzenia, o gładkich policzkach, nieco wyłupiastych orzechowych oczach i łagodnym

wyrazie twarzy. Miał na sobie stary płaszcz i filcowy kapelusz, którego rondo przyozdobił dla kamuflażu świerkową gałązką.

– Pójdziemy szybko, gęsiego. Każdy z was jest porządnie obładowany, wiem o tym, ale nie możemy przystawać, aby pomóc tym, którzy zostaną w tyle. Ten, kto nie dotrzyma kroku kompanii, może liczyć jedynie na to, że Czerwoni poderzną mu gardło. Dlatego proszę, aby wszyscy, którzy nie czują się na siłach, zostali na miejscu.

Stale chodził przed szeregiem, patrząc swoim ludziom prosto w oczy. Wyszkolony w Niemczech, był ostrożnym, lecz zdecydowanym żołnierzem. Esko poznał go jako człowieka wyrozumiałego i tolerancyjnego.

Klaus podskoczył w miejscu i zamachał ramionami.

– Kwa, kwa! – zawołał, zataczając się w przód i w tył. – Mój plecak jest strasznie ciężki, panie dowódco! Ja chcę do domu!

Przez szereg przetoczyła się fala gromkiego śmiechu. Jednym żartem Klaus rozwiął wątpliwości wszystkich, którzy je mieli.

– Życzę wam powodzenia w walce – rzucił Selin.

Była za piętnaście trzecia. Za kwadrans mieli dostać sygnał do ataku i biegiem ruszyć w kierunku miasta pełnego wrogich oddziałów.

– Dostałem dziś wiadomość od ojca – odezwał się Klaus. – Przysłał paczkę przez jednego ze szpiegów Mannerheima.

– Jak sytuacja w Helsinkach? – zapytał Esko. Zgodnie z przewidywaniami Mannerheima, zaraz na początku wojny stolica została opanowana przez Czerwonych. – Jak Henrik? I Katerina?

– To dla niej. – Klaus sięgnął do kieszeni spodni i wyjął kopertę. – Chcę, żebyś jej to oddał.

Esko niepewnie zerknął na kopertę.

– Sam jej oddaj – odparł, starając się mówić lekkim tonem. – Albo prześlij to przez tego szpiega.

– Nie mogę, bo już wyruszył z powrotem. Tak czy inaczej, chcę, żeby dostała to od ciebie.

Nad ich głowami ponuro zawył pocisk i obaj odruchowo spojrzeli w górę. Tu i ówdzie w Tampere szalały już pożary.

Płomienie pięły się po kominie papierni, dym wznosił się wielkimi spiralami czerni i czerwieni, a wiatr niósł ostry zapach chemikaliów, drażniąc gardło.

– Słuchaj, Esko, tym razem przyszła moja kolej. Nie wyjdę żywy z Tampere.

– Klaus...

– A może mówię tak tylko po to, aby odwrócić nieszczęście. – Klaus trącił przyjaciela łokciem w bok. – Może chcę dać losowi do zrozumienia, żeby trzymał się ode mnie z daleka. Więc zrób mi uprzejmość i weź ten list, dobrze? – Dotknął lekko kieszeni, w której trzymał talię do tarota.

– Myślałem, że zawsze oszukujesz, stawiając karty – mruknął Esko.

– Bądź dobrym kumplem i zrób to dla mnie.

Esko wziął kopertę. W obleczonej w rękawiczkę palcach papier wydał mu się dziwnie sztywny. Na kopercie widniało imię i nazwisko, które natychmiast obudziło w nim żal i tęsknotę: Katerina Małyszewa.

– Jeżeli sam dzisiaj nie oberwę, wieczorem oddam ci ten list i będziesz się czuł jak ostatni głupek – powiedział, wkładając kopertę do kieszeni. – Ale jeżeli dostanę, może się trochę ubrudzić...

Rozległ się wystrzał i na niebie rozsypała się kaskada drobnych gwiazdek. Nagle noc zabrzmiała okrzykami i tupotem ciężko obutych stóp. Esko spojrział w dół i ze zdumieniem zobaczył, że sam także biegnie. Jego ciało trzęsło się w rytm kroków, na plecach podskakiwał plecak. Dyszał ciężko. Z przewieszonym przez pierś karabinem gnał w kierunku cmentarza, gdzie czuwali zmarli, obudzeni ze snu.

Zaczął się atak.

10

Przekradali się przez tory kolejowe, kiedy w ciemności przed nimi zabrzmiał głośny okrzyk.

– Hej, wy! Pospieszcie się! Biali bandyci atakują!

Selin podniósł ramię i wszyscy znieruchomieli. Czekali, patrząc po sobie.

– Szybciej! Te białe diabły już nadchodzą!

Esko spojrział na stalowe, wyraźnie widoczne w mroku tory, biegnące prosto między plamami lodu i brudnego śniegu. W odległości zobaczył wagon towarowy, zza którego wyłoniła się postać mężczyzny. W jednej ręce trzymał pistolet, drugą wymachiwał nad głową.

– Na co czekacie?! Szybko, będą tu lada chwila!

Esko bez chwili zastanowienia podniósł karabin, uchwycił ciemną sylwetkę w celownik i nacisnął spust. Ku jego zdumieniu mężczyzna upadł. Z przodu rozległy się teraz inne głosy, pełne zaskoczenia i gniewu. Kiedy Esko rozejrzał się, zobaczył, że wszyscy jego towarzysze trzymają już broń w pogotowiu.

– Co się dzieje?! – pytał ktoś gorączkowo.

– To Biali!

– Co takiego?!

– Kurwa mać, to Biali. Wynośmy się stąd!

Krzyki ucichły, zagłuszone strzałami. Czerwoni prawie natychmiast zniknęli w ciemności.

– Uciekli – rzucił Selin, wpatrując się w cienie na torach.

Esko z przerażeniem patrzył, jak człowiek, którego postrzelił, pełznie po torach, dźwiga się na nogi i biegnie niezdarnie, trzymając się za zranione ramię.

– Aki! Paavo! Antti! Gdzie jesteście?! – krzyknął. – Wracajcie, jestem ranny!

Mężczyzna był w szoku, zupełnie zagubiony. Nie wiedział, w którą stronę skręcić, ale szedł dalej. Holm, zastępca Selina, wysunął się naprzód, z podniesionym pistoletem w dłoni. Huknął wystrzał i Holm zawrócił truchtem na nieco krzywych nogach, z pozbawioną wszelkiego wyrazu twarzą. Miał wielkie ręce, sprawne i przywykłe do zabijania. Kieszeń na jego lewej piersi była zawsze nieco wybrzuszona, ponieważ nosił tam kazania Lutra.

– Jeszcze jeden Czerwony, który będzie się smażył w piekle – oznajmił.

Holm bardzo lubił zajmować się jeńcami. W jego idealnym świecie nie było miejsca dla pokonanych wrogów.

Esko zrobiło się niedobrze, lecz nie z powodu Holma.

– Chodźmy – powiedział Selin.

Potem nie było już czasu na odczucia. Zbiegli z nasypu, zostawiając za sobą tory. Przypadli do ziemi jak koty i znowu ruszyli w blasku księżyca, połyskującym na pokrytej lodem drodze, prowadzącej do centrum miasta. Esko zerknął na Klause, który biegł u jego boku. Oczy przyjaciela były szeroko otwarte, a spojrzenie błyskawicznie przenosiło się z miejsca na miejsce.

Sunące po niebie chmury skłębiły się wysoko, wyraźnie widoczne na tle jasnej tarczy księżyca. Kompania biegła po jednej stronie ulicy, w głębokim cieniu. Pokonywali kilkanaście metrów, nieruchomieli, przygięci do ziemi, i ruszali dalej. Wiatr tłukł niedomkniętymi drzwiami. Gdzieś za nimi rozległ się grzechot karabinu maszynowego. Esko znowu poczuł, jak mu sztywnieją mięśnie, ale strzały niosły się z dużej odległości. Wkrótce Selin podniósł ramię, dając niemy sygnał.

Na końcu ulicy Satakunnankatu wejście na most zasłaniało kilkanaście białych koni. Zwierzęta parskwały i usiłowały stawać dęba, lecz miały powiązane nogi. Za nimi znad worków z piaskiem sterczały lufy dwóch karabinów maszynowych. Czerwonych nie było widać, ale karabiny czekały, przygotowane do strzału.

Esko rozpiął kołnierzyk koszuli, oddychając szybko. Konie osłaniały karabiny maszynowe przed niespodziewanym atakiem. Esko wiedział, że kiedy padną, ich ciała staną się krwawym okopem, przez który będą musieli przedostać się napastnicy. Selin i Holm nachylili się ku sobie i zaczęli szeptać, usiłując znaleźć najlepszy sposób rozegrania walki. Pocisk zaświstał tuż nad nimi i rozerwał się po drugiej stronie mostu. Za mostem widać było pożary i kolumny czarnego dymu. Atak zapowiadał się na trudniejszy, niż przypuszczali.

Z tyłu rozległ się nagle tętent kopyt i ulicą przegalopował oficer Czerwonych w rosyjskim mundurze, pochylony nad końskim karkiem, tnąc powietrze szpicrutą.

– Wy tchórze, to wcale nie jest niebezpieczne! – wrzasnął. Jego oczy błyszczały w ciemności, z nozdrzy wierzchowca unosiły się obłoczki pary. – Ci przekłeci Biali są tutaj! Ruszajcie!

Podniósł szpicrutę i wtedy Esko wraz z kilkoma innymi żołnierzami wypalili z karabinów.

Oficer spadł do tyłu, a koń zachwiał się i runął na kolana, opróżniając jelita i zlewając krwią szary lód. Esko nie mógł oderwać wzroku od zdychającego zwierzęcia, lecz właśnie wtedy karabiny maszynowe na moście zakrzuszyły się salwami, strzelając pod brzuchami spętanych koni. Powietrze ożyło, wypełnione gradem kul, które z sykiem przelatowały obok lub uderzały o bruk. Nagle twarz żołnierza stojącego obok Esko zmieniła się w krwawą maskę. Inny podskakiwał i drżał, osaczony strumieniem pocisków, potem zaś opadł na ziemię, bezwładny jak szmaciana lalka. Esko myślał tylko o Klausie. Gdzie był Klaus, u diabła? Odwrócił się i ujrzał przyjaciela zgiętego wpół, biegnącego na drugą stronę ulicy. Ten widok wyzwolił go z paraliżu. Rzucił się za Klausem, nie próbując uchylać się czy zasłaniać przed kulami, przyciskając karabin do piersi i ze wszystkich sił pędząc ku wąskiej alejce, która wydawała się oddalać od niego, im szybciej biegł, zupełnie jakby drżące z wysiłku nogi nigdy nie miały do niej dotrzeć. I wreszcie Klaus złapał go za ramię, pociągnął ku sobie i Esko upadł twarzą w górkę poczerńiałego śniegu. Gdy podniósł się na rękach, ujrzał ciemne mury domów po obu stronach ulicy i bladą twarz przyjaciela tuż przy swojej.

– Nic ci nie jest, Esko? Jesteś ranny? Odpowiadaj, chłopie.

Esko pokręcił głową, nie mogąc wydobyć z gardła ani słowa. Nie był ranny.

– Jezu, co za bajzel – mruknął Klaus, wpatrując się w mrok. Karabiny maszynowe na moście nadal zanosiły się urywanym szczekaniem. Ani Klaus, ani Esko nie chcieli nawet myśleć, co się tam dzieje. – Musimy ruszać. Kierujmy się na punkt zborny.

Instrukcje Selina były jasne: jeśli kompania zostanie rozproszona, nim przedostanie się na drugą stronę rzeki, żołnierze powinni kierować się do położonej nieco dalej na północ fabryki, gdzie mieli przegrupować się przed następnym atakiem. Esko miał wprawdzie w pamięci mapę Tampere i wiedział, gdzie leży fabryka, nie potrafił się jednak zorientować, gdzie oni sami znajdują się w tej chwili. Wszystko stało się tak nagle, że zupełnie stracił orientację w terenie.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał.
- Nie – odparł Klaus.
- Myślisz, że możemy zapytać o drogę?

Klaus parsknął śmiechem, lecz zaraz zasłonił usta i czujnie rozejrzał się dookoła.

- Dlaczego nie? Jak dotąd Czerwoni byli bardzo uprzejmi.

Karabiny maszynowe nadal prowadziły swój szczekliwy monolog z mostu, robiąc tylko krótkie przerwy. Pociski niosły się wysoko nad nimi i pękały gdzieś w oddali. Esko i Klaus przebiegli przez alejkę i zatrzymali się na jej końcu. Esko spojrzał na wąski pasek nieba, widoczny nad dachami domów i szybko wyjrzał zza rogu. Ulica była pusta. Bruk połyskiwał w świetle księżyca. Po przeciwnej stronie cały parter domu zajmował sklep, którego okna były ciemne i zmatowiały niczym martwe oczy. Ktoś wystrzelił racę, która rozjaśniła niebo i wydobyła z ciemności spływającą rzeką krę. Daleko przed nimi, na drugim brzegu, dachy budynków stały w ogniu wznieconym przez ostrzał. Esko zobaczył nagle idącego ulicą człowieka. Kiwnął palcem na Klause i w milczeniu wskazał mu mężczyznę.

- Jeszcze nie – szepnął Klaus. – Jeszcze nie... Teraz!

Esko chwycił mężczyznę za kark i wciągnął go w alejkę. Klaus wykręcił mu ramiona do tyłu i przygwoździł do muru. Był to niski, drobny człowiek w czapce z naszytą czerwoną gwiazdą.

– Nie bój się, przyjacielu – powiedział Klaus. – Chcemy tylko zadać ci parę pytań.

- Nie boję się, biały durniu.

– Puścimy cię, ale musisz nam powiedzieć, gdzie jest fabryka Finlaysona – warknął Esko.

– Odpieprz się – rzucił mężczyzna, lecz jego oczy zwróciły się w dół alejki, w stronę, z której przybiegli.

- Tamtędy, tak? – zapytał Esko.

Czerwony kiwnął głową. Klaus nie czekał ani chwili dłużej. Wyszarpnął bagnet z pochwy i wbił go w brzuch mężczyzny, zanim Esko zdążył zaprotestować. Pobiegli ile sił w nogach, Klaus przodem, kierując się na wschód. Minęli dwie przecznice i skręcili w ulicę Tuomiokirkonkatu. Esko dopiero teraz uświa-

domił sobie, że atak się nie powiodł, przynajmniej w początkowej fazie, ponieważ Tampere broniły zbyt liczne oddziały Czerwonych.

Za bramą prowadzącą do fabryki Finlaysona znajdował się szeroki, pokryty lodem dziedziniec. Po obu jego stronach widać było budynki. Ich kroki rozlegały się głośnym echem, jakby weszli do jaskini z cegły. W odległym końcu podwórka pięł się w niebo cienki komin, niczym uniesiony w ostrzegawczym geście palec. Esko i Klaus wymienili szybkie spojrzenia. Wszystko wskazywało na to, że dotarli na miejsce przed pozostałymi, jeżeli w ogóle ktoś poza nimi przeżył. Niewykluczone, że reszta kompanii została wybita do nogi u wejścia na most. Była to możliwość, której na razie nie chcieli brać pod uwagę.

Z boku komina znajdowała się stalowa drabinka. Esko wspiał się na kilkanaście stopni, by sprawdzić, co dzieje się dookoła. Z wysokości wyraźnie widział spienioną rzekę, rozszerzającą się pożary i wieżę kościoła, do którego miała dotrzeć kompania. Lodowaty wiatr przejął go dreszczem. Przy moście Satakunnankatu Czerwoni nieśli na pozycję następny karabin maszynowy. Dookoła mostu szalał ogień i trudno było się zorientować, z której strony padają strzały i gdzie dokładnie znajduje się środek bitwy. Co jakiś czas na obu brzegach rzeki eksplodowały pociski.

Esko powoli zszedł na dół.

– Co się dzieje? – zapytał Klaus.

Esko wzruszył ramionami. Spojrzeli po sobie, wymieniając krótkie uśmiechy. Doskonale rozumieli, że zostali odcięci od swoich.

– Chyba musimy sami zdobyć ten kościół – powiedział Esko.

– Chyba tak – przytaknął Klaus.

Nagle rozległ się zgrzyt i jakieś drzwi huknęły o mur.

Esko i Klaus odwrócili się błyskawicznie, z bronią gotową do strzału, i zobaczyli mężczyznę wychodzącego z piwnicy jednego z budynków. Ubrany był na biało i stał zwrócony plecami do nich. Nieświadomy ich obecności, pochylił się, aby pomóc komuś jeszcze i po chwili obok niego stanęła kobieta, trzymająca w ramionach małe zawiniątko. Esko zdał sobie spr-

wę, że mężczyzna wygląda jak duch, ponieważ ma na sobie tylko bieliznę. Jego chude nogi sterczały żałośnie z niezasznurowanych butów. Był łysy i brodaty. Odwrócił się, przygarniając do siebie żonę i dziecko, i nerwowo rozglądając się dookoła. Właśnie wtedy dostrzegł Esko i Klause. W jednej chwili padł na kolana, wznosząc w górę splecione dłonie.

– Zabijcie mnie, proszę. Zabijcie mnie, ale błagam, oszczędźcie moją żonę i dziecko. Nic nie zrobili, są niewinni. Błagam, nie róbcie im krzywdy.

Esko podał Klausowi karabin i ruszył w kierunku obcego, pokazując mu puste dłonie i mówiąc, aby się nie bał. Broda mężczyzny była starannie przystrzyżona i zadbana. Jego ciemne oczy biegały niespokojnie, zęby szczękały.

– Gdzie twój płaszcz? – zapytał Esko.

– Zabrali mi go – odparł z wahaniem.

– Kto?

Mężczyzna potrząsnął głową, wyraźnie nie śmiejąc odpowiedzieć. Nie wiedział, po której stronie są Klaus i Esko.

Dziecko zaniósło się płaczem i kobieta zakołysała zawiniątkiem.

– Cicho, mój skarbie, cicho...

– Wszystko w porządku, nic ci nie zrobimy – powiedział Esko, zaciskając dłonie na ramionach mężczyzny, który dopiero teraz spojrzał mu prosto w twarz. – Wszystko w porządku. Jesteśmy z armii Mannerheima. Czekamy na resztę oddziału, a potem chcemy przejść przez most.

– Naprawdę? – Na twarzy mężczyzny odmalowała się wielka ulga. – Jesteście od Mannerheima? Słyszałaś, kochanie? To ludzie Mannerheima! Och, to wspaniale! Robotnicy zabrali mi ubranie i zamknęli nas w piwnicy. Chciwi dranie! – Dyszał ciężko, z trudem wydobywając słowa z gardła. Jego oddech był cuchnący, jakby nie jadł od wielu dni. Nagle przerwał, zmarszczył brwi i podniósł do brody długą, kościstą rękę. – Nie, nie, nie możecie przejść przez most! Zaminowali go! Tak, widziałem, jak wynosili z fabryki skrzynie z materiałami wybuchowymi. Na pewno go wysadzą. Nie możecie tam iść! Idźcie do tamy! Tak, to będzie najlepsze wyjście!

– Do tamy?

Mężczyzna kiwnął głową, biorąc Esko za ramię i wskazując północną część miasta. Wyjaśnił im, że nieco dalej znajduje się niska tama, po której mogą przedostać się na drugi brzeg. Najpierw muszą wejść na dach niewielkiego budynku, który stoi tuż nad tamą, i zeskoczyć stamtąd. Z dumą oświadczył, że budynek ten należy do fabryki. Potem znowu odwrócił się do żony.

– To wojsko Mannerheima, kochanie! Czy to nie cudownie?

Brama skrzypnęła cicho i na dziedziniec wślizgnął się Selin. Jego czujne oczy spoczęły na grupie pod ścianą i dopiero po sekundzie wyraźnie się odprężył.

– Arnefelt, Vaananen, jednak dotarliście na miejsce – powiedział z uśmiechem, który zgasł równie szybko, jak się pojawił. – Udało wam się. Straciłem pięciu ludzi.

Podniósł ramię i na teren fabryki wbiegła reszta kompanii. Wszyscy uśmiechali się na widok Esko i Klause, szczęśliwi, że oddział liczy o dwóch ludzi więcej. Straty były mniejsze, niż Esko się obawiał. Dopiero teraz uświadomił sobie, że od chwili, gdy znaleźli się pod ostrzałem, nie wierzył, iż jeszcze kiedykolwiek zobaczy towarzyszy broni. Teraz jego nastrój uległ błyskawicznej poprawie. Klaus również się uśmiechał. Obaj odzyskali pewność siebie i znowu wszystko wydawało im się możliwe do osiągnięcia.

Selin spojrział na zegarek.

– Odpocznijemy tu piętnaście minut – powiedział spokojnie. – Potem znowu przypuścimy szturm na most.

Holm krążył dookoła brodatego mężczyzny i jego żony, podobny do dzikiego zwierzęcia na łowach, głaszcząc kieszeń, w której trzymał zbiór kazań Lutra.

– Jeńcy... – wymamrotał i powoli wyjął z kabury mausera.

– Nie – rzucił Esko, stając przed znekąną rodziną.

I tym razem zupełnie nieświadomie podjął decyzję. Nie zamierzał dopuścić, aby Holm skrzywdził tych ludzi. Klaus mógł zabić tamtego Czerwonego przy moście, prawdopodobnie było to nawet nieuniknione, ale to była inna sprawa. Ci biedacy potrzebowali schronienia przed burzą, która tej nocy rozpętała

się nad Tampere i Esko był gotów sprzeciwić się wyższemu rangą, aby ich uratować.

– Ten człowiek jest pracownikiem fabryki – zwrócił się do Selina.

Brodaty mężczyzna gorliwie pokiwał głową, zrozumiawszy, że jeszcze nie jest całkowicie bezpieczny.

– Tak, tak...

– Udzielił nam informacji, które mogą się okazać użyteczne – ciągnął Esko. – I proszę spojrzeć na jego buty, panie kapitanie – to zamożny człowiek, Biały.

– Bzdury – warknął Holm, wykrzywiając wargi w grymasie wściekłości. – Ukradł te buty, nie ma w nich sznurowadeł. Dam głowę, że to Czerwony. – Zarepetował mausera. – Mam tu kulkę dla niego i jeszcze dwie, po jednej dla tej jego czerwonej suki i czerwonego bachora. I jeszcze jedną dla Vaananena, jeżeli nie zejdzie mi z drogi.

– Panie kapitanie, proszę przynajmniej wysłuchać tego człowieka – rzekł Esko, ignorując Holma. – Mówi, że wie, w jaki sposób można względnie bezpiecznie przedostać się na drugi brzeg...

– Co to za sposób? – zapytał Selin.

Brodaty mężczyzna znowu upadł na kolana.

– Proszę, zabijcie mnie, ale zostawcie moją rodzinę – jęknął.

– Wstawaj, człowieku, na miłość boską. – Selin się zdenerwował. – Powiedz mi, o co chodzi z tym przejściem. Nikt nie zamierza cię zastrzelić, w każdym razie nie teraz.

Mężczyzna zerwał się na nogi, ale jego zęby znowu głośno szczękały. Ostry odór, który rozszedł się w powietrzu, świadczył, że stracił kontrolę nad jelitami.

– Weź się w garść – powiedział Esko. – Opowiedz wszystko temu oficerowi.

Jakając się nerwowo, brodaty zrelacjonował Selinowi, jak przejść po tamie na drugą stronę rzeki.

– To kłamstwa! – wybuchnął Holm. – Same kłamstwa!

– Dlaczego miałbym kłamać? – Mężczyzna złapał Selina za rękaw. – Co mogę w ten sposób zyskać? Pański żołnierz ma rację, widzi pan te buty? To są buty bogatego człowieka! –

Kilka razy machnął wychudzoną nogą. – Moi robotnicy zabrali mi sznurowadła, kiedy zamknęli nas w piwnicy.

– Chcę jeszcze raz usłyszeć wszystko o tamie – powoli rzekł Selin.

Brodaty powtórzył swoją historię, podczas gdy Holm przechadzał się po dziedzińcu z założonymi do tyłu rękami i z wyrazem rozgoryczenia i zawodu na kwadratowej twarzy, co jakiś czas rzucając Esko wściekłe spojrzenia.

Było tak zimno, że żołnierze ledwo mogli ustać w miejscu. Wszyscy marzyli, aby wreszcie ruszyć do ataku, lecz Selin nie spieszył się z podjęciem decyzji.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Vaananen i Arnefelt, to był wasz błyskotliwy pomysł, więc wy przejdziecie jako pierwsi.

Znaleźli tamę w miejscu, które dokładnie opisał im brodaty mężczyzna. Długo obserwowali ją z dachu magazynu, którego ściana wydawała się wyrastać wprost ze wzburzonej wody. Potem Esko i Klaus po drabinie wspięli się wyżej, na dach budynku, z którego mieli zeskoczyć na tamę, podczołgali się na brzeg i ostrożnie spojrzeli w dół.

Tama był to usypany z ziemi, wzmocniony kamieniami wał, szeroki na niecały metr, lecz zupełnie płaski na szczycie. Przecinała rzekę, pełną w tym miejscu wielkich kawałów lodu, które spłynęły z jeziora. Przeciwległy brzeg pogrążony był w cieniu murów innej fabryki, której nieotynkowane budynki wyraźnie rysowały się w świetle księżyca. Po lewej Esko dostrzegł most Satakunnankatu i Czerwonych, przyczajonych przy gnieździe karabinów maszynowych. Wszystkie konie padły i ich ciała zalegały ulicę wielkim stosem, spowite obłokami pary.

– Co o tym myślisz? – odezwał się Esko.

– Wolę przejść tędy, niż wracać do mostu – odparł Klaus.

– Pójdę pierwszy – rzekł Esko. – Ty wróć po pozostałych.

Skok z wysokości prawie sześciu metrów wstrząsnął całym jego ciałem, wprawiając w drżenie wszystkie kości i zęby. Była to najbardziej niebezpieczna część całej operacji, ponieważ na plecach dźwigał spory ciężar, a za pasem tkwiły nieobliczalne granaty. Odzyskawszy równowagę, przeszedł po grzbiecie tamy,

nie patrząc w spienioną, szaloną wodę, lecz w zbliżającą się z każdym krokiem ciemność po drugiej stronie. Gdy stanął na brzegu, odwrócił się i czekał na resztę kompanii, witając każdego z towarzyszy klepieniem w ramię.

Potem uśmiechnęło się do nich szczęście. Selin liczył ludzi, kiedy Klaus przywłókł za kołnierz młodego człowieka w wełnianej czapce. W bystrych, przebiegłych oczach schwytanego pojawił się strach, lecz trwało to tylko chwilę. Natychmiast uświadomił sobie, kim są ci żołnierze, po co tu przyszli i w jaki sposób on sam może uratować skórę, a może nawet wkupić się w ich łaski. Został przewodnikiem kompanii i poprowadził ich ku innemu budynkowi, później zaś przez labirynt piwnic i pomieszczeń biurowych w kierunku wychodzącej na ulicę bramy, z której wyraźnie widać było oddalony zaledwie o kilkaset metrów kościół św. Mateusza.

Od tej pory szczęście i element zaskoczenia sprzyjały im jak nigdy dotąd. Starli się z licznym lecz zdezorganizowanym i pozabawionym chęci do walki oddziałem wroga i w mgnieniu oka go rozproszyli. Zwycięstwo jest w zasięgu dłoni, pomyślał Esko. Mamy wolę walki, upór i doskonały plan.

Biegli, strzelając do wszystkiego, co wydało im się podejrzanym, oraz do okien, niezależnie od tego, czy widzieli w nich kogoś, czy nie. Na rogu ulic Kuninkaankatu i Puuvillatehtaankatu Selin wystrzelił trzy race, aby pozostała część armii wiedziała, że zbliżają się do wyznaczonego celu. Kiedy na tle nieba rozsypały się czerwone i zielone gwiazdki, zza zakrętu wyskoczyły zaprzężone w jednego konia niewielkie sanie. Siedział w nich ubrany w rosyjski mundur oficer Czerwonych, tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy i połamanych, spróchniałych zębach.

– Dokąd biegniecie?! – zawołał wysokim głosem. – Wracajcie na drugą stronę mostu, tam toczy się walka!

– Ilu ludzi strzeże kościoła? – zapytał Selin. – Salmela powiedział mi, że potrzebne im posiłki.

– Na zewnątrz stoi pięciu, to zupełnie wystarczy. Biali nie atakują kościoła – powiedział oficer i w tej samej chwili jego twarz przybrała odcień kredy na widok szerokiego uśmiechu Selina. – Cholera ciężka... – wymamrotał.

Ledwo zdążył ze strachu zamknąć usta, kiedy Holm wysunął się naprzód i strzelił mu w szyję. Koń zarżał przeraźliwie i poniósł, wlokąc sanki ze zwisającymi zwłokami oficera, którego głowa obijała się o bruk jak piłka.

Ostrożnie przemknęli przez ulicę Nasijarvenkatu, ponieważ brodaty mężczyzna ostrzegł ich, że na jednym z pięter budynku mieszkalnego może znajdować się stanowisko karabinu maszynowego. W pewnej chwili okno na trzecim piętrze otworzyło się i stanęła w nim stara kobieta.

– Walczcie! – krzyknęła. – Odeprzyjcie tych białych bandytów!

Holm uciszył ją jednym celnym strzałem. Zza rogu wybiegła kilkunastoletnia dziewczyna z wiatrówką w ręku. Esko wyrwał jej broń z ręki, zanim Holm zdążył ją zauważyć.

– Gdzie mam iść? – zapytała ze łzami w głosie.

– Wracaj do domu.

Serce biło mu szybko, dopóki nie zniknęła. Była drugim dzieckiem, które uratował w ciągu tej długiej nocy.

Na końcu ulicy znaleźli kościół, ciężką, przycupniętą przy ziemi bryłę z kamienia, ze strzelistą wieżą i oszronioną kopułą. Przed kościołem rozciągał się wybrukowany plac, nie chroniony ani przez ogrodzenie, ani przez działa.

Selin ponownie podzielił kompanię na trzy grupy. Wpadli na plac z trzech stron. Esko i Klaus znajdowali się w grupie Selina, która zaatakowała od frontu. Z krzykiem ruszyli gęsiego ku drzwiom kościoła. Z lufy pistoletu Selina dwukrotnie błysnął ogień, kiedy zastrzelił dwóch strażników, którzy nawet nie zdążyli podnieść ciężkich karabinów. Drzwi otworzyły się z hukiem i na zewnątrz wybiegł jakiś mężczyzna. Usiłował wskoczyć na uwiązanego do żelaznego słupa konia, lecz Selin położył go jedną kulą. Strzały wywabiły z wnętrza kościoła jeszcze czterech czy pięciu Czerwonych, którzy równie szybko zawrócili do środka, zostawiając otwarte drzwi. Kolejny wyskoczył z okna, szybko podniósł się i pobiegł przed siebie, utykając na jedną nogę. Holm strzelił mu w plecy.

Między kolumnami u wejścia, gdzie kamienne płyty usłane były słomą, Esko i Klaus dostrzegli jeszcze dziewięciu lub

dziesięciu Czerwonych, którzy wbiegali właśnie na szerokie schody, prowadzące na dzwonnice.

Przyjaciele wymienili szybkie spojrzenie. Klaus przez chwilę z namysłem przygryzał wąsa, potem zaś ruszył biegiem po schodach. Esko był tuż za nim. Bezpiecznie dotarli na półpiętro i Esko już sięgał po granat, aby rzucić go za załom kamiennej klatki schodowej, kiedy nagle ujrzał wysuwający się bagnet z zatkniętą białą koszulą.

Czerwoni powoli zeszli po schodach. Wszyscy ubrani byli w niepodopinane, rozchełstane rosyjskie mundury, we włosach mieli kawałki słomy i wyglądali na przestraszonych i zniechęconych do dalszej walki.

Już po wszystkim, pomyślał Esko, patrząc w przegrane twarze wrogów. Zwyciężyliśmy. Był podniecony, szczęśliwy i bardzo spragniony. Usiadł na podłodze i napił się z manierki.

Była piąta rano i na dworze nadal panowały ciemności.

Atak trwał zaledwie dwie godziny.

11

Żołnierze czuli, że zrobili, co do nich należało, spokojnie palili więc papierosy i rozmawiali. Esko postanowił obejrzeć kościół. Promień światła, bijący z jego latarki, wydobywał z mroku witraże, ławki z ciemnego dębu, kawały potrzaskanego kamienia i pograżony w cieniu krzyż w odległym końcu nawy. Na ścianach znajdowały się piękne, po mistrzowsku wykonane freski przedstawiające sceny biblijne – Ewę z jabłkiem, Abrahama z nożem wzniesionym nad gardłem Izaaka, Chrystusa rzucającego chleb na wodę. Jakiś żartowniś nagryzmolił coś na jednym z malowideł, druga ściana wymazana była ekskrementami.

W środkowej nawie stało dwóch pograżonych w modlitwie mężczyzn z pochylonymi głowami. Trzeci oddawał mocz do dziury w podłodze, którą musiał wyrwać pocisk artyleryjski. Niektórzy żołnierze nie mogli przestać gadać, ich usta otwierały się i zamykały bez chwili przerwy. Nie wiedzieli, co mówią,

lecz wyrzucanie z siebie słów przynosiło im wyraźną ulgę. Byli szczęśliwi, że żyją i zadowoleni, że nie muszą się już bać.

Selin wiedział, że wkrótce powinien ponownie poderwać swoich ludzi. Wywołał Esko na zewnątrz, na tyły kościoła. Znaleźli tam otoczony murem cmentarz. Księżyc wisiał nisko na niebie, jego światło złociło zamarznąłą powierzchnię jeziora za lśniącymi torami kolejowymi.

Po powrocie do kościoła Selin kazał wyprowadzić jeńców na zewnątrz i zostawić ich pod strażą na terenie cmentarza. Potem obaj z Esko wspięli się po kręconych schodkach na wieżę, gdzie świeży wiatr szalał wśród otwartych łuków. Roztaczał się stąd doskonały widok na tory i jezioro z jednej strony, z drugiej zaś na Tampere.

– Cholera jasna! – mruknął Selin, ponieważ to, co widzieli i słyszeli, świadczyło, że na innych liniach atak raczej się nie powiodł.

Od wschodu rozbrzmiewał urywany stukot drobnej broni i grzechot karabinów maszynowych. Tam, skąd wyruszyli nieco ponad dwie godziny temu, płonęły domy i błyskały eksplodujące pociski.

Wszystko wskazywało na to, że gdzie indziej Biali nie posunęli się zbyt naprzód, a nawet, że zostali odparci. Wydawało się pewne, że Tampere nadal było we władzy Czerwonych, z wyjątkiem jednej małej oazy – kościoła, na którego dzwonnicy stali teraz Esko i Selin.

Byli odcięci.

Selin z rezygnacją oparł się o balustradę. Potarł przekrwione oczy i wytarł czoło chustką do nosa, ale zaraz się wyprostował.

– Idź i powiedz Holmowi, jaka jest sytuacja – rzekł. – Weź go na stronę, żeby nie wzbudzić paniki. Jeńców trzeba będzie natychmiast rozstrzelać.

Zauważył odrazę, która odmalowała się na twarzy Esko, i jego łagodne oczy spochmurniały.

– To rozkaz, Vaananen – rzucił. – Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale Czerwoni lada chwila dowiedzą się o naszej obecności w środku miasta i przystąpią do kontrnatarcia. Musimy być gotowi.

Holm siedział na kamiennej ławce na ganku kościoła, uważnie obserwując drzwi. Kiedy Esko zbliżył się do niego, jego spojrzenie nie zmieniło kierunku, a duża twarz wyrazu. Wielkie dłonie pozostały oparte na kolanach. Był zupełnie nieruchomy, jak wykuty z kamienia. Ożywił się dopiero wtedy, gdy Esko skończył mówić. Zerwał się z miejsca i ruszył truchtem boczną nawą, podobny do wypuszczonego z zagrody byka.

– Lampo! Akslof! Mykkanen! Nikunen! – ryknął. – Kaskivaara! Von Seth! Arnefelt! Do mnie! Ty także pójdziesz z nami, Vaananen.

Dwóch żołnierzy, Mykkanen i Kaskivaara, z ponurymi uśmiechami zaczęło ładować rewolwery i pistolety, podczas gdy Holm wykladał swoją nieskomplikowaną strategię.

– Zdobyliśmy karabin maszynowy, tak? Arnefelt i Akslof, idźcie po niego. Vaananen i ja ustawimy to czerwone gówno pod tylną ścianą i szybko załatwimy sprawę.

Holm odegrał małą scenkę, pokazując, jak będzie rozstrzeliwał więźniów.

– Potem dobijemy rannych – oświadczył. – Zróbmy to szybko i sprawnie, co? Tak, żeby nie wiedzieli, co ich trafiło. Czeka nas ważna praca, wielkie dzieło Boże, które trzeba wykonać dla Finlandii.

Na cmentarzu Holm z uśmiechem zaczął ustawiać jeńców w szeregu.

– Pospieszcie się, dranie! – rzekł żartobliwym tonem. – Mamy dla was śniadanie, jeśli was to interesuje. Ustawcie się szybko i równo. Potem wpuścimy was do środka, żebyście mogli zjeść w cieple, ale tylko po dwóch. Nie mam do was zaufania, i tak narobiliście już nam dosyć kłopotów. Dalej, ustawiać się! – zawołał, popychając więźniów pod ścianę kościoła. – A może brzuchy Czerwonych nigdy nie czują głodu, co?

– Co będzie na śniadanie? – zapytał jeden z Czerwonych, niski, przysadzisty mężczyzna, podskakując w miejscu i zabijając ręce. Najwyraźniej miał nadzieję, że okazując zainteresowanie, wprawi Holma w jeszcze lepszy humor. – Mmmm, pachnie smakowicie! – oznajmił, podnosząc nos i komicznie wietrząc powietrze.

Pozostali robili wrażenie całkowicie wyczerpanych i zubożonych. Ich oczy były bez wyrazu, i Esko zrozumiał, że przeżycia ostatnich dni pozbawiły ich oczekiwań i obaw. Wszyscy wyglądali jak starzy, bardzo zmęczeni ludzie. Kilku unikało jego spojrzenia, spuszczać oczy w poczuciu wstydu i klęski, zupełnie jakby przyznawali, że zasłużyli na najgorsze i jakby nie spodziewali się litości ze strony zwycięzców. Żaden nie miał w sobie dość energii i chęci do życia, aby spróbować ucieczki. Esko zastanawiał się, jak to możliwe. Czy i on pewnego dnia mógłby stracić wszelką nadzieję i nie mieć nawet tyle siły woli, żeby podnieść pięść w geście protestu? Może to tylko wojna zdolna jest rzucić ludzką duszę na kolana? Współczuł im z całego serca, choć wiedział, że nic nie może dla nich zrobić.

Usłyszał, jak ktoś zacisnął dłonie, aż zatrzeszczały naciągnięte stawy. Sądząc po sile dźwięku, musiały to być stawy wielkości końskich podkówek. Serce Esko drgnęło nagle i coś poruszyło się w jego głębi. Rozejrzał się i ogarnęło go przekonanie, że oto przeszłość podkrada się do niego pod postacią mężczyzny, który zbliżał się powoli z odległego krańca cmentarza. Był to najwyższy i najbardziej chudy człowiek, jakiego Esko kiedykolwiek widział, człowieka, którego rozpoznał natychmiast, głęboko poruszony przywołanym uczuciem wstydu i wdzięczności, dorosły, którego Esko znał jako dziecko. Miał przed sobą syna Bongmana, giganta, mężczyznę wzrostu około dwóch metrów, o dłoniach niczym bochny chleba. Jego usta rozchylone były w krzywym uśmiechu, który mógł oznaczać drwinę, pogardę lub akceptację. Brodę i policzki porastał kilkudniowy rzadki zarost, który jeszcze podkreślał wrażenie, że cała energia w jego ciele skupiła się na osiągnięciu olbrzymiego wzrostu. Oczy były ciepłe i czujne. Esko w jednej chwili pojął, że nic, co mogą zobaczyć te oczy, z pewnością nie zaskoczy syna Bongmana.

– Do szeregu, czerwone brudasy! – pokrzykiwał Holm, kładąc rękę na kolbie tkwiącego w kaburze pistoletu, jakby obawiał się, że olbrzym może go zaatakować lub w jakiś sposób natchnie towarzyszy wolą ucieczki. – Ty także, wielkoludzie! Przydałby ci się chyba porządny posiłek, nie?

– Kogo próbujesz oszukać? – odezwał się syn Bongmana. –

Zamierzacie wystrzelać nas wszystkich. – Odwrócił się do Esko i lekko skinął głową. – Witaj, Człowieku z Blizną. A więc skończyłeś w towarzystwie tych zgniłków... – Westchnął i z uśmiechem potarł swój marny zarost. – Kto by pomyślał, że syn Czerwonego Timo znajdzie się w bandzie białych morderców... – Podniósł wielką głowę i utkwił w Esko pojaśnione spojrzenie. – Przypominają mi się dawne czasy... Co się z tobą działo?

– Do szeregu, czerwony skurwielu – zakomenderował Holm wciąż tym samym żartobliwym głosem. – Przestań się wygłupiać i stawaj w kolejce po zarcie.

Przez chwilę Esko myślał, że syn Bongmana podniesie wielką pięść i jednym uderzeniem wyprawi Holma na tamten świat. Chyba on też rozważał taką możliwość i Esko nagle zapragnął, aby zrobił to, o czym pomyślał, ale jego przyjaciel z dzieciństwa westchnął tylko, rozłożył ręce i stanął pod murem cmentarza obok towarzyszy.

– Dwa dni temu zabili moją dziewczynę, więc nie przejmuj się, Człowieku z Blizną – rzekł spokojnie, jakby nie miał cienia wątpliwości, że to Esko potrzebuje pocieszenia. – I tak nie mam już po co żyć.

Esko chciał zaprotestować, powiedzieć synowi Bongmana, że ma po co żyć, że nie wolno mu tracić nadziei, ale natychmiast porzucił tę myśl. Syn Bongmana miał umrzeć. Holm miał wytyczony cel i nic nie mogło odwieść go od jego realizacji. Było oczywiste, że Esko jest bezradny, a jednak czuł się tchórzem i gardził sobą za to, że nie próbuje. Uratował tamtą rodzinę w fabryce Finlaysona i dziewczynę, która wybiegła na ulicę z bronią w ręku, ale nie mógł pomóc swemu przyjacielowi.

Bywał już świadkiem rozstrzeliwania więźniów, nie pierwszy dzień służył przecież w oddziale Holma, lecz po raz pierwszy wydało mu się to aż tak straszliwie, nieopisanie nieludzkie, co nie znaczy, że pozbawione sensu, ponieważ rozumiał, czemu służy to działanie – martwy wróg nie jest wrogiem, który pewnego dnia może schwycić karabin. Co więcej, przerażona i upokorzona rodzina zabitego na pewno zastanowi się najmniej dwa

razy, zanim zaczniesz narzekać na drożyznę czy domagać się własnej ziemi. Wszystko to było całkowicie logiczną konsekwencją wojny domowej, wojny klas społecznych. Ale też szalone, niewybaczone. Wydawało mu się niemożliwe, by Finowie zadawali sobie nawzajem takie straszne rany i oczekiwali, że Finlandia jakoś to przetrwa. Był pewien, że cały kraj na wiele lat pograży się w nienawiści.

Chciał zadać synowi Bongmana mnóstwo pytań. Chciał wiedzieć, czy nadal mieszka w Pyhajarvi, czy wioska dalej jest taka sama jak kiedyś, czy letnie noce pełne są złocistego światła, a kwiaty kaliny wydzielają ten sam słodki zapach. Czy Turkkila jeszcze żyje? Gdzie pracuje syn Bongmana? Kim była jego dziewczyna? Jak to się stało, że opowiedział się po stronie Czerwonych? Czy wie coś o Timo? I czy pamięta pewien ranek, kiedy jako młodzi chłopcy ścigali się na lodzie?

Od jeziora powiał nagle zimny wiatr. Syn Bongmana zadrżał, jakby chłód przeniknął go do szpiku kości. Esko skoczył ku niemu, roztarł mu ramiona i dał papierosa.

– Dzięki, Człowieku z Blizną. Nie pozwól, żeby cię zniszczyli. Nie pozwól. Zawsze jeździłeś na łyżwach lepiej od samego diabła.

Gardło Esko ścisnęło się boleśnie. Odwrócił się do Holma, aby powiedzieć mu, że robią błąd, że można przecież zamknąć jeńców w podziemiach kościoła do czasu zakończenia walk...

Holm nie pozwolił mu nawet zacząć.

– Posłuchaj, Vaananen, jeśli chcesz dostać to samo śniadanko, co twój kumpel, stań obok niego i nie ruszaj się. A jeżeli nie, to odsuń się, do cholery. Mnie tam wszystko jedno – powiedział, przechodząc wzdłuż niewyrównanego szeregu i popychając jeńców kolbą pistoletu. – Czerwone mięso czy białe – co za różnica? Sam decyduj.

Esko spojrzął na rozciągającą się w dali za murem cmentarza zamarzniętą płaszczyznę jeziora. Napotkał tępy wzrok Holma i jego ręka na moment spoczęła na kaburze pistoletu. W tej samej chwili Klaus położył mu dłoń na ramieniu i prawie siłą odciągnął do tyłu, między nagrobki.

– Esko siądzie tu z nami, prawda, stary? – odezwał się, wo-

dząc oczami od przyjaciela do Holma, który wzruszył tylko ramionami i wydał rozkaz.

Karabin maszynowy plunął ogniem, wylewając z siebie strumień ołowiu. Ludzie padali jak szmaciane lalki, ich ciała podskakiwały pod kulami, rozszarpane i poskręcane, kawały mięsa przelatywały w powietrzu i uderzały o mur.

Potem karabin zamilkł. Pod cmentarnym murem leżał teraz wał martwych ciał. Nie wszystkie zresztą były martwe. Tu i ówdzie jęczeli ranni, ktoś modlił się urywanym szeptem, inny słabnącym głosem wołał matkę.

Holm podszedł bliżej, z pistoletem gotowym do strzału. Metodycznie przechodził między ciałami, dobijając rannych, zatrzymując się na chwilę, żeby napełnić magazynek i ruszając dalej. W końcu przystanął nad synem Bongmana.

– To twój kumpel, Vaananen. Wygląda na to, że chce coś powiedzieć. Chyba nie smakował mu nasz poczęstunek.

Syn Bongmana powoli podniósł głowę. Połowa jego twarzy przemieniła się w krwawą miazgę, natomiast druga, ta, którą Esko był w stanie rozpoznać, nosiła wyraz przerażającej, pokornej cierpliwości i zrozumienia. Esko wiedział, że nigdy nie pojmie, co w tej chwili widział i czuł syn Bongmana, obiecał sobie jednak, że nigdy nie zapomni człowieka, którego twarz zmiądzły kule z mausera Holma.

Niedługo potem Czerwoni ustawili za kościołem swój pociąg pancerny i przystąpili do kontrataku. Bez wsparcia, jedzenia, wody, bez kontaktu z dowództwem i wieści, co się dzieje i co poszło nie tak, kompania Selina broniła kościoła przez cały ranek i popołudnie, czekając na posiłki, które nie nadeszły. Rintala, Voipio, Franck, Nopanen i Von Seth polegli w pierwszej fazie bitwy, kiedy pocisk z wielkiego działa eksplodował na cmentarzu. Kilku innym prawie udało się wycofać do kościoła wraz z karabinem maszynowym, lecz Koskelainen dostał kulę w oko, gdy przygotowywali nowe stanowisko na wieży. Snajper Czerwonych trafił pewnego siebie Mykkanena prosto w brzuch i nieszczęsny krzyczał przez godzinę, zanim wreszcie ucichł na zawsze. Pocisk, który przebił mur, lecz nie eksplodował, oderwał twarz Niiniluoto od reszty głowy. Kobieta z czerwoną gwiazdą

na czapce rozbiła ciałem witraż i wpadła do środka z dwoma granatami.

– Za Finlandię! – krzyknęła. – Za Suomi!

Potem wyrwała zawleczkę i wysadziła się, zabijając Hilkałę, Lahtinena, Głada i Walleniusa. Tervasmaki próbował uciec przez to samo okno, którym dostała się do kościoła kobieta. Potknął się, upadł na kolana i właśnie wtedy dosięgły go kule. Pocisk z granatnika wybuchł na piersi Kivimiesa, Vennola zaś padł pod ciosem bagnetu, kiedy jeden z Czerwonych wdarł się przez główne drzwi. Czerwony został natychmiast zabity, natomiast Vennola konał długo, gryząc palce, aby nie krzyczeć. Jutikkala dostał w dół brzucha odłamkiem i poprosił, aby uwolnić go od cierpienia. Selin pocałował go w głowę i przytrzymał za rękę, po czym zabił strzałem w skroń. Pocisk z moździerza z gwizdem przebił dach i zabił Torngrena oraz Pentti, natomiast Pirinen poległ, rozszarpany wybuchem i przygnieciony belkami.

Ci, którzy jeszcze żyli, walczyli bez chwili wytchnienia, nie dopuszczając do siebie myśli o kapitulacji i nawzajem dodając sobie odwagi. Kiedy nadeszła noc, około tuzina tych, którzy byli w stanie się ruszać, wykradło się tylnym wejściem, przekroczyło tory kolejowe w odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów od stojącego pod parą pociągu pancernego i znalazło schronienie w łaskawej mgle, która właśnie podnosiła się znad jeziora. Brodząc po kostki w mokrym śniegu na trzeszczącym lodzie i podpierając się nawzajem, przez wiele godzin brnęli na wschód, aż w końcu dotarli do terytorium znajdującego się pod kontrolą Białych.

Wiść o nich poprzedziła ich przybycie, i sam Mannerheim czekał, aby powitać ich przed barakami, siedząc na białym koniu, w białej futrzanej czapie włożonej na bakier. Mocno uściskał dłoń każdego z ocalałych i powiedział im, że są bohaterami, a ich czyny będą natchnieniem dla innych podczas walki aż do ostatecznego zwycięstwa. Potem odjechał w lodowatą ciemność, wcześniej dopilnował jednak, by każdy dostał kawał kiełbasy i butelkę wódki. Poinformował ich także, że cały następny dzień mogą spędzić w barakach, lecz wszyscy

zgodnie odrzucili tę szansę, popijając wódkę i wznosząc radosne okrzyki, nie tyle w odpowiedzi na pochwały Mannerheima, ile wskutek szoku i wybuchu entuzjazmu, że jednak przetrwali i że krew, przynajmniej jeszcze tę jedną noc, będzie krążyć w ich żyłach.

Esko umył się, pożarł kiełbasę, popijając ją gorącą herbatą i rzucił się na wypchany sianem materac w pokoju, do którego skierowano go razem z Klausem. Przypomniawszy sobie, że dwa dni przed atakiem sam znalazł tę kwaterę dla swojej kompanii. Wydawało mu się niemożliwe, że było to zaledwie kilkadziesiąt godzin, a nie całą wieczność temu.

Zapalił olejną latarnię i postawiwszy ją na podłodze z sosnowych desek, wyjął z kieszeni ułamany ołówek i zaczął szkicować. Robił to zawsze, nawet kiedy był śmiertelnie znużony, zagubiony i przygnębiony. Rysował na odwrocie koperty, małe, skomplikowane szkice, dziwniejsze i bardziej niesamowite niż wszystko, co do tej pory stworzył, szybko, w wielkim, gorączkowym pośpiechu. Budynki, które szkicował, były zapowiedzią czegoś nowego, co równocześnie miało służyć ludzkości i oddawać jej cześć. Piękne formy wywołane z chaosu. Zakurzony, matowy, duszny świat rzemieślniczego stylu Oskariego i Henrika poczuje świeży powiew czystego północnego wiatru. Niech żyje czystość! Niech żyje piękno, płynność linii i wdzięk! Niech żyje światło! Aby przeciwstawić się rozpaczy, Esko zamierzał zaproponować światu lekkość. Precz z ponurymi i sztywnymi formami, wołało jego serce. Niech żyje żart, niech żyje brak powagi!

Ręce drżały mu tak mocno, że nie mógł utrzymać ołówka. Ciągłe widział twarz syna Bongmana – nie pełną błagania, strachu czy bólu, lecz naznaczoną piętnem smutnej, stoickiej akceptacji.

– Wszystko w porządku, Esko? – Klaus dotknął jego ramienia.

– Cały się trzęsę – powiedział Esko. – Spójrz na moją rękę. Nie potrafię tego opanować. To idiotyczne...

– To normalne – odparł Klaus, ze spokojnym uśmiechem zaciskając dłoń na ramieniu przyjaciela.

– O, Boże, popatrz tylko! – zawołał Esko. Odwrócił kopertę i ujrzał wypisane na niej dobrze znane imię i nazwisko: Katerina Małyszewa. – Nabazgroliłem te paskudztwa na twoim liście! Przepraszam.

– Nie przepraszaj, to nie ma znaczenia.

– Weź to. – Esko podał kopertę Klausowi. – Naprawdę mi przykro.

– Dziękuję – powiedział Klaus, uważnie oglądając rysunki.

– Mówiłem, że po natarciu oddam ci ten list, pamiętasz?

Klaus kiwnął głową i lekko postukał brzegiem koperty o policzek.

– Twój przyjaciel... – zaczął. – Ten gość, którego musieliśmy zastrzelić... Kim on był?

Esko podparł się na łokciu, myśląc o synu Bongmana, o Katerinie i samochodzie, który z rykiem wypadł z ciemności i zostawił go z piaskiem w ustach.

– Znałem go, kiedy byłem chłopcem – odparł. – Zawsze był dziki, zupełnie szalony. Uważał, że każde słowo w *Kalewali* to święta prawda.

– A nie jest tak? – Klaus zrobił zabawną minę, zaraz jednak spoważniał. – Lubieś go, prawda? Był dobrym przyjacielem...

Esko myślał o tym przez chwilę.

– I tak, i nie – powiedział w końcu. – Był częścią mnie samego.

Klaus wpatrywał się w butelkę, którą Esko postawił w odległości kilku centymetrów od latarni, tak że jej blask przeświecał przez szkło i zamknięty w nim płyn, rzucając ruchome cienie na podłogę. Wyglądała dziwnie, nawet pięknie, ale tak czy inaczej była tylko butelką.

– Nie wypieś swojej wódki.

– Po wszystkim, co się dziś wydarzyło, nie mogę uwierzyć w słowa generała, że oto jesteśmy wielkimi bohaterami. Nie-skałanymi rycerzami, którzy walczą o Suomi...

Klaus wybuchnął śmiechem.

– Mannerheim nie przywiązuje to tego żadnego znaczenia, idioto – powiedział. – Chciał tylko, żebyśmy się upili i byli gotowi do dalszej walki jutro rano.

Przysunął sobie krzesło o prostym oparciu i usiadł na nim ciężko. Esko zmierzył przyjaciela baczным spojrzeniem, zaskoczony znużeniem, malującym się na jego twarzy. Wstał, wziął butelkę i podał ją Klausowi.

– To ważna sprawa – rzucił z uśmiechem. – Dlatego powinniśmy spełnić wolę generała i upić się.

Klaus długo oglądał etykietkę na butelce. Korek wyskoczył z szyjki z cichym pyknięciem.

– Jesteś moim przyjacielem, Esko? – odezwał się.

Esko rzucił się na materac i założył ręce za głowę. Pomyślał, że Klaus żartuje.

– Taką mam nadzieję – odparł.

– Sądziłem, że cię znam, ale po dzisiejszym dniu nie jestem już tego taki pewien. Jesteś człowiekiem namiętnym i wiernym, wiesz o tym?

Esko nie miał pojęcia, co powiedzieć. W głosie Klaus'a nie zabrzmiała żadna nieprzyjazna nuta, wręcz przeciwnie, lecz Esko zawsze był zaskoczony, kiedy ludzie nie wiedzieli, co o nim myśleć. Już kilka razy zetknął się z podobną sytuacją.

– Powiedziałem ci, że dostałem dzisiaj wiadomość od ojca, prawda? – rzekł Klaus.

– Wspomniałeś o tym.

– A ty zapytałeś wtedy o Katerinę – ciągnął Klaus, podając Esko butelkę.

– Tak?

– Katerina jest teraz w Sztokholmie. Ojcu udało się wreszcie wywieźć ją z Helsinek. – Klaus z uśmiechem pokręcił głową, nie odrywając wzroku od czubka swego buta. – Wyjechała na fałszywych papierach, jako śpiewaczka operowa. Najwyraźniej naprawdę wczuła się w tę rolę. Kapelusz ze strusim piórem, czarna suknia, dwa małe pieski... – Klaus podniósł wzrok i spojrzał na Esko. – Miniaturowe buldożki, trzymała je na smyczy, wiesz? Mój ojciec odgrywał rolę jej impresaria. Jestem przekonany, że strasznie się męczył, bo żaden z niego aktor...

– W Helsinkach nie była bezpieczna – powiedział Esko. – Czy teraz nic jej już nie grozi?

– Tak mi się wydaje. Sama to wszystko zaplanowała. Katerina

jest silną, odważną dziewczyną. – Wziął butelkę od Esko i po-
ciągnął duży łyk wódki. Otarł usta, zlizął ostatnią kroplę alkoholu
z wąsów i spojrzał Esko prosto w oczy. – Kochasz ją, prawda? –
zapytał prawie czułym głosem.

Przez chwilę cały pokój zamigotał w drżącym świetle. Esko
podniósł się na łokciu, aby lepiej widzieć przyjaciela, lecz
Klaus odwrócił głowę i jego twarz pogrążona była w cieniu.

– Dlaczego to powiedziałaś?

– Bo to prawda – odrzekł Klaus, mocniejszym niż poprzednio
głosem.

Esko opadł na materac, zasłaniając oko rękawem. Od wielu
tygodni chciał powiedzieć o wszystkim Klausowi, ale jaki właś-
ciwie miałyby to sens...

– Tańczyłem z nią kiedyś na jarmarku w naszej wiosce,
bardzo dawno temu. Szkoda, że nie widziałeś jej tamtego wie-
czoru! Była taka piękna, taka chłodna i opanowana... Z przegubu
jej dłoni zwisało małe lustro w stylu art nouveau i odstraszała
nim chłopców jak złe duchy. Ale nie mnie... Nie pokazała mi
lusterka. Popatrzyła na mnie tak, jak nigdy nikt na mnie nie
patrzył. Nie spodziewałem się, że ją jeszcze kiedyś zobaczę.
Powtórnie spotkałem ją dopiero tamtego wieczoru w twoim
domu...

Esko usiadł. Ich oczy się spotkały.

– Poprosiłem, żeby za mnie wyszła i wyjechała ze mną
do Ameryki. Odmówiła. Pocałowała mnie raz, na pociechę.
Nic do mnie nie czuje, kocha ciebie. To wszystko. Taka jest
prawda.

– Rozumiem – powiedział Klaus.

– Nie jestem pewien, czy rzeczywiście rozumiesz – rzekł
Esko. Miał wrażenie, że ich role nagle się odwróciły. Teraz to
on był otwartym, pewnym siebie młodym człowiekiem, jego
przyjaciół zaś ponurym, chętnie sięgającym po wódkę typowym
Finem. – Gdybym nie był sobą, gdybym nie był niezgrabnym,
szpetnym Esko Vaananenem, lecz najprzystojniejszym, najin-
teligentniejszym i najlepszym mężczyzną na świecie, może
miałbym jakieś szanse u Kateriny. Ale jestem sobą... – Oślepiłe
oko zakłuło boleśnie, podniósł więc rękę, aby je dotknąć. –

I wcale mi to nie przeszkadza, wiesz? Bo wierzę, że wy dwoje będziecie razem bardzo szczęśliwi.

– Dziękuję – mruknął Klaus, wyraźnie wzruszony. – Chcesz trochę wódki?

– Jasne, dlaczego nie? – Esko wziął od niego butelkę. – Głowa do góry, stary. Ty żyjesz, ona jest bezpieczna. Wygramy wojnę i wrócisz po nią. Nie ma się czym martwić.

– Ojciec napisał mi o czymś jeszcze... O czymś, co wydarzyło się przed wyjazdem Kateriny do Sztokholmu. Przyszło mi do głowy, że może oszalała, ale teraz naprawdę wszystko już rozumiem...

– Co takiego się stało? – Esko się zaniepokoił.

– Pewnego ranka, kiedy Henrik poszedł po nią na ulicę Fabianinkatu, zastał ją na podwórku z grupką dzieci. Był to jeden z tych pogodnych, bardzo zimnych dni, kiedy w powietrzu widać drobinki lodu. Katerina robiła z dziećmi rzeźbę ze śniegu.

– I to wydało się Henrikowi takie dziwne? Że lepiała bałwana?

– To nie był bałwan, lecz wieża. Namówiła dzieci, żeby razem z nią zbudowały wieżę z lodu i śniegu. Trwało to cały dzień. Wieża miała prawie sześć metrów wysokości, więc Henrik bał się, że któreś z dzieci spadnie i skręci sobie kark. Dzieci były sine z zimna, ale Katerina bez przerwy zachęcała je do pracy i sama pracowała jak szalona. Wiesz, co powiedziała, kiedy Henrik zapytał ją, co robi?

– Nie – odparł Esko. – Skąd mógłbym wiedzieć?

Światło zamigotało znowu, rzucając cienie przez szkło butelki z wódką, którą Klaus podnosił właśnie do ust. Esko miał nieodparte uczucie, że kurs jego życia ma znowu ulec zmianie, że to, co powie teraz Klaus, na zawsze wszystko odmieni.

– Buduję drapacz chmur pana Vaananena, powiedziała. Buduję jego *pilvenpiirtaja*. Robię to, by w ten lodowaty ranek niebo nad Helsinkami wiedziało, że myślę o nim, o tym, który próbuje dosięgnąć chmur.

Selin powiedział im, że taktyka drugiego ataku ma być dokładnie taka sama jak pierwszego. Powinni jak najszybciej wdrzeć się do Tampere, lecz tym razem będą się kierować prosto na tamę za fabryką Finlaysona i przejdą po niej na drugi brzeg.

Klaus uniósł karabin w górę i zamachał nim nad głową.

– A jeżeli nie uda nam się dziś, wrócimy jutro, prawda, koledzy? – zawołał, dodając odwagi innym. – Niech żyje Selin! Niech żyje Mannerheim!

Zaczekał, aż okrzyki ucichną i wyjął z kieszeni karty do tarota. Jego oczy śmiały się i nieco zbyt mocno błyszcząły. Podskakiwał na palcach, podkręcał wąsa, stawiał żołnierzom karty i wciąż powtarzał, jak mocno wierzy w zwycięstwo. Wszyscy przeżyją atak, nie poniosą żadnych strat w ludziach i jeszcze dziś zajmą Tampere.

– Jeżeli będzie trzeba, zrobię to sam – oświadczył.

Jego twarz była zaczerwieniona z podniecenia i zimna.

Esko bardzo się martwił. Próbował porozmawiać z Klausem o Katerinie, ale przyjaciel nie chciał go słuchać.

– Nie przejmuj się, Esko, takie rzeczy często się zdarzają – oświadczył.

– Przecież nic się nie wydarzyło – powiedział Esko.

Dochodziła piąta rano i drugi atak miał się rozpocząć lada chwila. Zdrowe oko Esko było przekrwione i paliło go ze zmęczenia, kiedy przyglądał się, jak Klaus tasuje karty.

– Powróź mi – poprosił nagle.

Był to pomysł, którego nigdy dotąd do siebie nie dopuszczał. Esko obawiał się wróżbiarzy, osób przepowiadających przyszłość z runów i innych znaków. Takie przesady były w absolutnej sprzeczności z jego uporządkowanym sposobem myślenia, chociaż w głębi serca czuł, że być może nie są one jednak całkowitą bzdurą i kłamstwem. Teraz ogarnął go lęk, bał się także Klause, zupełnie jakby to on dzierżył jego przyszłość między kartami.

– Umrzesz – powiedział Klaus po prostu i rzeczywiście, w ręku trzymał kartę śmierci, wisielca na szubienicy, z szyją prze-

ciętą grubym sznurem. – Ale nie dzisiaj – dodał z uśmiechem. – Nie martw się.

Nad ich głowami rozpętało się piekło, wydawało się, że nawet gwiazdy spadają z nieba.

Klaus zawył przeraźliwie, wydał z siebie mrozący krew w żyłach okrzyk.

Do diabła ze zwycięstwem, pomyślał Esko. Muszę tylko dopilnować, żebyśmy obaj wyszli z tego obronną ręką.

Potem ruszyli.

Noc była zimna, wodę pod tamą pokrywała cienka warstewka lodu. Esko dostrzegł, że znajdująca się po lewej stronie broniąca wstępu na most barykada z koni została podpalona. Wiatr niósł nad wodę ohydnie słodki odór spalonego końskiego mięsa. Podobnie jak poprzednim razem, Esko szedł pierwszy, a Klaus tuż za nim. Noc była cicha i spokojna. Czerwoni na moście nie patrzyli w ich stronę. Tampere leżało przed nimi jak wspaniała nagroda.

Był w połowie tamy, kiedy obok jego ucha zagwizdała kula. Krzyknął głośno, ale ten dźwięk zginął w nagłym huku pocisków i kul, które z sykiem i świstem ryły błoto u jego stóp i kroili lód na drobne kawałki. Jedna z kul zerwała mu czapkę z głowy. Padały tak gęsto, że Esko na sekundę zamknął oko. Pomyślał, że gdyby uniósł ręce nad głowę, mógłby oganiać się od kul jak od rozwścieczonych pszczoł. Powietrze wydawało się rozpalone. Ruszył biegiem ku nieregularnym błyskom, które rozrywały ciemność na przeciwległym brzegu.

Coś uderzyło go w bok. Poczul dziwne tapnięcie i dookoła rozlało się białe światło. Nic go nie bolało, miał tylko wrażenie, że całe ciało stało się zygzakiem błyskawicy, która przenika go, przecina na pół. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że leci w dół. Miał ochotę zwymyślać własne nogi. To idiotyczne, próbował im powiedzieć. Musicie się wyprostować. Z irytacją patrzył, jak karabin wypada mu z rąk, chociaż przez cały czas powtarzał sobie, że nie wolno mu go wypuścić.

Wysoko nad nim gwiazdy drżały i mrugały niepewnie. Esko padł na plecy i ogarnęło go poczucie ogromnej słabości. Zrozumiał, że nie ma na nic siły, że jest niczym. To koniec,

powiedział sobie. Hej, szkoda, że nie uda mi się wybudować drapacza chmur. Byłby piękny. Żegnaj, *pilvenpiirtaja*. Żegnaj, Katerino. W tej samej chwili uświadomił sobie, że nie wie, co stało się z Klausem. Gdzie jest Klaus? Wtedy w jego ciele eksplodował następny pocisk i Esko resztką świadomości pomyślał, że to niesprawiedliwe. Poraził go następny piorun, a potem nie czuł i nie widział już nic.

Przez półtora dnia nieprzytomny Esko leżał w kącie szpitala polowego. Raz ocknął się, kiedy pielęgniarka wlała mu do ust odrobinę wody, ale kiedy spróbował dźwignąć się na łokciu, aby jej podziękować, wszystko dookoła niego znowu pociemniało. Ponieważ następnego ranka nadal oddychał, ułożono go na noszach i załadowano do ciężarówki, która szybko ruszyła piaszczystą drogą przez las. Ból spowodowany podskakiwaniem samochodu na wybojach obudził go na chwilę. Zaczął krzyczeć, ale zaraz ponownie stracił przytomność. Po raz trzeci ocknął się, kiedy lekarz wetknął mu do boku stalowy instrument.

– No, właśnie – odezwał się doktor, który miał ogniście rude włosy i twarz poznaczoną śladami po ospie. – Dostał pan dwa razy. Kulę, która utkwiała w ramieniu, już wyjąłem, a ta druga przeszła na wylot. Podczas upadku rąbnął pan głową w lód. Szczęście, że się pan nie utopił.

Znowu poruszył stalowym instrumentem. Pielęgniarka podeszła szybko i zastrzykiem z morfiny odesłała Esko w objęcia ciemności.

Kiedy się obudził, leżał na wąskiej pryczy w wagonie pociągu. Wiedział, że musi być z nim trochę lepiej, ponieważ chciało mu się pić. Ktoś w pobliżu palił papierosa i dym przyprawiał go o mdłości. Po chwili pociąg zaczął zwalniać i zatrzymał się. Z zewnątrz dobiegały jakieś głosy, przemykały cienie, promień elektrycznej latarki przebijał się przez zamieć. Rozległ się dzwonek, gwizd i syk pary. Brzęknęły łączące wagony łańcuchy i pociąg ruszył dalej, nakłuwając Esko drobnymi igielkami bólu.

Pociąg wytoczył się ze stacji, minął lampy na końcu peronu, kamienny mur, lśniący kawałkami szkła, kolejne zwrotnice i lokomotywę, która wśród kłębow pary i chmur iskier wjeżdżała na boczny tor. Esko zamknął oko, koncentrując się na powolnym,

regularnym rytmie kół i ich stukocie. Wkrótce łagodne kołysanie uśpiło go. Obudził się dopiero na następnej stacji, gdzie na peronie nie paliły się żadne lampy. Pociąg zadygotał, szarpnął i potoczył się naprzód, a Esko czuł całym sobą każde drgnienie wagonu. Do przedziału weszła pielęgniarka, aby sprawdzić stan Esko i drugiego rannego. Esko rozchylił wargi, a ona napełniła go z metalowej manierki. Pomyślał, że czuje się jak piec, którego drzwiczki należy otworzyć, by rozpaść przygasający płomyk życia.

Tak minęła noc. Esko raz drżał z zimna, to znów pocił się tak mocno, że włosy lepiły mu się do czoła, a koc był zupełnie wilgotny. Pociąg jechał na południe, przedział wypełniały na zmianę to gęste cienie, to blask księżyca. Pielęgniarka co jakiś czas zaglądała do chorych i otwierała piecyk, a wtedy pomieszczenie wypełniało się intensywnie czerwonym światłem.

Esko nie wiedział nawet, czy Tampere zostało zdobyte. Fakt, że znajdował się w pociągu, na wąskiej, niewygodnej pryczy, traktował jako dobry znak. Jakiś żołnierz siedział teraz przy piecu na krześle o prostym oparciu, zwrócony twarzą do ognia.

– Powiedz mi, przyjacielu, co stało się w Tampere?

Żołnierz odwrócił się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni tuniki. Wyjął z niej list i pochylił się, podając go Esko. Nagle runął z krzesła na podłogę, a z jego brzucha trysnął strumień krwi.

Esko się obudził.

– Hej, ty! – krzyknął mężczyzna leżący na drugiej pryczy. – Przestań tak wrzeszczeć, dobra? Próbuje się trochę przespać.

Esko uświadomił sobie, że żołnierz z listem istniał tylko w jego strasznym śnie. Przy piecu nie było żywej duszy.

– Przepraszam – odezwał się Esko. Wydobywający się z jego gardła zachrypnięty głos brzmiał zupełnie obco. – Co wydarzyło się w Tampere? Zostałem ranny przed końcem...

Nad głową Esko zatrzeszczały sprężyny. Mężczyzna, który naprawdę był z nim w przedziale, przewrócił się na posłaniu.

– Czerwone bękarty się poddały. Wyrzneliśmy ich tysiące – powiedział zniecierpliwionym głosem. – Czy teraz mogę już spokojnie zasnąć?

Pokryty grubą warstwą białego tynku sufit przecinały poukładane na krzyż ciemne belki. Okna były szerokie i niskie, a dębowe ławki pod nimi zdobione były wycięciami w kształcie serc. Na półkach stały zielone gliniane wazony, pełne wiosennych kwiatów. Podłoga lśniła w słońcu, z zewnątrz zaś wdzierał się przez okna hałas tramwajów i rytmiczne stąpanie końskich kopyt. Esko odzyskiwał przytomność i znowu ją tracił, odbierając te wrażenia z bardzo daleka, jakby znajdował się na unoszonej łagodną falą łodzi. Wydawało mu się, że jego ciało wcale nie należy do niego. Czasami ze zdumieniem uświadamiał sobie, że to, co porusza się w łóżku, to jego noga lub stopa, szukająca chłodniejszego miejsca w pościeli. Czekał cierpliwie, aż fragmenty świadomości znowu staną się całością. Kiedy wreszcie zdołał usiąść na łóżku i pielęgniarka wcisnęła mu do ręki szklanekę z wodą, chłodny płyn, spływający do gardła, wydawał się mieć konsystencję metalu. Ciepły kapuśniak smakował jak sól. Jeden z pacjentów z jego sali stracił prawą nogę poniżej kolana i uczył się chodzić o kulach. Inny, ciemnowłosy mężczyzna z ciężkim akcentem prowincji Oulu, siusiał krwią pięć razy dziennie. Jego kaczką przypominała detal z obrazu Hieronima Boscha. Był też żołnierz bez nosa, któremu raca sygnalizacyjna wybuchła tuż przy twarzy.

Sam Esko po pewnym czasie odkrył, że posiada zupełnie nowy szczegół anatomiczny.

– Drugi pępek – oświadczyła pielęgniarka. – Powinieneś być z niego dumny. Nie każdy może poszczycić się czymś takim. – Uśmiechnęła się szeroko, przemywając ranę spirytusem.

Okazało się, że kula przeszła przez jego bok, pozostawiając idealnie okrągłą dziurę wielkości sporej monety. Któregoś dnia po południu pielęgniarka przyniosła mu przepaskę i założyła ją na ślepe oko. Elastyczna tkanina wydawała się dziwnie sztywna i uciskała obolały tył głowy.

– Teraz wyglądasz jak nowy – powiedziała. – Chcesz lusterko?

Zanim zdążył odpowiedzieć, podała mu lusterko z podstawką.

Ze szklanej tafli wyjrzała ku niemu blada, nieogolona, straszna twarz, twarz ducha z *Kalewali*.

– No, dobrze – rzekła pielęgniarka energicznym tonem. – Powoli wracasz do zdrowia.

Obdarzyła go jeszcze jednym szerokim uśmiechem i postawiła przy łóżku wazon z kwiatami.

Pozostali mężczyźni z sali palili papierosy, spierali się, czytali gazety i wspominali dni walki. Odgrywali dawne żarty i scenki – „Wpadłem do środka, kiedy ostrzał ustał”, „Zatrzymały nas karabiny maszynowe”, „Czerwony wyszedł z domu z podniesionymi rękami, ale i tak go rozwaliliśmy”. Głosy wznosiły się i opadały, tematy się zmieniały. Czy Mannerheim ruszy teraz na Petersburg i zmiażdży bolszewików, dopóki są jeszcze słabi? Żołnierz o kulach wydawał się bardzo podekscytowany tą możliwością. Sikający krwią był ostrożniejszy. Bitwa została wygrana i teraz Finlandia powinna nabrać sił, poszukać schronienia pod płaszczem Niemiec, wybrać niemieckiego króla, co tam, oddać tron samemu Kaiserowi, gdyby zechciał go objąć. Obaj dyskutanci grali akurat w warcaby i ten o kulach zaczął z kontratakiem do końca partii.

– A co będzie, jeżeli Niemcy przegrają we Francji? – wykrzyknął z przejęciem. – Co wtedy, co?

Jego partner powiedział mu, żeby się nie wygłupiał. Niemcy nie mogą przegrać we Francji, a poza tym niemieckie krążowniki już weszły do portu w Helsinkach, więc Finlandia tak czy inaczej skazana jest na Kaisera.

– To dla ciebie – powiedziała pielęgniarka, stawiając duże pudło na stoliku przy łóżku Esko i zerkając na ułożone w nim książki. – Zostawił je jakiś żołnierz, chyba oficer. Jesteś architektem?

Aż do tej chwili Esko nie zastanawiał się nad tym, że jego życie będzie trwało. Miał wrażenie, jakby jego osobowość została kompletnie wymazana.

– Byłem.

– Jesteś – rzekła pielęgniarka, uśmiechając się szeroko. – I ja również.

Dopiero teraz, po tylu dniach, Esko przyjrzał jej się uważnie.

Miała lekko skośne oczy, co świadczyło, że w jej żyłach płynie lapońska krew. Biały czepek z trudem przygniatał gęstą grzywę kręconych kasztanowych włosów. Roztaczała wokół siebie atmosferę spokoju i niepokonanego optymizmu. Jej dłonie były kwadratowe i dość duże. Wyglądała na dwadzieścia parę lat i nie nosiła obrączki.

– Robisz wrażenie niemile zaskoczonego – zauważyła żartobliwie. – Czyżbyś miał tak marną opinię o kobietach? W Finlandii jest wiele kobiet architektów.

– Wiem – odrzekł Esko, zadziwiony słabym brzmieniem swego głosu. Odchrząknął. – Studiowałem z kobietami, nie tylko z mężczyznami. Ale ciebie nie znam.

– Przed wojną pracowałam z moim bratem w Turku. Nazywał się Anton Harkonen. Zginął.

– Przykro mi – powiedział Esko. Słyszał o Antonie Harkonenie, dobrze zapowiadającym się młodym twórcy. – Był dobrym architektem.

– Ty też jesteś dobry, Esko Vaananen. Widzisz, wiedziałam, że jesteś architektem, zanim zadałam ci pierwsze pytanie. Chciałam z tobą porozmawiać. Mogłam zostawić te książki i odejść bez słowa, ale ja nie jestem taka.

– Właśnie widzę.

– Nazywam się Anna Harkonen.

– Witaj, Anno Harkonen.

Książki pochodziły z jego mieszkania. Ktoś poszedł tam, starannie je wybrał i zapakował. Esko pomyślał, że mógł to być tylko Klaus. W paczce znalazł tom Ruskina, grubą niemiecką książkę o Franku Lloydzie Wright oraz *Miejskie kościoły Wrena* ze wspaniałą, pomarańczowo-czarną ilustracją na okładce. Dzięki, Klaus, pomyślał, uśmiechając się lekko.

Następnego dnia przeglądał książkę o Wrenie, kiedy w nogach jego łóżka stanął niepewnie uśmiechnięty Selin. W rękę trzymał zgniecioną czapkę, a naszyte na ramionach belki obwieszczwały wszem i wobec, że został awansowany do rangi pułkownika.

– Przydadzą ci się? – zapytał nieśmiało. – Wybierałem je w wielkim pośpiechu. Miałem mnóstwo problemów z odnalezieniem twojego mieszkania.

– To nie Klaus cię tam zaprowadził?

Selin spuścił wzrok, szarpiąc palcami czapkę. Z kieszeni wyjął kopertę ozdobioną dobrze znanymi Esko rysunkami.

– Kiedy upadłeś, Klaus wyciągnął cię z wody na brzeg – powiedział Selin. – Sprzeciwił się mojemu rozkazowi i wrócił po ciebie. Obawiam się, że ja bym cię zostawił – atak był wtedy najważniejszą sprawą. Ale Klaus wrócił i wyciągnął cię. Potem do końca walczył jak niedźwiedź. Zginął tuż przed zakończeniem bitwy. Snajper trafił go z dachu budynku...

Esko nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Ta wiadomość przygniotła go jak potężny gład. Klaus. Klaus zginął.

Pod oknem jego towarzysze z sali nadal prowadzili dyskusję o polityce. Finlandia jest teraz jak torcik, który Kaiser może pożreć na przekąskę. Finlandia jest ciastkiem, które w każdej chwili zaczyna sobie wydzierać wielkie potęgi. Finlandia jest smaczną rybą, która może zostać zjedzona, zanim zdąży sobie uświadomić, że jest rybą. Ranni śmiali się i kłócili jak zwykle. Wypastowana podłoga błyszcząca. Za oknem zadzwonił tramwaj, który właśnie zatrzymał się na przystanku.

– To niemożliwe – powiedział Esko. – Klaus nie mógł zginąć...

– Bardzo mi przykro. – Selin patrzył ze współczuciem na wstrząśniętą twarz Esko. – Chcesz, żebym zawołał pielęgniarkę?

Anna Harkonen pisała coś w książce rejestracyjnej przy biurku obok drzwi. Oprawki małych okularów, które zakładała do czytania i pisania, lśniły w porannym słońcu. Jej twarz miała skupiony, pełen nadziei wyraz.

– Nie, nie trzeba – odparł Esko, zamykając oko i oddychając głęboko. – Nic mi nie jest.

Selin przysunął sobie krzesło.

– Sam Mannerheim poinformował jego rodzinę. Byli chyba spowinowaceni. Wszyscy go lubiliśmy, Esko. Wszyscy. Był wspaniałym facetem.

– Tak.

– Nigdy nie sądziłem, że zginie. Wydawał się niepokonany. Esko przypomniał sobie pewien wieczór w Paryżu. Obaj

z Klausem jedli właśnie kolację w taniej knajpce na Montparnasse. Siedząc przy stole, Klaus przeglądał książkę Maupassanta. Przeczytał niewielki fragment, odłożył tomik i pociągnął łyk wina.

– To dopiero coś! – wykrzyknął. – Prawdziwe arcydzieło, prawda? Sprzedałbym duszę diabłu, żeby napisać coś choćby w połowie tak dobrego!

Potem podniósł książkę i znowu zaczął czytać, przybierając inny głos dla każdej postaci, w dramatyczny i przemyślany sposób naśladowując towarzyszące akcji dźwięki. W tamtej chwili Esko nie miał cienia wątpliwości, że Klaus napisze kiedyś coś równie dobrego, a może nawet lepszego. Jak zawsze uległ bijącej od Klausem pewności siebie i ogromnej energii. Klaus do wszystkiego podchodził poważnie, lecz nie ponuro, o czym najlepiej świadczyła jego skłonność do żartów i wielki optymizm. W jego obecności Esko czuł się jak ostatni nudziarz. Teraz jasny płomień życia Klausem zniknął, a on i Katerina mieli swój udział w jego zdławieniu.

Mój Boże, pomyślał, jak ona musi się teraz czuć...

– Wydaje mi się, że to należy do ciebie – odezwał się Selin, podając mu kopertę. Esko jeszcze raz spojrzął na fantastyczne szkice, wieże z kwadratów i prostokątów, otoczone smukłymi budynkami. – Znalazłem ten list w barakach, już po bitwie. Pozwoliłem sobie spojrzeć na kopertę i zorientowałem się, że napisałeś go do jakiejś pani – ciągnął Selin, siląc się na pogodny ton. Ciągłe obracał czapkę w palcach. – Myślałem, że ty także zginąłeś, Esko. Cieszę się, że przynajmniej w tym się pomyliłem.

Esko zrozumiał, że Selin nieśmiało proponuje mu przyjaźń i zrobił wysiłek, aby się uśmiechnąć, lecz żal natychmiast ścisnął mu gardło niczym stalowa obręcz. Atrament na kopercie był miejscami rozmazany, papier rozdarty w jednym rogu i brudny. A jednak ten list, ten martwy przedmiot przetrwał, chociaż Klaus zginął, przetrwał piekło Tampere i życie człowieka, który go napisał, i był teraz nie tylko dowodem na ślepotę losu, lecz także przesłaniem. Esko miał w rękach kolejną część przeszłości, która nigdy nie wypuści go ze swych stalowych ramion, ołowianą kulę, która miała zawisnąć u jego nogi na resztę marszu przez życie.

Tej nocy powoli wstał z łóżka. Słaby i obolały włożył na siebie ubranie, które Anna Harkonen przygotowała na jego krześle na czas, kiedy będzie już silniejszy. Cóż, przecież jestem już silniejszy, powiedział do siebie, zapinając koszulę z grubej bawełny, wciągając wełniane spodnie i mięsiste skarpety.

Począł, aż Anna wyjdzie na krótką przerwę i wtedy przesliznął się obok jej biurka, na którego blacie leżały karty pacjentów, ołówki, taca z lekarstwami i książka. Tylko w skarpetkach, ostrożnie zszedł po schodach, trzymając się poręczy, i dopiero w wykładanym marmurem holu włożył buty i palto. Przystanął na chwilę, patrząc w górę schodów, po których przed kilkoma minutami zszedł. Wszystko spowite było w półmrok i ciszę, jak wewnątrz kokonu. Wszyscy już chyba spali. Gdzieś na górze zabulgotało nagle w rurach.

Nie był przygotowany na ostry powiew bałtyckiego wiatru, który uszczypnął go w twarz i szarpnął połami płaszcza. Bezksiężycowa noc była ciemna i cicha. Ruszył powoli w dół ulicy i wkrótce znalazł się w głębokim, pachnącym wilgocią cieniu Muzeum Narodowego, przy którym znajdował się najbliższy przystanek. Tramwaj nadjechał po kilku minutach, kołysząc się i podzwaniając, i Esko z wysiłkiem wdrapał się po stopniach do wagonu.

Wnętrze tramwaju było jasno oświetlone i przez parę sekund prawie nic nie widział. Potem zauważył, że wszyscy pasażerowie nosili białe opaski na rękawach wierzchnich okryć i widok ten sprawił go w osłupienie, zaraz jednak zrozumiał, że jest to symbol przynależności do stronnictwa politycznego, nie kapitulacji. Mieszkańcy Helsinek otwarcie obwieszczali, za kim opowiedzieli się w czasie wojny. Ponieważ Biali wygrali, wszystko wskazywało na to, że w Helsinkach nie było ani jednego zwolennika Czerwonych. Taka jest natura ludzka, pomyślał Esko. Ludzie, których przed sobą widział, nie wyglądali jednak na uszczęśliwionych z powodu zwycięstwa. Przebiegając wzrokiem po ponurych, zmęczonych twarzach, uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co naprawdę myślą ci ludzie, co więcej, nie potrafi sobie nawet wyobrazić, co działo się tutaj w czasie, gdy on

walczył na północy. Nie ulegało wątpliwości, że w Helsinkach doszło do strasznych wydarzeń. Stojąca obok niego kobieta w filcowym kapeluszu z wyraźną niechęcią zerknęła na jego pozbawione opaski ramię.

– Czerwony? – zapytała agresywnie.

Esko popatrzył na nią bez słowa. Zaczynał rozumieć, że przegranych czeka jeszcze wiele przerażających chwil.

Przesiadł się na dworcu kolejowym, gdzie nawet kamienne rzeźby wydawały się mniej trwałe i niewzruszone niż kiedyś. Przyciskały elektryczne kule do granitowych brzuchów mocniej niż przed wojną, jakby się obawiały, że wysuną się im one z rąk i rozpadną na drobne kawałki, jak wszystko w Finlandii. Drugim tramwajem pojechał prosto do dzielnicy Eira, gdzie znajdowała się willa Henrika. Zarys jej małej, okrągłej wieżyczki i stromego dachu prawie rozpływał się na tle zamglonego nocnego nieba.

Wpuściła go jedna ze służących, nieśmiała dziewczyna, którą dobrze pamiętał sprzed wojny. Ukłoniła mu się w milczeniu i pospiesznie odeszła, on zaś czekał w holu o wysokim sklepieniu, ogrzewając dłonie przy piecu, w którego wnętrzu trzasnęło nagle polano. Z sąsiedniej jadalni dobiegł stłumiony jęk stojącego zegara, który zaczął powoli wydzwaniać kwadrans po pełnej godzinie. Esko myślał o przyjęciu, przed którym ponownie spotkał Katerinę. Katerinę, która uświadomiła mu, że potrafi kochać. Wszystko to wydawało mu się teraz bardzo odległe w czasie. Wojenne przeżycia zepchnęły wcześniejszą rzeczywistość w obszar innej ery. Esko dotknął spoczywającego w kieszeni listu do Kateriny, sprawdzając, czy go nie zgubił.

Czekał tak ponad piętnaście minut. Lampy zgasły, lecz zaraz zapaliły się znowu i na progu holu stanęła Louise Arnefelt. Jej drobna, ładna twarz była bardzo blada. Wyglądała na zupełnie wyczerpaną. Na widok Esko gwałtownie wciągnęła powietrze i podniosła rękę do piersi.

– Esko, czy to naprawdę ty?

Przez chwilę wydawało się, że zapomniała o swojej antypatii do niego.

– Ty żyjesz? Słyszeliśmy, że zginąłeś w Tampere razem z... – Głos załamał jej się gwałtownie. Chciała podejść do niego,

była jednak tak głęboko wstrząśnięta, że kolana ugięły się pod nią i musiała przytrzymać się stołu. – Czy on... Czy on jest z tobą?

Z wyrazu jego twarzy natychmiast wyczytała, jaka jest odpowiedź na to pytanie. Nadzieja na cud narodziła się w niej niespodziewanie, ale zaraz zgasła. Jej Klaus odszedł. Jeśli chodzi o Esko, to myślała, że on także nie żyje, ale w gruncie rzeczy nic ją to nie obchodziło.

– Przykro mi, Louise...

Nie mogła na niego patrzeć.

– Nic nie mów, bardzo proszę – powiedziała swoim dumnym, chłodnym głosem. – Chcesz zobaczyć się z Henrikiem? Wiesz przecież, gdzie go szukać.

W gabinecie panował półmrok. Lampy były pogaszone i jedyne źródło światła stanowił płonący w kominku ogień. Henrik siedział w głębokim skórzanym fotelu przed ścianą pełną książek. Po obu stronach fotela leżały wysokie stosy opasłych tomów. Na kolanach Henrika spoczywała otwarta książka, nic jednak nie wskazywało na to, by ją czytał. Z kącika jego ust zwisała niezapalona fajka, policzki były pokryte plamami i kilkudniowym zarostem.

– Henriku, to ja, Esko.

Także i Henrik spojrzał na niego jak na istotę przybyłą z za grobu.

– Chciałem powiedzieć, jak bardzo współczuję ci z powodu śmierci Klause. Uratował mi życie.

Henrik wyjął fajkę z ust drobnymi, ostrożnymi ruchami człowieka, który obawia się, że lada chwila przestanie nad sobą panować.

– A więc nie ma już żadnej nadziei, tak?

– Obawiam się, że nie.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedział Henrik. – Mannerheim przekazał nam wiadomość osobiście. Ale... Ale jeszcze nie widzieliśmy ciała. Wszyscy są dla nas bardzo mili i dobrzy. Nigdy nie miałem tylu gości.

– Ludzie kochali Klause – rzekł Esko.

Myśli Henrika podążały już jednak w innym kierunku.

- Był dziś u mnie przedstawiciel rządu. Chcą, żebym zaprojektował nowy banknot. Co o tym myślisz, Esko?
- To bardzo poważne zlecenie.
- Też tak sędzę. Ma się na nim znaleźć portret Kaisera. Banknot nowej Finlandii... Klaus byłby zadowolony.
- I bardzo dumny. Klaus zawsze cię podziwiał, Henriku, jako ojca i jako architekta.
- Dziękuję ci, Esko. Napijesz się wódki?
- Nie czekając na odpowiedź, dźwignął się z fotela, poruszając się wciąż w ten sam, ostrożny sposób. Świat stał się dla niego ogromnym zagrożeniem i wszystko, co do niego należało, włącznie z domem, który sam zaprojektował, wydawało mu się przyzajonym w ukryciu wrogiem, gotowym w każdej chwili wyrządzić mu krzywdę. Nie był przygotowany na stratę syna. Otaczające go sprzęty i drobiazgi drwiły teraz z ciepła i piękna, chociaż kiedyś same były ucieleśnieniem tych wartości.
- Mam ten list – odezwał się Esko, sięgając do kieszeni. – Klaus napisał go niedługo przed śmiercią. Do Kateriny.
- Henrik cofnął się o krok. Jego niebieskie oczy podejrzliwie wpatrywały się w kopertę, jakby z jej strony również groziło mu coś złego.
- Myślę, że powinna go dostać – ciągnął Esko.
- Henrik wetknął kciuk pod klapę tweedowej marynarki.
- Chciałbym prosić cię o wielką uprzejmość, Esko. Sam oddaj jej ten list, dobrze?
- Przecież Katerina jest w Sztokholmie...
- W Sztokholmie? – ze zdziwieniem powtórzył Henrik. – Nie, skądże znowu. Jest tutaj, w Helsinkach. Widziałem ją tydzień temu. Wróciła, kiedy dostaliśmy wiadomość o tobie i Klausie.

14

Temperatura spadła i śnieg zaczął sypać dużymi, mokrymi płatkami, które rozpuszczały się na policzkach Esko i na ulicznym bruku. Esko biegł w dół wzgórza w kierunku ulicy Fabia-

ninkatu i domu Kateriny. Gazowe latarnie wypływały ku niemu z mglistej ciemności, podeszwy butów mocno uderzały o bruk, a każdy wstrząs przeszywał bólem zraniony bok i pierś. Wkrótce musiał przystanąć, opierając dłonie na kolanach. Po chwili ruszył dalej, tym razem wolniej, lecz zaraz przyspieszył kroku i znowu musiał odpocząć. Starał się iść jak najszybciej, co jakiś czas przystając. Z jednej strony namiętnie pragnął ujrzeć Katerine, z drugiej zaś wyrzuty sumienia, które budziła w nim każda myśl o Klausie, paliły go żywym ogniem. Nie miał pojęcia, co sobie powiedzą, czuł tylko, że muszą porozmawiać. Chciał patrzeć na nią, widzieć jej oczy, szyję, piękne ręce. Śmierć Klausa była czymś przerażającym, strasznym, ale oni nadal żyli, ich przyszłość pełna była wspaniałych możliwości, choćby nawet zdecydowali się pójść różnymi ścieżkami. Pragnął jej o tym powiedzieć, tak, chyba także i dlatego musiał się z nią zobaczyć. Wiedział, że we dwoje łatwiej im będzie znaleźć pocieszenie i zastanowić się nad przyszłością. Była też oczywiście sprawa listu, który Klaus napisał w Tampere. Mógł zawierać słowa otuchy i czułości lub potępienia i nienawiści.

Esko dopiero zaczynał sobie uświadamiać, jaką głębię emocji zrodziły w nim Katerina i wojna. Dawno minęły dni, kiedy cienie uczuć poruszały się gdzieś głęboko pod zamarznąłą powierzchnią jego serca, leniwie i niechętnie niczym najedzony do syta szczupak. Wyglądało na to, że przeżył w ten sposób większą część okresu dorastania i lat młodości, lecz teraz, tej nocy, idąc szybko przez mokry, gęsto padający śnieg, miał wrażenie, że życie wypełnia go i unosi, niczym lawina, po której przejściu wszystko się zmienia. Uczucia i wrażenia napływające ze świata zewnętrznego osaczały go ze wszystkich stron, napawając w równej mierze niepokojem, co podnieceniem i wzruszeniem.

Wejście na schody kamienicy przy Fabianinkatu okazało się prawdziwą torturą. Na każdym półpiętrze słyszał, jak wszelkie odgłosy dobiegające z mieszkań po obu stronach zamierały. Ludzie wytężali słuch, zastanawiając się, kim może być ten nocny gość, jakby przybycie kogoś obcego było w tych niepewnych czasach powodem do lęku i obaw.

Dotarłszy do pomalowanych zieloną farbą drzwi Kateriny, przystanął i wziął głęboki oddech. Zapukał raz, potem drugi, lecz w mieszkaniu panowała całkowita cisza. Nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły.

Prawie natychmiast zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Mieszkanie było ciemne i wyziębione. Ułożony przy kominku stos polan pachniał sosnową żywicą, jak tamtego popołudnia, kiedy Esko przyszedł tu na wezwanie Kateriny. Kiedy zapalił światło, zobaczył, że okna są szeroko otwarte, a w pokoju panuje przerażający bałagan. Zrzucone z półek książki leżały na podłodze. Kretonowe pokrycie otomany było w wielu miejscach pocięte i końskie włosie zbitymi kępkami wychodziło na zewnątrz. Pod jego butami zachręściło szkło. Szafka leżała przewrócona, stół stał krzywo, zepchnięty pod samo okno, a z komody ktoś powyciągał wszystkie szuflady. Nawet fortepian został rozbity – tkwił pod ścianą, oparty pełnym bokiem na klawiaturze, podobny do idącego na dno statku.

Sypialnia wyglądała podobnie – stłuczone lustro, a na podłodze resztki słomy i kłębki pierza z poszarpanych poduszek. Z przewróconego kufra podróżnego wygarnięto całą jego zawartość: ubrania, buty, notes z powyrywaniem stronami. Szuflady biurka były powyciągane i puste. Być może ktoś zapakował wszystko, co się w nich znajdowało, i zabrał ze sobą.

Na kracie kominka leżały pogniecione kawałki gazety „Hufvudstadsbladet”, prawdopodobnie przygotowane na podpałkę. Esko rozprostował jeden z nich i zorientował się, że gazeta pochodziła zaledwie sprzed czterech dni. Być może Katerina jeszcze tu wtedy była.

Rozejrzał się i ostrożnie przeszedł między rozrzuconymi rzeczami. Powiew wiatru od okna zaszeleścił leżącymi na podłodze papierami. Stał przy parapecie i zadrzał. Spojrzał w dół, na podwórko i uświadomił sobie, że to właśnie tutaj Katerina zbudowała *pilvenpiirtaja* z kawałów lodu i stwardniałego śniegu. Wokół trwała cisza. W bramie ktoś palił papierosa, rozświetlając ciemność żarzącym się ogieńkiem.

Esko zszedł na dół, odpoczywając na każdym piętrze i słysząc, jak cichną odgłosy życia za wszystkimi drzwiami. Miał wrażenie,

że oblepia go pełne napięcia milczenie. Uparcie odsuwał zniechęcające uczucia niepewności i przerażenia, usiłując sklecić jakiś plan. Postanowił, że następnego dnia odwiedzi biura wszystkich agencji podróży w Helsinkach. Jeżeli Katerina wyjechała do Sztokholmu, pojedzie tam i odnajdzie ją. W kieszeni nadal miał list, który musiał jej przecież doręczyć.

Otoczone wysokimi ścianami kamienicy podwórko było zupełnie ciemne. W powietrzu unosił się lekki zapach papierosowego dymu i Esko pomyślał teraz nie tylko o wzniesionym przez Katerinę drapaczu chmur, ale także o długiej, ciężkiej podróży z Tampere, kiedy leżał na wąskiej pryczy, ranny, budząc się i znowu zapadając w gorączkowy sen.

Nagle z ciemności wyłoniła się jakaś postać, niski mężczyzna w sięgającym mu do kostek futrze.

– Dobry wieczór, wielkoludzie – odezwał się. – Masz papierosa?

– Nie palę – odparł Esko.

– Szkoda. – Niski wzruszył ramionami. Miał głęboko i zbyt blisko siebie osadzone oczy oraz długi, ostry nos. Jego ciemne, dziwnie gęste włosy wymykały się spod czapki. – Co tu robisz?

– Nie twoja sprawa, przyjacielu – rzucił Esko.

– Nie jestem twoim przyjacielem i to jest moja sprawa – rzekł mężczyzna z nieprzyjemnym uśmiechem. – I co ty na to? Znasz Katerinę Małyszewą?

– A ty?

– Ona nie żyje – oświadczył niski obojętnie.

– Co?! – wybuchnął Esko. Był pewien, że się przestyszał. Nie mógł, nie chciał w to uwierzyć. – Co powiedziałaś?!

– Wydaje mi się, że tylko udajesz zaskoczonego, chłopie. Jesteś Czerwony? Najlepiej będzie, jak pójdziesz teraz z nami.

Esko oparł się ręką o mur, próbując opanować zawroty głowy.

– Ona nie żyje?

– Twoi czerwoni kumple przyjechali tu w nocy, trzy dni temu. Zabrali ją i zabili.

– To niemożliwe – powiedział Esko, prawie nie dostrzegając, że z mroku wyłonili się jeszcze trzej mężczyźni i wzięli go pod ramiona. Miał wrażenie, że jego płuca lada chwila

ekspłodują. Na podwórku było bardzo zimno, ale po jego plecach spływały strugi potu.

Niski w długim futrze odchrząknął i splunął.

– Jak się nazywasz, towarzyszu?

– Esko.

Trzymający go mężczyźni szarpnęli go do przodu.

– Esko Vaananen. To na pewno jakaś pomyłka...

– Jeżeli ktoś tu popełnił błąd, to tym kimś jesteś ty, towarzyszu – odparł niski, poprawiając czapkę. – No, no, Esko Vaananen, kto by pomyślał. Bardzo interesujące nazwisko, zwłaszcza w obecnych czasach. Nie jesteś przypadkiem krewnym Timo Vaananena? Temu draniowi udało się wymknąć z Tampere, a nam bardzo zależy, żeby się z nim spotkać.

– To mój ojciec – rzekł Esko bez zastanowienia. Był otępiały, nieprzytomny z rozpaczy. – Skąd wiesz, że Katerina Małyszewa nie żyje?

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz radości i zaskoczenia jednocześnie. Cofnął się z szerokim uśmiechem, jakby liczył niespodziewanie otrzymane od losu dary, potem zaś rozpiął futro i wyciągnął zza pasa rewolwer z długą lufą.

– Syn Czerwonego Timo, coś takiego... Widzę, że to nasza szczęśliwa noc...

Esko zwymiotował nagle, chociaż to nie widok broni przypawił go o mdłości.

– Kona ze strachu – rzucił z satysfakcją niski. Jeden z jego kompanów roześmiał się głośno.

– Teraz już nic nie zostało mu w brzuchu – dodał drugi.

– Może zrobimy dla niego chlebek *pulla*, taki, jak robi mama – rzekł niski, mierząc z rewolweru w kierunku serca Esko. – Chodź z nami, towarzyszu, albo rozwalę cię na miejscu.

We czterech wywlekli Esko na ulicę, gdzie dowodzący grupą mężczyzn podniósł dłoń, dając znak kierowcy czekającemu w zaparkowanym nieopodal samochodzie.

– Wsiadaj – warknął do Esko, otwierając tylne drzwi, z których wypłynęła chmura papierosowego dymu i stęchłego zapachu skóry.

– Dokąd jedziemy?

– Nie twoje zmartwienie, chłopie. – Zimna lufa wbiła się Esko między żebra. – Porozmawiamy sobie teraz o twojej mamusi i oczywiście o tatusiu, przede wszystkim o tatusiu... Poszukamy jakiegoś spokojnego miejsca i szybko załatwimy tę sprawę. Nie mamy dużo czasu.

Esko spojrział w małe oczka mężczyzny. Nie przyjął jeszcze do wiadomości śmierci Kateriny i dopiero w tej chwili się zorientował, że sam jest w niebezpieczeństwie.

– Czego właściwie ode mnie chcecie, chłopcy?

– Spokojnie, towarzyszu – rzekł niski. – Powiedz nam, co wiesz, to nie będziesz cierpieć.

Esko usiłował się im wyszarpnąć, lecz byli zbyt silni. Jeden z mężczyzn oparł mu rękę na karku i usiłował wepchnąć go do ciemnego wnętrza samochodu.

– Skończmy z nim – rzucił niski znudzonym i pełnym pogardy głosem. – Tyle gadaliście o jedzeniu, że w końcu zgłodniałem. Chętnie wrzuciłbym coś na ząb.

Esko wyprężył grzbiet, nie chcąc wsiąść do złowrogiego samochodu z jego bukietem aromatów skóry i tytoniu.

– Co tu się dzieje, do diabła?! Natychmiast puśćcie tego człowieka! – rozległ się nagle ostry, rozkazujący głos.

Nacisk na ramionach i karku Esko w jednej chwili zelżał, dzięki czemu udało mu się unieść głowę na tyle, aby zobaczyć ubranego w mundur Selina z mauserem w ręku. U boku jego dowódcy stała pielęgniarka Anna Harkonen w zapiętej pod szyją pelerynie.

Selin jednym ruchem wyrwał broń niskiemu. Teraz miał dwa rewolwery, po jednym w każdej ręce i wyglądał jak kowboj z westernu Toma Mixa.

– Jak się nazywacie? – zapytał Selin.

– Rasa Veikko, panie pułkowniku – wymamrotał mężczyzna, który zdążył już zauważyć naszywki Białej Armii na ramieniu Selina.

– Dlaczego napastowaliście mojego przyjaciela?

– To Czerwony. Chcieliśmy zabrać go na przesłuchanie.

– Nie gadajcie bzdur! – warknął Selin. – Co się tu stało, Esko?

Esko wyprostował się i krótko opowiedział Selinowi, co się wydarzyło. Anna Harkonen obserwowała go z niepokojem.

– Jesteś jeszcze chory, Esko – powiedziała. – Powinieneś leżeć w łóżku.

– Nie – odrzekł cicho. – Muszę się dowiedzieć, co stało się z moją przyjaciółką.

– Mogę pomóc – oświadczył z psią gorliwością Rasa Veikko, który już otrząsnął się z niemilego szoku, jakim była strata broni i ofiary, i teraz najwyraźniej gotów był zrobić wszystko, żeby przypodobać się Selinowi. – Trzymamy w więzieniu jednego z Czerwonych, którzy przyjechali tu tamtej nocy. Najlepiej będzie, jeżeli sam opowie wam tę historię. – Zakasłał i pozwolił sobie na mały uśmiezek. – Oczywiście, trochę bełkocze, bo musieliśmy potraktować go dość surowo...

Veikko zajął miejsce obok kierowcy, opierając ramię o siedzenie i co chwilę odwracając podobną do pyska łasicy twarz do Selina, Anny i Esko. Samochód szybko jechał w kierunku jednego z przedmieść.

– Znaleźliśmy tego faceta i jego kumpla na dworcu kolejowym. Usiłowali wsiąść do pociągu do Viipuri, mieli fałszywe dokumenty. Liczyli, że stamtąd uda im się przedostać do Petersburga. Jednego zastrzeliłem na miejscu, żeby dać temu drugiemu do zrozumienia, że nie żartuję. I rzeczywiście, przestraszył się tak bardzo, że zaczął śpiewać jak z nut. – Veikko uśmiechnął się z nieukrywaną satysfakcją. – Opowiedział nam, co zrobili.

– To znaczy?

Veikko chrząknął niepewnie.

– Może lepiej będzie, jeżeli sam wam wszystko opowie.

Zatrzymali się przed anonimowym budynkiem z czerwonej cegły. Veikko wyskoczył na chodnik i ruszył przodem. Przy wejściu minęli kilku znudzonych strażników, którzy popijali kawę. Zaraz potem znaleźli się w długim, wąskim korytarzu, którego obu końców pilnowali wartownicy. Veikko przystanął przed pomalowanymi na czarno metalowymi drzwiami i uderzył w nie otwartą dłoń. Drzwi otworzyły się i Esko wszedł do cuchnącej ekskrementami celi. Elektryczna żarówka migotała niepewnie i syczała cicho za osłoną ze stalowej siatki, wypeł-

niając duszne pomieszczenie bezlitośnie ostrym światłem. W celi był tylko jeden mężczyzna, siedzący z nisko spuszczoną między ramionami głową na brzegu metalowej, przymocowanej do ściany składanej pryczy. Owinięty był przetartym, zielonym płaszczem, który przytrzymał kurczowo, jakby obawiał się, że ktoś mu go zabierze. A może po prostu nie ma żadnego ubrania poza tym płaszczem, pomyślał Esko. Stopy więźnia, tylko w skarpetkach, spoczywały na podłodze, w kałuży moczu. Jego włosy były szpakowate, a twarz pocięta długimi, krwawymi ranami. Czerwone, niespokojne oczy nawet nie zerknęły w ich kierunku. Być może w ogóle nie zauważył ich wejścia. W obu dłoniach trzymał małe lusterko w stylu art nouveau i wpatrywał się w nie z takim skupieniem, jakby miał przed sobą księgę zbawienia.

– Jest próżny – odezwał się Veikko i wymierzył mężczyźnie bolesnego kopniaka w goleń. – Jesteś próżny, prawda, Matti?

Esko nie był w stanie oderwać wzroku od lusterka. Miało ramkę z miejscami powyginanego, ściemniałego i poplamionego chyba zaschniętą krwią srebra. Wiedział, że gdyby znalazł w sobie dość siły, aby je odwrócić, ujrzałyby wygrawerowane z tyłu nazwisko i znak firmowy paryskiego producenta.

– Skąd to masz? – zapytał, mając wrażenie, że lada chwila straci przytomność. Bał się odpowiedzi więźnia, ponieważ prawie udało mu się wmówić sobie, że Katerina na pewno żyje, a Veikko po prostu się pomylił. Rozpaczliwie trzymał się nadziei, która teraz wydawała się równie krucha i ulotna jak piękno. – Skąd masz to lusterko?

– Dalej, skurwysynu, odpowiadaj! – warknął Veikko, z rozmachem ponownie kopiąc więźnia.

Mężczyzna był zbyt znękany i zbity, by przestraszyć się kolejnego ciosu. Jęknął cicho i zaczął błagać, żeby go więcej nie bili. Jego oczy wciąż utkwione były w lusterku, jakby szukał ratunku w szklanej tafli.

– Należało do bogatej rosyjskiej damy. Załadowaliśmy ją razem z całą resztą do ciężarówki. Zawieźliśmy ich na lód i ustawiliśmy ich na brzegu morza. Noc była zimna, mglista. Potem cofnęliśmy się i karabin maszynowy załatwił sprawę...

– A lusterko? – Esko nie potrafił opanować silnego drżenia głosu.

– Znalazłem je przy niej, kiedy było już po wszystkim. Była ładna.

Rasa Veikko miał właśnie wymierzyć więźniowi następny cios, tym razem w głowę, lecz nagle zamarł, przerażony dźwiękiem, który wydarł się z piersi towarzyszącego mu mężczyzny. Esko zawył jak schwytyany w pułapkę wilk i przylgnął twarzą do drzwi, bijąc w nie pięściami.

15

W szpitalu Esko leżał to na boku, to na plecach, to na brzuchu. Zasypiał i budził się, szlochając cicho i nie odzywając się ani słowem nawet wtedy, gdy pielęgniarzka Anna Harkonen przychodziła, aby opatrzyć mu rany, które otworzyły się po nocnej wyprawie. Przez trzy dni nic nie jadł i nie pił. Raz ocknął się i poczuł, że leży na gumowym prześcieradle. Oddał pod siebie mocz. Jego myśli wciąż krążyły wokół tego, co się wydarzyło. Co jakiś czas przed oczami stawał mu Klaus, który z uśmiechem podawał list. Esko myślał o Katerinie i jego wargi paliło pełne poczucia winy wspomnienie tamtego pocałunku. Cały jego świat przesiąknięty był wstydem i wyrzutami sumienia. Gdybym wyjechał do Ameryki, mówił sobie, gdybym wyjechał do Ameryki, tak jak nalegała, ona i Klaus nadal by żyli. Jego pozorna szlachetność była fałszywa i głupia, zła i podła. Miał wrażenie, że własnymi rękami zamordował dwoje najdroższych mu na świecie ludzi i teraz wiedział, że katastrofy, których człowiek najbardziej się obawia, zawsze się zdarzają.

Tego dnia ludzie w szpitalu poruszali się jakoś inaczej niż zwykle, szybciej, bardziej celowo. Był 16 maja 1918 roku, dzień wielkiej parady zwycięstwa wojsk Mannerheima. We wszystkich wazonach dumnie stały świeże kwiaty, a przez otwarte okna wpadał do środka ciepły wiosenny wiatr. Z oddali słychać było oklaski i okrzyki, które stopniowo stawały się coraz głośniejsze, jakby niosła je wielka, powoli napływająca

fala. Esko leżał na boku, wsłuchując się w marsz grany przez wojskową orkiestrę dętą i rytmiczne uderzenia podkutych końskich kopyt. Wszyscy pozostali ranni skupili się przy oknach, pragnąc znaleźć się jak najbliżej narastającego podniecenia i hałasu. Gdzieś w pobliżu waliły działa, z ulicy padały komendy. Widzowie bili brawo i gwizdali z aprobatą. Esko powoli odwrócił się plecami do sali.

Jednak i tym razem z otępienia wyrwał go Selin.

– Mogę usiąść? – zapytał.

Miał na sobie galowy mundur, jasne włosy były świeżo ostrzyżone, a na piersi eleganckiej szarej tuniki lśniły medale. Okazało się, że obrona kościoła św. Mateusza, w którym utrzymali się przez tamten długi dzień, była punktem zwrotnym bitwy o Tampere.

– Co tu robisz? – odezwał się Esko. – To twoja parada. Powinieneś być tam z innymi i świętować zwycięstwo.

– Wolę być z przyjacielem – odparł Selin, obracając czapkę w palcach. – Poza tym właśnie teraz nie jestem pewien, po co to wszystko było. Przed chwilą widziałem małą dziewczynkę, która wręczała kwiaty niemieckim załogom karabinów maszynowych. Zwycięstwo to skomplikowana sprawa i nie zamierzam udawać, że wiem, co o tym myśleć. – Zamilkł na chwilę i lekko wzruszył ramionami. – Cieszę się, że wojna już się skończyła, chociaż w gruncie rzeczy trwa nadal. Skończyły się walki, ale zabijamy teraz więcej Czerwonych niż kiedykolwiek przedtem.

Opowiedział Esko, że w całych Helsinkach bez przerwy rozgrywały się sceny takie jak ta, której świadkami byli tamtej nocy. Zwycięscy Biali urządzali polowania na Czerwonych. Czasami morderstwa poprzedzały pospiesznie wydawane wyroki doraźnych trybunałów, inni obywali się nawet bez tego, często załatwiając w ten sposób stare porachunki. Mannerheim osobiście zwrócił się do Białych z apelem, aby zaprzestali samosądów, lecz jego prośba nie odniosła żadnego skutku.

– Nie ma znaczenia, czy naprawdę jesteś Czerwony, czy nie – powiedział Selin. – Wystarczy podejrzenie. Miałeś szczęście, stary.

– Wolałbym go nie mieć.

– Nie mów tak. – Selin zmarszczył brwi.

Dopiero teraz przysunął krzesło i usiadł. Z plecaka wyjął butelkę wódki i dwie szklanki z grubego szkła.

– Napijesz się? – zapytał.

Esko wzruszył ramionami. Na zewnątrz kawaleria i orkiestra zbliżały się do szpitala, wypełniając wiosenne powietrze równym stukotem kopyt, grzmotem bębnow i muzyką trąbek i pużonów.

– Nie za zwycięstwo – rzekł Selin. – Za nieobecnych przyjaciół.

– Za nieobecnych przyjaciół – powtórzył Esko, czując na podniebieniu oleisty chłód wódki.

Selin ponownie nalał alkohol do szklanek.

– Anna mówi, że niedługo zaczniesz wstawać i dojdiesz do siebie – powiedział, podnosząc głos, aby przekrzyczeć orkiestrę.

– Anna?

– Ta pielęgniarka, Anna Harkonen. Jej zdaniem jesteś silny jak wół.

Spojrzenie Esko spoczęło na leżących na nocnych stoliku książkach o architekturze. Przypomniawszy sobie, że prosił Annę Harkonen, żeby je zabrała, ale najwyraźniej tego nie zrobiła. Podarłby je, gdyby tylko miał dość siły...

– To piękny album – zauważył Selin, biorąc do ręki książkę o dziełach Wrena i oglądając wypisany gotyckimi literami tytuł na grzbiecie obwoluty.

– Opracował go Anglik, Arthur Mackmurdo, ten sam, który pomógł zaprojektować hotel Savoy w Londynie. Nie sądzę, żeby któryś z nas mógł sobie pozwolić na to, by się tam kiedyś zatrzymać.

– Wspaniałe kościoły. – Selin w skupieniu przeglądał ilustracje.

– Wren otrzymał zlecenie na ich budowę po wielkim pożarze Londynu w 1666 roku. Chciał odbudować całe miasto i zupełnie zmienić jego plan, ale nie pozwolono mu na to.

– Ile bym dał, aby dostać od losu taką szansę... – mruknął z uśmiechem Selin. – Ale jestem tylko zwyczajnym, szarym człowiekiem, rolnikiem. Tak, nikim więcej. Walczyłem na woj-

nie, a teraz mogę spokojnie wrócić do przerzucania nawozu. Nalać ci jeszcze?

– Trochę.

– Jesteś wierzący, Esko?

– Nie – odparł Esko zbyt szybko, całkowicie zaskoczony pytaniem. – Już nie.

– To zabawne, ale ja nadal wierzę w Boga – wyznał Selin. Potrząsnął głową i utkwiał spojrzenie w swoich dużych, kwadratowych dłoniach. – Bóg istnieje. Jego Syn cierpiał i umarł za mnie.

Podniósł wzrok, poruszony i nieco zdumiony trwałością swojej wiary. Zerknął na stopy, z wyraźnym zażenowaniem zaszurał butami i wrócił do przeglądania ilustracji w poświęconej Wrenowi książce.

– Gdybym był architektem, tak jak ty, zbudowałbym kościół – powiedział. – Naprawdę, Esko. Kościół inny od już istniejących. Coś takiego, co pokazałoby, że nie zapomnieliśmy, chociaż wkraczamy na nową drogę. Pamięć jest ważna, prawda?

– Tak mi się wydaje – rzekł Esko.

Hałas za oknem cichł powoli. Uczestnicy defilady oddalali się. Pacjenci odchodzili od okien i wracali do łóżek, wymieniając ciche uwagi. Światło było nieco mgliste i gęste, typowe dla północy wiosenne światło, którego miękkie tony dopiero zapowiadały jasne słońce lata. Delikatne, ciepłe promienie padały na podłogę i białą pościel. Tajemnicze, kojące światło, dające obietnicę życia, nie miało nic wspólnego z nastrojem Esko, lecz patrząc na nie, po paru chwilach poczuł się trochę lepiej.

– Kiedy byłem dzieckiem, pytałem mamę: „Czym jest Bóg? Gdzie On jest? Czy jest zabawką? A może krową?” – mówił Selin.

Esko chrząknął. Podobał mu się obraz małego Selina, usiłującego dociec istoty Wszechmocnego.

– Myślałem, że jeżeli uważnie rozejrzę się po farmie, znajdę Go. Ale nigdy mi się to nie udało, więc dałem sobie spokój. Pewnego dnia, znacznie później, robiłem z ojcem modele wszystkich planet, z gliny. Ugniataliśmy szarą glinę między palcami,

toczyliśmy ją po dużym białym stole w gabinecie ojca. Potem powiesiliśmy planety na sznurku w mojej sypialni. Przyszło mi wtedy do głowy, że jestem w domu Boga.

Selin uśmiechnął się nieśmiało i zakręcił czapką.

– Dorastałem w atmosferze bardzo tradycyjnej wiary. Uważałem, że Bóg pomoże mi znaleźć cierpliwość, nauczy mnie sztuki wytrwania. I że zawsze będzie przy mnie. Podczas walk widzieliśmy tak straszne rzeczy, że wydawało się niemożliwe, aby Bóg na nie pozwalał. A jednak... W Tampere bardzo się bałem i prosiłem Go, aby mnie nie opuszczał, aby mnie chronił. I wiesz co, Esko? Nigdy nie czułem jego obecności. Nawet przez chwilę. Co jeszcze Bóg musi zrobić, żeby dowieść mi, że nie istnieje? Pokazał mi Tampere. Pokazał mi Holma. A wcześniej kazał mi chodzić do zimnych, nieprzyjaznych kościołów i zetknął mnie z ponurymi fińskimi pastorami, których nudne kazania wydają się trwać bez końca. I mimo tego wszystkiego nadal w Niego wierzę...

Selin pokręcił głową.

– Bardzo uparta jest ta moja wiara – dodał zdumionym głosem. – Co o tym myślisz?

Esko nie wiedział, co myśleć, ale był głęboko poruszony wyznaniem Selina.

– Pozbyłem się wiary, kiedy miałem jedenaście lat – powiedział.

– Sądzisz, że mógłbyś ją sobie przywrócić?

– Nie chcę. Bóg odszedł i jeśli o mnie chodzi, to może zostać tam, gdzie przebywa.

– Ożywiłeś się trochę – zauważył z zadowoleniem Selin. – Jesteś głodny?

– Trochę. Wódka poszła mi do głowy.

– Zobaczę, co uda mi się zdobyć.

Kiedy Selin wyszedł, Esko sięgnął po książkę Mackmurdo i zaczął powoli przewracać kartki, przyglądając się kościołom wzniesionym przez Christophera Wrena w Londynie. W ich prostocie było coś uderzającego. W przeciwieństwie do wielkiej, imponującej katedry św. Pawła, były skromnymi budowlami, dziełem człowieka, którego instynkt był konkretny i światowy,

praktyczny, nie tylko wizjonerski, i być może wcale nie religijny. A jednak były wzruszającą, spokojną, tchnącą ładem przeciwwagą dla burzliwych czasów plag, pożogi i rewolucji, w których przyszło żyć Wrenowi. Wielki architekt widział koniec jednej epoki i początek drugiej, i przerzucił między nimi most przestrzeni i światła.

Selin wrócił z dwoma białymi talerzami, wyładowanymi po brzegi jedzeniem. Spojrzał przez ramię ku Annie Harkonen i powiedział coś, czego Esko nie dosłyszał. Przez okno wpadł ciepły wiatr, poruszył zasłonami i rzucił na błyszczącą podłogę z sosnowych desek tańczące cienie, wzory, których żadna ludzka ręka nie byłaby w stanie odtworzyć. I oto nagle jakaś cząstka duszy Esko pogodziła się z tym, co się stało. Rozpoczął się proces prawdziwego powrotu do zdrowia. Lodowata skorupa melancholii pękła w kilku miejscach, odsłaniając nieugięty idealizm, który domagał się czegoś nowego. Esko pojął, że on także musi zbudować most, most stworzony z przyjaźni Selina i strasznego długu wobec pamięci Klause i Kateriny. I nawiedziła go wizja. Ujrzał czystą białą przestrzeń, chłodną i całkowicie wolną, nie rozciętą światłem, ale uleczoną światłem, skąpaną w jego łagodnej poświacie. Zobaczył krzyż na ścianie, a za nim, w tle, drugi krzyż, cień krzyża, cień, który Bóg pozostawił odchodząc, wiecznie żywe pragnienie radości i piękna, obietnicę spełnienia niespełnionej nadziei i daru łaski. Obietnicę, która istnieje mimo wszystko i wbrew wszystkiemu.

16

Ojciec Selina był właścicielem i zarządcą jednego z największych i najbogatszych majątków, i dwa miesiące później Esko znalazł się w samym sercu tej posiadłości. Ze splecionymi z tyłu rękami, pochylony, bez pośpiechu wchodził na niewysokie wzgórze, usiane granitowymi głazami. Był gorący letni dzień. Wysoko na niebie unosił się jastrząb. Z odległego poletka truskawek dobiegały okrzyki dzieci, a powietrze pachniało czarną porzeczką, trawą i ziemią, która powoli wysychała pod słońcem.

Przystanął, odwrócił się i spojrział w kierunku stodoły na odległym końcu łąki. Była to porządna stodoła, zbudowana w tradycyjnym fińskim stylu, z powtykanymi między poziomo ułożone bale drewnianymi klinami, dzięki którym do środka dostawało się powietrze i światło, doskonale zadaszona, z rynną odprowadzającą wodę deszczową. Mogłaby stać jeszcze wiele, wiele lat, i bez wątpienia była godna podziwu, ale Esko wiedział, że trzeba będzie ją zburzyć, ponieważ znajdowała się w miejscu, na którym zamierzał zbudować kościół.

Ocieniona szerokim rondem słomianego kapelusza twarz Esko była pogodna i zdecydowana. Zsunął kapelusz na tył głowy, pociągnął łyk chłodnej wody z butelki i przyglądził włosy gestem człowieka, który odczuwa satysfakcję, ponieważ udało mu się rozwiązać skomplikowany problem. Potarł bok w miejscu, gdzie przeszła kula. Rana zagoiła się już całkowicie, ale czasami czuł tam lekki ból i swędzenie, zwłaszcza na zmianę pogody. Jego ciało stało się barometrem.

Zwrócił twarz do słońca, którego ciepłe promienie muskały go z rozkoszną łagodnością. Poprawił kapelusz, napił się wody i usiadł, otwierając szkicownik. Zaczął rysować, sunąc szybko ręką po papierze. Teraz, gdy wreszcie podjął ostateczną decyzję co do miejsca budowy, cała reszta wydawała się nie sprawiać mu najmniejszych trudności, zupełnie jakby projekt kościoła już wcześniej zaistniał w jego głowie, a teraz mógł wreszcie objawić się na papierze.

Najistotniejsza miała być przestrzeń wewnątrz budynku, nie na zewnątrz. Esko doszedł do wniosku, że ołtarz musi być prostym białym i płaskim sześciokątem, oświetlonym z góry. Za ołtarzem zawiśnie krzyż, a za nim wycięty zostanie w murze, na głębokość około dwóch centymetrów, drugi, dokładnie o tych samych wymiarach – cień pierwszego. Przed ołtarzem staną dwa rzędy ławek z białej sosny, biegnące ku wysokim dębowym drzwiom. Białe będą ściany i podłoga z betonu. Sklepienie musi być beczkowate, z wyciętymi w nieregularnych odstępach otworami, przez które wpadać będzie światło. Dzięki temu w miarę jak słońce wędrować będzie nad równiną, kościół każdego dnia stanie się sceną nieustannej gry światła i cienia. Światło będzie

się przesuwają i tańczą, zmieniać się od jasności po cień i od cienia po jasność. Po zachodzie słońca i zimą źródłem wewnętrznego światła staną się nisko zawieszane lampy ze szkła i miedzi. Beczkowate sklepienie pograży się w tajemniczym mroku, w wyciętych w nim przeszklonych otworach pojawiać się będą gwiazdy i zorze, a przestrzeń we wnętrzu kościoła będzie ciepła i przyjazna.

Esko dążył do osiągnięcia śmiałego efektu. Od epoki średniowiecza i romańskiego stylu kościoły projektowano na wiele różnych sposobów, lecz zgodnie z jednym, uniwersalnym architektonicznym prawem: kościół zawsze miał dwie nawy, przecinające się pod kątem prostym na kształt krzyża. Esko zignorował tę zasadę, wykorzystując motyw krzyża w zupełnie inny, odkrywczy sposób. Już samo to miało uczynić jego kościół odmiennym i nowoczesnym. Pomyślał, że na pewno znajdą się tacy, którzy uznają taką budowlę za niegodną Boga. Wiedział, że przyjdzie mu odierać takie zarzuty. Jediną szansą było stworzenie wnętrza tchnącego niezaprzeczalną świętością i spokojem. Niezależnie od formy architektonicznej będzie to nadal kościół, miejsce, gdzie ludzie przychodzą po to, by otworzyć najgłębiej zranione, lecz pełne wiary serca. Kościół, który odwołuje się do tego, co nieznanne i wieczne, do wzniosłych idei, nawiedzających człowieka choćby tylko we śnie, do tego, co rzeczywiste i intymne, do wielkiego dramatu zmiennego losu i przeznaczenia, z którym każda istota ludzka codziennie się boryka.

Esko przypomniał sobie dżdżyste listopadowe popołudnie w Paryżu, kiedy razem z Klausem przeszedł po Pont Neuf na Île de la Cité. Z egzemplarzem *Katedry Marii Panny w Paryżu* Victora Hugo w ręku zbliżyli się do potężnego gotyckiego kościoła, przy czym Esko pragnął znaleźć w nim inspirację architektoniczną, natomiast Klaus to przerażające słowo, *ananke*, los, które Victor Hugo ujrzał wydrapane na jednym z gładów w murze katedry, i odnalazł w nim natchnienie do napisania swej wielkiej powieści. Obaj byli młodzi, chcieli zostawić jakiś ślad po sobie i katedra Notre Dame olśniła ich i uwiodła, a następnie schwytała w zasadzkę. Klaus odkrył, że słowo *ananke*

mruga ku niemu z tysiąca kamieni, uwiecznione na nich przez tysiąc pielgrzymów, którzy dotarli tu przed nim, Esko zaś ujrzał niepowtarzalną, jedyną w swoim rodzaju budowlę, dzieło nie tylko architektów, którzy ją zaprojektowali oraz kamieniarzy i cieśli, którzy w pocie czoła pracowali dzień i noc nad jego wykończeniem, lecz całego narodu i całej epoki. Żeby wznieść katedrę Notre Dame, trzeba było całej Francji i całego średnio-wieczna.

Esko wypił łyk wody i zaczął wachlować się słomianym kapeluszem, patrząc na stodołę, którą trzeba będzie zburzyć i powtarzając sobie, że katedra Notre Dame jest potężną symfonią, natomiast tym, co Finlandia pragnie teraz dostać od niego, architekta Esko Vaananena, jest jedna kryształowo czysta nuta. I on pragnął tego samego. Postanowił zapomnieć o *ananke* i pamiętać tylko o tym, że człowiek sam pisze w księdze swego losu. Zbuduje ten kościół tak, jak tego pragnie, jako pomnik dla tych, których stracił, i pocieszenie dla innych.

Anna Harkonen przyjechała z Helsinek, żeby mu pomóc. Kiedy rozmawiali przez telefon, powiedział jej, że nie musi tego robić, ale nawet nie chciała go słuchać.

– Za dwa dni masz czekać na mnie na stacji, czy ci się to podoba, czy nie – powiedziała spokojnie.

Ze stacji wrócili do dworku rozklekotaną bryczką Selina, zaprzęzoną w trójkę koni. Esko od razu pokazał Annie miejsce, które wybrał pod kościół. Pokazał jej też niektóre szkice i powiedział, że kościół powinien być zbudowany ze zbrojonego betonu. Jego zdaniem materiał ten świetnie nadawał się też na beczkowate sklepienie świątyni. Problem polegał na tym, że miała to być pierwsza taka konstrukcja w całej Finlandii.

– Dlatego nie mam pojęcia, czy ktokolwiek w kraju poradzi sobie ze wszystkimi obliczeniami.

– Dowiem się – obiecała Anna. – I jeśli nawet w tej chwili nie ma kogoś takiego, to wkrótce będzie.

Wprowadziła się do jednego z pokoi we dworze, w gabinecie Selina rozłożyła na wielkim stole sporządzone przez Esko plany i od razu zajęła się zamawianiem materiałów oraz organizacją dostaw. Kościół miał powstać w lecie 1919 roku i Esko prze-

widował, że budowa rozpocznie się pod koniec kwietnia, natychmiast po ustąpieniu śniegów.

Z pomocą Selina zbudował małą chatę z bali, która miała mu służyć jako studio. Coraz szybciej wracał do pełni sił. Mógł już sam porąbać część bali. Starał się, by całą swoją wiarę i optymizm skupić na pięknej budowli, jaką, miał nadzieję, stanie się jego kościół.

Zima była ciężka. Śnieg zaczął padać wcześniej i obficie. W październiku fiński parlament zaproponował pewną posadę Fryderykowi Karolowi, bratankowi niemieckiego cesarza. Posada miała polegać na objęciu tronu Finlandii i Fryderyk Karol z radością przyjął propozycję, lecz w listopadzie okazało się, że Niemcy przegrały wojnę, w związku z czym żaden Niemiec nie mógł w najbliższym czasie liczyć na wstąpienie na jakikolwiek tron. Tak więc Finlandia musiała radzić sobie sama. Nowe państwo zostało zmuszone do szukania własnej drogi w mrocznym gąszczu międzynarodowej polityki i dyplomacji, gdzie wciąż rozgrywały się wielkie dramaty. W Rosji, a raczej teraz już w Związku Radzieckim, w każdej chwili mogła rozpocząć się nowa wojna domowa. Wielu fińskich komunistów znalazło tam schronienie, wielu zaś Białych paliło się do walki, marząc o odebraniu Sowiecom dalekich lasów i jezior, wśród których toczyła się akcja *Kalewali*. W Finlandii nastroje nadal były gorące, a proces kształtowania państwa bynajmniej się nie zakończył. Wysłannicy dyplomatyczni wciąż jeździli do Anglii i Ameryki. Pospiesznie przygotowano projekt nowej konstytucji. Henrik Arnefelt przyjął rządowe zlecenie na projekt całego zestawu nowych banknotów. Esko pracował i pił, czasami czytał o tych ważnych dla Finlandii sprawach w „Hufvudstadsbladet”, grał w karty z Selinem i Anną, i starał się zachować spokój, który udało mu się wypracować. Nie chciał i nie zamierzał identyfikować się z którymś ze stronnictw – miał dosyć polityki.

Esko i Selin nie podpisali żadnej umowy i Esko nie chciał nawet rozmawiać o wynagrodzeniu za projekt kościoła. Selin płacił za materiały, które wraz z początkiem wiosny zaczęły nadchodzić z Oulu. Gdy ziemia miękła od topniejącego i wsiąkającego w nią śniegu i lodu, Esko osobiście czuwał nad

rozbiórką starej stodoły i oczyszczeniem miejsca budowy. Przed przystąpieniem do prac Esko wygłosił krótką mowę, ponieważ Selin i Anna przekonali go, że to doskonały pomysł. Przypomniawszy sobie, jak gładko radzili sobie z takimi sytuacjami Oskari Bromberg i Henrik Arnefelt, lecz patrząc w twarze zgromadzonych przed nim chłopów, których życie było nieznośnie ciężkie nawet przed wojną, uświadomił sobie, że ma raczej ochotę uścisnąć dłoń każdego z nich, niż z wyzyna swego wykształcenia pouczać ich o wartości pracy, jaką mają wspólnie wykonać. Dlatego pochylił głowę i powiedział krótko, że ma nadzieję, iż razem uda im się wybudować coś, czego nie będą się wstydzić.

Anna znalazła właściciela firmy budowlanej, który zgodnie ze szczegółowymi wskazówkami Esko wylał i wzmocnił beton. Elementy ścian i sklepienia przywieziono w trzech ciężarówkach pewnego lipcowego popołudnia, kiedy gzy cięły bezlitośnie, a ciepły wiatr kołysał morzem pachnących miodem kwiatów na łące. Wielkie, białe jak żagle kawały betonu, wystające z pudeł samochodów, wyglądały niczym fragmenty jakiejś dziwnej układanki, którymi w rzeczywistości były.

Fundamenty były już gotowe, więc Esko wziął głęboki oddech i krótko wyjaśnił, jak należy ustawić elementy ścian i brzuchatego dachu. Po niecałych trzech godzinach zasadnicza konstrukcja została połączona i do wykończenia pozostały już tylko szczegóły. Kościół stanął.

Zaraz potem Esko zauważył coś niezwykłego. Robotnicy jeden po drugim zerkali na białą betonową skorupę i znikali w środku. Esko i Anna poszli za nimi.

Esko wiedział, że starannie zaprojektował kościół, podporządkowując swą ambicję zawodową szacunkowi dla miejsca, w pełni świadomy, iż dokonuje trwałej zmiany w krajobrazie. Zdawał też sobie sprawę, że architekt nigdy nie może zagwarantować, że projektowana przez niego budowla będzie doskonała. Jednak tym razem ostateczny efekt okazał się jeszcze bardziej dramatyczny i wspaniały niż obraz, jaki widział w swoich najśmielszych wyobrażeniach. Pomógł w tym wiatr, z każdą chwilą zmieniając niebo nad kościołem, a tym samym natężenie światła

przedostającego się przez nieregularnie umieszczone w sklepieniu okienka. Smugi i koła świetlne tańczyły na betonowej podłodze i ścianach. Za ołtarzem cień krzyża rozjarzył się światłem, zgasł, zapłonął znowu. Całe wnętrze kościoła bezustannie falowało światłem i cieniem, jakby to światło, a nie beton, było tu bardziej dominującą i namacalnie wyczuwalną rzeczywistością, fizyczną manifestacją pewności, że życie kończy się i odradza w każdej sekundzie.

Anna trąciła Esko w bok, wskazując mu jednego z młodszych robotników. Wysoki, mocno zbudowany chłopak stał nieruchomo, z czapką w dłoniach, ze wzruszeniem i uniesieniem wpatrując się w spektakl światła.

– Esko, musisz być bardzo dumny z siebie – powiedziała Anna z podziwem.

W następnych tygodniach obrzucali wewnętrzne ściany tynkiem, pozostawiając niewykończoną, nierówną powierzchnię, którą następnie pociągnęli gęstą białą farbą. Betonowa podłoga została pomalowana, starta metalowymi wiórkami i znowu pomalowana. Po dopasowaniu okien Esko i Anna zaczęli ostrożnie ozdabiać kościół następnymi symbolami. Nad wejściem powtórzyli motyw cienia krzyża. Esko narysował fryz, który miał być wykonany z piaskowca i umieszczony na wewnętrznej tylnej ścianie. Fryz był tryptykiem: pierwsza scena pochodziła z *Kalewali* i przedstawiała Vainamoinena wyśpiewującego narodziny drzewa, druga była epizodem wojennym – klęczący mężczyzna, czekający na wykonanie wyroku, trzecia zaś przedstawiała wniebowstąpienie Chrystusa. Fryz miał wykonać przybyły z Vaasy kamieniarz, starszy mężczyzna o szczupłej, wyrazistej twarzy, jakby wykutej w granicie. Miał w sobie cierpliwość i oddanie się rzemiosłu, które Esko nauczył się szanować, był perfekcjonistą i niestety pijakiem.

Pod koniec sezonu ciepłych nocy, kiedy słońce znikало za wierzchołkami drzew, Esko, Anna, Selin i robotnicy siadywali razem za długim stołem do zakrapianych piwem i wódką kolacji, podczas gdy mgła powoli zasłaniała przed ich wzrokiem srebrzyste pnie brzoź i wkradała się w zagłębienia terenu na łąkach. Mocno podpici, szli do sauny, potem zaś znajdowali

ochłode w zimnym jeziorze, na którym przysiadły nisko latające kaczki. Często w wodzie obok nich odbijały się jednocześnie i słońce, i księżyc. Był to cudowny okres, długie, gorące, wspaniałe lato, w czasie którego powietrze odświeżały częste nagłe ulewy i burze.

Esko i Anna dużo czasu spędzali razem. Jako rysownik Anna była bardzo sprawna, cierpliwa i wytrwała. Doskonale radziła sobie z finansami i wiedziała, jak rozmawiać z dostawcami materiałów. Własnoręcznie wykonała wiszące lampy do kościoła. Miała tak wyraźną łatwość w obchodzeniu się ze wszelkiego rodzaju urządzeniami mechanicznymi, że zaczęła nawet dawać Esko lekcje jazdy samochodem, ze śmiechem obserwując, jak uczy się zmieniać biegi, dodawać gazu i hamować na drodze między dworem i łąką. Łagodna pewność siebie, sceptyczna pogoda ducha i poczucie humoru pomagały jej pokonać każdą trudność. Na budowie nigdy nie traciła panowania nad sobą i chętnie żartowała z mężczyznami, nie rozstając się ze starannie zwiniętymi planami. Była kapitanem statku, który dzięki niej nigdy nie zbaczał z wytyczonego kursu. Nawet tego nieświadomy, Esko nauczył się całkowicie na niej polegać. Poświęcenie i spokój Anny stały się gwarancją szybkiego ukończenia prac.

Jeśli chodzi o Annę, to od początku grała o wyższą stawkę niż wspólne zamiłowanie do architektury. Nigdy nie zadawała Esko bezpośrednich pytań dotyczących wojny czy Kateriny. Była przy nim tamtej nocy w więzieniu, gdzie przetrzymywano Czerwonych, i wiedziała, że w jego życiu była jakaś kobieta, jakaś tragedia, o której nigdy nie mówił i po której powoli wracał do równowagi. Nie budziło to w niej przerażenia. Taktowna i wrażliwa, wiedziała, kiedy wziąć sprawy we własne ręce, a kiedy się wycofać. Była przygotowana na długie oczekiwanie i myśl o tym także jej nie zrażała, ponieważ była już zakochana w tym surowym, łagodnym mężczyźnie, który miał tak szlachetne wizje i ideały i tyle bólu w sercu. Esko nie należał do nieskomplikowanych mężczyzn, lecz nigdy nie skrzywdził nikogo w sposób świadomy, a przebywanie z nim nie groziło nudą. Posiadał niezwykle intensywną osobowość, w której błyskawice dobrego humoru następowały po chwilach ponu-

rego zachmurzenia, zupełnie jak podczas fińskich letnich burz. I był jedynym mężczyzną, z jakim chciała się związać.

Pewnego późnego sierpniowego wieczoru Anna i Esko wybrali się na spacer do lasu. Kościół był już w zasadzie gotowy. Była to sobota i robotnicy, którzy przed kilkoma godzinami otrzymali wypłatę, wyruszyli na tańce z wiejskimi dziewczętami, na ryby lub na zabawy przy ognisku, podczas których pili, grali w karty i opowiadali nieprawdopodobne historie o swoich przygodach z wilkami i niedźwiedziami. Wieczór był wyjątkowo piękny, ciepły i świetlisty. Gdzieś w pobliżu o pień drzewa stukał dzięcioł, a las wypełniał niepowtarzalny, zapamiętany z dzieciństwa zapach rozgrzanej sosnowej żywicy. Co krok spotykali wielkie jak głązy mrowiska. Przez gałęzie drzew przeświecał księżyc w pełni, otoczony dziwną poświatą, podobny do czerwonej pomarańczy. Stopy Anny i Esko natrafiły na ścieżkę ledwo widoczną w unoszącej się znad ziemi mgle, podobnej do zwojów srebrnej blachy.

Annie wydawało się, że Esko nagle posmutniał.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała. – Naprawdę, możesz mi wierzyć. Popatrz na kościół, który zbudowałeś.

Esko odwrócił się do niej z uśmiechem. Zastanawiał się, co czeka go teraz, kiedy budowa kościoła została już ukończona. Nie miał pojęcia, co będzie robił dalej, ale wyraz twarzy Anny przekonał go, że wszystko rzeczywiście się ułoży i w jego życiu na pewno pojawi się jakiś nowy projekt. Zaraziła go swoim nieugiętym optymizmem.

– Kościół, który razem zbudowaliśmy – sprostował.

Zaczerwieniła się nagle i odwróciła głowę.

– Co się stało, Anno?

– Nic.

– Płaczesz?

– Zachowuję się jak idiotka...

– Anno, nie płacz, proszę.

Sięgnął po jej rękę, ale nie pozwoliła się dotknąć.

Esko uśmiechnął się smutno. Nie miał żadnego doświadczenia z kobietami i prawie zawsze chodził z głową w chmurach, lecz nie był głupcem i w lapońskich oczach Anny widywał czasem

ból, który on sam znał aż nazbyt dobrze. Współczucie, szacunek i czułość, które w nim budziła, długą chwilę zmagaly się z jego wrodzoną niechęcią do rozmowy o sprawach prywatnych. Poza tym obawiał się, że to, co Anna mu powie, zwróci jego umysł ku mrocznemu tunelowi wspomnień i rozpaczy.

Schylił się i podniósłszy z ziemi wąski kawałek brzozonej kory, wytarł go z kurzu i szybko uformował w kształt łódki.

– Weź to – powiedział, podając jej brzozoną łódeczkę.

– Och, Esko... – westchnęła. – Wiem, że uważasz mnie za przyjaciółkę i cenię to sobie bardziej, niż potrafię opisać, ale mam nadzieję, że pewnego dnia pomyślisz o mnie w inny sposób...

Teraz to ona sama, z własnej woli, chwyciła go za rękę.

– Rozumiem, że nie chcesz i krępujesz się o tym rozmawiać, ale i tak zamierzam to powiedzieć. Gdybyś potrzebował pomocy, rady, ręki, którą można potrzymać, lub ust, które można pocałować, nie wahaj się mnie przywołać. – Mocno zacisnęła palce na jego dłoni, a jej oczy zabłyśły w świetle księżyca. – Chcę, żebyś wiedział, że zawsze jestem gotowa być przy tobie. Cała dla ciebie, Esko. Tylko dla ciebie.

17

Selin wysłał list do biskupa Vaasa, niejakiego Iosipa Kalliokoskiego, prosząc go o dokonanie ceremonii konsekracji kościoła Cienia św. Krzyża w Sylwestra 1919 roku.

– Znam go – powiedział Esko do Anny, chociaż od lat nie kontaktował się z Kalliokoskim. – Na pewno przyjedzie.

Pod koniec lata Selin zwrócił się do Esko, aby zaprojektował dla niego letni dom nad jeziorem. Mniej więcej w tym samym czasie kupiec, do którego należał miejscowy sklep, zrozumiał, że nadchodzące dziesięciolecie będą epoką automobili i doszedł do wniosku, że potrzebny mu będzie nowy budynek ze znajdującą się przed nim stacją benzynową. Te skromne oferty byłyby doskonałą propozycją dla każdego fińskiego architekta w tamtych czasach, w powojennej zapaści gospodarczej. O for-

malną stronę kontraktów zadbała Anna, jak zawsze energiczna i kompetentna.

– Wygląda na to, że zostaliśmy współnikami – poinformowała Esko.

Zaczęła się jesień, przyszły ciemne i deszczowe listopadowe dni, ten okres w roku (drugim takim, co dość dziwne, był początek wiosny), kiedy wielu Finów się zastanawiało, czy nie warto zażyć ostatniej w życiu kąpieli w którymś z jezior. Był to trudny miesiąc dla Esko, który zawsze odczuwał ulgę po nadejściu prawdziwej zimy. Śnieg trzeszczał pod butami i grubą pierzyną okrywał gałęzie drzew, narciarze i saneczkarze wyruszali na szlaki, a pogodne, tchnące spokojem arktyczne niebo usiane było milionami mrugających gwiazd. Ziemia zamarzła, ale pachniała świeżością. Esko wykorzystał ten czas na uporządkowanie bałaganu panującego w jego duszy. Spacerował, dużo czytał i chociaż prowadzenie budowy było oczywiście niemożliwe, codziennie pracował w swoim wzniesionym z drewnianych bali studio, gdzie mały prymus ogrzewał mu nogi. Kiedy plecy i barki sztywniały mu z zimna, odwracał krzesło i przypiekał się od tyłu.

Kalliokoski przyjechał wczesnym popołudniem, koło drugiej, kiedy słońce, które dopiero niedawno wstało, zaczęło już chylić się ku zachodowi. Esko był w kościele i z ławki obserwował grę zimowego światła, wpadającego przez okna, gdy nagle drzwi otworzyły się i szybko zatrzasnęły.

– Esko, mój stary przyjacielu, mój najdroższy chłopcze!

Doskonale pamiętał ten głos, co go nie zaskoczyło, zdumiało natomiast, że na jego dźwięk tak bardzo się ucieszył. Ruszył ku Kalliokoskiemu z szerokim uśmiechem i wyciągniętą do uścisku ręką.

– Iosip! – zawołał. – Jakże się cieszę, że cię widzę!

Kalliokoski nadal miał ten sam zdecydowany, miły sposób bycia i nadal nosił elegancki czarny strój, lecz teraz bardziej podobny był do sowy niż do pawia. Broda zniknęła, przez co głowa wydawała się okrąglejsza, a oczy większe. Zestarzał się, ale dalej wyglądał bardzo dobrze i wraz ze stanowiskiem zyskał nową dostojałość i pewność siebie. Szybkim krokiem zbliżał się

do Esko główną nawa, serdecznie uśmiechnięty, lecz nagle zatrzymał się, jakby przymusiła go do tego jakaś siła wyższa, jakby budynek, w którym się znalazł, domagał się wyłącznej uwagi. Usiadł z brzegu ławki i podniósł głowę, wpatrując się w beczkowate sklepienie. Westchnął głęboko.

– Esko, zaskoczyłeś mnie – powiedział po długiej chwili. Uśmiechnął się znowu, ale teraz jego twarz sprawiała wrażenie świeżo wymytej, jakby kościół oczyścił go ze wszystkiego, z czym przekroczył próg. – Zdumiewające... Stworzyłeś doskonałą, cudowną rzecz. Jak wiesz, byłem przeciwny temu, abyś został architektem. Opowiadałem się za studiami prawniczymi lub bankowymi. Przez wszystkie te lata zadawałem sobie pytania: Czy Esko dokonał właściwego wyboru? Czy naprawdę jest architektem, w całym znaczeniu tego słowa? Może nie powinienem był ustępować? Teraz zaś widzę przed sobą budowlę, której piękna nawet nie potrafię opisać. Kiedy zobaczyłem kościół z zewnątrz, nie byłem jeszcze do końca pewny. Robi wrażenie, pomyślałem, ale zastanawiałem się, czy ta biała skorupa nie za bardzo rzuca się w oczy. Wnętrze wyjaśnia wszystko. To miejsce promieniuje świętością. Naprawdę.

Esko przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz powiedział Kalliokoskiemu, że chce być architektem. Miał wtedy czternaście lat i uczył się w liceum. Czytał o budynkach i budowaniu wszystko, co wpadło mu w ręce. Gdy inni chłopcy uganiali się po boisku lub formowali oddziały ołowianych żołnierzyków i planowali wielkie kampanie, on analizował zdjęcia drapaczy chmur, zaprojektowanych przez Louisa Sullivana.

– Widzę, że chcesz walczyć z wiatrakami, zupełnie jak twój ojciec – powiedział Kalliokoski i natychmiast ugryzł się w język, ponieważ zdawał sobie sprawę, że Esko i tak wybierze własną drogę.

Minęło wiele lat, lecz Esko nigdy nie zrozumiał, czego chciał dla niego Kalliokoski, ani dlaczego darzył go tak głębokim uczuciem. Nie był przecież łatwym, miłym dzieckiem – wręcz odwrotnie, zawsze był milczący i uparty. Teraz poczuł, że jest wdzięczny swemu opiekunowi za tę pochwałę i przyjął ją z pokornym sercem.

– Dziękuję.
– Nie, to ja tobie dziękuję, Esko Vaananen. – Kalliokoski westchnął i podrapał się po gładko ogolonym policzku. Ciemne oczy wydawały się zamyślane i odległe. – Matka byłaby z ciebie bardzo zadowolona – dodał. Jego twarz odzyskała zwykły, nieco rozbawiony i ironiczny wyraz. – Jestem biskupem. Dostałem awans.

– Słyszałem. Gratuluję.

– Och, nie ma czego – rzekł z niedbałym machnięciem dłonią. – Okazuje się, że w kościele ludzie stają do wyścigu o karierę tak samo jak wszędzie. A ja zawsze byłem dobrym biegaczem.

Esko uśmiechnął się i usiadł obok Kalliokoskiego.

– Oczywiście, oznacza to, że mam sporo władzy. – Przechylił głowę na bok, wyraźnie kpiąc z samego siebie. – I dosyć mi się to podoba.

– Jak ją wykorzystasz?

– Spokojnie i łagodnie, taką w każdym razie mam nadzieję. – Zamyślił się na chwilę. – Podobno twój ojciec znowu jest w Petersburgu. Przedtem był w Anglii, a potem w Murmańsku, gdzie zgromadził małą armię. Nie rezygnuje. Kilka miesięcy temu przekroczył granicę i przemawiał w Mantyniemi.

Esko pomyślał o pociągu pancernym, który Czerwoni ustawili za kościołem w Tampere. Czy jego ojciec naprawdę nim wtedy dowodził? Czy on, jego syn, sam uciekł mu sprzed samego nosa?

– I co mówił?

– To, co zwykle. Że Czerwoni, którzy polegli w czasie wojny, i ci, którzy umierają w obozach jenieckich, są dobrymi Finami.

– Ma rację.

– Ja też w zasadzie się z tym zgadzam – powiedział Kalliokoski. – Chociaż obecnie nie jest to zbyt popularna opinia. Znam wielu ludzi, którzy bez wahania zabiliby twojego ojca, nawet gdyby zastali go w tym kościele.

– To mało prawdopodobne.

– I dzięki Bogu. – Błysnął zębami w szerokim uśmiechu. – Jest też mnóstwo takich, których Timo chętnie zamordowałby własnymi rękami lub przynajmniej kazałby zamordować. Nie wątpię, że znajduję się na tej liście. Być może ty również.

Zabawnie przewrócił oczami i zaraz spoważniał. Spojrzał w kierunku ołtarza, gdzie krzyż i jego cień w murze świecił jasno jak księżyc w nowiu.

– Cieszę się, że w końcu znalazłeś w swoim życiu miejsce dla Boga.

– Trudno powiedzieć, czy dla Boga.

– Chyba to rozumiem – rzekł Kalliokoski. – Wojna zmieniła wszystko, prawda? Nawet nasz stosunek do Wszechmocnego.

– Nie mów mi tylko, że straciłeś wiarę. Jesteś przecież biskupem.

– Tak. Ale Bóg, który pozwala ludziom toczyć takie wojny jak nasza, nie jest kandydatem do Armii Zbawienia, prawda? Kościół musi ponownie się zastanowić, jak najlepiej służyć Jemu i ludziom.

Na uroczystość stawili się lokalni właściciele ziemscy z żonami, różni dostojnicy kościelni i nawet miejscowy malarz, uśmiechnięty mężczyzna z obfitym wąsem, specjalizujący się w fińskich krajobrazach zimowych. Wszyscy usiedli kręgiem na krzesłach z wysokimi oparciami w salonie ojca Selina, opierając na kolanach filiżanki z kawą i usiłując prowadzić swobodną konwersację. Rozpaczliwa formalność i niezdarne, sztywne próby znalezienia wspólnego tematu sprawiały, że była to typowo fińska scena. Ktoś rzucił miłą uwagę o kawie i w pokoju znowu zapadła cisza.

– Znosi się na śnieg – zauważył ktoś inny.

Tym razem milczenie trwało dłużej, przerywane jedynie odgłosami chrupania herbatników. Esko miał już wrażenie, że lada chwila zaczną krzyżeć, kiedy drzwi się otworzyły i do salonu weszli robotnicy, którzy budowali kościół. Zerwali czapki z głów i jeden po drugim nerwowo ściskali dłoń Kalliokoskiego, potem zaś stanęli pod oknem. Esko mrugnął do starego kamieniarza, który miał jeszcze większe problemy niż on sam z pićciem kawy z małej filiżaneczki.

Lody przełamała dopiero Anna, która wróciła z kuchni, niosąc wielką wazę pełną czerwonego wina z przyprawami. Gdy goście

pochłonęli pierwszą porcję niezwykle aromatycznego napoju, atmosfera trochę się ociepliła. Esko zauważył, że Anna postanowiła zaprzyjaźnić się z Kalliokoskim. Dbała, aby jego szklaneczka była zawsze pełna, wypytywała go o wszystko, co wiązało się z biskupim urzędem i nalegała, aby opowiedział jej o złych nawykach małego Esko.

– Och, nie ulega wątpliwości, że miał ich całkiem sporo – powiedział Kalliokoski, unosząc brew.

Rozmawiali też o ekonomii, o budynkach Eliela Saarinen, o wojnie domowej w Rosji, o budowie kościoła i o tym, jakie miejsce zajmuje projekt Esko w ogólnym krajobrazie współczesnej architektury. Przysłuchując się temu, Esko zrozumiał nagle, co tak naprawdę robi Anna. Broniła jego bramki, dawała występ na rzecz jego kariery. Robiła to z miłości do niego i był tym głęboko poruszony.

Kalliokoski odchrząknął i zwrócił się do wszystkich obecnych. Zachowywał się całkowicie swobodnie, najwyraźniej przyzwyczajony do takich wystąpień. Siedział uśmiechnięty, z herbatnikiem w jednej ręce i szklanką pachnącego ponczu w drugiej.

– Wojna była strasznym czasem dla Kościoła – zaczął. – Byliśmy rozdarci. Z jednej strony stanowimy część ludu, należymy do niego i dla niego działamy, z drugiej musimy wspierać stabilność państwa, bo jesteśmy od niego uzależnieni, ponieważ państwo to las, w środku którego musi stać prawdziwy dąb Kościoła.

Pociągnął łyk wina i westchnął.

– Wszyscy słyszeliśmy najrozmaitsze historie. Że Kościół sprzyjał mordowaniu Czerwonych, a nawet organizował egzekucje. Że czasami sami duchowni odbezpieczali pistolety, przystawiali lufy do głów swoich rodaków i rodaczek, i naciskali spust.

W pokoju zapadła absolutna cisza. Byli tu i Biali, i robotnicy, którzy w czasie wojny niewątpliwie opowiedzieli się po stronie Czerwonych, chociaż teraz woleli nie dzielić się z nikim swoimi przekonaniem. Kalliokoski uśmiechał się zaczepnie, zadowolony, że wreszcie udało mu się skupić na sobie uwagę wszystkich zebranych. Poruszył zakazany temat i zrobił to celowo.

– Jest to typowe dla każdej wojny domowej – ciągnął. – Zawsze strony oskarżają się wzajemnie o niewyobrażalne okrucieństwa. Było tak w Ameryce, w Anglii i w starożytnej Grecji, której państewka wciąż trwały w niekończących się konfliktach. Może jest to nieuniknione, wręcz potrzebne. Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wiem natomiast, że Czerwoni przegrali w Finlandii i że dalsze torturowanie ich, głodzenie i rozstrzeliwanie to jak podpalanie łodzi, która i tak tonie już na środku jeziora. Jesteśmy dziś podzielonym krajem, podzielonym narodem. Kościół i my wszyscy mamy obowiązek zasklepić tę ranę i zjednoczyć Finów. Dużo o tym myślałem. Wystąpiłem też z pewną propozycją wobec Senatu. Kościół wyłożył środki na budowę dwudziestu nowych świątyń i zorganizuje program budowy na terenie całego kraju. Dwa kościoły w Helsinkach, dwa w Tampere, dwa w Turku i po jednym w każdym z czternastu mniejszych miast. Te świątynie symbolizować będą naszego Pana i Jego naukę w sposób nieco inny niż dotychczasowe. Nie mają być wielkie i wyniosłe, ale muszą być piękne, budzące zachwyt i uniesienie. To będą kościoły naszego ludu. Kościoły nowoczesne. Nie miałem jednak pojęcia, jak to przełożyć na architekturę. – Rozejrzał się po pokoju i jego spojrzenie spoczęło na twarzy Esko. – Aż do dzisiaj. Teraz już wiem.

Potem wszyscy zasiedli do uroczystej kolacji, a tuż przed północą włożyli palta i kurtki, i wśród padającego śniegu ruszyli do kościoła. Kalliokoski dokonał konsekracji świątyni i powitał nowy rok i nową dekadę, lata dwudzieste. Esko i Anna siedzieli obok siebie w ostatniej ławce. Anna zapytała szeptem, co Kalliokoski miał na myśli, mówiąc o planie budowy dwudziestu kościołów, a Esko odszepnął, że nie wie i uciszył ją surowym spojrzeniem.

Przed nimi na ścianie za ołtarzem, wysoko nad głowami zgromadzonych widniał cień krzyża, symbol, którego znaczenie było dla Esko równie niejasne, jak jego piękno wzruszające. W obecności tylu osób, pokaszających i szurających nogami, wypełniających przestrzeń ludzkimi dźwiękami, mógł myśleć tylko o zwykłych, przyziemnych rzeczach, które udało mu się

dobrze zrobić – dach nie przeciekał, drzwi były szczelne, ogrzewanie działało. Poza innymi zaletami, kościół był doskonale wykończony. W głębi serca Esko wiedział jednak, że jest czymś znacznie więcej. Teraz, kiedy wreszcie mógł spokojnie rozejrzeć się dookoła, nie martwiąc się o to, który z robotników nie zdążył wykonać swego zadania, a który wyskoczył na wódkę, widząc, jak wygląda jego kościół podczas nabożeństwa, uświadomił sobie, że stworzył piękną, sprzyjającą głębokim rozważaniom przestrzeń, miejsce, które śmiało nazwać można inspirującym. Było to cudowne uczucie.

– Dobrze wyglądasz, Esko – powiedział później Kalliokoski. – Cieszy mnie to.

Wracali razem do dworu Selina. Ich oddechy tworzyły małe obłoczki, a kroki chrzęściły na twardej, błyszczącej powłoczce śniegu.

– Nie myślałeś o tym, żeby się ożenić? – zapytał.

– Czy instytucja małżeństwa gwarantuje przyływ talentu? – odpowiedział pytaniem Esko, starając się zachować żartobliwy ton.

Kalliokoski rzucił mu poważne, ostre spojrzenie.

– Anna bardzo do ciebie pasuje. To dobra kobieta.

– Bez niej nigdy nie wybudowałbym tego kościoła.

– Ożeń się z nią. – Kalliokoski poklepał Esko po ramieniu ręką osłoniętą mitenką. – Jeżeli przyjmie twoje oświadczenia, będziesz mógł uważać się za prawdziwego szczęściarza. Ona da ci wszystko, czego potrzebujesz. – Zamilkł na chwilę i, ku wielkiej uldze Esko, nagle zmienił temat. – A teraz, jeśli chodzi o tę drugą sprawę. Dwadzieścia kościołów. Wybuduj je. Wybuduj je wszystkie.

– Mówisz poważnie?

– Bardzo poważnie. Trzeba to zrobić i wiem, że nie znajdę lepszego architekta.

Esko przystanął, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

– To ogromny projekt – powiedział, przestraszony, przejęty i podniecony.

Nieczęsto się zdarzało, aby nawet najwybitniejszy architekt swojego pokolenia dostawał od losu taką szansę.

– Wybuduj ich tyle, ile zdołasz – rzekł Kalliokoski. – Resztę możesz zlecić komu innemu, ale chcę, żebyś nadzorował wszystkie budowy. Kościół udzieli ci wszelkiej możliwej pomocy. Dysponujemy odpowiednimi środkami, Esko. I możesz mi wierzyć, że nie można powiedzieć tego o żadnej innej instytucji czy osobie w Finlandii.

W kryształowo czystym, mroźnym powietrzu zabłyśły przed nimi oświetlone okna dworu.

– Muszę to przemyśleć.

– Nie myśl za długo. – Kalliokoski zatarł ręce w wełnianych mitenkach. – A teraz uciekajmy z tego piekielnego zimna. Muszę się napić koniaku. Dużą porcję dobrego koniaku.

Esko ściągał w kuchni buty, kiedy Anna stanęła nad nim i lekko dotknęła jego głowy.

– I co?

– Co, i co? – odparł i natychmiast dostał mocnego kuksańca w pierś.

– Nie udawaj głupka. Chce, żebyśmy je wybudowali, czy nie?

– Chce.

Selin, który właśnie w tej chwili wszedł do kuchni po klucz do piwnicy, zatrzymał się w progu, z uśmiechem patrząc, jak dwoje architektów tańczy polkę wokół stołu.

– Najwyższy czas – powiedział, nie kryjąc zadowolenia. – A teraz pomóżcie mi przynieść więcej wódki z piwnicy.

18

Następne dwa lata pełne były rozmaitych zajęć. Po skończeniu letniego domu Selina i stacji benzynowej dla właściciela miejscowego sklepu, Esko i Anna wyruszyli do Włoch, aby obejrzeć wiejskie kościoły w górzystej Toskanii. Po powrocie przemierzali całą zachodnią Finlandię i odległe zakątki Karelii na wschodzie, podziwiając charakterystyczne dla tych regionów drewniane kościółki. Niektóre z nich liczyły blisko siedemset lat i chociaż zniszczone przez śniegi, grady i deszcze, posiekane

kulami, porąbane toporami i poddane wszelkim możliwym upokorzeniom, jakimi mogła dotknąć je historia, nadal przykuwały wzrok swym niezwykłym, prostym pięknem. Część zbudowano w okresie dominacji rosyjskiej i te posiadały typowe cebulaste kopuły, natomiast inne, starsze, które Esko lubił najbardziej, nie zwracały uwagi żadnymi szczegółami, a podstawowym elementem ich wystroju zewnętrznego i wewnętrznego stanowiło surowe drewno. Powierzchnie sklepień były zwykle białe, z jedwabistą patyną czasu, deski podłóg starte i wydeptane ciężarem dziesiątek pokoleń wiernych, a panująca w nich atmosfera pełna była ciepła i intymności. Ciężkie drewniane ławki miały wygodne klęczniki i wysokie, łagodnie wyprofilowane oparcia. Czasami pulpity zdobiły płaskorzeźby, wykonane prawdopodobnie przez członków kongregacji i przedstawiające sceny stanowiące przedziwne połączenie chrześcijańskiej ikonografii z wyobrażeniami dawnych szamanów. Esko uważał, że te kościoły promieniają aurą prawdziwej, rzetelnej użyteczności, religii, która na przestrzeni wieków ewoluowała, poddając się potrzebom wiernych, wiary kierującej się nie ślepymi, twardymi regułami, lecz potrzebą odkrycia choćby najmniejszej bożej iskry, drzemiącej na dnie ludzkiego serca. Celem, jaki sobie wytyczył, było stworzenie współczesnego odpowiednika takiej świątyni.

Pracując i podróżując, czuł, jak jego rany się zasklepiają, a blizny powoli znikają. Ciężar tragedii, rozpacz i rozczarowania, który mógł przytłoczyć go całkowicie, spadł z jego serca. Kalliokoski nie mylił się, utrzymując, że Anna będzie doskonałą partnerką i żoną dla Esko. Razem zaprojektowali i zbudowali jeszcze trzy kościoły. Był to owocny i podnoszący na duchu okres, jeden z najlepszych w życiu Esko. Pierwszy kościół wybudowali w Turku, dawnej stolicy Finlandii, na zachodnim wybrzeżu, dwa następne w Tampere, jeden w centrum miasta, drugi na miejscu kościoła, który uległ całkowitemu zniszczeniu w wyniku całodniowej bitwy. Esko nie usunął do końca poczerniałych ruin, lecz wykorzystał je w taki sposób, że nowa budowla wydawała się wznosić do góry ze starej jak feniks z popiołów, płomień przyszłości palący się na gruncie przeszłości.

Esko był dumny z kościołów w Tampere, a dziennikarze

z „Hufvudstadsbladet” i „Helsingin Sanomat” uznali je za „najdoskonalsze przykłady nowoczesnej architektury w kraju”. Sam Esko wcale nie był o tym przekonany, lecz czuł, że jego siły i możliwości twórcze rosną z każdym nowym projektem. Kościół pod wezwaniem Cienia św. Krzyża był jednak najbliższy jego sercu i to właśnie tam on i Anna wzięli ślub podczas skromnej ceremonii, odprawionej przez Kalliokoskiego, z onieśmielonym lecz szczęśliwym Selinem jako świadkiem i drużbą. Zaraz potem nowożeńcy wyruszyli nocnym pociągiem do Helsinek i zameldowali się w imponującym hotelu Kamp na Plantach, gdzie młody windziarz, zaprowadziwszy ich do apartamentu, uklonił się z szerokim uśmiechem i odszedł, powiewając połami uniformy i wesoło podzwaniając nierozsądnie wysokim napiwkami, jaki dał mu Esko.

– Milutka kwatery, pani Vaananen – powiedział Esko, biorąc Annę w ramiona przed kominkiem.

– Z szerokim łóżkiem – odparła pogodnie.

Bezpośrednia i szczerą Anna już znacznie wcześniej zatroszczyła się, aby Esko i ona znaleźli spełnienie i radość w kontaktach fizycznych. Po raz pierwszy przespali się ze sobą na rozłożonych na ziemi kocach w dalekiej Karelii, potem zaś stosunki fizyczne stały się dla nich obojga po prostu źródłem przyjemności, nawykiem.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła pokojówka, która rozpałała ogień w kominku i przyniosła świeże drewno. Płomienie trzaskały wesoło, śląc fale miłego ciepła ku nowożeńcom.

Esko skrzywił się nagle i podniósł rękę do policzka. Odezwał się ból zęba, o którym zdążył zapomnieć w nawale zajęć.

– Moje biedne kochanie! – zmartwiła się Anna, głaszcząc obolałe miejsce.

Esko uśmiechnął się, czując dotyk jej dłoni. Końce palców miała chłodne i nieco spękane. Jako dziecko Anna chodziła po drzewach i upierała się, aby pracować w polu, ramię w ramię z żeńcami.

– Lepiej?

– Dużo lepiej – odparł.

Postanowili nie wychodzić na obiad i zamówili łososia oraz butelkę szampana do pokoju. Myśląc o swojej pierwszej nocy w Karelii, zdjęli z podwójnego łóżka prześcieradła, koce i poduszki, i urządzili sobie piknik przed kominkiem. Usnęli dopiero o trzeciej nad ranem, rozgrzani miłością i dogasającym ogniem.

Następnego dnia zabrali się do załatwiania spraw zawodowych. Projektowanie i nadzorowanie budowy już zaprojektowanych kościołów wymagało tyle pracy, że zdecydowali się zatrudnić trzeciego architekta, więc Anna wybrała się na Politechnikę do swojego starego profesora, aby zapytać go, czy nie widzi jakichś potencjalnych kandydatów wśród absolwentów wydziału architektury z ostatnich lat. W tym samym czasie Esko poszedł przez zasypane śniegiem Planty do gmachu Archiwum Narodowego, gdzie spędził parę godzin, przeglądając źródła historyczne dotyczące budowy niektórych drewnianych kościołów na terenie Karelii. W jednym z dokumentów, pochodzącym z 1496 roku, znalazł taki oto opis prac przy budowie kościoła w Saloinen koło Raahe:

Czyż kiedykolwiek słyszano o czymś podobnym? Pan posiadłości, Sten Sture Starszy, jego szlachetnie urodzona małżonka oraz ich dzieci, wszyscy z pokornie pochylonymi dumnymi głowami, niczym woły zaprzęgli się do wozów i przywieźli wino, ziarno, olej, piaskowiec, kamienie, drewno i niezliczone inne rzeczy, potrzebne dla kościoła i utrzymania przy życiu tych, którzy go wznoszą. I chociaż pracuje tu ponad sto ludzi, wokół panuje głęboka cisza, nie słychać ani słowa, ani szeptu. Nic nie może ich powstrzymać, nic nie stanowi dla nich przeszkody. Mury kościoła z każdą godziną wznoszą się coraz wyżej. Gdy na miejsce docierają pielgrzymi, oni również pragną pomóc przy budowie, rozbijają więc obóz, zapalają ogniska i przez całą noc obserwują budowniczych, czuwają i śpiewają psalmy. Lampy i świece płoną na wszystkich wozach.

Kościół w Saloinen został zbudowany na wyspie wkrótce potem, jak prawie całą okolicę zrównali z ziemią rosyjscy bandyci. Wymordowali wtedy, zgwałcili i wzięli do niewoli tysiące Finów. W historii budowy kościoła, która była odpowiedzią

jego narodu na tę straszną rzeź, kościoła, który przetrwał wieki, Esko znalazł inspirację do dzieła, którego podjął się w 1921 roku. Historia ta poruszyła go tak samo jak odkrycie, że katedrę w Chartres zbudował geniusz, którego nazwisko nie tylko nie zostało zapamiętane, ale nawet zapisane. Centralnym motywem architektury jest budowla, nie jej twórca. Esko Vaananen nie uważał się za kogoś wyjątkowego i pełnienie roli dobrego obywatela wiązało się dla niego z okazywaniem najgłębszego szacunku całej społeczności, a także dzieleniem się z nią wszystkim, co miał. Jego kościoły już były uzewnętrznieniem takiego pojmowania obowiązków wobec społeczeństwa, lecz on dopiero zaczynał to sobie uświadamiać.

Do hotelu wrócił przed Anną. Sam oczyścił kominek i rozpałił w nim ogień, potem zaś umył ręce i twarz, wziął do ręki ołówek i papier, i zaczął szkicować widok z okna hotelu: piękną, śnieżną i mroźną noc, mrugające w oddali światła w porcie, aureolę blasku, okalającą gazową latarnię na Plantach. Pomyślał, że w tej samotnej lampie jest coś smutnego, jakaś aura zagubienia i samotności, zupełnie jakby wiedziała, że w każdej chwili może zgasnąć.

Skończył rysunek i sięgnął po książkę, *Żywoty malarzy* Giorgio Vasariego, prezent od Anny, która wróciła piętnaście po szóstej, pocałowała go i wręczyła mu małą, ciemnobrązową buteleczkę.

- Olejek z goździków – wyjaśniła. – Pomaga na ból zęba.
- Dziękuję.

Anna szybko zdjęła kapelusz, palto i rękawiczki, i stanęła przed kominkiem, z przyjemnością grzejąc zziębnięte dłonie.

– Rozpałiłeś ogień. Kochany jesteś. Rozmawiałam w holu z jakąś Amerykanką, miłą starszą panią o głosie jak dzwon. Dała mi to. – Pokazała Esko egzemplarz amerykańskiego czasopisma „Vanity Fair”. – Koniecznie musisz przejrzeć ten magazyn, Esko. Amerykanie są naprawdę niezwykli. Wydaje im się chyba, że wszystko można kupić i sprzedać. Nawet duszę.

Doskonale wykonane i wycieniowane zdjęcie na okładce przedstawiało piękność o owalnej twarzy, ubraną w wieczorową kreację projektu Wortha. Z jej talii spływały storczyki, głowa

opasana była wstęgą z krwistoczerwonego jedwabiu, wargi umalowane w modny kształt łuku.

Szósty zmysł podpowiadał Esko, że nie powinien czytać tej gazety, ale bardzo chciał do niej zajrzeć. Przebiegając wzrokiem kolejne strony, szczerze podziwiał projekt graficzny i rozplanowanie ilustracji i tekstów. Nie ulegało wątpliwości, że redakcja „Vanity Fair” może pozwolić sobie na wszystko, co najlepsze. Były tu eseje Noela Cowarda oraz Jeana Cocteau, dowcipne wiersze *O picciu*, *O bezsenności*, *O zbyt szybkiej jeździe samochodem*, artykuły o dramatopisarzach, o piosenkarzach i tancerzach, o niezwykłym zjawisku, jakim był Chaplin. Dalej Esko znalazł tekst pod zaskakującym tytułem *Krawaty i charakter – jak poznać człowieka po tym, co wiąże pod szyją* oraz mnóstwo reklam garniturów, spinek do krawatów, zup, środków, które sprawiają, że zęby kobiet „będą czyste i lśniące jak perły, pozbawione żółtawego nalotu” i wspaniałych automobili takich firm, jak Lincoln, Rolls-Royce, Wills-Sanye Claire, Fiat, Isotta-Fraschini, Bugatti oraz Reo.

Było to czasopismo dla tych, którzy pragną rozrywki. Artykuł o rewolucji bolszewickiej otaczały tekściki opisujące drobne wydarzenia towarzyskie, między innymi kolacje i bale dla debiutujących na salonach panienek. Wierni wyznawcy mody mogli znaleźć tu wskazówki dotyczące tego, jak należy się zachowywać, co wypada mówić i na co wydawać pieniądze. Esko pomyślał z rozbawieniem, że najwyraźniej bogaci Amerykanie są zbyt zajęci, by samodzielnie podejmować takie decyzje, lecz nawet on, ze swoją fińską mentalnością, uznał, że lektura „Vanity Fair” może rzeczywiście okazać się doskonałą zabawą. Gazeta na pewno nie zachęcała do zgłębiania tajemnic ludzkiej duszy, lecz była elegancka, pełna rozmachu i humoru.

Na samym początku znalazł cztery strony zdjęć. Były to fotografie wieżowców, wykonane z niezwyklej perspektywy. Zazwyczaj fotograf umieszcza aparat w pewnej odległości przed budynkiem, lecz te były inne.

Esko dobrze znał przedstawione w magazynie drapacze chmur. Były to wieżowce Woolworth, Flatiron, Singer i Equitable – wszystkie w Nowym Jorku. Sto razy widział je już na

zdjęciach, ale nigdy nie natknął się na tak niesamowite fotografie. Wydawało się, że budynki wyrywają się z kartek papieru i porażają wzrok. Drapacze chmur sfotografowano z dołu, jakby autor ujęć położył się na ziemi tuż przy ścianie, by oddać emanującą z budynków niezwykłą energię oraz niebezpieczne uczucie zachwiania równowagi, wywołane ich obserwacją z tego miejsca. Dziwne, przykuwające wzrok zdjęcia – aby zrozumieć niektóre z nich, Esko musiał unieść magazyn nad głowę i spojrzeć na nie z dołu. Były śmiałe, imponujące, wspaniałe, wysokość budynków zapierała dech w piersiach. Sfotografowane w ten sposób wyglądały na żywe, oddychające, potężne istoty. Istoty piękne i potworne zarazem. Przemawiały do głębi duszy Esko, cofnęły go w przeszłość, nad jezioro, do tej chwili, w której nawiedziła go niezwykła wizja. Patrząc na nie, czuł gęsią skórę na ciele. Oglądał zdjęcia wieżowców długo, bardzo długo.

– Esko, co się dzieje? – zapytała Anna. – Źle się czujesz?

– Trochę, ale nie przejmuj się, nic mi nie jest – odparł.

Potem zajrzał do spisu treści i odkrył, że mylił się, zakładając, iż te nieprawdopodobne zdjęcia wykonał mężczyzna. Na drugiej stronie bez trudu odszukał pozycję: „Str. 46–48 – Artystyczne wizerunki wysokościowców – zdjęcia Kate Małyszewej”.

CZEŚĆ TRZECIA
Poszukiwanie

1

Redakcja „Vanity Fair” znajdowała się na Zachodniej Czterdziestej Siódmej ulicy, na Manhattanie, w Nowym Jorku, w Ameryce. W jednym pokoju Esko dostrzegł drzemiącego na kanapie mężczyznę, który wyglądał tak, jakby musiał odpocząć po zbyt obfitym obiedzie, tylko że był akurat wczesny ranek. W drugim pokoju dwóch mężczyzn stało na czworakach i grało w kości, wrzeszcząc na siebie nawzajem. Kartka papieru pożeglowała w powietrzu, przeleciała nad biurkiem recepcjonistki i wylądowała u stóp Esko. Dwa telefony dzwoniły uporczywie, lecz nikt ich nie odbierał. Przez chwilę gdzieś dalej rozległ się klekot maszyny do pisania. Jakaś kobieta stała na blacie biurka i, odwracając głowę, sprawdzała, czy szwy jej pończoch tworzą linię prostą, ale ten interesujący spektakl nie robił najmniejszego wrażenia na innych fotografach, dziennikarzach, pisarzach, grafikach, całym legionie ludzi ważnych oraz mniej ważnych, którzy czekali w holu, licząc, że w końcu uda im się zwrócić na siebie czyjąś uwagę. Co jakiś czas zaglądał tu ktoś z redakcji, niska drewniana bramka z boku recepcji otwierała się i kolejny szczęśliwiec przedostawał się do środka.

Strażniczką całej tej sceny, jej cerberem, była szpakowata, budząca szacunek kobieta po czterdziestce, która poczuła do Esko antypatię od pierwszego wejrzenia.

– Nadal pan czeka? – zapytała, ukazując końskie zęby w nie-szczerym uśmiechu.

Esko siedział w recepcji od ponad dwóch godzin.

– Nadal czekam – odparł.

Pogardliwie pociągnęła nosem i odwróciła głowę.

– Nigdzie się nie wybieram – dodał, kiedy kilka minut później jej spojrzenie znowu na nim spoczęło.

Nadeszła i minęła pora lunchu. Było już późne popołudnie i Esko miał wrażenie, że lada chwila pęknie mu pęcherz, ale się nie ruszał. Czasami wstawał i spacerował po holu. Prezentował recepcjonistce swą pokrytą bliznami twarz z różnych kątów widzenia tak długo, że w końcu załamała się i z wyrazem mściwej nienawiści w oczach sięgnęła po słuchawkę. Kilka minut później przez bramkę wyszedł jeden z redaktorów magazynu, obojętny mężczyzna z goździkiem w butonierce. Popielaty garnitur tworzył doskonałą całość ze srebrzystymi włosami. Wyraz twarzy nie wskazywał, że traktuje Esko z pogardą, raczej uważał go za dziwoląga, o jakim nigdy dotąd nie pisał żaden ze współpracujących z „Vanity Fair” autorów, nawet człowiek obdarzony tak żywą wyobraźnią jak H. G. Wells. Z naciskiem i przesadną cierpliwością poinformował Esko, że redakcja nie udziela osobom postronnym żadnych informacji na temat swych pracowników i współpracowników.

– Powinien pan umieścić ogłoszenie w kolumnie „Towarzystwie” lub „Osobiste” – oświadczył. – Niestety, my nie prowadzimy takich kolumn – dorzucił z lodowatą wyniosłością, dając do zrozumienia, że coś takiego jest poniżej godności cieszącego się wielką popularnością pisma, które publikuje utwory nie tylko Wellsa, ale także Somerseta Maughama, Cocteau, Johna Galsworthy’ego oraz dość obiecującego poety T. S. Elliota.

Esko niezrażony wrócił następnego dnia. Recepcjonistka rzuciła mu bardzo chłodne spojrzenie znad rogowych oprawek okularów, podniosła słuchawkę i spokojnie poprosiła o połączenie z posterunkiem policji. Pomyślał, że chyba powinien wyjść i przemyśleć swój plan, lecz właśnie w tej chwili bramka z boku biurka recepcjonistki otworzyła się z hukiem i stanęła w niej ta sama młoda kobieta, która poprzedniego dnia pracowicie poprawiała pończochy na biurku. Była niska, ciemnowłosa i bardzo ładna, usta pomalowane miała ogniście czerwoną szminką, której odcień był symbolem buntowniczego i niecierpliwego dwudziestego wieku. Nie spuszczając wzroku z twarzy Esko, zapaliła papierosa i wypuściła smużkę dymu spomiędzy intensywnie czerwonych warg.

– Naprawdę zna pan Kate? – odezwała się w końcu.

– Znam Katerinę Małyszewą i muszę się dowiedzieć, czy to ta sama osoba. Pomoże mi pani?

Ledwo wypowiedział te słowa, a już pomyślał, że brzmią co najmniej absurdalnie. Nowy Jork dziwnie na niego działał. Niecałe trzydzieści sześć godzin temu zszedł z pokładu statku, lecz ten krótki czas wystarczył, aby pojął, że jest to przytłaczające, wstrząsające, niezwykle miasto, miasto-huragan. Jego wielkość, hałas oraz tempo życia sprawiały, że czuł się tu jak nieokrzesany chłop. Teraz stał przed tą pewną siebie, drobną, wyrafinowaną młodą kobietą w czarnym płaszczu z dużym futrzanym kołnierzem i najzwyczajniej w świecie nie wiedział, co robić. Wyglądała na dziesięć lat młodszą od niego, lecz jej twarde spojrzenie wyraźnie mówiło, że o świecie i zmysłowości wie nieporównanie więcej od niego. Była nowoczesna, lecz nie miało to nic wspólnego z nowoczesnością, o jakiej mówił Kalliokoski, mając na myśli projekty kościołów. Przyglądająca się Esko dziewczyna pochodziła po prostu z innego miejsca w czasie i przestrzeni.

Wyjęła papierosa z ust i wypuściła z nich następny obłoczek dymu.

– No, dobrze – powiedziała. – Więc jaka ona jest? Skoro tak dobrze ją pan zna, to proszę mi ją szybko opisać.

Esko zamrugał, wracając myślą do tamtego popołudnia w biurze Arnefelta & Bromberga, kiedy Klaus po raz pierwszy wspomniał mu o swojej narzeczonej. Teraz, podobnie jak wtedy, musiał liczyć się z możliwością, że kobieta, o której mowa, nie jest jego Kateriną Małyszewą. Nie mógł wykluczyć, że przyjechał do Nowego Jorku w pogoni za cieniem. Nie był nawet pewny, czy jest w stanie opisać ją słowami. Była wysoka, ciemnowłosa, miała drobne, smukłe, ruchliwe dłonie, lekki, choć zdecydowany krok, długą szyję, piękne ruchy. Kiedy widział ją ostatni raz, miała krótkie włosy. Jaka była? Pełna namietności, niespokojna, niepewna. Zdecydowana i pomysłowa. Posiadała niedbałą nonszalancję arystokratki. Była lustrem, w które spojrział i uwierzył, że zdoła zrealizować swoje marzenia. Była inspiracją dla jego najwspanialszych marzeń, głosem, który kiedyś zawołał: „Przejedź go!”. Miała białą skórę, delikatne,

cienkie kości, proste brwi i zielone oczy, które czasami robiły wrażenie niebieskich.

I podobno nie żyła.

Esko zrozumiał, że nigdy nie wyjaśni tego wszystkiego twardej, drobnej osóbcie, która stała w holu, niecierpliwie przytupując jednym śniegowcem. Wyciągnął z kieszeni notatnik i szybko naszkicował portret.

– A więc rzeczywiście pan ją zna – orzekła dziewczyna. – No, no, kto by pomyślał... Kate jest w Kalifornii.

– W Kalifornii? – powtórzył Esko, czując, jak jego nadzieje rozsypują się w pył. – Gdzie w Kalifornii?

– Nie mam pojęcia. To duży stan. W ogóle znalazł się pan w dużym kraju, tak przynajmniej ludzie mówią. A jeśli chodzi o Kate, to cóż... Pojawia się i znika, nigdy nie wiadomo, kiedy i na jak długo.

Teraz nie miał przynajmniej żadnych wątpliwości. To naprawdę była ona.

– Wie pani coś o tych zdjęciach, które zrobiła? Zdjęciach wieżowców?

– Jasne, robiłam do nich podpisy. Spędziłam z nią wtedy dużo czasu. Kate lubi wieżowce, ale woli nazywać je „drapaczami chmur”. Mówi, że to ciekawsza nazwa.

Esko poczuł się dziwnie podniesiony na duchu.

– Kiedy wróci?

– Nie mam pojęcia – odrzekła młoda kobieta, językiem spychając papieros do kącika ust. – A przy okazji, nazywam się Marion Bennett. – Wyciągnęła rękę i podała mu miękko zwisające palce.

– Esko Vaananen.

– Może pan powtórzyć?

Spełnił jej prośbę, powoli literując swoje imię i nazwisko.

– Zostawiła adres albo numer telefonu? – zapytał.

– Nie. Ale nawet gdyby zostawiła, i tak bym go panu nie podała.

Do Esko powoli docierała świadomość, że skontaktowanie się z Kateriną nie będzie tak łatwe, jak jeszcze niedawno sądził.

– Powie jej pani, że tu byłem, jeżeli będzie pani z nią rozmawiała?

- Jeżeli będę z nią rozmawiała.
- Na pewno?
- Na pewno. Do widzenia – rzuciła Marion Bennett, odwróciła się na pięcie i z beztroskim zdecydowaniem pokazała mu plecy.

Była młodą kobietą o wielkiej pewności siebie, chłodną, opanowaną i swobodnie poruszającą się w swoim twardym, atrakcyjnym świecie.

Esko zamieszkał w hotelu Plaza, sławnym nawet w Finlandii, w porównaniu z którym stary elegancki hotel Kamp w Helsinkach wyglądał jak podniszczone pudełko po butach. Hotel Plaza to było coś! Wszyscy wydawali się tu młodzi i bogaci. W Finlandii milionerzy mieli przynajmniej tyle wyczucia, by nosić w ręku laseczki i mieć wąsy jak morsy. W Plaza piękni i bogaci szybko przechodzili korytarzami, mówili ostrymi, wysokimi głosami i otwarcie demonstrowali swoje uczucia. Wszędzie wokół rozbrzmiewał śmiech i rozmowy, a każdy zakamarek hotelu wypełniała atmosfera luksusu. Na pokrytym onyksową płytą biurku w recepcji co chwilę brzęczał dzwonek. Pianiści, kwartety smyczkowe i orkiestry jazzowe grały melodie pełne gorączkowej energii i nastrojowego smutku, które przenikały słuchaczy radością lub żalem snującym się w powietrzu jak zapach Chanel nr 5. W szklankach brzęczał lód. W wykładanych marmurem korytarzach i holu pieniądze przemawiały do pieniędzy. Mężczyźni wyjmowali butelki whisky z kieszeni i zamawiali u kelnerów koktajle o dziwnych nazwach: „Zepsuty tramwaj”, „Piorun z Wall Street”, „Smakołyk bogatego chłopca”. Esko nie był nawet pewien, czy dobrze rozumie niedbale rzucone słowa. W Plaza wszystko wydawało się fantastyczne, doskonałe i nieuniknione. Helsinki były zimną planetą w odległym krańcu wszechświata. Nowy Jork był słońcem.

Był luty 1922 roku. W Greenwich Village nielegalna gorzelnia, mieszcząca się w piwnicy domu na Wschodniej Dwudziestej Szóstej i obsługiwana przez dozorcę, wybuchła aż pod niebo, zmiatając z powierzchni ziemi kilka domów i sporo dusz. Epidemia grypy powoli ustępowała, lecz ludzie nadal woleli unikać podróży metrem. Nowojorczyki obawiali się

także przemytników, nie dlatego bynajmniej, że ci zmyślni przedsiębiorcy mieli w nosie prohibicję, ale dlatego, iż alkohol, jakim handlowali, często nie nadawał się do spożycia, a zdarzało się, że bywał straszliwą trucizną. Tacy spryciarze szybko tracili klientelę. Mieszkańcy Nowego Jorku poszukiwali dobrego alkoholu, musieli go mieć. Esko czuł się jak na obcej planecie, był tak oszołomiony atmosferą szalonego miasta, że nie potrzebował wódki. Usiłował uporządkować pierwsze wrażenia. Powietrze było tu tak suche, że wydawało się naładowane elektrycznością. Kiedy dotykał klamek, przeszywał go prąd. Dywany syczały pod stopami i przyklejały się do podszew. Mroźne powietrze dostawało się do płuc i oślepiało zdrowe oko, a wiatr był ostrzejszy niż w Helsinkach, ponieważ dmuchał ze wszystkich stron naraz. Każdy mijany na ulicy człowiek robił wrażenie odizolowanego od reszty ludzkiej rasy – posępny, samotny hazardzista uczestniczący w wielkiej amerykańskiej grze o sukces. Nowy Jork był miastem milionów samotnych dusz, był piekłem, jak z dumą poinformował Esko pewien włoski kelner. Nowy Jork był brudnym, zaniedbanym, szalonym miejscem, w którym bezustannie trwał pościg za ekstatycznymi, materialnymi przyjemnościami, jego energia mogła w każdej chwili rozsadzić sieć ulic, w jakiej usiłowali zamknąć je rozsądni planiści. Nikogo nie obchodziło, co robi jego sąsiad. W wielkim mieście panowała atmosfera wakacji od wszelkich zasad moralnych, pieniądz był tu królem, sceptycyzm zaś, sarkazm i ironia podstawowymi regułami zachowania i postrzegania rzeczywistości. Oderwanie od reszty świata było tu tak silne, jak budynki wysokie. Nikt nie miał pojęcia, gdzie znajduje się Finlandia, natomiast Esko podsłuchiwał, jak kilku radykałów mruczało z rozkoszy, przerzucając się nazwiskami Lenina, Stalina i Trockiego, zupełnie jakby ci czarujący panowie byli najnowszymi markami samochodów lub wód toaletowych. Było to w redakcji „Vanity Fair”. Esko zaglądał tam codziennie, czasami nawet dwa, trzy, cztery razy w ciągu dnia, nie zginając karku pod ciężkim wzrokiem cerbera, i uparcie wywołując do recepcji Marion Bennett. Był nieprzytomny, całkowicie pogrążony w swojej obsesji, aż wreszcie pewnego dnia Marion po-

wiedziała mu, że chociaż jest oczarowana jego wytrwałością i chciałaby, aby jakiś sympatyczny brutal o nią dopytywał się z równym uporem, to radziłaby mu uspokoić się trochę, uzbroić w cierpliwość i poczekać, aż Katerina wróci do miasta, co wcześniej czy później niewątpliwie nastąpi.

– Niech pan będzie grzecznym chłopczykiem i zmyka – powiedziała na koniec.

Esko wpadł w przygnębienie, ponieważ myślał, że jego wyprawa do Nowego Jorku potrwa krótko, a miotające nim wątpliwości szybko rozwieją się raz na zawsze – Kate Małyszewa albo okaże się Kateriną Małyszewą, albo nie, będzie go chciała, albo nie. Tymczasem znalazł się w stanie zawieszenia i zaczynało brakować mu pieniędzy.

Tamtego dnia w Helsinkach, kiedy znalazł fotografie drapaczy chmur w „Vanity Fair”, opowiedział Annie wszystko o Katerinie, Klausie oraz *pilvenpiirtaja*. Przyjęła to bardzo dobrze. Jak zawsze spokojna i opanowana, wysłuchiwała go ze szczerym współczuciem i zainteresowaniem.

– Musimy dowiedzieć się, czy to naprawdę ona – powiedziała.

Zacząli działać, ale kiedy telegramy wysyłane do redakcji czasopisma pozostawały bez odpowiedzi, a rozmowa z Henrikiem Arnefeltem również nie przyniosła żadnych rezultatów, wspólnie zdecydowali, że Esko musi wykupić bilet na rejs do Nowego Jorku.

– Wiesz, że cię kocham i pragnę – rzekła spokojnie Anna. – Musisz jednak sam rozstrzygnąć, czy mnie kochasz. Nie chcę żyć z człowiekiem, który przebywa duchem gdzie indziej. A ciebie nie ma przy mnie, Esko, nie ma cię od chwili, gdy zobaczyłeś te zdjęcia.

Tuż przed wyjazdem poszli na spacer po zaśnieżonych Plantach. Był jasny, bardzo mroźny ranek. Anna opowiadała Esko o swojej koleżance ze szkoły, której ojciec spędził rok w Nowym Jorku, kiedy niespodziewanie załamała się i wybuchnęła płaczem.

– Nie zobaczę cię już nigdy więcej! – zaszlochotała. – Wiem, że tak będzie. Och, Esko, nie wyjeżdżaj, proszę cię!

Esko wziął ją w ramiona przed piękną syrenką Vallgrena, wzruszony i zagubiony, nie mając pojęcia, jak ją pocieszyć, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że jeśli Katerina żyje, już nigdy nie będzie w pełni należał do Anny. Żona była cenną częścią jego życia, równie znaną i niezbędną jak ubranie, lecz nigdy za nią nie tęsknił, nigdy o niej nie śnił, nigdy nie przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć z jej powodu. Zjawiała się na jego drodze jak amulet, jak talizman, jak długo oczekiwana zmiana pogody, jak kojący lek, który cenił, szanował i kochał, tak, kochał. Znał na wylot ją i wszystkie jej przyzwyczajenia. Znał jej szybki sposób jedzenia, opanowanie i chłód, z jakim prowadziła interesy, wewnętrzne skupienie, z jakim słuchała muzyki, ciche, melodyjne pogwizdywanie, z jakim rysowała, gwałtowność, z jaką przytulała się do niego w nocy i przytłumiony jęk, który czasami wyrывał jej się z gardła we śnie. Anna nie kryła w sobie żadnych niespodzianek, nie potrafiła go zaskoczyć i Esko był z tą świadomością szczęśliwy. Była dobrą kobietą, wiedział też, że jej miłość do niego jest bezwarunkowa, pełna, niepokonana. Każdego dnia dziękował losowi za obecność Anny w swoim życiu. Odnalazł w niej spokój i pewność, ale Anna nie była Kateriną. Nie miała nic wspólnego z nękającym go wewnętrznym bólem, który, jak niedawno odkrył, nigdy nie opuścił go do końca. Nie była częścią jego duszy, nie była związana z pragnieniem, z tęsknotą, z poczuciem straty, z uczuciami, które mogły wrócić do niego, gdyby śnił wystarczająco śmiało sny, pracował intensywniej, biegł szybciej, gdyby był wystarczająco dobrym i odważnym człowiekiem. Anna nie była jak ogień i lód. Kiedy patrzył, jak Katerina idzie ku niemu przez pokój, wydawało mu się, że cały świat blednie i umiera.

Pewnego ranka, cztery dni po przybyciu do Nowego Jorku, w recepcji hotelu Plaza czekały na niego dwie depesze.

Pierwsza brzmiała: „Czyś ty oszalał? stop Masz żonę, karierę, obowiązki stop Oczekuję/spodziewam się twojego natychmiastowego powrotu do Finlandii, stop twojej ojczyzny i kraju, z którym wiąże się twoja przyszłość stop Twój Kalliokoski”.

Druga, znacznie łagodniejsza w tonie, zraniła Esko w samo

serce jak pchnięcie nożem *puukko*: „Tęsknię za tobą stop Proszę, wracaj do domu stop Bardzo cię Kocham stop Twoja Anna”.

Wetknął oba telegramy do kieszeni palta. Wyszedł z holu, zbiegł po schodach, minął portiera w małej budce i ruszył przed siebie, na południe, ciągle myśląc o tym, że oto stanął na rozstaju dróg. Jedna z nich prowadziła do Finlandii, do stabilnej i owocnej przyszłości oraz do Anny. Druga... Dokąd prowadziła ta druga droga? Na ulicy topniejący śnieg mieszał się z końskim nawozem, zapach benzyny tłumił ciężki odór zwierzęcych odchodów. Obok Esko z warkotem przetoczył się czarny model-T, tuż za nim powoli przejechał wyładowany sprzętami wózek, pchany przez zabiedzonego mężczyznę. Pusta butelka po wódce stała na straży obok ławki, na której spał pijak. Odgłos wystrzału sprawił, że Esko drgnął, a jego nerwy napięły się jak postronki. Na skrzyżowaniu spod kół ciężarówek z zakładu oczyszczania miasta usuwano zwały miążskiego śniegu. Przechodnie uskakiwali na boki i szybko biegli dalej, tłum ludzi wysypał się z wejścia do metra, nad którym duży znak ostrzegał: „UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO”. Było parę minut po dziewiątej i Nowy Jork miał twarz jak skacowany człowiek.

Esko schował ręce w kieszeniach i ruszył przed siebie Broadwayem, mijając reklamy coca-coli, papierosów Camel, polityka Charlesa Gurgenhattera oraz kawy Maxwell, „dobrej do ostatniej kropli”. Setki neonów spoglądały w dół, jakby rozczarowane widokiem ponurego poranka i brudnego śniegu, czekając na swoją tajemnicę, na życiodajny błysk światła, który obudzi je zaraz po zapadnięciu zmroku. Ulicą ze zgrzytem i dzwonieniem przejechał tramwaj. Automobile parkowały przy chodniku, powietrze przeszywał dźwięk klaksonów. Patrząc w dół kanionu ulicy, dostrzegł stalową klatkę mostu, przez wnętrze przemknął pociąg. Ludzie mijali go w pośpiechu, nawet nie zerkając na jego oszpeconą twarz. Nowy Jork nie zwracał uwagi na Esko Vaananena, który był tu nikim.

Spacerował prawie przez godzinę, z pochyloną głową przeciskając się wśród tłumu, aż wreszcie jego oko spoczęło na wysokim, sięgającym nieba budynku. Miał wrażenie, że to on przykuty jest do chodnika, natomiast wznoszący się nad nim

wieżowiec zaraz zachwieje się i zmiążdży go swym ciężarem. Cofnął się, w ostatniej chwili unikając potrącenia przez ciężarówkę, która przemknęła obok niego z krótkim ryknięciem klaksonu, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że patrzy na budynek Woolwortha, nadal najwyższy drapacz chmur w mieście, tak zwaną „katedrę handlu”, wyniosłą lecz nie pompatyczną i tak pełną gracji, że na jego ustach mimo woli pojawił się uśmiech. Przed wojną miał okazję oglądać plany tego liczącego 241 metrów budynku. Wiedział, że Woolworth był miejscem pracy dla czternastu tysięcy ludzi. W jego brzuchu kryły się generatory, które mogłyby dostarczyć oświetlenia całej Finlandii. Siła tych faktów uderzyła go dopiero teraz. Woolworth był wspaniałą bestią, wznoszącą się w niebo z powierzchni nie większej niż skromny kawałek dużego ciasta. To, że człowiek może zaprojektować i wybudować coś tak wspaniałego, uważał za zdumiewające i cudowne. Podszedł bliżej i ostrożnie przytknął ucho do zimnego, porowatego kamienia. Z wewnątrz dochodziły jakieś szmery, bulgotanie i dziwny pulsujący dźwięk, jakby w budynku spał smok. Po raz pierwszy Esko uświadomił sobie, że zbudowanie podobnego wieżowca mogłoby okazać się niezwykle trudne. A jednak był podniekscytowany i szczęśliwy.

– Nazywam się Esko Vaananen – przedstawił się i z zażenowaniem zauważył, że mijający go przechodzień spojrzął na niego z zaciekawieniem, ale zaraz odwrócił wzrok, jakby widok człowieka przyciskającego ucho do ściany drapacza chmur i rozmawiającego z nim był w Nowym Jorku czymś najzupełniej naturalnym.

W holu panował kościelny półmrok. Z sufitu i fryzów gapiły się na Esko duże maskarony. Ale gdy przyjrzał im się bliżej, spostrzegł, że te potwory nie wywalają języków ani nie robią przerażających min, jak maskarony z katedr w Paryżu i Chartres czy z budynku Pohjola na ulicy Aleksanterinkatu w Helsinkach. Nowojorskie maskarony liczyły pieniądze, dzieląc swoje bogactwo na małe kupki kamiennych dolarów. Posadzka była tu marmurowa, nieskalanie czysta, błyszcząca w tajemniczym świetle lamp zwisających z wysokiego sklepienia niczym samotne

księżyce. Robiło to takie wrażenie, jakby bank miał być miejscem religijnego kultu.

Esko wjechał windą na sześćdziesiąte piąte piętro, gdzie znajdował się taras widokowy. Lodowata, słona bryza owiała mu twarz i rozwichrzyła włosy. Tu, na górze, z zaskoczeniem uświadomił sobie, że Manhattan, podobnie jak Helsinki, otoczony jest wodą. W przeciwieństwie do Helsinek jednak Manhattan był wąskim kawałkiem lądu, oderwanym od większego. Na północy lokomotywa pluła dymem, zmierzając w kierunku wybrzeża New Jersey. Na zachodzie stalowy zad wielkiego liniowca minął Statuę Wolności, sunąc na otwarty Ocean Atlantycki. Na południu widać było usiany wieżowcami szpic wyspy i krótkie ulice dzielnicy finansowej. Na wschodzie ostre zimowe słońce oświetlało most Brookliński, po którym w obie strony przemykały samochody, podobne do błyszczących skarabeuszy. Cały zapierający dech w piersi widok składał się z geometrycznych kształtów, ostrych, wykutych w kamieniu kątów. Esko miał oto przed sobą jak na dłoni wszystkie wielkie drapacze chmur, usiłujące dosięgnąć nieba, zazdrosne i pokonane w rywalizacji rodzeństwo Woolwortha: Metropolitan Life, podobny do włoskiej dzwonnicy, monolityczny Equitable, rzucający widelcowaty cień, który rozciągał się na szerokość i długość dwóch kwadratów ulic, Singer, ozdobiony dziwacznie bulwiastą kopułą, osadzoną na wieżycy i wreszcie Flatiron, mrugający do niego tysiącem rozflirtowanych oczu. Nowy Jork wydał mu się nagle tak wspaniały, kuszący i zdumiewający w bogactwie swych obietnic, że wcale nie byłby zaskoczony, gdyby nagle tuż przed nim pojawił się szatan, jak Jezusowi na górze, i zaproponował to wszystko w zamian za jego duszę.

Ale Lucyfer nie był tym widać zainteresowany, bo nie wyszedł z windy na taras widokowy, ubrany w elegancki płaszcz, kapelusz typu homburg, z wiotką laseczką, stanowiącą ulubiony atrybut brokerów z Wall Street. Nie stało się nic nadzwyczajnego, lecz Esko uświadomił sobie, że przybył do Nowego Jorku nie tylko ze względu na Katerinę. Przywołała go tutaj zdjęciami drapaczy chmur po to, aby został i wybudował swój wieżowiec, tu, w mieście, gdzie nie miał żadnej reputacji,

żadnych kontaktów i żadnych środków utrzymania poza swoją inteligencją i ambicją. Nie miał złudzeń co do trudnego kroku, jaki zamierza zrobić. O wiele lepiej niż przed wyjazdem z Finlandii znał teraz problemy związane z rozpoczynaniem życia na nowo w obcym i odległym kraju.

Nieco później tego samego popołudnia poszedł do biura telegrafu i wysłał depezę do Kalliokoskiego, w której przeproszał go za wszystko, rezygnował z kierowania projektem budowy kościołów i polecał Annę jako doskonałą kandydatkę na głównego architekta. Potem pochylił się nad biurkiem, starając się odgrodzić od ludzi, prowadzących wokół niego rozmowy telefoniczne, i całkowicie zignorować dwóch pracowników giełdy, którzy gadali bez przerwy, podobni do parki podekscytowanych, zakochanych w sobie papużek. Ujął pióro i powoli zaczął pisać.

„Najdroższa Anno,

Siedzę przy stoliku w hotelu Plaza i otwieram serce, próbując znaleźć słowa, które powinienem umieścić w tym liście. A serce pęka mi z bólu, ponieważ wiem, że cię zranie, moja słodka Anno. Będziesz płakała. Będziesz mnie przeklinała. Czuję się winny, ale nie zawstydzony, gdyż nie wiem, co innego mógłbym uczynić. Widzisz, odkryłem, że kobieta, która wykonała tamte zdjęcia drapaczy chmur, rzeczywiście jest tą Kateriną Małyszewą. Na razie nie udało mi się z nią porozmawiać, ponieważ nie ma jej w Nowym Jorku i nikt nie wie dokładnie, gdzie przebywa i kiedy wróci. Nie mam też pojęcia, czy po powrocie do Nowego Jorku Katerina w ogóle mnie zechce, ale ja kocham tę kobietę, Anno. Jest tak, jakby moje życie było teorią, zrodzoną tylko po to, aby dowieść istnienia tej miłości, strukturą, która bez niej nie ma żadnego znaczenia. Moja miłość do Kateriny będzie we mnie aż do śmierci. Dopóki byłem przekonany, że ona nie żyje, wierzyłem, że potrafię cię kochać i być wiernym mężem. Ale tamten okres już się skończył. Los chciał inaczej. Katerina żyje i wiem, co muszę zrobić. Możesz nazwać to przeznaczeniem, wolą Bożą, obwiniać mój charakter. Znam Katerinę od wielu lat, od czasu, gdy byłem jeszcze małym chłopcem,

lecz oczywiście znam ją bez porównania gorzej niż ciebie, szczerze mówiąc, prawie w ogóle jej nie znam. Jej pojawienie się w moim życiu pokazało mi jednak, kim jestem, o czym marzę i co pragnę osiągnąć.

Wszystko to razem jest bardzo niesprawiedliwe w stosunku do ciebie. Dalaś mi tylko dobroć, miłość i światło, i chociaż może trudno ci w to uwierzyć, to zdaję sobie sprawę z tego, co tracę i jak bardzo cię ranię. Nie potrafię być sprawiedliwy, więc staram się przynajmniej zachowywać uczciwie. Proszę, zapomnij o mnie. Musisz to zrobić, Anno. Musisz żyć dalej tak, jakbym nagle przestał istnieć. Wierzę, że szczęście cię odnajdzie, ponieważ szczęście dobrze wie, kogo ma szukać. Życzę ci powodzenia, samych sukcesów. I szczęścia. Bądź szczęśliwa. Żyj własnym życiem.

Esko

PS Napisałem do Kalliokoskiego i poradziłem mu, aby zaproponował ci stanowisko głównego architekta projektu budowy kościołów. Bardzo proszę, przyjmij tę pracę. Wiem, że doskonale się w niej sprawdzisz. Na zawsze zachowam w sercu wspomnienia o tobie, o naszych spacerach i wspólnej pracy. Jesteś najlepszą osobą, jaką znam.

Papier drżał, kiedy zaklejał kopertę, którą od razu zaadresował i wrzucił do skrzynki. Potem wyszedł z hotelu i poszedł na najbliższą budowę.

– Co budujecie? – zawołał do pierwszego człowieka, którego zobaczył w pobliżu ogrodzenia, młodego mężczyzny w płaskiej czapce z daszkiem.

– Hotel – odparł, podchodząc do płotu. Miał krótko obcięte rude włosy, przystojną twarz, zgrabną sylwetkę i dużo pewności siebie. – Piętnastopiętrowiec.

– Szukam pracy.

– Tak? Jak się nazywasz, gościu?

Esko był smutny, lecz jednocześnie czuł podniecenie na myśl, że w jego życiu właśnie zaczyna się nowa przygoda.

– Offermans – powiedział. – Esko Offermans.

Stojąc na wysokości ponad pięćdziesięciu metrów nad ziemią, Esko pochylił się lekko, stawiając opór mocnej bryzie, która wydymała jego koszulę. Gunnar podniósł rękę na znak, że jest już gotowy, i długimi, potężnymi obcęgami wyjął nit spośród rozżarzonych węgli. Potem lekkim, gładkim ruchem rzucił nit przed siebie. Esko zobaczył lecący w jego stronę guzik rozgrzanej do czerwoności stali, który ciągnąc za sobą płomienny ogon, z głośnym „brzęk” wylądował w jego puszcze. Obcegi Esko były mniejsze i poręczniejsze niż Gunnara. Chwycił nit, postukał nim o stalową belkę, otrzepując z brudu i popiołu, a następnie wsunął go w jeden z otworów na styku dwóch metalowych przypór. Wtedy Bo przytrzymał jeszcze miękki nit wielkim dłutem, Cristof zaś wbił go i umocował pistoletem do nitów, wyposażonym w pojemnik na powietrze. Iskry strzeliły na boki, kiedy metale stopiły się ze sobą. Zanim Esko się odwrócił, kątem oka już dostrzegł lecący ku niemu następny nit. Brzęk!

Było to cztery miesiące po przyjeździe do Nowego Jorku, w samym środku upalnego lata. Esko pracował na stalowym rusztowaniu, chwiejącym się lekko nad rozpalonym słońcem Central Parkiem, razem z trzema Szwedami tworzył zespół nitowaczy. Łapał nity, umieszczał we właściwym otworze, a Bo przytrzymał je i osadzał głębiej. Obaj stali po jednej stronie metry tarasu z belek szerokiego na cztery metry i długiego na trzy tarasu z belek, przymocowanego linami do stalowych przypór, które właśnie łączyli nitami. Cristof stał po drugiej stronie, trzymając nitownicę w pogotowiu. Stalowa konstrukcja była na razie odrutowana i wzmocniona zasuwanymi nałożonymi przez zespoły rozpoczynające budowę. Zadaniem nitowaczy było usunięcie tymczasowych łączeń i założenie stałych. Była to najbardziej niebezpieczna praca na budowie. Niewielu chciało ją wykonywać, a jeszcze mniej naprawdę umiało to robić. Esko pewnie poruszał się po drewnianym tarasie i wąskich stalowych belkach, i ku swemu zdziwieniu szybko oswoił się z dużymi wysokościami. Wibrujący dźwięk nitownicy wstrząsnął jego

piersią i przeszył całe ciało, lecz Esko zdążył się już do tego przyzwyczaić. Często powtarzał sobie, że nie ma lepszego sposobu, aby dowiedzieć się wszystkiego o stalowej ramie wieżowców i ich konstrukcji. Była to prawda. Odkrył też, że jego obecna praca wymaga z jednej strony pewnej dozy nonszalancji, a z drugiej wielkiej koncentracji oraz bycia po prostu twardym facetem. Dzięki swemu zajęciu powoli odkrywał i określał swoje nowe „ja”, tego Esko, który potrafi żyć w Ameryce i być może nawet coś tu osiągnąć.

Siedem metrów niżej, na drugim drewnianym tarasie, Gunnar stał przed niewielkim otwartym piecem, w którym płonął węgiel. Chudy Gunnar o wiecznie zatroskanej, smutnej twarzy był szefem ich zespołu. Wyjął nit z pieca, wyprostował się i rzucił. W kierunku Esko poszybował kolejny rozżarzony grzybek.

Brzęk!

– Opowiadałem wam już o mojej nowej dziewczynie? – odezwał się Bo, który wyjął tymczasowy nit i czekał, aż Esko skończy zakładać stały. Przystojny Bo o gęstych i grubych rudych włosach był tym mężczyzną, którego Esko spotkał na budowie jako pierwszego w lutym, kiedy zdecydował się na pozostanie w Nowym Jorku. Młody Szwed cieszył się niezwykłą sympatią kobiet. – To Włoszka – dodał.

– Wydawało mi się, że widzisz się z jakąś małą Murzyneczką z Harlemu – powiedział Cristof, klękając z drugiej strony belki z nitownicą w rękę i patrząc, jak Esko cofa się o parę kroków, a Bo wbija głębiej nit, którego główka przypominała grzyb z wgłębieniem pośrodku.

– Okazało się, że ma chłopaka. Chciał się o nią bić, więc pomyślałem sobie, że nie warto tyle dla niej ryzykować. Na świecie jest mnóstwo wolnych kobiet.

– Pieprzony Romeo – mruknął Cristof, pierś Esko zadygotała od wibracji. Po chwili hałas ucichł. – Co za pierdolony kochaś. Pieprzyłeś się z tą czarną?

– Tylko dwa razy – odparł Bo.

Stojący niżej Gunnar zmarszczył brwi. Nieszczęśliwy w małżeństwie, lecz wierny żonie, nie lubił takich rozmów o seksie. Uniósł ramię, sygnalizując, że następny nity jest już gotowy.

Brzęk!

Pracowali bez przerwy, raz po raz powtarzając tę samą operację, skupieni i opanowani, w prawie tanecznym rytmie, dopóki nie zanitowali wszystkich otworów, które znajdowały się w zasięgu ich dłoni. Potem trzeba było przesunąć drewniane rusztowanie w górę. Esko wetknął obcęgi za szeroki skórzany pas, przyglądając się, jak Bo przeskakuje na stalową belkę, przy której pracowali. Sam także poszedł w jego ślady i znalazł się na wysokości ponad sześćdziesięciu metrów nad ziemią. Z jednej strony konstrukcji było tylko powietrze, z drugiej wewnątrz budynku, gdzie – sądząc po hałasie – ciężarówki zsypywały właśnie lawinę kamieni. Esko zrobił kilka kroków na nieco ponad pół metra szerokiej belce, przystając na chwilę, aby wziąć od Cristofa nitownicę.

Cristof podał mu ją ostrożnie. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o byczym karku. Beknął donośnie i szybko podciągnął się na belkę.

– Opowiedz mi o tej Włoszce, mały Bo. Ją także już przeleciałeś?

– Ta nie jest taka. To słodka, niewinna dziewczyna. – Bo był wyraźnie poruszony myślą o chwilowo niedostępnym przedmiocie swego pożądanego. – Może nawet się z nią ożeni.

– Tak, tak. – Cristof się zaśmiał, niespodziewanie lekko stąpając po belce i odbierając nitownicę z rąk Esko. – Tak teraz myślisz, jasne. I zawsze im to obiecujesz, do czasu, kiedy pójdziesz z nimi do łóżka, prawda?

– Cristof! – oburzył się Gunnar, urażony do głębi swej luterńskiej duszy.

– Właśnie, Cristof, nie mów tak o niej. Tym razem to poważna sprawa.

– Oczywiście. Mówiłem już, że z ciebie pierdolony Romeo.

Esko i Bo rozwiązali grube liny, przytrzymujące drewniany taras, i przesunęli go na drugi koniec belki, gdzie ponownie umocowali sznury tak, aby pozostać w zasięgu rzutu Gunnara. Ich praca wymagała wielkiej precyzji i minimum myślenia, a może raczej myślenia z dużym wyprzedzeniem. Esko uważał, że pod tym względem nitowanie stanowi typową część procesu

budowania konstrukcji stalowych. Każdy przycięty na miarę fragment układanki przewożony był ze stalowni w Pensylwanii i usiany otworami na nity, oznaczony wykonanymi kredą lub farbą napisami, które informowały, w jakim miejscu należy umieścić dany element. Jeżeli ciężarówka spóźniła się, zepsuła lub musiała wykonywać skomplikowany objazd, ponieważ kierowca skręcił w niewłaściwą ulicę, której powierzchnia popękała pod ciężarem stali jak cukierek toffi, budowa stawała w miejscu. Margines błędu właściwie nie istniał. Wznoszenie drapacza chmur przypominało prawdziwą bitwę. Plany czasami zawodziły, dlatego najlepiej było zawsze mieć w pogotowiu zastępczy.

– Powiedz mi coś więcej o tej Włoszce, którą się teraz zajmujesz, mały Bo – powiedział Cristof, sprawdzając węzły na grubej linie i tak ustawiając rusztowanie, by wisiało niecały metr poniżej belki. – Śpiewa arie operowe? Gdzie ją poznałeś?

– Przez Mantilnich. To ich siostra.

– Siostra pieprzonych Mantilnich? – zapytał z niedowierzaniem Cristof.

– Mantilnich? – powtórzył Gunnar, podnosząc wzrok znad pieca. Nawet on był zaskoczony.

Czterech braci Mantilini także było nitowaczami. Podobnie jak większość zespołów, zostali przyjęci razem i przeszkoleni, i zawsze pracowali razem. Ich dodatkową zaletą było to, że jako rodzeni bracia doskonale znali swoje gesty i sposób poruszania się. Mieli gładką skórę, ciemne oczy, szczupłe, przystojne twarze i wyglądali trochę jak trupa cyrkowa. Nikt nigdy nie próbował zwracać się do nich po imieniu. Ich ojciec, poławiacz homarów, utonął w pobliżu Staten Island kilka lat temu. Bracia mieszkali z matką. Esko nie wiedział nic więcej, ale on także uważał, że bracia Mantilini mają w sobie coś magicznego.

– Siostra pieprzonych Mantilnich – rzekł Cristof, przeczesując palcami brodę i wbijając w Bo wściekłe spojrzenie. – Nie wystarczy ci, że to oni co miesiąc dostają pieprzoną premię?

– Są lepszymi pracownikami od nas – rzekł Esko.

– Tak jest – przytaknął Bo.

– To prawda – przyznał jak zawsze bezstronny Gunnar.

– Dlatego że ci popaprańcy bez przerwy ryzykują – warknął

Cristof. Beknął, uklęknął na belce i wzmocnił następny węzeł. – A co z tobą, ty pieprzony jednooki Finie, panie Esko Offerman-sie? Masz jakaś kobietę na boku?

Esko wzruszył ramionami, spoglądając na swój prawy but, pod którym, daleko w dole, lśniła gładka, jakby wypolerowana powierzchnia stawu w Central Parku. Nie otrzymał żadnej wiadomości od Kateriny, chociaż co tydzień zaglądał do Marion Bennett i zostawił u niej trzy listy, prosząc o przekazanie ich Katerinie. Wiedział tylko, że nadal przebywa w Kalifornii, w tym wielkim stanie, który wielu jawił się jako wymarzone miejsce na ziemi. Dziś miał natomiast w kieszeni list od Anny, która opowiadała w nim o nowinach z Helsinek.

– Nie, Cristof – odparł. – Nie mam żadnej kobiety na boku. Jedna jest przede mną, a druga za mną.

3

Wynajął poddasze przy ulicy Harrison, ponieważ czynsz był niewielki, a oświetlenie wyjątkowo dobre. Całe pomieszczenie pachniało lanoliną, ponieważ niedawno składowano tu bele wełny. Esko wstawił tu łóżko, biurko, fotel i dwie lampy, nic więcej. Spał przy otwartych oknach, nieprzywykły do tak wielkiego upału, i codziennie budził się bardzo wcześnie, słysząc witający go z dołu szum miasta: skrzypienie wozów, dzwonki tramwajów przejeżdżających przez Broadway, pohukiwanie dużych statków na rzece Hudson. Mył się, ubierał i szedł do centrum, do dużej restauracji po zachodniej stronie Szóstej Alei, gdzie już zdążył się zaprzyjaźnić z barmanami i kelnerkami. Była to część rutyny jego samotnych poranków. W restauracji znajdował się rząd rozchwianych stolików i kabin. Dzięki codziennym wizytom w tym lokalu Esko powoli zaczynał wrastać w Nowy Jork. Czuł się tam całkowicie swobodnie, czytał, rozglądał się i obserwował innych klientów, popijał kawę i pozwalał, aby tuż obok niego przepłynęła pierwsza fala nowojorskiego dnia. Wczesnym rankiem do restauracji zaglądało bardzo niewiele osób, więc wszyscy witali się uprzejmie i wy-

mieniali miłe uwagi. Esko lubił siedzieć przy oknie i patrzeć, jak wielkie miasto budzi się do nowego dnia.

Bardzo wcześnie 17 czerwca 1922 roku siedział na swoim zwykłym miejscu, z włosami jeszcze mokrymi po prysznicu. Powietrze było parne, wilgotne, co zapowiadało upalny dzień. Esko jak zwykle nie zawracał sobie głowy przeglądaniem menu. Zamówił jajka na bekonie, grzanki i kawę, którą podawano tu w grubych, białych kubkach. Rozłożył swój egzemplarz „New York World” i przebiegł wzrokiem pierwszą stronę. W Związku Radzieckim na czas rekonwalescencji Lenina trzech politycy mieli zastąpić go w rządzeniu krajem – Trocki, Stalin oraz Zinowiew. Eksperci z Uniwersytetu Cambridge wyruszyli do Doliny Królów w Egipcie, gdzie nad domniemanym grobowcem faraona Tutanchamona odkryto dziwne hieroglify, które, jak sądzono, mogą stanowić zapis ostrzeżenia przed klątwą grożącą otwierającym grobowiec. W stanie Illinois podczas zamieszek przed tamtejszą kopalnią węgla kamiennego zginęło trzydzieści osób. Trzydzieści osób! Ameryka była teraz takim samym wulkanem jak Europa, a wojna klasowa wydawała się tu równie prawdopodobna.

Kelnerka podeszła do stolika, żeby dolać mu gorącej kawy. Za oknem lodziarz rozstawiał na rogu swój wózek. Podczas czterech miesięcy spędzonych w Nowym Jorku Esko nie zrobił ani jednego rysunku. Przekroczył ocean, nie tyle nawet ocean, ile granicę. W wolnym czasie uczył się angielskiego, oglądał budynki, czytał gazety i książki, chodził do galerii i do kin, starając się wychwycić i poznać jak najwięcej idiomów oraz wczuć się w atmosferę Nowego Jorku. Postanowił, że dopiero potem wróci do szkicowania i projektowania. Kościoły, które wybudował w Finlandii, były piękne i bardzo nowoczesne, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, nie mogłyby jednak zaistnieć w Nowym Jorku, podobnie jak lodziarz nie zrobiłby pieniędzy w odległych lasach na północy ojczyzny Esko.

No, właśnie, jeśli nie uda mi się wybudować drapacza chmur na Manhattanie, zawsze mogę wrócić do domu i sprzedawać lody Finom, pomyślał Esko.

– Śmiejesz się z siebie – usłyszał nagle przyjazny, ciepły

głos. – Nie rób tego zbyt często w miejscach publicznych, bo ludzie dojdą do wniosku, że jesteś albo szalony, albo tak bogaty, iż nie masz żadnych zmartwień.

Esko podniósł wzrok i zobaczył przed sobą dwóch braci Mantilini. Obaj mieli na sobie w ciężkie buty, spodnie z szelkami, uszyte ze spranego niebieskiego płótna i płaskie czapki. Przed chwilą odezwał się młodszy z nich, a mówił tak cicho, że Esko musiał pochylić się do przodu, aby usłyszeć jego słowa. Chociaż zakłócił Esko spokój i przerwał śniadanie, nadal robił wrażenie miłego i nieśmiałego młodego człowieka. Miał piękny uśmiech, idealnie równe białe zęby, włosy gęste i intensywnie czarne, a cała jego postać emanowała niezwykłą energią.

– Jestem Paul Mantilini, a to mój brat Steffano. Możemy się przysiąc? – zapytał, zajmując miejsce i sięgając po grzanekę, którą zaczął natychmiast smarować masłem.

– Proszę bardzo – odparł Esko spokojnie. Nie był pewien, czy powinien czuć się rozbawiony, czy też nie.

– Dziękuję – powiedział Paul Mantilini, błyskając zębami i biorąc odpowiedź Esko za dobrą monetę.

Esko przypuszczał, że Paul ma około dwudziestu lat, chociaż czujny i ostrożny wyraz jego oczu sprawiał, że wyglądał na starszego. Jedną nogą wybijał nerwowy rytm pod stołem i Esko przypomniał sobie, że Paul Mantilini jakiś czas temu wpadł podobno w poważne tarapaty. Policja wniosła przeciw niemu oskarżenie, chłopak trafił do zakładu poprawczego, a kiedy z niego wyszedł, bracia znaleźli mu pracę na budowie i nie spuszczali go z oka, aby znowu nie narobił sobie kłopotów. Paul zachowywał się tak, jakby Esko był od niego kilka lat młodszy. Jego twarz była gładka, aż nazbyt przystojna i to wrażenie utrzymywało się do chwili, kiedy zaczynał się uśmiechać. Ten uśmiech był pęknięciem, przez które wyzierała dzikość serca, duch gotowy na wszystko, przykuwający uwagę i atrakcyjny, duch prawie tragiczny.

Kelnerka zatrzymała się przy stoliku z dzbankiem kawy w ręku.

– Dziękuję, chętnie się napiję – rzekł Mantilini bardzo uprzejmym tonem. – Jedna filiżanka zupełnie mi wystarczy, jesteśmy

świeżo po śniadaniu. – Nogą nadal wybijał szybki rytm pod stołem. Spojrzał na Esko. – Przejdę od razu do rzeczy. Moi bracia i ja bardzo niepokoiimy się znajomością twojego kumpla Bo i naszej siostry. – Wyprostował się, wsypał do filiżanki łyżeczkę cukru, zamieszał kawę, wsypał drugą łyżeczkę. – Pozwól, że ci to wyjaśnię. Moja matka ma mnie i moich braci, całą bandę chłopców, i tylko jedną córkę. Teresa jest dla niej i dla nas kimś wyjątkowym.

– Teresa jest jeszcze dzieckiem – powiedział Steffano, wymawiając każde słowo z naciskiem i wyraźnie słyszalnym akcentem. Był sporo starszy od Paula. Na budowie to właśnie on rozpałał w piecu i rozgrzewał nity. Palce i przedramiona pokrywały mu blizny po oparzeniach.

– Ma szesnaście lat – dodał Paul.

– Porozmawiajcie o tym z Bo.

– Nie zechce nas wysłuchać, on w ogóle nie potrafi słuchać. Próbowałem mu coś powiedzieć, ale bez skutku.

– Więc czego oczekujecie ode mnie? – zapytał Esko z uśmiechem.

– Jesteś starszy od niego. Bo cię szanuje.

Esko milczał. Słowa Paula bardzo go zaskoczyły.

– A jak to jest z tobą? Dlaczego właściwie pracujesz przy budowie konstrukcji stalowych?

– Lubię to – odparł Esko.

– Od jak dawna jesteś w tym kraju? – Paul Mantilini zabrzączał monetami w kieszeni spodni.

– Od paru miesięcy. Jestem architektem.

Brzęk monet ucichł jak nożem uciął.

– Naprawdę? – zapytał Paul z prawdziwą przyjemnością. Twarz mu się rozjaśniła, jakby ucieszyło go jeszcze jedno potwierdzenie faktu, że w tym szalonym świecie po ludziach można spodziewać się absolutnie wszystkiego.

– Twój przyjaciel musi uszanować naszą siostrę – przemówił powoli Steffano, a każde jego słowo brzmiało jak ostrzegawczy strzał.

– Mój brat jest bardzo uprzejmy – zauważył Paul Mantilini, rzucając Esko kolejny olśniewający uśmiech. Jego noga znowu

zaczęła podrygiwać w rytm jakiejś wewnętrznej melodii. – Powiedz Bo, że jeśli jej nie uszanuje, to poderżnę mu gardło.

W taki właśnie sposób Esko po raz pierwszy zetknął się z Paulem Mantilim oraz jego rodziną. Drugi kontakt nastąpił nieco później tego samego dnia, właściwie tego samego poranka, zaraz po tym, jak razem udali się na budowę i podstemplowali karty. Esko nie miał czasu porozmawiać z Bo, zanim rozległ się sygnał wzywający wszystkich do pracy, i w gruncie rzeczy był z tego zadowolony, ponieważ chciał spokojnie zastanowić się, co mu powiedzieć. Wszystko, co wiedział o Bo, wydawało się wskazywać, że bracia Mantilini słusznie niepokoiili się o siostrę. Bo był miłym chłopakiem, ale mało rozbawionym i wiecznie napalonym. Co więc miał zrobić Esko? W Finlandii sytuacja rozwiązałaby się sama – mężczyźni najpierw rzuciliby się na siebie z nożami, potem zaś by się upili i doszli do wniosku, że siostra i tak ma złe skłonności, a poza tym wszyscy żyjemy w grzesznym, marnym świecie. Esko zdawał sobie jednak sprawę, że Włosi podchodzą do spraw honorowych znacznie poważniej i był jednocześnie rozbawiony i poruszony faktem, iż Paul Mantilini zwrócił się właśnie do niego. Mam trzydzieści trzy lata, pomyślał. Ci chłopcy muszą mnie uważać za szalonego wujka.

Podstawowa konstrukcja hotelu była już prawie gotowa. Jeszcze tydzień i stalowy szkielet zostanie ukończony, robotnicy zaś – stawiacze belek i nitowacze – przeniosą się na inną budowę. Przez cały ten czerwcowy ranek dźwigi podnosiły stalowe elementy, a ludzie wypełniali puste ramy kolumn i łączyli belki tymczasowymi nitami oraz drutami, przygotowując je dla nitowaczy. Gunnar był tego dnia z jakiegoś powodu szczęśliwy. Szybko odnalazł swój rytm i nity wyfruwały z jego rąk niczym nieomylnie stalowe pociski, wpadając prosto do starej puszki po farbie, w którą chwycił je Esko. Wielka energia i oszczędność wysiłku, z jaką pracował Gunnar, spłynęła także na Esko i Bo, i nawet wybuchy wibrującego hałasu z nitownicy Cristofa wydawały się dziś krótsze i mniej dotkliwe. Umieścili wszystkie nity na łączeniu dwóch belek, przesunęli balkonik na wysokość prawie siedemdziesięciu metrów i znowu zabrali się do pracy,

w ciągu następnych trzech godzin jeszcze dwukrotnie powtarzając całą operację. Mocowali pięćdziesiąt nitów na godzinę, co było bardzo dobrym wynikiem. Esko, Bo i Cristof pracowali na nieosłoniętym czternastym piętrze, Gunnar dokładał węgla do pieca i rozgrzewał nity na trzynastym, natomiast znajdujące się pod nim dwunaste piętro pokryte było tymczasową drewnianą podłogą, na której leżało mnóstwo narzędzi, worków z betonem, domieszek do betonu, kawałków stali, piły oraz imbryki do herbaty.

Zbliżało się południe. Esko myślał o tym, że proces budowy wieżowców można by znacznie ułatwić i usprawnić, gdyby podzielić go na małe odcinki, takie jak ten obsługiwany teraz przez niego i Szwedów. Drapacze chmur powinno się budować w taki sam sposób, w jaki Ford montował samochody – zgodnie z zasadą linii produkcyjnej, gdzie wszystko jest dokładnie przemyślane, a tę samą czynność wykonuje się wiele razy z rzędu. W gruncie rzeczy budowa drapaczy chmur była bardzo prosta, ponieważ plan jednego piętra można powtarzać w nieskończoność.

Kolejny nit wyleciał z obcęgow Gunnara, sycząc i ciągnąc za sobą płomienny ogon. Esko nie musiał przesuwać puszki nawet o centymetr.

Brzęk!

Szybko wyciągnął obcęgi nit z puszki, otrzepał go o kant belki, aż posypał się z niego popiół, wsunął go w otwór i cofnął się, robiąc miejsce dla Bo. Nagle poczuł, jak pot na jego plecach w jednej chwili staje się zupełnie zimny. Spojrzał w prawo i dostrzegł Mantilinich, uczepionych stalowej sieci z boku budynku i wyraźnie widocznych na tle nieba, które niespodziewanie obniżyło się niczym kurtyna. Powietrze było całkowicie nieruchome. Fioletowa cisza sparaliżowała gałęzie drzew w Central Parku. W oddali drapacze chmur na Wall Street stały sztywno wyprostowane, jak włosy na karku przestraszonego człowieka. Wydawało się, że każdy kamień i każda cząstka materii na Manhattanie pogrążone są w oczekiwaniu. Daleko nad oceanem niebo rozciąła błyskawica.

Nitownica Cristofa głęboko wbiła nit i w tej samej chwili

Gunnar rzucił następny, którego płomienna czerwień wyraźniej odcinała się na tle pociemniałego nieba.

Brzęk!

Esko sięgnął po obcęgi, a zaraz potem spojrzął na południe, w kierunku cypla Manhattanu, gdzie zobaczył czarne i grafitowe chmury, piętrzące się na całym nieboskłonie. Tu i ówdzie ten ciemny, potężny wał przecinały pasma białej pary. Nad Ellis Island lał już deszcz, chociaż tu, na Manhattanie, na razie tylko bardzo się ochłodziło. Błyskawica rozświetliła niebo tuż nad wieżowcem Woolwortha. Szła burza, gwałtowna burza.

– Hej, Offermans! Obudź się! – krzyknął Gunnar.

Esko zrozumiał, że tym razem nawet nie słyszał warkotu nitownicy Cristofa. W jego kierunku leciał już następny nit, lecz teraz Gunnar rzucił mniej celnie, ponieważ brak reakcji ze strony Esko wybił go z rytmu. Esko rzucił się naprzód i w ostatniej chwili podstawił puszkę.

Brzęk!

Zła pogoda była najgorszym wrogiem robotników pracujących na dużych wysokościach i jedyną rzeczą, której się obawiali. Lekki powiew wiatru, taki przyjemny w dole, wysoko nad ziemią jest silnym podmuchem i często okazuje się bardzo zdradliwy. Gdyby Esko mógł decydować, w jednej chwili kazałby wszystkim robotnikom zejść na dół, ale niestety nie miał tu nic do gadania.

– Offermans!

Przygotował nit dla Bo i po chwili Cristof wbił go w głąb metalowej belki swoją nitownicą. Z dołu nadlatywał już kolejny nit, rzucony nieco mocniej niż poprzednie, ponieważ Gunnar był naprawdę wściekły.

Brzęk!

Kątem oka Esko zauważył Petroskiego, brygadiera budowy, który zza rogu budynku wpatrywał się w niebo przez lornetkę. Petroski był brzuchatym, ciemnowłosym robotnikiem z Warszawy, który znajdował przyjemność w pomiataniu innymi i nigdy nikomu nie ustępował. Teraz obserwował zbliżającą się burzę, jednocześnie rozmawiając przez telefon polowy.

O czym tu gadać, pomyślał Esko. Wkrótce rozpęta się tu

piekło, bo ta burza nadchodzi tak szybko i nieubłagane jak burze z jeziora w Pyhajarvi.

Brzęk!

Esko wyprostował się na rusztowaniu. Petroski przestał już krzyczeć do słuchawki i zniknął z pola widzenia. Niebo z każdą chwilą stawało się coraz ciemniejsze. Dookoła warczały i poszczekiwały nitownice innych zespołów, i Esko nagle zrozumiał, że musi sam podjąć decyzję, zakłócić rytm pracy, zanim będzie za późno. Ostrożnie postawił na belce puszkę, na jej dnie lśnił czerwonym blaskiem żarzący się nadal nit.

– Schodzimy – rzucił w stronę Bo. – Na dziś skończyliśmy.

– Jak to?

W tej samej chwili rusztowanie zachwiało się i zadygotało pod podmuchem wiatru. Czapka Bo sfrunęła na dół, ku koronom drzew i trawnikom Central Parku, gdzie ciemne sylwetki przebiegały alejkami, szukając schronienia przed burzą.

– Wystarczy – powiedział Esko. – Koniec. Zaraz rozpęta się burza.

Wyciągnął rękę i wskazał nadciągające z południa zwały chmur.

– W porządku – oświadczył Cristof, który zawsze chętnie przerywał pracę.

Esko wetknął rączkę metalowej puszkii za pasek spodni, podciągnął się na prostopadle ustawioną belkę, wziął nitownicę od Cristofa i zarzuciwszy ją sobie na ramię jak karabin, pewnym krokiem ruszył ku wąskiemu schodkom. Po chwili był już na trzynastym piętrze i mijał Gunnara oraz jego piec. Na chudej twarzy Szweda malowało się oburzenie i niedowierzanie.

– Co się dzieje? Oszalałeś?

– Na twoim miejscu zszedłbym na dół. Idzie straszna burza.

– Przecież wszyscy jeszcze pracują!

Esko nie musiał się nawet rozglądać, aby stwierdzić, że to prawda. Niebo było już prawie czarne, mocne podmuchy wiatru stawały się coraz częstsze, lecz żaden z robotników poza nimi trzema nie oderwał się od pracy.

– Wracaj do roboty – powiedział surowym tonem Gunnar,

który jako szef zespołu nie mógł ścierpieć, że ktoś podjął decyzję za niego. – I to natychmiast. W przeciwnym razie wylecisz na zbity pysk, Offermans.

Dopiero teraz powietrze rozdarły trzy przeciągłe dźwięki syreny, wzywające wszystkich do zejścia z rusztowań.

– Zadowolony? – warknął Esko.

– Ale ty zszedłeś przed sygnałem!

– Och, zamknij się wreszcie, Gunnar – zawołał Cristof, trącając butem głowę Esko w drodze na bezpieczne dwunaste piętro.

– A tak dobrze nam szło – wymamrotał Gunnar, wyraźnie rozżalony i rozczarowany.

Tym przeklętym Szwedom ciągle się wydaje, że są władcami świata, pomyślał Esko.

– Dzięki Esko dobrze pójdzie nam i jutro – oświadczył Cristof.

Na dwunastym piętrze trwała gorączkowa krzątanina. Wszyscy zabezpieczali i chowali narzędzia, spuszczaali na dół pojemniki ze sprężonym powietrzem, ustawiali pod ścianami gruszki do cementu i grube stalowe szyny, które złowrogo lśniły w mroku, i wreszcie spieszyli w kierunku drabin, aby jak najprędzej znaleźć się na parterze. O wiele za długo zwlekaliśmy z zakończeniem pracy, pomyślał Esko. Jakby na potwierdzenie wiatr zawył dziko, niemal zbijając go z nóg i otaczając jego kolana chmurą kurzu i śmieci. Po niebie przetoczył się grzmot, a z kanyonów ulic odpowiedziało mu gromkie echo. Burza jeszcze się nie zaczęła, chociaż wokół panował już prawie wieczorny mrok. Błyskawica zaświeciła jaskrawo, wypełniając niebieską poświatą, każdy zakamarek stalowej konstrukcji, przez co każdy nit widać było tak wyraźnie, jakby został sfotografowany.

Nawet teraz jeszcze nie wszyscy opuścili dwa nieosłonięte i niczym nie chronione najwyższe piętra.

Czterech braci Mantilini nadal pracowało, nie zwracając najmniejszej uwagi na niebezpieczeństwo. Zupełnie jakby burza nie dyszała im tuż za plecami, a po prostu grali w baseball podczas przerwy na lunch. Esko zobaczył, jak stojący przy piecu Steffano wyjmując spośród węgla rozżarzony nit i rzuca go

do góry. Jeden z jego braci podstawił puszkę i chwycił nit, Paul Mantilini przytrzymał go w otworze po śrubie, czwarty zaś wbił nit aż po główkę, głośno warkoczając nitownicą i prawie zagłuszając kolejny grzmot.

Są zupełnie szaleni, pomyślał Esko, lecz jednocześnie nie mógł powstrzymać podziwu dla ich wspaniałej brawury i niezwykłej sprawności. Wszyscy pozostali robotnicy zaczęli zachęcać ich, aby zeszli na dół, przekrzykując się nawzajem.

- Złączcie do nas!
- Zaraz zacznie się burza!
- Zejdźcie z rusztowania!
- Uciekajcie stamtąd, do diabła!

Nawet chłodny Gunnar przyłączył się do chóru.

– W porządku, wy popieprzeni Włosi, już dobrze, dowiedliście, że jesteście najlepsi. Zostawcie robotę.

– To cholerni wariaci – powiedział Cristof, lecz on także śmiał się głośno, jakby chciał przyznać, że ci szaleni Mantilini rzeczywiście mają w sobie coś wyjątkowego.

Steffano odwrócił się od pieca, zerknął ku widzom i lekko skłoniwszy głowę, podniósł w górę palec wskazujący, pokazując, że zamierzają wbić jeszcze jeden nit.

- Wystarczy, schodźcie na dół! – wrzasnął Bo.
- Schodźcie!
- Wynoście się stąd!

Ostatni nit poszybował w powietrzu i wylądował w puszcze. Z tej odległości Esko nie słyszał charakterystycznego brzęku, ale mógł go sobie z łatwością wyobrazić.

Paul Mantilini rzucił się naprzód i przytrzymał nit, podczas gdy jego brat umocował go nitownicą.

Bracia Mantilini triumfowali, zupełnie jak starożytni gladiatorzy, a stojący dookoła Esko mężczyźni zaczęli klaskać i wydawać pełne aprobaty okrzyki.

Ostatni Mantilini wyprostował się i uniósł nitownicę wysoko nad głowę, potrząsając nią w geście zwycięstwa. Wiatr wydał jego spodnie i odrzucił z czoła ciemne loki. Wyraźnie widoczna na tle czarnego nieba sylwetka mężczyzny wyglądała jak ludzki wykrzyknik, znak, że człowieka stać na bohaterstwo.

I nagle Mantilini zniknął.

– Co?! Co się stało?! – krzyknął Gunnar, przerywając ciszę jaka wokół zaległa.

Nikt nawet nie zauważył spadającego ciała. Znak na tle nieba rozplynął się w powietrzu, jakby nigdy go tam nie było.

– Spadł? Nic mu się nie stało? Gdzie on jest?

Popchnięty mocnym tchnieniem wiatru piec przewrócił się i czerwone węgle posypały się na nogi i buty Steffano. Zapaliły się spodnie i Włoch ruszył w szalony taniec, podskakując w miejscu i usiłując ugasić płomień rękami. Znowu dmuchnął wiatr i Steffano także runął w dół, na szczęście do wewnątrz budynku. Spadł z wysokości dwóch pięter i wylądował przed oczami osłupiałych robotników z ciężkim, głuchym uderzeniem.

Lunał deszcz. W pierwszej chwili pojedyncze krople siekły stalową ramę, pobrzękując niczym kawałki metalu, zaraz jednak ulewa przybrała na sile i uwolnione z chmur wielkie płachty wody zasyczały i zaszumiały głośno. Cała konstrukcja budynku jęknęła i zadrżała pod gwałtownym naporem wody. Drewniana podłoga, na której stał Esko, dygotała i trzęsła się jak galareta. Donośny szum prawie zagłuszał grzmoty. Esko nie mógł uwierzyć w to, co rozgrywało się na jego oczach. Drewniany balkon, którego uczepił się Paul wraz ze swoim ostatnim bratem, zachwiało się pod uderzeniem wiatru i ulewy, i oto trzeci Mantilini spadł z rusztowania.

Esko nie zastanawiał się ani nie planował. Nie miał czasu na to, aby poczuć przyływ odwagi czy strachu. Nagle pobiegł przed siebie, rozchlapując głębokie kałuże, które zdążyły się już utworzyć na deskach. Zatrzymał się na brzegu, nie patrząc w dół i starając się oprzeć wiatrowi, który zaatakował go ze zdwojoną siłą, chwycił się pionowej stalowej belki, śliskiej od wody i pachnącej rdzą, obszedł ją dookoła i postawił stopę na pierwszym szczeblu drabiny. Zaczął się wspinać, odwracając twarz w bok, aby ochronić oczy przed ostro zacinającym deszczem.

Nagle znieruchomiał, przestraszony niespodziewanym ruchem w powietrzu. Tuż przed nim przemknęła w powietrzu

mewa, rzucona mocnym podmuchem wiatru, zdołała jednak skręcić przed uderzeniem o metalową klatkę budynku i poszybować w dół, ku miotanym wichurą koronom drzew w parku.

Esko wziął głęboki oddech i ostrożnie przenosząc dłonie z jednego szczebla na drugi, wchodził coraz wyżej. Woda lała mu się na głowę niczym z kranu i przyklejała włosy do czoła. Ani na chwilę nie odrywając ciała od stalowej drabiny, pokonał dziesięć metrów, ślizgając się, przystając i znowu ruszając. Minął leżący na boku, syczący piec Steffano i wreszcie dotarł do skrzyżowania belek, przy którym pracowali pozostali trzej bracia. Wdrapał się na poprzeczną belkę i jak węgorz, na brzuchu, po kilka centymetrów, popychany przez wiatr i tłuczony dużymi kroplami deszczu, czołgał się przed siebie, dopóki nie ujrzał drewnianego balkoniku, chwiejącego się w odległości metra od jego twarzy. Serce zamarło w nim z przerażenia, bo na rusztowaniu nie było nikogo, lecz po sekundzie przez płachty deszczu zobaczył zwisające i kopiające nogi, ręce, kurczowo uczezione deski na samej krawędzi i bladą jak prześcieradło twarz, z której patrzyły na niego czarne, pełne rozpaczycy oczy. Był to Paul Mantilini, który postanowił nie poddawać się do samego końca.

Teraz Esko musiał się zastanowić przez chwilę. Czy powinien przeskoczyć na balkonik i spróbować złapać Paula? Idiotyczny pomysł. Obaj zginą. W końcu stanął w rozkroku na stalowej belce, chwycił liny trzymające drewniane rusztowanie i unieruchomił je. Potem wychylił się daleko do przodu, przysiadł i z całej siły zacisnął swą dużą dłoń na przegubie Włocha. Przez parę sekund, które wydawały się wiecznością, balkonik kołysał się w tę i z powrotem, lecz Esko nie zwolnił uścisku. Jego ramię jęczało z bólu, powoli wyrywane ze stawu, tymczasem on chwycił Mantiliniego drugą rękę i w końcu wciągnął go na stalową belkę. Obaj ciężko dyszeli. Razem osunęli się na kolana i złapali się belki tuż nad swymi głowami, trzymając się jej tak kurczowo, jak tonący krawędzi łodzi ratunkowej. Przemoczeni i ledwo żywi czekali cierpliwie, aż wiatr ucichnie i niebo zacznie się przejaśniać. Burza mijała.

– Steffano żyje? – wykrztusił Paul, doskonale wiedząc, że dwaj pozostali bracia nie mieli najmniejszej szansy na przeżycie.

– Nie mam pojęcia – odparł Esko.

– Kurwa mać! – Paul uderzył czołem o metal. – Kurwa mać! – powtórzył pozbawionym wyrazu głosem, bijąc głową o belkę tak mocno, że krew zaczęła spływać po jego twarzy, mieszając się z deszczem. – Kurwa mać!

– Spokojnie... – zaczął Esko, kładąc rękę na mokrym ramieniu Włocha.

– Pieprzę cię! Moi bracia zginęli na moich oczach! Pieprzę cię!

Esko zacisnął palce na rękawie Paula.

– Ale ty żyjesz, niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie.

Deszcz ustał i czarne burzowe chmury odsuwały się powoli. Powietrze nadal było zdumiewająco wilgotne.

– Zawdzięczam ci życie – warknął Mantilini, nawet nie starając się okazać wdzięczności.

– Nie ma o czym mówić – rzekł Esko. Spojrzał w dół, gdzie robotnicy tłoczyli się wokół nieruchomo leżącego Steffano. Był tam także Petroski. Wymachiwał rękami i pkrzykiwał, domagając się natychmiastowego podania noszy. – Ten mały polski dupek! – wybuchnął Esko i nagle rozplakał się jak dziecko.

Łzy płynęły mu po policzkach, duże i gorące, jakby prosto z serca. Zasłonił oko i drżał na całym ciele, wstrząsany dreszczem spóźnionego strachu, poruszony bolesnymi wspomnieniami o tych, których nie zdołał uratować. Klaus, syn Bongmana, matka... Co za tragedia, co za rozpacz...

– Widziałem, że burza nadchodzi – powiedział powoli. – Powinienem być zrobić coś wcześniej. Może przeżyłby przynajmniej ten twój brat, który był tu razem z tobą, może mógłbym i jego uratować...

– Oszalałeś?! Czy ty w ogóle wiesz, co zrobiłeś, przychodząc tu po mnie?!

– To było za mało – rzekł Esko.

Mantilini obserwował go teraz z innym wyrazem twarzy, spod zmrużonych powiek, badawczo i uważnie. Jego spojrzenie

było chłodne, nieco przerażające w swym opanowaniu. Coś wydarzyło się między oboma mężczyznami, obaj uchyliłi na chwilę rąbka ukrytej w ich duszy tajemnicy, dzieląc się głębokimi uczuciami, pasją, którą zwykle starannie ukrywali i nad którą starali się panować. Zimny wzrok Paula spoczął na nożu zatkniętym za pas Esko.

– Mogę zobaczyć? – zapytał i zanim Esko pojął, co się dzieje, nagie ostrze leżało już na dłoni Włocha. – Co to jest?

– *Puukko*, fiński nóż. Prezent od ojca.

Mantilini kilka razy kiwnął głową, patrząc w skupieniu na lśniące ostrze. Esko poczuł ukłucie strachu, ponieważ doskonale pamiętał groźby Paula pod adresem Bo.

Włoch szybkim ruchem przeciągnął ostrzem po swojej dłoni i nie spuszczać wzroku z otwartej rany, czekał, aż wypełni się krwią. Potem, równie błyskawicznie jak poprzednio, zamknął żelazne palce na przegubie dłoni Esko i w ułamku sekundy rozciął mu rękę. Dłoń zapiekła boleśnie. Esko próbował ją wyrwać, ale Mantilini trzymał go bardzo mocno.

– Zwariowałeś?! – krzyknął Esko.

– Gdybyś kiedyś czegoś potrzebował, czegokolwiek, przyjdź do mnie – powiedział Paul, przyciskając dłoń do dłoni Esko, tak że rany zetknęły się brzegami, a krople zmieszanej krwi opadły na metalową belkę. – Jesteś teraz moim bratem.

4

Mniej więcej sześć tygodni po wielkiej burzy, w połowie sierpnia, Esko spojrział w górę Szóstej Alei i dostrzegł, jak powietrze migocze i drży nad asfaltową nawierzchnią, która kleiła się do butów. Nigdy by nie uwierzył, że upał może być aż tak wielki, oślepiający i bezlitosny, nie dający chwili wytchnienia nawet po zapadnięciu zmroku. Ulicą, potykając się ze zmęczenia, podążali biznesmeni, przypominający bezwładne kolumny ciał, na siłę wtłoczone w okrutne garnitury. Esko miał na sobie tylko bawełnianą koszulę bez rękawów, spodnie z lekkiego płótna i ciemne okulary, lecz mimo to już ociekał potem. Tramwaj przemknął

obok niego z rykiem, podobny do rozwścieczonej bestii. Czarna maska zaparkowanego obok chryslera sparzyła palce Esko, kiedy przypadkiem jej dotknął. Przejeżdżający po wiadukcie nad ulicą pociąg rzucił na asfalt serię kalejdoskopowych, co sekundę zmieniających kształt cieni, tnących brudny, spotniały świat na kawałki. Obok drzwi wagonu widniał napis: „Korzystajcie z możliwości jazdy na świeżym powietrzu”. Esko uśmiechnął się. W Nowym Jorku nie było ani grama świeżego powietrza, a Manhattan był mokrą, parującą szmatą, którą coś właczało mu do gardła. Manhattan cuchnął psującą się rybą, gnijącym mięsem, przejrzalymi owocami i charakterystycznym przy tak wysokiej temperaturze odorem portu, niosącego zapowiedź jakiegoś niewypowiedzianego potwornego rozkładu.

Esko szedł dalej, w kierunku Siódmej, jak zwykle szukając ratunku w chłodnym cieniu Pennsylvania Station. Jednym z arkadowych wejść wszedł do poczekalni, rozbrzmiewającej cichymi echemi głosów i typowymi dla dworca dźwiękami. Wysokie na piętnaście piętér, pięknie sklezione pomieszczenie, zaprojektowane ponad dziesięć lat temu przez Charlesa McKima (współpracownika zamordowanego Stanforda White'a), wypełnione było lekkimi powiewami i cichym szmerem wachlarzy, magazynów i gazet, pustych papierowych toreb, programów teatralnych, a w braku czegoś większego nawet biletów, którymi z zapalem wachlowało się kilkaset siedzących na ławkach osób. Esko obszedł całą salę, tak cudownie skonstruowaną, chłodną i zupełnie inną od pogrążonej w piekielnym upale alei. Spojrzał na olbrzymie okna, przez które wpadały wielkie pasma przyćmionego światła, muskając marmurową posadzkę. Pomyślał nagle, że McKim doskonale rozumiał, iż przyjazdy i odjazdy mają w sobie coś mistycznego, nawet dla młodych mężczyzn w płóciennych spodniach i urzędniczek w ukrywających linie bioder letnich sukienkach. Wszyscy oni codziennie odbywali pospieszne podróże między Nowym Jorkiem i New Jersey, lecz nawet ich wypełniały cudowne nadzieje i oczekiwania, i tych kilka minut, jakie spędzali na stacji, mogło natchnąć ich poczuciem, że oni także są istotami o nieograniczonych możliwościach. Pennsylvania Station, nawet w taki dzień jak ten, najupal-

niejszy i najbardziej nieznośny ze wszystkich letnich nowojorskich dni, łączyła w sobie poczucie twardej rzeczywistości ze wspaniałą nadzieją na to, jaki może być świat. Esko przychodził tu codziennie po południu od ponad miesiąca, od dnia, kiedy odkrył to niezwykle miejsce.

Nie pracował już z nitowaczami. Gunnar i Cristof wyjechali do Kalifornii, do Los Angeles, gdzie podobno lada dzień miała ruszyć budowa nowego miejskiego ratusza. Bo dał się ponieść nerwom lub, jak sam mówił, odzyskał rozsądek, i przestraszony wydarzeniami tamtego potwornego dnia, na dobre porzucił pracę na wysokości. Został serdecznym kumplem Paula Mantiliniego, a niedawno zaręczył się z jego siostrą, Teresą. Esko nie widział się z Bo i z Paulem od dnia pogrzebu, który odbył się na wznoszącym się na wzgórzu nad Queens cmentarzu, skąd ledwo widać było odległe drapacze chmur na Manhattanie. Ani firma budowlana, ani finansujący budowę hotelu inwestorzy nie przysłali przedstawicieli, natomiast Petroski zamówił wieniec dla uczczenia pamięci dwóch zabitych (Steffano przeżył, miał jednak zmiążdżone biodro i połamane obie nogi, i nie wiadomo było, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mógł chodzić). Wieniec miał kształt gigantycznego nitu i całkowicie usunął w cień wszystkie inne wiązanki. Paul Mantilini chwycił wieniec, odrzucił go daleko od grobu i powiedział, że nie życzy sobie, aby cokolwiek przypominało mu, w jaki sposób zginęli jego bracia.

Esko poczuł, że śwędzi go dłoń. Zdarzało się to zawsze przy upalnej pogodzie, tego dnia blizna piekła go od rana. Na pogrzebie Mantilini nie wspomniał ani słowem o tym, co wydarzyło się między nim i Esko, o ich braterstwie krwi. Esko nie miał mu tego za złe, wręcz przeciwnie, czuł dużą ulgę. Tamten gest Paula wydawał mu się gwałtowny i melodramatyczny, nawet jeżeli zrozumiały. Uważał, że najlepiej będzie zapomnieć o całej sprawie, lecz w głębi serca wiedział, iż nigdy nie opuści go wspomnienie tamtej chwili na rusztowaniu, kiedy patrząc w oczy młodego Włocha dostrzegł w nich jakąś cząstkę siebie: dziwne zdecydowanie, namiętność, chęć zrobienia wszystkiego, co konieczne, aby przetrwać i iść dalej, aż do końca. Obawiał się trochę, że Paul Mantilini będzie przypominał mu o istniejącej

między nimi więzi, a główną przyczyną tych obaw było przekonanie, iż Paul jest bardzo niebezpiecznym młodym człowiekiem. Esko uważał, że Mantilini zapewne świetnie by pojął fińskie pojęcie *sisu*, ponieważ naprawdę robił wrażenie zdolnego do wszystkiego.

Esko niepokoiła także myśl, że Mantilini posiadał jakiś mroczny sekret dotyczący Ameryki, którego on sam nie był gotów przyjąć i pojąć. Bo przecież mimo wypadku na budowie, mimo niemożności skontaktowania się z Kateriną, mimo braku pieniędzy (znowu chronicznego) i nawet mimo straszliwego upału, Esko był pełen optymizmu co do swoich perspektyw w Nowym Jorku. Naprawdę wierzył, że w jakiś sposób, kiedyś, uda mu się urzeczywistnić marzenie i zbudować drapacz chmur. Był tego równie pewny jak tego, że kiedy kupi w kiosku notatnik, sięgnie do kieszeni i wyjmie z niej ołówek firmy Ticonderoga i naskicuje parę detali arcydzieła McKima. Wszystko wskazywało na to, że budynek Pennsylvania Station natchnął go wreszcie pragnieniem rysowania, którego od przybycia do Ameryki w ogóle nie odczuwał. Optymizm był ulubioną narodową substancją chemiczną Amerykanów, ich ukochanym narkotykiem i najwyraźniej Esko wraz z nowojorskim powietrzem wchłonał już jakąś jego porcję.

Zapłaciwszy za notatnik, odwrócił się i jego wzrok zatrzymał się na wysokim, tęgawym i brodatym mężczyźnie w białym garniturze, stojącym u szczytu schodów, pod zegarem o czterech tarczach. Mężczyzna zmarszczył lekko brwi i zerknął na zegarek, nie zwracając uwagi na znajdującą się tuż nad jego głową tarczę zegara dworcowego, po czym zaczął schodzić w dół, powoli, jakby z rozleniwieniem podnosząc stopy i wymachując czarną teczką, trzymaną w lewej ręce.

To Joseph Lazarus, pomyślał Esko. Nie powiedział sobie: „Tamten mężczyzna przypomina mi kogoś, kogo spotkałem w dzieciństwie”, ani: „Ten facet jest podobny do inżyniera, któremu mój ojciec pokazał dzwonnice w naszej wiosce”. Nie miał najmniejszych wątpliwości, kogo ma przed sobą. To był Joseph Lazarus. Kiedy Niemiec zbliżył się nieco, Esko dostrzegł, że znacznie przytył, a jego rysy stały się ciężkie, grubo ciosane.

Włosy i broda w kształcie łopaty były czarne jak krucze pióra, zbyt czarne, przez co sprawiały wrażenie ufarbowanych. W całej postaci było coś wyzywającego, każdy jego ruch mówił, że wszyscy ci wiecznie spieszący się nowojorczyki muszą mu zejść z drogi, niezależnie od tego, czy im się to podoba, czy nie. Lazarus musiał mieć koło sześćdziesiątki, lecz nadal był bardzo przystojnym, imponującym mężczyzną, a jego starzejące się oczy patrzyły teraz prawdopodobnie ostrzej i uważniej niż kiedyś.

Przełożył teczkę do prawej ręki i znowu spojrzął na zegarek. Potem ostentacyjnie wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

Czeka na kogoś, kto się spóźnia i na pewno gorzko tego pożałuje, pomyślał Esko. Przypomniawszy sobie wspaniałą historię o budowie mostu w niemieckiej Afryce Wschodniej, tę inspirującą opowieść, którą podzielił się z nim Lazarus. Myślał też o planach budowy mostu w Iisalmi, budowy, która nigdy nie doszła do skutku. Nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało. Wracając myślami do przeszłości, uświadomił sobie, że pamięta nawet szary jedwabny krawat, który tamtego dnia miał Lazarus. Węzeł krawata został przesyty spinką usianą perłami i brylantami, a Lazarus ubrany był w długie do kostek futro, lśniące od topniejącego śniegu. Wydawało się wtedy, że wszystko na nim błyszczący niczym klejnoty... Esko zadrżał.

– Młody człowieku! Tak, do ciebie mówię! Ty, młodzieńcze! – głos Lazarusza brzmiał jak terkot karabinu maszynowego. – Ty tam, ty, który się na mnie gapisz! Czy ja cię znam?

– Nazywa się pan Joseph Lazarus – powiedział Esko, podchodząc szybko i wyciągając rękę.

– Tak jest – odparł tamten, strzelając obcasami, splatając dłonie za plecami i sztywno skłaniając głowę. Mówił po angielsku z wyraźnym niemieckim akcentem, posługując się adoptowanym językiem niczym laską lub bronią. – A ty?

– Esko Offermans – odparł Esko i zamilkł, zdumiony, że nadal używa przybranego nazwiska, o którym po sześciu tygodniach zdążył już prawie zapomnieć.

– Offermans? – Szerokie czarne brwi zbiegły się w jedną linię. – Czy to nazwisko powinno być mi znane?

– Poznaliśmy się dawno temu, w Finlandii. Byłem wtedy małym chłopcem.

– W Finlandii? – Lazarus prychnął. – Ach, cóż to za przekłety kraj. Mech i bagniska. Czarne lasy. Lód. Kryjący się po chatach chłopci. Nieszczęsne miejsce...

– Mój ojciec przedstawił mnie panu na szczycie dzwonnicy. Opowiedział mi pan o moście, który wybudował pan w Afryce. Ta historia towarzyszy mi przez całe życie.

Lazarus wetknął kciuki za klapy marynarki uszytej z pięknego płótna. Jego ciemne oczy zaśniły. Słowa Esko wyraźnie mu pochlebiły.

– To dzięki panu jestem architektem – ciągnął Esko. Na jego wybór złożyło się wiele rzeczy, między innymi dziedzictwo i przypadek, lecz pojawienie się Lazarusza także odegrało swoją rolę. – Dzięki panu zacząłem myśleć o architekturze.

– Jesteś architektem? Offermans, mówisz? – zainteresował się Lazarus. Podrapał się po brodzie i zmrużywszy oczy, szukał w pamięci odpowiedniego wspomnienia. – Oczywiście, *ja, ja*, teraz przypominam sobie twojego ojca. To był ten wariat, radykał. Miał być moim przewodnikiem po Finlandii. Jakże mógłbym zapomnieć? Usiłował kogoś zamordować. Przez niego straciłem zlecenie i zaraz wyjechałem z tego zwariowanego kraju.

– Stracił pan zlecenie przez mojego ojca? Jak to?

– Miałem budować most w... Chwileczkę, jak nazywała się ta miejscowość?

– Iisalmi?

– Nigdy bym nie pomyślał, że jeszcze kiedyś usłyszę tę nazwę! – Lazarus się roześmiał. – Wiesz, co zapamiętałem z pobytu w Iisalmi? Renifery. Potrawkę z mięsa renifera, zupę z renifera, pudding z renifera... Finowie jedli tyle tego mięsa, że chyba tylko przypadkiem oszczędzili zaprzęg św. Mikołaja! Jedzenie w Iisalmi było po prostu okropne. – Błysnął zębami, bielszymi od białego garnituru i najprawdopodobniej sztucznymi. – Więc ten szaleniec był twoim ojcem? A ty jesteś teraz architektem, tak? No, no... Co zbudowałeś?

– Trzy kościoły w Finlandii. Przed wojną pracowałem z Arnefeltem i Brombergiem.

– Bromberg nie żyje, prawda? – powiedział Lazarus obojętnie.

Najwyraźniej interesował się rozwojem kariery każdego potencjalnego rywala, nawet w tej przeklętej Finlandii.

– Został zastrzelony.

– I teraz projektuje wille w niebie, albo w innym miejscu, gdzie na pewno podają fatalne jedzenie – Lazarus uśmiechnął się wesoło, ponownie demonstrując lśniące zęby. – A w Nowym Jorku? Co zbudowałeś tutaj? – zapytał, strzepując jakiś pyłek z garnituru.

– Nic – odparł Esko z uśmiechem, nie dając się zbić z tropu.

– Nic? – powtórzył Lazarus i w jego oczach zapłonęła nagle najprawdziwsza radość. Wreszcie wyłowił z pamięci coś rzeczywiście bardzo zabawnego. – Zdumiewające! Tak jest, zdumiewające. Teraz już wiem, kim jesteś. Pamiętam cię tak dokładnie, jakby to było wczoraj... Jesteś tym małym chłopcem z poranioną twarzą, który chciał wiedzieć wszystko o windach. – Zaśmiał się złośliwie. – Chciałeś wiedzieć, jakie znaczenie mają windy. I co, dowiedziałeś się?

– Dzięki windzie każde piętro budynku można powtarzać w nieskończoność – Esko uśmiechnął się, gotów sam kpić z gorliwego, żadnego wiedzy chłopca, którym kiedyś był. – Dzięki windom możliwe jest istnienie wieżowców.

To rozbawiło Lazarusa jeszcze bardziej.

– No właśnie! Tylko nie mów mi teraz, że zamierzasz wybudować wieżowiec w Nowym Jorku! I może jeszcze najwyższy i najpiękniejszy, co?

– Tak jest.

– Ach, wy, faceci z rodziny Offermans! Wszyscy jesteście szaleńcami. Marzycielami!

Ale jego głos zmienił się, kiedy ujrzał, że Esko przygląda mu się z niezmiennym wyrazem twarzy.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Bardzo poważnie.

Lazarus westchnął, nie tyle z przykrością, ile z przyjemnością, przewidując klęskę, która, jego zdaniem, musiała spotkać Esko. Cóż, takie jest życie...

– Powodzenia – rzucił i niezgrabnie podniósł rękę, w której trzymał teczkę, aby spojrzeć na zegarek. – Gdzież podział się ten człowiek? Muszę zdążyć na pociąg. Do widzenia, Herr Offermans. Życzę szczęścia w realizacji projektu pańskiego *Wolkenkratzer*. Jak nazywacie je w Finlandii?

– *Pilvenpiirtaja*.

– Jak mogłem zapomnieć! Do widzenia, do widzenia!

Esko obserwował, jak odziany w swój wspaniały garnitur przeciska się wśród tłumu ku schodom. W głowie zaświtała mu myśl, że Niemiec po prostu się go pozbył, kiedy ten nagle odwrócił się na pięcie i znowu ruszył w jego stronę z pewnością siebie godną krążownika, który zbliża się do nieosłoniętej pozycji wroga.

Lazarus zatrzymał się i obrzucił Esko zamyślonym spojrzeniem.

– Może ja też jestem wariatem – odezwał się w końcu. – Kto wie? Ale mam takie dziwne przeczucie i dotyczy ono ciebie, Esko Offermans. Dam ci szansę. Przystąpimy razem do konkursu. Jeżeli wygramy, podzielimy się pieniędzmi.

– Pieniędzmi? – powtórzył zaskoczony Esko.

– Pieniędzmi z nagrody w konkursie „Gazette”. Jak to, ty nic nie wiesz? Redakcja ogłosiła wielki konkurs. Konkurs na projekt nowego drapacza chmur.

5

Biuro Lazarusa znajdowało się w kamienicy na Czterdziestej Siódmej, niedaleko redakcji „Vanity Fair”. Przybita obok wejścia tabliczka była wyjątkowo nieskromna, w przeciwieństwie do samego budynku, który zupełnie nie rzucał się w oczy. JOSEPH LAZARUS, MALARZ, ARCHITEKT, INŻYNIER I MISTRZ RZEMIOSŁA ARTYSTYCZNEGO, głosił napis wygrawerowany prostymi, dużymi literami na starannie wypolerowanym mosiądzu.

– Jeżeli Nowy Jork czegoś mnie nauczył, to tego, że trzeba umieć się zareklamować – wysapał Lazarus, zauważywszy zaciekawione spojrzenie Esko. – I nie zatrudniać zbyt dużo ludzi.

Wyjaśnił, że drastycznie przerzedził personel swego biura. Rysownicy przychodzili i odchodzili, sekretarki nie wytrzymały zwykle dłużej niż tydzień. Opowiedział Esko o tym wszystkim, kiedy wchodzili na klatkę schodową i wciskali się do windy tak ciasnej i dusznej jak trumna.

– Nasza umowa obowiązuje tylko na czas trwania konkursu – rzekł Lazarus. – Nie chcę, żebyś powziął jakieś fałszywe nadzieje.

– Rozumiem – odparł Esko.

– Moje biuro nie jest może szczególnie imponujące, ale dostaję zlecenia. Dużo zleceń – pokreślił Lazarus, podczas gdy winda z jękiem ruszyła w górę. – Nie należę do tych facetów z Yale czy Harvardu, którzy mają do dyspozycji nie tylko rodzinne fortuny, ale i znajomości wśród najbogatszych ludzi w tym kraju. Nienawidzę ich. Po tym, jak Harry Thaw zabił Stanforda White’a, należało dać mu karabin maszynowy i zachęcić, aby wystrzelał całą resztę tych drani. Mówię ci, Vaananen, jednym z największych kłamstw, jakie opowiadają Amerykanie, jest to, że nie mają systemu klasowego i związanych z nim przywilejów. Co za bzdura! Mają system klasowy, i to znacznie gorszy niż w Berlinie. – Lazarus prychnął pogardliwie. – Może nie aż tak sztywny jak w Londynie, lecz różnica jest doprawdy niewielka.

Esko spojrział na niego, pełen podziwu dla energii i zapału, dla głodu budowania, który ciągle błyszczał w oczach tego niemłodego przecież człowieka. Było popołudnie w dzień po ich spotkaniu na dworcu Pennsylvania i upał nie zelżał nawet odrobinę.

Spocony Lazarus otworzył windę na czwartym i ostatnim piętrze, i wskazał drzwi prowadzące do jego gabinetu oraz pokoju przeznaczanego dla kreślarza. Potem zaprowadził Esko do dusznej klatki bez okien, w której stłoczone były dwa metalowe biurka, kosz z bakelitu, metalowy regał, pełen zakurzonych tomów kodeksu budowlanego, dwa drewniane obrotowe krzesła i biały aparat telefoniczny. To miał być jego pokój.

– Niczym się nie przejmuj – oświadczył. – Będę tu do ciebie zaglądał.

Po czym zostawił Esko z ogłoszeniem o konkursie na projekt drapacza chmur.

50 TYSIĘCY DOLARÓW NAGRODY DLA ARCHITEKTA, KTÓRY ZAPROJEKTUJE NAJPIĘKNIEJSZY WIEŻOWIEC ŚWIATA. Budynek musi być nie tylko imponujący i przyciągający uwagę – należy także uwzględnić jego zastosowanie praktyczne. Będą się w nim mieścić wszystkie działy gazety, włącznie z drukarnią. Zaprojektowany drapacz chmur ma zachwycać energetyzującą formą i stać się inspiracją dla czytelników naszej gazety na całym świecie.

Po tym fascynującym wprowadzeniu następowały prozaične detale – lista warunków przystąpienia do konkursu, nazwiska jurorów (Esko nie znał żadnego z nich), lokalizacja i wymiary działki pod budowę oraz szczegółowy wypis z pochodzącej z 1916 roku i nadal obowiązującej na terenie Nowego Jorku ustawy budowlanej, wieloma punktami regulującej wysokość i kształt wieżowców. Ogólnie rzecz biorąc, chodziło w niej o to, że podstawowa bryła drapacza chmur mogła wznosić się tylko do pewnej wysokości – potem należało wykonać w niej wcięcie, aby nie pozbawiać ulicy naturalnego światła. Esko szybko zrozumiał, że ustawa jest nie tylko wymogiem prawnym, lecz także narzuca projektantom określony kształt sylwetki wieżowca. Nowojorskie drapacze chmur miały przypominać babilońskie zigguraty lub piętrowe torty.

Esko siedział na obrotowym krześle, z nogami na biurku, i przeglądał treść ustawy, kiedy drzwi otworzyły się i do pokoju weszła młoda kobieta o jasnych oczach i opalonej twarzy. Obrzuciła Esko szybkim i bystrym spojrzeniem, uśmiechnęła się lekko, usiadła przy drugim biurku i wyjęła z torebki urządzenie, które okazało się miniaturowym wiatraczkiem elektrycznym.

– Nazywam się Esko Offermans. Czy pani także bierze udział w konkursie? – odezwał się Esko, pełen przerażenia na myśl, że być może Lazarus dzień w dzień przemierza ulice Nowego Jorku, proponując uczestnictwo w konkursie każdemu napotkanemu architektowi.

– Jestem panna Kott – odparła dziewczyna, wciśnięciem guzika budząc wiatraczek do życia. – Mam być pańską sekretarką.

– Bardzo mi miło, panno Kott.

Esko poczuł ulgę i lekkie zdziwienie jednocześnie. Po co mu sekretarka?

– Panno Kott, czy ma pani sprawdzać, co robię?

Panna Kott uśmiechnęła się miło i skupiła uwagę na swoich czerwonych jak krew paznokciach, które zaczęła suszyć w płynącym od wiatraczka prądzie powietrza.

Podczas lunchu Lazarus był zupełnie szczery. Powiedział, że zatrudnił Esko wyłącznie dlatego, że on sam jest zbyt zajęty, a data zgłoszenia projektu do konkursu upływa dokładnie za dwa tygodnie.

– Tak czy inaczej, nie masz szans – oznajmił mocno irytującym, pobłażliwym i pełnym wyższości tonem, wysysając ostrygę mięsistymi wargami. – Do udziału zaproszono wszystkich wielkich architektów z całego świata.

Jeszcze ci pokażę, pomyślał Esko, w pełni świadomy sprawę, że Lazarus spodziewa się po nim właśnie takiej reakcji. Lazarus był przebiegły, do perfekcji opanował sztukę manipulacji i już teraz wywierał presję na Esko, chcąc się dowiedzieć, czy ma na co liczyć. W gruncie rzeczy Esko nie miał mu tego za złe – zamierzał zaprojektować coś, co sprawi, że serce starego spryciarza na chwilę przestanie bić.

Zerwał się z krzesła, chwycił szkicownik i ołówki, zarzucił na ramiona marynarkę, włożył kapelusz i ciemne okulary, i skinął głową pannie Kott, która patrzyła na niego znad wirującego wiatraczka.

– Kiedy pan wróci?

– Gdy będę wiedział, co robić dalej – odrzekł Esko ze szczerym uśmiechem. – Kiedy będę miał jakiś pomysł.

Wybrana przez redakcję „Gazette” działka znajdowała się na Czterdziestej Drugiej ulicy, blisko wybrzeża East River. Było to śmiałe miejsce jak na budynek firmowy, a także sygnał, że cała okolica, niezbyt wyrafinowana i raczej tania, wkrótce zyska zupełnie inny charakter. W 1922 roku na przestrzeni kilku przecznic nie było tu jeszcze żadnych interesujących budynków.

Nowy wieżowiec miał nadać ton dzielnicy, w której, jak zauważył Esko, najwięcej było kamienic czynszowych, podupadłych antykwariatów, pralni buchających kłębamii pary, wielkich pojemników na gaz i marnych zakładów krawieckich. Wszystkie budynki były czarne od sadzy, której źródłem wydawały się kominy pobliskich browarów i elektrowni.

Od czasów Woolwortha w Nowym Jorku nie powstał żaden wielki drapacz chmur. Esko zdawał sobie sprawę, że właśnie dzięki temu ma szansę stworzyć budynek będący prawdziwym symbolem nowego wieku, powojennego świata, rozczarowanego, co rozumiałe, przeszłością, ale jednocześnie tryskającego energią gorączkowo i nieco desperacko. Louis Sullivan, ojciec drapacza chmur, twierdził, że forma stanowi prostą konsekwencję funkcji. Przez tysiące lat inżynierowie i architekci nie mogli wznosić bardzo wysokich budowli, ponieważ ich ściany musiały dźwigać cały ciężar. Stąd kształt egipskich piramid. Stąd przypadki „krzywienia się” średniowiecznych katedr i wież. W latach siedemdziesiątych XIX wieku problem ten zniknął dzięki wynalezieniu stalowej ramy konstrukcyjnej. Drapacze chmur mogły więc już powstawać, czekały tylko na jeszcze jeden wynalazek – windę, starą przyjaciółkę Esko. Teraz olbrzymi ciężar budynku podtrzymywała stalowa rama, a cienkie ściany z cegły lub betonu po prostu stawiano w miarę dodawania kolejnych elementów ramy. Esko miał okazję zaobserwować ten proces, pracując razem z Bo, Cristofem, Gunnarem i braćmi Mantilini. Ściany były tylko ubraniem, nie ciałem, i podobnie jak ubranie, można było je zmieniać i upiększać zgodnie z wolą architekta oraz klienta. Cass Gilbert, który budował wieżowiec Woolwortha, zaprojektował go na wzór katedry, świątyni pieniądza, nie Boga, niemniej katedry, ponieważ tylko z katedrą kojarzył się jemu, a raczej panu Woolworthowi, termin „wysoki budynek”. Wysoki jak katedra w Chartres. Wysoki jak katedra w Reims. Imponujący drapacz chmur Woolwortha był hybrydą, ersatzem średniowiecznej budowli. Naelektryzowana atmosfera Nowego Jorku 1922 roku domagała się czegoś zupełnie innego. Świat zmienił się – Esko wyczuwał to i dostrzegał. W czasie wojny w Europie zginęły miliony ludzi, upadły mocarstwa i powstało nowe im-

perium, natomiast tu, w Ameryce, w ojczyźnie automobilu, radia, aparatu fotograficznego i filmu narodziło się pierwsze prawdziwie nowoczesne miasto, Nowy Jork.

Spacerując ulicami i zastanawiając się nad tym wszystkim, dotarł do zaniedbanego molo w porcie i namówił kapitana holownika, aby zabrał go na przejażdżkę po rzece. Wkrótce stał na pokładzie stateczku, o którego burty z pluskiem uderzały fale. Nad jego głową wrzeszczała para mew, walczących o kawałek zdechłej ryby. Esko w zamyśleniu rozmasował ramię, które czasami jeszcze bolało go po tym, jak Paul Mantilini prawie wyrwał je ze stawu, i spojrzał w stronę brzegu. Dalekie wieżowce niższego Manhattanu lśniły w lekkiej mgiele. Wiatr przyniósł świeży zapach ozonu i zsunął mu kapelusz na tył głowy. Słońce odbiło się w metalowej powłoce jednego z wielkich pojemników na gaz, stojących w pobliżu portu. Z bliska, z ulicy, Esko widział tylko, że są stare, zardzewiałe i brudne, ale teraz, z perspektywy, dostrzegł ich piękny kształt i czyste linie. Wznosiły się wysoko, niczym nie osłonięte i nie ozdobione, wyraźnie widoczne w rozedrganym od upału powietrzu, przyciągając uwagę swoją najważniejszą i najbardziej wyrafinowaną cechą – formą i smukłością.

Otworzył szkicownik i szybko narysował pojemniki na gaz, fabryki, rzeźnię i stojące wzdłuż brzegu ceglane budynki. Potem zaczął rysować wyżej, wyłącznie pionowymi liniami, tworząc nowy styl architektoniczny dzielnicy. Naszkicował nową linię budynków na tle nieba, las wysokich, dumnych drapaczy chmur. W zestawieniu z poprzednim rysunkiem sprawiało to takie wrażenie, jakby ze szpetnych nasion wyrosły potężne, cudowne drzewa. Od razu się zorientował, że jeżeli wszystkie budynki mają być tak wysokie, musi być ich znacznie mniej. Odwrócił kartkę i wykonał następny szkic, tym razem rysując drapacze chmur na siatce ulic, otaczając je parkami i łącząc z wysoko biegnącymi autostradami. Ulica, wraz z całym jej brudem i bałaganem, zniknie. Nierówne kąty i paskudnie zabudowane fragmenty tej części Nowego Jorku przestaną istnieć. Wszędzie pojawią się wielkie, czyste kryształki ze stali i szkła, twory tego trendu architektonicznego, który był symbolem

równości, humanitaryzmu i zażegnanych konfliktów. Cały brzeg East River przeistoczy się w utopijną krainę, nowoczesną Wenecję, miasto arkad, placów, mostów i kanałów, które zastąpią ulice, wypełnionych nie wodą, lecz swobodnie przepływającym w obie strony ruchem samochodowym. Słońce będzie lśniło w czarnych dachach aut, a błyszczące, przeszklone budynki odbijać będą rozkołysane fale sunących ulicami samochodów.

Schował szkicownik, zacisnął dłonie na balustradzie i znowu utkwiał spojrzenie w zabudowaniach na brzegu, widząc nie to, co znajdowało się tam w tej chwili, lecz obraz, który miała namalować przyszłość. We Włoszech okresu renesansu artyści pracowali dla papieży i Borgiów. On natomiast będzie pracował dla nitowaczy, dla Bo, Gunnara i dla pamięci dwóch tragicznie zmarłych braci Mantilini, dla sekretarek i młodych mężczyzn w letnich ubraniach, którzy codziennie wysiadali z pociągów na Pennsylvania Station i spieszili do pracy, dla Klause i syna Bongmana, dla zwykłego człowieka, do którego musi należeć przyszłość. Nowa Wenecja powstanie w Nowym Jorku i będzie zapowiedzią nowej, rodzącej się epoki. Możemy być lepsi, będzie mówiła. Możemy dać światu piękno.

Kapitan holownika zauważył, że jego pasażer przechadza się po pokładzie, skupiony i podniecony. W głowie Esko zaświtała nagle myśl, że mógłby zostać architektem metropolii wewnątrz metropolii, tym, który daje wyraz wielkiemu wysiłkowi całego społeczeństwa. Dlaczego nie miałoby tak być? Zaproponowano mu, aby wybudował dwadzieścia kościołów, dlaczego więc nie dwadzieścia drapaczy chmur? Aby mogło się do zdarzyć, musiał tylko zaprojektować jeden śmiały i piękny budynek. Musiał wygrać konkurs „Gazette”, zwyciężyć w walce z największymi architektami świata, nic więcej.

Esko zatarł dłonie. Zrobię to, powiedział sobie, i naprawdę nie wątpił, że uda mu się osiągnąć ten cel, bo przecież pomysł na zwycięski projekt tkwił w jego umyśle od wielu, wielu lat, od czasu, gdy mając lat jedenaście ujrzał go przed sobą nad jeziorem w małej fińskiej wiosce.

– Panno Kott, bierzemy się do pracy! – oświadczył po powrocie do biura.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wszedł Lazarus, ocierając spocone czoło wielką chustką do nosa. Natychmiast zauważył wiatraczek panny Kott, chwycił go i podstawił sobie pod brodę warczące śmigiełka.

– Mam dobre wiadomości – powiedział, bardzo z siebie zadowolony. – Kiedy ty sobie spacerowałaś, Herr Offermans, ja pracowałem. Wracam właśnie ze spotkania z przyjaciółką, która jest w bardzo bliskich i intymnych stosunkach z jednym z jurorów konkursu. Dzisiejszą noc spędzili w łóżku.

Lazarus odwrócił się do panny Kott i mrugnął znacząco.

– Przepraszam panią bardzo, moja droga – dodał. – Sęk w tym, że ten juror powiedział swojej przyjaciółce, to jest mojej przyjaciółce, coś wyjątkowo interesującego, a mianowicie – że w konkursie zwycięży projekt gotyckiej wieży. Jury chce otrzymać projekt gotyckiej wieży, rozumiecie? Coś takiego jak wieżowiec Woolwortha.

Odstawił wiatraczek na biurko panny Kott.

– Gdzie go pani kupiła? Nie był drogi? Chcę dostać taki sam – oznajmił bezwstydnie, napinając czerwone szelki na swoim wystającym brzuchu. – Ta wiadomość znacznie ułatwia sprawę, prawda? Zawęźa pole działania. Ma być gotyk, i tyle. Projekt w stylu Woolwortha, inny, ale jednak zbliżony. Proste, nie?

Esko milczał.

– Nie – odparł po chwili.

Lazarus wznosił ręce do nieba. Jego jedwabna koszula o szerokich mankietach miała elegancki, jasnoszmaragdowy kolor.

– Chcesz wygrać? Chcesz, żeby moje biuro firmowało twój projekt? Jeżeli tak, to sprawa jest prosta, przyjacielu. Komer-cjalny gotyk, oto, czego masz się trzymać. Myślisz, że zawsze będziesz mógł robić, co chcesz? Niewykluczone, że jest to możliwe w Finlandii, gdzie stawiacie sobie jakieś tam klocki na lodzie, ale my, w Nowym Jorku, żyjemy w rzeczywistym świecie. I ten świat tym razem domaga się drugiej katedry Notre Dame, tyle że pod wezwaniem dolara.

Esko wstał i wziął kapelusz z rozgrzanego blatu biurka.

– W takim razie zaprojektuję budynek dla kogoś innego – powiedział.

Lazarus ponownie podniósł obie ręce i przewrócił oczami.

– Panno Kott, sam jestem sobie winien! – wykrzyknął. – Spotkałem tego człowieka na dworcu Pennsylvania i postanowiłem mu pomóc. – Jęknął teatralnie, niczym zdradzony Pajac. – Nie powinienem był tego robić! Dałem pracę idiotcie!

Esko nie zrezygnował ze współpracy z Lazarusem, chociaż przez następnych parę dni bardzo się męczył, nie będąc w stanie ani myśleć, ani rysować. To, co wcześniej przepływało przez jego wnętrze radosną, pełną entuzjazmu falą, teraz zamarło w bezruchu, zlodowaciało. Wpatrywał się w pustą kartkę papieru, leżącą przed nim na biurku, i miał wrażenie, że w jego sercu przesypują się duże kawałki lodu, tworząc twardą masę frustracji.

– Ten człowiek nie ma żadnych ideałów ani zasad moralnych – skarżył się pannie Kott. – Budynek nic go nie obchodzi. Chce dostać zlecenie na realizację projektu, za wszelką cenę.

Panna Kott prychnęła cicho.

– Znałem wielu takich jak on – ciągnął Esko. Mówił prawdę, Oskari Bromberg był bardzo podobny do Joe Lazarusa. Esko rozumiał, że właśnie tak wyglądają konkursy architektoniczne. Jurorzy mają swoje upodobania, często nierozsądne lub wręcz głupie, lecz tak czy inaczej zawsze kierują się swoimi preferencjami. Nie był naiwny, wiedział, co dzieje się w światku architektów, ale jakaś część jego duszy ciągle głośno sprzeciwiała się prawom rządzącym tym światem. – Sprzedałby własną matkę, byle wygrać.

– To całkiem możliwe – powiedziała panna Kott.

Wszystko sprowadza się do tego, jak bardzo mnie samemu zależy na wygranej, myślał Esko. Odpowiedź była prosta: bardzo, nawet więcej niż bardzo zależało mu na zwycięstwie w konkursie. Żeby zbudować dwadzieścia drapaczy chmur, musiał zacząć od jednego, pierwszego i najważniejszego. A jednocześnie nie był gotowy na kompromis, w każdym razie nie na warunkach Lazarusa. Chodziło więc o to, w jaki sposób połączyć biznes, przeszłość, prawdziwego ducha Ameryki, swoje własne

namiętne poszukiwanie formy i skomponować z nich wspaniałą melodię, która przekona jurorów, że mają przed sobą to, czego chcieli, gdy w rzeczywistości...

Na twarzy Esko pojawił się uśmiech. Przypomniał sobie scenę z *Kalewali*, scenę, w której stary czarownik wyśpiewuje zaklęcia, zatapiając swego wroga w bagnie, a następnie wydobywając go z błota.

– Panno Kott! – zawołał i natychmiast usłyszał ciche kliknięcie, z jakim jego sekretarka wyłączyła elektryczny wiatraczek. – Wpadłem na pewien pomysł. Pokażę im wszystkim, jak powinien wyglądać ten drapacz chmur.

– Świetnie – mruknęła panna Kott znudzonym głosem. – Czy będzie to równie ciekawe jak mecz baseballowy?

– Ciekawsze, panno Kott. Dużo ciekawsze.

Razem opróżnili duszny, mały pokoik. Wynieśli biurko Esko, jego krzesło, metalową półkę, ciężkie jak kamienie tomy kodeksu budowlanego i ułożyli to wszystko w korytarzu na zewnątrz. Zostawili tylko biurko panny Kott, które, ustawili pod ścianą, jej krzesło i elektryczny wiatraczek. Esko wyłączył telefon, przeniósł go do pokoju obok, a potem dokładnie wyszorował podłogę.

– Niedługo wrócę – oznajmił, wychodząc.

Wrócił niecałą godzinę później, na czele procesji robotników, z których każdy dźwigał dwa wiadra mokrej, dobrze rozrobionej gliny.

– Co się dzieje? – zapytał Lazarus, wpadając do pokoju z kciukiem zatkniętym za czerwoną szelkę. – Co to ma być? Zakładasz przedszkole, czy co?

– Dzisiaj rano coś sobie uświadomiłem. Esko podwinał rękawy i zanurzył ręce w jednym z wiader. – Myślałem o ustawie dotyczącej budowy wieżowców i ograniczeniach, jakie ona narzuca. – Na podłodze z głośnym plaśnięciem wylądowały dwie garście gliny, potem jeszcze dwie. – Widzisz, Joe, tak naprawdę te ograniczenia określają zmianę na linii budynek–powietrze, rozumiesz?

– Niezupełnie – odparł Lazarus sucho.

– Oznaczają one, że wysoki budynek musi być wyrzeźbiony,

tak jakby powietrze pocięło go i nadało mu kształt. Teraz mnie rozumiesz? Nie narysuję swojego projektu, lecz go ulepię. Ulepię z gliny.

Wyraz twarzy Łazarusa świadczył, że nowy pomysł bardzo mu się spodobał. Esko rzucił na podłogę jeszcze cztery garści gliny.

– Ten budynek będzie pozbawiony wszelkich ornamentów.
– Musi być gotycki! – jęknął Łazarus.
– Zastosuję podstawową zasadę konstrukcji wieży, gotyckiej wieży, ale tylko tej jednej, jedynej zasady. Masa budynku znacznie się zwężać ku górze. Będzie to gotyk, lecz mój gotyk, gotyk nie mający nic wspólnego w Woolworthem. – Esko opadł na czworaki i zaczął formować glinę za pomocą swojego *puukko*. Jasnoszara glina była mokra i wydzielala przyjemny, lekko kredowy zapach. Kroilo się ją łatwo, jak kruche mięso. – Jesteś tu jeszcze, Joe?

– Gdzie mój telefon?

– W koszu na śmieci. Nawiążę kontakt ze światem dopiero wtedy, kiedy będę gotowy.

Esko pracował dzień i noc, wychodząc z biura dopiero nad ranem, gdy neony na Broadwayu przygasały, samotne, pojedyncze światła w wysokich budynkach jaśniały jak latarnie, a odgłosy przejeżdżających w oddali samochodów i przepływających statków odzywały się przyciszonym, nieśmiałym echem. O tej porze dnia Esko prawie wierzył w romantyczną obietnicę Nowego Jorku, tego miasta-Kopciuszka, a raczej nie tyle miasta, ile ucieleśnionego marzenia wszystkich, którzy tu przyjeżdżali.

W czasie następnych dni projekt powoli zaczynał nabierać kształtu. Pewnego ranka panna Kott, zjawiwszy się w biurze, zastała Esko przy pracy, już nie na kolanach, lecz stojącego, ponieważ rzeźba sięgała mu teraz do piersi. Z wysoko podniesionymi brwiami obesza masę gliny i usiadła za biurkiem, stawiając przed sobą wiatraczek.

Smukła gliniana wieża przestała być widowiskiem, które budzi jedynie rozbawienie. Ci którzy go oglądali, nadal odnosili się do projektu podejrzliwie, czasami nawet wrogo, lecz dzieło zaczęło robić na nich wrażenie. Model przywodził na myśl

wzbierającą moc, wzbijającą się w niebo fontannę. Nawet Lazarus nie ukrywał zadowolenia.

– Niewykluczone, że Finlandia okaże się więcej warta, niż myślałem, panno Kott – oświadczył, drapiąc się po policzku.

Któregoś dnia późnym wieczorem Esko wracał z łazienki, kiedy poczuł w powietrzu zapach papierosowego dymu, słodkiego, tureckiego tytoniu. Wszedł do biura i ujrzał stojącego na środku mężczyznę, który spokojnie przyglądał się prawie skończonemu modelowi. Mężczyzna był przystojny, szczupły, średniego wzrostu, gładko ogolony, o prostym, wąskim nosie i zagłębieniu w brodzie. Miał jasne, dość długie, zaczesane do tyłu włosy. Ubrany był w smoking, nie nosił jednak krawata, tylko udrapowany wokół szyi jedwabny szalik, który Esko natychmiast skojarzył się z Iśniąca, białą pętlą. Nieznajomy zaciągnął się papierosem i jego młodzieńczą twarz wykrzywił lekki grymas.

– No, dobrze – odezwał się. Miał kulturalny, nieco rozleniwiony głos i mówił powoli, jakby protestując przeciwko konieczności odzywania się do innych. Jego szaroniebieskie oczy nadal utkwione były w glinianej rzeźbie. – Kim pan jest?

– A kim pan jest, że śmie pan tu wchodzić, zupełnie jakby to miejsce było pana własnością?

Intruz podniósł rękę, musnął palcem dołek w swojej brodzie, a drugą ręką wyjął z kieszeni platynową papierośnicę.

– Papierosa? Proszę bardzo – rzekł, lekko stukając papierosem o metalową krawędź, zapalając go i zaciągając się dymem. – Jeśli mam być szczery, to muszę przyznać, że to miejsce rzeczywiście jest moją własnością – powiedział. Jego głos i zachowanie emanowały poczuciem wyższości, z którym z całą pewnością przyszedł na świat. – Należy do mnie także większa część tej ulicy.

– Moje gratulacje – rzucił Esko, nie zamierzając okazywać, że wiadomość ta zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Mężczyzna obojętnie wzruszył ramionami.

– To pańskie dzieło? – zapytał, mrużąc oczy przed dymem i językiem przesuwając papieros do kącika ust.

– Tak.

– Piękne. – Chociaż powiedział to bez specjalnego nacisku,

Esko z przyjemnością pomyślał, że chyba jest szczerzy. – Na konkurs „Gazette”?

– Tak jest.

– Niewykluczone, że wygra.

– Zawsze istnieje taka szansa.

– Joe ukrył tu pana przed światem, co? Ani słowem nie wspomniał, że zatrudnił nowego architekta.

– Nasza umowa dotyczy tylko zgłoszenia projektu na konkurs.

– Naprawdę? – zapytał mężczyzna, wydmuchując chmurę dymu. – Skąd pan pochodzi?

– Z Finlandii.

– I rozumiem, że chce pan zwyciężyć w konkursie i przebudować tę część miasta, gdzie dorastałem. Mój ojciec byłby niepokieszony.

– Bardzo mi przykro.

– Nie musi panu być przykro – odparł, czubkiem palca zdejmując drobinę tytoniu z języka. – A przy okazji – jestem Andrew McCormick.

– Esko Offermans. – Obaj mężczyźni obeszli wysoką glinianą rzeźbę i uścisnęli sobie dłonie. – Znasz Lazarusa?

– Och, oczywiście, znam Joe od lat. Zbudował dla mnie sporo rzeczy w Miami. Dwa hotele, klub sportowy, ze dwa domy... W Miami i okolicy Joe ma najwięcej do powiedzenia i w zasadzie nie ma konkurencji. Pohukuje na wszystkich, którzy próbują wdrzeć się na jego terytorium, i zwykle robi to tak skutecznie, że faktycznie trzymają się z daleka. Ale Nowy Jork to już zupełnie inna historia. Jak na razie Joe nie odniósł tu podobnych sukcesów.

Esko przyjął to do wiadomości bez cienia rozczarowania. Pozycja Joe Lazarusa w Nowym Jorku nie była przecież żadną przeszkodą na drodze do zwycięstwa w konkursie. Słowa McCormicka sprawiły nawet, że poczuł sympatię do Lazarusa. Zawsze stawał po stronie słabszych.

– Zajmujesz się handlem nieruchomościami? – zapytał.

McCormick podniósł głowę wysoko do góry, nie chcąc dmuchać dymem na model.

– Łączę pieniądze z pomysłami, aby zarobić jeszcze więcej pieniędzy. Czy na tym, twoim zdaniem, polega handel nieruchomościami? Jeżeli tak, to właśnie tym się zajmuję. – Spojrzał na Esko i uśmiechnął się lekko. – Joe jest o mnie bardzo zazdrosny. Stale się obawia, że przejdę do obozu jakiegoś innego architekta.

– I co? Zrobisz to?

MacCormick roześmiał się, zaskoczony taką bezpośredniością.

– Cenię lojalność u innych, więc sam także staram się być lojalny. Ale z drugiej strony jestem biznesmenem i naprawdę lubię architektów.

– Lubisz Joe Lazarusa?

– Tak. Joe potrafi wszystko załatwić. Zna życie i wie, jak się zachować. Zaprasza ważnych ludzi na lunch, wlewa w nich masę dobrego alkoholu i w końcu zawsze dostaje to, na czym mu zależy. I nieźle projektuje. Założę się, że ty jesteś inny pod każdym względem.

– Czy to ma być komplement?

– Interpretacja zależy od ciebie. Życzę powodzenia w konkursie.

6

Esko przygotował rysunek projektu na doskonałej jakości papierze graficznym, rozrysował rzuty wszystkich elewacji i sekcji, i wysłał je do redakcji „Gazette” razem z glinianym modelem drapacza chmur tuż przed upływem ostatecznego terminu składania ofert konkursowych. Potem pozostało mu już tylko czekać na ogłoszenie wyników.

W ciągu następnych dwóch miesięcy, w październiku i listopadzie 1922 roku, gdy Benito Mussolini, Il Duce, doszedł do władzy we Włoszech, niemiecka marka załamała się, powodując gwałtowny wzrost inflacji oraz popularności pewnego nieznanego dotąd polityka, Adolfa Hitlera, gdy odnaleziono grobowiec Tutanchamona, odkrywając znajdujące się w nim niezwykle

skarby, gdy władca amerykańskiego imperium filmowego wyruszył do Europy, oznajmiając, że chce zaproponować 100 tysięcy dolarów sławnemu lekarzowi Zygmuntowi Freudowi, za konsultacje do serii filmów o tematyce erotycznej, gdy do występującego w Chicago zespołu jazzowego King Oliver's dołączył młody i obiecujący trębacz, Louis Armstrong, który wcześniej grywał głównie na przyjęciach i pogrzebach, „Gazette” podbudowywała swój wizerunek wyroczni w sprawach architektury, publikując artykuły poświęcone wielkim budowlom powstałym w ciągu dziejów: wieży Babel, piramidom, Parthenonowi, Koloseum, katedrze Notre Dame w Paryżu i bazylice św. Piotra w Rzymie, siedzibie Thomasa Jeffersona w Monticello oraz wieży Eiffla w Paryżu. Na tym kończyła się lista uznanych przez redakcję arcydzieł architektury, a dalszy wniosek był jasny: nagrodzony w konkursie projekt dołączy do wielkich poprzedników i zyska niezwykły prestiż.

W tym czasie Esko dokonał paru interesujących obserwacji. Praca nad projektem pochłonięła go do tego stopnia, że dopiero teraz zauważył, iż jego pozycja w życiu miasta uległa istotnej zmianie. Kelnerki w barze, gdzie nadal jadał śniadania, traktowały go jak stałego klienta i dobrego znajomego. Młody człowiek za kontuarem w bibliotece publicznej witał go uśmiechem i zwracał się do niego po imieniu. W czasie długich wędrówek po mieście, które dalej chętnie odbywał, przekonał się, że większość ulic zna już tak dobrze, jakby spacerował nimi od lat. W biurze Lazarusa, gdzie nadal pracował, pomagając zaprojektować hotel w Miami oraz kilka innych budynków, na które zlecenia Lazarus miał nadzieję otrzymać w Nowym Jorku, stał się osobą znaną, akceptowaną i lubianą, ponieważ ciężko pracował i nigdy nie odmawiał pomocy. Był jeszcze outsiderem, ale już nie tylko obserwatorem wydarzeń, i miał tego świadomość, a ponieważ uczestnictwo w konkursie wiele mu dało i odegrało naprawdę ważną rolę w jego życiu, przez długi czas w ogóle nie martwił się o wynik. Ostateczny rezultat nie zależał teraz od niego. Był także pewien, że jeżeli jakieś zabiegi dyplomatyczne mogą pomóc projektowi, to Joe Lazarus nie zaniedba żadnego z nich. Tak więc był zupełnie spokojny, aż do ostatniego

tygodnia. Cztery dni przed ogłoszeniem wyników szedł Szóstą Aleją przez śnieg i nagle pomyślał: „Co będzie, jeżeli wygram?”. Nie marzył o fanfarach (no, może odrobinę), lecz o wzruszeniu, które poczuje, kiedy pierwszy nit zostanie wbity w stalową ramę i drapacz chmur, jego drapacz chmur, zacznie wznosić się ku niebu. Przyszło mu do głowy, że chciałby opowiedzieć o tym Katerinie, nie po to, aby się pochwalić, ale by po raz pierwszy stanąć przed nią jako dorosły, spełniony człowiek – prawdziwy Esko, dojrzały mężczyzna, gotów przyjąć pełną miarę jej miłości. Karcił się za głupotę i powtarzał sobie, że przecież nie ma to najmniejszego znaczenia, bo tak naprawdę liczy się tylko praca, lecz równocześnie zdawał sobie sprawę, że świat zewnętrzny ma jednak duże znaczenie, że nad jego pracą dokonuje się właśnie osąd, a może nawet już został dokonany, osąd, który wpłynie na jego dalsze życie. Był Finem i jako Fin bardzo poważnie traktował kwestię zwycięstwa lub klęski. Wreszcie zaczynał doceniać dramaturgię konkursu i jego aspekt romantyczny. Jakiś drapacz chmur zostanie zbudowany, jakiś architekt wyrwany z nicości i wyniesiony do sławy. Dlaczego to on nie miałby być tym architektem? Dlaczego nie?

Ogłoszenie wyników miało odbyć się w piątek, 11 grudnia. Dzień wcześniej Esko wyjął telefon z biurowej szafy, gdzie ukrył go wśród ręczników. Postawił aparat na biurku i wpatrywał się w niego przez cały dzień. Hipnotyzował go wzrokiem, siłą woli usiłował nakłonić, by wreszcie zadzwonił.

– Doprowadza mnie pan do szaleństwa – oświadczyła panna Kott, czyszcząc paznokcie. – Jutro wyniki będą w gazecie, razem z paroma słowami o zwycięzcy. O co więc chodzi? Proszę iść do kina.

– Ma pani zupełną rację, panno Kott – zgodził się potulnie.

Włożył palto i resztę dnia oraz cały wieczór spędził w niepowtarzalnej, jedynej w swoim rodzaju ciemności sali kinowej, otoczony ludzkimi łzami i śmiechem. Był na *Narodzinach narodu* w kinie Selwyn, na *Całej nocy* z Rudolfem Valentino w Loew's, na *Więźniu Zandy* Rexa Ingrama w Plaza, potem w Rialto oglądał Bustera Keatona, wychodzącego z metra na Manhattanie wprost w zaśnieżoną pustynię w *Lodowatej północy*

oraz nowy film Chaplina, *Dzień wypłaty*, w którym Charlie w wagonie restauracyjnym trzymał się salami tak, jakby był to uchwyt. Z Rialto wyszedł już po północy i stojąc pod daszkiem, postawił kołnierz palta, czując jak w jego umyśle zaczynają dzwonić dzwonki największego podniecenia, jakie kiedykolwiek było jego udziałem. Poranne wydania gazet były już w kioskach.

Ostry podmuch wiatru przeleciał po Broadwayu, rzucając śniegiem w twarz Esko i szeleszcząc cienkimi stronicami „Gazette”. Obok artykułu na pierwszej stronie „Czy fala przestępczości wśród młodych chłopców jest naszą winą?” widniał tytuł: „Redakcja ogłasza wyniki konkursu”. Gorączkowo przerzucił kilka stron i wreszcie znalazł to, czego szukał.

PROJEKT NUMER 92

AUTOR: PETER WINROB

CHICAGO

PIERWSZA NAGRODA – 50 000 DOLARÓW

PROJEKT NUMER 180

AUTORZY: JOSEPH LAZARUS I ESKO OFFERMANS

NOWY JORK

DRUGA NAGRODA – 30 000 DOLARÓW

PROJEKT NUMER 22

AUTORZY: FRITZ HOOSMANS I JAN SCHMIDT

AMSTERDAM, HOLANDIA

TRZECIA NAGRODA – 20 000 DOLARÓW

Czytał dalej, nie do końca pewny, czy małe ludziki, podskakujące w jego brzuchu, wykonują radosną polkę, czy raczej smutny walc. Nie wygrał, ale to w końcu drugie miejsce! W Finlandii Eliel Saarinen zrobił karierę, zajmując drugie miejsce w najróżniejszych konkursach. Niewykluczone więc, że z jego drugiej nagrody także będzie jakaś korzyść.

„Ten wielki konkurs jest bezprecedensowym wydarzeniem, które sięgnęło do rezerw geniuszu dawnego i nowego świata. Metodę konkursu projektów coraz częściej stosuje się w przypad-

ku budynków użyteczności publicznej, lecz nowa siedziba naszej redakcji będzie pierwszym gmachem stanowiącym prywatną własność nagrodzonym w otwartym konkursie, do którego przystąpili najlepsi architekci z całego świata. Nigdy dotąd nie było takiego konkursu i wydaje się wątpliwe, aby ogłoszono podobny w najbliższej przyszłości.

Pragnieniem redakcji «Gazette» jest wniesienie najpiękniejszego i najciekawszego biurowca w skali światowej, i wszystko wskazuje na to, że zamiar ten zostanie wkrótce zrealizowany. Reakcja na nasze zaproszenie okazała się spontaniczna i niezwykle owocna. Jury nagrodziło trzy projekty i zwróciło uwagę na co najmniej tuzin innych, zasługujących na najwyższe uznanie. Wieżowce wybudowane według tych projektów na pewno okazałyby się dziś najbardziej interesującymi budynkami w Nowym Jorku i mogłyby znaleźć się na liście najwybitniejszych osiągnięć w dziedzinie architektury światowej. Tak więc nasz konkurs stał się idealnym sposobem do osiągnięcia dwóch celów: po pierwsze, dzięki niemu redakcja zyska najwspanialszy gmach w całym Nowym Jorku; po drugie, uczestnicy konkursu stworzyli prawdziwe dzieła sztuki architektonicznej, których projekty wcześniej czy później doczekają się realizacji. Taką właśnie nadzieją kierował się nasz zespół redakcyjny i nadzieja ta znalazła żywe odbicie w rzeczywistości. Decyzja jury była jednogłówna i zgodnie z podanymi do wiadomości ogólniejszymi zasadami konkursu nie podlega zaskarżeniu”.

Następnego dnia rano Esko przyszedł do biura na Czterdziestej Siódmej i z pewnym zaskoczeniem odkrył, że jego szef już świętuje wynik konkursu. Na widok Esko Joe Lazarus potrząsnął butelką, która miała szyjkę owiniętą złotą folią, i spryskał go odrobiną szampana.

– Wspaniała wiadomość – powiedział, błyskając równymi zębami i chwytając Esko w ramiona. – Pierwsze miejsce Petera Winroba to absurd, *natürlich*. Wielka szkoda, że Harry Thaw nie dotarł do Chicago, bo Winrob powinien już od dawna wachać kwiatki od spodu. Jako architekt jest żywym trupem, ale cóż robić... Redakcja poinformowała mnie, że organizują wystawę wszystkich zgłoszonych projektów. *Komm mit*.

– Teraz? – zapytał Esko, zdumiony i rozbawiony wybuchem energii Lazarusza.

– Oczywiście, że teraz. Jasne. Teraz!

Włożył miękkie futro do kostek, futrzany kapelusz, chwycił laskę i zanim Esko zdążył trącić się kieliszkiem z panną Kott, ujął go pod ramię i poprowadził do drzwi. Zatrzymali taksówkę i pomknęli na północ przez śnieg i wznoszące się nad jezdnią obłoki pary. Esko poczuł, że mimo woli ogarnia go przyjemne podniecenie, zupełnie jak wtedy, gdy jako mały chłopiec uległ fascynacji postacią niezwykłego człowieka-pawia, Josepha Lazarusa.

– Jesteś zadowolony? – zapytał Esko.

– Bardzo – odparł ze śmiechem Lazarus, wymachując laską jak szpadą. – I ty także powinieneś być szczęśliwy, Esko Offermansie. Cóż za piękny ranek!

– Gdzie ma odbyć się ta wystawa?

– W hotelu Plaza.

Esko kiwnął głową. Zastanawiał się, dlaczego intuicja podpowiedziała mu, że Lazarus wymieni właśnie to miejsce. W hotelu Plaza, gdzie zatrzymał się po przybyciu do Nowego Jorku, znano go jako Esko Vaananena i chociaż wydawało się mało prawdopodobne, aby jakiś portier lub recepcjonista poznał go i zwrócił się do niego po nazwisku, uznał, że najlepiej będzie wyjaśnić tę sytuację od razu.

– Słuchaj, Joe, muszę ci się do czegoś przyznać. Wiem, że zabrzmiało to co najmniej dziwnie, ale moje prawdziwe nazwisko nie brzmi Offermans. Nazywam się Esko Vaananen.

Taksówka zatrzymała się na Grand Army Plaza. Silnik samochodu warkotał głośno. Za oknem, na którego tle wyraźnie rysował się profil Lazarusza, Esko widział nagie, pochylone nad zamarzniętą fontanną drzewo, którego gałęzie uginały się pod ciężarem wciąż padającego śniegu.

– Zrobiłeś coś, czego nie powinieneś być zrobić? – zapytał Lazarus, lekko marszcząc brwi. – Może zajmujesz się szpiegostwem, jak twój ojciec? Nie mów mi tylko, że jesteś bolszewikiem.

– Nic z tych rzeczy, daję ci słowo.

– Więc dlaczego?

Było to pytanie, które Esko zadawał sobie wiele razy w ostatnich miesiącach, nadal nie znalazł jednak na nie odpowiedzi. Kiedy tamtego dnia, pierwszego dnia na budowie, Bo zapytał go o nazwisko, wydawało mu się zupełnie naturalne i normalne, że przedstawił się jako Esko Offermans. W ten sposób mógł odciąć się od przeszłości, uświadomić samemu sobie, że rozpoczyna podróż, która będzie także przemianą.

– Wiem tylko, że teraz chcę wrócić do swojego nazwiska – odrzekł.

Lazarus uniósł brew, zaraz jednak poklepał Esko po kolanie, korzystając z możliwości odegrania roli kogoś, kto rozumie los Esko znacznie lepiej niż on sam.

– Mój drogi chłopcze, nie przejmuj się – powiedział pobłażliwie, ściągając brwi w jedną grubą linię. – Przyzwyczaję się do tego, wierz mi. Chciałbym jeszcze raz usłyszeć, jak się naprawdę nazywasz, oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Vaananen. Esko Vaananen.

– Vaa-na-nen?

– Tak jest. Przepraszam cię za to kłamstwo.

– Nie ma o czym mówić. – Lazarus zdjął skórzane rękawiczki, starannie je złożył i wsunął do kieszeni futra. Obserwował okutanego szalikiem portiera, który stał w budce u wejścia do hotelu, pod płóciennym daszkiem, i właśnie wyskoczył na ulicę, otwierając nad głową szeroki czarny parasol. Przypominało to scenkę z komiksu, gdzie bohater ma nad sobą chmurkę z myślą, która właśnie zaświtała mu w głowie. – Chodźmy teraz i okażmy pogardę projektowi Petera Winroba. Ma to być całe morze pogardy, Esko.

Ludzie kręcili się po wielkiej, wysoko sklepionej sali balowej, ozdobionej pięknymi kandelabrami, wnosząc rysunki projektów i przytwierdzając je do ścian. Esko z satysfakcją zauważył swój gliniany model, umieszczony na podwyższeniu pod ścianą naprzeciwko wejścia, między projektami, które otrzymały pierwszą i trzecią nagrodę.

Lazarus sunął już w tamtym kierunku, a jego głos zaczął strzelać pociskami pełnymi najwyższej wzdgardy.

– Popatrz, czy to nie groteskowe? Z tego projektu uśmieliby się nawet Anglicy, i to jakieś pięćdziesiąt lat temu. Nawet Anglicy, którzy nie mają żadnego pojęcia o dobrej architekturze. No, powiedz, Offer... Vaananen, czy na widok tej ohydy nie gotuje się w tobie krew? Nie masz ochoty napluć na to paskudztwo albo pociąć je na kawałki swoim *puukko*, czy jak tam się to nazywa? Daj mi nóż, proszę. Błagam cię. Ach, to straszne! Sędziowie powinni się wstydzić! Zostaliśmy oszukani!

Mówił prawdę. Ostentacyjnie gotycki projekt Winroba ozdobiony był maskaronami, skrzydlatymi stworzeniami i mnóstwem innych zbędnych ornamentów. Należał do innego miejsca i innego czasu, w najlepszym razie mógłby posłużyć jako ilustracja dusznej prozy Edgara Allana Poe, lecz z pewnością nie powinien wznieść się wysoko w niebo nad rozbrzmiewającymi jazzem, hałaśliwymi i nigdy nie zapadającymi w sen ulicami Nowego Jorku. Z całą pewnością Esko nie kierował się arogancją, myśląc, że jego projekt jest lepszy. Był obiektywny, nic więcej.

Lazarus ze złością tupnął nogą.

– Ci sędziowie to ślepcy! Inaczej nie da się tego wytłumaczyć. – Obrzucił projekt Winroba gniewnym, wściekłym spojrzeniem. – Trzeba coś z tym zrobić.

Esko się uśmiechnął. Wiedział, że Lazarus ma rację, lecz zdawał sobie sprawę, iż nic nie da się zrobić. Konkurs został rozstrzygnięty. Decyzja sędziów była błędna, ale ostateczna, i fiński stoicyzm wydawał się bardziej odpowiednią reakcją od wagnerowskiego gniewu. Jeszcze raz z przyjemnością dotknął gładkiej glinianej powierzchni swojego modelu i ruszył dalej, oglądając rysunki na ścianach, wszystkie pozostałe projekty, niezwykle przegląd wizji architektów z całego świata. Ciekawiło go, jak wyobrażali sobie drapacz chmur i jego obecne stadium rozwoju, zwłaszcza że wyobrażenia te wydawały się bardzo zróżnicowane. W wielkiej sali hotelu Plaza znalazły się i wielopiętrowe torty weselne, i gotyckie wieże, z których zdecydowana większość roztaczała atmosferę *Upadku domu Usherów* (wskazywało to, że nie tylko Joe Lazarus poznał wcześniej tajemne

upodobania komisji), a także dwa wieżowce kolumnowe, co świadczyło, że architekci, w których wyobraźni powstały, odwiedzili Ateny i obejrzelili Parthenon, chociaż chyba tylko z daleka i w stanie przyjemnego upojenia retsina. Były też dwa projekty, które wydawały się wskazywać na związki swoich twórców z niemieckim zespołem Gropiusa, bardzo piękne symbole jakiegoś krystalicznie czystego ideału przyszłości, których praktyczne zastosowanie w teraźniejszości byłoby chyba zbyt skomplikowane. Esko wypatrzył nawet betonową wieżę z betonową maszyną do pisania na dachu; architekt w dosłowny sposób zrozumiał zasadę Sullivana, zgodnie z którą forma jest pochodną funkcji, i zastosował ją, projektując budynek, który miał być przecież siedzibą redakcji gazety.

Esko, podobnie jak Lazarus, był zły, że nie wygrali, potrafił jednak znacznie skuteczniej ukryć swoje uczucia i wyciągnąć wnioski ze zgromadzonych w jednym miejscu projektów, które, widziane jednocześnie, wydawały się szaloną, nerwową próbą określenia, co czeka architekturę we współczesnym świecie. Zrozumiał, że wybrał naprawdę wspaniałą zawód, że może śmiało sięgać po wiszącą nisko na niebie pulchną gwiazdkę i że w niczym nie ustępuje najlepszym, a być może biegnie nawet w czołówce wyścigu. Poczł ogromną satysfakcję, bo choć pochodził z kraju leżącego na uboczu wielkiego świata, nie miał się czego wstydzić.

I wreszcie stanął przed ostatnim projektem.

Rysunek wisiał nisko, w samym rogu i kiedy Esko go zobaczył, wstrzymał oddech, poruszony tak głęboko, że musiał odwrócić wzrok, zanim ośmielił się znowu spojrzeć. Druga próba oceny projektu potwierdziła pierwsze wrażenie i obudziła w Esko najprawdziwszy zachwyt.

Projekt był świeży i ostry, prawie chłodny, narysowany bez śladu ostentacji, pełen gładkich, poziomych płaszczyzn, które wydawały się unosić w powietrzu, przecinając pionowe linie budynku w sposób, który podkreślał ich smukłość. Esko, który widział działkę budowlaną, na której miał powstać biurowiec „Gazette”, natychmiast zrozumiał, że ten budynek idealnie pasuje do wybranego przez redakcję miejsca, i że uczucie przyjemnej

pewności siebie, które ogarnęło go po obejrzeniu wcześniejszych projektów, było zupełnie nieuzasadnione. Architekt, który wykonał ten rysunek, wyprzedzał go w rozwoju zawodowym o całą klasę. Projekt wydawał się tańczyć. Wyrastał z poczwarki teraźniejszości, wolny od fałszywego sentymentalizmu, delikatny i piękny jak motyl. Był przyszłością.

Esko nie czuł zawiści. Wręcz odwrotnie, był wzruszony i pełen szacunku, jak zwykle po kontakcie z owocem doskonałej, solidnej pracy. Pasja, którą prześiąknięty był projekt, nie tylko zapierała dech w piersiach, lecz także zachęcała do naśladownictwa.

A przecież ten niezwykły rysunek nie zajął pierwszego, drugiego ani trzeciego miejsca. W oczach jurorów nie zasłużył nawet na wyróżnienie, którego symbolem była czerwona rozetka, umieszczona przy niektórych projektach. Zdaniem sędziów ten projekt był niczym, był zerem.

– Kto to jest W. P. Kirby? – zapytał Esko Lazarusa, ponieważ to nazwisko widniało pod rysunkiem. – William P. Kirby z Nowego Jorku. Kto to taki?

– On chyba nie żyje – mruknął Lazarus. – *Ja, ja.* To jeden z tych, których dopadła karząca ręka Harry'ego Thaw.

– Najwyraźniej nie – rzekł Esko, wskazując rysunek.

Lazarus obrzucił projekt przelotnym spojrzeniem.

– Nieźle – powiedział krótko, w charakterystyczny dla siebie sposób. – Słuchaj, Esko, cała ta sprawa z twoimi nazwiskami – raz Offermans, to znów Vaananen... Ktoś z zewnątrz mógłby się w tym wszystkim pogubić, dlatego pomyślałem sobie, że to ja powinienem zająć się wywiadami i tak dalej.

– Wywiadami?

– No, wiesz, rozmowami z dziennikarzami i innymi sprawami tego rodzaju.

– Ty zajmiesz się prasą?

– Tak byłoby lepiej, nie?

– Oczywiście – odpowiedział Esko, szczęśliwy, że Lazarus uwalnia go od obowiązku, którego istnienia nawet dotąd nie podejrzewał. – Dlaczego nie?

Potem odwrócił się do wykonanego ołówkiem rysunku

W. P. Kirby'ego i pojął, że za sprawą tego projektu musi zmienić się cały jego stosunek do pracy.

7

Dwa dni później opublikowano pewien list, nie na łamach „Gazette”, lecz potężnego „New York Timesa”.

ARCHITEKT ATAKUJE „USTAWIONY” KONKURS, głosił tytuł.

Piszę jako architekt, człowiek, którego zawód jest jego wielką pasją”, zaczął W. P. Kirby.

Jest faktem, że wyniki takich konkursów jak ten, który parę miesięcy temu ogłosiła redakcja „Gazette”, są z góry przesądzone i „ustawione”, ich jurorzy zaś podatni na korupcję i chętnie wybierają rozwiązania kompromisowe. Wiem o tym i chociaż na pewno znajdzie się wielu takich, którzy uznają, że zabieram głos powodowany zazdrością i złością (mój projekt został bowiem całkowicie zignorowany), pragnę zapewnić czytelników, że robię to w poczuciu niesprawiedliwości, do jakiej doszło, wierny swoim przekonaniom, dotyczących szerszych i znacznie istotniejszych kwestii niż sprawa samego konkursu.

Powiem wprost – dla zwycięskiego projektu nie ma miejsca w naszym wspaniałym mieście. Nie ma dla niego miejsca nigdzie, poza muzeum. Jest to o tyle niebezpieczne, że nowa machina – prasa – przedstawi go całemu światu. Najdalej za dwa miesiące zdjęcie projektu pojawi się w holenderskich, niemieckich i angielskich czasopismach oraz magazynach, bez pomocy czy sugestii z czyjejkolwiek strony. Architekci w tych krajach dojdą do wniosku, że jest to największe osiągnięcie, na jakie stać architektów amerykańskich, i mam nadzieję, że zdrowo się przy tym uśmieją. Szybka wymiana idei i pomysłów w postaci graficznej jest (w skali globalnej) jedną z najlepszych, lecz być może także najgorszych rzeczy, jakie podarował nam nowy wiek. Dzięki niej czujemy

się potężni i wpływowi, ale równocześnie stajemy się leniwi, ponieważ nasze pomysły tak łatwo się szerzą. Kryje się w tym duże niebezpieczeństwo, gdyż cały świat patrzy teraz na Amerykę, licząc, że wskaże mu ona drogę.

Wróćmy jednak do samego konkursu. Wśród różnego rodzaju śmieci znalazł się tam jeden wybitny projekt, zdobywca drugiej nagrody, autorstwa Josepha Lazarusa, którego prace dość dobrze znam, oraz Esko Offermansa, którego nazwisko słyszę po raz pierwszy. Projekt ten przegrał, ponieważ zajął dopiero drugie miejsce, lecz w rzeczywistości zasłużył na absolutne zwycięstwo. Pod względem czysto architektonicznym nie przedstawia wprawdzie zbyt daleko idących rozwiązań, lecz w realistyczny sposób stara się odpowiedzieć na pytanie, jaki powinien być drapacz chmur 1922 roku, i proponuje model, którego piękno niewątpliwie wzbogaciłoby nasze miasto i przydało mu urody. Projekt ten charakteryzuje się solidnością skoncentrowanej intencji i to robi ogromne wrażenie. Wydaje się jak świeża, młoda roślina, która wyrasta z naszej amerykańskiej gleby. Wygląda, jakby z radością wzbił się w niebo nad Nowym Jorkiem, jakby mógł nas uszczęśliwić i uczynić Nowy Jork piękniejszym i lepszym miejscem. Jest tak dobry, że nawet mój podziw wydaje się niewystarczający i obraźliwy. Chylę czoło przed tym projektem, panowie. Jak napisał Whitman, „rozumiem wielkie serca bohaterów, odwagę naszych czasów i wszystkich czasów”.

Dziękuję wam, panowie Lazarusie i Offermansie, za to, że pokazaliście nam, iż nie musimy już szukać wzorów w Europie, ani w dziedzinie architektury, ani żadnej innej. Ameryka daje nam nasze narzędzia, nasze idee i materiały do wykorzystania w pracy. Musimy posługiwać się nimi w sposób odpowiedzialny, tak jak czynili to Washington i Jefferson, jak czynił to Whitman. Otrzymaliśmy, a może wzięliśmy sobie, jeden cały kontynent, teraz zaś przystępujemy do zdobycia drugiego, tego, który znajduje się

nad nami, w chmurach. Podejdźmy do tego z energią i szacunkiem, na jakie zasługuje odkrycie nowego świata.

Z poważaniem
William P. Kirby

Esko przeczytał list Kirby'ego w gabinecie Lazarusa. Niemiec siedział przy biurku, poprzez brodę i mięsiste wargi szcękając do słuchawki, nachylony nad blatem.

– Czytał pan list? Oczywiście to cudowne, że staruszek napisał coś tak prawdziwego i słusznego, co? Serce pęka mi z żalu, i to nie z żalu nad sobą, ale nad Nowym Jorkiem. Miasto straciło taką szansę! To skandal. Tak myślę, *ja, ja*. Tak jest, powinien pan to napisać – proszę jasno powiedzieć, że Winrob musi odejść w zapomnienie – Lazarus mrugnął do Esko. – Proszę to wydrukować ogromną czcionką! Tak jest! *Gut!*

Lazarus rozmawiający przez telefon był, podobnie jak Lazarus w każdej innej sytuacji, prawdziwym spektaklem teatralnym, jedynym odtwórcą sztuki, w której nie ma miejsca dla innych aktorów. Skończywszy rozmowę, rzucił słuchawką, z rozmachem odepchnął krzesło i wstał.

– Musimy rozegrać to bardzo ostrożnie – powiedział, zacie-rając ręce. – Nie możemy pozwolić, aby kojarzono nas z Kirbym. Dawno temu facet zamieszany był w jakiś skandal. W wybudowanym przez niego domu wybuchł pożar, zginęli jacyś ludzie. – Lazarus przeciągnął palcem po gardle. – Lecz wszystko wskazuje na to, że nadal jest podziwiany, nadal cieszy się ogólnym szacunkiem. Nie tak wielkim jak ja, *natürlich*, ale jednak.

Esko nieuważnie pokiwał głową. Siedział na parapecie i po raz drugi czytał list Kirby'ego, zaskoczony i poruszony myślą, że coś, co zrobił, spotkało się z tak ciepłym i całkowitym zrozumieniem ze strony innego architekta. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że przemówił do niego przyjaciel, człowiek starszy i znacznie bardziej dojrzały, lecz bliski i dobry.

– Co jeszcze o nim wiesz, Joe? – zapytał.

– Jest po naszej stronie – odparł Lazarus, wzruszając ramionami. – Co jeszcze potrzebujesz wiedzieć?

Esko obserwował, jak Lazarus porządkuje ołówki i papiery

na biurku. Skupiony i zamyślony Niemiec bez śladu uśmiechu na twarzy obmyślał następne posunięcie.

– Naprawdę sądzisz, że uda ci się nakłonić ich, aby odebrali Winrowowi pierwszą nagrodę?

– Nie – rzucił Lazarus, ostro patrząc na Esko. Jego twarz nosiła ten sam wyraz koncentracji i oderwania od chwili bieżącej, który pojawiał się na niej zawsze wtedy, gdy planował jakiś ważny krok, próbując zmusić świat do uległości. – Ale wydaje mi się, że mogę się postarać, aby wszyscy dowiedzieli się, że prawdziwi zwycięzcy dostali drugą nagrodę.

Tego popołudnia Esko pojechał metrem do centrum, chcąc obejrzeć jeden z zaprojektowanych przez Kirby'ego budynków, który jeszcze stał na Manhattanie. Znajdował się w pobliżu portu i mało brakowało, a minąłby go wśród zamieci. Był to prostokątny budynek o płaskim dachu, stojący między dwoma wyższymi gmachami, tak doskonale pasujący do działki, na której go zbudowano, że wyglądał jak idealnie dobrany i ustawiony mebel. Wysoki zaledwie na piętnaście pięter, miał w sobie lekkość, siłę i potęgę smukłych linii, dzięki którym wydawał się większy. Delikatna terakotowa fasada pokrywała cały budynek od wysokości pierwszego piętra. Narożne wejście sprawiało, że gmach wyróżniał się spośród innych wysokościowców. Kolumny wspornikowe były grube i solidne, okna wąskie i kształtne. Tuż pod dachem sześć rzeźbionych aniołów o rozpostartych skrzydłach podtrzymywało gzyms. Esko pomyślał, że figury aniołów stanowiły prywatny żart Kirby'ego, który, umieszczając je na swoim budynku, dawał do zrozumienia, iż sięga ku temu, co boskie. Nienarzucająca się elegancja tego pięknego gmachu była zupełnie wyjątkowa. Wieżowiec Kirby'ego nie zachwalał ostentacyjnie swoich zalet, w przeciwieństwie do wielu innych budynków na Manhattanie. Posiadał godny pozazdroszczenia takt i skromność, znacznie mniej spotykaną w Ameryce cechę.

Portier miał na sobie czarny mundur ze złotym szamerunkiem na ramionach. Był drobnym, miłym mężczyzną koło sześćdziesiątki, ze sztywnymi, srebrzystymi włosami, przypominającymi cynową powłokę. Oprowadził Esko po jasnym, tchnącym spokojem i bardzo proporcjonalnym holu.

- Kto jest właścicielem tego budynku? – zapytał Esko.
- Andrew MacCormick.
- MacCormick?
- Tak jest – odpowiedział portier, dotykając włosów. – Ten milioner.

Esko zobaczył MacCormicka parę dni później, podczas lunchu wydanego przez „Gazette” z okazji rozdania nagród.

– Nie ma sprawiedliwości – powiedział, chwytając obiema dłońmi prawą rękę Esko i potrząsając nią serdecznie. Był znacznie poważniejszy niż przy ich pierwszym spotkaniu. – Powinien był pan wygrać.

– Dziękuję – rzekł Esko, któremu zapał, z jakim mówił MacCormick, sprawił szczerą przyjemność.

– Naprawdę tak uważam.

Bystre, inteligentne oczy MacCormicka obiegły salę balową, zastawioną kilkudziesięcioma okrągłymi stolikami, które nakryto białymi obrusami, srebrną zastawą i kryształowymi kieliszkami. Był w łagodnym, pełnym oczekiwania nastroju. Miał na sobie bardzo elegancki garnitur z kamizelką w gołęzim kolorze i jedwabną koszulę z krawatem zawiązanym wysoko pod kołnierzykiem.

– Chciałbym pana o coś zapytać – odezwał się Esko.

– Proszę strzelać.

Esko opowiedział mu o liście Kirby’ego i swojej wizycie w budynku na Manhattanie.

– Bardzo mi się podobał, więc go kupiłem – rzekł MacCormick, niedbałym ruchem wkładając rękę do kieszeni spodni. – Często tak robię. Pan i ja jesteśmy prawdopodobnie jedynymi ludźmi w Nowym Jorku – jedynymi, którzy w jakiś sposób się liczą – którzy wiedzą, że ten wysokośćowiec jeszcze istnieje. Wielka szkoda, że Kirby nie wybudował nic więcej w Nowym Jorku.

– Dlaczego tak się stało?

– Cóż, niektórzy ludzie po prostu znikają z mapy – odparł MacCormick.

Esko skinął głową, uderzony trafnością jego słów. Los często obdarzał ludzi nieprzyjazną, wrogą i niewygodną geografiją w życiu, miłości i karierze. Sekret polegał na tym, aby iść dalej, aby w pełni wykorzystać nagrodę, jaką jest wytrwałość. Należało posiadać *sisu*, pomyślał Esko, tylko to się liczyło.

– To rzeczywiście bardzo ładny budynek. Dwa najwyższe piętra zatrzymałem dla siebie i żony. Miałem nawet pomysł, aby przekształcić je w luksusowy apartament. – MacCormick spojrział na Esko z nowym zainteresowaniem. – A może pan by go dla mnie zaprojektował?

Esko nie był pewien, czy MacCormick mówi poważnie.

– Oczywiście jeśli nie jest to zbyt marnie zlecenie dla architekta, który zajął drugie miejsce w wielkim konkursie „Gazette” – dorzucił milioner z ironicznym uśmiechem.

– Dlaczego nie zatrudni pan samego Kirby’ego? Widział pan już jego projekt?

Razem podeszli do wiszącego na ścianie rysunku. MacCormick ocenił go szybkim, lecz dokładnym spojrzeniem i przeniósł wzrok na Esko.

– Jak się panu pracowało z Joe? – zapytał. – Podzieliliście się pracą?

– Co pan ma na myśli?

– Rozumiem – powiedział MacCormick spokojnie. – Podejrzewałem, że właśnie tak to wyglądało. Projekt jest wyłącznie pańskim dziełem, prawda?

– Joe udzielił mi kilku cennych rad.

– Wie pan chyba, że Joe przechadza się po mieście dumny jak paw i pozwala ludziom wierzyć, iż sam odwalił całą robotę?

Esko potrząsnął głową. Nie zdawał sobie z tego sprawy, chociaż w ostatnich dniach natknął się na kilka artykułów o konkursie, których autorzy pisali o jego projekcie w taki sposób, jakby jego twórcą był tylko Lazarus.

– Powiem panu coś o Joe – rzekł MacCormick. – Przed wojną wybudował dla mnie biurowiec w Rochester, kilkadziesiąt kilometrów od Nowego Jorku. Całkiem niezły budynek. Chce pan wiedzieć, jak dostał zlecenie?

– Tak.

– Napisał do mnie list, w którym utrzymywał, że jest autorem projektu, według którego W. P. Kirby zbudował pewien gmach w Buffalo. Twierdził też, że pracował jako asystent Kirby'ego i w rzeczywistości sam wykonywał większość prac. – MacCormick podrapał dołek w brodzie i uśmiechnął z wyraźnym rozbawieniem. – Otrzymał zlecenie, a ja później dowiedziałem się, że wszystko to była jedna wielka bujda. Nigdy nie pracował z Kirbym. Ale wtedy Joe działał już pełną parą i dowiódł, że dobrze sobie radzi. Nie spóźniał się i nie przekraczał budżetu, więc nie powiedziałem mu o swoim odkryciu. – MacCormick wzruszył ramionami. – Może pan to sobie dowolnie zinterpretować. Lubię Joe i nadal korzystam z jego usług, lecz niewątpliwie umie on postępować bezwzględnie, ani na chwilę nie tracąc dobrego mniemania o samym sobie. To cenna umiejętność. Niech pan nie pozwoli, aby wykorzystał ją przeciwko panu. Proszę się bronić.

Esko myślał o tym, kiedy parę minut później siadali do lunchu. MacCormick został ulokowany przy głównym stole, razem z Peterem Winrobem, jurorami, burmistrzem Nowego Jorku i rozmaitymi dygnitarzami z „Gazette”, natomiast Esko i Lazarus mieli usiąść przy stole na środku sali, w wystarczająco dużej odległości od pierwszoplanowych bohaterów przyjęcia, aby uświadomić sobie różnicę między zwycięzcami a zdobywcami drugiego miejsca. Lazarus skomentował tę sytuację w typowy dla siebie sposób, bez pośpiechu wchodząc na salę w chwili, gdy naczelny redaktor „Gazette”, niski i zdumiewająco młody mężczyzna o twarzy cherubinka, właśnie podnosił się zza stołu, by wygłosić mowę. Lazarus skłonił mu się ironicznie, po czym odwrócił się twarzą do pozostałych gości i z uśmiechem podniósł otwarte dłonie na wysokość ramion, sugerując, że to on jest zwycięzcą. Dopiero wtedy zdjął długie, zwracające uwagę futro i usiadł, hałaśliwie odsuwając krzesło. Zerknął na Esko i mrugnął znacząco.

– Ach, te oficjalne przyjęcia... Nudne jak flaki z olejem, prawda? – odezwał się głośno, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że naczelny gazety pełnym powagi głosem mówił już o obowiązkach architekta wobec społeczeństwa.

Efektowne wejście i zachowanie Lazarusa było jak zwykle prawdziwym występem teatralnym, doskonale zaplanowanym i przygotowanym. Esko uśmiechnął się lekko. Więc co z tego, że Lazarus usiłuje przypisać sobie większą część zasług? Nie ma to żadnego znaczenia. Po prostu razem przystąpili do konkursu, razem go przegrali, a ich projekt zwyczajnie nie miał szans na realizację. Ludzie z biura Lazarusa wiedzieli, że to on, Esko, odwalił całą robotę, wiedział też o tym MacCormick. Poza tym, jeśli chodzi o Esko, to ten epizod w jego życiu zawodowym już się zakończył. Projekt na konkurs był pewnego rodzaju kompromisem, mieszanką stylu gotyckiego i zdecydowanie nowoczesnego. Odniósł sukces, ale sukces ograniczony, a wspaniały projekt W. P. Kirby'ego pokazał mu wyraźnie, na czym polegają jego braki. Teraz nadszedł czas, aby zrobić następny krok, zaprojektować coś naprawdę wyjątkowego, nie szczędząc wysiłku zbliżyć się do piękna i czystości wizji z okresu dzieciństwa, ideału, który zawsze istniał w jego umyśle. Czasami obraz tego doskonałego drapacza chmur zacierał się nieco, lecz nigdy nie znikał, teraz zaś jego blask był bardzo intensywny. Esko czuł się jak człowiek, przechowujący piękno w szczelnie zamkniętym sejfie i czekający na chwilę, w której odkryje, jak je wykorzystać. Najpierw musiał jednak znaleźć klucz do tego sejfu.

Właśnie wtedy monotonne przemówienie redaktora naczelnego przerwał dźwięk czysty i wysoki jak brzęk lekko uderzonego kryształu, i Esko poczuł, że w jego sercu coś wybuchło nagle i z niezwykłą siłą. Spojrzał w głąb sali, ponad lasem głów, w stronę głównego stołu i zobaczył kobietę nachyloną nad siedzącym Andrew MacCormickiem, która opierała rękę na jego ramieniu. Esko nie widział jej twarzy, jedynie czubek głowy okrytej połyskującym srebrzyście kapelusikiem, ale nie miał cienia wątpliwości, że jest to Katerina. Czuł jej obecność, podobną do intensywnego ciepła płomienia, zupełnie jakby każdy z jej smukłych palców był strzałą pożądania, zagłębiającą się w jego żyły. W tym momencie kobieta podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Jej starannie wydepilowane brwi były bardzo cienkie, nad oczami, które wydawały się ciemniejsze,

poważniejsze i większe niż kiedyś, miała delikatne linie, a rzęsy były dłuższe i gęściejsze. Wyglądała zupełnie inaczej. Zbliżała się do trzydziestki, była u szczytu urody i sprawiała wrażenie całkowicie odmienionej. Nie polegało to tylko na tym, że była ubrana jak modna Amerykanka, bogata i pewna swego powołania, jak gwiazda kina. Była teraz szczuplejsza. Towarzysząca jej zawsze aura wrażliwości i delikatności ustąpiła miejsca opanowaniu i wyrafinowaniu. Przypominała wspaniałą, oszlifowaną po mistrzowsku diament. Przez kilka sekund wpatrywała się w Esko, potem odwróciła wzrok.

Esko odsunął krzesło i wstał.

– Co się dzieje? – zapytał Lazarus.

Esko nie odpowiedział. Całkowicie nieświadomy pełnych zaciekawienia i złości spojrzeń, które towarzyszyły każdemu jego krokowi, ruszył w kierunku głównego stołu.

– Witaj, Esko. Dawno się nie widzieliśmy – odezwała się Katerina, cicho i powoli, niskim, nieco zachrypniętym głosem. Mówiła po angielsku z akcentem, lecz płynnie. Zachowywała się spokojnie i pogodnie, może zbyt pogodnie. – Dobrze wyglądasz. Cieszę się, że cię widzę.

– Katerino... Ja... – zająknął się, bo serce zalała mu właśnie fala szczęścia. – Jestem taki wzruszony... Nie wiem, co powiedzieć...

– Więc przywitaj się ze mną – rzekła Katerina.

Zdjęła białą rękawiczkę i wyciągnęła do niego smukłą dłoń. Na serdecznym palcu połyskiwała ozdobiona diamentem ślubna obrączka. Katerina patrzyła na nią chwilę ze smutkiem, jakby żałowała, że nie może przekazać Esko lepszych wiadomości.

– Rozumiem, że poznaliście się dość dawno temu, moi mili – odezwał się swobodnie MacCormick. – Esko, chciałbym przedstawić ci moją żonę, Kate MacCormick.

8

Kiedy MacCormick przyjeżdżał do Nowego Jorku, zatrzymywał się w apartamencie hotelu Waldorf-Astoria. Esko chodził tam w poszukiwaniu Kateriny. Zostawiał wiadomości, dzwonił,

wjeżdżał windą na górę i pukał do drzwi apartamentu – wszystko na próżno. W końcu postanowił, że usiądzie w holu i będzie czekał. Czekał jeden cały dzień, potem drugi, czytając gazety i wdawał się w rozmowy z windziarzami. Nie przejmował się tym, że ktoś może uznać jego zachowanie za dziwne. Było dziwne i on doskonale o tym wiedział. Myśl o Katerinie, o możliwości ujrzenia jej, mąciła mu umysł niczym gorączka. Pił whiskey i piwo, jadł kanapki, lecz nic nie zmniejszało tęsknoty. Nawet kiedy na chwilę zapadał w drzemkę, sztywno wyprostowany w jednym z krzeseł naprzeciwko wind, śnił o niej. Los pozwolił mu ujrzeć ją znowu i teraz kochał ją z intensywnością, która przerażała go do głębi, bardziej niż swoją pracę, bardziej niż życie.

Była siódma wieczorem, dwa dni po rozdaniu nagród na przyjęciu wydanym przez redakcję „Gazette”, kiedy wreszcie ją dostrzegł. Wyszła nie z windy, lecz z długiego wewnętrznego przejścia pod arkadami, biegnącego równoległe do Trzydziestej Czwartej ulicy. Nie była to jedyna niespodzianka. Katerinie towarzyszył nie McCormick, ale inny mężczyzna, chudy i mrocznie przystojny, o czarnych, gęstych włosach i ciemnych oczach, które bacznie obserwowały świat zza grubych szkieł w drucianych oprawkach. Z ogromnym skupieniem, nawet z uwielbieniem, wpatrywał się w Katerinę, która miała na sobie srebrzystą dopasowaną suknię bez rękawów i srebrzysty kloszowy kapelusz. Czarne futro przerzuciła przez ramię.

Esko na wpół podniósł się z krzesła, lecz natychmiast znowu opadł na siedzenie. Czując, że zachowuje się śmiesznie, podniósł rozłożoną gazetę, zasłonił nią twarz i czekał, podczas gdy tamci dwoje, śmiejąc się i rozmawiając, przeszli obok niego i skierowali się ku obrotowym drzwiom hotelu.

Esko wypadł za nimi na ulicę i zdążył zobaczyć, jak wsiadają do taksówki, zatrzymał więc następną i kazał kierowcy jechać za nimi. Podróż nie trwała długo. Ledwie dziesięć przecznic dalej, na Broadwayu Esko zapłacił taksówkarzowi i zaczął przedzierać się przez tłum, idąc za Kateriną i jej towarzyszem. Dotarł za nimi do Teatru Garricka, tracąc ich z oczu tylko na

chwile, gdy zorientował się, że mają już bilety, natomiast on musi zatrzymać się przy kasie.

Przeciskając się między krzesłami, potykając o kolana widzów i mamrocząc przeprosiny, znalazł się na swoim miejscu w chwili, gdy na sali zgasły światła, kurtyna poszła w górę i sztuka rozpoczęła się przy blasku sztucznych błyskawic i ryku grzmotów. Na scenie szalał sztorm, statek tonął, ludzie krzyczeli przeraźliwie, zmagając się z deszczem i dziką wichurą. Kadłub trzeszczał, żagle furkotały, niebo przeszyła błyskawica. Potem zapadła ciemność.

Spojrzał w lewo i prawo, potem przed siebie, kierowany nieomylnym instynktem, który podpowiadał mu, gdzie ujrzy głowę Kateriny. Jej poważny młody towarzysz nachylał się ku niej, pragnąc zwrócić na siebie uwagę, ona jednak nie odrywała wzroku od sceny. W świetle łagodniejszej błyskawicy ukazała się tam teraz sylwetka wysokiego starca w czarnym płaszczu w gwiazdy, stojącego w komnacie pełnej ksiąg. Do komnaty wbiegła jego córka, piękna i miła młoda dziewczyna, przerażona losem rozbitków. Stary człowiek, który okazał się czarownikiem, zapewnił ją, że sam wywołał burzę na morzu i że nic złego się nie stało. Załoga statku była bezpieczna. Wszyscy znaleźli się na wyspie, we władzy starca. Z uśmiechem zatarł ręce i wezwał swego pomocnika, ducha, który pojawił się na scenie zawieszony na trapezie głową w dół. Potem niewolnik czarownika, zdeformowana, porośnięta futrem istota, wychynał zza skały, opleciony wodorostami, z potężnym kijem w ręce. Wyjął z ust rybę i zaklął soczyście.

Niewolnik nazywał się Kaliban, duchem powietrza był Ariel, sztuka zaś, jak Esko dopiero teraz się zorientował, była tą, o której Katerina opowiedziała mu w windzie budynku Diktoniusa. Oglądał właśnie pierwsze sceny *Burzy* Szekspira.

Znowu zerknął ku Katerinie. Ze skupieniem wpatrywała się w scenę. Co takiego powiedziała mu wtedy w Helsinkach? Że Kaliban pragnie być taki jak Ariel? Tak, chyba tak to ujęła. W jego strasznej, zniekształconej bliznami twarzy dopatrzyła się pragnienia światła i piękna. Dostrzegła to, czego nie dostrzegł nikt inny – że jego pragnienie, by zbudować sięgający nieba

budynek wynikało z poczucia, iż w ten sposób uda mu się odczarować swoją brzydotę. I wtedy, w windzie, zrozumieli się do głębi, połączyła ich więź mocniejsza niż życie. Esko pojął, że braterstwo dusz istnieje naprawdę, nie tylko w świecie fantazji. Nadal mocno w to wierzył, także i teraz, siedząc za nią na spektaklu szekspirowskiej *Burzy*, chociaż w ciągu zaledwie kilku minut odnalazł ją i znowu stracił. Była żoną milionera, MacCormicka, człowieka, którego szanował i zaczynał darzyć sympatią, a dziś wybrała się do teatru z jakimś obcym mężczyzną, być może kochankiem. Esko był rozczarowany, przygnębiony, wściekły, ale tłumaczył sobie, że to on popełnił błąd, spodziewając się, że Katerina okaże się taka jak dawniej. Ludzie się zmieniają, idą dalej. A jednak nadal miał nadzieję, choć czuł się raczej jak Kaliban niż jak Ariel.

Nie bój się. Wyspa pełna jest odgłosów,
szmerów, piosenek – miłych i bezpiecznych.
Czasami gęźba wielu instrumentów
brzmi w moim uchu; czasem głosy, które –
kiedy się budzę po długim uśpieniu –
znów mnie kołyszą do snu: w śnie tym widzę
skarby w obłokach, gotowe spaść na mnie
tak, że zbudzony, leję łzy, że nie śnił
troszeczkę dłużej. *

Esko nie miał zamiaru się poddawać. Nie czekał też na dzień, kiedy niebo otworzy się nad jego głową. Zamierzał dalej wspinać się ku chmurom, zamierzał być Kalibanem, który rzuca wyzwanie swemu losowi i jest zdecydowany na wszystko, mimo schwytania w pułapkę. Kalibanem, który widząc świat takim, jaki jest naprawdę, ani na chwilę nie traci z oczu jego urody. Chciał być Kalibanem, który przechodzi do krainy po drugiej stronie lustra.

Kiedy sztuka dobiegła końca, zaczął przepychać się wśród tłumy nowojorczyków w cylindrach, który jak wielka fala przepływał przez jasno oświetlone foyer, ozdobione oprawionymi w złote ramy plakatami na ścianach.

* W. Szekspir *Burza*, przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

– Katerino! Katerino! – zawołał.

Po chwili znalazł się na ulicy, gdzie lśniące czarne taksówki czekały na wychodzących z teatru wielbicieli Szekspira, warząc i wypluwając chmury spalin. Nad nimi jarzyły się olbrzymie neony na Times Square.

– Katerino!

Dopiero wtedy odwróciła się i poszukała go spojrzeniem.

– Esko?

– Katerino!

Podeszła do niego, a jej oczy zalśniły niebezpiecznie.

– Śledzisz mnie?

– Czy ten facet ci się naprzykrza? – wtrącił się jej towarzysz, czarnowłosa młody mężczyzna, wyjmując ręce z kieszeni. Wyprostował ramiona i zaczepnym krokiem ruszył w stronę Esko.

– Wszystko w porządku, Robercie, nie trzeba – powiedziała Katerina, przytrzymując go za rękaw.

Robert patrzył na nią przez chwilę, następnie przeniósł wzrok na Esko.

– Na pewno?

– Spotkamy się w restauracji – rzuciła. – Idź już, proszę.

Niechętnie odwrócił się na pięcie i zatrzymał nadjeżdżającą taksówkę. Esko czekał, aż Robert usadowi się na tylnym siedzeniu forda i odjedzie. Dookoła niego ludzie rozmawiali nie o sztuce, którą właśnie obejrżeli, bo kogo to w końcu obchodziło, ale o tym, gdzie spędzić pozostałą część wieczoru. Może pójść na kolację lub do kina? Albo do klubu, żeby posłuchać jazzu? Na przyjęcie? Powietrze iskrzyło od rozmaitych pomysłów, pachniało futrami i perfumami, dźwięczało postukiwaniem wysokich obcasów. Twarze podekscytowanych ludzi jaśniały jak latarnie.

Esko otoczył Katerinę ramionami, przyciągnął ją bliżej. Przez chwilę opierała się, lecz w końcu pozwoliła mu znaleźć swoje wargi, chociaż pozostały zamknięte, chłodne, bez śladu czułości, jaką obdarzyła go pod drzwiami mieszkania na Fabianinkatu w Helsinkach. Prawie w ogóle nie reagowała na pocałunek. Esko zamknął oko. Upojony jej aromatem i bliskością, spróbował znowu, lecz i tym razem Katerina nawet nie drgnęła.

– Proszę, Esko, daj spokój – odezwała się w końcu, odpychając go lekko.

– Kochasz go?

– Roberta? Nie, oczywiście że nie.

– Chodziło mi o MacCormicka.

Uderzyła go w twarz, niezbyt mocno, ale i nie lekko. Było to ostrzeżenie.

– Kochasz go? – powtórzył uparcie.

– Jestem umówiona z Robertem i kilkoma innymi osobami w Village – powiedziała napiętym jak struna głosem. – Muszę już iść.

– Pójdę z tobą.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Nie szkodzi.

Po raz pierwszy spojrzała na niego ze współczuciem, prawie ze smutkiem. Westchnęła.

Siedząc na tylnym siedzeniu taksówki, Esko mówił sobie, że powinien obmyślić jakiś plan, jakąś strategię postępowania z Kateriną, ale nie potrafił sobie z tym poradzić. Nie potrafił udawać, umiał być szczery i bezpośredni, nic więcej.

– Myślałem, że zginęłaś, Katerino. Ożeniłem się.

Patrzyła przez okno, nieruchoma i chłodna. Część Broadwayu była rozkopana i robotnicy pracowali w świetle zawieszonych na metalowych stelażach latarni. Ich długie cienie padały na twarz i szyję Kateriny.

– Zostawiłem żonę, żeby tu przyjechać.

– Te przeklęte zdjęcia! – wybuchnęła z nagłą złością. – Do diabła z tobą i twoim *pilvenpiirtaja*, Esko Vaananen! Ja także myślałam, że nie żyjesz!

– Mało brakowało. Zostałem ranny podczas przejścia przez tamę w Tampere. Klaus wyciągnął mnie z rzeki i przeniósł na drugi brzeg. Kiedy przywieźli mnie do punktu opatrunkowego, sanitariuszki nie mogły zdjąć mnie z sań, bo krew przymarzła do desek. Opowiadali mi później, że Klaus odrąbał mnie siekierą i zaniósł na stół chirurgiczny. Potem wrócił do walki. Nigdy więcej go nie widziałem.

– Mój Boże... – powiedziała łamiącym się głosem, zasłaniając

uszy dłońmi w rękawiczkach. W jej oczach zabłyśły łzy. – Nie chcę tego słuchać. Przestań, błagam!

Chwycił ją za rękę i zamknął ją w swojej.

– Opowiedz mi teraz o drapaczu chmur ze śniegu. O tym drapaczu chmur, który zbudowałaś z dziećmi.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– Puść mnie!

Taksówka się zatrzymała. Katerina opuściła rondo srebrzystego kapelusza i korzystając z chwili, kiedy uwaga Esko była odwrócona, ponieważ musiał zapłacić kierowcy, szybko wysiadła i wbiegła do restauracji. Esko zobaczył przez okno, jak szła w kierunku najdłuższego stołu, gdzie czekali na nią znajomi. Robert zerwał się z miejsca, machając do niej gorączkowo. Jego oczy płonęły za grubymi szklami w metalowych oprawkach.

– Kate!

– Cześć, kochani! – zawołała Katerina, uśmiechając się pogodnie. – To Szekspir zatrzymał nas tak długo.

– Na pewno umierasz z pragnienia.

– To prawda, skonam, jeśli natychmiast nie dacie mi drinka.

Opadła na krzesło obok Roberta, który zaborczym gestem objął ją i zaczął szeptać coś do ucha.

– Widzę, że ją znalazłeś – odezwała się siedząca obok Esko kobieta. Z kącika jej płomiennie czerwonych ust zwisał papieros.

– Słucham? – Esko jeszcze nie do końca oprzytomniał po scenie w taksówce. Nowy Jork nie dawał mu ani chwili na złapanie oddechu. Pomyślał, że w tym mieście bez przerwy trwa atmosfera święta, niekończącego się przyjęcia.

– Jestem Marion Bennett. Z „Vanity Fair”. To ty mi pokazałeś, jak należy szukać damy – nieustrudzenie, z uporem, do ostatniego tchu.

Teraz przypomniał sobie jej twarz.

– Oczywiście, poznałem cię w redakcji. Zostawiałem u ciebie listy do Kateriny. Dziękuję.

– Chyba wiesz, że wyszła za mąż?

Pudełko z zapalkami leżało na białym obrusie, podobne do

czerwonej czapeczki. Esko zapalił jedną i podsunął ją Marion Bennett. Miał wrażenie, że od początku czekała, aby to zrobił.

– Dziękuję za przypomnienie – powiedział. – Tak, wiem, że wyszła za męża.

– Musisz się napić, jesteś daleko w tyle za innymi – oświadczyła. – Ja wytrąbiłam już kilka drinków. Zawołajmy jednego z tych przerażających, przystojnych kelnerów i poprośmy, aby zrobił nam dwa martini. Jak widzisz, jestem przygotowana na każdą sytuację, niczym wzorowa harcerka.

Przed Marion Bennett stały w żołnierskim szeregu trzy srebrzyście lśniące butelki. Jej oczy podkreślał makijaż, pachniała dżinem i papierosami. Miała na sobie czerwoną sukienkę, kapelusz, którego najwyraźniej nie zamierzała zdjąć, i roztaczała wokół siebie atmosferę absolutnej nonszalancji.

– Moja siostra niedługo urodzi dziecko – rzekła swoim zwyczajnym tonem, jakby opowiadała dowcip i nie dbała, czy ktoś uzna go za zabawny, czy nudny. – Masz dzieci?

– Nie.

– A twoja królowa lodu?

Esko uświadomił sobie, że nie zna odpowiedzi na to pytanie.

– Wydaje mi się, że nie.

– Jesteś w niej zakochany, prawda?

– Tak.

– Wiele bym dała, żeby się dowiedzieć, co takiego ona ma w sobie. Co tak działa na mężczyzn? Sprzedawałabym to w małych i bardzo drogich buteleczkach w Bonwit Teller. Myślisz, że jestem pijana?

– Ty to powiedziałaś.

– Nie dziwię się, że upolowała rekina finansjery – oświadczyła Marion Bennett, wydmuchując chmurę dymu. – Widzisz, jak gapi się na nią Robert? Ten głupek z rozmaślonymi oczami. Jest poetą, wiesz? Pisze wierszowane dramaty o tym, jak starożytnie greckie mity odżywają w świecie nowojorskich slumsów. Bardzo głębokie. Robert uważa, że Katerina jest taka tajemnicza, och, jaka tajemnicza. Zupełnie jak ta z wiersza *La belle dame sans merci*, piękna pani, która nie zna litości. Ona też jest „sans merci”, ale również bardzo „belle”. Jadłeś kolację? Nie? Co

chcesz zamówić? A jej zdjęcia są faktycznie świetne. Obawiam się, że nawet ja muszę to przyznać. A teraz w dodatku „la belle dame” ma pieniądze. Wielką górę forsy. Poznałeś jej męża?

– Tak, poznaliśmy się.

– Musisz opowiedzieć mi wszystko, co wiesz. Ja nie będę nic jadła. Od jedzenia się tyje – rzekła Marion, wlewając dżin z butelki do przyniesionego przez kelnera shakera. – Natomiast od dżinu się chudnie. Pobrali się stosunkowo niedawno, wiesz? Ona często wyjeżdża, i to na długo. Przecież jest artystką, prawda? Podobno on ma szmergla na jej punkcie. Szaleje za nią, biedaczek. Ja też na pewno bym za nią szalała, gdybym była facetem. Ale nie jestem.

– Zauważyłem.

– Naprawdę? – Marion zachichotała, zasłaniając usta dłonią. – Zawstydziłeś mnie. Jesteś bokserem?

– Architektem.

– Więc rozumiem, że blizny zdobyłeś nie na ringu, lecz gdzie indziej.

– W płonącym domu.

– Ale numer! Życie nie szczędzi nam podniecających niespodzianek, co?

– Czasami.

– Ty to powiedziałeś – mruknęła bez wyrazu. Spod warstwy jej szalonej energii i atrakcyjności przebijał smutek samotności. – Czytałeś Freuda?

– Trochę.

– Według niego w życiu najważniejszy jest seks. Wszystko kręci się wokół seksu. Mnie to odpowiada. Lubię pić i lubię to, o czym tyle pisze James Joyce.

– To znaczy?

– Pieprzyć się, głuptasie. W miejscach publicznych, najlepiej z bogatym facetem, chociaż dziś nie będę wybredna, ponieważ poeta, który umówił się ze mną na randkę, z uporem godnym lepszej sprawy tkwi przy boku twojej carycy. Ciekawe, czy MacCormick wie, że kocha się w niej połowa mężczyzn w Nowym Jorku. Może mu się to podoba, chociaż robi na mnie wrażenie zazdrosnego, skomplikowanego wewnętrznie faceta.

Taki Machiavelli okryty płaszczykiem osobistego uroku i pogody. – Marion znowu zasłoniła usta dłonią. – No, masz! Znowu coś chlapnęłam! Ach, ta Katerina, to bardzo nowoczesna dziewczyna...

Esko pomyślał, że w tej chwili nie jest przygotowany na tyle nowych informacji o Katerinie. Nie oczekiwał, że padnie mu w ramiona, ale nie spodziewał się też, iż znajdzie ją aż tak bardzo zmienioną. Uważał, że mimo wszystkich wydarzeń, jakie miały miejsce w jego życiu, on sam prawie się nie zmienił. Może był trochę lepiej przystosowany do życia, może trochę bardziej obyty w świecie i może mocniej skupiony na celach, które od zawsze wydawały mu się najważniejsze – na drapaczu chmur i Katerinie. A Katerina położyła obleczoną w szarą rękawiczkę dłoń na ramieniu Roberta, który wciąż coś do niej szeptał, najprawdopodobniej wcale nie o poetyckich aspektach nowojorskich slumsów. Ameryka podziałała na nią jak czary i teraz Katerina miała na sobie zbroję z drogich kamieni.

– Co piszesz? – zapytał, spoglądając na Marion Bennett.

– Co piszę? – Z udawanym przerażeniem uniosła brwi, karcąc go za zbyt oczywistą próbę zmiany tematu. – Czasami słowa we właściwym porządku. Zapal mi drugiego papierosa, Człowieku z Blizną.

– Od dawna nikt mnie tak nie nazywał.

– Co stało się z ostatnią osobą, która to zrobiła?

– Ten człowiek został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny.

– Zabawny jesteś! – parsknęła, zaraz jednak zorientowała się, że Esko nie żartuje. – W czasie wojny?

– W czasie wojny. Małej, bardzo krwawej i zaciętej wojny. Najprawdopodobniej nigdy o niej nie słyszałaś. W Finlandii.

– W Finlandii? Masz rację, raczej o niej nie słyszałam. – Zsunęła czarną bawełnianą rękawiczkę, odsłaniając dwie długie i ciemne blizny na przegubie dłoni. – To nie są ślady po zardrapaniu szczoteczką do zębów, kochany. Żyjemy tak, jakby ktoś wsadził nas do lufy działa i wystrzelił. I nawet nie dał nam ochronnego hełmu. Kiedyś takim hełmem był Bóg, ale popatrz tylko, co ludzie z Nim zrobili. Życie jest wspaniałe, prawda?

– Czasami. – Powiedział to takim samym tonem jak poprzednio.

Marion ze śmiechem odrzuciła głowę do tyłu i wypuściła z ust idealnie równe kółko z dymu.

– Muszę przyznać, że nie brak ci uporu. Czy ona wie? – zapytała, wskazując ruchem głowy Katerinę.

– Mam nadzieję.

Po kolacji cała grupa, koło dwudziestu osób, załadowała się do taksówek i wyruszyła do klubu na Trzeciej Alei, ponurego, ciemnego miejsca, przesiąkniętego zapachem starego piwa i dawno wypalonych papierosów. Marion wsunęła rękę do dłoni Esko, a kiedy jego kciuk dotknął gładkiej skóry jej rękawiczki, przypomniał sobie postrzępione brzegi rękawiczek, które Katerina nosiła w Helsinkach i których widok uświadomił mu, ile wycierpiała i ile straciła. Obserwując jej wciąż tak samo piękną twarz, patrząc, jak zapala papierosa, zamawia następną whiskey i chłodnym spojrzeniem omiata salę, jakby się zastanawiała, z jakiego miejsca najlepiej ją sfotografować, trudno mu było uwierzyć, że nadal nosi w sobie blizny z przeszłości. Ale przecież widział wybuch jej gniewu w taksówce i łzy w oczach. Katerina była żywą istotą, pozostającą w stałym kontakcie ze światem i przywdziała maskę, a on mógł tylko mieć nadzieję, że to, co w tej chwili widzi, nie jest tym, co kryje się w głębi jej serca.

Było już po północy. W klubie z każdą chwilą przybywało gości i Esko nie mógł zbliżyć się do Kateriny. W obłokach tytoniowego dymu szarpały się jakieś ciemne postaci. Dwóch pijanych mężczyzn wdało się w bójkę i w sali rozległ się brzęk tłuczonego szkła i pękających kości, lecz bramkarze szybko ich uspokoili. Uwieszona na piersi Esko Marion Bennett zapadła w drzemkę na stojąco i zaczęła chrapać. Nie miał jej gdzie posadzić czy położyć, więc nadal podtrzymywał ją w ramionach, kiedy drzwi otworzyły się i wraz z powiewem zimnego wiatru do środka wpadł rudowłosy mężczyzna w kapeluszu, ciemnym garniturze i jasnym trenczu. Był to Bo, nitowacz ze Szwecji.

– Gdzie się podziewałeś? – wykrzyknął Bo, klepiąc Esko po

ramieniu. Niebieskie oczy rozszerzyły się na widok Marion. –
Widzę, że byłeś zajęty, co?

– Bardzo śmieszne, Bo. Miałeś jakieś wiadomości od Gunnara i Cristofa?

Szwed wzruszył szerokimi ramionami.

– O ile wiem, dalej są na zachodzie Stanów.

– Nie wróciłeś do nitowania?

– Jasne że nie, do diabła.

– Więc czym się teraz zajmujesz?

– Och, tym i owym. – Bo zmarszczył brwi, myśląc intensywnie. Kiedy to robił, miało się wrażenie, że widać, co dzieje się wewnątrz jego głowy, gdzie mózg pracował jak odrobinę zacinająca się maszyna. Bo uchylił kapelusza i pomachał mężczyźnie po drugiej stronie baru, który natychmiast podszedł do niego i podał mu niewielką paczuszkę. Bo wsunął ją do kieszeni płaszcza. – Więcej forsy, mniejsze ryzyko – dodał.

– Co się dzieje z braćmi Mantilini? Nadal spotykasz się z Teresą?

– Jesteśmy jak rodzina – rzekł ponuro Bo. – Steffano już chodzi.

– To wspaniale – ucieszył się Esko. – A Paul?

– Nie rozmawiajmy o Paulu – warknął Bo. – Wiesz, Esko, trzymasz kobietę, jakbyś nie miał w tym żadnej praktyki. Nie uczą was tego w Finlandii, czy jak?

– Rzeczywiście, nie uczą nas, jak trzymać nieprzytomne kobiety.

Marion Bennett niespodziewanie poderwała opartą o pierś Esko głowę.

– Hej, facet, uważaj, co mówisz – dmuchnęła, aby odrzucić włosy z oczu i z nieukrywanym zainteresowaniem spojrzała na Bo. – Witaj, skarbie – powiedziała. – Śliczniutki jesteś. Mogę pomacać twoje mięśnie?

Bo zakrztusił się, a jego policzki oblał ciemny rumieniec.

– Postaw mi drinka, szejku – rzuciła Marion. – Hej, wy! – krzyknęła do swoich przyjaciół. – Właśnie przyszedł ktoś bardzo ładny i noc jest jeszcze młoda!

Zabawa trwała bez końca. Wszyscy pili coraz więcej. Po mniej więcej godzinie wsiedli do następnej flotyli taksówek i pojechali do Harlemu, gdzie z pewnym trudem stoczyli się po sześciu betonowych stopniach i stanęli przed metalowymi drzwiami z zakratowanym judaszem. Czyjeś nabiegłe krwią oko zmierzyło ich baczным spojrzeniem i zostali wpuszczeni do środka. W piwnicy nie było podwyższenia dla zespołu muzycznego, lecz w rogu siedmiu lub ośmiu czarnoskórych mężczyzn grało na trąbkach, saksofonie, perkusji i fortepianie. Salę wypełniały dźwięki delirycznie gorączkowej, szybkiej muzyki. Pod ścianami stały stoliki z czerwonymi lampkami, a na środku tańczyły pary, niektóre czarne, niektóre białe, niektóre czarno-białe. Nogi podskakiwały w rytm melodii, kolana zderzały się ze sobą, wyżej kołysały się sznury pereł. Powietrze było gęste od dymu. W małej bocznej salce bardzo wysoki i chudy jak szkielet mężczyzna w białej marynarce napełniał szklanki z grubego, rżniętego szkła alkoholem ze Szkocji (w każdym razie tak głosiła etykieta na butelce). Jego śmiertelnie blada twarz nasuwała podejrzenia, że mógłby paść trupem na widok słońca. O bar opierał się muskularny bandzior w niedbale tkwiącej na czubku głowy fedorze i ze złowieszczą wypukłością pod marynarką. Najwyraźniej znał Bo, ponieważ powitał go poważnym skinieniem głowy. Muzyka na chwilę ucichła i znowu zabrzmiała. Na środek wyszła leniwym krokiem na wpół naga tancerka w złotych pantoflach bez palców, owinięta wokół całego ciała długim boa. Jej czarna skóra lśniła, kiedy kołysała się w rytm wzdychającego namiętnie saksofonu i potrzasała pupą. Sala cuchnęła gorącym potem i pochodzącym z przemytu alkoholem, pulsowała niebezpiecznym jak błyskawica podnieceniem. Esko żałował, że nie może namalować tej sceny, utrwalić w pamięci, a potem znaleźć jakiś sposób, aby odtworzyć ją w architekturze. Piórko oderwało się od boa tancerki i unoszone podmuchem powietrza, uniosło się aż pod sufit, umykając kilkadziesiąciu parom rąk, które usiłowały je schwytać. Esko wiedział, że nie

jest to jego świat, lecz z przyjemnością wchłaniał tę energię, poczucie bezprawia i ekstrawagancję, których najlepszym wyrazem były dźwięki rozszalałej, gorącej jazzowej muzyki.

Przywiózł ich Bo, który utrzymywał, że ma się tu spotkać z jakąś dziewczyną, ale teraz nie mógł jej znaleźć. Spokojnie rozglądał się po sali, nieświadomy, że Marion Bennett podjęła już decyzję za nich dwoje. Po prostu podeszła, stanęła przed nim i położyła dłonie na jego spodniach. Szwed wyprostował się jak rażony piorunem i chwilę stał sztywno, zupełnie nieruchomy. Zaraz potem zaczęli się całować, atakując się nawzajem żarłocznymi wargami.

Katerina wpatrywała się w nich dwoje z absolutnym skupieniem, zupełnie jakby znowu zastanawiała się nad najlepszym ujęciem. Nie zwracała najmniejszej uwagi na Roberta, trubadura slumsów, który niestrudzenie szeptał jej jakieś gorące słowa i muskał palcami jej ramię. Esko uświadomił sobie, że Katerina posiada władzę nie tylko nad Robertem, ale także nad wieloma innymi mężczyznami, niezależnie od tego, czy tego chce, czy nie. Była dla nich tak niezwykle atrakcyjna między innymi dlatego, że nosiła w sobie cierpienie. Esko przypomniał sobie niezawołowaną sugestię Marion, jakoby Katerina już zdradzała MacCormicka. Czy to możliwe, pomyślał. W gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia. Esko nie chciał, aby Katerina zdradziła dla niego MacCormicka. Pragnął, aby od niego odeszła.

Podszedł do niej i wziął ją za ramię.

– Chodźmy stąd – powiedział.

Spojrzała na niego chłodnymi oczami. Piła całą noc, podobnie jak reszta jej towarzystwa, ale wcale nie wyglądała na pijaną.

– Dlaczego? – zapytała.

– Mam coś dla ciebie – odparł. – Coś, co stanowi twoją własność.

– Więc daj mi to.

– Nie. Nie tutaj.

W Central Parku lód oblepił gałęzie drzew, a pod ich stopami trzeszczała cienka powłoka zamrożonego śniegu. Nie dobiegały

tu żadne odgłosy ulicznego ruchu, z dala słyhać było tylko cichy szum przejeżdżającego po wiadukcie pociągu.

– Usiądziemy? – odezwał się Esko, wskazując ławkę pod gazową latarnią, której kulisty klosz otaczała chybotliwa aureola blasku.

Usiadła sztywno, a Esko zajął miejsce obok niej i sięgnął do kieszeni. Podał jej kopertę, podartą na krawędziach i brudną. Długą chwilę oglądała ją uważnie w mglistym świetle. Jedna strona koperty pokryta była rysunkami, z drugiej dobrze im obojgu znanym charakterem pisma wypisane było jej imię.

– Od Klause – powiedział Esko. – Noszę ją przy sobie od bardzo dawna.

Ciało Kateriny przeszło dreszcz. Wciągnęła powietrze i siedziała nieruchomo, nie odrywając wzroku od koperty.

– Kazał mi obiecać, że oddam ci ją, jeżeli...

Otworzyła torebkę, wepchnęła kopertę do środka i szybko zamknęła. Westchnęła głęboko i spojrzała na Esko z nagłym zmęczeniem.

– Czego właściwie ode mnie chcesz, Esko?

– Chcę, żebyśmy byli razem.

Jej oczy zabłyśły gniewem.

– I jakąż to przyszłość widzisz przed nami? Domek na wsi? Wózek w sieni i tupot małych stópek w korytarzu?

Kołnierz jej futra był wysoko podniesiony. Kiedy spuściła głowę, wbijając wzrok w ziemię, Esko zobaczył, że w jej włosach lśnią drobinki lodu. Powoli, palec po palcu, zdjęła rękawiczkę z dłoni i wzięła go za rękę.

– Przynoszę pecha, Esko – powiedziała. – Powinieneś trzymać się ode mnie z daleka.

– Zaryzykuję.

Pokręciła głową.

– Nic z tego nie będzie.

– Więc jesteś gotowa fotografować drapacze chmur, a nawet budować je z kawałów śniegu i lodu, ale nie chcesz być ze mną, tak? Piękne są tylko twoje wyobrażenia o mnie, czy o to chodzi? Szlachetny mały Esko ze swoimi wielkimi ideałami. Poklepię go po ramieniu, bo można powiedzieć, że jest interesujący, ale

jako kochanek – o, nie, nigdy w życiu! Tak o mnie myślisz? Bądź szczerą, Katerino. Powiedz mi prawdę.

Na chwilę podniosła głowę i spojrzała w niebo.

– Prawdę? Nie wydaje mi się, żebyś chciał usłyszeć prawdę.

– Wypróbuj mnie.

– Wiesz, co czułam, kiedy dostałam twoje listy, gdy po raz pierwszy zobaczyłam cię tamtego dnia? – zapytała.

Jej pełne złości spojrzenie ostrzegało go, że odpowiedź może mu się nie spodobać.

– Powiedz – rzekł, ignorując ostrzeżenie.

– Przerazenie. Ogarnęło mnie przerażenie.

Zaczął padać śnieg. Duży płatek przepłynął sennie przed oczami Esko. Nagle poczuł się tak, jakby spostrzegł własną duszę w swojej nieosłoniętej rękawiczką dłoni, zeszywniała i zsiniała z zimna.

– Ujrzałam otwierające się drzwi, które już zatrzasnęłam i chciałam, żeby takie pozostały. Nie jestem tą samą osobą, którą byłam cztery lata temu.

Pod zewnętrzną powłoką światowości i opanowania kryło się tyle dzikiego bólu, że serce Esko ścisnęło się z żalu. Katerina była jak zranione zwierzę, czujne na wszystko, co dzieje się wokół niego, podejrzliwe i przestraszone, pewne, że każdy próbuje zadać mu ból.

– Nie istnieje żadne przeznaczenie czy porządek wydarzeń, Esko. Wszystko jest dziełem przypadku. W gwiazdach wcale nie zapisano, że Esko Vaananen i Katerina Małyszewa mają być razem. Może kiedyś tak sądziłam, ale tylko przez chwilę. Teraz już nie. Już nie.

Esko dostrzegł maleńki cień nadziei, drózkę, która mogła zaprowadzić go na drugą stronę.

– Kiedy to było, Katerino?

– W Helsinkach. Tamtego ranka, kiedy budowałam *pilvenpiirtaja* w śniegu. Gdy poszedłeś do wojska, byłam na ciebie wściekła. Nie to powinieneś był zrobić. – Niewidzącym wzrokiem rozejrzała się po parku. – Powinieneś był przyjechać tutaj, do Nowego Jorku. – Utkwiła oczy w pniu odległego drzewa. – A potem dowiedziałam się, że ty i Klaus zginęliście. – Spuściła

głowę. – To koniec, pomyślałam. Katerina Małyszewa przestała istnieć. Nie ma już jej domu, nie ma jej kraju, nie ma jej przyjaciół, więc jej samej także już nie ma. Oddałam klucze od swojego mieszkania znajomej, której udało się wydostać z Rosji, i wyjechałam.

Esko myślał o małym lusterku w stylu art nouveau, które nosiła zawieszona u przegubu dłoni, kiedy była dziewczynką, o lusterku, które mu podarowała i które on jej oddał, o lusterku, które po raz ostatni widział w rękach zbitego i zrezygnowanego komunisty w więziennej celi w Helsinkach.

– Zostawiłaś lusterko – szepnął, wsuwając rękę do kieszeni i lekko dotykając pochwy swego *puukko*.

Przedmioty, historie istnienia niektórych z nich, układały się równoległe do historii ich właścicieli. W jednej chwili otaczała je aura wspomnień i szczególnego znaczenia, po to tylko, by zaraz potem znowu stały się martwą materią, zwykłymi przedmiotami. Lusterko, które dała mu Katerina, niewątpliwie nadal gdzieś było, w rękach jakiegoś żebraka lub bandyty, albo na półce w sklepie, pęknięte, a może rozbite, odarte ze wszystkich poprzednich skojarzeń, które dla niego były tak niesłychanie cenne.

– Przyjechałam tutaj, Esko – powiedziała Katerina. – Było mi ciężko, bez żadnych planów i bez pieniędzy. Nie miałam pojęcia, co mogłabym robić.

– Spotkałaś innych Rosjan?

– Pracowali w restauracjach i kawiarniach jako kelnerzy i kelnerki. Jeden z nich był księciem. Nie żartuję, w Rosji był prawdziwym księciem. Niektórzy z nas stracili aż tyle, aż tyle... Rosyjski książę zmywał talerze w marnej knajpie, więc pomyślałam sobie, dlaczego nie. Jeżeli on potrafi to znieść, to ja także. Pracowałam prawie przez rok, próbując zapomnieć, nie myśląc o niczym, ucząc się, jak niczego nie pragnąć i niczego nie oczekiwać.

Mówiła szybko, jakby się bała, że Esko jej przerwie. Miał wrażenie, że nigdy dotąd z nikim o tym nie rozmawiała, nawet z MacCormickiem. Opowiedziała mu o swoich pierwszych miesiącach w Nowym Jorku, łącząc trywialne szczegóły z najbardziej osobistymi odczuciami.

– Ta restauracja znajdowała się na Broadwayu. Jej właścicielem był Francuz, smutny mały człowieczek, który wyglądał jak wampir, ale w rzeczywistości miał bardzo dobre serce. Dawał pracę prawie każdemu, kto go o to poprosił. Zostałam kelnerką. Miałam szczęście, bo dostawałam napiwki. Był tam taki facet, Eddie, który zmywał naczynia w kuchni. Pianista. Wszystko, co miał, wydawał na kokainę. Pewnego wieczoru rozciął sobie rękę szkłem. Francuz i ja zawieźliśmy go taksówką do szpitala Bellevue. Wszędzie było pełno krwi. Założyli mu szesnaście szwów. Nigdy nie poznałam dobrze Eddiego. Przechodził przez Trzecią Aleję, kiedy przejechał go samochód. Kierowca był pijany. O trzeciej po południu, w niedzielę. Tydzień wcześniej Eddie mówił mi, że któregoś dnia wszystko się zmieni, wszystko będzie inaczej. Biedny Eddie... – Westchnęła, zadrżała z zimna. – I rzeczywiście, pewnego dnia wszystko się zmieniło, ale dla mnie. Do restauracji przyszedł mężczyzna, starszy, bardzo miły i łagodny. Zamówił supkę, kieliszek szampa i dał mi bardzo duży napiwek. Następnego wieczoru przyszedł znowu, potem jeszcze raz i jeszcze. Zawsze zamawiał to samo. Jadł bardzo powoli, nie spieszył się, jakby czas miał jakąś wartość. Powiedział mi, że jest fotografem. Że ma asystenta, który wywołuje jego zdjęcia w ciemni, ale ten asystent doprowadza go do szału. I zapytał, czy nie byłabym zainteresowana taką pracą.

Jej głos był cichy i spokojny. Mówiła o epizodach swojego życia jak zdjęciach, które od czasu do czasu się przegląda, jakby celowo wyzbyła się wszelkich związanych z tymi wspomnieniami emocji i teraz, zupełnie nieświadomie, przekazywała jemu zdolność ich odczuwania. Tak w każdym razie zrozumiał to Esko i siedząc na ławce obok niej, patrząc na małe obłoczki pary, wydobywające się z jego ust, wziął to zadanie na siebie. Chciał zatrzymać te przeżycia dla Kateriny i pewnego dnia zwrócić je, aby mogła odzyskać całe swoje życie.

– Miał małą pracownię na ulicy Bleecker. Pracowałam dłużej i zarabiałam mniej niż w restauracji, ale byłam bardzo zadowolona. Po pewnym czasie poprosiłam jednak o podwyżkę, a wtedy on spojrzał na mnie i się roześmiał. Powiedział, że ponieważ

nie może spełnić mojej prośby, pozwoli mi samodzielnie robić zdjęcia. I tak następnego dnia wyszłam na ulicę z jego starym, dużym aparatem fotograficznym, nie mając zielonego pojęcia, co robić. Zaczęłam fotografować ludzi stojących w kolejce do promu na Staten Island, potem opustoszałe ulice, wystawy sklepów...

– I co?

– I znowu znalazło się we mnie miejsce na uczucia. Nie próbowałam robić nic specjalnego, porządkowałam tylko bałagan, jaki dostrzegałam między mną i przedmiotem zdjęcia. Pozwoliłam sobie znowu coś czuć i wszystko zależało od tego, kiedy naciśnie spust migawki. Wszystko było pod moją kontrolą, w moich rękach.

Esko pochylił się do przodu i patrzył na nią uważnie.

– Muszę cię o coś poprosić, Esko.

– Co to takiego?

– Nie staraj się ze mną widywać. Nie szukaj mnie, nie próbuj nawiązywać ze mną kontaktu. Proszę.

Esko się wyprostował. Ktoś minął ich szybkim krokiem, jakiś człowiek w drodze do domu lub na następne przyjęcie, rzucając im przyjazny uśmiech spod ronda kapelusza i prawie natychmiast znikając w ciemności i śniegu. Przez całą noc Esko czuł się jak barometr, urządzenie przystosowane do pomiaru nastrojów tej jednej, jedynej kobiety: jej ukrytego smutku, energii, kruchej pogody ducha, a teraz jej spokoju i ogromnej szczerości jej prośby. Serce pękało mu z bólu, chociaż niewykluczone, że rzeczywiście traktowała go jak Kalibana, każąc mu wynosić się ze swojej wyspy.

– Spakujesz swoje rzeczy i przeniesiesz się do mnie – powiedział. – Zostaniemy tam, dopóki nie znajdziemy większego mieszkania. Urządzimy w domu ciemnię i pracownię, albo wynajmiemy coś odpowiedniego w pobliżu. Będiesz mogła pracować tak długo i często, jak zechcesz. Nie chcę, żebyś czuła się uwięziona. Jestem od tego jak najdalszy. Będziemy razem nawet wtedy, gdy będziemy osobno. Katerino, wiem, że nigdy nie będę tak bogaty jak MacCormick, ale zawsze będziemy mieli to, co jest nam naprawdę potrzebne.

Spuściła głowę. Z całej siły zaplotła palce i z jej gardła wyrwał się ostry, bezradny, bolesny jęk.

– Och, Esko... Czy ty w ogóle mnie nie słuchałeś?

– Słuchałem bardzo uważnie, przecież wiesz.

– Mam Andrew, mam ważne znajomości i pieniądze – oznajmiła, znowu pełna energii i zdecydowana. – Tak, czy to nie okropne? Pieniądze to wolność, a bez wolności poderżnęłabym sobie gardło. Dorastałam w otoczeniu rzeczy, które lubiłam i ceniłam, potem te przedmioty zostały mi zabrane, a mnie poddano torturom, nigdy już nie pozwolę, aby znowu spotkało mnie coś takiego. Nie przeżyłabym tego po raz drugi. Nie mam dość siły. Po raz pierwszy od wybuchu rewolucji czuję, że znowu trzymam życie we własnych rękach. Nie oddam tego wszystkiego nikomu, nawet tobie.

Wtedy Esko powtórzył swoje wcześniejsze pytanie. Nie chciał się poddać, nie zamierzał rezygnować z walki.

– Kochasz go?

Lecz zanim Katerina zdążyła odpowiedzieć, rozległ się tupot biegnących stóp i z mroku wyłonił się zdyszany, pijany i całkowicie przytomny Bo.

– Esko, dzięki Bogu, że cię znalazłem! – wyrzucił z siebie. Oparł dłonie na kolanach i nachylił się. Zgubił kapelusz i jego gęste włosy okrył szron. – Ta kobieta w czerwonej sukience, z czerwonymi ustami... Jak ona się nazywa?

– Nie teraz, Bo... – zaczął Esko.

– Wbiła jakiemuś gościowi widelec w nogę – dyszał Bo. – Doszło do bójki i ktoś kogoś postrzelił w klatkę piersiową, ale ona nie miała z tym nic wspólnego...

W tej samej chwili otoczył ich gwar podniesionych, podniekscytowanych głosów i obok Bo zatrzymało się kilka osób, z których każda usiłowała opowiedzieć własną wersję wydarzenia.

– Pistolet...

– ...i nazwał ją...

– Wbiła mu widelec na półtora centymetra, słowo honoru...

– Ten facet... Krew...

– Uciekła z klubu – wyjaśnił Bo. – To trochę szalona dziew-

czyna, ale mnie się podobała. Myślę, że ja też wpadłem jej w oko. Jak uważasz, Esko?

– Nazywa się Marion Bennett – rzucił Esko, bez powodzenia usiłując złowić spojrzenie Kateriny. – Pracuje dla magazynu „Vanity Fair”. Idź jutro do redakcji, na pewno ją znajdziesz.

Bo podziękował mu i zniknął, lecz kiedy Esko odwrócił się do Kateriny, obok niej stał już Robert i zapalał jej papierosa. Nie wydawała się szczególnie nieszczęśliwa z powodu przerwanej rozmowy z Esko, wręcz odwrotnie, na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi. Wszystko wskazywało na to, że trubadur slumsów uratował ją z opresji.

– Katerino... – zaczął Esko.

– Nie przejmuj się, Robert odwiezie mnie do domu. Dzięki za miły wieczór.

Esko długo nie ruszał się z miejsca. Zaczekał, aż wszyscy odejdą i zapadnie cisza. Wiedział, że Katerina nie wróci, ale nie chciał opuścić parku, wyobrażając sobie, iż nadal czuje jej perfumy, ten zapach, który został stworzony chyba specjalnie dla niego. Patrzył na opadające powoli płatki śniegu i wspominał, jak wtedy, przed laty, po pierwszym spotkaniu z Kateriną przez cały następny miesiąc codziennie stał po kilka godzin przy oknie w swoim pokoju na plebanii Kalliokoskiego. Wpatrywał się w korony drzew i czuł, że całe jego ciało się rozluźnia, opuszcza świat rzeczywistości w oczekiwaniu na coś, co miało nastąpić. Czekał na wizję, która nawiedziła go na zamarznętym jeziorze, na kluczowy moment swojego życia. I podobnie jak nigdy nie stracił tej wizji z oczu, tak zawsze czuł, że dokładnie wie, kim jest Katerina. Wiedział to wtedy i wiedział w Helsinkach w 1918 roku, jakby jej wewnętrzne „ja” lśniło blaskiem, który tylko on potrafił dostrzec. Nigdy nie był w stanie przewidzieć, czy Katerina pozwoli mu zbliżyć się do źródła owego blasku, ale zawsze go widział. Zawsze, aż do tej chwili, bo teraz światło znikło. Być może zgasło na dobre.

Zawsze uważał, że śnieg ma właściwości hipnotyczne. Prawie godzinę stał w Central Parku, nie widząc wieżowców Manhattanu, jakby wyspa została zaczarowana, a on był jedynym

człowiekiem, który nie poddał się czarom. Łagodna ciemność wokół niego pełna była opadających cicho płatków śniegu.

10

Następnego ranka wstał wcześniej, jak zwykle zjadł śniadanie w swoim barze i pieszo dotarł na Broadway. Wszedł do kamienicy na Czterdziestej Siódmej i nie czekając na windę, wbiegł na górę, zaskakując Lazarusa w jego gabinecie.

– Joe, wiem, że opowiadasz ludziom, iż to ty jesteś autorem mojego projektu – powiedział bez ogródek.

Lazarus podniósł przekrwione, załzawione oczy. Jego twarz przesłonił rzadki obłoczek pary, unoszący się znad stojącej przed nim filiżanki kawy. Odepchnął lekko krzesło, niepewnie spojrzął na Esko i nerwowo zamrugał. Teraz, w chwili konfrontacji, robił wrażenie zażenowanego.

– Szczerze mówiąc, uważam, że to żałosne, ale niewiele mnie to obchodzi – ciągnął Esko. – My dwaj zawsze będziemy znali prawdę. Jesteś ryzykantem, Joe, i na pewno nie przestaniesz ryzykować. Jeśli o mnie chodzi, już dla mnie nie istniejesz. Składam wypowiedzenie.

Spakował swoje rzeczy i pożegnał się z panną Kott. Ku jego zdumieniu dziewczyna wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Powodzenia, panie Vaananen – powiedziała.

Esko wyprostował się, wzruszony i pokrzepiony na duchu.

– Bardzo dziękuję, panno Kott – odparł, nie mając już żadnych wątpliwości, że powinien zrealizować swój plan.

Dwie godziny później znajdował się na jedenastym piętrze skromnego budynku naprzeciwko drapacza chmur Flatiron, wysoko nad zaspami i porywistymi podmuchami ostrego wiatru. Stał przed ciemnymi dębowymi drzwiami z plakietką: W. P. KIRBY – ARCHITEKT. Drzwi były zamknięte, a na wycieracze leżał egzemplarz „New York Timesa”, obok wydania tej samej gazety z poprzedniego dnia, którego także nikt jeszcze nie zabrał.

Zapukał energicznie. Winda zadzwoniła w znajdującym się za nim szybie i w tym samym czasie drzwi otworzyły się powoli, a w szparze pojawiła się czyjaś głowa.

Stojący w drzwiach mężczyzna mógł mieć równie dobrze sześćdziesiąt jak i siedemdziesiąt pięć lat. Twarz miał pobrużdżoną i wychudzoną, szare oczy bystre i badawcze. Bardzo krótko ostrzyżone włosy były białe jak śnieg, a policzki i brodę pokrywał gęsty zarost. Była to twarz, z której życie wyszło wszelką radość i pogodę, twarz człowieka gotowego na przyjęcie każdego ciosu, ponieważ życie najwyraźniej mu ich nie szczędziło. A jednocześnie twarz pełna determinacji i woli walki, szlachetna i mądra. Jej właściciel wiedział, co znaczy utrata nadziei i ile siły trzeba, aby wytrwać. Twarz człowieka, do którego Esko natychmiast poczuł wielki szacunek.

– Szukam W. P. Kirby’ego – powiedział, nie mając cienia wątpliwości, że W. P. Kirby stoi przed nim.

– To ja – potwierdził mężczyzna miłym, zdumiewająco spokojnym głosem.

W korytarzu mieszkania kłębiły się opary wypitej poprzedniego wieczoru whiskey. Niewykluczone zresztą, że Kirby pił już od rana, pomyślał Esko.

– Możliwość poznania pana to dla mnie prawdziwy zaszczyt – rzekł.

Kirby niechętnym spojrzeniem zmierzył dłoń, którą wyciągnął do niego Esko.

– Kim pan jest, u diabła? – zapytał, pocierając dłonią ostrzyżone na jeża włosy. – No? Zadałem pytanie, towarzyszu.

– Jestem z Finlandii, nie z Rosji. Nazywam się Esko Vaananen i jestem architektem.

– Żegnam – rzucił obojętnie Kirby i zatrzaskał drzwi.

Esko znowu zapukał. W mieszkaniu rozległa się teraz muzyka, fortepianowy koncert Beethovena. Kirby nastawił gramofon na cały regulator.

– Panie Kirby! – zawołał Esko. – Muszę z panem porozmawiać! Proszę poświęcić mi parę chwil!

Beethoven rozbrzmiewał wciąż z tą samą siłą.

– Napisał pan list o moim projekcie na konkurs ogłoszony przez „Gazette”!

Nie było żadnej reakcji.

Esko uważał, że zachowanie Kirby’ego jest całkowicie zrozumiałe i wcale nie był nim zniechęcony. Oparł się o ścianę, podniósł leżącą na wycieracze gazetę i zaczął czytać. Z tekstu na pierwszej stronie dowiedział się, że kobieta, która zabiła agenta ubezpieczeniowego, usiłowała trzykrotnie popełnić samobójstwo – najpierw próbowała połknąć truciznę zmieszaną ze szminką, potem poderznąć sobie gardło, a w końcu rozbić głowę, waląc nią w ścianę więzienia Tombs. Krótko mówiąc, problem usunięcia swojej osoby z tego świata potraktowała z brakiem kompetencji, który Fin Esko uznał za zupełnie rozbrajający. Był absolutnie przekonany, że morderczynie bardzo pragnęła żyć.

Czytał dalej.

Jakiś szofer ukradł brylanty warte 75 tysięcy dolarów, dwóch lotników utonęło, gdy ich wodolot rozbił się w stanie Delaware, mężczyzna spadł z wysokości dziesięciu pięter i zabił się, dublując Harolda Lloyda w scenie z jego najnowszej komedii, fiński mąż stanu, Pehr Svinhufvud, przybył do Ameryki, aby prosić rząd Stanów Zjednoczonych o pożyczkę. Obok ostatniej informacji umieszczono zdjęcie Svinhufvuda, krępego, wąsatego mężczyzny o typowo fińskiej, przypominającej ziemniak twarzy.

Esko był ciekaw, co jego rodak myśli o Ameryce, kraju przywykłym do tempa, przemocy i przygody.

– Powinieneś spróbować obrabować bank, staruszkule – mruknął, nie zdając sobie nawet sprawy, że wypowiada swoje myśli. – Amerykanie od razu by cię polubili.

Na fotografii Svinhufvud miał na sobie płaszcz z szalowym kołnierzem, czarny krawat i błyszczący cylinder, zupełnie jakby za wszelką cenę chciał dowieść, że potrafi wyglądać jak każdy inny polityk, niekoniecznie jak Fin. Łatwiej jest naśladować niż myśleć, dlatego istnieje moda, pomyślał Esko. Stąd ludzie tacy jak Joseph Lazarus. I nagle, jakby jego umysł nie chciał pozwolić mu tak łatwo odsunąć temat samobójstwa, od którego zaczął lekturę gazety, przypomniał sobie matkę, niepokorną, nieugiętą,

zawsze podążającą własną drogą. Ujrzał ją w łodzi, na jeziorze, z dłonią zanurzoną w spokojnej wodzie. „Jak będzie wyglądało twoje życie, mój mały braciszku, co będziesz robił? Czy zostaniesz duchownym? A może zainteresujesz się polityką, jak twój ojciec? Spójrz, lecą dwie kaczki! Łączą się w pary na całe życie, wiesz?”.

Jej śmierć była jak rozdarcie w tkaninie tęczy.

Koncert Beethovena dobiegł końca. Esko usłyszał szuranie stóp po podłodze – na pewno Kirby wstał, żeby zmienić płytę.

Złożył gazetę i rzucił ją na wycieraczkę.

– Panie Kirby! Zajmę panu pięć minut, nie więcej! Mam dla pana pewną propozycję!

Po drugiej stronie drzwi coś rozbiło się z trzaskiem. Esko skrzywił się lekko. Kirby rzucił w drzwi płytą z nagraniem Beethovena.

– Przystąpiłem do konkursu pod zmienionym nazwiskiem! Esko Offermans!

Cisza.

– Offermans? – powtórzył pytająco Kirby, spokojnym, niezmiennym głosem.

– Tak – powiedział Esko, przemawiając do zamkniętych drzwi. – Pamięta pan mój projekt?

– Podobno Joe Lazarus sam przygotował ten projekt. Czytałem o tym w gazecie.

– To kwestia tego, czy wierzy pan we wszystko, o czym piszą w gazetach.

Kirby mruknął coś niewyraźnie.

– Projekt jest mój, panie Kirby. Lazarus nie ruszył przy nim palcem.

Drzwi otworzyły się i Esko poczuł intensywny zapach whiskey. Zobaczył też plecy ubranego w białą koszulę Kirby’ego, który odwrócił się już od drzwi i zmierzał do pokoju.

– Na co pan czeka, do cholery?! – zawołał. Na nogach miał grube skarpety z szarej wełny. Przez dziurę w jednej z nich wyglądał czubek palca. – Niech pan wchodzi!

– Dziękuję.

Jasno oświetlony pokój był mały, o powierzchni około siedmiu

metrów kwadratowych. Na połowym łóżku piętrzyła się pościel i koce, obok na podłodze leżała książka i pusta butelka po whiskey. Przetarty w wielu miejscach dywan usiany był popiołem z papierosów, który przemieszczał się w przeciągu. W rogu znajdował się popekany i zapuszczony zlew.

Esko nie wiedział, czego właściwie oczekiwał, ale na pewno nie spodziewał się, że sławny architekt mieszka w tak ubogiej i ponurej klitce.

– Czy w Finlandii mieszkał pan w stodole? Niechże pan wreszcie zamknie za sobą te cholerne drzwi!

Esko spełnił polecenie, odsuwając czubkiem buta kawałki gramofonowej płyty. Kiedy się odwrócił, Kirby stał za prostym dębowym biurkiem. Wypolerowany blat był czysty i pusty, jakby trwał w oczekiwaniu na przybycie twórczej myśli. Za biurkiem znajdowało się jedyne w tym pokoju okno, bardzo duże, przez które można było dojrzeć wyzierającą zza zasłony śniegu sylwetkę Flatironu. Wieżowiec wyglądał jak dziób potężnego liniowca. Na ścianie po lewej stronie okna wisiało kilka oprawionych rysunków.

Esko zdawał sobie sprawę z tego, że zachowuje się nieuprzejmie, ale nie potrafił oprzeć się ciekawości. Rysunki przyciągały go jak magnes, więc bez chwili wahania obszedł biurko i stanął przed nimi.

Wszystkie wykonane były ołówkiem, na papierze milimetrowym. Pierwsze trzy przedstawiały domy, niskie, duże domy, z pokojami w amfiladzie, wybiegającymi daleko tarasami i dachami przypominającymi skrzydła. Domy posiadały niezrównanie piękne proporcje, rysunki były nie tylko piękne, lecz wręcz rewolucyjne. Architekci od wieków projektowali domy, które stanowiły jedynie składankę małych pudełeczek wtłoczonych w jedno duże. Czasami duże pudło miało interesującą formę, czasami nie. Kirby zaprojektował duże pudło tak, aby mieszczące się w nim pokoje były wygodne i przestronne. Oba te aspekty łączyły się z tkwiącą głęboko w duszy ludzkiej potrzebą bezpieczeństwa, zakorzenienia we własnym miejscu, wolności i swobodnego poruszania się.

Esko patrzył na nie z pokorą, czując się tak, jak tamtego dnia

w hotelu Plaza, kiedy po raz pierwszy ujrzał konkursowy projekt Kirby'ego. Wiedział, że znajduje się w obecności mistrza, być może jedynego mistrza współczesnej architektury. Mistrza, który pił i powoli umierał w tym marnym pokoiku, w skromnym, zwyczajnym budynku, z którego okien widać było bardzo piękny drapacz chmur, ponieważ na lepszy nie było go stać. Jak to możliwe?

– Czy te budynki istnieją? – zapytał, nie mogąc zapanować nad zdumieniem, które wyraźnie zabrzmiało w jego głosie. – Zostały zbudowane?

– W Chicago – odparł niechętnie Kirby. Podetknął Esko kartkę papieru i ołówek. – Twierdzisz, że projekt dla „Gazette” jest twój. Dowiedz mi, że mówisz prawdę. Narysuj coś.

– Gdzie?

– Siadaj za biurkiem.

– Nie mogę tego zrobić.

– Ha! Dlaczego, do diabła?

– Bo to pańskie biurko.

Kirby zamrugał, nie przyzwyczajony do takiej delikatności. Świat tak długo traktował go po grubiańsku, że stary architekt zapomniał, iż ludzie mogą się zachowywać zupełnie inaczej.

– Sam zrobiłem to biurko, dawno temu...

– Wiem.

– Jak to? Skąd możesz to wiedzieć?

Esko wzruszył ramionami.

– Usiądź – powiedział Kirby, bardziej miękkim tonem.

– Skoro pan nalega...

– Nalegam.

Kirby usiadł na brzegu łóżka i włożył buty, potem zaś sięgnął po kosz na śmieci i podjął próbę uporządkowania pokoju. W tym czasie Esko, który przez parę minut zastanawiał się, co narysować, zaczął szybko szkicować.

Ujrawszy rezultat jego pracy, Kirby podrapał się po głowie i poprawił szelki na ramionach.

– Ty jesteś autorem tamtego projektu – oświadczył. – A Joe Lazarus próbuje ci go teraz ukraść.

– Na to wygląda.

– To oczywiste. Nie martwi cię to?
Esko spojrział Kirby'emu prosto w oczy.

– Nie – odpowiedział.

– Niech no zgadnę... Dam sobie rękę uciąć, że uważasz, iż gorzej jest musieć kraść, niż zostać okradzionym. Mam rację?

– Coś w tym rodzaju.

– Gówno prawda! – zagrzemiał Kirby. – Mam ci powiedzieć, na czym polega pierwsza zasada, obowiązująca w naszym zawodzie?

– Proszę bardzo – rzekł Esko sucho.

– Zdobyć pracę! Żebrać o pracę, oszukiwać, żeby dostać pracę, zrezygnować z jednej pracy, jeżeli masz możliwość otrzymania lepszego zlecenia! Postaraj się, żeby ten zawód stał się twoim życiem, bo to jest życie, kolego! I nigdy nie pozwól nikomu odebrać sobie pracy! Nigdy i pod żadnym pozorem!

– Ale w tym wypadku Joe Lazarus nie zdobył pracy, podobnie jak ja. Zlecenie otrzymał Peter Winrob.

Kirby potrząsnął głową, jakby wiedział lepiej.

– Dawaj to krzesło, do diabła.

– Oczywiście. – Esko zerwał się na równe nogi.

Kirby nie usiadł.

– Mówisz, że jak się nazywasz?

– Vaananen.

– Jeszcze raz, dobrze?

– Vaa-na-nen.

– Vaa-na-nen – powtórzył Kirby. – Zaczekaj no chwilę!

Przeszedł na drugą stronę pokoju, gdzie za drzwiami stał duży podróżny kufer. Otworzył go i przykucnął. Przez parę minut Esko słyszał, jak Kirby mamrocze pod nosem, przeglądając jakieś papiery.

– A niech mnie! – powiedział głośno.

Podniósł się, trzymając w ręku egzemplarz „Deutsche Werkbund”, jedno z czasopism, do których odwoływał się w liście opublikowanym na łamach „New York Timesa”. Należało ono do tych magazynów, które, podobnie jak wydawane w Anglii „Studio” oraz amerykański „Architectural Record”, służyły popularyzacji nowych pomysłów w dziedzinie architektury.

– Ty to wybudowałeś? – zapytał.

Podał Esko gazetę otwartą na dwóch zdjęciach, przedstawiających kościoł pod wezwaniem Cienia św. Krzyża. Esko przypomniał sobie, że kiedyś do dworku Selina rzeczywiście przyjechał jakiś fotograf, ale nigdy nie widział efektu jego pracy. Na widok kościoła serce zalała mu fala ciepła i wspomnień tamtego radosnego lata. Pomyślał, że już od dawna nie miał żadnych wiadomości od Anny.

– Tak, to również moje dzieło.

– A niech mnie! – powtórzył Kirby, nie spuszczać wzroku z twarzy Esko. Po długiej chwili powoli usiadł na łóżku. – I co! – powiedział, obejmując głowę obiema dłońmi. – Czego chcesz ode mnie?

Wyglądał na znużonego i pokonanego. W głowie Esko zaświtała nagle myśl, że Kirby obawia się jego odpowiedzi.

– Chcę, żeby mnie pan nauczył, jak być architektem.

Wiedział, że Kirby dokładnie go zrozumie i nie omylił się.

– Do diabła... – rzekł Kirby cicho i wyraźnie, pozwalając, aby Esko sam zinterpretował jego słowa. Rola nauczyciela nie należała do łatwych, zwłaszcza nauczyciela takiego ucznia. – Ja? Zwariowałeś?

Esko postanowił mu wyjaśnić, że sam jest sobie winien.

– Był pan bardzo uprzejmy w swojej ocenie mojego projektu na konkurs – oświadczył. – Z pańskiego punktu widzenia musiał to być wybór mniejszego zła, ale dla mnie okazało się wystarczającą zachętą. Dał mi pan pewne wskazówki, które są absolutnie słuszne. Mój projekt nie był dość nowoczesny. – Zawiesił na chwilę głos, szukając odpowiednich słów. – Niech pan spojrzy na Flatiron. Wiem, że często pan to robi, co najmniej sto razy dziennie. Dlatego mieszka pan właśnie tutaj, w tym małym pokoju. Chce pan mieć przed oczami budynek, który zachwycał od początku swego istnienia i nadal budzi zachwyty. Ale gdybyśmy zbudowali go teraz, byłby groteskowy, podobnie jak projekt Winroba na konkurs „Gazette”. W powietrzu rozbrzmiewa jakiś rytm, który być może dociera tu z Europy, a być może rodzi się w samej Ameryce. Ma on coś wspólnego ze związkiem między tu i teraz, między mną

i światem zewnętrznym. – Esko podniósł rękę i wskazał widok za oknem. – Jeżeli uda mi się go wychwycić, usłyszeć... Jeśli zdołam odnaleźć to, co żyje we mnie... – Przerwał, sfrustrowany i bezradny, i podrapał się po policzku. – Czuję się tak, jakbym próbował fruwać bez skrzydeł. Albo jakbym tylko czasami miał skrzydła.

Kirby ze smutkiem obserwował go z łóżka. Powolnym gestem objął cały pokój, od jednej ściany do drugiej.

– Krzesło, biurko, kufer podróżny – zaczął bez żalu czy goryczy, po prostu wyliczając fakty. – Kilka kartek papieru i ołówki do rysowania. Czy tego właśnie chcesz, Esko Vaananen? Czy tak wyobrażasz sobie schyłek swojego życia? Chcesz skończyć niekochany, bezdzietny, żyjący w pudełkowatym domu, z jakim próbowałeś walczyć przez całe życie? Tak widzisz swoją przyszłość? Bo jeżeli pójdiesz w moje ślady, to najprawdopodobniej tak właśnie będzie. – Spojrzał na Esko z pełną smutku mądrością, pozwalając, aby jego słowa zapadły w świadomość młodego architekta. – Pochlebiasz mi, przyjacielu, ale ja jestem już skończony. Mówię prawdę. Skończony i zużyty jak stary przedmiot. W. P. Kirby nie należy już nawet do historii. Wszyscy kompletnie o mnie zapomnieli. Żyję, pożyczając pieniądze na cygara i whiskey od przyjaciół, którzy doskonale wiedzą, że nigdy im nie oddam, i śmiechem pokrywają swoje prawdziwe uczucia, żeby nie wprawiać mnie w zażenowanie, bo litują się nade mną. Jestem śmieszny, żałośnie śmieszny, mój chłopcze.

Esko miał ochotę potrząsnąć Kirbym, lecz zamiast tego podszedł do ściany i zdjął z niej jeden z rysunków.

– Panie Kirby, teraz to pan opowiada bzdury – powiedział, podsuwając projekt pięknego domu o cudownych proporcjach pod oczy starego człowieka. – Architekt, który wykonał ten rysunek, nigdy, w żadnych okolicznościach, nie mógłby być żałosny.

– Cholera jasna... – mruknął Kirby, obiema rękami trzymając się za głowę, jakby bał się, że lada chwila pęknie na dwoje. – Od pięciu lat niczego nie wybudowałem. Od pięciu lat. Nie byłem nawet bliski realizacji jakiegokolwiek projektu.

– Ale to się wkrótce zmieni.

Kirby podniósł wzrok. Czuł lęk przed tym, co usłyszy od Esko, a jednocześnie pragnął to usłyszeć. W jego oczach lśniła ciekawość.

– Co chcesz przez to powiedzieć, do diabła?

– Że nie przyszedłem do pana z pustymi rękami. Że przyniosłem marchewkę. – Esko uśmiechnął się szeroko. – Przychodzę ze zleceniem, panie Kirby. I to takim, które będzie miało dla pana ogromne znaczenie.

11

Esko i Kirby szybkim krokiem dotarli do końca Broadwayu, obeszli Battery Park i zbliżyli się do miejsca, do którego zdążali, od strony morza. Był zimny, wietrzny ranek, jeden z tych, kiedy się wydaje, że Statua Wolności powinna naprawdę mocno trzymać pochodnię, w przeciwnym razie wicher wyrwie ją z jej dłoni i rzuci wysoko pod niebo. Rzeką Hudson płynął jeden z wielkich liniowców. Dym ciągnął się za nim w powietrzu jak zamarznięta lina. Pod wodnistym zimowym słońcem krzyczały mewy, nurkując wraz z wiatrem, nagle nieruchomiejąc i podrywając ją do góry.

– Jesteś tego pewny? – zapytał Kirby. Nie był zdenerwowany i nie domagał się żadnych zapewnień, po prostu chciał wiedzieć.

– Jest tak, jak mówiłem – odparł Esko. – To ja skorzystam na tym układzie. To ja jestem egoistą.

– Wobec tego chodźmy i powalmy tego faceta na kolana – powiedział Kirby i kąciki jego ust uniósł pierwszy od dawna naprawdę szczery uśmiech. – Czuję, że czeka mnie świetna zabawa.

Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i pomaszerował w kierunku ostrych klifów drapaczy chmur w centrum miasta. Poły rozpiętego płaszcza powiewały za nim jak sztandar.

W ciągu dwóch tygodni, które upłynęły od ich pierwszego spotkania, Esko obserwował, jak Kirby powoli wraca do życia. Słowa „zlecenie” i „praca” podziałały na niego jak czarodziejski

napój, który przywraca młodość. Blade policzki nabrały naturalnego koloru, krok sprężystości. Zaczął się golić, przestał pić i w przypiływie nowej pewności siebie obiecał Esko, że pokaże mu kilka interesujących rzeczy. Teraz ubrany był w strój, który nazywał służbowym uniformem – czarny aksamitny kapelusz z ostentacyjnie szerokim rondem, garnitur z tweedu i muszkę w drobną czerwono-czarną kratkę, przypiętą odrobinę na skos, co upodobiało ją do śmigielka, które lada chwila mógł wprawić w ruch potężny motor geniuszu właściciela. Wyglądał wspaniale i dość niezwykle, jak jedyne w swoim rodzaju połączenie Abrahama Lincolna i poety z końca ubiegłego wieku.

– Jaki on jest, ten MacCormick? – zapytał, nie zwalniając kroku. Nadal kroczył z rękami w kieszeniach płaszcza, z wysoko uniesioną głową i wypiętą do przodu klatką piersiową. – Wiem, że ma władzę i pieniądze, i wiele może zrobić. Ale jaki jest w głębi serca, co go naprawdę obchodzi?

Esko odparł, że MacCormick jest otwarty, sympatyczny, wykształcony, i że trudno wyczytać coś więcej z jego wiecznie młodzieńczej twarzy.

– To może nie wystarczy – stwierdził Kirby. – Powiedzieć ci, o co naprawdę chodzi w tej grze, która nazywa się realizacją projektów? O kontrolę. Na każdym kroku walczysz z kimś, kto usiłuje zyskać nad tobą kontrolę. Zakochany w dolarze inwestor, którego przynajmniej łatwo zrozumieć. Klient z niemożliwymi do spełnienia oczekiwaniami. Zarząd miasta z tomami kodeksów i reguł. Dlatego muszę wiedzieć, jaki jest MacCormick. Czy ma węża w kieszeni, na przykład?

– Wątpię.

– Do diabła, czuję, że już go lubię. – Triumfalnie trącił Esko łokciem w bok. – Będzie się wtrącał?

– Lubi architekturę i rozumie ją.

– Czasami tacy są najgorsi. – Kirby przystanął na chwilę. Jego stary garnitur z doskonałego materiału wyposażony był w mnóstwo kieszeni, zupełnie jak peleryna magika, i teraz z jednej z nich wyciągnął pełną krótkich cygar skórzaną papierosnicę. – Bez przerwy bzdurzą o łukach i kwiatonach.

– On nie jest taki.

– Obyś miał rację, chłopcze. – Znowu ruszył przed siebie, z zapalonym cygarem w kąciku warg. Zmierzał ku eleganckiemu drapaczowi chmur, który sam zaprojektował. – Ostatni raz byłem tutaj wiele lat temu – dodał.

– Dlaczego na dachu umieściłeś anioły? – zapytał Esko.

– Kiedyś w nie wierzyłem. – Kirby przelotnym spojrzeniem obrzucił fronton budynku. Pchnął drzwi i obaj weszli do holu. – Facet, który dał mi to zlecenie, był bardzo inteligentny. Dostałem je w 1892 roku. Tak... To był próżny człowiek, ale dobry przyjaciel. Dobrze mi zapłacił. Już nie żyje.

Zatrzymali się przed windą. Jej widok wprowadził Kirby'ego w zamyślenie.

– Naprawdę dawno tutaj nie byłem – powiedział. – Ostatni raz przyszedłem tu na rozmowę z klientem. Zawsze lubiłem otwierać drzwi do tej windy.

MacCormick czekał na nich w holu na górze.

– Długo czekałem na to spotkanie, panie Kirby – rzekł ze swoim lekkim, ironicznym uśmiechem.

Esko zastanawiał się, jak MacCormick zareaguje na jego propozycję, aby zatrudnić ich obu. Teraz zobaczył, jak Kirby i MacCormick zawahali się przez chwilę, a potem ukłonili się lekko i uścisnęli sobie dłonie. Nie był do końca pewny, czy poczują do siebie sympatię.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt – powiedział MacCormick.

– Chętnie podejmę się tej pracy razem z Esko – odparł Kirby. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Esko natychmiast się zorientował, że obaj odgrywają starannie przemyślane wcześniej role. Jeden człowieka światowego, doskonale wychowanego, którego nieskazitelne maniery niezupełnie ukrywają świadomość posiadania władzy, drugi pełnego energii i witalności mistrza tajemnic swojej dziedziny, który chętnie wysłuchuje wszelkich propozycji, lecz nigdy nie zgodzi się zostać niczym podwładnym.

– Panie Kirby, chciałbym przedstawić panu moją żonę. Jest wielką pedantką i trudno ją zadowolić – oświadczył MacCormick, rozpinając marynarkę i wsuwając ręce do kieszeni spodni.

Jego głos brzmiał teraz miękko, jakby chciał uwieść Kirby'ego swoją szczerością. – Pobraliśmy się zaledwie pół roku temu.

– Z radością ją poznam – uśmiechnął się Kirby.

– Kate! – zawołał MacCormick. – Chodź i przywitaj się z W. P. Kirbym. To on wybudował ten budynek dwadzieścia... Zaraz, zaraz, kiedy to było?

– Trzydzieści lat temu – rzekł Kirby.

– Kate!

Trzej mężczyźni stali obok drzwi do windy, czekając na Katerinę. Po paru chwilach pojawiła się w odległym końcu korytarza i zbliżyła się do nich płynnym krokiem, od stóp do głów otulona w ciemne futro, z dłońmi ukrytymi w mufce. Esko nie był pewien, czy ją tu zobaczy. Miał taką nadzieję i teraz uśmiechnął się serdecznie.

– Hej, gdzie byłaś? – zapytał MacCormick.

– Tam w środku jest bardzo zimno i brudno – powiedziała, wysuwając lewą dłoń z mufki i podając ją Kirby'emu. – To dla mnie wielka radość, panie Kirby.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Stary architekt zerwał z głowy kapelusz i wykonał nim dworski ukłon.

– Esko nie muszę ci przedstawiać – rzekł MacCormick.

– Oczywiście. Witam, panie Vaananen. – Obdarzyła go lodowatym uśmiechem, prosto z zamarzniętych ulic Petersburga.

– Chyba powinniśmy się trochę rozejrzeć – zaproponował MacCormick. – Poleciałem moim ludziom, żeby trochę uprzątnęli, ale Kate mówi, że nadal panuje tam straszny bałagan. Pomieszczenia stały puste, odkąd dwa lata temu kupiłem ten budynek. Zawsze myślałem, że może kiedyś znajdę dla nich jakieś wyjątkowe przeznaczenie.

Weszli do środka i Esko od razu zrozumiał słowa MacCormicka. Najwyższe dwa piętra budynku były wewnątrz połączone, stanowiły jedną halę, otoczoną galeryjką, z dużymi świetlikami w dachu. Niektóre części odgradzono, lecz zasadnicza pozostała otworem, stały w niej biurka, krzesła, maszyna do adresowania kopert, wysokie stołki na trzech nogach, megafony, grzejniki i piecyki. W jednym rogu stała nawet prasa drukarska. W tej chwili wyglądało to rzeczywiście na wielki śmietnik, ale poten-

cialne możliwości tego miejsca były ogromne. Wysokie okna zwieńczono wdzięcznymi łukami, sam widok galeryjki nasuwał mnóstwo pomysłów jej wykorzystania, a roztaczający się z okien widok na port z pewnością nie miał sobie równych.

– Działała tu jakaś firma ubezpieczeniowa – powiedział MacCormick, trącając czubkiem buta zakurzoną maszynę do pisania. – Wyprowadzając się, zostawili te wszystkie śmieci. Proszę mi powiedzieć, Kirby, co pan o tym sądzi? Czy przebudowa tej przestrzeni, wydarcie z niej wnętrzości, że tak powiem, nie będzie dla pana przykre? W końcu to pana dziecko, prawda?

– Zaprojektowałem ten budynek po to, aby służył ludziom. Szczerze mówiąc, cieszę się, że ten wieżowiec jeszcze stoi. Dlaczego go pan kupił, MacCormick?

– Był tani – odparł MacCormick bez wahania.

Kirby ryknął śmiechem.

– Esko i ja nie będziemy tani – rzekł, kiedy się uspokoił, unosząc lekko kapelusz.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy. – MacCormick natychmiast się zorientował, że zgodnie z regułami tej gry to on powinien się teraz rozeźmiać.

Esko tylko jednym uchem przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Słowa prześlizgiwały się po powierzchni jego umysłu, nie przenikając do wewnątrz. Powoli obchodził wielką salę, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Kateriny. Nie widzieli się od czasu tamtej rozmowy w Central Parku. Przypomniawszy sobie jej fragmenty i zrozumiał, że nadal jest na niego zła. Miała dużo do stracenia, Esko był tego świadom. Może smutna prawda polegała na tym, że rzeczywiście nie da się wrócić do przeszłości, zaraz jednak pomyślał o *pilvenpiirtaja*, który Katerina budowała w śniegu, i odzyskał trochę pogody ducha.

Stała pod jednym z łukowatych okien, odwrócona do niego plecami. Dłonie w szarych skórzanych rękawiczkach spoczywały na parapecie. Daleko w dole potężny transatlantyk wypływał z portu, otoczony sforą holowników. Esko otulił się płaszczem. W sali było zimno, a lodowaty wiatr zdawał się przenikać przez mury. Katerina odwróciła na chwilę głowę i spojrzała na niego

na w pół pytająco, na w pół błagalnie. Nie rób tego, prosiła go bez słów.

– Mam pewien pomysł – odezwał się Esko, zwracając się do MacCormicka. – Chciałbym przeprowadzić eksperyment i zaprojektować wszystkie możliwe aspekty tego wnętrza. Meble, dywany, draperie i zasłony, sztuce, naczynia stołowe, nawet armaturę w łazience. Wszystko, nie tylko sam apartament. To będzie niezwykle doświadczenie, dzieło pełne miłości i pasji.

Katerina odwróciła twarz do okna.

– Do diabła, Esko, to świetny pomysł! – zawołał Kirby. – Zróbmy to tak jak należy. Cały penthouse i wszystko, co będzie się w nim znajdować.

– Chcecie zaprojektować wszystko? – MacCormick lekko ściągnął brwi. – To mnóstwo pracy.

– Oczywiście – przytaknął Kirby. – Trudniej jest zaprojektować doskonały dzbanek do kawy niż średniej jakości budynek. Ten projekt będzie wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju w całym Nowym Jorku. Esko ma rację, to wspaniałą szansa.

– Kate, co ty na to?

Przez parę sekund Katerina nie reagowała. Nie odezwała się ani słowem, nie wzruszyła ramionami, a gdy wreszcie odwróciła się od okna, jej twarz była zupełnie obojętna.

MacCormick zdjął kapelusz i zakręcił nim między palcami, rozważając kwestię zaufania projektantom oraz wyznaczenie im odpowiedniego budżetu. W końcu skinął głową.

– Wchodzimy w to – oznajmił.

– Ha! – ucieszył się Kirby.

– Tak jest! – MacCormick klasnął w dłonie. – Wydajcie, ile będzie trzeba, ale nie zmarnujcie ani centa – dodał, mierząc ich bystrym spojrzeniem. – Chcę, żebyście przedstawili mi do aprobaty wszystkie projekty, a wcześniej opracowali szczegółowy plan wydatków. Macie się trzymać budżetu, panowie, więc lepiej policzcie wszystko bardzo dokładnie. Zależy nam, żeby to miejsce było doskonałe, prawda, skarbie?

– Czy to nie będzie potwornie drogie? – zapytała Katerina.

– Będzie? – MacCormick odwrócił się do Kirby'ego.

– Potwornie drogie – potwierdził Kirby. – Piekielnie, oczywiście jeżeli zależy wam na najwyższej jakości.

MacCormick podszedł do wciąż stojącej przy oknie Kateriny i wsunął ręce pod jej rozpięte futro.

– Na tym nam właśnie zależy – powiedział.

Katerina odsunęła się nieco, szeleszcząc jedwabiem. Uśmiechnęła się słabo i bez słowa zapaliła papierosa.

– Chcę panu coś pokazać – rzekł Kirby, prowadząc MacCormicka do odległego rogu, w którym stała stara prasa drukarska. – Zawsze byłem dumny z tego, co zrobiłem z tą galerią. Teraz możemy wykorzystać ten pomysł, rozbudować go – ciągnął, wskazując prowadzące na górę schodki.

Esko i Katerina stali naprzeciwko siebie, ostrożnie mierząc się wzrokiem.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytała szeptem, rozgniewana i niepewna. – Co się dzieje? Dlaczego to robisz?

– Dobrze wiesz dlaczego. Twój mąż zwrócił się do mnie z tą propozycją. I również dlatego, że Kirby może mnie bardzo dużo nauczyć, a ja potrzebuję jego wskazówek. Ale przede wszystkim po to, żebyś wchodząc po raz pierwszy do gotowego apartamentu wiedziała, że ściany, okna, krzesła, stoły, noże, łyżki, łóżko i każdy atom powietrza przeniknięte są namiętnością i uwielbieniem, jakie do ciebie czuję i zawsze będę czuł.

Przerwał. Katerina zaczerwieniła się, zaskoczona intensywnością jego wyznania.

– Nigdy nie przekroczę tego progu – powiedziała, dotykając obleczoną w szarą rękawiczkę dłonią białej kolumny szyi. – Nie zdołasz mnie do tego zmusić, Esko.

Milczał długo, wpatrując się w okno.

– Uznam wtedy, że między nami naprawdę wszystko skończone, ale ten apartament i to, co się w nim znajdzie, nadal tu będą – rzekł miękko. – Mój dom dla ciebie zawsze będzie na ciebie czekał.

Esko pomógł Kirby'emu przenieść jego rozkładane łóżko, ubrania i kilka przedmiotów osobistych na swój strych na ulicy Harrison, natomiast pokój z oknem wychodzącym na Flatiron stał się ich pracownią. Pracowali razem, razem jedli, spacerowali i oglądali stare filmy Chaplina w małym kinie Crystal Hall na Czternastej ulicy, gdzie od ośmiu lat codziennie (z wyjątkiem pięciu dni!) wyświetlano komedie z wielkim aktorem w roli głównej. Pewnego lutowego popołudnia, kiedy rzeką Hudson spływały wielkie kawały lodu, a z miejskich otworów kanalizacyjnych, kratek ściekowych i siatek zasłaniających wyjścia przewodów wentylacyjnych unosiły się kłęby pary, podobnie jak z ust spieszących ulicami ludzi, co sprawiało wrażenie, jakby w ich zmarzniętych ciałach płonęły dusze, Esko opowiedział Kirby'emu o swoim projekcie Utopii nad rzeką Wschodnią. Był to jego wzniosły pomysł wybudowania współczesnej Wenecji o dwudziestu sięgających nieba drapaczach chmur i specjalnych betonowych autostradach, zawieszonych wysoko nad poziomem ulic.

– Co za bzdury! – zawołał Kirby z błyskiem w oku. – Nigdy nie słyszałem podobnych głupstw!

Właśnie wrócili do pracowni i Kirby, jeszcze w płaszczu, rozgrzewał sobie ręce nad grzejnikiem.

– Chcesz przypuścić atak na architekturę dekoracyjną? – ciągnął. – W porządku, ale nie niszczyć sześciuset akrów Nowego Jorku, aby to zrobić. To miasto już dawno przestało być niezapisaną tablicą. Nie możesz traktować go tak, jak ci się podoba.

– Dlaczego nie, do cholery? – Esko się zdenerwował, mimo woli buntując się przeciwko wyrokowi mistrza.

– Ponieważ nie jesteśmy marzycielami i chcemy, aby to, co robimy, stało się rzeczywistością. Nie jesteśmy finansistami ani biznesmenami, chociaż musimy wiedzieć, jak prowadzić interesy. I nie jesteśmy poetami, na Boga. Staramy się pomóc ludziom żyć wygodnie, w harmonijnym otoczeniu. Ludzie, ziemia i budynek mają stanowić jedność. Nie jest to łatwe, a nasze błędy często są, niestety, niemożliwe do naprawienia czy usu-

nięcia. Dlatego być może najlepiej jest zająć się projektowaniem jednej małej i dobrej rzeczy. Koniec pierwszej lekcji. Zrobisz kawę, czy ja mam ją zaparzyć?

– Zrobię kawę – powiedział Esko.

Pomyślał, że właśnie dlatego pragnął pracować z Kirbym, chociaż nie spodziewał się, iż stary architekt będzie aż tak ortodoksyjny. Czy Kirby miał rację? Czy projekt Utopii rzeczywiście sprowadzał się tylko do tego, aby zrównać z ziemią brzydką, ale żywą dzielnicę, i zastąpić ją grobowcem z betonu?

Kirby podśpiewywał pod nosem, siedząc na obrotowym dębowym krześle, z nogami na biurku. Teraz, kiedy odzyskał dobry nastrój, nigdy nie był przygnębiony, zupełnie jakby Esko ofiarował mu niezbędny impuls energii w najbardziej pożądanym momencie. Kirby był starym człowiekiem, lecz jego emocjonalna i umysłowa witalność nie słabła ani na chwilę. Patrząc na niego, trudno byłoby zgadnąć, że dzień w dzień toczy ostrą walkę ze swoim starzejącym się ciałem. Obaj z Esko rozmawiali całymi godzinami, spierali się i dyskutowali o dobrych i złych stronach budynków, które razem oglądali. Kirby był szczery, wielkoduszny, pełen ironicznego poczucia humoru. Nie zawsze był łagodny, lecz traktował pomysły swego ucznia z niezmiennym szacunkiem i powagą. I teraz, kiedy już podjął decyzję o współpracy z Esko, nie przeżywał żadnych wahań i wątpliwości. Jego towarzystwo sprawiało, że Esko z radosnym podnieceniem myślał o pracy, a jednocześnie odnosił się do wspólnych projektów z coraz większym poczuciem odpowiedzialności.

Kirby opowiadał mu o początkach swojej kariery, w Chicago, czterdzieści lat temu, kiedy miasto po wielkim pożarze było prawdziwą białą kartą. Powstało wtedy pytanie, jak rozwiązać kwestię wysokich budynków. Wszystkie rozwiązania technologiczne były już dostępne – architekci mieli do dyspozycji windy i stal do konstrukcji ram, brakowało im jednak spójnego pomysłu architektonicznego. Jednym z proponowanych rozwiązań było takie stawianie wysokościowca, jakby w gruncie rzeczy wcale nie był wysoki, spowijanie dwóch lub nawet trzech pięter ciężkimi zdobieniami i nakładanie ich na siebie, jak

przy przygotowywaniu tortu. Drugi pomysł wymagał znalezienia dawnych form – kampanili, klasycznej kolumny, gotyckiej katedry – i stworzenia na jej podstawie hybrydy, dziwnego połączenia, które Esko widział w wielu projektach zgłoszonych na konkurs „Gazette”. Wszystko to razem oznaczało, że do rozwiązania problemu było bardzo daleko.

– Wszyscy zaczęli czytać książki o architekturze, oglądać zdjęcia i ilustracje, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby po prostu wyjść na ulicę i zrobić to, co należało. Victor Hugo miał rację, utrzymując, że słowo drukowane oznacza śmierć naturalnego rozwoju w budownictwie. Nagle można było wybierać style i mieszać je jak cukierki. I wszyscy to właśnie robili, pędząc w przeszłość jak jakieś cholerne stado ogłupiałych owiec. Wyjątek stanowił Louis Sullivan. Był prawdziwym prorokiem i przez pewien czas się wydawało, że jego nauka zwycięży, ale nie podobał się bezmyślnym, głupim lizusom, gotowym zrobić wszystko, aby przypodobać się bogatym i dobrze urodzonym. Sullivan był w pełni niezależny i w gruncie rzeczy łatwo udało się zepchnąć go na sam dół drabiny. Sullivana, pierwszego prawdziwie amerykańskiego architekta! Kto wie, może właśnie to budziło w innych taki lęk?

Kirby mówił też o dwóch szczególnie bliskich jego sercu pisarzach, Melville’u i Whitmanie. Nazywał ich przeciwległymi biegunami amerykańskiego serca. Walt Whitman nawet w śmierci potrafił dopatrzeć się cudu tęczy, heroicznego przesłania przyszłości Ameryki. Szalony Herman Melville dostrzegał złowrogą bestię, dyszącą pod skórą swego kraju. Pierwszy biegł, trzymając za rękę Boga, drugi pluł Bogu prosto w twarz. Obaj pisali o konstrukcji psychicznej człowieka, o jego architekturze.

– W dzisiejszym Nowym Jorku widzę dużo z Melville’a. Dużo tańca, picia, pieprzenia się w rytm jazzu. Ludzie plują na cały świat, wszystko mają za nic, więc może powinniśmy dać im choć trochę z Whitmana. Uświadomić im, że zajrzeliśmy do własnych serc i na ich dnie odkryliśmy wiarę. Dowieść, że bardzo kochamy ten świat, może nawet za bardzo. To jest właśnie drugi biegun serca Ameryki...

Kirby westchnął i przeciągnął otwartą dłońią po ostrzyżonych na jeża włosach na czubku głowy.

– Żyjemy w epoce maszyn – ciągnął. – Inżynierowie nauczyli nas nowego sposobu myślenia o architekturze. I dobrze, cieszy mnie to. Sam byłem najpierw inżynierem, dopiero później skończyłem architekturę. Ale inżynierowie zawsze konstruowali maszyny służące do zabijania i wcześniej czy później jakiś architekt o zdolnościach technicznych na pewno zaprojektuje budynek, za pomocą którego ludzie będą zabijać się nawzajem. I zbuduje go na prośbę jakiegoś szaleńca. Architektura ma znaczenie. I decyzje, jakie podejmujemy, również je mają.

Esko nie widział nic utopijnego w stwierdzeniu, że Nowy Jork mógłby być lepszym miejscem, gdyby architekci i budowniczywie zdecydowali się wznosić lepsze, bardziej przyjazne dla ludzi budynki. Wszystko to było kwestią zwyczajnej odpowiedzialności. Do tego też sprowadzały się decyzje, które musieli teraz podejmować w związku z zaoferowanym im przez MacCormicka zleceniem. Czuwali nad wyburzeniem starego wnętrza, usuwaniem gruzu i śmieci. Uzgodnili, że apartament powinien być zaprojektowany w prostym, pozbawionym teatralnej ostentacji stylu. Było to przecieź miejsce, gdzie dwoje zamożnych ludzi chciało żyć w wygodnych warunkach, do jakich przywykli. Jednocześnie nie mogli ignorować poszarpanej linii wieżowców na Manhattanie, wyraźnie odcinającej się od nieba za oknem. Nie wyobrażali sobie, aby mogło być tak, że właściciele apartamentu odwracali się od okna, za którym widać było wpływające i wypływające z portu transoceaniczne statki, i widzieli kanapę w stylu Ludwika XVI. Dlatego wytrwale przeglądali najnowsze projekty i wzory, zdjęcia przedstawiające wybudowane przed wojną domy Wrighta i Loosa oraz dwa powojenne europejskie czasopisma, „De Stijl” i „L’Esprit”, popularyzujące nowy, uproszczony styl architektury z betonu. Esko z rozbawieniem dowiedział się, że Loos, którego szczerze podziwiał, dostrzegał coś złowrogiego w płynnych liniach, charakterystycznych dla secesji, i napisał o tym nawet esej zatytułowany *Zbrodnia i zdołnictwo*.

Studiowali najnowsze osiągnięcia techniczne w dziedzinie

środków transportu i oglądali mnóstwo reprodukcji obrazów abstrakcjonistów i kubistów, przede wszystkim Mondriana oraz Picassa. Kirby w samych superlatywach wyrażał się o zaprojektowanym przez Saarinenę dworcu kolejowym w Helsinkach i o niesamowitym Grosses Schauspielhaus Poelziga w Berlinie. Esko rewanżował się równie pochlebnyymi uwagami na temat długich linii i doskonałych proporcji hotelu Imperial w Tokio, który przetrwał trzęsienie ziemi, jakie rok wcześniej nawiedziło stolicę Japonii. Obaj z ogromnym szacunkiem odnosili się do swego dziedzictwa i upodobań, jakby pragnęli przynajmniej w ten sposób zjednoczyć Europę i Amerykę. Wieczorami Kirby nakręcał swoją victrolę i wtedy słuchali nie tylko Strawińskiego i Beethovena, ale także Gershwinę, Irvinga Berlina i Scotta Joplina.

Chociaż stary architekt bardzo szybko się zorientował, że Esko przyjął zlecenie z miłości do Kateriny, nigdy o tym nie wspomniał. Takt i dyskrecja Kirby'ego okazały się równie godne podziwu, jak jego energia, tak więc Esko mógł nadal trwać w przekonaniu, że jego namiętne uczucie do Kateriny i poszukiwania rozwiązań architektonicznych pozostają ze sobą w korzystnym, nawet dobroczynnym związku. Jego pomysły stale ulegały zmianom. Każdego dnia widział projekt apartamentu MacCormicka i Kateriny z innej perspektywy. Nie była to pogoń za tęczą, jak w przypadku planu budowy drapacza chmur, lecz dużo bardziej spokojne i wdzięczne zajęcie. Miał nadzieję, że Katerina doceni jego starania. Próbował zrobić coś naprawdę pięknego i przesyconego czułością. Był to podarunek, róża, którą postanowił jej ofiarować. Jeżeli nie będzie chciała przyjąć tego prezentu, to trudno, niech go wyrzuci, jeśli zechce zamieszkać w apartamencie razem z MacCormickiem, to niech i tak będzie. Pamiętał wyraz jej oczu, kiedy spojrzała na niego tamtego ranka w budynku Kirby'ego, intensywne spojrzenie, które paliło mu twarz, błagając równocześnie, aby nie przyjmował tej pracy. Jeżeli ta chwila oznaczała koniec wszystkiego, co ich łączyło, to będzie musiał nauczyć się z tym żyć. Powtarzał sobie, że nie stara się już zdobyć jej uczucia, po prostu tworzy dla niej piękny dom. Nie był to zbyt konsekwentny sposób

myślenia, lecz Esko był przecież tylko człowiekiem. Jego analiza motywów własnego postępowania nie porażała logiką, ale cóż, ścieżki serca nigdy nie są proste. Kiedy skończymy pracę, nigdy nie będę próbował się z nią zobaczyć, mówił sobie. Niestety, to, co sobie wmawiał i to, co czuł, nie miało ze sobą nic wspólnego, podobnie jak nic wspólnego nie ma ze sobą projektowanie mieszkania i drapacza chmur. Esko był młodym, pełnym skrytych emocji i namiętności dobrym człowiekiem ze skłonnością do pogoni za marzeniami, który nie zawsze zdaje sobie sprawę, że skrzydła motyla tracą jakąś część barw, kiedy martwy owad zostanie umieszczony w gablocie.

– Dzisiaj zaczynamy – oznajmił Kirby.

– Od czego zaczniemy?

– A od czego chcesz zacząć?

Esko uśmiechnął się lekko.

– Od dzbanka do kawy.

Usiedli naprzeciwko siebie przy biurku, niczym wyżyły napijające smycz, na której trzyma je myśliwy, i w ciągu tego pierwszego dnia narysowali sto dzbanków do kawy, nie decydując się na żaden wzór. Następnego dnia naszkicowali następnych sto, z tym samym rezultatem. Trzeciego dnia Kirby spojrzął na rysunek, który właśnie kończył Esko, i wydał triumfalny okrzyk.

– To jest to! – wykrzyknął głosem załamującym się z podniecenia. – Strzał w dziesiątkę! Widzisz, Esko, wyobraźnia w odniesieniu do całego świata to nic w porównaniu z wyobraźnią nagiętą do potrzeb szczegółu.

– Co teraz? – zapytał Esko.

– Filiżanka do kawy – triumfalnie uśmiechnął się Kirby.

Po filiżance do kawy przyszedł czas na spodek, talerz, miskę, wazę... Kształt kuchennego stołu determinował kształt kuchennego krzesła, natomiast motyw powtarzający się we wszystkich meblach kuchennych musiał znaleźć dalekie odbicie w meblach do pokoiów oraz tralkach i poręczy nowych schodów, które miały prowadzić na galerijkę. Początkowo Esko traktował te ćwiczenia jako nieco nużącą konieczność, w której trudno doszukać się przyjemności, lecz po pewnym czasie z podnieceniem

zauważył, że projekt całego apartamentu wypływa z maleńkiej kropelki, jaką był dzbanek do kawy, z wyboru, którego dokonał lekko, prawie z rozbawieniem. Trudny proces nabierał rozpędu. Zrozumiał, że rzecz nie w tym, aby z przerażeniem myśleć o ogromnej ilości pracy, jaka jeszcze pozostała do wykonania, lecz aby skupić się na najdrobniejszym zadaniu i nie żałować wysiłku.

Kirby codziennie utrzymywał się w szczytowej formie, pochłaniając morze kawy i ubierając się w swoje tweedowe garnitury, koszule, które teraz skrupulatnie oddawał do pralni, oraz wyrafinowane eleganckie muszki. Esko pracował, odbywał długie spacerunki, a jeśli bolały go plecy lub dawno zasklepiona rana w boku, wyciągał się na podłodze. Czasami myślał o Annie i o tym, jaką radość i satysfakcję sprawiłaby jej praca u boku Kirby'ego. W jego obecnym zajęciu była czystość i prostota, która przypominała mu zmagania z projektami kościołów. Kiedyś w głowie zaświtała mu myśl, że wkładając wszystkie swoje zdolności i całą miłość do Kateriny w dzieło, które zamierzał złożyć u jej stóp, być może oczyszcza się z namiętnego pożądanego. Pomyślał, że byłoby to bardzo dobre rozwiązanie, najlepsze z możliwych.

Spędzili trzy miesiące, rysując projekt apartamentu i całego jego wyposażenia, następne dwa tygodnie poświęcili na budowanie modelu. Był to długi okres jak na jedno zlecenie, lecz Esko miał wrażenie, że ten czas zaprocentuje w przyszłości tak samo jak złożone w banku pieniądze. Nie wątpił, że kiedyś sięgnie do tych rezerw i wykorzysta je, wzmocniony nową pewnością siebie, jaką dała mu współpraca z Kirbyem. Był szczęśliwy, że telefon nigdy nie dzwoni i że nie musi widywać nikogo poza swoim mistrzem. Żyli jak mnisi. I to pewnego dnia okazało się nagle, że projekt jest gotowy, i wtedy wrócili do świata.

Biuro MacCormicka znajdowało się w pewnej odległości od Broadwayu, lecz zaledwie kilka przecznic na zachód od starego wieżowca Kirby'ego, w ponurym, wznoszącym się na brzegu rzeki Hudson potężnym budynku. Biurowiec stał na działce o kształcie równoległoboku, tak więc wieńcząca go przysadzista

wieżyczka była nieco przesunięta w stosunku do podstawy. Wystarczyło na nią spojrzeć, aby dostać zawrotów głowy. Tego popołudnia pod koniec lata 1923 roku, kiedy Esko i Kirby uznali, że wreszcie są gotowi do rozmowy z MacCormickiem, tuż przed ich przyjściem do portu wpłynął transoceaniczny statek, który właśnie przywiązywano linami. MacCormick pracował na najwyższym piętrze, na które wjeżdżało się szybkobieżną windą, przeznaczoną tylko dla niego i jego ludzi. Obaj architekci wysiedli i znaleźli się w sali zajmującej całą długość budynku. Kluczowym elementem pomieszczenia były gigantyczne okna z zasłonami z czerwonego aksamitu i widokiem na granatowy ocean i dziwną, różowawą poświatę, pulsującą w upale nad fabrykami na brzegu Jersey. Źródłem miękkiego, łagodnego światła były umieszczone na ścianach lampy, podobne do pochodni. Sufit ozdabiała mozaika w różnych odcieniach czerwieni, co miało wpływ na zabarwienie oświetlenia. Ściany obwieszono draperiami, grubymi, mięsistymi tkaninami w dwóch kolorach, żółtym i złotym. Czarno-żółte kafelki posadzki tu i ówdzie przykryte były dywanami. Ścienne lampy odlano ze zmatowionej miedzi w taki sposób, aby sprawiały wrażenie, że topnieją we własnym blasku. Była to sala przeznaczona dla księcia, na wielkie, dramatyczne chwile. Esko przez chwilę miał wrażenie, że w mroku pod ścianami widzi twarze dworzan, gotowych na każde skinienie władcy.

MacCormick, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami, siedział za biurkiem pod przeciwległą ścianą sali. Gdy Esko i Kirby podeszli bliżej, zorientowali się, że blat biurka również jest olbrzymi, jak wszystko tutaj. MacCormick oparł na nim obie ręce i spokojnie słuchał swojego asystenta. Obaj mężczyźni odnieśli wrażenie, że zbliżają się do tronu, na którym zasiada król finansjery. Esko wiedział, że MacCormick jest bogaty, ale aż do tej chwili nie miał pojęcia, co to naprawdę oznacza. Pojęcie bogactwa było dla niego całkowicie abstrakcyjne, lecz fizyczne dowody bogactwa zgromadzone w tym pomieszczeniu działały przytłaczająco, wręcz dławiąco. Pod szklaną kopułą głośno tykał zegar. Drugi asystent wbiegł przez drzwi po prawej stronie i wcisnął MacCormickowi do ręki

plik papierów. Milioner zerknął na nie przelotnie i położył na biurku, przygniatając przyciskiem, samorodkiem złota. Dopiero wtedy okazał, że zauważa obecność Kirby'ego i Esko.

– Witam panów – powiedział swoim niespiesznym tonem, mrużąc oczy i muskając dołek w brodzie. Wyjął turecki papieros z hebanowej szkatułki i zatrzaskał wieczko. – Już myślałem, że wystawiliście mnie do wiatru.

– Doskonale pan wie, że osiągnięcie pozytywnych efektów wymaga czasu – rzekł Kirby, emanując energią i optymizmem, i najwyraźniej traktując całą sytuację jako podniecające wyzwanie. – Zechce pan obejrzeć rysunki, które przynieśliśmy? – zapytał, podnosząc wyżej pękatą teczkę. – Można?

– Proszę bardzo – zaprosił MacCormick. – Macie może ochotę na drinka?

– A ma pan oryginalną szkocką? – zainteresował się Kirby.

– Równie oryginalną jak obrazy wielkich mistrzów na moich ścianach. Wiecie przecież, że kupuję tylko towar najlepszego gatunku.

– Wobec tego chętnie się napiję.

– A ty, Esko?

– Nie, dziękuję – odparł Esko, pomagając Kirby'emu rozwiązać teczkę.

MacCormick długo przeglądał zawartość teczki, uważnie przyglądając się każdemu z ponad stu rysunków. Czasami się uśmiechał, parę razy z piersi wyrwało mu się lekkie westchnienie. Przez kilka minut wpatrywał się w jeden z projektów, potem zaś potrząsnął głową, lecz trudno było się zorientować, czy wyraża w ten sposób zachwyt, czy dezaprobatę. W końcu podniósł wzrok, odgarnął z czoła dość długie włosy i z wyraźną niechęcią zerknął na zegar, jakby wcale nie miał ochoty wracać do swojego świata.

– Jestem pod ogromnym wrażeniem waszej pracy, panowie. Chylę przed wami czoło. To doprawdy niesamowite...

– Wiemy o tym – oświadczył Kirby.

– Ile? – zapytał MacCormick, otrząsając się z zamyślenia.

Esko przygotował listę wszystkich wydatków, która teraz spoczywała w jego kieszeni. Kirby spojrzał MacCormickowi

prosto w oczy i bez wahania podwoił sumę, na jaką opiewała lista.

– W porządku – powiedział MacCormick, przysuwając sobie książeczkę czekową i sięgając po pióro. – Jak szybko zakończycie roboty?

– Potrzebujemy co najmniej roku – oznajmił Kirby.

– To niemożliwe. – MacCormick odłożył czarne pióro. – Kate i ja wyjeżdżamy niedługo do Europy. Apartament musi być gotowy na nasz powrót. Trzy miesiące.

– To niewykonalne. – Kirby lekceważąco machnął ręką. – Dziewięć.

– Sześć.

– Zgoda.

MacCormick odchylił się do tyłu w krześle i oparł głowę na splecionych dłoniach, obdarzając ich jednym ze swoich rzadkich, przelotnych uśmiechów. Esko nie miał cienia wątpliwości, że półroczny termin był tym, na który MacCormick zdecydował się przed rozpoczęciem rozmowy.

Milioner chwycił pióro, szybko wypisał czek, osuszył go, złożył, potem zaś podniósł się zza biurka i wsunął mały kawałek papieru do górnej kieszeni marynarki Esko.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę nasz nowy dom – powiedział. – Do zobaczenia za sześć miesięcy, panowie.

Skinął im głową i odwrócił się do jednego ze swoich asystentów, jakby Kirby i Esko nagle przestali istnieć.

Gdy zjeżdżali windą na dół, Kirby teatralnie osunął się na ławkę niczym stary, znużony rewolwerowiec i zaczął się śmiać.

– Esko, udało nam się, do diabła! – zawołał, wznosząc oczy do sufitu. – Czy on naprawdę wypisał czek na całą sumę, jaką mu podałem?

– Owszem – potwierdził Esko.

– Skąd wiesz? Nawet nie spojrzalesz!

– Nie, ale znam MacCormicka.

Wiedział jednak także, że Kirby nie ufa ludziom, którzy posiadają władzę i wielkie pieniądze, ponieważ wielokrotnie był świadkiem, jak jego przyjaciele i znajomi padali ofiarą

możnych tego świata, i dlatego pospiesznie pokazał czek staremu architektowi.

Kirby odrzucił głowę do tyłu i wydał triumfalny okrzyk, jak Indianin, któremu właśnie udało się zdobyć kilka skalpów.

Tego wieczoru świętowali zwycięstwo. Zaczęli od szampana w restauracji Delmonico, a skończyli o trzeciej nad ranem, kieliszkiem doskonałej, starej brandy w barze hotelu Algonquin.

Następnego dnia spotkali się z szefem ekipy budowlanej i przystąpili do kompletowania zespołu rzemieślników. Mieli kontrolę nad projektem i nie szczędzili sił, aby MacCormick dostał „towar najlepszego gatunku”. Sprawy potoczyły się gładko, bez żadnych przeszkód i roboty zakończono przed upływem wyznaczonego terminu.

13

Katerina rzeczywiście wyjechała do Europy z MacCormikiem, ale wróciła do Stanów przed nim i spędziła kilka tygodni, robiąc zdjęcia w masywie górskim Yosemite oraz w Arizonie. Tuż przed Dniem Dziękczynienia 1923 roku wróciła do Nowego Jorku, gdzie postanowiła czekać na przyjazd męża. Któregoś wieczoru wraz z kilkorgiem przyjaciół wstała od stołu, aby posłuchać pierwszej nadanej z Londynu audycji radiowej. Oparta o orzechową szafkę, stanowiącą oprawę radia, z uwagą wsłuchiwała się w nieco arogancki i wyniosły głos króla Jerzego V, docierający do Ameryki przez kilka tysięcy kilometrów trzasków i pisków. Ze zdumieniem odkryła, jak bardzo głos angielskiego króla przypomina głos nieżyjącego cara. Wyłączyła radio, nastawiła gramofon i sztywny Jerzy V ustąpił miejsca amerykańskiemu królowi jazzu, Duke'owi Ellingtonowi. Nowojorscy przyjaciele Kateriny, muzycy, pisarze i aktorzy, byli ludźmi, którzy w zasadzie nic nie robili, a zawsze mieli dużo pieniędzy. Byli dziećmi Broadwayu i Harlemu, codziennie pochłaniali morze alkoholu, a ich życie stanowiło jedno pasmo przyjęć, kaca i zbyt szybkich przejażdżek samochodami, między którymi cza-

sami udawało im się poświęcić trochę czasu na pracę. Tańczyli, śmiali się, spadali z krzeseł, pieprzyli się, udawali, że nic ich nie obchodzi i pokazywali język całemu światu. Wystarczyło spędzić z nimi jeden dzień, aby uwierzyć, że komunizm jest skazany na klęskę. W Nowym Jorku Katerina nigdy nie próbowała pracować. Pozwalała swoim znajomym skupiać się wokół siebie, sama zaś obserwowała ich z uśmiechem. Przeżyła wystarczająco dużo tragedii i kiedy nie robiła zdjęć, chciała się bawić.

Nie dopuszczała do siebie uczucia gniewu, związanego z tym, co zaszło i nadal działo się w Rosji. Gdyby uległa temu uczuciu, zniszczyłaby samą siebie. Wiadomość o poważnej, prawdopodobnie śmiertelnej chorobie Lenina nie sprawiła jej radości. Nie chodziła na emigranckie spotkania, nie czytywała emigranckich gazet. Udało jej się przeżyć w Ameryce i korzystnie wyjść za mąż przede wszystkim dzięki temu, że podzieliła swoje życie na segmenty i nie pozwalała, aby zamknięty w jednym z nich ból przeciekał do pozostałych. Tą samą zasadą kierowali się konstruktorzy „Titanica”, lecz w przypadku Kateriny sprawdziło się to o wiele lepiej. „Titanic” poszedł na dno, ona utrzymała się na powierzchni. Jej małżeństwo było osobną częścią życia, która nie miała żadnego wpływu na pracę, i odwrotnie. Podróże nabierały znaczenia dopiero wtedy, gdy zobaczyła coś, co zachęcało ją do wyjęcia aparatu fotograficznego. W Nowym Jorku liczył się dla niej tylko McCormick, nawet jeśli, tak jak w tej chwili, nie byli razem. Katerina bardzo lubiła i ceniła swojego męża. Robił pieniądze, był zabawny, czasami błyskotliwy i manifestował pogardę dla wszystkich sentymentalnych bzdur. Oczywiście był zazdrosny, ale dlatego że tak wysoko ją cenił, podobnie jak ona ceniła wolność i komfort, jaki zapewniały jego miliony. Dobrze wiedziała, że podstawą ich związku była rozsądna umowa, nie namiętna miłość, ale czyż nie było tak z każdym małżeństwem? Katerina miała dosyć miłości, aż nadto. Przestała wierzyć w miłość, i to dawno temu. Jeżeli jej realizm potrzebował czasami wsparcia, to wystarczyło, żeby przypomniała sobie pierwsze tygodnie w Nowym Jorku, kiedy to mieszkała w maleńkim

pokoiku na Czternastej ulicy, którego lokatorami było także kilkanaście legionów karaluchów. Nie miała pieniędzy i często bywała głodna. Gdy wiedziała, że ktoś ma ją odwiedzić, biegła do jednej z żydowskich piekarni, kupowała ciastko i dzieliła je na dwie części. Goście z uprzejmości i litości rzadko po nie sięgali, ponieważ nie było dla nich tajemnicą, że Katerina głoduje. Zjadała ciastko później, powoli, delektując się jego smakiem, ze szklanką mleka. Pewnego razu z przerażeniem przyglądała się, jak poeta z Greenwich Village pożarł jej ciastko w dwóch kęsach. Od tamtej pory nabrała przekonania, że nie wszyscy rozumieją niedomówienia i wobec tego należy zawsze mówić całą prawdę prosto w oczy.

Godziny dnia należały teraz do niej i tylko do niej, miała nad nimi pełną kontrolę, lecz w nocy, w przerażających jak widok piekła snach, wracali bandyci, którzy tamtej pamiętnej nocy wdarli się do jej domu w Petersburgu. W tych snach od nowa przeżywała gwałt, ich cuchnące oddechy na twarzy, czuła, jak wbijają się w nią, widziała, jak mordują jej matkę, babkę i ojca. Wracała do dziwnych, delirycznych, lękowych stanów, w jakich żyła tuż po ucieczce z Rosji w Helsinkach, i właśnie związek Esko z tamtymi wspomnieniami sprawił, że zeszywniała, kiedy po raz pierwszy ujrzała go w Nowym Jorku. Myślała, że Esko nie żyje i nagle zaczęła dostawać telegramy, listy i wiadomości z „Vanity Fair”, i nawet teraz, kilka miesięcy po ostatnim spotkaniu z Esko w tamtej wyieżbionej sali z widokiem na port, nadal pamiętała przygnębienie i uczucie zagubienia, jakie mu towarzyszyło. Tak, nie był jej obojętny, ale jego dobroć, czułość i miłość do niej wtrącały ją do tunelu najstraszniejszych wspomnień, na którego końcu czyhał na nią smok – potworny chaos nie do pokonania. Uważała, że tego chaosu nie uda się przezwyciężyć ani miłością, ani pięknem, ani siłą woli. Była bezpieczna tylko wtedy, gdy potwory z jej przeszłości przebywały w zamknięciu. Nie wierzyła, aby kiedykolwiek zdołała się ich pozbyć na dobre. Jeśli zaś chodzi o drapacz chmur ze śniegu, to cóż, dziś wydawało się jej, że zbudowała go jakaś inna, obca osoba. Nie chciała się przyznać, że Esko stanowi część jej serca i duszy. Nie mogła pozwolić sobie na takie wyznanie, więcej,

potrafiła przekonać samą siebie, że jest ono najzupełniej fałszywe.

Pewnego dnia rano ktoś z biura MacCormicka zadzwonił do niej z informacją, że apartament jest gotowy. Ta wiadomość podziałała na nią jak wyzwanie, przeszył ją dreszcz niepokoju, potem zaś pojawiło się uczucie buntu i niechęci. Czy rzeczywiście się bała? Czy naprawdę nie mogła pójść tam i zobaczyć, jak wygląda apartament? Była przecież rozsądną osobą o analitycznym umyśle i niewątpliwie wykazałaby się absurdalną słabością, gdyby w nieskończoność uciekała przed wszystkim, co miało związek z Esko...

Wiedziała, że jej mąż uważa Esko za bardzo zdolnego architekta, który w przyszłości może nawet zasłużyć na miano wybitnego. Ona sama nie wiedziała, co to właściwie znaczy. Kiedy patrzyła na niektóre obrazy Cézanne'a, Picassa czy Braque'a, gdy czytała wiersze Puszkina i sonety Szekspira, czuła mrowienie w karku ze wzruszenia. Doznania estetyczne były w gruncie rzeczy przeżyciem fizycznym, nie intelektualnym. Podobne odczucia budziły w niej zdjęcia Paula Stranda, Atgeta i nawet Stieglitza, chociaż na jej postrzeganie prac tego ostatniego miał wpływ fakt, że znała go osobiście i nie znosiła zaborczych spojrzeń, jakimi zawsze ją mierzył. Nigdy jednak nie doświadczała podobnych uniesień na widok zaprojektowanej, zabudowanej przestrzeni. Kochała swoje domy w Rosji, ale wynikało to nie z osądu estetycznego, lecz z poczucia bezpieczeństwa, związanego z życiem w rodzinie, ze szczęśliwym dzieciństwem i młodością. Nie rozumiała architektury i właśnie dlatego nie powinna się obawiać wrażeń po obejrzeniu efektów pracy swojego Esko Vaananena, powiedziała sobie.

Kiedy wyszła ze stacji metra, Broadway ociekał deszczem. Od morza dmuchał ostry wiatr i ulica usiana była tysiącem lśniących parasoli, osłaniających tysiące hamburgów i kapeluszy z rondami. Przechodnie rozchlapywali kałuże kaloszami, a przejeżdżający autobus wzniosł wysoką falę kropelek, która na sekundę przesłoniła ociekające wodą budynki i ponure, szare niebo. Niecichnący plusk deszczu stanowił idealne tło dla jej myśli, które wcale nie dotyczyły Esko. Katerina wspominała

swoją pierwszą guwernantkę, która przyjechała do domu jej rodziców w Petersburgu, Francuzkę o ciemnych lokach i błyszczących oczach. Młoda kobieta podarowała Katerinie pięknie wydaną *Panią Bovary* Flauberta. Siedziały potem na skale w słońcu (Gdzie to było, chyba nad morzem?) i czytały fragmenty, w których Emma i Rudolf spotykają się, aby się kochać.

Przyspieszyła kroku, zasłaniając się parasolką przed zacinającym deszczem. Wkrótce znalazła się na progu budynku, przystanęła, popchnęła drzwi i weszła do windy. Wyjęła ukryty w rękawiczce klucz do apartamentu i jadąc na górę, myślała o Helsinkach i srebrnym lusterku, które zostawiła w mieszkaniu na Fabianinkatu. Ojciec kupił je dla niej w Paryżu, kiedy pewnego dnia wszyscy troje, on, Katerina i tamta guwernantka, wybrali się na spacer ulicami stolicy Francji. Nagle przyszło jej do głowy, że ojciec – ależ oczywiście, jak mogła wcześniej na to nie wpaść – musiał mieć romans z tą atrakcyjną dziewczyną.

W skupieniu słuchała zgrzytliwego podzwaniania windy, przyciskając do warg klucz. Obejrzę apartament i będę to miała za sobą, pomyślała.

Po przechadzce w deszczu wewnątrz wydało jej się ciepłe i przytulne. Takie było jej pierwsze wrażenie.

Sześć miesięcy temu widziała kupę śmieci w pomieszczeniu tak zimnym, że natychmiast skojarzyło jej się z Petersburgiem. Powiedziała MacCormickowi, że jest szalony, wyrzucając pieniądze na coś takiego. Żaden architekt, nawet najbardziej utalentowany, nie będzie w stanie nic z tym zrobić, powiedziała. Teraz, otworzywszy drzwi, ujrzała wywoskowaną dębową podłogę i las smukłych dębowych kolumn. Przeszła między nimi, lekko dotykając palcami, znalazła się w głównej części apartamentu i w jednej chwili ogarnął ją zachwyty. Sala była wysoka, pełna powietrza i jaśniejąca własnym blaskiem. Efekt był tak doskonały, jakby ktoś trącił kilka pozostających w całkowitej harmonii strun. Ściany zostały pokryte boazerią do dwóch trzecich wysokości. Boazeria była biała, podobnie jak ściany i sufit nad nią. Galerię poszerzono i teraz, wsparta na poziomych i pionowych dębowych belkach, sięgała daleko nad salon. Powietrze przesiąknięte było zapachem drewna i Katerina zro-

zumiała, że Esko tchnął w tę przestrzeń ducha fińskich lasów, specjalnie dla niej.

Dębową podłogę zarzucono pięknymi, haftowanymi dywanami. Z sufitu zwieszał się trójścienny ceglany piec, kończący się na wysokości kilkudziesięciu centymetrów nad otwartym, także ceglanym kominkiem, w którym ktoś ułożył przygotowane do zapalenia szczapy drewna. Dookoła kominka ustawiono głębokie, wygodne sofy. Dalej, w jadalni, stał długi, czarny stół i sześć szerokich krzeseł z wysokimi, wąskimi oparciami i poduszkami z białego jedwabiu. W kuchni proste, a jednocześnie eleganckie noże i widelce wyłożono na drewnianych blatach jak bezcenne skarby. Dotknęła białych porcelanowych talerzy, dość grubych, bardzo praktycznych, i w tej samej chwili jej wzrok spoczął na pięknym, smukłym dzbanku do kawy ze stali. Dzbanek miał prostokątny drewniany uchwyt, tak prosty, jakby wyszedł spod ręki samego Braque'a. Podniosła ten cudowny przedmiot i uśmiechnęła się, zaskoczona jego lekkością.

W mieszkaniu panowała cisza, przerywana tylko uderzeniami kropel deszczu o szyby i ledwo słyszalnymi trzaskami i skrzypieniami, wydawanymi przez atakowany wichurą budynek. Po drugiej stronie kuchni odkryła przytulną bibliotekę, której ściany aż do sufitu zabudowano półkami. Znajdujące się w bocznej ścianie drzwi prowadziły do pozbawionego okien pomieszczenia, idealnego na ciemnię, a po lewej znajdowały się kręcone schody na galerię. Gdy weszła na górę, ujrzała, że południową stronę galerii, gdzie z okien roztaczał się wspaniały widok na port, pozostawiono otwartą. Były tu krzesła, utrzymane w tym samym stylu co na dole, i stoliki, przy których można wypić kawę, poczytać lub po prostu obserwować nieustannie zmieniające się niebo i morze. Północna strona galerii, z tyłu budynku, została poszerzona i zabezpieczona balustradą. W głębi korytarza znajdowało się troje drzwi. Dwoje pierwszych prowadziło do gościnnych pokoi z łazienkami, natomiast za trzecimi znalazła olbrzymią sypialnię państwa domu. Ponieważ zaprojektowano ją w rogu budynku, miała niezwykle okno, zajmujące prawie całe dwie ściany. Na środku pokoju stało dębowe łóże, głębokie

i szerokie, o czystych, płynnych liniach i węzłowie pokrytym płaskorzeźbami przedstawiającymi drzewa.

Dopiero teraz zrozumiała, jaki efekt można osiągnąć za pomocą światła, powietrza i przestrzeni. Czuła się tak, jakby Esko napisał dla niej wiersz, namalował jej portret lub zrobił obie te rzeczy jednocześnie. Zmysły i umysł podpowiadały jej, że Esko spełnił swoją obietnicę – każdy atom tej przestrzeni został zaplanowany w taki sposób, aby wzbudzić w niej uczucie wygody, bezpieczeństwa i spokoju. Miała wrażenie, że krew śpiewa z radości w jej żyłach. Stała bez ruchu, jak mała dziewczynka, której ktoś wręczył klucz do wielkiego, jasnego strychu jej marzeń, jak księżniczka, której wszystkie, nawet najbardziej fantastyczne życzenia zostały w jednej chwili spełnione, jak kobieta, której ukochany pokrył pocałunkami każdy centymetr jej ciała.

14

Kirby wszedł do hotelu Plaza, ociekając wodą, która wylewała się z szerokiego ronda jego kapelusza jak z fontanny. Zdjął kapelusz, chlapiąc marmurową posadzkę holu, odprawił gestem portiera, zdjął zielony tweedowy płaszcz o szerokich ramionach, który niedawno sobie kupił, strząsnął z niego kolejną porcję wody i odwrócił się, ciepło uśmiechając się do kobiety, która weszła tuż za nim i właśnie składała parasolkę. Obserwujący ich ze stojącego w holu krzesła Esko poczuł, jak jego serce gubi nagle rytm. Tą kobietą była Katerina. Kirby przyszedł z Kateriną.

– Zobacz, kogo znalazłem – powiedział Kirby, zmierzając ku niemu i rzucając płaszcz i kapelusz na wolne krzesło. – Najpiękniejszą kobietę w Nowym Jorku, panią Kate MacCormick!

Katerina ubrana była w czarny płócienny płaszcz, spódnicę z ciemnej, cienkiej wełny i gładki szary sweter, szare wełniane pończochy, czarne buty na płaskim obcasie i czarny beret, nasunięty nisko na czoło. W tym prostym, eleganckim stroju wyglądała młodziej niż ostatnio, prawie dziewczęco. Wydawała

się mniej pewna siebie niż wiele lat temu, kiedy Esko ujrzał ją po raz pierwszy, lecz znacznie piękniejsza. Esko spojrział na nią, poczuł zapach świeżego, zimnego powietrza, którym przeziąknięta była jej skóra i ubranie, i zadrżał, jak pod wpływem rozkosznego bólu.

– Chodźmy do baru – powiedział Kirby, mrużąc oczy. – Muszę się napić i napiję się, choćby nie wiem co, do diabła!

– Ja już pójdę – odezwała się Katerina, zdejmując rękawiczkę z szarej skóry.

– Co za bzdury! – oburzył się łagodnie Kirby. – Była w mieszkaniu, Esko. Co ty na to? Zajrzałem tam dzisiaj, żeby sprawdzić, czy z ogrzewaniem wszystko w porządku i zastałem panią. Już się wprowadziła.

Esko rzucił Katerinie rozbawione spojrzenie.

– Naprawdę?

– Niezupełnie. Spędziłam tam tylko dwie ostatnie noce – odparła cicho, przekładając rękawiczkę z ręki do ręki.

Widok pełnej wahania, prawie nieśmiałej Kateriny był dla Esko zupełną nowością, lecz ona szybko pokonała chwilową niepewność.

– Myliłam się, Esko – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Ktoś mógłby pomyśleć, że miałeś czarodziejskie zwierciadło, w którym zobaczyłeś dom z moich snów. Nie zasługuję na coś tak absolutnie pięknego.

– Zasługujesz! – zawołali chórem Esko i Kirby.

– Nie. – Katerina z uśmiechem potrząsnęła głową. – Ale bardzo ci dziękuję. Naprawdę, z głębi serca. Apartament bardzo mi się podoba. No, teraz znowu czuję się zawstydzona...

– Moja droga młoda damo, wszystkie te niemiłe uczucia zostaną chirurgicznie usunięte za pomocą kilku kieliszków whiskey, proszę mi wierzyć – oświadczył Kirby, z galanterią ujmując jej ramię.

– Muszę już iść.

– To chyba żarty – obruszył się Kirby.

– Nie, naprawdę. Chciałam tylko podziękować, naprawdę muszę już iść.

– Esko, zrób coś – zaapelował Kirby.

Esko spojrział na Katerinę i zrozumiał, że jej ostateczna decyzja rzeczywiście zależy od niego.

– Zostań – powiedział, dumny, że ma na nią jakiś wpływ.

– Dobrze – odparła, a jej uśmiech wyglądał jak promień szczęścia.

– Doskonale – rzucił Kirby. – Spędzimy razem całą wieczór. Zabawimy się, do diabła.

I właśnie tak zrobili. W hotelowym barze Kirby wyciągnął butelkę z jednej ze swych wielu kieszeni i szybko wychylili po trzy kieliszki whiskey. Potem taksówką, w zamarzającym deszczu, pojechali do niewielkiego teatru w Village, gdzie kupili bilety na sztukę Czechowa w wykonaniu zespołu teatralnego z Moskwy. Katerina powiedziała, że jest to jedno ze wspomnień z jej ojczyzny, które budzi w niej dumę, Esko i Kirby zaś byli na tyle rozgrzani wypitym alkoholem, że dopiero po paru chwilach zorientowali się, iż aktorzy mówią po rosyjsku.

Tuż przed północą, roześmiani i zadowoleni, weszli do pobliskiej restauracji, której białe ściany rozświetlały czerwone świece.

– Nie wątpię, że spektakl był niezły, szkoda tylko, że nie rozumiałem ani słowa – rzekł Kirby, wieszając kapelusz na oparciu krzesła i siadając.

– Był tam jeden cudowny moment – powiedział Esko.

– Kiedy kochankowie nie przerywali pocałunku, chociaż obserwowali ich mali chłopcy – uzupełniła Katerina.

– Tak. – Esko uśmiechnął się lekko. – Po prostu nie mogli się od siebie oderwać...

– Nic dziwnego, że nie mogli się od siebie oderwać – rzekł Kirby. – Byli przecież w jakimś potwornym miasteczku w środku stepu, gdzie wszystko było szare. Domy, ubrania, najprawdopodobniej jedzenie również. Nawet ja zdołałem to pojąć.

Kirby otworzył menu, wyciągnął kolejną butelkę i mrugnął do Kateriny, jakby chciał jej powiedzieć, że ma szczęście, iż on nie jest dwadzieścia lat młodszy. Potem odwrócił się, podnosząc w górę butelkę, i przywołał kelnera.

W małej, mrocznej sali, pełnej śmiechu, dymu i wesołych głosów, panowała atmosfera miłego ciepła. Kelner przyrządził

im koktajle i z dumą oświadczył, że do posiłku mogą zamówić wino, prawdziwe włoskie chianti.

– Weźmiemy dwie butelki – oświadczył Kirby. Nachylił się nad świeczką i zapalił jedno ze swoich krótkich cygar, potem zaś oparł się wygodnie i z wyraźnym zadowoleniem wypuścił dym z ust. – Nie odpuszczę pani tak łatwo, młoda damo – zwrócił się do Kateriny. – Chcę, żeby opowiedziała mi pani o swoich fotografiach. Obiecała mi to pani. Proszę bardzo – które ze zdjęć lubi pani najbardziej?

– To trudne pytanie...

– Proszę się nie zastanawiać, tylko powiedzieć, które.

– Chwileczkę... – Katerina zdjęła płaszcz i берет. Na jej swetrze, tuż pod szyją, błyszczała srebrna broszka w kształcie jaskółki, wysadzana szmaragdami, które podkreślały kolor jej oczu. – Zrobiłam to zdjęcie w Kolorado, ubiegłej zimy – zaczęła.

Opowiedziała im, jak spędziła trzy dni w małym miasteczku, nocując w gorącym, ciasnym pokoju nad pocztą, gdy na zewnątrz szalała zamieć.

– Śnieg padał przez siedemdziesiąt dwie godziny. Wreszcie zawierucha ucichła i mogłam wyjść na dwór. Była noc, wszędzie dookoła piętrzyły się białe zaspasy. Zapalone lampy uliczne rzucały długie cienie, przez co zaspasy wydawały się jeszcze większe. Wróciłam po aparat i zaczęłam fotografować. Kiedy później wywołałam zdjęcia, od razu zwróciłam uwagę na jedno, z lampą na pierwszym planie. Lampę otaczało coś w rodzaju poświaty, jakby zapowiedź, że lada chwila wydarzy się coś cudownego, niezwykłego, może ukazać się jakieś postacie nie z tego świata... To jest moje ukochane zdjęcie. Teraz pańska kolej, panie Kirby.

Kelner postawił na stole butelki i wyszkolonym gestem otworzył pierwszą z nich.

– Który budynek jest pana ulubionym, z tych, jakie pan wybudował? – zapytała Katerina.

Kirby ze ściągniętymi brwiami przyglądał się w milczeniu, jak kelner nalewa wino. Poruszył prawym ramieniem i roztarł je lekko, jakby nagle poczuł w nim ból. Był to nerwowy tik, który, jak Esko zdążył już odkryć, oznaczał, że Kirby jest bardzo zdenerwowany.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – rzekł i wychylił kieliszek do dna.

– Nieładnie! – powiedziała Katerina, grożąc palcem. – Ja spełniłam pana życzenie, prawda?

– O, Jezu – mruknął Kirby, dotykając króciutkich włosów, które stały na czubku jego głowy jak naelektryzowane. Zamrugnął i z przyniesionej butelki nalał whiskey do kieliszka po winie. Opróżnił go i znowu napełnił. Wyprostował się tak sztywno, jakby za chwilę miał spaść z krzesła i nagle jego twarz wydała się Esko bardziej zmęczona niż kiedykolwiek wcześniej.

– Czy ten budynek został zburzony? – zapytał Esko.

– Spłonął – odparł Kirby i utkwiał wzrok w płomieniu świecy. – O, Jezu... – burknął. – Do diabła z tym wszystkim! – Wzruszył ramionami i dmuchnął dymem. – To historia mojego największego osiągnięcia i mojej klęski. Zdumiewające, jak często te dwie rzeczy łączą się ze sobą, prawda? Niebezpieczni członkowie tej samej rodziny...

– Słuchaj, może nie masz ochoty opowiadać nam tej historii – powiedział Esko. – Nie przejmuj się...

– Nie, chętnie wam ją opowiem – przerwał mu Kirby, opierając rękę na piersi. – Mój ojciec był kaznodzieją i budowniczym. Zaprojektował i zbudował swój własny kościół, a także dom, w którym mieszkaliśmy. Było to w Kansas. Mówił, że kiedyś spotkał Billy’ego Kida i później przez cały rok nosił przy sobie nie tylko Biblię, ale i rewolwer. Nigdy nie byłem do końca pewny, czy mam w to wierzyć...

Katerina spokojnie odsunęła torebkę na brzeg stołu i wzięła Kirby’ego za rękę. Kirby spojrzał na te smukłe białe palce, zaciśnięte na jego brązowej, kościstej dłoni i uśmiechnął się.

– Kiedy byłem dzieckiem, o wiele bardziej interesowały mnie powieści o kowbojach, które kupowało się po dziesięć centów za sztukę, niż wartościowe książki, o jakich próbowała opowiadać mi mama. Pewnego dnia zawołała mnie i oświadczyła, że gdzieś się razem wybierzemy. Wzięła mnie przed siebie na siodło i pojechaliśmy za miasto, na wzgórze. Okolica była dosyć płaska i był to jedyny wyższy punkt równiny, z którego roztaczał się widok na odległość kilkudziesięciu kilome-

trów. Czytaj, powiedziała mi. Zdobądź wykształcenie, a znajdziesz się w czołówce, niezależnie od okoliczności. Zawsze będziesz widział wszystko z góry, tak jak tutaj, będziesz miał perspektywę. Wtedy puściłem jej słowa mimo uszu, ale później zrozumiałem, że miała rację. To był jej specjalny podarunek. Zacząłem czytać, zdobywać wykształcenie, poszedłem do college'u. A jeszcze później, wiele lat później, gdy miałem już własną rodzinę, wybudowałem dom na szczycie tego wzgórza.

Kirby spojrział w migoczący płomyk świecy. Opowiedział, jak robotnicy zwozili głązy z kamieniołomu oddalonego o dwadzieścia parę kilometrów, i drewno z lasu, który znajdował się jeszcze dalej.

– Pracowałem wtedy w Chicago – mówił. – W piątek wieczorem wsiadałem w pociąg do Kansas i przez cały weekend harowałem na budowie. – Jego oczy zabłysły dumą na wspomnienie tamtych chwil. – Szkoda, że nie widziałeś tego domu, kiedy został już ukończony, Esko. On nie stał na tym cholernym wzgórzu, lecz stanowił jego część, jakby zawsze tam był, jakby w jedną noc wyrósł z kamieni. Niski, rozległy, wygodny... Był nadzieją, naszym portem. Czuliśmy się bardzo szczęśliwi.

Kirby nie patrzył na nich. Jego oczy utkwione były w przykrywającej jego rękę dłoni Kateriny.

– Nie mam nawet zdjęcia naszego domu... Spłonął w 1913 roku, a razem z nim moja żona i Danny, i Billy, naszych dwóch synków... Zginęli, wszyscy zginęli... Nie było mnie tam wtedy... Ja...

Kirby zamilkł. Oswobodził rękę z uścisku Kateriny i wbił paznokcie w czoło, jakby chciał zdjąć skórę z twarzy.

– Moi stolarze zrobili trumny. Sam wykopałem i zasypałem groby...

Jęknął i odjął ręce od twarzy, odsłaniając półksiężycowate ślady po paznokciach na czole.

– Więc widzisz, Esko – moja sztuka połączyła się w jedno z tragedią. W tym pożarze straciłem wszystkich, których kochałem. Dlatego zawsze będę ci wdzięczny. Ożywiłeś tę odrobinę dobroci, jaka we mnie tkwiła...

W rogu restauracji pianista zaczął grać jakąś nową jazzową

melodię, wypełniając powietrze szybkim, nierównym rytmem. Kelner, choć nieproszony, podszedł do ich stolika i otworzył drugą butelkę wina. Jakaś kobieta zanosła się wysokim, histerycznym śmiechem. Esko dotknął pomarszczonej od blizn skóry na swoim policzku i na krótką chwilę przeniósł się w lata wczesnego dzieciństwa. Biegł ku domowi, z którego dachu strzelały płomienie, szyby wylatywały na zewnątrz, wypchnięte potężną siłą. Potem pomyślał o projekcie Kirby'ego na konkurs „Gazette”, tak czystym i pełnym wyrazu, i nagle przyszło mu do głowy, że może ten rysunek przyciągnął jego uwagę dlatego, że on, Esko, instynktownie wyczuł, iż Kirby także przeszedł przez ogień. Chciał wziąć starego człowieka w ramiona, ukoić jego ból i z pomocą jakiegoś czarodziejskiego zaklęcia zdjąć z niego całe cierpienie, jakim poraziły go płomienie tego świata. Wiedział, że jest to niemożliwe, ponieważ przeszłość raz na zawsze złamała serce Kirby'ego; ale była przecież jeszcze przyszłość i wszystko to, co mogli zdziałać w niej razem.

Potań zapałkę i zapalił świecę, która przed chwilą zgasła przed nimi na stole.

– Wygląda na to, że jestem wam winien opowieść – odezwał się. – Chciałbym opowiedzieć wam o swoim ulubionym budynku, którego jeszcze nie wybudowałem.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął pióro.

– Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł – rzekł spokojnie. – Drewno można wyginać. Wydaje mi się, że tnąc je na długie, cienkie pasma, można by zrobić takie krzesło. – Przycisnął czubek stalówki do tkaniny obrusu i zaczął rysować – literę L, potem zaś drugie, odwrócone L, umieszczone na pierwszym. – Siedzenie i oparcie można wykonać z sosny lub ze sklejki. Oparcia pod ręce i nogi z pasemek sklejki, połączonych klejem. Całe krzesło będzie elastyczne, jak sprężyna.

Powoli zakręcił pióro i położył je na stole. Odchylił się do tyłu w krześle i z uśmiechem założył ręce.

– Widzisz, Katerino, teraz, gdy skończyliśmy wasz apartament, a mam wrażenie, że odwaliliśmy tam kawał dobrej roboty, zaczniemy dostawać wiele podobnych propozycji od bardzo bogatych ludzi. Będą chcieli, żebyśmy projektowali dla nich

podobne albo wręcz takie same mieszkania. Ale W.P. powiedział mi, że nie należy się powtarzać, i ma całkowitą rację, będziemy więc musieli pomyśleć o następnym dużym projekcie. I oto on. – Krótkim ruchem głowy wskazał mały rysunek na obrusie, który przed chwilą wykonał.

Katerina przekrzywiła głowę, przyglądając się dwóm nałożonym na siebie L raz z jednej, raz z drugiej strony.

– Esko, przecież to tylko krzesło – powiedziała niepewnie.

– Właśnie – odparł z zabawną dumą.

– Przepraszam, ale chyba czegoś tu nie rozumiem. – Katerina z pytającym wyrazem twarzy zwróciła się do Kirby'ego. – Może mi pan to wyjaśnić?

Policzki starego architekta były jeszcze mokre od łez, ale na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Chodzi o szczegół – rzekł. – Nie dostrzegasz pewnego detalu.

– Jakiego? – zapytała, spoglądając na obu mężczyzn. – Nadal nic do mnie nie dociera.

– Zapytaj, kto będzie siedział na tym krześle – zaproponował Kirby.

– Kto będzie siedział na tym krześle, Esko? – powtórzyła posłusznie.

– Jakiś urzędnik, albo może sekretarka. – Esko znowu sięgnął po pióro. – Ktoś, komu będzie potrzebne biurko. A obok tego biurka kosz na śmieci. A z drugiej strony – półka. A wszędzie dookoła – biuro...

Pióro pędziło teraz po obrusie jak szalone.

– Biuro, które jest zaledwie jedną małą częścią całego piętra, piętra, które można powielić w nieskończoność, o, tak...

Pióro poświstywało i skrzypiało, rysując śmiałe linie drapacza chmur, zaskakującego i nowego, wywodzącego się z prostego piękna naszkicowanego najpierw krzesła.

– Ale to nie wszystko – rzekł Esko.

Zdjął ze stołu talerze, butelki, noże i widelce oraz okrągłe pojemniczki na sól i pieprz, i ustawił je na podłodze, zostawiając na blacie stołu tylko świeczkę i kieliszki, które przesunął na brzeg.

– Kiedy przyjechałem do Nowego Jorku, w mojej głowie narodził się pomysł zbudowania miasta-utopii. Miasta wewnątrz miasta, jeśli wolicie to tak nazwać, miasta drapaczy chmur. Pomyślałem sobie – dwadzieścia drapaczy chmur! W ten sposób Esko ponad wszelką wątpliwość dowiedzie Katerinie, że ją kocha. A przy okazji pokaże światu, na co go stać, oczywiście. Ale W.P. powiedział mi, że to idiotyczny pomysł, i jak zwykle się nie mylił. Byłby to zbyt wielki szok dla miasta, zupełnie jakbym próbował pozbawić kogoś kończyny, obciąć mu nogę albo rękę. Dlatego wybuduję coś na mniejszą skalę, nie naruszając oryginalnej siatki ulic – kilka budynków wokół drapacza chmur i niewielkiego placu.

– Wtedy reszta miasta będzie mogła przychodzić tam i powoli przywyknąć do nowości – zauważył Kirby.

– Właśnie o to mi chodzi – odparł Esko i jego pióro znowu ruszyło w tan. – W samym sercu stanie biurowiec, wyższy od Woolwortha, najwyższy w mieście. Przy każdym rogu niższe biurowce. Z jednego rogu wyprowadzę długi, niezbyt wysoki budynek przeznaczony na szpital i centrum edukacyjne, łączący się z biurowcem w drugim rogu. Tutaj teatr, a tu hotel. W środku plac, lecz nie wenecki – nowojorski. Ludzie będą tu chętnie przychodzić, bo na placu zbuduję fontannę.

– Fontannę... – szepnęła Katerina.

– Naturalnie, fontannę. Ludzie będą tu siedzieć, odpoczywać, słuchać szumu wody i kupować jedzenie i inne rzeczy sprzedawane na straganach na placu.

Teraz już cały obrus pokryła wizja połączonych ze sobą sześcianów i wież o prostych, wysokich, majestatycznych ścianach. Przypatrując się swemu projektowi w migotliwym świetle, Esko doszedł do wniosku, że jest on klarowny, funkcjonalny i lekki. Stanowił doskonałe połączenie jego idealnej wizji z dzieciństwa ze wszystkim, czego nauczył się o życiu, architekturze i Nowym Jorku. W tej chwili miał wrażenie, że wreszcie naprawdę coś osiągnął.

– Sam więc widzisz, W.P., że nie masz mi za co dziękować. Odwrotnie, to ja jestem ci wdzięczny za wszystko, czego mnie nauczyłeś i co dla mnie zrobiłeś. A teraz powiedz mi, czy zgodzisz się pracować ze mną nad tym projektem.

– To będzie dla mnie prawdziwy zaszczyt, Esko.

Przez następne dwie godziny rysowali, rozmawiali, pili i znowu rysowali. Pierwszy obrus został starannie złożony, a kiedy kelner przyniósł im drugi, potem trzeci, szkicowali na nim poprawione wersje pierwotnego projektu. Pod koniec Kirby był tak podekscytowany, zmęczony i pijany, że Katerina i Esko musieli pomóc mu wsiąść do taksówki i zawieźli go do domu.

– Gdzie jestem? – zapytał, nagle oprzytomniawszy, kiedy byli już na strychu.

– W domu – powiedział Esko.

Kirby wciągnął w nozdrza zapach lanoliny.

– Tak jest, w domu – mruknął. – Esko, masz rysunki?

– Oczywiście. – Esko poklepał się po kieszeni płaszcza, w której znajdowały się szkice.

– Dzięki Bogu. To cudowny pomysł, Esko, wspaniały – oznajmił Kirby, pozwalając, by zdjęli mu płaszcza. – Natychmiast zanieś rysunki do pracowni i dobrze ukryj. Najlepiej gdzieś je zamknij. Nie można pozwolić, żeby Lazarus czy ktokolwiek inny dowiedział się o tym projekcie.

– Zaraz to zrobię – uspokoił go Esko. – Musisz się teraz przespać.

– Naprawdę? Czuję się doskonale. Jestem szczęśliwy, Esko. Teraz pokażemy tym draniom...

– Oczywiście.

– Wcale nie jestem aż tak pijany, jak sądzisz. Naprawdę im pokażemy – rzekł Kirby i rzucił się na rozkładane łóżko. Po chwili już chrapał.

Na dworze temperatura spadła, wiatr ucichł, a ostro zacinający, zamarzający deszcz przeszedł w śnieg, którego płatki powoli opadały między kamiennymi wieżami Broadwayu, osiadając na chodniku i na twarzach Kateriny i Esko, którzy skierowali się na północ, do pracowni. Obok nich przejechała taksówka. Silnik samochodu mruczał głośno, koła ślizgały się na mokrej nawierzchni, a z tylnego okna wyjrzała na moment jakaś głowa, witając ich bełkotliwym, radosnym okrzykiem. Potem ogarnęła ich zupełna cisza aż do chwili, gdy znaleźli się pod neonowym dzbankiem do kawy, bez końca nalewającym

strumień napoju do neonowej filiżanki. Neon syczał i trzeszczał, muskany natychmiast topniejącymi płatkami śniegu.

Kiedy dotarli do pracowni, Esko zapalił światło, włączył olejowy grzejnik i wyjął z kredensu butelkę whiskey oraz dwie szklanki. Katerina obeszała pokój, wyjrzała przez okno, gdzie z mroku wychylał się wielki dziób Flatironu i zaczęła oglądać stare rysunki Kirby'ego, obok których wisiały teraz szkice przedstawiające apartament.

– Czy właśnie w ten sposób zwykle pracujecie – upijając się? – zapytała.

– Nie. – Esko się roześmiał, zamykając w sejfie obrusy. – Ogólnie rzecz biorąc, projektowanie to bardzo trzeźwe zajęcie. Pozwól, że ci coś pokażę.

Podszedł do biurka i wyjął z szuflady gruby plik rysunków.

– Widziałaś już swój dzbanek do kawy?

– Oczywiście. Jest piękny.

– Spójrz na to. Tyle razy próbowaliśmy, zanim wreszcie udało nam się wypracować optymalne rozwiązanie.

Katerina stanęła obok i położyła rękę na jego ramieniu. Oparła się o niego lekko i Esko poczuł ciepło i delikatny napór jej smukłego ciała, kiedy oboje pochylili głowy nad arkuszami, które jeden po drugim przekładał w kręgu światła lampy.

Katerina uśmiechnęła się. Jej białe zęby zaśniły miękko, perłowo.

– To cała kolekcja dzbanków do kawy.

– Podobnie było ze wszystkimi innymi rzeczami. Pracowaliśmy dla ciebie ze wszystkich sił, Katerino.

– I dla MacCormicka, prawda?

– Dla niego także, ale przede wszystkim dla ciebie. I była to prawdziwa przyjemność.

Spojrzała mu w oczy z lekkim uśmiechem, nie zabarwionym erotyzmem, w każdym razie nie bezpośrednio, z uśmiechem łagodnym, ciepłym, pełnym zastanowienia.

– Czy ty mnie kochasz, Esko? – zapytała.

– Przecież wiesz.

– Chcę, żebyś to powiedział. Czy wypowiedzenie takich słów jest bardzo trudne dla Fina?

– Bardzo. – Esko zbliżył twarz do jej twarzy. – Katerino, kocham cię. Kocham cię mocniej niż życie.

– Myślisz, że kochasz mnie, bo jeszcze nie spaliśmy ze sobą? Przepraszam, to brzmi strasznie wulgarnie... Ale widzisz, wiem, że w przypadku wielu mężczyzn tak właśnie jest. Pragną tego, czego nie mogą dostać, lecz kiedy już to zdobędą, ich zainteresowanie słabnie. Piękne rzeczy powinny być trudne do zdobycia. To, co już dostaliśmy, jest znacznie mniej fascynujące od tego, na co jeszcze czekamy. Najlepsze jest to zdjęcie, którego jeszcze nie zrobiłam, bo ono jest idealne, nieskażone. A niewybudowany drapacz chmur jest być może tym, czego najbardziej pragniesz. I niezdojta Katerina.

Z zewnątrz dobiegało posykiwanie śniegu, który topniał na gorącym neonie. Katerina wpatrywała się w Esko, oceniała go, ale jej głos był miękki, prawie nieśmiały.

– A gdybyśmy tak teraz poszli gdzieś i kochali się przez całą noc? – przemówiła cicho.

Esko z trudem przełknął ślinę, oszołomiony zapachem jej włosów, słodką wonią perfum, blaskiem warg, fizycznym ciepłem jej ciała.

– Bardzo bym tego pragnął – odpowiedział zachrypniętym głosem.

– Sądzisz, że mogłoby cię to ze mnie wyleczyć?

– Nie jesteś chorobą, Katerino. Nie złapałem cię jak grypy. Zawsze cię kochałem i zawsze będę cię kochał.

– Tak naprawdę nic o mnie nie wiesz.

– Znam cię. Kiedy patrzę w twoje oczy, dokładnie wiem, kim jesteś.

– I co widzisz w moich oczach?

– Tamtą dziewczynkę z zawieszonym na przegubie dłoni lusterkiem. To prawdziwy cud – ona idzie w moją stronę i za chwilę będziemy razem tańczyć.

Milczała, pozwalając, aby jego słowa obmyły ją całą, czując, jak nasiąka nimi do głębi.

– Za każdym razem, gdy cię widzę, ten obraz staje się coraz wyraźniejszy – powiedział.

Objęła ramionami jego szyję. Esko zamknął oko i wtedy

pocałowała go, językiem delikatnie rozchylając jego wargi i badając wnętrze ust. Przez cienką wełnę swetra czuł przy sobie jej ciało i gorący, namiętny rytm serca.

– Katerina... – westchnął i chciał ją znowu pocałować, lecz ona przylgnęła policzkiem do jego ramienia.

– Pójdziemy gdzieś? – zapytała prawie nieśmiało.

– Dokąd?

– Do domu.

15

Za parkiem City Hall było jeszcze ciszej i spokojniej. Mieli wrażenie, że wszystkie dźwięki zostały odcięte, wytłumione i że znowu, tak jak tamtej nocy w Central Parku, to najbardziej gorączkowe i najruchliwsze ze wszystkich miast świata należy wyłącznie do nich. Wszędzie dookoła wznosiły się fantastycznie wysokie budynki, których szczyty zasłaniał wirujący śnieg. Tuż nad jezdnią przeleciała płachta gazety, jakby zdecydowała się udać w inne, lepsze miejsce. Gdzieś w pobliżu, w jakimś pustym biurze, zadzwonił telefon i długo dźwięczał z natarczywą niecierpliwością. W porcie zahuczała syrena holownika. Głęboko w ziemi pod ich stopami z odległym grzmotem przemknęło metro. Wszystkie te dźwięki pojawiały się i natychmiast znikwały, nasilając wrażenie ciszy i samotności. Zza rogu ulicy wyłonił się policjant, na którego czapce lśnił lód. Rzucił im krótkie spojrzenie, podniósł daszek czapki pałką i zaraz rozplynął się w powietrzu jak duch.

– Esko, czy jesteś pewny, że tego chcesz? – zapytała Katerina, kiedy zatrzymali się przed wejściem do budynku Kirby'ego. – Wiesz, że to wszystko zmieni. Nie wiadomo, dokąd nas to zaprowadzi, nie da się tego przewidzieć. A ja nie zamierzam składać ci żadnych obietnic.

– W porządku – powiedział, biorąc ją w ramiona i całując.

Śnieg powoli opadał na ich włosy i twarze.

– Ja będę decydować, kiedy i gdzie będziemy się spotykać – oznajmiła, gdy winda wiozła ich na najwyższe piętro. – Nie może być inaczej.

– Oczywiście.

W apartamencie zdjęli płaszcze i buty. Esko dorzucił drewna do otwartego kominka, w którym jeszcze zarzyły się węgle. Szczapy zapaliły się z trzaskiem, wysyłając w górę płomienie i słodki zapach sosnowej żywicy. Przez chwilę patrzyli na siebie, świadomi, że oto przekraczają jakąś granicę.

– Napijesz się czegoś? – zapytała.

– Jasne – odparł.

– Jest szampan, który przysłał ktoś z biura Andrew, ale będzie za ciepły. Whiskey?

– Świetnie.

Esko zaskoczył fakt, jak czysta i nienaruszona była nadal otaczająca go przestrzeń. Na stole w jadalni leżało kilka zrobionych przez Katerinę zdjęć, na sofie, obok jej torebki, parę książek. W kuchni na blacie stała puszka kawy, tuż obok leżała bagietka. Esko stanął za plecami Kateriny i nie mógł powstrzymać się, by nie pocałować jej w pochylony kark, kiedy nalewała alkohol do grubo ciętych szklaneczek.

– Rozbierzesz się dla mnie? – zapytała, podając mu szklankę.

– Słucham? – Roześmiał się nerwowo.

– Musisz być mi posłuszny. Obiecałeś. Chcę zobaczyć twoje ciało.

– Ty także się rozbierzesz?

– Jeszcze nie teraz.

Na jego twarzy musiała odmalować się niepewność, bo Katerina uśmiechnęła się lekko, uspokajająco.

– Zrób to dla mnie – powiedziała. – Proszę...

Postawił szklankę na podłodze przy kominku. Zdjął marynarkę, spodnie, skarpetki i bieliznę, czując na skórze ciepło płonącego ognia.

– A teraz? – odezwał się z nieco kpiącym uśmiechem. – Jak teraz wyglądam?

– Nagi jesteś bardzo piękny – odparła. – Jak z obrazka. Zaczekaj chwilę...

Pobiegła do ciemni i parę sekund później wróciła, niosąc aparat fotograficzny i niezgrabną lampę fleszową.

– Katerino... – zaprotestował niepewnie.

– Nic nie mów. Nie uśmiechaj się, nie pozuj, po prostu zachowuj się naturalnie.

– Naturalnie! – Esko parsknął śmiechem.

Jak mogła oczekiwać, że będzie się zachowywał naturalnie, na miłość boską?! Nagle w pokoju zabłyśło jaskrawe światło flesza i, oślepiiony, gwałtownym ruchem podniósł rękę do twarzy.

– Esko, mój ukochany, wszystko w porządku?

Mój ukochany!

– Jestem nagi i nic nie widzę – rzekł, wyciągając do niej ramiona. – Poza tym nigdy nie czułem się lepiej.

– Moje biedne kochanie – powiedziała, podchodząc i przywierając do niego całym ciałem.

Zaczęła całować jego wargi, potem brodę i policzki. Obsypała pocałunkami szyję i pierś, a kiedy usta dotknęły jego sutek, z trudem stłumił okrzyk. Całowała żebra i pępek, i bliźnię na boku.

– Zaczekaj, zaczekaj... – mruzczała, całując członek i jądra.

Jej wargi przesunęły się na uda, pośladki i łydki. Całowała jego stopy i każdy z palców z osobna, potem zaś rozpoczęła podróż w górę ciała. Bez pośpiechu dotarła do warg i całowała je powoli, leniwie zagłębiając język w jego ustach. Pieściła pocałunkami uszy i oczy, i to niewidzące, i zdrowe. Całowała go długo, bez końca, przyciskając wargi do każdego milimetra jego ciała, jakby dawała mu szczególną nagrodę, aż wreszcie miał wrażenie, że jego skóra wszystkimi porami domaga się ostatecznej rozkoszy i spełnienia. I kiedy tak stał, oddychając gorączkowo, kołysząc się w przód i w tył, i z jękiem powtarzając jej imię, wzięła jego nabrzmiały penis do ust, a on natychmiast osiągnął szczyt, drżąc i dygocząc, podczas gdy ona spijała jego nasienie do ostatniej kropli.

Później Katerina przyniosła narzuty i koce, i zrobiła z nich pościelenie tuż przy kominku. Kiedy uznała, że jest gotowe, rozebrała się, nieśmiało lecz spokojnie, wskoczyła pod przykrycie i odchyliła brzeg koca, zapraszając, aby położył się obok niej.

– I co, panie Vaananen? – zamruczała, muskając czubkami palców jego pierś. – Jest pan wyleczony?

– Bardziej chory niż przedtem – odparł. – Mam bardzo wysoką gorączkę.

Parę minut potem znowu nabrzmiał, a ona uśmiechnęła się lekko.

– Teraz, Esko – powiedziała. – Wejdź we mnie teraz.

Zrobił to, patrząc jej prosto w oczy, i gdy zanurzył się w niej do końca, zrozumiał, że nie tylko on jej, ale i ona podarowała mu upragniony dom.

Ranek był pogodny i zimny. Esko obudził się późno i odkrył, że apartament wypełniony jest jasnym, czystym jak dźwięk trąbki blaskiem. Stał przy oknie i przez chwilę wpatrywał się w bezchmurne niebo, które wydawało się miękkie i pastelowo, pudrowo błękitne. Z jednego z portowych terminali wypływał właśnie prom, kołysany dość wysoką falą. Pasażerowie, z tak wielkiej odległości, mali jak mrówki, tłoczyli się na pokładzie, spragnieni świeżego powietrza i zimowego słońca, szczęśliwi, że sztorm już się skończył. Znad budynku biur celnych bił w niebo pióropusz dymu. Statua Wolności patrzyła na lśniące fale u swoich stóp, usiane białymi drobinami lodu. Dalej, w cieśninie, krótkie stateczki straży pożarnej obwieszczały przybycie wielkiego, trzybryłowego liniowca, który w asyście holowników zmierzał powoli do portu, podobny do przewróconego drapacza chmur.

Katerina jeszcze spała, więc Esko pomyślał, że przejdzie się i przyniesie coś na śniadanie, gdy nagle uświadomił sobie, że nie ma przy sobie pieniędzy, ponieważ w nocy, kiedy dotarli do mieszkania na Harrison, wyjął portfel z kieszeni, jak miał to w zwyczaju.

– Co się dzieje, Esko? – zapytała Katerina zaspanym głosem, przewracając się na drugi bok pod kocami. – Dlaczego nie leżysz w łóżku?

Esko poczuł się jak ostatni głupiec. Rzeczywiście, dlaczego nie leży obok niej, dotykając jej ciała i smakując jej skórę? Dlaczego marnuje cenne chwile bliskości, które ofiarowała mu ta wspaniała istota? Dlaczego? Ponieważ nie chciał przerywać

jej snu. Ponieważ chciał, żeby zaczęli dzień w taki sam sposób, w jaki zakończyli noc, zasypiając ze zmęczenia przy dogasającym ogniu, o świcie, kiedy niebo zaczęło już szarzeć. Chciał być w niej i kochać się z nią czule, namiętnie. Pragnął, żeby znowu wzięła go w usta... Boże, czy można skonać z rozkoszy, pomyślał, przypominając sobie tamte chwile.

– Pomyślałem, żeby pójść po coś do jedzenia, ale nie mam pieniędzy.

– Och... – mruknęła, nie otwierając oczu. – Ja mam mnóstwo. Weź z mojej torebki.

– Gdzie jest?

– Wydaje mi się, że gdzieś przy oknie.

Esko pocałował ją, ubrał się i odszukał pękaty owal z czarnej skóry, który Katerina porzuciła na jednej z sof. Zaskoczyło go, że jej torebka jest taka ciężka. Otworzywszy zamek, ujrzał krótką, niklowaną lufę rewolweru z komorą na sześć pocisków i kolbę wykładaną macicą perłową oraz wysadzaną brylantami. Rewolwer bardziej pasowałby do hazardzisty, ogrywającego pasażerów parowców, pływających po Missisipi.

Zwrócone ku niemu plecy Kateriny podnosiły się i opadały w rytm jej oddechu. Zdążyła już zasnąć. Esko wyjął z torebki dwadzieścia dolarów, i pół godziny później wrócił z torbą pełną smakołyków. Katerina nastawiała w kuchni kawę. Esko przystanął w progu, napawając się tą chwilą, nagle dokładnie świadomy tego, co wydarzyło się tej nocy. Zostali kochankami i oto teraz ona, jego kochanka, szybkim, zgrabnym ruchem przesypywała mieloną kawę ze szklanego słoja do dzbanka, napełniała go wrzątkiem z czajnika, zanurzała czubek palca w słoiczku z dżemem i oblizywała łąkowie. Esko, oparty o jeden z dębowych filarów, zdał sobie sprawę, że chociaż on potrzebuje jej bliskości, aby jego życie było kompletne i sensowne, to ona wydaje się zupełnie samowystarczalna i niezależna. Miała na sobie tylko męską koszulę i robiła wrażenie nieśmiałej, może nieco samotnej, lecz twardej i pełnej energii. Wyraz niezwykłych, zielonych oczu był równie nieprzenikniony, trudny do odczytania, czy wręcz niezrozumiały, jak obecność sześciostzałowego rewolweru w jej torebce. Nie sposób było odgadnąć,

o czym myślała... W tej samej chwili, wyczuwając jego bliskość, podniosła wzrok i jej twarz rozjaśnił uśmiech, którego naturalna, szczerą radość pochlebiła mu i sprawiła, że serce zabiło mocniej.

– Szybko wróciłeś – powiedziała, nabierając palcem jeszcze trochę dżemu.

– Spieszyłem się.

– Co przyniosłeś?

– Wszystko. Obwarzanki, mleko, łososia, jajka, sok pomarańczowy, bekon... Chyba wszystko...

– Świetnie.

Kiedy spokojnie jedli śniadanie, zapytał ją o rewolwer.

– Zabawne, co? – powiedziała, przetykając kawę, z oczami błyszczącymi rozbawieniem. – Tak naprawdę należy do McCormicka. – Bez chwili wahania czy zażenowania wypowiedziała nazwisko męża. – Zależy mi, żebym zawsze miała broń przy sobie, bo w zeszłym roku, podczas wycieczki na pustynię, natknęliśmy się na grzechotnika, który leżał na samym środku ścieżki. Andrew zabił go kijem. Dużym kijem.

– Umiesz posługiwać się rewolwerem?

– Całkiem nieźle strzelam. Ojciec mnie nauczył. Przeszkadza ci to?

– Wydaje mi się to trochę dziwne, żeby nosić ze sobą rewolwer w Nowym Jorku...

– Dlaczego? Tu nie ma grzechotników?

– Chyba nie – odparł Esko.

Biorąc pod uwagę wszystko, co przeżyła, nie było nic specjalnie dziwnego w tym, że chciała czuć się bezpieczna na ulicach wielkiego miasta, ale Esko nie potrafił pozbyć się lekkiego niepokoju, jaki wzbudził w nim i sam rewolwer, i to, co symbolizował. Nie mógł przestać myśleć o tym, że jest jeszcze tyle rzeczy, których nie wie o Katerinie i być może nigdy nie dowie się wszystkiego.

– Nie możemy tu zostać, Esko – odezwała się, patrząc na niego znad brzegu filiżanki. – Za dwa dni wyjrzymy przez okno i zobaczymy wpływający do portu statek oceaniczny, na którego pokładzie będzie Andrew...

– Wyjedźmy. Wyjedźmy z Nowego Jorku.

- Dokąd?
- To bez znaczenia. Do Chicago, do jakiegoś miasta na zachodzie, choćby do Los Angeles – odparł, myśląc o Gunnarze i Cristofie. – Ludzie budują tam na potęgę. Nie zabraknie mi pracy.
- W Kalifornii zdarzają się trzęsienia ziemi, Esko. Nie ma tam miejsca na *pilvenpiirtaja* ani na realizację wspaniałych projektów biurowców, szpitali, placów i fontann.
- Nie szkodzi. Będziemy razem.
- MacCormick nie da nam tak łatwo spokoju. Zniszczy cię.
- Może próbować, ale na pewno mu się to nie uda – powiedział. Wszystko wydawało mu się zupełnie jasne i oczywiste, nie było się nad czym zastanawiać. On i Katerina byli sobie przeznaczeni i już zawsze będą razem. – Wszystkie te lata poszukiwań i oczekiwania... To wszystko nie ma teraz najmniejszego znaczenia, Katerino. Liczy się tylko to, że jestem z tobą. Poszedłem dla ciebie na wojnę. Myślę, że mogę wyjechać z Nowego Jorku. Ja...
- Ciii... – wyszeptała. Podeszła i usiadła mu na kolanach, przerywając potok słów pocałunkiem. – Naprawdę byłbyś gotów to zrobić? – zapytała, rozpinając koszulę, którą miała na sobie, i podsuwając mu nagą pierś.
- Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił.

Tego samego dnia, późnym wieczorem, Esko, ubrany w palto i zsunięty z czoła kapelusz stał pod wysoko wysklepioną, pełną szmerów kopułą dworca Pennsylvania Station. Na posadzce obok niego stała walizka. Zerknął na zegarek. Czekał na Katerinę, która lada chwila miała się tu zjawić, również z walizką. W kieszeni miał dwa bilety pierwszej klasy na pociąg do Chicago. Postanowili uciec z Nowego Jorku.

Spojrzał na zostawiony przez kogoś na ławce egzemplarz „Gazette”. Pierwsza strona podzielona była na dwie kolumny. Obok wybitego wielkimi literami tytułu „Ja to zrobiłem – wyznaje kochanek”, umieszczono drugi artykuł, ozdobiony równie rzucającym się w oczy nagłówkiem: „Redakcja naszej gazety

czeka na nowy drapacz chmur w centrum”. Pod tekstem znajdowało się zdjęcie Joe Lazarusa, ubranego w jeden ze swoich imponujących garniturów i płaski kapelusz ze słomki. Z artykułu wynikało, że nowy biurowiec gazety ma zostać wybudowany na Czterdziestej Szóstej ulicy, w pobliżu Bryant Park, według nowego, rzucającego na kolana projektu, którego autorem jest wybitny współczesny architekt, Joseph Lazarus.

Esko nie mógł się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. Miejsce budowy nowego biurowca znajdowało się nad Wschodnią rzeką, nie w pobliżu Bryant Park, zresztą tak czy inaczej, w konkursie zwyciężył projekt tego faceta z Chicago, jakże mu tam, Petera Winroba. Odwrócił pierwszą stronę, spojrzął na drugą i drgnął. Naszkicowany węglem przez Hugh Ferrisa, najslawniejszego ilustratora architektonicznego w Nowym Jorku, widniał tam ten jakoby nowy projekt Lazarusa. Był to konkursowy projekt Esko, tu i ówdzie upiększony niepotrzebnymi dodatkami, ale wciąż ten sam. Obok można było przeczytać wywiad z Lazarusem, który wyrażał wdzięczność dla redakcji, nie tylko za otrzymane zlecenie, lecz również za zorganizowanie konkursu. Konkurs, mówił Lazarus, dał i jemu, i jednemu z jego byłych pracowników szansę przemyślenia i zademonstrowania, oczywiście w bardzo surowej formie, niektórych rozwiązań, które wykrystalizowały się dopiero później i teraz znalazły miejsce w jego własnym, całkowicie nowym projekcie.

Na samym dole strony znajdowała się obwiedziona ramką notatka: wyniki konkursu gazety zostały unieważnione, a zwycięzcy mogą zatrzymać nagrody pieniężne, chociaż podstawowe błędy w projekcie Petera Winroba nie pozwalają na jego realizację.

Esko odwrócił się i znowu spojrzął na zegarek. Pociąg miał odjechać za pięć minut, tymczasem Kateriny jeszcze nie było. Przeniósł spojrzenie na gazetę, usiłując zrozumieć coś z tego, co przeczytał. Czy powinien zadzwonić teraz do redakcji lub do Petera Winroba w Chicago? Nie, było już za późno, dochodziła północ. Nie ulegało wątpliwości, że Lazarus wprowadził swoje znajomości w ruch, ale jak udało mu się dopiąć tego, co wydawało się zupełnie niemożliwe?

Ogarnęło go nagle obezwładniające poczucie obrzydzenia i zniechęcenia, zaraz jednak przypomniał sobie, że tak czy inaczej Katerina i on wyjeżdżają z Nowego Jorku. Odkrycie zakończonych zwycięstw matactw Lazarusa nie miało znaczenia, lecz bolało. Właśnie wtedy podniósł wzrok i ujrzał Kirby'ego, wyłaniającego się z arkadowego przejścia pod dworcowym zegarem. Kirby zbiegł szybko po schodach, wyświeżony i energiczny jak zwykle.

– Gdzie się podziewałeś, W.P.? – zawołał Esko uradowany. – Przez cały dzień próbowałem się z tobą skontaktować!

– Byłem w łaźni, usiłując odzyskać siły po wczorajszym pijaństwie – powiedział powoli Kirby, wbijając wzrok w posadzkę.

– Leczyłeś piekielnego kaca, co? Muszę ci coś powiedzieć.

– Posłuchaj, Esko. – Kirby podniósł swoje jasnoszare, nieco przekrwione oczy i spojrzał przyjacielowi prosto w twarz. – Mam złe wiadomości.

Esko podniósł gazetę.

– Wiem, nie mogę w to uwierzyć, ale to nie ma znaczenia, naprawdę. Nie przejmuj się. Bo widzisz, zdarzyło się coś tak cudownego, że...

– Nie o tym mówię – przerwał mu Kirby i zacisnął kościstą dłoń na ramieniu Esko. – Będziesz musiał jakoś to znieść, chłopcze. Przed chwilą widziałem się z Kateriną. Powiedziała, że jest jej bardzo przykro.

– Co takiego?

– Ona nie przyjdzie, Esko. Nie zamierza zostawić męża. – Kirby skrzywił się z bólu, widząc jak oko Esko wypełnia się cierpieniem, które sam doskonale pamiętał. Rozumiał, że świat jego ucznia zawalił się w jednej chwili, obrócił się w popiół, jakby jakaś straszliwa katastrofa zmiotła go potężnym tchnieniem.

CZEŚĆ CZWARTA

Film

1

Minęło osiemnaście miesięcy. Był środek lata 1925 roku.
Manhattan, piekielnie upalne południe.

Esko i Kirby, w koszulach z krótkimi rękawami, siedzieli w swojej pracowni naprzeciwko Flatironu. Przez szeroko otwarte okno do środka wpadał kurz, spaliny, hałas z ulicy, głośne pokasywanie nitownic, a czasami nawet lekki powiew morskiego wiatru, który jakimś cudem omijał Wall Street i przedzierał się tu przez kanion z rozpalonych kamieni. Kirby tkwił za biurkiem, z rękami splecionymi za głową, nieruchomy jak rzeźba. Esko leżał wyciągnięty na plecach na podłodze, z poduszką pod głową. Między nimi duży elektryczny wiatrak wirował nad blokiem lodu w kształcie trumny, topniejącym powoli w cynowej wannie. Powiew powietrza poruszał papierami na biurku Kirby'ego, zachęcając je do ucieczki spod prowizorycznych przycisków, głównie butelek pochodzącej z przemytu whiskey, brandy i ginu. Nic nie wskazywało na to, aby rozpaczliwe wysiłki wiatraka przynosiły ulgę któremukolwiek z mężczyzn, chociaż niewykluczone, że właśnie jego obecność powstrzymywała ich przed popadnięciem w szaleństwo z powodu bezlitosnego gorąca. Obaj nosili ciemne okulary, zupełnie jakby nawet tutaj, w cieniu, blask słońca był zbyt okrutny. Może zresztą po prostu zapomnieli je zdjąć. Już od ponad trzydziestu minut w pokoju panowało grobowe milczenie, kiedy nagle ostre skrzypnięcie krzesła Kirby'ego obwieściło, że stary architekt popełnił błąd i poruszył się. Środkiem czoła natychmiast popłynęły mu krople potu, które nabrały prędkości na stromiźnie grzbietu nosa, zawisły na moment na jego czubku i wreszcie z głośnym plaśnięciem rozprysnęły się na podłodze.

– Esko, żyjesz? – odezwał się Kirby, wyrwany z podobnego do transu zamroczenia.

Cisza. Nawet czas pełzał, zniewolony upałem. Kilka leżących na biurku papierów uniosło się do góry i znowu opadło. W dole, gdzieś na Broadwayu, zawyła policyjna syrena.

– Żyję – odparł w końcu Esko.

– To dobrze – mruknął Kirby. – Bardzo dobrze.

W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy zdarzały się chwile, kiedy obawiał się o zdrowie psychiczne młodego Fina. Kiedy tamtej nocy na dworcu Pennsylvania Kirby przekazał mu druzgoczącą wiadomość, Esko nie krzyczał ani nie szlochał. Może byłoby lepiej, gdyby dał ujście swemu bólowi, ale nie zrobił tego. Następnego dnia rano rozpoczął gorączkowe, trwające kilka tygodni poszukiwania Kateriny, które okazały się daremne. Potem zatonął w ponurym milczeniu, na długie miesiące. Nawet widok drapacza chmur Lazarusza, drapacza chmur według jego własnego projektu, dzień po dniu pnącego się coraz wyżej nad Bryant Park, nie zdołał wyrwać go z otępienia. Nie przyczynił się do tego nawet fakt, że w mieście rozpoczęto budowę kilku innych wysokościowców w stylu nowoczesnego gotyku, z których każdy w jakimś stopniu oparty był na konkursowym projekcie Esko. Młody Fin obojętnie wzruszał ramionami, dając do zrozumienia, że taki rozwój wypadków był nieunikniony. Taki już jest ten świat, mówił. To prawda, że taki właśnie jest, odpowiadał Kirby, ale co z tego? Czy dlatego należy się ze wszystkim godzić? Lecz wreszcie pewnego dnia, wykazując się odpornością i siłą woli, którą Kirby szczerze podziwiał, Esko wziął się w garść i zaczął wracać do życia, chociaż w dalszym ciągu odmawiał przyjmowania jakichkolwiek propozycji, jakimi zasypywał ich Andrew MacCormick. A było ich bardzo dużo. Cały Manhattan wibrował pełną dysonansów pieśnią rozbudowy. Wszędzie pojawiały się nowe hotele, domy mieszkalne i biurowce. W ciągu dnia powietrze wypełniał terkot nitownic. Podobni do pajaków podniebni chłopcy rozpinali na dużych wysokościach swoje stalowe sieci. Wieżowce wspinały się coraz wyżej, smukłe i eleganckie. Nie był to niemiecki ekspresjonizm, sowiecki konstruktywizm czy pudełkowaty modernizm Le Corbusiera. Nowy amerykański styl architektoniczny odwoływał się do wszystkich tych kierunków, wzbogacając je o coś szczególnego i nie-

powtarzalnego. Był to manhattanizm, styl ery światła i ciemności, karnawału dziewczyn-chłopczyc i wyrafinowanych, subtelnych kobiet w jedwabnych pończochach, które, podobnie jak giełda, przemawiały językiem obietnicy, dżinu, modnych, wyzywających strojów, gangsterów i wyrastających jak grzyby po deszczu barów i klubów, konkursów, których uczestnicy tańczyli bez końca, czasami aż do śmierci, oraz nieustannej, twardej walki o pieniądze; ery pulsującej gorączkowym rytmem jazzu, jazzu i jeszcze raz jazzu. Wszyscy sądzili, że epoka ta szybko się skończy, lecz ona trwała. A jednak nawet w tej tak korzystnej dla architektów sytuacji, w której wielka sztuka i przyziemna rzeczywistość podawały sobie ręce, Esko i Kirby mieli poważne trudności ze znalezieniem pracy. Ich pomysły były zbyt nowoczesne, a krąg znajomości i kontaktów bardzo ograniczony. Nie potrafili rozpychać się łokciami, albo może nie robili tego we właściwy sposób. I z całą pewnością nie umieli rezygnować ze swoich idei.

Kirby odwrócił głowę i natychmiast tego pożałował, ponieważ w zasięgu jego wzroku znalazł się wiszący na ścianie termometr. Wskazywał 40 stopni i świadomość tego faktu wydawała się w dziwny sposób pogarszać sytuację.

– Zastanówmy się spokojnie, jak sprawy stoją – powiedział Kirby, nie próbując nawet wytrzeć spływającego po policzkach potu. – W ciągu ostatnich trzech miesięcy zarobiliśmy... No, właśnie, ile?

Esko nie otworzył oka. Skupił się na dobiegających z ulicy dźwiękach, próbując wyobrazić sobie, że jest to świst i szum mknących po śniegu nart, a on znajduje się w Finlandii, gdzie panuje zimno, niebiański mróz...

– Dwieście pięćdziesiąt dwa dolary i sześćdziesiąt pięć centów – odparł.

– Co mamy w perspektywie?

– Kupiec z Saksa nadal zastanawia się nad naszymi projektami krzesel, szklanek, kieliszków, noży i widelców. Możesz mi nie wierzyć, ale jestem optymistą. Wysłałem też coś do tego nowego czasopisma, „The New Yorker”.

– Coś? – powtórzył Kirby. – To znaczy co?

– Trochę rysunków. Komiksowych historyjek.
– Chodzi ci o dowcipy? – Kirby z irytacją podniósł głos. – Ciekawe, dlaczego mnie nigdy nie opowiadasz żadnych dowcipów!

– Bo mi nie płacisz.

– Ha!

Wiatrak nadal kręcił się nad coraz mniejszą bryłą lodu.

– Chyba wyjdę – powiedział Esko.

– W ten cholerny upał? Zwariowałeś?

– Do kina. Na jakiś film z Chaplinem.

– Pójdę z tobą.

– A potem na Keatona.

– Keatona też lubię.

– Dalej boisz się spuścić mnie z oka? – zapytał Esko.

– Nie, wiem, że teraz doszedłeś już do siebie. Masz już za sobą wszystkie te głupstwa, prawda?

– Prawda. Mam je za sobą.

– Zupełnie? – Kirby przeciągnął dłońmi po sztywnych siwych włosach.

Do pracowni bez pukania wszedł jakiś mężczyzna. Ubrany w ciemny garnitur, miał pokrytą plamami cerę o barwie owsianki, a ciemny kapelusz spoczywał na jego głowie tak równo, jakby właściciel spędził co najmniej miesiąc przed lustrem, starannie go poprawiając. Oczy miał tak głęboko osadzone, że trzeba by chyba mieć wędkę z haczykiem, aby wydobyć je na światło dzienne. Pod oczami niespodziewanego gościa rysowały się ciemne kręgi. Nie odezwał się ani słowem i nie wykonał żadnego gestu. Po prostu stał tuż przy drzwiach, z potężnymi rękoma zwisającymi swobodnie po bokach. Po jego twarzy płynęły strumyczki potu, a twarde, błyszczące oczka jak reflektory omiatały pokój.

Esko wyczuł niebezpieczeństwo i szybko podniósł się z podłogi. Kirby także wstał, ze zgrzytem odsuwając krzesło i otrzepując koszulę z drobinek popiołu.

– Czy możemy panu w czymś pomóc? – zagadnął Kirby.

Osilek dalej milczał. Twarz nosiła całkowicie obojętny wyraz, oczy zaś mierzyły przybrudzoną popiołem koszulę Kirby'ego

z takim niesmakiem, jakby jej istnienie obrażało jego poczucie ładu i godności. Na moment rozciągnął wargi w lekkim uśmiechu. Potem odsunął się na bok i na progu pokoju stanął nagle Paul Mantilini.

Tak właśnie Esko widział to później, ilekroć wspominał ten dziwny dzień. Pojawienie się Mantiliniego przypominało magiczną sztuczkę. Tamten się cofnął, a Paul Mantilini znalazł się w pokoju, przemierzył go trzema krokami i stanął przy oknie, zwrócony do nich plecami. Patrzył na Broadway. Jedną rękę wsunął do kieszeni spodni i lekko potrząsał znajdującymi się w niej monetami.

– Witaj, Esko, dawno cię nie widziałem – powiedział, odwracając głowę, ale bardzo nieznacznie.

Mówił cicho, jakby było oczywiste, że świat powinien nastawić uszu i w ciszy wysłuchać tego, co ma mu do powiedzenia Paul Mantilini. Esko pomyślał, że mimo to zachowanie Mantiliniego uderza nie tylko arogancją i chłodem, ale także budzącą natychmiastową sympatię uprzejmością. Uświadomił też sobie, że prawie zupełnie zapomniał o istnieniu Mantiliniego. Od wielu miesięcy nie przyglądał się bliźnie na swojej dłoni, która teraz nagle zaczęła go nieznośnie swędzić.

Paul Mantilini najwyraźniej zrobił karierę. Miał na sobie fiołkoworóżową jedwabną koszulę i trzyczęściowy garnitur w bananowożółtym kolorze. Było to najbardziej uderzające zestawienie barw, jakie Esko kiedykolwiek widział. Guziki marynarki wykonano z kości słoniowej, klapy były imponująco szerokie, a materiał musiał zostać poddany farbowaniu co najmniej tysiąc razy, zanim producentom udało się uzyskać ten złocisty odcień. Garnitur wyglądał jak solidna płaszczyzna koloru, a przy tym sprawiał wrażenie niewiarygodnie miękkiego i lekkiego. Chyba też przyjemnie chłodził w ten piekielny dzień, ponieważ Mantilini nie był nawet odrobinę spocony. Jego skóra była gładka, zadbana i pachniała cytrusami. Buty z czekoladowobrązowej i białej skóry, starannie wyglansowane, leżały na jego zgrabnych stopach jak rękawiczki. Nikt nie mógłby zaprzeczyć, że Paul Mantilini jest pełnym uroku mężczyzną. Jego urok był równie naturalny, jak uśmiech i aura zła, którą czasami emanował.

W górnej kieszeni marynarki tkwiła fiołkoworóżowa jedwabna chusteczka, podobna do rozkwitającej orchidei. Od chwili, kiedy Esko widział go po raz ostatni, zyskał drobną, głęboką bliznę na lewej powiece, najprawdopodobniej ślad po ukłuciu nożem.

– Paul Mantilini – powiedział Włoch niskim, rozkazującym głosem, wyciągając dłoń do Kirby’ego.

– Przepraszam, ale nie dosłyszałem – rzekł Kirby, ściskając podaną rękę. – Mógłby pan powtórzyć nazwisko?

Na twarzy Mantiliniego pojawił się odległy, chłodny uśmiech. Myślał już zupełnie o czym innym i jak zwykle, nie zamierzał się powtarzać.

– W. P. Kirby – przedstawił się stary architekt, zerkając na Esko i wzruszając ramionami.

Mantilini kiwnął głową, jakby i bez prezentacji doskonale wiedział, z kim ma do czynienia, i włożywszy ręce do kieszeni, zaczął spacerować dookoła biurka, krótkimi spojrzeniami omiatając oprawione rysunki na ścianach, cynową wannę z lodem, wirujący wiatrak, zniszczone, chociaż nadal porządne sprzęty. Baczenie przyjrzał się etykietce na butelce przemyconego alkoholu na stole i lekko się uśmiechnął.

– Przyjemny widok – odezwał się i nie ulegało wątpliwości, że nie chodzi mu o widok z okna. – Klub – dorzucił, czubkiem palca dotykając śladu po nożu nad oknem. – Chcę, żebyście zbudowali dla mnie klub.

Esko i Kirby wymienili zaskoczone spojrzenia. Mantilini zmierzył ich nieco rozbawionym wzrokiem.

– Jesteście architektami, prawda?

Kirby lekko uniósł brwi, nadal patrząc na przyjaciela.

– Tak – powiedział Esko.

Mantilini rozluźnił się, uśmiechnął. Wydawało się, że z wyprzedzeniem wie, co zrobią Esko i Kirby.

– No właśnie, mówiłeś mi, że jesteś architektem, Esko. Wspominał też o tym Bo, ten Szwed. Było to jakiś czas temu. Chcę, żebyście zbudowali luksusowy klub, najlepszy w mieście. Z dużym, okrągłym barem, parkietem do tańca i miejscem, gdzie ludzie będą mogli coś zjeść. I miejscem na fortepian, bo znam kogoś, kto lubi śpiewać.

– Czy ten ktoś nie nazywa się przypadkiem Caruso? – wymamrotał Kirby.

– Bardzo zabawne – rzucił Mantilini, wpatrując się w czubki swoich butów. Zaraz jednak przeniósł wzrok na Kirby’ego. – To piosenkarka. Nie sądzę, żebyście ją znali. No więc – ile czasu by wam to zajęło?

– To zależy – odparł Esko.

– Od czego? – Głos Mantiliniego był ostry, odrobinę zaczepny. – Od pieniędzy?

– Od pieniędzy także.

– To chyba oczywiste, do diabła – dodał Kirby.

– Jest też kwestia działki – powiedział Esko.

– Czego? – zapytał Mantilini.

– Miejsca, gdzie chcesz wybudować klub. Masz już coś konkretnego na myśli?

– Och, jasne – rzekł Mantilini leniwie. – Mam kilka budynków. Mam na myśli szczególnie jeden. – Uśmiechnął się znowu, jak zwykle z niezachwianą pewnością siebie. Oparł dłonie na biurku, wziął do ręki ołówek i zaraz go odłożył. – Co wy na to?

Esko odchrząknął, spoglądając na Kirby’ego, lecz ten nie pośpieszył mu z pomocą. Wyglądał na bardzo rozbawionego całą sytuacją i w odpowiedzi na spojrzenie Esko z uśmiechem uniósł brwi.

– Jak duży jest ten budynek? – zapytał Esko.

– Duży. Pod względem powierzchni podstawy to mniej więcej jedna trzecia lokalu, który wybudowali dla Babe Ruth. Naprawdę spory. Od jednej przecznicy do drugiej, wysoki na osiem metrów. Moglibyście się tym zająć, panowie?

– Jest pusty?

– Tak, zupełnie.

Esko gwizdnął, zaczynając dostrzegać możliwości, z jakimi wiązała się propozycja Włocha.

– Myślę, że w ciągu dwóch, trzech tygodni udałoby wam się coś sklecić, prawda?

– Ha! – powiedział Kirby, a Esko roześmiał się głośno.

Mantilini zmierzył ich obu uważnym spojrzeniem, zastanawiając

się, czy z niego nie żartują i na szczęście natychmiast zrozumiał, że ani im to w głowie. Esko w ostatniej chwili powstrzymał westchnienie ulgi.

– Dłużej?

– Znacznie – odpowiedział Esko.

– Chcę mieć ten klub jak najszybciej. Pieniądze nie stanowią problemu.

– Nie ma pan pojęcia, jak cieszy mnie ta deklaracja– zauważył Kirby.

– Wpadnij jutro po południu, Paul – rzekł Esko. – Przygotujemy kilka wstępnych projektów, które będziesz mógł przejrzeć.

– Tak to się zwykle odbywa?

– Tak.

– Więc jesteśmy umówieni? – rzucił Mantilini. – Tak?

– Tak jest.

Mantilini zniknął równie szybko, jak się pojawił. Tuż przed wyjściem na sekundę zatrzymał się w progu i podniósł dłoń, na której widniała blizna o białawych brzegach.

– Co to za historia z tą blizną? – odezwał się Kirby, kiedy obaj z Esko dopadli okna i wyjrzeli na zewnątrz. – Wygląda tak samo jak twoja.

– Kiedyś uratowałem mu życie. Pracowaliśmy razem przy konstrukcji stalowych ram wysokościowców.

– Naprawdę? – zaciekawiał się Kirby. – Jezu, spójrz tylko na to!

Po drugiej stronie ulicy, przyczajony w cieniu, stał wspaniały samochód, rolls-royce, złocisty, długi i smukły, wykończony chromem, o pękatych siedzeniach ze skóry. Na masce, między dużymi przednimi światłami, umocowana była figurka kobiety, wykonana ze srebrzystego metalu. Na tylnym siedzeniu, wygodnie usadowiona na czerwonej skórze, siedziała kobieta, której twarz skrywał cień. Z przodu, na siedzeniu pasażera, rozpięta się ubrany w garnitur męczyzna z papierosem w ustach. Jedną nogę opierał na desce rozdzielczej. Z bramy wyłonił się Mantilini w asyście ochroniarza, który wszedł z nim na górę. Drugi, który najwyraźniej czekał na dole, kroczył za nimi.

Mantilini zajął miejsce obok kobiety i musnął pocałunkiem

jej wargi. Dwaj ochroniarze usiedli z przodu, obok kierowcy i samochód włączył się do ruchu, mknąc w dół Broadwayu jak srebrna strzała.

– Życie stało się nagle bardzo ekscytujące – rzekł z uśmiechem Kirby.

2

Tak więc zaczęli pracować dla przemytnika alkoholu, dla gangstera. Zawarli umowę z Paulem Mantilini. Przygotowali kilka projektów klubu, Mantilini przeglądał je przez parę minut, z aprobatą kiwając głową, następnego dnia zaś ochroniarz w starannie włożonym kapeluszu, Gardella, sam przyjechał do pracowni i położył na biurku walizkę z kremowej skóry, z okuciami z czystego złota. Ponieważ sama walizka była warta fortunę, Esko pomyślał, że może to ma być ich wynagrodzenie, lecz Gardella otworzył ją niedbale, demonstrując zawartość. Esko usłyszał, jak Kirby ostro wciąga powietrze i zobaczył, że walizka pełna jest pieniędzy.

Kirby potarł dłonią zarost na brodzie.

– Musi tu być jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów – powiedział.

– Siedemdziesiąt pięć – sprostował Gardella.

– Do diabła! – mruknął Kirby, dotykając banknotów. – Wydaje mi się, że praca dla tego faceta przypadnie mi do gustu.

Tego samego dnia Mantilini oddał im do dyspozycji samochód z szoferem, który woził ich z pracowni do znajdującego się mniej więcej trzydzieści przecznic na północ budynku na rogu Broadwayu i Pięćdziesiątej Piątej. Kirby zainwestował w kilka nowych letnich garniturów i białych kapeluszy panama, z nieskrywaną satysfakcją odgrywając rolę architekta, który odniósł życiowy sukces. Początkowe obawy, że Mantilini będzie wtrącał się do wszystkich spraw, że będzie stał im nad głową i dyktował, co mają robić, okazały się całkowicie bezpodstawne. Włoch zaglądał do swego przyszłego klubu rzadko i lustrował wszystko w zupełnie niedemonstracyjny sposób. Można było odnieść

wrażenie, że osiągnął prawdziwe mistrzostwo w niespodziewanym pojawianiu się i znikaniu. Ni z tego, ni z owego stawał na progu, ubrany w bananowożółty, intensywnie niebieski lub trawiastozielony garnitur, obwieszczając swoje przybycie cichym chrząknięciem, podzwanianiem monetami i kluczami lub szmerem ołówka w złotej obsadce, sunącego po kartkach notesu w czarnej skórce, który chwilę wcześniej wyjął z kieszeni. Raz Esko przypadkiem zajrzał do tego notesu i ujrzał, że jest on ciasno zapisany kolumnami cyfr. Nie było w nim dat, nazwisk czy adresów, tylko liczby, astronomicznie wysokie liczby z wieloma zerami, którymi Mantilini żonglował z równą łatwością, z jaką parę lat temu mocował śruby i nity.

Upał utrzymywał się przez cały lipiec i sierpień. Pewnego ranka Esko podniósł wzrok znad deski kreślarskiej, którą kazał ustawić w pracy, i zobaczył w drzwiach budynku wynurzającą się z oślepiającego słońca postać. Był to Mantilini, w różowym garniturze, wypoczęty i świeży. Esko nie miał pojęcia, jak Włoch to robi. Opalona twarz Paula była gładka i matowa, bez śladu potu, błyszczące, ciasno przylegające do czaszki włosy wyglądały tak, jakby właśnie wyszedł od fryzjera. Zęby lśniły, lecz Esko nie widział w nim nic groźnego. Oczywiście, czytywał historie, z których wynikało, że gangsterzy zajmują się głównie strzelaniem do swoich rywali, biciem ich do nieprzytomności, topieniem lub wieszaniem. Wiedział, że często bawią się w towarzystwie burmistrzów wielkich miast i gwiazd kina, że szmuglują całe ciężarówki whiskey z Kanady i rumu z Miami, sprzeciwiając się znienawidzonej prohibicji i dostarczając pożądaną przez wszystkich towary. Ale sam nigdy nie widział jednak Mantiliniego w akcji. Z punktu widzenia ich obu, Esko i Kirby'ego, Włoch był idealnym klientem. Nie wtrącał się i nie wyklócał o pieniądze. Interesowało go tylko, aby jego zlecenie zostało wykonane szybko i sprawnie. Esko z przyjemnością dla niego pracował. Wiedział, że inni architekci także projektują kluby, odniósł nawet wrażenie, że jest to nie tylko intratne, ale i modne zajęcie. Tak więc, jeżeli Paul Mantilini postanowił w ten sposób wynagrodzić go za to, co trzy lata wcześniej wydarzyło się na budowie, Esko nie miał nic przeciwko temu.

Naturalnie był ciekaw, jak to się stało, że Mantilini w tak krótkim czasie zaszedł tak daleko, ale nie pytał, zgadując, iż im mniej wie o sprawach Włocha, tym lepiej.

Mantilini spojrział na plany na desce Esko, obracając w palcach monetę.

– Przejedźmy się – zaproponował.

Chwilę później Esko znalazł się w wykończonym chromem i lśniącym orzechem wozie, na sprężystych poduszkach z czerwonej skóry. Rolls-royce cicho mknął przez miasto, potem przez prowadzący do Brooklynu most przerzucony nad wodami East River, która w słońcu wyglądała jak pomarszczona cynowa blacha. Po drugiej stronie mostu zatrzymali się przed magazynem i wysiedli z samochodu. Nad ich głowami unosiły się rozkrzywane mewy, a magazyn wyglądał na zaniedbany i pusty, tylko do piwnicy prowadziły białe, świeżo pomalowane drzwi.

– Chodź – powiedział Mantilini.

Zapukał trzy razy, a kiedy im otworzono, wprowadził Esko do wielkiego pomieszczenia, pełnego oparów alkoholu. W głębi, w kłębach pary, Esko ujrzał kilka długich rzędów błyszczących, pękatych miedzianych kadzi. Było ich koło pięćdziesięciu, a przy każdej z nich kręciło się pięciu lub sześciu ludzi; nad ich poczynaniami czuwał kierownik w białym kitlu. Z zainstalowanej w pobliżu taśmy dochodził nieustający brzęk butelek, przesuwanych w odległy koniec magazynu, gdzie były napełniane.

– Stąd pochodzą butelki, które widziałem w twojej pracowni – powiedział Mantilini, podnosząc głos, aby Esko go usłyszał. – Podobnie rzecz się ma z większością whiskey w Nowym Jorku. Widzisz tamte kotły destylacyjne? Sprowadziliśmy je z Anglii, po piętnaście tysięcy dolarów za sztukę.

Mantilini wyjaśnił Esko, że to właśnie tutaj legalnie produkowany w Stanach alkohol poddawany jest ponownej destylacji i oczyszczany. Później miesza się go z prawdziwą whiskey z Kanady lub Europy.

– Wszystkie butelki importujemy z Anglii. Etykiety zamawiamy u tych samych wysokiej klasy drukarzy, którzy obsługują producentów najlepszych alkoholi ze Szkocji. Cała ta wytwórnia warta jest trochę ponad milion dolarów. Z bieżącej

produkcji powinniśmy uzyskać w tym roku koło dziesięciu milionów. Nasz syndykat posiada osiem takich zakładów na terenie całego Nowego Jorku. Nie staramy się niczego ukrywać, zresztą jak mogłoby nam się to udać? Urzędnicy burmistrza i policja doskonale wiedzą, gdzie nas szukać. Lubią nas, bo wypuszczamy na ulice dobry alkohol, nie taką truciznę jak inni. Oczywiście, ich sympatia bierze się także z tego, że dostają swoją działkę. Nie muszę ci mówić, że sporo im płacimy.

Mantilini nie ukrywał dumy ze swego przedsiębiorstwa. Obiegł wzrokiem ogromną salę, sprawdzając detale, upewniając się, że wszystko przebiega jak należy. Gardella szepnął mu coś do ucha i młody gangster zostawił na chwilę Esko, aby podejść do jednego z mężczyzn w białych kitlach i zamienić z nim parę słów. Esko nawet sobie nie wyobrażał, że przemysł alkoholu odbywa się na tak wielką skalę i przy zaangażowaniu tak ogromnych środków. Wiedział, że jest to źródło dużych pieniędzy, ale to, co teraz zobaczył, zupełnie go zaskoczyło. Mantilini stworzył osobny świat i miał nad nim całkowitą kontrolę.

– Tak jest – rzekł Mantilini, błyskając zębami w uśmiechu. – Powiodło mi się, a wszystko jeszcze przede mną. – Położył rękę na ramieniu Esko. – Chcę, żebyś wiedział, że doceniam to, co dla mnie zrobiłeś. Nie tylko to, że uratowałeś mi życie, ale także twoją obecność na pogrzebie moich braci, szacunek, jaki okazałeś ich pamięci. Moja matka ciągle o tobie mówi.

– Jak czuje się Steffano?

– Dobrze. – Znowu się uśmiechnął i pokiwał głową. – O wiele lepiej. Już chodzi. Ma teraz własną restaurację. Powinieneś tam zajrzeć, na pewno sprawiłbyś mu wielką przyjemność.

– A Teresa? Nadal jest z Bo?

Paul nie przestał się uśmiechać, lecz wyraz jego twarzy zupełnie się zmienił – jeszcze przed chwilą ciepły i przyjazny, teraz stał się zimny i twardy.

– Zdradzał ją. Wyobrażasz sobie coś takiego? Dowiedziałem się o tym i ostrzegłem go, ale on dalej to robił. Co cię tak rozbawiło?

– Bo.

– No właśnie, Bo. – Paul potrząsnął głową. – Ten pieprzony głupek. Ale teraz mówię poważnie, Esko – lepiej, żeby ten facet nigdy więcej nie pokazał się w Nowym Jorku. Lepiej dla niego, oczywiście. – Zmarszczył brwi i spojrzał na swoje eleganckie białe buty. – Kirby mówił mi, że ty też miałeś sercowe kłopoty. I że przez jakiś czas byłeś bardzo przygnębiony.

– Kirby ci o tym opowiadał?

– Dokładnie ujął to tak, że ta kobieta złamała ci serce. Cóż, akurat na to niewiele mogę poradzić... Ale nie upadłeś, dalej stoisz na własnych nogach. Wiesz, gdzie ona jest, ta kobieta? Widujesz ją czasem? Jeżeli ją kochasz, to powinienes ją zdobyć.

– Nie chce mnie – odparł Esko.

– Więc zapomnij o niej. Ja mam żonę, ładną i miłą Włoszkę. Jest teraz w ciąży.

– Gratuluję.

– Tak, nic nie może równać się z rodziną. – Mantilini kilka razy podniósł się na palce i opadł na całe stopy. Dotknął spinki z brylantami, wpiętej w klapę swojej wspaniałej różowej marynarki, i powąchał ją jak różę. Spojrzał na zegarek. – Widzisz? – powiedział, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że jak na jeden dzień rozmów o uczuciach zupełnie wystarczy. – Zapłaciłem za niego dziesięć tysięcy dolarów. Chodź, chcę pokazać ci coś jeszcze.

Zawrócili w kierunku Manhattanu. Po drodze Mantilini opowiedział Esko, w jaki sposób działa protekcja, jak wysoko postawieni ludzie w niektórych urzędach państwowych biorą pieniądze od syndykatu i w zamian przekazują informacje o grożących rewizjach. Opowiedział też o triku, na którego pomysł wpadł w ubiegłym roku – dzięki niemu gangsterzy byli w stanie odwrócić uwagę policji od przemytniczego konwoju z Miami, korzystając z pomocy ładnej młodej kobiety w samochodzie. Mantilini włożył ciemne okulary i wygodnie oparł się o poduszki z czerwonej skóry. Od czasu do czasu podnosił wzrok, spoglądając na cienie migające między elementami konstrukcji mostu, i znowu wracał do swojego małego czarnego

notesu, zapisując cyfry złotym ołówkiem. Miał drobny, zdumiewająco porządny i wyraźny charakter pisma.

– Widzisz, to jest tak – w każdej sytuacji, zawsze i wszędzie można znaleźć osobę, która potrafi ci pomóc, która jest w stanie ułatwić jakąś sprawę – powiedział. – Trzeba się tylko dowiedzieć, kim jest ta osoba. No i wypenetrować, w jaki sposób skłonić ją do pomocy. Może zależy jej na pieniądzach, może na małym wozie strażackim dla dziecka, a może chce poznać kolejność, w jakiej konie dotrą do mety podczas najbliższego wielkiego wyścigu w Saratoga. To może być cokolwiek. Zdarza się, że trzeba przystawić komuś pistolet do skroni, ale czasami wystarczy poprosić. Problemy nie mają znaczenia, ważne jest, aby każdą sprawę załatwić w prosty, nieskomplikowany sposób. Im mniej pośredników, tym lepiej.

Kiedy dotarli do centrum i wysiedli, Mantilini polecił Gardelli, aby został w samochodzie.

– Jedź do Saksa i kup mi skarpetki – rzucił. – Takie jedwabne, ze strzałkami.

Gardella zmarszczył brwi pod szerokim rondem kapelusza.

– Nic mi się nie stanie – dodał Paul. – Jedź.

Stali na zalanym słońcem chodniku, dopóki rolls nie zniknął za rogiem. Wtedy Mantilini wziął Esko pod ramię i poprowadził go przez Broadway, w cień Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, chłodny jak woda w jeziorze. Przystanęli pod markizą domu mieszkalnego, aby przepuścić kobietę w białym kapelusiku, której obcasy miarowo stuknęły o kamienne płyty. Przejeżdżająca taksówka wypuściła kłęb spalin, zmierzając w kierunku Piątej Alei. Sprzedający gazety chłopiec, dźwigający na sobie tekturowe reklamy „Evening Graphic”, wykrzykiwał nowiny o najnowszych szczegółach śledztwa w sprawie niedawno popełnionego morderstwa. Z najbliższej przecznicy dobiegał ostry terkot nitownicy. Na rogu stał lodziarz z wózkiem, a obok niego inny handlarz sprzedawał cukierki z czystą whiskey, po dziesięć centów za trzy. Mantilini włożył ręce do kieszeni i ruchem głowy wskazał budynek po drugiej stronie ulicy.

– Widzisz ten dom? Na piątym piętrze działa moja druga firma, prawdziwa agencja nieruchomości. Żaden z moich przy-

jaciół z Broadwayu nie ma pojęcia o jej istnieniu, nawet Gardella. To całkowicie legalny, czysty biznes, zarejestrowany na nazwisko matki. Pracuje tam dla mnie pięciu agentów plus oczywiście sekretarki. Sam rozumiesz, Esko, nie zawsze będę gangsterem.

Teraz wprowadził Esko pod markizę, a potem przez ciężkie drzwi ze szkła i brązu do holu budynku, gdzie wysokie, rozłożyste palmy wyrastały z urn ustawionych na posadzce z czarnego marmuru. Winda zawiozła ich na szóste piętro. Mantilini podszedł do drzwi z wypisanym srebrnymi cyframi numerem 510, podrzucił na dłoni mosiężny klucz i bez pukania przekręcił go w zamku.

– Hej, Ruthie, to ja – zawołał, wchodząc do środka i gestem zachęcając Esko, aby mu towarzyszył.

Pokój był duszny i pełen papierosowego dymu, którego smugi leniwie snuły się w powietrzu, podświetlone wpadającym przez szyby zamkniętych okien słonecznym blaskiem. Na niskim białym stoliku leżały egzemplarze „Vanity Fair”, „Vogue” oraz innych czasopism z Broadwayu. Nieliczne meble lśniły stalowymi wykończeniami i doskonale wyprawioną czarną skórą.

– Ruthie!

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła czarnoskóra dziewczyna, poprawiając sukienkę, a tuż za nią wysoki, bardzo szczupły Murzyn w białym garniturze. Mężczyzna podniósł z krzesła biały kapelusz ze wstążką i nie wkładając go na głowę, bez słowa i bez pośpiechu skierował się ku wejściowym drzwiom, które zamknęły się za nim z hukiem.

– Kto to był, do diabła? – zapytał Mantilini, zdumiony, ale spokojny.

– Paul, podaj mi ogień, dobrze? – odezwała się Ruthie. Ubrana była w krótką białą opiętą sukienkę, naszywaną błyszczącymi koralikami, a jej obcięte do ucha włosy lśniły od olejku. – To mój nauczyciel tańca.

Mantilini podsunął dziewczynie zapalnik, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie...

– Na twoim miejscu nie robiłbym tego. Spójrz mi w oczy, Ruthie. Wiesz, że natychmiast się zorientuję, jeżeli kłamiesz. Musisz też wiedzieć, że jeśli ten czarnuch się do ciebie przystawia, znajdę go, choćby ukrył się pod ziemią. I zabiję.

Mantilini mówił całkowicie spokojnym lecz przerażająco chłodnym tonem. Ruthie rzuciła mu buntownicze spojrzenie.

– Mówiłam ci już, że to mój nauczyciel tańca – powiedziała, wypuszczając dym z płuc. – Poza tym sprzedaje mi towar.

Ruthie była śliczna, kapryśna i z całą pewnością nie była żoną Mantiliniego. Esko nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Kokainę? Morfinę? – zapytał Mantilini. – Zabijesz się tym świństwem.

– Wielkie mi rzeczy – odparła obojętnie.

– Dawaj – warknął Mantilini.

– Kim jest twój nowy goryl? – Próbowała zmienić temat. – Wygląda wystarczająco paskudnie, aby zostać gangsterem, to prawda...

– Dawaj – powtórzył.

Uniosła rąbek sukienki i podała mu białą paczuszkę, którą ukryła pod pończochą.

– Nie zrób mi krzywdy – westchnęła. – Obiecuj mi, Paul.

– Dziękuję – rzekł Mantilini z uprzejmym skinieniem głowy, chowając białą torebkę do kieszeni. – A teraz przywitaj się z Esko. Jest architektem. On i jego wspólnik projektują nasz klub.

– Naprawdę jesteś architektem? – zapytała z błyskiem zaciekawienia w sennych brązowych oczach.

– Naprawdę.

– Czy klub ma już jakąś nazwę?

– No, właśnie, Esko – ożywił się Paul. – Co z nazwą?

– Nie chcesz, żeby lokal nazywał się „U Mantiliniego”?

– Boże, w żadnym razie – odpowiedział Włoch, podnosząc rękę.

– Więc może Sky Club?

Mantilini zastanawiał się przez chwilę.

– Co ty na to, Ruthie?

- To taka sama nazwa jak każda inna – oświadczyła.
- A mnie się podoba – rzekł Mantilini. – Sky Club – to nieźle brzmi. Ruthie będzie tam śpiewać.
- Jesteś piosenkarką? – zapytał Esko.

Przekrzywiła lekko głowę i z rozbawieniem zerknęła na niego spod rzęs, jakby miała ochotę zapytać, co go to właściwie obchodzi. Odwróciła się, nakręciła stojący w kącie gramofon i nastawiła płytę. Zaraz potem jej ozdobiona biżuterią ręka spoczęła na szyi Mantiliniego, on objął ją w pasie i zaczęli tańczyć, wirując w rytm jakiejś krzykliwej jazzowej melodii. Ruthie śmiała się głośno, Paul trzymał ją lekko z poważnym, prawie skupionym wyrazem twarzy, zręcznie wykonując kroki pełnego wdzięku fokstrota.

Esko próbował wyjść, lecz nie pozwolili mu, nalegając, aby wypił z nimi jeden koktajl, potem drugi i trzeci... Dopiero kiedy zniknęli za drzwiami sypialni, Esko uciekł. Na chwilę przystanął w korytarzu, aby poprawić krawat i marynarkę pod mrugającą i cicho brzęczącą lampą, a potem zamknął za sobą drzwi i nacisnął guzik windy.

Na zewnątrz panował półmrok. Było tuż po siódmej. Na Broadwayu przed wejściami do teatrów stało po pięć rzędów taksówek, a z metra wylewały się strumienie ludzi pragnących choć na krótko znaleźć miejsce w świetle tańczących neonów i markiz błyskających światłami coraz jaśniejszymi w miarę jak niebo z każdą chwilą ciemniało. Esko czuł się zmęczony i nieco podпиты. Pomyślał, że nie ma sensu wracać na budowę, poszedł więc dalej, pod prąd, przechodząc na drugą stronę Piątej Alei i skręcając na południe.

Wkrótce znalazł się pod Nowojorską Biblioteką Publiczną, zwrócony twarzą do Bryant Park. Drapacz chmur, ukończony zaledwie parę miesięcy temu, był gotowy, i Esko bez najmniejszego trudu rozpoznał w nim swój własny projekt, ogołoconą z niepotrzebnych ornamentów gotycką wieżę z ciemnej cegły, z oświetleniem umieszczonym na koronie. Reflektor na dachu omiatał niebo mocnym promieniem, który piloci widzieli podobno już startując z Bostonu. Właśnie teraz Esko po raz pierwszy zdobył się na to, aby obejrzeć z bliska swoje dzieło. Budynek

miał dynamiczne, czyste linie i był piękny mimo tego, że wmurowana w ścianę tabliczka głosiła: „Siedziba redakcji «Gazette», zbudowana przez architekta Josepha Lazarusa”.

Esko zbliżył się do biurowca i z całej siły kopnął jego ścianę, przyciągając zdumione spojrzenia kilku pijaków siedzących na ławce w parku. Lazarus zbudował drapacz chmur, on tymczasem harował w przypominającej jaskinię piwnicy, szykując lokal rozrywkowy dla gangstera. Cóż, taka była Ameryka: jeżeli ktoś zagradza ci dostęp do drabiny, wspinaj się po jego głowie; bierz, co możesz, nie zadawaj pytań i idź dalej; i nie oglądaj się za siebie. Och, tak, w Ameryce można było dużo się nauczyć, pomyślał Esko. Mantilini odłonił przed nim różne tajemne zaułki swego życia, zabrał go na szczyt góry i pokazał swój świat, dowodząc, że w Ameryce, jeśli ktoś ma dosyć odwagi, można przejść przez lustro legalności i po drugiej stronie zbudować ładząco podobną do oryginału wizję porządku i produktywności. Mantilini miał władzę, pieniądze, rosnącą sławę. Zdobył wszystko, co obiecywała Ameryka, był architektem swojego własnego imperium. Niewykluczone, że zapragnie mieć swój własny drapacz chmur, swój *pilvenpiirtaja*, pomyślał Esko.

3

Był wieczór otwarcia Sky Club. Esko i Kirby siedzieli na okrągłych stołkach ze stali i skóry przy jednym z półokrągłych barów. Za barem znajdowało się lustro, wysokie na trzy metry i długie na sześć, z brzegiem ozdobionym rytymi drapaczami chmur, płynnymi liniami, zygzakami i stylizowanymi słońcami, których symetria charakteryzowała się precyzją miedziorytu. Przed lustrem stało sto błyszczących butelek alkoholu, ubrany w białą marynarkę barman chwycił je i potrząsał, przygotowując koktajle. Butelki ustawiono na płaskiej platformie, za przyciśnięciem odpowiedniego guzika znikła ona w głębi piwnicy. Urządzenie to zainstalowano na wypadek rewizji, chociaż nikt przy zdrowych zmysłach nie traktował takiej moż-

liwości poważnie, jako że komisarz policji Nowego Jorku był jednym z gości honorowych. Mantilini pomyślał o wszystkim.

Ubrana w czerwoną suknię Ruthie skończyła właśnie śpiewać bluesa głosem równie gorącym jak jej brązowe oczy i Mantilini wciąż jeszcze bił brawo, gwizdał na palcach i wymachiwał białym krawatem nad głową.

– Brawo! Bis! – wołał. – Brawo!

Kirby powiedział Esko, że widział trzech senatorów, kilka gwiazd filmowych, zbyt wielu milionerów, aby można ich zliczyć, jeszcze więcej gangsterów i całe legiony tancerek i chórzystek. Klub pękał w szwach, a wieczór okazał się wielkim sukcesem.

Ruthie zeszła ze sceny, przebiegła parę kroków i z rozpędem skoczyła w ramiona Mantiliniemu, który przytulił ją mocno i wniósł na znajdujące się w rogu schodki, prowadzące na balkon i do prywatnych kabin. W tej samej chwili na majestatycznych, rzeświście oświetlonych szerokich schodach po drugiej stronie sali pojawiła się druga, przyciągająca nie mniejszą uwagę para. Byli to MacCormick i Katerina.

– Oho... – mruknął Kirby, podążając za wzrokiem Esko. – Nadchodzą kłopoty...

MacCormick wyjął ręce z kieszeni i przystanął na chwilę, mierząc ze złożonego w kształt pistoletu kciuka i palca wskazującego w kogoś znajomego. Wsparta na jego ramieniu Katerina z pewnym niepokojem rozglądała się po sali. Jej oczy były zielone i chłodne. Dopasowana czarna suknia mocno opinała jej uda i nie odbijała światła. Odgarnięte z czoła włosy układały się w miękkie fale, a z płatków uszu zwisały hebanowe trójkątne kolczyki. Paznokcie pomalowane były srebrnym lakierem. MacCormick odszedł na chwilę, aby porozmawiać ze znajomym, ona zaś, czekając na niego, zapaliła papierosa i wypuściła z ust pierścień miękkiego, szarego dymu. Ile może mieć teraz lat, zastanawiał się Esko. Trzydzieści dwa, trzydzieści trzy? Mijający czas narysował kilka nowych zmarszczek w kącikach jej oczu i wyrzeźbił, wysmuklił policzki, ale w niczym nie umniejszył urody. Katerina była piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

– Spokojnie, chłopcze – powiedział Kirby, zaciskając dłoń na ramieniu Esko. – Zignoruj ich.

– Właśnie to mam zamiar zrobić – oznajmił Esko i być może nawet wierzył w to, co mówi, zauważył jednak Gardellę i przywołał go gestem. – Widzisz tę parę na schodach? – zapytał. – Tę, która przed chwilą weszła?

– Jasne – odparł Gardella, którego twarz wydawała się dziś nienaturalnie blada i wydłużona, ponieważ wyjątkowo nie nosił kapelusza. – Tego bogatego faceta z rasową, chudą babką, tak? Kim oni są?

– Nieważne. Dopilnuj, żeby dostali najlepszy stolik i butelkę szampana na koszt lokalu. Prawdziwego szampana, dobrze?

– Jasne – powtórzył Gardella i oddalił się wolnym krokiem, lekko kołysząc zwisającymi po bokach potężnymi rękami, które do złudzenia przypominały maczugi.

– Esko... – zaczął Kirby.

Esko ze zniecierpliwieniem machnął ręką, jednym haustem dopijając whiskey i zamawiając drugą, znacznie większą.

– Daj mi spokój, W.P.

Obserwował, jak Gardella prowadzi MacCormicka i Katerinę do stolika tuż przy parkiecie. Kelner strzelił korkiem szampana i oczy milionera podążyły za ruchem ręki Gardellii, który wskazał mu siedzących przy barze Esko i Kirby'ego. Kirby uniósł szklanczkę i zaskoczony wyraz twarzy MacCormicka ustąpił miejsca serdecznemu uśmiechowi. Powiedział coś do Kateriny i bez pośpiechu, ze swoją zwykłą leniwą pewnością siebie ruszył ku obu architektom.

– Co się z wami działo, moi drodzy? – zapytał, przeczesując palcami długie jasne włosy. – Gdzie się podziewaliście, do diabła? – Ogarnął wzrokiem wystrój klubu i w jego oczach pojawiło się zrozumienie. – To wasze dzieło, prawda? Wy zaprojektowaliście ten klub! – Potrząsnął głową z mieszanką podziwu i nieprzyjemnego zdumienia. – Pracujecie teraz dla przemytnika alkoholu?

– Dobrze płaci – odpowiedział Kirby. – Lepiej niż pan.

– Mimo to powinniście pracować dla mnie.

– Nigdy – warknął Esko.

Wiedział, że zachowuje się dziecinnie i głupio, ale nie mógł się powstrzymać. Fala miłości, zapamiętanego pożądania i nieskończonej tęsknoty, która ogarnęła go na widok Kateriny, przerodziła się teraz w gniew.

– Dlaczego?

– Zadaj to pytanie swojej żonie – rzucił Esko, grzechocząc kostkami lodu w szklance.

– Słucham? – W głosie MacCormicka nie było gniewu, lecz zdziwienie.

– Niech pan nie zwraca na niego uwagi – powiedział Kirby. – Jest pijany, a Finowie źle znoszą alkohol. W każdym razie, ten na pewno nie powinien pić. Nadal jesteście zadowoleni z apartamentu?

– Uwielbiamy go. Musicie odwiedzić nas i zjeść z nami kolację. Chciałbym porozmawiać z wami o paru sprawach.

Esko poczuł, jak jego żołądek zamienia się w rozpaloną kulę idiotycznej wściekłości.

– Idź do diabła! – wymamrotał.

– Przepraszam pana, MacCormick – rzekł Kirby uprzejmym tonem, przeciągając otwartą dłoń po krótko ostrzyżonych włosach, jak zawsze, gdy był zdenerwowany lub gdy sytuacja w niebezpieczny sposób wymykała się spod kontroli. – Zaprowadzę Esko do toalety i trochę go ochłodzę. Proszę pozdrowić ode mnie Katerinę.

– Oczywiście – niepewnie powiedział MacCormick. – Życzę wam obu przyjemnego wieczoru. I gratuluję projektu klubu. To naprawdę coś.

Esko rzucił wściekłe spojrzenie MacCormickowi, który wrócił do swego stolika i siadając, musnął pocałunkiem policzek Kateriny.

– Bardzo rozsądnie się zachowałeś, mój chłopcze – rzekł Kirby kpiąco.

– Prawda? – odparł Esko, sięgając po whiskey. Opróżnił szklankę i jego gniew przygasł gwałtownie, a w to miejsce pojawiła się rozpacz. – Jezu, jakież ze mnie głupiec... Może powinienem go przeprosić – powiedział, myśląc tylko o tym, że gdyby podszedł do tamtego stolika, mógłby przynajmniej usiąść

obok Kateriny, odetchnąć zapachem jej perfum i tytoniowego dymu, który zaledwie przed chwilą był w jej ustach i nozdrzach, poczuć intensywne ciepło jej ciała...

– Za późno – zauważył Kirby. – Już wychodzą.

Esko odwrócił się, aby ujrzeć ich w lustrze za barem i wstał, gotów pójść za nimi. Kirby chwycił go mocno za ramię i przytrzymał, czekając aż MacCormick i jego żona opuszczą lokal Mantiliniego.

– Zostaw mnie, nie jesteś moją niańką, do cholery – warknął Esko.

– Ja też cię kocham – odparł Kirby, uwalniając w końcu z uścisku rękę Esko, który, zupełnie wbrew własnej woli, musiał się uśmiechnąć, ponieważ w tej chwili zrozumiał, że przyjaciel rzeczywiście go kocha.

Kirby przywołał barmana i zamówił kolejne dwie whiskey.

– Powiniennem cię chyba upić, chłopcze – westchnął. – Tak będzie najlepiej.

– W porządku – zgodził się Esko, sięgając po szklankę, lecz zaraz odsunął ją od siebie.

Czuł się fatalnie, ale nie zamierzał poddawać się i topić smutków w alkoholu. Orkiestra zaczęła grać nową melodię. Esko z ciężkim westchnieniem przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Kateriną. Czuł dreszcze na samo wspomnienie jej dotyku. Zakreślił szklanką koło na blacie baru.

– W.P., myślę o drapaczu chmur, który chciałem zbudować – powiedział. – Pamiętasz, mówiłem o tym tamtego wieczoru, kiedy byliśmy z nią w restauracji. Drapacz chmur z fontanną... Woda szemrałaby cicho w lecie i zamarzała na kryształ w zimie... Czy to naprawdę taki zwariowany pomysł?

– Zawsze mi się podobał – rzekł Kirby. – Myślałem, że nie chcesz o tym więcej rozmawiać.

– Chciałbym zacząć pracować nad projektem. Jak najszybciej, najlepiej jutro. Przygotujemy kilka rysunków i zaczniemy szukać inwestora. Ten teren jest chyba wolny, bo redakcja „Gazette” nie zbudowała tam swojego biurowca.

Kirby pociągnął łyk alkoholu.

– Ale kto wyłoży na to pieniądze? Przed chwilą udało ci się wkurzyć najbogatszego znajomego, jakiego mamy.

– A Mantilini?

– Co, a Mantilini?

– Mantilini ma różne znajomości.

– I wielu jego kumpli ma naładowane i gotowe do strzału pistolety. Nie zrozum mnie źle, Paul to przyzwoity facet. Lubię go. – Kirby uniósł brwi, wychylił alkohol i ostrożnym ruchem postawił szklanke na blacie. – Nie możemy jednak zakładać, że pożyje wystarczająco długo, aby sfinansować nasz projekt...

Esko i Kirby zaprojektowali drugi klub dla Mantiliniego, tym razem w Harlemie, czerpiąc inspiracje z rdzennej sztuki afrykańskiej i australijskiej, i pokrywając ściany lokalu fetyszami oraz stylizowanymi rzeźbami. Potem zrobili dla niego jeszcze jeden w centrum, zaledwie dwie przecznice od Sky Club, w skromnym, nieco przemysłowym stylu niemieckich piwiarni. W każdym z klubów parkiet i miejsca przeznaczone na stoliki stały się rodzajem sceny, na której goście odgrywali główną rolę, pijąc, tańcząc, spółkując, bijąc się, wydając pieniądze i kradnąc, i całkowicie zatracając się w rozpaczliwie upartych próbach oderwania się od rzeczywistości. Ale po wieczorze otwarcia Sky Club Kirby nie pozwolił, aby Esko zapomniał o drapaczu chmur, o projekcie, któremu nadali nazwę East River Plaza. Kilka razy w tygodniu wybierali się na przechadzki po mieście, ze szczególną uwagą przyglądając się zaniedbanym budynkom w pobliżu rzeki, planując, w jaki sposób mogliby zagospodarować poszczególne tereny, stale poprawiając rysunki Esko, wzbogacając je o wszelkie nowinki, o jakich zdołali się dowiedzieć. Entuzjazm Kirby'ego był tak wielki, że stary architekt wydawał się coraz młodszy, i Esko przekonał się na własne oczy, jak wielką energią może natchnąć człowieka dająca satysfakcję praca.

Pewnego dnia Mantilini zabrał Esko na lunch. Restauracja mieściła się w niewielkiej sali, zastawionej stolikami przykrytymi obrusami w czerwono-białą kratkę. U sufitu powoli

poruszał się uszkodzony wiatrak, który nie chłodził powietrza, lecz mieszał je jak gorącą zupę. Mantilini rozluźnił krawat, rozprostował kark i zamówił koktajl, Esko tymczasem rozglądał się dookoła, usiłując przyzwyczaić wzrok do panującego w lokalu półmroku.

Było lato 1926 roku.

– Słyszałeś już o Valentino? – zapytał Mantilini, prawie z niechęcią wymieniając nazwisko gwiazdora, który był w Nowym Jorku jeszcze bardziej znany niż on. – Umarł. Jakieś komplikacje z wyrostkiem robaczkowym czy coś takiego. – Nerwowymi ruchami podzielił kromkę chleba na małe kawałki, zrobił z nich kulki i zaczął wrzucać je sobie do ust. – Moja żona jest bardzo przygnębiona z powodu jego śmierci – oświadczył, energicznie przeżuując kulki. – Naprawdę bardzo.

Mantilini miał teraz malutkiego synka, Antony'ego, który otrzymał imię na cześć najstarszego z jego nieżyjących braci. Mimo to nadal widywał się z Ruthie, w każdym razie Esko tak przypuszczał, ponieważ ostatnio nie było łatwo zorientować się w poczynaniach Mantiliniego. Często wyjeżdżał na zachód, do Chicago i na wybrzeże, a także do Europy. Jego interesy kwitły.

– Człowiek rodzi się i umiera – rzekł filozoficznie. – Ja też o mało nie zginąłem, kiedy dostałem to. – Palcem dotknął blizny na powiece. – Poznałem takiego starszego gościa, hazardzistę, kolegę po fachu, który sam chciałem wykonywać. Poszedłem do niego z propozycją. Powiedziałem mu, że mam ładunek alkoholu. Duży ładunek. Zapytał, skąd go mam, a ja na to, że właściwie to jeszcze go nie mam, ale wkrótce będę miał. Uśmiechnął się i oświadczył, że jestem przedsiębiorczym młodym człowiekiem, i powinienem przyjść do niego, kiedy będę gotowy.

Mantilini odchylił się do tyłu, kołysząc się na tylnych nogach krzesła. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, płaski, twardy brzuch okrywała intensywnie błękitna kamizelka z perłowymi guzikami.

– Ja i Bo, ten Szwed, zasadziliśmy się z obrzynami na drodze, którą miały jechać dwie ciężarówki z Kanady. – Wrzucił do ust następną kulkę z chleba i nonszalancko skinął głową kelnerowi, który postawił na stole dwa koktajle, pobrzękując kostkami

lodu o matowe szkło. – Kierowca jednej z ciężarówek strzelił do mnie z pistoletu. Nawet nie wiem, kiedy odwróciłem głowę. Dzięki temu kula tylko mnie drasnęła. – Znowu delikatnie położył palec na bliźnie. – Krew tryskała dookoła jak z fontanny. Bo odstrzelił temu facetowi łeb. Pozostali uciekli. Zdobyliśmy ciężarówkę i tak wszedłem do biznesu. To była kwestia centymetra, może nawet milimetra – gdybym wolniej poruszył głowę, pocisk przeszedłby przez oko i byłbym martwy. Ślepy traf, nic więcej. Nie warto myśleć o tym za długo, bo można oszaleć.

Mantilini opuścił krzesło, opierając cztery nogi na podłodze. Wyciągnął rękę, wziął jedną ze szklanek z koktajlem i znowu odchylił się do tyłu.

– Dostałem dziś cynk. Na rynku dzieje się coś ważnego. Szykuje się ostra gra. Facet, który nadał mi tę sprawę, jest całkowicie odpowiedzialny i na pewno nie chce mi się narazić. Jeżeli jesteś zainteresowany...

Esko podniósł dłoń.

– Dziękuję. ale nie – powiedział.

Mantilini wzruszył ramionami i pokazał w uśmiechu białe zęby, nie zamierzając dłużej przejmować się kłopotami Esko, jakiegokolwiek by one były.

– Myślisz, że Valentino rzeczywiście miał jaja, czy był tylko zwykłym mięczakiem? Co powinienem powiedzieć mojej żonie? Jak sądzisz, Esko?

Esko obojętnie pokręcił głową, wyjął z kieszeni ciemne okulary i włożył je, skutecznie zasłaniając twarz. Zza tej maski patrzył uważnie, jak Mantilini sączy swój koktajl.

– Będziecie mogli zacząć niedługo prace przy nowym klubie? – zapytał Mantilini.

– W przyszłym tygodniu – odparł Esko, nie odrywając wzroku od twarzy Paula, który otworzył właśnie menu.

– Świetnie – mruknął Mantilini, poruszając kolaniem w bardziej nerwowym rytmie niż zwykle. – Chciałbym jak najszybciej go otworzyć.

– Paul, jest coś, o czym chciałbym z tobą pomówić. Niewykluczone, że mogę potrzebować pomocy i...

– Masz kłopoty. – Oświadczył to prawie zadowolonym tonem, podnosząc wzrok znad menu.

– Nie, nic z tych rzeczy. Chcę po prostu wiedzieć, czy mogę przyjść do ciebie, jeżeli kiedyś okaże się to konieczne.

– W każdej chwili i z każdego powodu – rzekł Mantilini z dziwnym, nieco drapieżnym uśmiechem. – Przykro mi, że w ogóle się nad tym zastanawiasz, przyjacielu.

Na budowie robotnicy stali pod ścianami, nieco zagubieni i niepewni, jakby nagle przestali czuć się gospodarzami miejsca, w którym pracowali. Dookoła panowała zupełna cisza, milczały wiertarki, zamilkł nawet gramofon, który przyniósł malarz wykonujący ścienne malowidła. Esko natychmiast wyczuł, że stało się coś złego.

Powiedzieli mu, że Kirby spadł z drabiny, rozbił głowę i został odwieziony do szpitala Bellevue.

W szpitalu młody tysięcący lekarz poinformował Esko, że zaszyli Kirby'emu głowę i zoperowali niedrożne jelito, którego stan wywołał krwotok wewnętrzny, co z kolei spowodowało zawroty głowy i upadek.

– Przykro mi – powiedział doktor nosowym, dość wysokim głosem. – Najprawdopodobniej nie przeżyje nocy.

Jego słowa bzyczały w głowie Esko niczym rozwścieczone osy. Był w szoku i usiłował odzyskać kontrolę nad rozpędzonymi zdarzeniami. Co by było, gdyby nie poszedł na lunch z Mantilinem? Czy coś by to zmieniło? Czy Kirby byłby teraz zdrowy i cały? A gdyby wrócił trzydzieści minut wcześniej, taksówką, nie pieszo?

Kirby leżał pogrążony we śnie, przykryty po szyję, z rękami równo ułożonymi na płóciennej poszwie. Głowę owiniętą miał bandażem, który prawie zasłaniał oczy, a płytki oddech ledwo zauważalnie unosił jego pierś. Esko przysunął sobie krzesło i ujął zimną dłoń Kirby'ego. Próbował ją rozmasować i ogrzać, lecz bezskutecznie.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął, lekko dotykając sztywnego siwego zarostu na policzku Kirby'ego. – Szybko wyzdrowiejesz i nawet się nie zorientujesz, kiedy wrócisz do pracy.

Kirby nie odpowiedział, nie otworzył oczu i nie poruszył się. Umarł tuż przed świtem.

Esko patrzył, jak pielęgniarka usiłuje zmierzyć Kirby'emu tętno, świadomy, że serce przyjaciela już przestało bić. Światło stojącej przy łóżku lampki przeświecało przez obcięte na jeża włosy Kirby'ego, kiedy Esko słuchał, jak młody łysiejący lekarz potwierdza, że pacjent rzeczywiście nie żyje. Potem Esko powiedział, że sam zajmie się związanymi z pogrzebem formalnościami i wyszedł za dwoma pogwizdującymi pielęgniarkami, którzy zabrali ciało do lodowato zimnej kostnicy.

Potykając się, szedł cichymi, mrocznymi szpitalnymi korytarzami, starając się zapanować nad mdłościami i uczuciem przerażenia. Dałby wszystko, żeby móc teraz zadzwonić do Kateriny, pójść do niej, objąć ją i porozmawiać, ponieważ ona zrozumiałaby, co dla niego znaczy strata przyjaciela. Katerina знаła Kirby'ego i także go kochała... Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Musiał sam udźwignąć swój smutek. Oparł głowę o ścianę i pozwolił, aby gorące łzy popłynęły mu po twarzy.

4

Żadna z nowojorskich gazet nie zgodziła się zamieścić notatki pośmiertnej, więc Esko zadzwonił do Marion Bennett.

– Wszyscy drukują teraz wyłącznie nekrologi i informacje o pogrzebie Rudolfa Valentino – powiedziała. – Zupełne szaleństwo. Powiedz mi coś o swoim przyjacielu. Zobaczę, co da się zrobić.

Udało jej się wepchnąć króciutki, podpisany jej własnym nazwiskiem tekst do „New York Timesa” i Esko zadzwonił, żeby jej podziękować.

– Nie ma o czym mówić – rzuciła. – Chociaż nie, jednak jest o czym. Uwielbiam pochwały.

– Dziękuję – powiedział Esko. – To wiele dla mnie znaczy.

– Nie rozczulaj się, Esko. Jesteś moim twardym Finem, chyba wiesz o tym, co? Powinieneś mi podziękować, ale za to, że nic

nie napisałam o tych wszystkich klubikach, które ty i Kirby projektowaliście dla Paula Mantiliniego.

– Wiesz o tym?

– Nie zrozum mnie źle, bardzo proszę. Nie mam nic przeciwko lokalom rozrywkowym, wręcz odwrotnie, bardzo je lubię. Nie mam też nic przeciwko Mantiliniemu, chociaż to gangster. Pełno ich w Nowym Jorku, a on jest przynajmniej atrakcyjny. Tak czy inaczej, uznałam, że wzmianka o waszej ostatniej działalności nie powinna się znaleźć w nekrologu Kirby’ego.

– Punkt dla ciebie.

– Skąd znasz Mantiliniego, Esko?

– Pytasz jako dziennikarka?

– Nie, z czystej ciekawości.

– Poznałem go parę lat temu, zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku. Uratowałem mu życie.

Usłyszał, że Marion wstrzymała oddech, zupełnie jakby chciała zaciągnąć się dymem z papierosa.

– Jak to? Powiedz coś więcej!

– To długa historia.

– Tak? Więc posłuchaj, co ja ci opowiem. Mniej więcej miesiąc temu, na Park Avenue, obok jednego samochodu zatrzymał się drugi. Wsiadło z niego dwóch facetów. Jeden zastrzelił kierowcę pierwszego samochodu, a drugi serią z karabinu maszynowego rozwalił jakiegoś gościa, który rozmawiał przez telefon w budce.

Esko przypomniał sobie tę historię z pierwszych stron gazet. Wszyscy oburzali się wtedy na ludzi, którzy usiłowali przemocą przejąć władzę w mieście, wzorując się na rządzącym Chicago Capone. Burmistrz Nowego Jorku uspokoił sytuację, oświadczając, że jego miasto jest najwspanialszym i najbezpieczniejszym na świecie. Esko zastanawiał się wtedy, ile za to dostał.

– Czy Mantilini był w to zamieszany?

– Sam nie pociągnął za spust, jest na to za sprytny, ale dziwnym zbiegiem okoliczności stał wtedy po drugiej stronie ulicy. Przyglądał się wszystkiemu. Złożył nawet oświadczenie dla policji, oświadczając, że jest głęboko wstrząśnięty, do głębi poruszony. Jego nazwisko nie pojawiło się więcej w żadnej

gazecie. Facet ma nerwy ze stali i długie ręce. – Marion zaciągnęła się dymem. – Oto, komu uratowałeś życie, Esko. To niebezpieczny zabójca, szaleniec. Nie ma rzeczy, na którą by się nie porwał i jest całkowicie bezkarny. Ty natomiast jesteś architektem, który marzy o realizacji pięknych projektów, spragnionym równości i sprawiedliwości społecznej. Jak ci się podoba to połączenie? Uważasz, że tych dwóch ludzi powinno coś łączyć? Zresztą, nieważne, nie chcę, żebyś pomyślał, że próbuję cię osądzać i pouczać. Ale uważaj na siebie, mój twardy Finie.

Esko przyszedł na pogrzeb sporo przed czasem. Spacerował po cmentarzu, patrząc, jak szarofioletowe burzowe chmury gromadzą się na niebie, tworząc niezwykle tło dla białych nagrobków, sterczących z ziemi jak zęby jakiegoś olbrzyma. Potem, stojąc pod drzewem, obserwował podjeżdżające samochody. Jako pierwsza zjawiała się Ruthie w kabriolecie, hamując gwałtownie i wzbijając kołami małe fontanny żwiru. Zaraz po niej przyjechał rolls Mantiliniego. Drzwi otworzyły się i z wozu wysiadł Gardella, który powoli przeszedł na drugą stronę i stanął sztywno wyprostowany. Po paru chwilach z rollsa wyłonił się Paul, ubrany w ten sam szary garnitur, w którym Esko widział go na pogrzebie jego braci. Potem przyjechał MacCormick, czarną limuzyną z szoferem, i Esko ze zdumieniem i ogromną wdzięcznością zobaczył, że towarzyszy mu Katerina. Na głowie miała czarny kapelusz z długim czarnym piórem, a jej twarz przesłaniała woalka. Esko opuścił jednak swoje miejsce pod drzewem dopiero na widok taksówki, z której wysiadła bardzo szczupła, szpakowata kobieta. Odgadł, że jest to siostra Kirby'ego.

– Dzień dobry, nazywam się Esko Vaananen – powiedział, podchodząc do nowo przybyłej. – To ja wysłałem do pani telegram.

– Grace Kirby – przemówiła głosem równie zdecydowanym jak głos jej brata. Podobnie jak Kirby, miała jastrzębią twarz o ostrych rysach. – Dziękuję panu.

– Jaką miała pani podróż? – zapytał.

Grace Kirby przyjechała z Kansas pociągiem.

– Dość męczącą. To długa droga. Biedny Billy...

Pogrzeb trwał krótko. Esko odczytał wiersz Whitmana. Grace Kirby wspomniała lata dziecięce swojego brata, mówiąc szczerze i naturalnie, z nieukrywanym wzruszeniem, MacCormick zaś, wyraźnie poruszony, odchrząknawszy, powiedział parę słów o Kirbym – wybitnym architekcie. Duchowny o różowej twarzy pospiesznie odprawił ceremonię, zwalniając tempo dopiero wtedy, gdy zagrały organy, a trumna zaczęła sunąć w dół. Esko patrzył, jak kapłan wykonuje znak krzyża i kropi trumnę święconą wodą, i myślał o pogrzebach innych swoich najbliższych, na których nie mógł być obecny – matki i Klause. Nie dostrzegął w tym rytuale ani godności, ani pocieszenia. Odniósł nawet wrażenie, że wszystko to ma służyć jak najszybszemu usunięciu Kirby'ego ze świata żyjących, zaraz jednak przyszło mu do głowy, że prawdopodobnie te chwile zawsze wyglądają podobnie, że muszą pozostawiać uczucie niedokończonego, przerwano w pół słowa pożegnania. Dla niego pogrzeb był dziwną mieszanką smutku, absurdu i przenikającego do szpiku kości chłodu. Nie miał pojęcia, czym jest śmierć i co po niej następuje.

Dłoń, którą położyła na rękawie jego marynarki Grace Kirby, gdy wychodzili z kaplicy, była pokrzywiona ze starości, biała jak pergamin i zdumiewająco silna.

– Nie cierpię niepotrzebnego zamieszania, podobnie jak Billy – powiedziała. – Nie rozmawialiśmy ze sobą od piętnastu lat, lecz ostatnio często do mnie pisywał. Dużo pisał o panu, uważał pana za prawdziwego przyjaciela.

– Mam nadzieję, że rzeczywiście nim byłem.

– Proszę szczerze odpowiedzieć na moje pytanie, panie Vaananen... – rzekła, kiedy Esko przystanął, by przepuścić ją w drzwiach.

– Postaram się.

– Czy Billy był dobrym architektem?

Esko podniósł wzrok. Z komina krematorium pięła się ku ciemnym chmurom skręcona kolumna białego dymu. Może był to Kirby... Esko zapragnął nagle, aby choć odrobina tego dymu dotarła nad Manhattan, wsiąkła w porowate cegły i kamienie...

– Najlepszym – odparł. – Pani brat był geniuszem, nie można ująć tego inaczej.

– Dziękuję – rzekła Grace. Westchnęła cicho, a w jej oczach pojawił się cień uśmiechu. – Zawsze uważałam, że Billy robi piękne rzeczy.

– Więcej niż piękne, inspirujące. Jestem pewien, że minie wiele lat, a jego budynki nadal będą zmieniać sposób widzenia świata młodych ludzi. Będą odmieniać ich życie.

Grace Kirby wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Dziękuję, panie Vaananen.

Esko odprowadził ją do taksówki. Kierowca, niski, tęgawy Włoch o smutnych, psich oczach, rzucił na ziemię gazetę, przydeptał niedopałek papierosa i z szerokim gestem otworzył drzwiczki. Zaraz potem samochód odjechał, podskakując na wybrukowanej drodze prowadzącej do metalowej, pomalowanej na czarno bramy. Grace Kirby odwróciła się tylko raz i pomachała rękę przez owalną szybkę.

– Bardzo do niego podobna – odezwał się MacCormick, który niepostrzeżenie podszedł do Esko.

– To jego siostra.

– Tak myślałem. – Na przystojnej twarzy MacCormicka malował się wyraz zamyślenia i smutku. – Był niezwykłym człowiekiem, ale przecież ty wiesz o tym znacznie lepiej niż my wszyscy. Lubilem go. Tak, bardzo go lubilem. Katerina także.

Esko kiwnął głową, znowu skrywając oczy za ciemnymi szklami. Katerina stała obok wejścia do krematorium, pogrążona w rozmowie z Ruthie.

– Chciałbym wyjaśnić pewną sprawę – zaczął MacCormick. – Wiem, dlaczego wściekłeś się na nas, kiedy tamtego wieczoru przyszliśmy do klubu. Katerina opowiedziała mi o wszystkim.

Esko poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Nagle zakreśliło mu się w głowie.

– Naprawdę?

– Powiedziała, że jakiś czas temu była z tobą i Kirbym w restauracji. Rozmawialiście wtedy o bardzo ważnym dla ciebie projekcie i ona bezlitośnie wyśmiała twój pomysł. Tak było?

Esko milczał, zawieszony między zdumieniem i podnieceniem, a nawet nadzieją, jakie obudziła w nim sugestia wspólnego udziału w tym kłamstwie.

– Spróbuję ci to wytłumaczyć – ciągnął z uśmiechem MacCormick. – Katerina wie o sztuce i fotografii więcej niż ja i wszyscy nasi znajomi. Doskonale zna się na muzyce i literaturze, ale architektura pozostaje dla niej zamkniętą księgą. Muszę ci nawet powiedzieć, że nie potrafi w pełni docenić apartamentu, który dla nas zaprojektowaliście. Wciąż powtarza, że jest tak idealnie piękny, iż czuje się w nim nieswojo.

– Szkoda – powiedział Esko.

– Więc naprawdę jest mi przykro, że tak cię zgasiła. – Bystre oczy obserwowały Esko spod ronda hamburga. – I chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tamtym projekcie, oczywiście, jeżeli później pracowaliście nad nim...

– Zrobiliśmy do niego sporo rysunków.

– No, właśnie. – MacCormick zakołysał się na palcach i znowu opadł na całe stopy, usiłując ukryć podniecenie. – Sądzę, że mógłbym się tym zainteresować. Tak, bardzo chciałbym je zobaczyć. Możesz mi je pokazać?

– Może – odparł Esko niezobowiązująco, patrząc na zmierzającego ku nim Mantiliniego, którego szybkie kroki na żwirze brzmiały jak strzały z pistoletu.

– Wracasz już, Esko? Podwiozę cię do miasta. – Paul oszacował MacCormicka jednym spojrzeniem i krótko skinął mu głową.

– Właśnie miałem zaproponować ci to samo, Esko. – MacCormick uśmiechnął się szeroko, przybierając wyjątkowo miły ton. – Katerina i ja będziemy bardzo szczęśliwi, jeżeli pojedziesz z nami.

W zachowaniu MacCormicka było najwyraźniej coś, co mocno rozdrażniło Mantiliniego.

– Chyba się nie znamy, prawda? – odezwał się bardzo chłodno.

– Paul – oto Andrew MacCormick, Andrew – Paul Mantilini.

Obaj mężczyźni przyglądali się sobie spod oka, jeden znużony i wyniosły, drugi twardy i obojętny.

– Czym się pan zajmuje, panie McCormick? – zapytał Paul, pogrążając monetami w kieszeni.

– Jestem wolnym człowiekiem, panie Mantilini – odrzekł McCormick, który z przyjemnością mógł uprawiać tę grę całąmi godzinami. – A pan?

Mantilini roześmiał się, nie pozwalając zbić się z tropu. Nie chciał okazać, że pewność siebie milionera robi na nim jakiegokolwiek wrażenie.

– Jestem biznesmenem – oświadczył.

– Doprawdy? – McCormick rozciągnął ten wyraz tak, jakby miał co najmniej osiem sylab.

– Tak jest – rzucił Mantilini. – Jedziesz ze mną, Esko?

– Właśnie, Esko – wtrącił McCormick, w którego wzroku wyraźnie dało się wyczytać niezadane na głos pytanie, czy Esko sam podejmuje decyzje, czy stanowi własność gangstera. – Jak będzie, jedziesz z nami czy z panem Mantilini?

– Chyba pojedę z Ruthie – spokojnie odparł Esko. – Do zobaczenia później, panowie.

Pozwolił, aby nogi zaprowadziły go tam, gdzie stała Ruthie, z ożywieniem rozmawiając z Kateriną. Był już w połowie drogi, kiedy obie kobiety odwróciły się ku niemu i od tej chwili nie spuściły go z oczu. Kiedy wreszcie podszedł do nich, miał wrażenie, że jego stopy należą do kogoś innego, jakby w obecności Kateriny w każdej chwili mógł rozpaść się na kawałki niczym zepsuta lalka. Z wysiłkiem opanował się, nie reagując nawet wtedy, gdy jej białe, wąskie dłonie uniosły woalkę, odsłaniając zielone oczy i igrający na wargach lekki uśmiech.

– Tak mi przykro, Esko – odezwała się.

W tym krótkim zdaniu udało jej się zawrzeć przeprosiny za wszystko, co między nimi zaszło i całą swoją kruchą emocjonalną witalność. Na chwilę ujęła jego dłoń, lecz zaraz uwolniła ją, odwróciła się i ruszyła w stronę McCormicka.

– Mogę pojechać z tobą, Ruthie? – zapytał Esko.

– Jasne, skarbie – odpowiedziała.

Kiedy byli na moście, zaczął padać deszcz. Duże krople rozpryskiwały się na przedniej szybie i mocno uderzały o napięte płótno dachu. Ruthie zmrużyła oczy, usiłując dojrzeć mokry

asfalt między migającymi wycieraczkami. Po bokach ze świstem przelatywała stalowa krata mostu. Esko spojrział na profil twarzy Ruthie, twarzy, której niewinność wydawała się zadawać kłam jej doświadczeniu. Ruthie była bardzo młoda, jej ciało było kruche i piękne, ale miała za sobą więcej bolesnych przeżyć niż niejedna dojrzała kobieta. Być może właśnie dlatego śpiewała tak dobrze i nie dbała, co jej się przydarzy następnego dnia. Może właśnie ta obojętność była źródłem jej siły. Lecz nawet jeśli tak jest, pomyślał Esko, i tak nie ma to znaczenia. To, co dawało siłę jej, nie musiało sprawdzić się w jego przypadku, zresztą on i tak nie mógłby odwrócić się obojętnie od swojego największego cierpienia...

Świadoma jego uwagi, rzuciła mu przelotne spojrzenie krótkowzrocznych oczu.

– Twoja przyjaciółka, ta Rosjanka, mówi, że słyszała, jak śpiewam i chciałaby mnie sfotografować – powiedziała. – Jest w tym dobra?

– Bardzo. Powinnaś się zgodzić.

– Tak myślałam. To interesująca kobieta.

Deszcz głośno bębnił o dach. Po drugiej stronie mostu w gęstej mgiełce kropli przemknęła duża ciężarówka.

– Dobrze ją znasz, prawda? – odezwała się Ruthie.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Widziałam, jak na ciebie patrzy. Kobieta zawsze odgadnie, czy ona pieprzyła się z facetem. Po spojrzeniu, właśnie po tym, jak na niego patrzy. Czy mogłabym zdobyć go jeszcze raz, pytają jej oczy. Czy chciałabym tego? Oczy tej twojej pani mówią, że chciałaby cię mieć, ale nie wyniknie z tego nic dobrego. – Ruthie uważnie wpatrywała się w drogę. Uśmiechała się lekko, jakby rozbawiona swoimi bystrymi obserwacjami. – Niewykluczone, że ona cię kocha. Ale ja nie wierzę w całe to gówno z *Romea i Julii*.

Odwrócił głowę. Miał uczucie, że Ruthie zajrzała mu do serca.

– Mam kocie oczy i widzę to, czego inni nie widzą – dodała, czytając w jego myślach.

Esko odprężył się, oparł wygodnie głowę i patrzył, jak gorączkowa energia deszczu wyczerpuje się, gdy krople usiłują bezskutecznie zalać przednią szybę samochodu.

Katerina była jego namiętnością i słabością, jego inspiracją i ślepotą, jego przeszłością i przyszłością, i milionem gwiazd, które raniły i rozświećlały mu duszę. Była też jedynym powodem, dla którego nigdy nie powinien był pójść do MacCormicka ze swoim projektem, a także prawdziwym powodem, dla którego jednak zdecydował się to zrobić. Oczywiście były i inne przyczyny – MacCormick miał klasę, znajomości wśród notabli, podejmujących kluczowe dla miasta decyzje wśród dygnitarzy stanowych i państwowych, no i naturalnie był tak bogaty, że wystarczyło, aby podniósł słuchawkę, a już miał w ręku 50 milionów dolarów. MacCormick znał się na budownictwie oraz na architekturze i popierał architektoniczną rewolucję, która właśnie nabierała rozpędu. Znał i szanował owoce pracy Esko, można powiedzieć, że nawet je podziwiał. Tak więc decyzja Esko była przemyślana i logiczna, ale co z tego, skoro żaden z powodów, które stale sobie powtarzał, nie miał najmniejszego znaczenia. Prawdziwym powodem była Katerina, i Esko przez cały czas miał świadomość, że jego krok może doprowadzić ją do wściekłości. Nie mógł wykluczyć, że Katerina napluje mu w twarz i ucieknie na drugi koniec kontynentu albo nawet do Europy, wiedział jednak, iż tak czy owak, nigdy nie ucieknie przed świadomością, iż najwybitniejsza i najśmielsza architektonicznie część Manhattanu jest pomnikiem jego miłości do niej.

Projekty były gotowe, właściwa chwila nadeszła. Esko słyszał rytmiczny terkot setek nitownic i słowa Kirby'ego: „Musisz zdobyć zlecenie, zdobądź zlecenie!”. Bez reszty, całym sercem wierzył w to, co miał zaproponować MacCormickowi. Od wielu lat, a można powiedzieć, że przez całe życie przygotowywał się na tę chwilę i przeżywał ją w wyobraźni. Uważnie przestudiował projekty wszystkich starszych drapaczy chmur w Nowym Jorku i miał tysiąc pomysłów na to, aby budowa trwała krócej i była tańsza. Sam przecież budował wieżowiec, dzięki czemu dokładnie znał cały proces, mógł więc szczerze rozmawiać z MacCormickiem o pieniądzach, sztuce i wykorzystaniu drapaczy chmur.

W biurze MacCormicka dzwoniły telefony i stukał telegraf

giełdowy, wypluwając strumień papieru. Asystenci milionera, niczym młodzi kapłani w garniturach, bezszelestnie kręcili się dookoła swego mistrza.

– Siadaj, Esko – powiedział MacCormick, nie wstając zza biurka i nie przestając powoli kołysać się na krześle. Za jego plecami znajdowały się dwa wysokie okna w rogu pokoju, umieszczone pod kątem prostym, jedno z zapierającym dech w piersiach widokiem na port, drugie wychodzące na zachód, w kierunku rzeki Hudson i poszarpanego wybrzeża Jersey.

– Dziękuję, wolę stać, Andrew. Od razu przejdę do rzeczy. Nie chcę marnować twojego czasu.

Otworzył teczkę i wyjął z niej plik rysunków. Największe wrażenie robił pierwszy z nich, o wymiarach półtora metra na metr, wykonany węglem i uderzająco dramatyczny, głównie dzięki prostocie linii i braku jakichkolwiek ornamentów.

– Proponuję metropolię wewnątrz metropolii – powiedział Esko. – Kwadrat obejmujący trzy przecznice. Środkowy drapacz chmur będzie miał ponad trzysta metrów wysokości. Nowoczesny, nie gotycki, prosty jak ociosany głaz, z nielicznymi detalami podkreślającymi jego potężną masę. Będzie to biurowiec.

– A pozostałe budynki? – zapytał MacCormick, skupiając całą uwagę na szkicu.

– Oto cztery kolejne wieżowce. – Esko ułożył rysunki przed MacCormickiem. – Teatr, hotel, szpital, ośrodek edukacyjny na potrzeby dzielnicy.

– Ośrodek edukacyjny – powtórzył MacCormick, zrywając się z krzesła jak spłoszony ptak. Przeczesał włosy palcami i dotknął węzła krawatu, jakby chciał się upewnić, czy nie rozwiązał się z przerażenia.

Esko się uśmiechnął. Nigdy dotąd nie widział MacCormicka tak zbitego z tropu.

– Daj spokój, Esko, bądźmy poważni! – wykrzyknął milioner, wyrzucając ręce w górę w żartobliwym geście kapitulacji. – Muszę przecież zarobić na tym jakieś pieniądze!

Esko cierpliwie skinął głową. Był całkowicie przygotowany na ten wybuch. Zaczął spokojnie wyjaśniać MacCormickowi,

że zarobi mnóstwo pieniędzy, i to właśnie na szpitalu i ośrodku edukacyjnym.

– Ziemia jest tutaj tania, lecz kiedy zachęcimy ludzi, aby się tu przenieśli, jej ceny pójdą gwałtownie w górę. Wszystko, co dotyczy tego projektu, zostało pomyślane w ten sposób, aby przynosił pieniądze. Poza tym, będzie to piękne miejsce, miejsce użyteczne dla całego miasta, takie, które stanie się jego żywą częścią. Ludzie będą przyjeżdżać tu do pracy i na odpoczynek, po to, aby odetchnąć w miłym otoczeniu. – Esko wskazał jeden z rysunków. – Środkowy drapacz chmur będzie obłożony płytami z wapnia, najlepiej z Indiany.

– Czy dlatego, że to najdroższy materiał budowlany, jaki przyszedł ci do głowy?

– Masz rację, wystarczyłaby cegła, w ten sposób koszty spadłyby o milion. Można go też pokryć karbowanym żelazem, to byłoby jeszcze tańsze. Schowasz wtedy kolejny milion do kieszeni, a poza tym moglibyśmy pomalować budynek na dowolny kolor. Jaki kolor, twoim zdaniem powinna mieć Wieża MacCormicka, by każdy bez trudu ją zapamiętał?

– Wieża MacCormicka? – powtórzył milioner, lekko mrużąc szare, podobne do kawałków granitu oczy.

Esko nie potrafił się zorientować, czy jego słowa zaskoczyły MacCormicka, czy mu pochlebiły.

– Zamierzasz wybudować drapacz chmur, na który wszyscy będą patrzeć – powiedział. – Dlaczego nie miałbyś nazwać go swoim nazwiskiem?

MacCormick przez długą chwilę rozważał tę możliwość, wyraźnie zaintrygowany.

– I może jednak dobrze by było, aby nowojorczyki wiedzieli, że MacCormick był tak dumny ze swego prezentu dla miasta, iż postanowił pokryć go nie karbowanym metalem, ale jednak cennym wapniem z Indiany – dodał Esko bez uśmiechu, spokojnym, neutralnym głosem, patrząc MacCormickowi prosto w oczy, jakby rzucał mu wyzwanie.

– Podoba mi się ten pomysł – powiedział MacCormick powoli.

Teraz Esko postanowił dać upust swemu entuzjazmowi.

– Świat nigdy nie widział czegoś podobnego, Andrew. Zaryzykuj, spróbuj. Będziesz bogaty, ale to nie ma dla ciebie znaczenia, bo i tak masz już mnóstwo pieniędzy. Zrób to, a zapiszesz swoje nazwisko złotymi zgłoskami w kronikach Nowego Jorku, do diabła! – Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że mówi trochę jak Kirby.

MacCormick trzymał w dłoni mały złoty ołówek, taki sam jak ten, którym Mantilini podliczał sumy w swoim czarnym notesie. Pochylony nad blatem biurka, zaczął szybko pisać coś na kartce papieru.

– Działki w tej dzielnicy są rzeczywiście tanie – rzekł. – Ale czy zdajesz sobie sprawę, ilu właścicieli może mieć tak duży teren w Nowym Jorku? Kilkuset. Wiesz, jak trudno będzie ich wykupić i zdobyć całą tę ziemię?

– Nie mam o tym zielonego pojęcia.

– W gruncie rzeczy ja także nie – rzekł MacCormick leniwie, znowu kołysząc się na krześle i obserwując Esko z mieszanką podniecenia i rozbawienia. – Więc może faktycznie warto spróbować. Myślę, że będzie to bardzo zabawne.

Tak więc zabrali się do pracy. W ciągu mniej więcej czterdziestu miesięcy, które upłynęły od czasu ogłoszonego przez redakcję „Gazette” konkursu, świat architektury zaadaptował jeszcze jeden z pomysłów Esko – teraz prawie wszyscy wykonywali modele swoich projektów z plasteliny lub gliny z nadzieją, że w ten sposób zrobią większe wrażenie na potencjalnych inwestorach. MacCormick zatrudnił najbardziej znanego wykonawcę tego typu prac i oddał go do dyspozycji Esko. Żadnemu z nich nie musiał wyjaśniać, że i projekt, i jego realizacja, muszą zostać zachowane w najściślejszej tajemnicy. Tylko w ten sposób mogli ustrzec się przed plagiatami.

Jako architekt już na pewnym etapie kariery, Esko naiwnie przypuszczał, że sporo wie o tym, co kryje się za kulisami każdego dużego projektu budowlanego, lecz teraz, obserwując skomplikowane zabiegi i poczynania MacCormicka, zrozumiał, jak bardzo się mylił. MacCormick znał tysiąc sztuczek. Wysyłał swoich ludzi incognito do miejskiego ratusza, aby dowiedzieć się, kto jest właścicielem czy dzierżawcą poszczególnych działek

na wybranym terenie. Atakował jednego z głównych właścicieli, sugerując, że doradzi mu, co kupować na giełdzie, jeżeli okaże się rozsądny i pozbędzie się tej cuchnącej fabryczki nad East River. Korzystał z pomocy dwudziestu różnych agencji nieruchomości. Jedna duża działka, cały kwadrat ziemi między dwiema ulicami, najdalej wysunięta na północ, okazała się własnością kolegi MacCormicka z zespołu pływackiego w Harvardzie. Taki był świat MacCormicka i dzięki temu udało mu się szybko podpisać wstępną umowę kupna. Dwie trzecie południowej działki należało do nowojorskiej diecezji kościoła katolickiego. MacCormick zyskał poparcie biskupa, gwarantując, że w planowanym kompleksie znajdzie się miejsce dla szkółki niedzielnej. Esko zareagował na tę wiadomość z nieukrywanym rozbawieniem.

– Nie masz chyba nic przeciwko temu? – zapytał MacCormick, wygodnie rozparty w fotelu i promieniejący zadowoleniem z siebie. – Nie wpłynie to na zasadniczy kształt projektu.

– Oczywiście że nie mam nic przeciwko temu – rzekł Esko. – Możemy jeszcze dorzucić jadłodajnię dla ubogich, dla czegoż by nie?

MacCormick posługiwał się telefonem z zupełnie obcą Esko pewnością siebie. Nie warczał do słuchawki, jak robił to Joe Lazarus, lecz uwodził rozmówcę, pieszcząc go słowami i tonem głosu. Podczas telefonicznych konferencji MacCormick uśmiechał się częściej niż zwykle, wygłaszając długie monologi o pieniądzach, a jego beztroski wyraz twarzy zapowiadał zwykle poważne kłopoty dla kogoś innego.

Kiedyś Esko usłyszał, jak MacCormick rozmawia z Kateriną. Szeptął czule wyrazy do słuchawki, pozornie nie zwracając uwagi na Esko, który przyglądał się oprawionym fotografiom Kateriny, wiszącym na ścianach biura. Były to obrazki z pustyni – srebrzyste gałązki nieznanych gatunków wrzosów, poskręcane palmy, leżące na ziemi liście, wyschnięte koryta rzek i strumieni, samotne skały, na których rzadko stawał człowiek, ziemia, której nie można było upokorzyć ani wykorzystać, zbyt dziwna, pusta i ogromna, by ludzie czuli się na niej swobodnie.

Zdjęcia Kateriny wywarły na nim głębokie wrażenie i zaskoczyły go swym ponadczasowym wymiarem.

– Wspaniałe, prawda? – odezwał się MacCormick, który właśnie odłożył słuchawkę i odwrócił się ku niemu. – Zrobiła je w Arizonie. Spędziliśmy tam nasz miesiąc miodowy i kupiliśmy dom. Katerina pojechała tam na parę tygodni.

Późnym wieczorem tego samego dnia Esko i MacCormick zostali sami w biurze. Wszyscy asystenci i prawnicy milionera już dawno wyszli do domu, lecz oni nadal pracowali. Czerwone światło podobnych do pochodni ściennych lamp napełniało wielką salę niezwykłą aurą. Esko odwrócił głowę w kierunku niezastłoniętego okna w rogu pokoju, przez chwilę skupiając uwagę na rozproszonych na falach rzeki światłach statków i łodzi.

– Czy Katerina wie o tym projekcie? – zapytał nagle, nie mogąc zapanować nad ciekawością.

MacCormick notował coś w kręgu światła ciężkiej mosiężnej lampy, zielonej z zewnątrz i złocistej w środku. Esko stał nad wykonanym z plasteliny modelem, rzeźbiąc *puukko* jeden z budynków w tle głównego drapacza chmur.

– Oczywiście! Jak mogłaby nie wiedzieć? I ma nadzieję, że mimo wszystko dasz jej drugą szansę. Pozwól, by przyjrzała się projektowi, kiedy wróci do miasta. – Uśmiechnął się zachęcająco. – Może zmieni zdanie.

W tym samym momencie Esko poczuł pragnienie, by powiedzieć MacCormickowi o wszystkim i skończyć z kłamstwami i grą pozorów.

– Co się stało? – zapytał MacCormick.

Esko wskazał część modelu końcem noża.

– Pomyślałem, że pomieszczenia biurowe z oknami wychodzącymi na ogrody byłyby chyba warte więcej niż inne. Jak myślisz, o ile więcej za metr kwadratowy można by za nie policzyć?

MacCormick siedział bez ruchu, z rękami opartymi na blacie biurka, w zamyśleniu rysując coś na papierze.

– Nie jestem pewien.

– Nie żartuj sobie ze mnie, masz przecież liczydła w głowie.

– No, dobrze, chwileczkę – mruknął, porzucając nonszalancką

pozę. Na jego twarzy odmalowało się całkowite skupienie, które najczęściej ukrywał przed oczyma obserwujących go ludzi. Przez parę sekund wpatrywał się w swoją dłoń, leżącą w prostokącie światła padającego z lampy, potem zaś szybko zapisał jakąś liczbę. – Dwa i pół dolara ekstra za metr kwadratowy. Może nawet trzy...

– Z taką forszą możemy tam urządzić ogrody jak w Wersalu. Moglibyśmy nawet sprzedawać bilety. Zaplanujemy je na dachach niższych budynków, żeby nie było ich widać z ulicy i żeby nie zakłócały linii całego kompleksu. Od pewnego czasu zastanawiam się też nad fontanną. – Wskazał nożem plac przed centralnym wieżowcem. – Wychodząc z biur, ludzie słyszeliby szmer opadającej wody. Ile by to kosztowało?

– Nie wiem, ale założę się, że zaraz mi powiesz.

– Trzydzieści tysięcy galonów wody dziennie w zamkniętym obiegu kosztowałoby około trzech dolarów.

– Nigdy się nie poddajesz, co? – MacCormick powiedział to z wyraźnym podziwem.

– W siedemnastowiecznych Włoszech bogaci mecenasz podpisywali z malarzami kontrakty, jak dziś kluby z obiecującymi sportowcami. I wykorzystywali ich, posługiwali się nimi, bo kochali dobre malarstwo, uwielbiali patrzeć na wybitne obrazy. Nie kupowali oryginalnych dzieł mistrzów i nie zamykali ich w bankowych sejfach, aby tam nabrały wartości. Ten kraj jest tak bogaty, że po prostu trzeba zużyć na coś pieniądze, przeznaczyć je na jakiś cel. Podziwiam cię za to, że próbujesz osiągnąć ten cel, Andrew.

MacCormick zamrugnął oczami, zastanawiając się, do jakiego stopnia Esko schlebia jego wielkiej próżności. Ale Esko mówił zupełnie szczerze. Jego również zaskoczyło to, że tak głęboko cenił swego współnika w interesach.

– Płacisz mi, bym dał z siebie wszystko, co najlepsze – ciągnął Esko. – Więc daję ci swoje najlepsze pomysły, nawet jeżeli w pierwszej chwili nie masz do nich przekonania. I masz rację, nigdy się nie poddaję.

Niespodziewanie ogarnęło go silne poczucie winy, przypomniał sobie bowiem, jak kiedyś powiedział to samo Marion

Bennet, która dziwiła się, że tak nieustrudzenie poszukuje Kateriny.

MacCormick podniósł się zza biurka, z uśmiechem poprawił szelki na nieskalanie białej koszuli i podszedł do Esko.

– Jak nazywa się ten nóż, którego zawsze używasz? – zapytał.

– *Puukko*. W Finlandii każdy chłopiec dostaje taki nóż od ojca, aby nauczył się, jak być mężczyzną.

– I jak można się tego nauczyć? – Oczy MacCormicka zabłyśły wesoło i trochę cynicznie.

– Patrosząc ryby. Obrabiając drewno. Krusząc lód.

– Zawsze byłem chłopcem z miasta – powiedział MacCormick. – Mogę zobaczyć?

Ostrze noża zaśniło czerwono. Esko podał go MacCormickowi, zwrócony rękojeścią w jego stronę.

– Mój ojciec wolał jadeit – rzekł milioner, wspierając czubek noża na dłoni. – Miałem czternaście lat, kiedy umarł. Odkryłem wtedy, że odziedziczyłem znacznie mniej, niż sądziłem – rozsypujący się stary dom w Baltimore i gruby plik rachunków. No i jadeit. Cały magazyn jadeitu. Odkąd ojciec opuścił matkę i mnie, bez przerwy podróżował po świecie w poszukiwaniu tego kamienia. Po jego śmierci udałem się do jednego z kolekcjonerów, który kupił ode mnie wszystko za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zaraz potem okazało się, że jadeit był wart ponad dwa miliony. Od tego czasu minęło dwadzieścia lat. Był to ostatni zły interes, jaki zrobiłem. – Uśmiechnął się niepewnie, prawie przepaszająco. – Robię pieniądze. Nawet kiedy się nie staram, mimo wszystko robię pieniądze. Czasami chciałbym przestać, ale nie mogę. To chyba jedyna rzecz, jaką rzeczywiście potrafię robić...

– Nie jedyna – odparł pospiesznie Esko, nie mogąc powstrzymać sympatii, jaką budził w nim MacCormick. Nie spodziewał się po nim takiej szczerości.

– Może i nie. – MacCormick przecesał włosy palcami, lekko wzruszając ramionami. – Znałeś Kate, kiedy była jeszcze dzieckiem, prawda?

– Bardzo słabo i tylko przelotnie – rzekł Esko ostrożnie.

– Powiedz mi, jaka wtedy była.

– Bardzo pewna siebie.

MacCormick skinął głową, porównując nowy obraz z Kateriną, jaką znał.

– Walczyłeś tam w czasie wojny?

– Ona ci o tym powiedziała?

MacCormick milczał.

– Była wtedy z kimś zaręczona – odezwał się po chwili.

– Z Klausem...

– Zginął?

– Uratował mi życie. Potem zginął od kuli.

– Obchodzi mnie tylko to, co dzieje się teraz – oświadczył MacCormick. – Chronię swoją własność i dlatego skupiam się wyłącznie na teraźniejszości. Wyłącznie. Nie interesuje mnie, co było w przeszłości, cokolwiek to było. – Uśmiechnął się do Esko pogodnie ze szczytu swego doskonałego nastroju. Cieszył się, że jest bogaty, że żyje i że jest mężem Kateriny. Spojrzał na trzymany w ręku nóż i oddał go Esko.

Włoski szewc okazał się jedynym nieustępliwym obrońcą swojej pozycji, jedynym dzierżawcą, który nie pozwolił się wykupić, odrzucając każdą ofertę i próbę przekupstwa.

– Stary głupiec! – warknął MacCormick, z trzaskiem odkładając słuchawkę i gwałtownie zrywając się z krzesła. Esko nigdy nie widział go w takim stanie. – Cały projekt rozbija się o tego idiotę!

Następnego dnia wczesnym rankiem Esko poszedł tam sam, czując na policzkach ostry listopadowy chłód. Brudne uliczki nad East River przesiąknięte były ciężkim, intensywnym zapachem słodu. W oknie lokalnych delikatesów widniała kartka z napisem: „TU OBSŁUGUJĄ KLIENTÓW WŁOSCY BOHATEROWIE”. Na drugim niewielkim sklepie znajdowały się napisy w języku węgierskim. Właściciele sklepików przygotowywali się do rozpoczęcia nowego dnia. Esko otworzył drzwi prowadzące do ciemnego, małego, podobnego do jaskini pomieszczenia, w którym mieścił się zakład szewski, i natychmiast poczuł zapach skóry i pasty do butów. Dzwonek zabrzączał

ostro i głośno, jak gong obwieszczający rozpoczęcie walki bokserkiej. Za zbitym z surowych desek kontuarem, w żółtym świetle zawieszanej u sufitu gołej żarówki, siedział stary, sterany życiem człowiek. Na chwilę podniósł wzrok znad buta, który właśnie naprawiał, wypluł na dłoń obgryziony paznokieć i dalej spokojnie przybijał flek do zdartego obcasa. Za jego plecami zasłona z grubego płótna przedzielała komórkę na połowę.

Esko nie wątpił, że ludzie MacCormicka usiłowali zastraszyć Dino Bitale, bo tak nazywał się szewc. Było to głupie, nieprzyjemne i zupełnie niepotrzebne. Esko był przekonany, że Paul Mantilini nigdy nie zniżyłby się do zastosowania takiej taktyki wobec starego, ubogiego człowieka. Esko przyszedł do niego z przeprosinami i butelką chianti. Pokazał Dino Bitale, co i w jaki sposób zamierza zrobić, i obiecał staruszkowi, że już wkrótce otworzy nowy sklep w jednym z arkadowych korytarzy w holu centralnego drapacza chmur. Przyniósł też fotografie kościoła Cienia św. Krzyża i wyjaśnił, że chociaż budynek MacCormick Plaza będzie niewątpliwie bardziej imponujący, to na pewno nie będzie mniej interesujący czy brzydszy. Uwiódł Dino swoim entuzjazmem, podobnie jak wcześniej MacCormicka, i po godzinie wyszedł z podpisaną umową. Przynajmniej tym razem dobra wiara i siła przekonywania okazały się skuteczniejsze niż pistolet.

6

MacCormick zwołał konferencję prasową, zapraszając dziennikarzy do swego biura z czerwoną mozaiką na suficie i ciężkimi aksamitnymi draperiami, które zawsze były starannie podpięte, jak w teatrze, gdzie przedstawienie nigdy się nie kończy. Tuż przed dwunastą w południe obaj z Esko stanęli na środku sali obok modelu kompleksu budynków, czekając na przybycie dziennikarzy.

– Denerwujesz się? – zapytał MacCormick, wyjmując złotą zapalniczkę Dunhill.

– Trochę.

- Jak się mówi „trochę” po fińsku?
- *Pikkusen*.
- *Pikkusen* zdenerwowany... – powiedział MacCormick, ciągnąc się dymem i powoli wypuszczając go w górę. – Ładnie to brzmi. Wszystko będzie w porządku. Projekt zostanie nagłośniony w prasie, dzięki czemu zgłosi się do nas wielu dzierżawców lokali i zarobimy mnóstwo pieniędzy. Właśnie tak to się robi. To proste. Daliśmy im do zrozumienia, że twój projekt to dzieło geniuszu, a oni w to uwierzą. Częściowo dlatego, że nie mają pojęcia o architekturze, a częściowo dlatego, że być może jest to prawda.

Jeden z asystentów MacCormicka stał przy drzwiach windy, witając przybyłych i wręczając im prospekt wydrukowany na grubym, błyszczącym papierze. Kolorowe litery w kubistycznym stylu głosiły: CENTRUM MACCORMICKA. Wewnątrz znajdowało się kilka rysunków, a także tekst napisany poetycką prozą:

W dalekich Indiach, na pięknym brzegu Jumny, roztacza swój imponujący, majestatyczny urok Tadź Mahal. Na brzegu ruchliwej, szumiącej rzeki, jaką jest Nowy Jork, stanie wspaniałe i dumne Centrum MacCormicka. Tadź Mahal jest prawdziwą oazą w gęstwinie dżungli, a biel jego murów wyraźnie odcina się od mrocznej zieleni tropikalnego lasu. Centrum MacCormicka będzie klejnotem, jedyną w swoim rodzaju oazą ciszy i spokoju w samym sercu naszej wielkiej metropolii. Jego chłodny, ostro zarysowany kontur stanie się charakterystyczną częścią sylwetki miasta, naszkicowanej na niebie nad Manhattanem. Tadź Mahal przemawia do Indii językiem duchowego spokoju, natomiast Centrum MacCormicka stworzy niezwykle, niepowtarzalny pomost między światem przeciętnych ludzi i światem sztuki. Centrum MacCormicka to urbanistyczna oda, modlitwa do Nowego Jorku. Centrum MacCormicka to przyszłość. To nasza przyszłość, śmiała i czysta.

– Mój Boże, zaraz dostanę gorączki – oświadczyła Marion Bennett, wachlując twarz prospektem. Nie miała na głowie

kapelusza, a czerń jej krótkiej, prostej sukienki bez zaznaczonej linii bioder przecinał szeroki czerwony pas. Marion wyglądała jak rewolwerowiec i rzeczywiście była do wynajęcia, ponieważ niedawno na dobre opuściła redakcję „Vanity Fair”, zostając wolnym strzelcem. Jej wargi umalowane były jak zwykle na bardzo intensywny odcień czerwieni. – Jestem gotowa założyć się o dwadzieścia dolarów, że MacCormick wynajął jakąś młodą poetkę prosto z Vassar, dziewczynę w zielonym kapeluszu, która w porywie natchnienia napisała ten stek bzdur.

– Zjawiała się spowita obłokiem perfum i dymu papierosowego – rzekł Esko. – Pisała piórem, fiołkowym atramentem i sekretarka dopiero po jej wyjściu mogła skalać jej natchnienie maszyną do pisania.

– No, no, kto by pomyślał – mruknęła Marion Bennett, rozbawiona i mimo woli nieco zaskoczona. – Nie miałam pojęcia, że skończyłeś Vassar.

– Ale nigdy nie nosiłem zielonego kapelusza. Przynajmniej do tej pory... To MacCormick podrzucił mi pomysł na ten tekst. Powiedział, że nic nie jest już naturalne, że każda rzecz musi udawać inną, w przeciwnym razie ludzie jej nie zaakceptują i nie rozumieją. Dlaczego więc nie Tadz Mahal, pomyślałem sobie...

– Zaczynasz pojmować, o co w tym wszystkim chodzi, prawda?

– *Pikkusen* – odparł, ogarniając szerokim gestem prospekt, dziennikarzy i całą salę. – Wszystko to tylko piana, sercem całego tego zamieszania jest projekt. I tylko on się liczy.

– Twoim zdaniem projekt to nieskalanie czysta idea? Mimo że nosi nazwę Centrum MacCormicka?

– Nie ma znaczenia, jak go nazwiemy i jak opiszemy. Nie ważne, kogo ma upamiętnić. Projekt jest, jaki jest. Wkrótce stanie się częścią miasta i każdy będzie mógł sam go ocenić.

– Do zobaczenia później, Esko – powiedziała Marion. W jej spojrzeniu można było wyczytać szczerą sympatię oraz cień czegoś innego, ostrożnej, intymnej świadomości. – Niedługo staniesz się kimś ważnym, zdajesz sobie z tego sprawę? Może będę jednak musiała cię trochę zdemoralizować...

Katerina pojawiła się mniej więcej pół godziny później, ponieważ dopiero tego ranka wróciła do Nowego Jorku. Esko zobaczył, że wysiadając z windy, zawahała się, zaskoczona gwarem i tłumem ludzi. MacCormick z uśmiechem podniósł rękę i skinął jej głową, nie przerywając rozmowy, którą właśnie prowadził. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i ruszyła przez tłum, przeczesując włosy palcami. Esko pomyślał, że nabyła tego zwyczaju od MacCormicka. Zatrzymała się przed modelem projektu i długo mu się przyglądała. Jej twarz miała poważny, skupiony wyraz, wargi były lekko rozchylone. Skóra Kateriny była opalona i usiana piegami, a jej oczy lśniły jak zielone klejnoty. Esko wpatrywał się w nią z zapartym tchem, nagle zapomniawszy o całym świecie. Był zdumiony, że Katerina, której obraz tak długo nosił w sercu i wyobraźni, okazała się dla niego całkowitą nowością, zupełnie jakby każdy szczegół jej postaci musiał być postrzeżony raz jeszcze, z zupełnie innej perspektywy. Pospiesznie odwrócił wzrok, zaskoczony intensywnością tych odczuć.

Parę minut później Katerina podeszła do niego wolnym krokiem.

– Witaj, Esko – odezwała się. – Będę teraz przez jakiś czas w Nowym Jorku. Czy moglibyśmy się spotkać?

– Nie wydaje mi się, aby to był dobry pomysł, pani MacCormick.

– Może chcę tylko wybrać się z tobą na spacer – powiedziała, kładąc dłoń na jego rękawie.

– To nigdy nie będzie tylko spacer. Dobrze o tym wiesz.

– Chyba tak. – Spojrzała na niego z lekkim smutkiem. – A gdybym ci zaproponowała, żebyś teraz odszedł stąd ze mną? Co by było, gdybym powiedziała: chodźmy stąd i wsiądźmy do pierwszego lepszego pociągu? I nigdy tu nie wracajmy? Co byś wtedy zrobił, Esko?

– Ten scenariusz już przerabialiśmy.

– Zrobiłeś się strasznie rozsądny.

– Naprawdę? Wcale się taki nie czuję.

– Narobiłam ci mnóstwo kłopotów i przykrości, co?

– Nie dosyć – odparł.

– Kirby byłby dziś z ciebie dumny. – Uśmiechnęła się, odwróciła szybko i odeszła, aby stanąć u boku MacCormicka.

Esko poczuł, że zrobiła to raczej z litości niż z kokieterii, i westchnął ciężko. Żałował, że nie może wziąć jej w ramiona i jednocześnie cieszył się z tego.

Dziennikarze „World” zachwycili się projektem Centrum, na co ci z „Timesa” natychmiast zaczęli wyszukiwać jego słabe strony, a reporterzy z „Tribune” stanęli w obronie nowego planu architektonicznego. „Graphic” zamieścił fotografię projektu z zabawnymi przeróbkami, a obok rysunek przedstawiający zegar odliczający ostatnie godziny życia skazanego na śmierć. W „Vanity Fair” szczegółowy rysunek projektu znalazł się na rozkładówce, opatrzony dużym tytułem: „Miasto przyszłości”. „New Yorker” popisał się dowcipem rysunkowym, w którym dwóch robotników budowlanych, trzymających dużą szybę, spoglądało ze szczytu centralnego drapacza chmur, mówiąc: „O którym oknie zapomnieliśmy?”. „Gazette” wydrukowała karykaturę Esko stojącego obok modelu projektu, z napisem: „Piękna i Bestia?”. Dziennikarze pytali Esko, czy jest komunistą, co myśli o Babe Ruth, czy potrafi biegać jak Paavo Nurmi, kto jest jego ulubioną gwiazdą filmu... Kluby, o których nigdy w życiu nie słyszał, przysyłały mu swoje karty członkowskie, a elegancie panie rezydencji przy Park Avenue, które ozdabiały ściany swych apartamentów najprawdziwszymi Rembrandtami, zapraszały go na przyjęcia, na których ubrani w uniformy barmani przyrządzali koktajle w shakerach z pozytywkami wygrywającymi melodię *O Lady Be Good*. Esko był wszędzie przyjmowany z radością, fetowany i po raz pierwszy miał okazję zauważyć, jak zaskoczenie, które ludzie zwykle okazywali na widok jego oszpeconej twarzy, zmienia się w entuzjastyczną pobłażliwość. Był przecież człowiekiem wielkiego talentu, człowiekiem sławnym, architektem swojej epoki – określił go tak sam Walter Lippmann na łamach „New York World”. Popularność była czymś więcej niż maską, dzięki której zniekształcona twarz stawała się atrakcyjna. Popularność okazała się magicznym aparatem rentgenowskim, którego promienie ukazywały prawdziwy obraz, być może nawet duszę. Popularność działała jak

czary, za ich sprawą ludzie uwierzyli, że Esko potrafi tworzyć rzeczy piękne właśnie dlatego, iż sam jest szpetny. Zaproszenia piętrzyły się na jego biurku. Czasami znajdował w sobie dość głupiej odwagi, aby wybrać się na któreś z przyjęć, i wtedy prawie od progu otaczały go tłumy modnych panienek, które wyczytały w gazetach, że Esko kiedyś malował i teraz chciały pozować mu do aktów. Oblegały go również matki dziewcząt, które pragnęły, aby zaprojektował i urządził ich apartamenty w bardzo nowoczesnym stylu, oraz ich ojcowie, którzy proponowali mu, aby zaprojektował dla nich jakiś niewielki dom albo nawet biurowiec, zanim ktoś złoży mu poważniejszą ofertę. W ciągu zaledwie kilku dni Esko otrzymał tyle propozycji, że gdyby je wszystkie przyjął, miałby zapewnione zajęcie do końca życia. Był zafascynowany, zdegustowany i mimo woli wzruszony dziwacznymi objawami uznania dla jego talentu i fizycznej brzydoty, głęboko wstrząśnięty łatwością, z jaką nagle zdobył szacunek miasta, w którym tak długo walczył o swoje miejsce. Sława zaskoczyła go i całkowicie oszołomiła.

Szczególne znaczenie w tej drodze na szczyt miały dwa wydarzenia. Pierwszym z nich była publikacja poświęconego mu artykułu pióra Marion Bennett w gazecie „New Yorker”.

Vaananen jest trzydziestosiedmioletnim, wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o pokrytej bliznami twarzy, otoczonym aurą tajemnicy, która wymyka się próbom analizy. Opaska na oku sprawia, że wydaje się niezwykle atrakcyjny i zagadkowy. Być może kiedyś, dawno temu, w lasach Finlandii, wybrał się na polowanie i spotkał na swojej ścieżce rozwścieczonego niedźwiedzia. A może blizny są pozostałością po oparzeniach? Nie udało nam się dowiedzieć, jak było naprawdę. Vaananen nie chce o tym mówić. W Ameryce i swojej rodzinnej Europie nauczył się wystarczająco dużo, aby odrzucić idee tradycyjnego projektowania. Vaananen buduje tak, jak mu w duszy gra. Architekci starej daty chrząkają, pokasłują, drapią się po głowie i nie potrafią wypowiedzieć się na temat oczywistej nowoczesności Centrum MacCormicka. Inni dają wyraz zachwytowi dla pełnego pasji łączenia

pomysłów, z których część niewątpliwie wywodzi się z Europy, chociaż budynki Vaananena będą nie mniej amerykańskie niż Dziki Zachód. Vaananen buduje dla współczesności, nie dla przeszłości. Jak utrzymuje, pragnie wznosić wieżowce, których konstrukcja i wygląd będą mocne i czyste jak granit. Ich wnętrza mają być wygodne, użyteczne i praktyczne, ponieważ tego potrzebują ludzie, którzy będą w nich mieszkać i pracować. Vaananen jest pragmatykiem i nie należy do żadnej szkoły architektonicznej. Nie wstydzi się tego, że chce zarobić pieniądze dla swoich sponsorów. Twierdzi, że to zupełnie normalne. Nie wstydzi się również swego pragnienia, aby nasze miasto stało się lepszym, bardziej przyjaznym dla mieszkańców miejscem. Mówi, że wynika to z jego moralności dobrego architekta. Pewnego listopadowego poranka, kiedy wydawało się, że zima lada chwila ogarnie nas swym chłodem, Vaananen pokazał nam teren budowy Centrum, cytując fińskich klasyków i opowiadając, jak o mały włos nie zginął na wojnie, która rozpełtała się w jego kraju w 1918 roku. Vaananen myśli szybko, a jego język potrafi recytować górnolotne frazy, nie zdołaliśmy więc się zorientować, kiedy mówi poważnie, a kiedy żartuje. Bez trudu nawiązuje kontakt z mężczyznami, a kobiety traktuje z pełnym szacunku uwielbieniem, jakby miał do nich wielką słabość, lecz jednocześnie wolał zyskać pewność co do ich intencji.

Artykuł zajmował ponad dwie strony. Marion z wyraźnym rozbawieniem zauważyła (w końcu nie był to nekrolog), że Esko zaprojektował kilka lokali rozrywkowych dla pewnego znanego przemytnika alkoholu. Nie omieszkała też napisać, że projekt drapacza chmur, zgłoszony przez Esko do konkursu ogłoszonego przez redakcję „Gazette” w 1922 roku, został skopiowany przez wielu architektów, szczególnie zaś przez niemieckiego architekta pracującego obecnie w Nowym Jorku i Miami, Josepha Lazarusa. Esko wiedział, że historię tę opowiedział Marion MacCormick, nie był jednak niezadowolony, widząc ją w druku.

Drugie wydarzenie było chyba jeszcze istotniejsze. Esko został poproszony, aby w Sylwestra wygłosił przemówienie na dorocznym balu kostiumowym Amerykańskiego Stowarzyszenia Architektów. Temat brzmiał: „Nowy Jork, nowoczesność, gwałtowny rozwój budownictwa”, bal zaś miał odbyć się na trzecim piętrze hotelu Astor, w olbrzymiej, oświetlonej kandelabrami sali balowej, wysokiej na prawie dziesięć metrów. Na środku stała imponująca reprodukcja Statuy Wolności z reflektorami umieszczonymi w miejscu oczu. Na zwisającym z balkonu fryzie przedstawiono historię rozwoju ludzkości w ciągu tysiącleci. Naprzeciwko umieszczono drugi płócienny fryz, ze scenami z historii Nowego Jorku. Był tu Indianin przekazujący pierwszym osadnikom prawo własności Manhattanu, zabójstwo Jima Fiska, wypoczynek w Central Parku, Bowery nocą oraz budowa Woolwortha. Pod ścianami ustawiono ponad sto przykrytych białymi obrusami stolików z czerwonymi lampkami. Do tańca grały dwie orkiestry jazzowe, raz jedna, raz druga, a środkiem sali bez przerwy przepływał gwarny tłum. W powietrzu dudniły dźwięki instrumentów oraz głosy tysiąca osób, przebranych w pomysłowe kostiumy. Esko nie zdecydował się na przebranie, ponieważ doszedł do wniosku, że brak kostiumu zostanie mu wybaczone ze względu na jego wyjątkową rolę w czasie tego wieczoru. Rozbawienie budziła w nim też myśl, że zawsze znajdą się tacy, którzy spojrzą na jego twarz i pomyślą, że on też nosi maskę.

Muzyka umilkła, goście zostali zaproszeni na kolację i zajęli miejsca. Esko znalazł się przy głównym stole, między wybitnym przedstawicielem rodu Choate oraz kobietą o lśniących czarnych włosach z modnymi zielonymi pasemkami, która była kimś ważnym w Metropolitan Museum. Kelner serwował koktajle wprost z shakera z pozytywką, ostatniego krzyku mody końca 1926 roku, wygrywającego motyw z preludium Rachmaninowa.

Esko pochłonął zupę szpinakową, duży stek, górę ziemniaków z sosem, a na deser ogromną kulę lodową z przybraniem, żywo przypominającą bombę anarchisty. Podawano też koniak oraz cygara z wielkich skrzynek. Mistrz ceremonii z wysiłkiem dźwignął się na nogi, beknął i przedstawił mówcę, człowieka, którego

osiągnięcia opisał w tak barwny, ozdobny sposób, że Esko przez chwilę rozglądał się niespokojnie, zanim pojął, że chodzi właśnie o niego.

Lampy pod sufitem przygasły. Esko wstał, ujrzał sto, a może więcej czerwonych stołowych lampek, palących się przed nim, i usłyszał cichnący szmer rozmów. Ktoś podsunął mu mikrofon.

Wygłaszanie przemówienia – koszmar senny każdego Fina, lecz oczywiście nie ojca Esko. Timo wygłosił co najmniej tysiąc przemówień, budząc wzruszenie i entuzjazm w sercach tysięcy kobiet i mężczyzn w salach wykładowych, w ponurych piwnicach i prawdopodobnie nawet na polach bitew. Teraz Esko ze zdumieniem odkrył, że perspektywa wygłoszenia mowy wcale nie wydaje mu się przykra. Zaczął od wzniesienia toastu dla uczczenia pamięci wielkiego amerykańskiego architekta, W. P. Kirby'ego.

Gdzieś w sali zgrzytnęło o podłogę krzesło, zabrzęczało szkło. Jakiś spóźniony gość w białym stroju przedzierał się między stolikami, nosowym głosem mamrocząc przeprosiny. Mężczyzna wyprostował się na chwilę i wtedy Esko zobaczył twarz Joe Lazarusza.

Serce zabiło mu szybciej, lecz spokojnie mówił dalej, nie tracąc pewności siebie.

– Kirby nauczył mnie, że miasto jest nie tylko zbiorem działań człowieka, wymierzonych przeciwko naturze. Miasto jest owocem dzieła stworzenia, a także żywym organizmem. Stawia nam żądania i spełnia nasze wymagania. Nowy Jork to potężna wizja, która porusza naszą wyobraźnię.

– Właśnie, właśnie! – zawołał Lazarus.

– Podstawowy problem architektoniczny Europy to stworzenie wielkiego miasta dnia dzisiejszego, takiego jak Nowy Jork. Architekt musi rozwiązać tę kwestię...

– Brawo! Tak jest! – zagrzmiął Lazarus.

– ...nie zastanawiając się nad tym, czy tworzy miasto przyszłości, lecz ani na chwilę nie tracąc z oczu współczesności – ciągnął Esko. – Właśnie w ten sposób stworzy przyszłość, przyszłość żywą i trwałą. Panie i panowie, dziękuję za uwagę. Mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się w Centrum MacCormicka.

Usiadł, trochę spocony i zaskoczony aplauzem, z jakim spotkała się jego krótka mowa, i zaraz znowu wstał, aby udzielać odpowiedzi na liczne pytania. Nie mógł nie zauważyć wyraźnie widocznej w tłumie potężnej postaci Lazarusa, chociaż bardzo starał się nie zwracać uwagi na Niemca. Dopiero pod koniec wieczoru, kiedy narzucał na ramiona palto, poczuł za sobą czyjąś obecność i zrozumiał, że jednak nie uniknie spotkania z byłym współnikiem. Lazarus miał na sobie ekstrawagancki i komiczny kostium przedstawiający wieżowiec redakcji „Gazette”. Jego brodata twarz była czerwona i spocona, najwyraźniej ze zmęczenia.

– Doskonałe przemówienie, Esko, bardzo dobre – oświadczył, kiwając głową ozdobioną tekturową iglicą, nie próbując ukryć złości. – Potrafisz teraz sypać intelektualnymi frazesami na równi z innymi. Naprawdę nauczyłeś się, jak być architektem. Szkoda, że ta mowa to twoja łabędzia pieśń w Nowym Jorku...

– Nie mogę teraz z tobą rozmawiać, Joe – powiedział Esko, którego gniew i niepokój zdążył już minąć. To, co Lazarus zrobił i co zamierzał zrobić, nie miało najmniejszego znaczenia. Mógł sobie teraz rościć prawa do konkursowego projektu, mógł w nieskończoność budować takie same wieżowce. Esko już dawno doszedł do wniosku, że tamten projekt był efektem wewnętrznego kompromisu, by zdobyć uznanie jurorów konkursu, i bez specjalnego żalu pożegnał się z myślą o jego realizacji. – Właśnie wychodzę.

Lazarus zachichotał złośliwie. Esko odwrócił się bez słowa, lecz powstrzymało go ramię Lazarusa, obudowane konstrukcją z drewna i metalu.

– Nie mylisz się, Vaananen – rzucił Lazarus. – Wychodzisz, to prawda.

Esko usiłowało strząsnąć z ramienia dłoń Niemca, lecz tamten mocno zacisnął palce na jego rękawie.

– Ty wychodzisz, a ja wchodzę – dodał Lazarus. – Wszystko to dzięki Andrew MacCormickowi. Ten to dopiero ma nosa do interesów! Bez wahania załatwił sprawę i odsunął cię od złoju...

– Śpieszy mi się – mruknął Esko, za wszelką cenę usiłując zachować spokój.

– To bez znaczenia – oświadczył Lazarus. – Nigdzie nie idziesz, Esko. Zostajesz na swoim miejscu, i to na zawsze.

Esko poczuł ostry odór alkoholu, buchający z ust Lazarusa. Niemiec był pijany, być może nawet niebezpieczny. Wyglądał na wściekłego, rozpalonego nienawiścią, a jednocześnie bardzo zadowolonego.

– Masz MacCormicka – ciągnął. – To znaczy wydaje ci się, że go masz. Natomiast ja mam swojego człowieka, który wykupuje działki nad East River.

– Andrew nigdy ich nie sprzeda.

– I tu bardzo się mylisz, wszystko jest już uzgodnione.

Esko wreszcie zrzucił rękę Lazarusa.

– Nie bądź śmieszny! – wybuchnął.

– Twój projekt jest bardzo ciekawy. – Lazarus zamrugał i pogładził się po brodzie. – Tak jest, bardzo ciekawy... Niewykluczone nawet, że kilka jego detali znajdzie się w moim własnym projekcie...

Esko nie chciał o tym myśleć, ale fakt pozostawał faktem – działki nad East River, scalone w jeden wielki teren, były teraz warte o wiele więcej niż pierwotnie. Gdyby MacCormick zdecydował się je sprzedać, oczywiście zakładając, że zgłosiłby się odpowiednio bogaty kupiec, zrobiłby trudny do oszacowania majątek.

– Andrew nigdy by się na coś takiego nie zgodził – powiedział Esko cicho, nie potrafiąc ukryć brzmiącego w jego głosie tonu wątpliwości.

– To wielka szkoda, ale tak właśnie jest – oświadczył Lazarus, przysuwając się tak blisko, że Esko poczuł odór jego spoczonego ciała oraz zapach alkoholu i czosnku, bijący z jego ust. – Lazarus wygrywa, ty przegrywasz.

7

Esko wybiegł z obrotowych drzwi hotelu Astor i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Usiadł na tylnym siedzeniu i przez chwilę bezmyślnie obserwował zmierzające w kierunku rzeźnicie

oświetlonego Times Square tłumy, zaraz jednak jego umysł wywołał z pamięci pełną złośliwej satysfakcji twarz ubranego w ten śmieszny kostium Lazarusza. Serce ścisnął mu dziwny niepokój, niepokój będący przeczuciem, czy może raczej zapowiedzią wielkiej klęski. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że Lazarus może mówić prawdę, lecz podświadomie wiedział, iż musi się z tym liczyć. Powtarzał sobie, że nie ma żadnego powodu, dla którego MacCormick mógłby chcieć go zniszczyć, ale nagle uświadomił sobie, że taki powód istnieje. Katerina... Tak, Katerina. MacCormick mógł odkryć prawdę.

Wysiadł z taksówki pod budynkiem Kirby'ego i wjechał windą na najwyższe piętro. Drzwi apartamentu stały otworem, światła paliły się jasno.

– Halo? Halo?

Cisza. Głos Esko brzmiał dziwnie głucho i pusto. Wszedł do środka i z trudem powstrzymał okrzyk przerażenia.

Mieszkanie zostało doszczętnie zniszczone, obrócone w pe-rzynę.

Ściany były podziurawione, połamane meble leżały na podłodze. Draperie, pozrywane ze ścian, zostały pocięte na kawałki w jakimś fanatycznym szale i niedbale rzucone na ziemię. Pod butami Esko cicho chrzęściło szkło, w powietrzu unosił się zapach tynku, a także inny, ostrzejszy odór, odór moczu. Kuchnia była chaosem rozbitych naczyń i porozrzucanych resztek jedzenia. W łazience ze wszystkich kranów ciekła woda. W sypialni rozbite dębowe łóżko wyglądało jak wrak wyrzuconego na mieliznę statku.

Czy Katerina była bezpieczna? Czy nic jej się nie stało?

Esko rzucił się pędem do windy, która zgrzytając i stękając, długo, mogłoby wydawać się, że bez końca, zwoziła go na dół. Na ulicy ruszył biegiem. Płaszcz powiewał za nim jak skrzydła. Czuł szybkie uderzenia serca, słyszał szmer własnych kroków na chodniku.

– Hej, dokąd ci się tak spieszy, kolego! Pozwól tu na chwilę!

Był to policjant, patrolujący drugą stronę ulicy. Esko przyspieszył kroku, bez trudu zostawiając daleko za sobą stróża prawa i jego gwizdek. Biegł teraz ze wszystkich sił, przemykając

między domami, zmierzając w kierunku brzegu rzeki Hudson i biura MacCormicka.

Budynek pojawił się przed nim nagle, wysoki i prosty na tle rozświetlonego księżycem nieba. Niebieskawy, pastelowy blask księżyca na moment ukoił zderający go niepokój, każąc mu zatrzymać się i zaczerpnąć tchu. Wciągnął powietrze do płuc i dopiero wtedy pchnął drzwi i wszedł w długi, wiodący do znajdującego się po przeciwnej stronie wyjścia korytarz. Znowu przyspieszył kroku, zaczął biec, mijając kinkiety z brązu i ściennie malowidła, przedstawiające początki Ameryki oraz jej sny o przyszłości. Zostawił za sobą wikingów w potężnych łodziach, Kolumba na środku oceanu, Lincolna pod Gettysburgiem... Starał się myśleć tylko o Kirbym. Zdobądź zlecenie, zdobądź zlecenie, dzwoniło mu w głowie. Nie tak to miało być...

Wjechał na górę ekspresową windą, której o tej porze nikt już nie obsługiwał.

MacCormick stał w czerwonym świetle swego wielkiego, teatralnego biura. Na blacie przed nim paliła się lampa z zielonym abazurem. Ubrany był w smoking i wyglądał tak, jakby za chwilę miał wyjść na przyjęcie. Słyszając kroki Esko, podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Dobry wieczór, Esko – odezwał się spokojnym, bynajmniej nie zaskoczonym głosem.

Dopiero wtedy Esko zobaczył Katerinę. Stała w odległym końcu sali, pod jednym z ogromnych okien. Miała na sobie czarną, naszywaną dżetami suknię, która jednocześnie skrywała i sugerowała kształty jej ciała. Z uszu zwisały błyszczące kolczyki z czarnego szkła, na nogach miała czarne satynowe czółenka, w rękę trzymała kieliszek do szampana. Przez głowę Esko przemknęła myśl, że w całej tej scenie jest coś zupełnie nienaturalnego i wstrząsającego. Mogłaby nosić tytuł: „Rozrywki bogaczy”. Katerina z pewnością nigdy nie zniżyłaby się do zrobienia takiego zdjęcia, a jednak była tu, razem z MacCormickiem. Podobne do pochodni lampy na ścianach roztaczały wokół dziwny, rubinowy blask. Giełdowy teleks milczał, jakby śmiertelnie zmęczyło go wyplucie wżgórka papieru, który leżał na podłodze przed nim.

– Mówiliśmy i myśleliśmy o tobie, Esko – oświadczył MacCormick. Wyjął papierosa z hebanowej szkatułki na biurku i błysnął zapalniczką. W powietrzu zapachniało tureckim tytoń. – Prawda, Kate?

Katerina odwróciła się szybko, pokazując im nagie plecy. Światło załśniło w diamentowej zapince naszyjnika z pereł, zdobiącego jej smukłą szyję. Przez chwilę Esko miał wrażenie, że powietrze naładowane jest elektrycznością.

– Szampana? – zapytał MacCormick. – Jak widzisz, mam tu kilka butelek, i to dobrze schłodzonych. – Wskazał wiaderko, starannie ustawione wewnątrz modelu projektu Esko, wyrzeźbionego przez najbardziej prestiżowego artystę w mieście. – Kate i ja nie żałowaliśmy sobie, przyznaję ze wstydem. Jest też tu gdzieś jeszcze trochę pieczonego kurczaka na zimno, ale trzeba go poszukać. – Potrząsnął głową, jakby przerażony trudnością tego zadania. – To pomieszczenie jest tak nieprawdopodobnie duże... Zwróciłeś na to uwagę? Esko, co się dzieje? Żle się czujesz? – W jego oczach załśniły iskierki złości. Położył dłoń na gorsie swojej nieskalanej białej jedwabnej koszuli. – Czy nie powinniśmy wezwać lekarza? Za nic nie chciałbym, żebyś się rozchorował...

– Widziałem się z Joe Lazarusem – powiedział Esko. – Poinformował mnie, że mój projekt jest nieaktualny, że sprzedajesz cały teren komuś innemu.

MacCormick podśpiewywał pod nosem jakiś motyw Gershwin. Teraz przerwał i uśmiechnął się z pijacką serdecznością, po czym podniósł z blatu biurka kość kurczaka, nie do końca ogryzioną z mięsa.

– Naprawdę? Dlaczego miałby powiedzieć coś tak okropnego? Tak przerażającego?

– Czy to prawda? – zapytał Esko.

Lecz MacCormick nie miał zamiaru odpowiadać.

– Ten kurczak naprawdę nie jest zły – oznajmił, rzucając kostkę na biurko. – Może trochę za mało słony, ale poza tym całkiem smaczny...

– Czy to prawda? – powtórzył Esko.

– Ach, co to jest prawda? – MacCormick popatrzył na niego

z chłopcym uśmiechem. – Prawdą jest to, że moje ręce są w tej chwili tłuste od kurczaka.

Powoli wyszedł zza biurka i stanął tak blisko Esko, że ten poczuł zapach szampana i kurczaka w jego oddechu. Potem MacCormick ujął dłońmi kłapy jego palta i dokładnie, skrupulatnie wytarł palce w materiał.

A więc wie o wszystkim, pomyślał Esko. Nie miał już co do tego najmniejszych wątpliwości. Postanowił zachować spokój, ponieważ wydawało mu się, że będzie to najlepszy sposób.

– Andrew, zadałem ci pytanie.

– Ale ja nie obiecałem, że udzielę ci na nie odpowiedzi, prawda? – Jego oczy zabłyśły gniewnie. Pogroził Esko palcem. – Może raczej powinniśmy porozmawiać o teatrze. Albo o sztuce. Właśnie, sztuka zawsze jest doskonałym tematem. Tak jest, sztuka. Niewykluczone nawet, że uda nam się namówić Kate, aby wzięła udział w naszej rozmowie. Kate, kochanie?

Katerina milczała, wpatrując się w ciemne niebo nad Nowym Jorkiem. Na tle czarnej szyby zajaśniał na parę sekund płomyk jej zapalniczki.

– Nie? Wielka szkoda. Ale cóż, Kate nie jest dziś zbyt rozmowna. Chciała rozmawiać tylko na jeden temat – o pewnym architekcie.

MacCormick, pogwizdując, wrócił za biurko i ciężko usiadł na krześle. Pociągnął za mosiężny łańcuszek i lampa zgasła.

– Skoro upierasz się, zebym zajął się tą starą sprawą, to niech i tak będzie – powiedział, zwracając ku Esko oświetloną czerwonym blaskiem twarz. – Rzecz przedstawia się następująco, Esko. Lazarus ma rację. Wypadasz z gry. Mam tu przed sobą kontrakty, które muszę tylko podpisać. Lazarus ma swój własny projekt i nową ekipę wykonawców. Ja zgarniam forszę, a ty zostajesz na lodzie. Koniec komedii.

Esko przygotowywał się na ten moment, lecz mimo wszystko poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu policzek. MacCormick ponownie włączył lampę, której złotawe światło wydobyło z mroku wieczne pióra, papierośnicę, onyksowy zegar w kształcie piramidy i starannie poukładane dokumenty. Esko otrząsnął się z oszołomienia.

– Robisz błąd.

MacCormick podniósł wzrok, odchylając się do tyłu i zakładając ręce za głowę.

– Doprawdy? Niby dlaczego? – zapytał takim tonem, jakby odpowiedź Esko naprawdę go interesowała.

MacCormick nigdy nie popełniał błędów, lecz Esko wiedział, że tym razem tak nie będzie. Mały świat, który Esko zamierzał wybudować, był nie tylko lepszy od wszystkiego, na co było stać Joe Lazarusa, ale także mógł przynieść znacznie większe zyski w przyszłości. Esko nie kłamał, mówiąc o tym MacCormickowi. Był pewien, że się nie myli. W tym wypadku czystość jego inspiracji połączona była z właściwą oceną rzeczywistości i wymagań Nowego Jorku.

– Lazarus to hochsztapler. Zarobisz dużo więcej, jeżeli wybierzesz mój projekt.

MacCormick odsunął krzesło i nagle zerwał się na nogi.

– Popatrz – powiedział energicznie. – Weź tę książkę.

Był to duży lecz cienki tom oprawiony w skórę, z wytłaczanymi złotymi literami, inkrustowany jadem. Okładka była tak miękka i delikatna, że Esko przestraszył się, czy nie rozsypie mu się pod palcami. W powietrzu rozniósł się słodkawy, lekko piżmowy zapach.

– To jedyna rzecz należąca do mojego ojca, której się nie pozbyłem. Z jedenastego wieku, japońska. Każde dotknięcie obniża jej wartość. Możesz się ze mnie śmiać, ale ta księga naprawdę powinna leżeć zamknięta w bankowym sejfie.

– Jest piękna – powiedział Esko. Jego dłonie pokryte były brązowym pyłem.

– Wiesz, co jest jeszcze piękniejsze? – MacCormick stanął przed modelem projektu i ostrożnie wyjął ze środka wiaderko z szampanem. Lód zagrzechotał cicho, gdy stawiał naczynie na podłodze. – To. Centrum MacCormicka. Twoje budynki, twój projekt. Jest to najbardziej niezwykła rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem, a widziałem sporo niezwykłych rzeczy. Twój projekt jest piękny, Esko. Ile chcesz za jego realizację?

Wyraz twarzy MacCormicka uległ zmianie. Malowało się na niej teraz skupienie i powaga. Milioner masował palcem dołek

pośrodku swojej brody. Esko pomyślał, że MacCormick zachowuje się tak, jakby stawka gry nagle poszła w górę.

– Dobrze wiesz, ile – odpowiedział cicho.

– Otóż nie! Nie wiem! Nie wiem, na ile cenisz swoje wielkie pragnienie! – MacCormick przechadzał się teraz po pokoju. Jego wiecznie młodzieńcza twarz wyglądała na zmęczoną, nie spodziewanie postarzała. – Czy te blizny, które masz na twarzy, powstały w wyniku poparzeń, Esko? A może są to zagojone rany po cięciach szablą? Uczestniczyłeś w pojedynku? Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, dlaczego przyjechałeś do Ameryki. Czy kryje się za tym jakaś romantyczna historia? Opowiesz mi ją teraz?

MacCormick podniósł stopę w starannie wypastowanym bucie i kopnął taboret, który przejechał kilka metrów po podłodze i zatrzymał się tuż przed Esko.

– Stań na tym – rzucił milioner. – Nie martw się, utrzyma twój ciężar.

Esko spojrział na Katerinę. Ogieniek jej papierosa nie odbijał się już w szybie, a dłońmi w czarnych rękawiczkach zasłaniała teraz uszy.

– Kate ci nie pomoże – rzekł MacCormick, kiwając palcem. – Włóż na stołek, Esko. A może twoje marzenie nie jest tyle warte?

Esko wpatrywał się chwilę w jego twarz, potem zaś, wzruszywszy ramionami, wszedł na taboret, który zachwiał się pod nim. Esko rozłożył ramiona, aby łatwiej zachować równowagę.

– No, świetnie – powiedział MacCormick ze złowrogim uśmiechem. – I kogóż my tu mamy? Czy to jest człowiek, który stworzy nowy Nowy Jork? Nasz wielki materialista abstrakcji? Ojciec idealnego miasta dwudziestego wieku? – Jego głos zabrzmiał ostro, rozkazująco. – A może to tylko nudny, głupi niedźwiedź, którego najlepiej byłoby odesłać do fińskich lasów? Czy uda nam się zrobić z niego istotę ludzką? Spróbujmy. Dalej, Esko, poczuć atmosferę tej chwili. Zaraz cię ulepszymy, mój drogi.

MacCormick opadł na czworaki. Kilka razy szarpnął mankiety spodni Esko, poprawił je, przesunął o kilka centymetrów jego stopy. Zachowywał się jak dobry krawiec podczas przymiarki i ten mały teatr wydawał się bardzo go bawić.

– Hmm... – mruknął z udawanym namysłem. – Może powinniśmy obciąć ci palce u stóp? Matka Natura podarowała je po to, aby łatwiej nam było wspinać się na drzewa, ale przecież my już tego nie robimy, w każdym razie nie w Nowym Jorku. Podniósł się i z ostentacyjną powagą zajrzał Esko w twarz. Wyciągnął rękę i niespodziewanie mocno pociągnął go za ucho.

– Uszy można by nieco poprawić, przylepić do czaszki. Włosy przydadzą się jedynie ze względu na kontrast i oczywiście dla dekoracji. Nos należałoby ściąć z obu stron, bo jest trochę za gruby...

Cofnął się, wyobrażając sobie efekt swoich działań, i szybkim, gwałtownym ruchem szarpnął opaskę na oku Esko.

– To powinno być wykonane z polerowanej stali, żeby błyszczało. Moglibyśmy stworzyć istotę doskonałą, prawda, Kate? Kate? – MacCormick podniósł głos, odwrócił się w stronę żony i wzruszył ramionami. – Kate nie słucha. Trudno, będziemy musieli poradzić sobie sami, tylko ty i ja, Esko. Będziemy nadal gonić za naszą ukochaną ideą, będziemy poprawiać błędy natury i pracować nad stworzeniem idealnej istoty ludzkiej, tej niezbadanej, nieodgadnionej maszyny... Baron Frankenstein też miał taki pomysł, pamiętasz? I oto stoi przed nami straszne, przerażające stworzenie, Esko Vaananen...

MacCormick zadrżał, wstrząsany dreszczem udawanego lęku.

– Jeśli chodzi o stronę duchową, to zupełnie inna sprawa – ciągnął. – Wszyscy mamy wady, których nie da się poprawić. I w głębi serca być może wszyscy jesteśmy nieszczęśliwymi idiotami. Tylko pieniądze mogą nam pomóc. I miłość, tak mi się w każdym razie wydaje. Złudzenie miłości...

Wszyscy dziś udają, pomyślał Esko, wszyscy grają jakąś rolę, pokazują karty, ukrywają karty, rzucają je na stół... Mięśnie nóg miał boleśnie napięte od stania na taborecie, wciąż w tej samej pozycji. Powieka szczypała go w miejscu, gdzie MacCormick zadrapał ją, zrywając opaskę. Gorące ucho pulsowało, zupełnie jakby ciekła z niego krew. Mimo to był spokojny i wierzył, że w tej grze to on posiada silniejszą kartę, kartę, dzięki której zwycięży.

– Pieniądze pomagają, prawda, Andrew? – odezwał się. –

Pieniądze przewyciężają wszystkie trudności. Wybór mojego projektu oznacza więcej pracy, większe ryzyko, większą sławę i dużo, dużo więcej pieniędzy. Uważasz, że pieniądze zainwestowane w inny projekt szybciej ci się zwrócą, tak? Ale czy jest w tym coś ekscytującego? Dla ciebie to nic nowego, natomiast to... – Ruchem głowy wskazał plastelinowy model. – To jest coś, co wybrałby książę z rodu Medyceuszów. To coś wyjątkowego, niepowtarzalnego, i ty dobrze o tym wiesz.

MacCormick parsknął cicho. Okrążył biurko, popijając szampana, i postawił pusty kieliszek w kręgu światła lampy.

– Może i wiem – powiedział, mrużąc jasne oczy. – Może i wiem... Książę z rodu Medyceuszów... Hmmm... – Wsunął rękę do kieszeni. – Nadal trzymasz tę książkę?

– Widzisz, że tak.

– Na pewno? Trzymaj ją mocno, bo jest bardzo cenna.

– Już mówiłeś. Nie obawiaj się, nie upuszczę jej.

– Doskonale – rzekł MacCormick, rozprostowując ramiona i wykonując nimi koliste ruchy, jak bokser przed walką. – Chciałbym powiedzieć ci coś więcej o tej książce. – Nagłym, gwałtownym ruchem poderwał do góry ciężką mosiężną lampę. Żarówka pękła z trzaskiem, rozsiewając dookoła drobiny szkła, bibularz do osuszania atramentu spadł razem z kuflem do piwa z napisem „Harvard”, ołówki rozsypały się po podłodze, zegar w kształcie piramidy runął na ziemię i potoczył się w kierunku taboretu, na którym stał Esko. – Kazałem ją przetłumaczyć. Napisała ją kobieta, która spędziła sporą część życia na dworze cesarza Japonii. Tekst okazał się naprawdę fascynujący. Jest to obraz egzystencji ludzi sprzed kilkuset lat. Oczywiście znalazłem tam mnóstwo odniesień do spraw bardzo osobistych, między innymi listę rzeczy, które lubiła i rzeczy, których nienawidziła. Rzeczy ponurych i wesołych. Rzeczy, które ją podniecały. – MacCormick ilustrował każde z ostatnich zdań odpowiednim wyrazem twarzy. Jego spojrzenie spoczęło na chwilę na lampie, którą trzymał w ręku, jakby zastanawiał się, skąd się tam wzięła. Wykonał nią niewielki zamach, jak gdyby próbował, ile waży. – Interesujące jest także to, że wszyscy oni stale się pieprzyli. Znali pojęcie grzechu, ale nie obejmowało ono seksu. Pomyśl

tylko o tym, Esko. Błagam cię, pomyśl o tym. Wyobrażasz sobie tych żyjących w XI wieku Japończyków, którzy pieprzą się jak króliki na wiosnę? Cudowne, co?

MacCormick zamilkł i spokojnie spojrział w oczy Esko.

– Czujesz się winny, Esko? Masz wyrzuty sumienia, że spałeś z Kate? Że pieprzyłeś się z moją żoną?

Esko nie odpowiadał. Stojąca przy oknie Katerina odwróciła się twarzą do nich obu. Wydawała się zupełnie obojętna. Jej wargi były lekko rozchylone, oczy błyszczały w czerwonym świetle, które migotało w jej kolczykach.

– Tak, Andrew – rzekł Esko.

– Co: tak, Andrew?

– Mam wyrzuty sumienia, że spałem z Kateriną.

– Och, Esko, ty głupcze! – wybuchnęła Katerina i w tej samej chwili zasłoniła usta ręką.

– Mam wyrzuty sumienia, ale nie wstydzę się. Czuję się winny, ponieważ jesteś moim przyjacielem. Nie wstydzę się, bo ją kocham. Zawsze ją kochałem.

W głębi duszy MacCormick zdawał sobie z tego sprawę już wcześniej, od dość dawna, lecz nigdy dotąd nie odebrał tej informacji całym ciałem, wszystkimi zmysłami. Nigdy dotąd jego nerwy nie zostały zaatakowane absolutną pewnością. Na twarz Andrew powoli wypełził krwawy rumieniec. Zaczął coś mówić i zaraz przerwał, jakby gardło nagle odmówiło mu posłuszeństwa. Zrobił krok do przodu i zatrzymał się. I nagle szybko podszedł do modelu, i uderzył go ciężką podstawką mosiężnej lampy, wymierzył jeden cios, podniósł lampę wyżej i zaczął siec model jednym uderzeniem po drugim, dysząc ciężko i z trudem łapiąc powietrze. Przestał dopiero wtedy, gdy zorientował się, że kawałki i drzazgi obsypują Katerinę, która stała obok i przez cały ten czas nawet nie drgnęła. Z modelu pozostały tylko potrzaskane podstawy budynków, sterczące z teksturowej płaszczyzny, jak połamane zęby.

– No, już po wszystkim – powiedział, wypuszczając lampę z palców. – Koniec.

Odgarnął z czoła włosy, znacząc skórę krwawą, rozmazaną plamą ze skaleczonej krawędzią lampy dłoni. Esko miał wrażenie,

że cała sala wibruje wściekłością i nienawiścią MacCormicka, ale stał bez ruchu.

MacCormick na chwilę zasłonił oczy dłońmi. Z dala, z ciemności, dobiegło ich jękliwe wycie przepływającego rzeką statku. Katerina usiłowała zapalić papierosa.

– Nic ci nie jest, Katerino? – zapytał Esko.

– Proszę bardzo. – MacCormick podsunął żonie zapalniczkę, nie dając jej szansy na udzielenie odpowiedzi. Kiedy zapaliła, szybko schował zapalniczkę, schylił się, podniósł z podłogi fragment modelu centralnego drapacza chmur i rzucił go pod ścianę. – Znudziło mnie to. Ty także mnie znudziłeś, Esko. Ty i twoja szpetna gęba. – Usiadł za biurkiem, odkręcił jedno z wiecznych piór i lekko zmrużył oczy. Potem jego ręka zaczęła sunąć po przygotowanych umowach z cichym, prawie nieśmiałym szelestem. – Powiedz mi coś – odezwał się nagle i zmierzył Esko pełnym namysłu spojrzeniem, jakby właśnie przyszło mu coś do głowy. – A gdyby tak okazało się, że nawet teraz, po tym wszystkim, masz jeszcze jakąś szansę? Co byś zrobił, gdybym obiecał ci, że podreę te kontrakty, jeżeli przysięgniesz, że nigdy nie kochałeś Kate? Nigdy, nawet przez moment? I chodziło ci tylko o to, aby doprowadzić do wybudowania twojego wymarzonego drapacza chmur? Co byś zrobił, Esko? No? Wyparłbyś się Kate? No, mówże!

– Nie – odparł Esko bez wahania.

Mógł zaprojektować następny drapacz chmur, tuzin nowych drapaczy chmur, ale nigdzie i nigdy nie udałoby mu się znaleźć drugiej Kateriny.

– Katerina ma rację, ty rzeczywiście jesteś głupcem – powiedział MacCormick z gorzkim spokojem, jakby jego gniew nagle się wyczerpał. – Nie będzie więcej wielkich projektów, Esko. Zostałeś oszukany. Od samego początku grałem z tobą w tę grę. Od chwili, kiedy przyszedłeś do mnie po pogrzebie Kirby'ego, wiedziałem, że właśnie tak z tobą postąpię. A wiesz, co w tym wszystkim jest najlepsze? Otóż Kate od początku dzieliła ze mną ten maleńki sekretik, prawda, kochanie?

Esko poczuł, że nagle ogarnia go fala mdłości. Miał wrażenie, że stracił kontakt z rzeczywistością, że tonie.

– Katerina... – wykrztusił zachrypniętym, pękniętym głosem. – Nie, błagam...

Zsunął się ze stołka i upadł na podłogę, podciągnął się na czworaki. Został oszukany, nabrany.

– Esko! – wyrzuciła z siebie Katerina i umilkła.

Uderzył się w twarz, najpierw w pokryty bliznami policzek, potem w drugi. Bił celowo, z rozmysłem, mocno i ciężko, aż zadzwoniło mu w głowie. Na podłodze obok siebie dostrzegł kawałek rozbitego przez MacCormicka modelu, wieżycę drapacza chmur, który tak pragnął wybudować, chwycił go i uderzył się nim w czoło, z całej siły wbijając w skórę gipsowe drzazgi. Krew popłynęła między oczami. Dopiero teraz dotarł do niego cały wymiar zdrady, której padł ofiarą. Katerina przez cały czas uczestniczyła w spisku. Był złamany, zdruzgotany.

Dobiegł go głos MacCormicka, którego kłamstwa brzmiały tak prawdziwie i szczerze.

– Nieźle – mówił MacCormick. – Och, po prostu doskonale. Oto występ zranionego fińskiego niedźwiedzia, pod tytułem: „Zejście do otchłani litości nad sobą”.

I MacCormick zaczął głośno klaskać. Klaskał w dłonie, które najlepiej znały dotyk pieniędzy.

– To ciekawsze od wszystkiego, co można zobaczyć w Metropolitan!

Coś sprawiło, że Esko się uśmiechnął. Ten, kto jest ślepy na jedno oko, widzi drugim. Ten, kto utyka, jednak posuwa się naprzód. W ustach miał smak krwi i nagle ujrzał siebie w Finlandii, w swojej wiosce. Biegł w kierunku płonącego domu. Z hukiem pękła kolejna szyba, z wielkim hukiem pękła jakaś belka. Dym wbijał się ciemnymi szponami w oczy, które szczypały i piekły. Całe jego ciało płonęło. Dywan uniósł się i zaszleścił pod stopami, zalewając go falą gorąca. Usłyszał krzyk matki i w jego wnętrzu również wezbrał wielki ryk wściekłości. Rzucił się naprzód, na biurko, rozrzucając dookoła pióra i kontrakty, usiłując dosięgnąć MacCormicka wyjętym z pochwy *puukko*. Gorąca krew trysnęła z policzka MacCormicka, a Esko zadał następny cios, mierząc w osłonięte jedwabną marynarką

ramiona, które milioner wyrzucił w górę, próbując się bronić. W pokoju rozszalała się przemoc, chaos. Katerina krzyczała głośno, błagając, aby przestali.

MacCormick cofnął się i upadł na kolana przed biurkiem, jakby chciał się pomodlić. Jego twarz spłynęła krwią, wielkie krople kapały na podłogę. Esko skoczył ku niemu z nożem w rękę. Pamięć podsunęła mu obrazy z Tampere, gdzie widział, jak Holm, zabójca Holm, podrzynał gardła swoich ofiar. Oczy MacCormicka pełne były przerażenia. Był zbyt wstrząśnięty, aby prosić o litość, nie wiedział, co się z nim dzieje, co może się za chwilę stać.

– Nie! – odezwała się Katerina. – Proszę, nie...

Esko się zawahał, spojrzał na nią. Światło wydobywało z czerwonego półmroku trapezowe wzory z dżetów na jej sukni.

– Chodźmy stąd – powiedziała. – Chodźmy stąd, Esko. We dwoje, ty i ja, razem.

Postąpił w jej stronę, lecz poślizgnął się na zmoczonej krwią marmurowej posadzce. Upadł powoli, jak na filmie w zwolnionym tempie, na plecy, szerokim łukiem rozcinając powietrze nad sobą. Jego pośladki uderzyły o podłogę ułamek sekundy przed tyłem głowy. Na chwilę stracił przytomność, a kiedy się ocknął, gwiazdy wirowały mu przed oczyma. Szkarłatna mozaika wpatrywała się w niego, migocząc jak skąpane we krwi niebo. Światła w kinkietowych pochodniach mrugały niepewnie. W tyle głowy pulsował natarczywy ból.

– Do końca życia będę miał bliznę, ty skurwysynu – usłyszał głos MacCormicka.

Milioner stał za biurkiem, wycierając twarz chusteczką, która powoli robiła się coraz bardziej czerwona. Z szuflady wyciągnął sześciostrzałowy rewolwer z kolbą pokrytą macicą perłową.

– Wygrałem go w pokera od jakiegoś durnego przemytnika alkoholu – powiedział. Chwiejąc się na nogach, chwycił do połowy opróżnioną butelkę szampana, pociągnął duży łyk i rzucił ją na podłogę. – Zaraz umrzesz, Esko. Mam zamiar zastrzelić cię z tego rewolweru. W samoobronie, oczywiście. Podobno najlepsze historie to te, które trzymają się jak najbliżej rzeczywistości, prawda? Naturalnie Kate potwierdzi moją wersję wy-

darzeń, bo Kate jest grzeczną dziewczynką, która wie, z której strony chleb jest posmarowany.

W kącikach ust MacCormicka zebrały się bąbelki śliny. Otarł je jedną ręką, nie przestając mierzyć w Esko z trzymanego w drugiej rewolweru. Esko znowu wrócił pamięcią do Tampere. Był z Klausem na tamie, parę chwil zanim zaczęli do nich strzelać. Rozejrzał się, szukając wzrokiem noża, ale nie było go nigdzie w pobliżu. Poderwał nogi, próbując uderzyć nimi MacCormicka i wytrącić mu broń.

Kiedy później usiłował przypomnieć sobie tamte chwile, nigdy nie pamiętał huku, tylko oślepiający błysk, zupełnie jakby wszystko przeistoczyło się we wrażenia wzrokowe, czyste i gwałtowne. Dookoła głowy wirowały iskry, plamy światła i wijące się ogniste węże. On i MacCormick przewrócili się na podłogę, bili się, tłukli zaciśniętymi pięściami. I nagle Esko uświadomił sobie, że jego ramiona są puste. MacCormick wyślizgnął się z jego niedźwiedziego uścisku.

– Zastrzel go, Kate! – wychrypiał MacCormick. – Strzelaj, na miłość boską, skończmy z tym. Zastrzel go jak psa!

Esko dźwignął się na nogi i powoli wyprostował. W głowie mu szumiało, ręce i pierś usiane były plamami krwi MacCormicka. Poruszył językiem i zorientował się, że stracił ząb. Dziąsła krwawiły. Czarno-złocisty wzór na posadzce przestał wirować przed oczami, znieruchomiał.

Zobaczył, że rewolwer, ten z kolbą wysadzaną brylancikami, znajduje się w lewej dłoni Kateriny, wymierzony w jego serce.

– Strzelaj! Jezu, zastrzel go wreszcie!

Przejeźdź go... Katerina wpatrywała się w Esko pozbawionym wyrazu wzrokiem. Może to naprawdę koniec, pomyślał. Może właśnie tak się to skończy.

Obserwował każdy jej ruch, kiedy szła ku niemu. Widział lśnienie jej sukni, sprężysty, lekki krok, białe okruchy gipsu, osypujące się z jej włosów. I widział też dziewczynkę, zbliżającą się do niego z lusterkiem w rękę. Uśmiechnął się.

– Strzelaj! Na miłość boską, Kate...

Podniosła rewolwer i przytknęła lufę do swojej głowy. Esko otworzył usta, przerażony, że Kate się zastrzeli, lecz podrapała

się tylko po skroni chłodnym metalem, może próbując pozbyć się czegoś, co przyczepiło się do skóry, a może usiłowała pozbierać myśli.

– Nie mogę.

– Daj mi broń. – MacCormick starał się mówić zupełnie spokojnie. Na sekundę zamknął jasne oczy, ocierając strumyczek krwi, który spłynął z policzka na i tak już przemoczony kołnierzyk koszuli. – Uważaj, Kate. Nie chcę, żebyś się zraniła. Oddaj mi rewolwer. Sam to skończę.

Pierwsza kula uderzyła MacCormicka w ramię, jak topór odcinając kawałek marynarki.

– Co... – wykrztusił. – Dlaczego? – Jego oszalałe z przerażenia oczy wpatrywały się w rozdarty materiał. Szedł ku Katerinie z wyciągniętą ręką. – Co, do diabła...

Strzeliła dwa razy, prosto w jego pierś. Zachwiał się i osunął na ziemię, chwytając się krawędzi biurka. Wtedy Katerina strzeliła mu w brzuch. MacCormick podniósł jeszcze głowę i próbował usiąść, ale nie starczyło mu siły. Opadł na posadzkę. Dyszał ciężko, krew lała się z jego ran, do których z sykiem usiłowało dostać się powietrze.

– Jezu, Kate... – powiedział i znowu próbował się podnieść.

Jego ręka słabo szarpała zakrwawiony przód koszuli. Westchnął ciężko, krew pociekła mu z nosa, a obcasy jego błyszczących butów drapały podłogę, jakby nadal usiłował wstać.

W czasie wojny Esko nieraz widział konających i pamiętał, że tuż przed śmiercią w ich oczach zwykle pojawiał się wyraz spokoju, nie mający nic wspólnego z bólem, który odczuwało ciało. Może przyczyną tego było szczęśliwe znieczulenie, a może potok wspomnień. Teraz ujrzał ten wyraz w oczach MacCormicka.

– Kate... – powiedział MacCormick.

Imię żony opuściło jego wargi wraz z ostatnim tchem. Nogi przestały drgać, w oczach zgasło światło.

Katerina nadal trzymała rewolwer w wyciągniętej ręce.

– Boli, prawda? – odezwała się, a w jej głosie nie było ani strachu, ani zdumienia, ani podniecenia.

Jej wielkie oczy pełne były łez.

– Katerina... – wyjąkał Esko, czołgając się ku niej.

Potrzebował teraz kontaktu z człowiekiem, i sądził, że ona także ma podobne odczucia.

– Nie – powiedziała i odwróciła się szybko, znowu mierząc do niego z rewolweru. – Nie zbliżaj się do mnie!

Podniósł do góry obie dłonie. Z zewnątrz nie dobiegał nawet cień dźwięku. Nie było słychać ani żadnej syreny okrętowej, ani nawet dzwonka telefonu. Było tak, jakby poza nimi na świecie nie było żywego ducha.

Katerina opuściła rękę, w której ścisnęła rewolwer, i rzuciła go na podłogę. Esko podniósł go szybko i wsunął do kieszeni płaszcza. Odwróciła ku niemu głowę.

– Mówiłeś coś?

– Nie – odparł miękko.

– Wydawało mi się, że coś powiedziałeś.

– To był wiatr.

Podniosła rękę do czoła i zadrżała, patrząc w twarz MacCormicka. Esko podszedł i nachyliwszy się nad ciałem, delikatnym ruchem palca wskazującego i kciuka zamknął mu powieki.

– To... To prawdziwe widowisko, prawda? – odezwała się Katerina niepewnym, drżącym głosem. Można było odnieść wrażenie, że mówi o jakimś odległym wydarzeniu, trzęsieniu ziemi, wybuchu wulkanu lub katastrofie statku, które miało miejsce po drugiej stronie kuli ziemskiej, wydarzeniu, o którym właśnie się od kogoś dowiedziała. – Gdybym miała swój aparat... – szepnęła i zaraz przerwała. – Czy nie powinniśmy wezwać policji?

I co wtedy, pomyślał Esko. Czy naprawdę nie pozostało im nic innego, jak tylko opowiedzieć policjantom całą tę brudną, skomplikowaną historię, poddać się działaniu maszyny, która przerobi ich na sensację z pierwszych stron gazet, zgodzić się na przyszłość, w której czeka więzienie i krzesło elektryczne? Na zewnątrz nadal panowała kompletna cisza. Światła łodzi i statków mrugały zachęcająco z zimowego portu.

Esko zdał sobie sprawę, że jego dłonie są mokre od krwi, natomiast Kateriny zupełnie czyste.

– Kto wiedział, że mieliście być tutaj dziś wieczorem?

– Nie mam pojęcia – odparła zmęczonym głosem. – Chyba nikt. Wróciłam dopiero dziś po południu.

Milion pytań domagało się odpowiedzi. Od jak dawna MacCormick wiedział o wszystkim? W jaki sposób poznał prawdę? Kiedy i dlaczego zniszczył apartament? Jaką rolę odegrał w tym Joe Lazarus? Jaką Katerina? Czy MacCormick rzeczywiście oszukiwał go od chwili, kiedy znowu spotkali się po pogrzebie Kirby’ego? Czy Katerina naprawdę miała udział w tym spisku, w tej zdradzie?

Ale to wszystko nie miało teraz najmniejszego znaczenia. W głowie Esko wirowały najróżniejsze myśli, zdawał sobie jednak sprawę, że jeżeli chce ratować ich dwoje, musi zacząć działać, i to natychmiast. W tej chwili nie zamierzał przywdziewać włosiennicy, żeby odpokutować swoje winy wobec MacCormicka.

– Musisz stąd wyjść, Katerino. Zaraz. Musisz zniknąć. Wyjedziesz z Nowego Jorku. Nie było cię tutaj i nic się tutaj nie wydarzyło.

– Nie jestem pewna, czy cię rozumiem.

– Po prostu rób, co mówię. Proszę...

– Esko... – Katerina zmierzyła go uważnym spojrzeniem. – Nie wyobrażasz sobie chyba, że uda ci się z tego wymigać?

– Idź już – rzekł.

Jej błyszczące futro leżało na sofie pod jednym z wysokich okien. Esko sięgał po nie, kiedy przypomniał sobie, w jakim stanie są jego ręce. Poprosił, żeby chwilę zaczekała.

Łazienka, wykładana czarnymi, złocistymi i łososiowymi kafelkami, z miękkim oświetleniem zainstalowanym tuż pod sufitem, z kabiną prysznicową i wanną za drzwiami z mrożonego szkła i stali, wydała mu się portem, który daje schronienie po wielkiej burzy. Zamknął oko i spróbował wyrzucić z umysłu wszystko, co się wydarzyło. Zdjął palto i wytarł w nie ręce. Łokciem odkręcił kran, opłukał ręce zimną wodą, podwinął rękawy i dokładnie namydlił dłonie i przedramiona. Ten rytuał go uspokoił. Przemył twarz ciepłą wodą. Widząc swoje odbicie w lustrze, ze zdziwieniem spostrzegł, że na jego twarzy maluje się wyraz spokojnej determinacji. Ten Esko Vaananen wyglądał

na człowieka, który nadal jest w stanie zbudować drapacz chmur. Wyglądał na architekta, twórcę czegoś konkretnego, czegoś istotnego. Esko jeszcze nie wiedział, co zamierza zrobić. Wiedział tylko, że odbył za daleką drogę, zbyt bardzo oddalił się od swojej skutej lodem wioski, aby jego życie miało skończyć się w taki sposób.

Podał Katerinie futro, przygładził je na ramionach.

– Przejdź kilka przecznic, zanim zechcesz złapać taksówkę. Najlepiej pojedź metrem na Times Square i dopiero stamtąd jedź dalej. Słuchasz mnie, Katerino? To ważne...

– Słucham – odparła niepewnie.

Kiedy otuliła się futrem, wstrząsnął nią dreszcz.

– Zostaw wszystko mnie – powiedział.

Musiał się jej pozbyć. Dopiero wtedy będzie mógł zastanowić się, co robić.

– Czy my spiskujemy? – Jej niski głos był pełen bólu, załamany się. – Och, Esko, co ja ci zrobiłam...

– Uratowałaś mi życie, pamiętasz? Zamierzał mnie zabić, nie zapominaj o tym.

Zmarszczyła brwi, jakby miała poważne wątpliwości, czy rzeczywiście tak było, albo jakby nie przyjmowała ciężaru jego wdzięczności.

– Nie wiedziałam o tym, Esko. Nie miałam pojęcia, co on planował. – Spojrzała na swoje dłonie. – Nigdy nie rozmawiał ze mną o interesach, to była część naszej umowy...

– To bez znaczenia. Teraz liczy się tylko to, co zrobimy, jak z tego wybrniemy. Chodź, zjadę z tobą na dół.

W windzie stali w milczeniu, trzymając się za ręce i patrząc, jak strzałka nad drzwiami odmierza tempo ich podróży na parter budynku. Dopiero kiedy dotarli do końca korytarza, Katerina odwróciła się do niego i delikatnie położyła rękę na jego piersi.

– Co teraz będzie? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem.

– Spotkamy się?

– Lepiej nie.

Bez słowa podniosła kołnierz i wtuliła policzki w miękkie futro. Esko poprowadził ją do drugiego wyjścia. Otworzył drzwi

i wyjrzał na zewnątrz. Wąska uliczka była pusta, noc pogodna i zimna. Księżyc kładł swój blask na kamiennych płytach chodnika, a gdy Esko podniósł wzrok, ujrzał na niebie jasną kulę, podobną do wyrabanej w lodzie przerebli.

– Do widzenia – powiedział.

Iskry przeleciały pod jego palcami, kiedy lekko musnął jej ramię. Odwróciła się i ruszyła przed siebie, a on patrzył, jak znika w oddali.

8

Esko poczuł, że ktoś wsuwa mu rękę do kieszeni. Odwrócił się gwałtownie, zaskakując kieszonkowca, mężczyznę o gumowej twarzy, który mrugnął do niego, uśmiechnął się i, nie przeprosiwszy, z beczelnym wyrazem twarzy poszedł dalej. Jakiś inny człowiek rzucił się w stronę Esko, bekając i podsuwając mu wyciągniętą z kieszeni butelkę.

– Chodź, chłopie, zabaw się z nami!

Wszędzie dookoła niego mężczyźni w cylindrach i kobiety w futrach wsiadali do taksówek, czekali na taksówki, plątali się w tłumie i usiłowali się z niego wyrwać. Głośnik umieszczony na dachu jednego z samochodów zanosił się gorączkowym, wściekłym charlestonem, a wirujący neon rzucał białe kształty księżyców i planet na roześmiane twarze i cygara.

– Szczęśliwego Nowego Roku!

Za każdym razem, gdy udało mu się przedrzeć się kilka kroków w kierunku Times Square, tłum podnosił go i dobrotliwie odrzucał znowu do tyłu. Ludzie poklepywali go po ramionach, popychali to w tę, to w tamtą stronę, wykrzykiwali mu prosto w twarz cuchnące alkoholem życzenia i nalegali, aby przyłączył się do nich.

– Szczęśliwego Nowego Roku!

Esko zupełnie zapomniał, że jest Sylwester i do końca tej długiej nocy pozostało jeszcze dużo czasu. Otaczający go tłum zanosił się śmiechem, rozbrzmiewał wesołymi okrzykami.

– Proszę zabrać te ręce, proszę pana! Powinien pan się wstydzić!

– Wypiłem półtorej butelki i nie odpowiadam za swoje czyny!

– Szczęśliwego Nowego Roku! Szczęśliwego Nowego Roku!

Gdy w końcu udało mu się dotrzeć do jaskrawo oświetlonego wejścia do Sky Club, odkrył, że tu tłum był jeszcze bardziej zagęszczony. Zupełnie jakby połowa Manhattanu postanowiła się tutaj wędzić, choćby na siłę, podobnie jak Esko.

– Hej, ludzie, wpuście mnie!

– Chcę drinka! Tylko jednego małego drinka!

– Ach, woda! Cudowna woda!

– Wpuście nas do środka! Chcemy się bawić! Żądamy dobrej zabawy!

– Do diabła z tym wszystkim, jedźmy do Harlemu!

Mimo zimna gęste włosy Esko były mokre od potu. Tłum ogarnął go swoim dusznym ciepłem i chaosem. Zamknął oko i zmusił się do jeszcze jednego wysiłku. Z pochyloną głową zaczął przedzierać się do przodu, manewrując ramionami i całym ciałem, aż w końcu ujrzał przed sobą szerokie czarne drzwi i przysadzistą postać na ich tle. Był to Gardella. Stał z założonymi rękami, w kapeluszu, którego rondo przecinało zarys jego głowy dokładnie w połowie. Na jego widok Esko po raz pierwszy tego wieczoru poczuł, że być może szczęście jednak go nie opuściło.

– Gardella! To ja, Esko Vaananen!

I to wystarczyło. Tłum rozstał się jak pod wpływem biblijnego cudu i Esko został wpuszczony do środka przy wtórze pełnych zazdrości okrzyków i pomruków.

– Hej, co to za jeden?

– Co to za machlojki, do diabła?!

Esko zszedł po schodach wprost w szaleństwo jazzu. Na parkiecie niezliczone ciała wiły się i podrygiwały w kaskadach i wąskich pasmach odbijającego się w lustrach światła. Powietrze przesiąknięte było dymem i zapachem piżma, ósmioosobowa orkiestra grała ze wszystkich sił. Nad głowami tańczących unosił się balon, umykając przed dziesiątkami wyciągniętych rąk.

Mantilini był sam, w jednej z półokrągłych kabin na balkonie. Jego dłonie spoczywały na białym obrusie, obok papierośnicy, platynowej zapalniczki, złotego ołówka i wąskiego czarnego notesu. Spokojnie lecz czujnie obserwował bar z lustrem w kształcie drapacza chmur, gdzie liczna grupa eleganckich kobiet

i mężczyźni obstała sławnego boksera oraz gwiazdora filmowego. Nie wyglądał na człowieka, który spodziewa się kłopotów, raczej na takiego, który poradzi sobie ze wszelkimi możliwymi problemami i nie ma wątpliwości, że mu się to uda. Na widok Esko wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Spojrzał na papierosnicę i kilka razy obrócił ją w palcach, lekko unosząc brwi.

– Muszę z tobą pomówić – rzekł Esko.

– Mów. – Mantilini krótkim gestem wskazał miejsce naprzeciwko siebie.

– Na osobności – dodał Esko, nie siadając.

Mantilini postukał palcem w biały obrus i ze skupieniem obejrzał swoje paznokcie.

– Dlaczego nie jesteś na Park Avenue, razem ze swoimi przyjaciółmi? – zapytał cicho, po raz pierwszy spoglądając na Esko. – Albo gdzieś indziej, w każdym razie tam, gdzie znajdują się ich rezydencje. Nie zaprosili cię na sylwestrowe przyjęcie? A może po prostu nie urządzili żadnego przyjęcia?

– Powiedziałeś kiedyś, że gdybym potrzebował pomocy, mam przyjść do ciebie.

– Wrażliwy jesteś. – Mantilini zmierzył Esko baczny spojrzeniem. – Długa noc, co?

W jego głosie brzmiała teraz spokojna dobroć i Esko skinął głową, obawiając się, że jeśli się odezwie, załamie się.

– Cóż, mój przyjacielu, swoje kłopoty masz już za sobą. – Ponownie wskazał drugie krzesło. – Siadaj. Ruthie zaraz będzie śpiewać.

Esko usiadł. Na stole przed nim natychmiast pojawiła się szklaneczka z whiskey, a on wychylił ją do dna, czując, jak alkohol rozgrzewa mu żołądek.

– Widzę, że było ci to potrzebne – zauważył Mantilini.

– Trochę.

– Napij się jeszcze.

– Nie. Lepiej, żebym był trzeźwy.

Mantilini skinął głową.

– Jest już Ruthie – powiedział. – Pięknie dziś wygląda.

W jego głosie brzmiała duma i ciepło. Nachylił się nad stołem, przenosząc ciężar ciała do przodu, aby nie uronić ani słowa

z piosenki, która właśnie miała zabrzmieć. W klubie zapadła cisza i słodki, gorący głos Ruthie wypełnił przestrzeń. Stała w blasku reflektorów, smukła i giętka, lśniąca w złotej sukni. Śpiewała o człowieku, którego obdarzyła miłością.

Mantilini milczał do chwili, gdy piosenka dobiegła końca i oklaski wreszcie umilkły.

– Masz kłopoty? – odezwał się wreszcie.

Esko kiwnął głową.

– Duże?

– Bardzo duże.

Mantilini przyjął to zupełnie obojętnie, skoncentrowany na obracaniu zapalniczki. Nagle rzucił ją wysoko w górę i złapał szybkim, prawie niezauważalnym ruchem dłoni.

– Chodź ze mną.

W małym biurze na tyłach klubu Mantilini zapalił papierosa.

– Usiądziesz, Esko?

– Wolę stać.

– Jak chcesz. – Obszedł metalowe biurko i rzucił się na stojące za nim krzesło. – Strzelaj.

Esko wyciągnął rewolwer z kieszeni.

– Zaraz, zaraz, nie chodziło mi o to... – Mantilini błysnął uśmiechem, który dziwnie przypominał grymas paszczy rekina.

Wysadzany brylancikami rewolwer upadł na blat biurka. Mantilini przyglądał mu się przez chwilę, pozwalając swemu bystremu umysłowi na rozpoczęcie kalkulacji.

– To twoja broń?

– Nie.

– Ładna zabaweczka. – Mantilini wydał wargi i rytmicznie kołysał się na krześle.

– Zabiłem człowieka.

Mantilini skinął głową. Gdyby Esko powiedział mu, że zaciął się przy goleniu, byłby z pewnością poruszony dokładnie w tym samym stopniu.

– Znam ofiarę?

– Spotkałeś go kiedyś, na pogrzebie Kirby'ego. Nazywał się Andrew MacCormick.

– Ten bogaty?

– Finansista. Miał zainwestować w projekt, nad którym pracowałem od wielu lat. Zacząłem o nim myśleć jeszcze zanim zrobiłem z Kirbym kluby dla ciebie. Ten projekt... Ze względu na ten projekt przyjechałem do Nowego Jorku. Żeby wybudować drapacz chmur. Dziś wieczorem okazało się, że mnie oszukał.

Krzesło Mantiliniego skrzypnęło cicho.

– Dlatego go zabiłeś?

– Zaczęliśmy się kłócić i doszło do bójki. Próbował mnie zastrzelić, ale miałem szczęście i...

Mantilini lekko machnął ręką, bez zniecierpliwienia, ale tak, jakby powód i okoliczności zabójstwa nie miały znaczenia, jakby liczyła się wyłącznie sytuacja, w jakiej Esko się znalazł.

– Zastrzeleń go?

Esko kiwnął głową. Mantilini sięgnął po cygaro. Nie zapalił go, lecz powąchał z wyraźną przyjemnością.

– Jest martwy i leży tam, tak? Krwawa jatka, co?

Jeszcze jedno kiwnięcie głową. Mantilini przeciągnął cygarem pod nosem.

– Zdarza się – mruknął. Włożył cygaro do szkatułki i wziął do ręki złoty ołówek. – Adres?

Esko podał mu adres, a Mantilini zapisał go, nie w notesie, lecz na skrawku papieru.

– Jacyś świadkowie?

– Nie.

– Jesteś pewny? – Zmierzył Esko ostrym spojrzeniem.

– Jestem pewny – powiedział Esko, nie spuszczając oczu.

Krzesło zaskrzypiało, kiedy Mantilini zakołysał się, postukując końcem ołówka o swoje idealnie białe zęby.

– Dobrze, bardzo dobrze, bo tak naprawdę właśnie to jest najważniejsze. – Narysował jakiś zawijas na kawałku papieru i obdarzył Esko uspokajającym uśmiechem. – Teraz możesz wypić drugiego drinka.

– Umrę, jeśli się nie napiję.

– Na szczęście nie musisz umierać. Nie zapominaj, że przyszedłeś do właściwego człowieka. – Wziął z półki butelkę i dwie szklanki. – To naprawdę dobra whiskey. W zeszłym miesiącu sprowadziłem ją ze Szkocji.

– Na biurku leżą kontrakty z jego podpisem – rzekł Esko. – Muszę je mieć. Trzeba je będzie zniszczyć.

Paul zmrużył oczy i uśmiechnął się, bynajmniej nie zaniepokojony niewielką komplikacją.

– Jasne – powiedział, dotykając palcem blizny nad okiem. Nalał do szklaneczek whiskey, której bogaty aromat wypełnił duszne pomieszczenie. – Ten wielki projekt... Czy to ten sam, o którym czytałem we wszystkich gazetach? Wygląda interesująco.

– Dziękuję. – Esko westchnął, nagle ledwie żywy ze zmęczenia.

– Nie martw się, Esko – powiedział Mantilini bardzo cicho i bardzo spokojnie. – Twoje problemy naprawdę się skończyły. Nie masz się czego bać. – Podniósł rękę, pokazując bliznę na dłoni. – Jesteś moim bratem, pamiętasz? A ponieważ nim jesteś, twoje kłopoty znikają w jednej chwili. Zawsze.

Esko wpatrywał się w poszarpaną bliznę na dłoni Mantiliniego.

– Mój nóż... – przypomniał sobie, nie odrywając wzroku od ręki Włocha. – Został tam, na podłodze, cały we krwi...

Mantilini lekko, jakby z rozbawieniem podniósł brwi.

– Porznąłeś go, nie tylko zastrzeliłeś?

– Mówiłem ci, że się biliśmy.

– Rzetelnie przyłożyłeś się do roboty, co? – Uśmiechnął się rozbijając i przez chwilę mierzył Esko uważnym spojrzeniem. Przyglądał mu się prawie z podziwem, jakby był zaskoczony, że Esko zdobył się na coś takiego.

Esko zadrżał, ponieważ on także nie wiedział, że może posunąć się do morderstwa. Nie miał pojęcia, co będzie dalej, ale doskonale zdawał sobie sprawę z natury umowy, którą właśnie zawarł.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedział Mantilini, podnosząc szklaneczkę.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powtórzył Esko, a alkohol uderzył falą o jego podniebienie, pozwalając mu na parę sekund zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło.

CZEŚĆ PIĄTA
Architektura

1

Pilot był mężczyzną z jasnym wąsikiem, o nieco sennym wyrazie twarzy, w miękkim filcowym kapeluszu. Miał na imię Charlie. Brał pięćdziesiąt centów za milę i nazywał swój doskonale wyposażony, srebrzysty jednopłatowiec „statkiem”.

– Zamknijcie drzwi – powiedział powoli, najwyraźniej nie mając cienia wątpliwości, co powinno się zrobić przed startem. Jego dłoń spoczywała lekko na drążku, jak dłoń eleganta, który opiera się na smukłej laseczce. Drugie ramię z równą swobodą zarzucił na oparcie fotela.

– Jesteście gotowi? – zapytał. – Wobec tego startujemy, statek czeka.

Esko i Mantilini spojrzeli po sobie, wzruszając ramionami, odrobinę zaniepokojeni pozą Charliego. Silnik zakasłał, zakrzuszył się i wibrował monotonnym warkotem.

Przez okienko po swojej stronie kabiny Esko zobaczył trawę, płynącą w jednym kierunku jak strumień, przygiętą do ziemi podmuchem powietrza. Koła samolotu przeskoczyły podpórki i potoczyły się gładko, coraz szybciej i szybciej. Charlie uśmiechnął się z tym samym pogodnym spokojem, którym promieniowała twarz Klause. Pociągnął ku sobie ster i nagle maszyna ruszyła gwałtownie, tocząc się po polu przy wtórze wyjącego na wysokich obrotach silnika. Podskoczyli jeszcze parę razy, lecz dopiero kiedy Esko znowu wyjrzał przez okno, zobaczył, że znajdują się już w powietrzu. Wyrównali lot dopiero gdy wznieśli się nad okalające lądowisko drzewa. Esko ujrzał malejący w dole betonowy hangar z czerwono-białym wiatromierzem. Samolot wznosił się coraz wyżej. Pod nimi rozciągało się teraz jezioro i centrum Chicago, z wieżowcami usytuowanymi zupełnie inaczej niż na Manhattanie. Tu drapacze chmur stały

w luźnej, zgranej harmonii, śpiewając zgodnym chórem, a nie wrzeszcząc na siebie i przekrzykując się, jak wysokościorce na Manhattanie. Niskie chmury ocierały się o okna samolotu, przesłaniając pełen smutnego piękna widok, który wkrótce zupełnie zniknął im z oczu.

Charlie ostrzegł ich, że w górze będzie zimno, więc Esko i Mantilini opatulili się w podbite futrem palta. Był maj 1928 roku i obaj mężczyźni po raz pierwszy znaleźli się w powietrzu. Było to także ich pierwsze spotkanie od tamtej sylwestrowej nocy, nocy śmierci MacCormicka. Esko przyjechał do Chicago pociągiem ekspresowym Twentieth Century, na spotkanie z rzeźbiarzem, który zaprojektował fontannę, mającą stać przed drapaczem chmur. Mantilini zadzwonił do niego do hotelu i zaproponował, aby mu towarzyszył. Był bardzo podekscytowany.

– To ważny krok w przyszłość – oświadczył.

Od czasu transatlantyckiego lotu Lindbergha wyprawy samolotowe stały się ważną, nawet konieczną rozrywką, chociaż jeszcze niedawno wydawały się nierealne i spowite mgiełką romantyzmu. Dopiero teraz łatwo było uwierzyć, że pewnego dnia będą czymś zupełnie normalnym, i że to samolot a nie statek i samochód stanie się symbolem wieku. Esko był bardzo ciekaw tego nowego przeżycia, i nie tylko tego. Zastanawiał się, czego może chcieć od niego Mantilini. Mantilini – jego wybawca, który obiecał, że wszystkim się zajmie i w pełni wywiązał się z danego słowa, Mantilini, który stanął za kulisami budowy East River Plaza (nazwisko MacCormicka zostało usunięte z nazwy projektu) i zadbał, aby wszystko potoczyło się zgodnie z wcześniejszym planem, Mantilini, który uprzedzał, że nie powinni się spotykać i aż do tej chwili przestrzegał narzuconej przez siebie zasady.

Esko zmierzył swego towarzysza uważnym spojrzeniem. Mantilini przybrał nieco na wadze i zyskał parę siwych włosów, co najwyraźniej stanowiło cenę, jaką musiał zapłacić za swą niezwykłą sławę. Nowojorskie gazety pisały o nim trochę rzadziej niż o Chaplinie, ale tylko trochę. Kiedy Tunney po raz drugi pokonał Dempseya, Mantilini siedział tuż obok ringu. Kiedy Tammany Hall usiłował usprawnić karabiny maszynowe, strze-

lające sześciuset kulami na minutę, dziennikarze cytowali Mantiliniego z całą powagą i wielkim szacunkiem, jakby był profesorem o głębokiej i wyjątkowej znajomości przedmiotu, co Włoch zawdzięczał swoim znajomościom na Uniwersytecie w Chicago. Prasa drukowała jego opinie w związku z najnowszymi morderstwami i egzekucjami zabójców. Mantilini udzielał wywiadów, ale niezbyt często, świadomy niebezpieczeństw wynikających z autoreklamy. Niezależnie od tego w gazetach prawie zawsze można było znaleźć jakąś wiadomość na jego temat, nie na pierwszych stronach, lecz na rozkładówkach lub jeszcze dalej. „Mantilini przytył o dziesięć kilo”, „Mantilini idzie do kościoła na niedzielną mszę w Jersey City”, „Mantilini zagrzewa Yankees do walki o Puchar 1928 roku” albo „Mantilini czyta biografię Napoleona”.

Mantilini był nie mniej sławny niż prezydent. Otaczająca go fama budziła w ludziach szacunek, którego nie mogło pozbawić nawet oburzenie, z jakim społeczeństwo witało wiadomości o zabójstwach dokonywanych na gangsterach w klubach nocnych, kiedy terkot karabinów maszynowych zakłócał spokój niedzielnego popołudnia na Broadwayu. Po każdym z takich wydarzeń Mantilini odżegnywał się od przemocy, protestował przeciwko tym, którzy po nią sięgali i wyrażał pełne poparcie dla mało skutecznych działań policji. Prawdę powiedziawszy, groźba użycia przemocy była bardziej użyteczna niż sama przemoc, ponieważ celem Mantiliniego była ochrona handlu alkoholem i narkotykami, w którym wyspecjalizował się jego syndykat. Mantilini wierzył, że zabijanie nie jest efektywną metodą, a kiedyś spokojnie oświadczył, iż sprzedawcy z salonów Forda nie strzelają przecież do swoich rywali z salonów sprzedaży Chryslera. Mówił o sobie jako o „porządnym Amerykaninie”. Nadal był pewny siebie, może nawet odrobinę zarozumiały, i całkowicie naturalny, jak przystoi tym, którzy przeszli na drugą stronę lustra. Wydawało się, że nic i nikt nie może mu zaszkodzić.

Pilot Charlie zsunął na tył głowy filcowy kapelusz, trzymając drążek tylko końcami palców. Podśpiewywał pod nosem i prowadził maszynę wzdłuż rzeki, w której Esko rozpoznał Hudson,

srebrzystą żyłę pulsującą wśród znowu ubranego w barwy wiosny krajobrazu. Wszystko lśniło ostrymi kolorami. Lasy rozpościerały swą zielenią po obu brzegach rzeki, a wzgórza wznosiły się i opadały, przez co można było odnieść wrażenie, że ziemia oddycha. Charlie szarpnął sterem i cały widok odwrócił się prawie do góry nogami.

– No, dobrze – odezwał się Mantilini, lekko zielony po wykonanym przez samolot manewrze. – Jak układają się sprawy w biznesie architektonicznym?

– Dobrze – odparł Esko.

Budowa projektu East River posuwała się zgodnie z oczekiwaniami, nawet z pewnym wyprzedzeniem planu, który Esko opracował razem z O’Geehanem, szefem zespołu budowlanego, chudym Irlandczykiem nie stroniącym od najbardziej wulgarnych wyrażań, mężczyzną o wielkim talencie organizacyjnym i skłonności do dręczenia podwładnych. Podczas rozbiórki tysiąc dwustu robotników usunęło dwadzieścia tysięcy ton żelastwa i przerzuciło dwadzieścia pięć tysięcy ciężarówek gruzu do portu. Potem rozpoczęli kopanie terenu pod fundamenty i wysadzanie skały i litego kamienia dynamitem. Miesiąc później pojawiły się fundamenty i Esko zaczął montować konstrukcje ze stali. Najpierw postawił trzypiętrowy szkielet centralnego drapacza chmur. Wieża East River wznosiła się w górę z szybkością jednego piętra dziennie. Przy budowie zatrudniono trzy i pół tysiąca robotników różnych fachów, którym łącznie płacono 250 tysięcy dolarów tygodniowo.

– Jak na razie nikt nie próbował zorganizować napadu na ciężarówkę, którą co tydzień dowożone są pieniądze na wypłatę – zauważył Esko. – Na pewno tobie powinienem za to podziękować, Paul.

Mantilini z zadowoleniem klasnął w dłoń.

– Podobno zamierzasz wybrać się na wycieczkę do Europy – powiedział.

– Skąd o tym wiesz?

Wargi Mantiliniego poruszyły się lekko, jakby chciał powiedzieć, że to pytanie nie zasługuje na odpowiedź. Wiedział, co wiedział, a to, czego nie wiedział, nie było warte uwagi. Jego

twarz nosiła niewzruszony, absolutnie spokojny wyraz, który mówił: Jestem Paul Mantilini.

Esko rzeczywiście planował wyprawę do Europy. W miarę jak prace przy budowie East River postępowały, zaczął otrzymywać inne oferty, między innymi jedną z Helsinek. Aleksander Diktonius, który wrócił ze Szwecji w przekonaniu, że Finlandia znowu jest bezpiecznym krajem, chciał wybudować pierwszy fiński drapacz chmur na miejscu dawnego Budynku Diktoniusa, i postanowił zlecić to zadanie sławnemu fińskiemu architektowi, Esko Vaananenowi. Esko był zainteresowany jego propozycją i między innymi dlatego zapragnął odwiedzić kraj swego dzieciństwa i młodości. Wpadł także na pomysł, aby każda z dwudziestu czterech wind w drapaczu chmur East River została ozdobiona ściennymi malowidłami, które wyjdą spod pędzla amerykańskich artystów, oraz wyłożona drewnem z lasów, w których dorastał. W ten sposób dokonałby połączenia dwóch światów – tego, w którym dojrzał, oraz tego, który go odmienił. Co więcej, miejscem, które stałoby się pomostem między tymi światami, byłaby winda, urządzenie o szczególnym znaczeniu dla jego poczucia tożsamości.

– Wynająłem dziś dla nas ten samolot z konkretnego powodu – powiedział Mantilini. – Właściwie z dwóch powodów. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, Esko. Mam nadzieję, że mi nie odmówisz.

Esko poczuł się tak, jakby ktoś nagle kopnął go w brzuch. Teraz wystawi mi rachunek, pomyślał. Oto mój dzień sądu.

– Oczywiście, nie jesteś do niczego zobowiązany – ciągnął Paul. – Zwracam się do ciebie jak do specjalisty, nie przyjaciela. Na pewno się uśmiejesz, Esko, ale dowiedziałem się czegoś o tobie.

– Czego? – zapytał Esko z wymuszonym uśmiechem.

– Jesteś naprawdę dobrym architektem, prawda? Mistrzem w swojej dziedzinie. Kiedy zleciłem ci budowę i dekorację klubów, myślałem, że robię ci uprzejmość. Nic nie rozumiałem. Teraz nie jestem już takim durniem. Oto, co ci proponuję. Niedawno kupiłem w Connecticut działkę o powierzchni trzystu akrów. Moja żona znowu jest w ciąży i wkrótce urodzi nasze

trzecie dziecko. Chcę wybudować dla niej dom, nowy i naprawdę piękny. Poza tym urządza mnie, że będzie mieszkała w Connecticut. To wystarczająco daleko. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Esko uśmiechnął się, tym razem zupełnie szczerze.

– Ruthie kaprysi?

– Sam nie wiem, co jest z tą czarną dziewczyną. Owinęła mnie sobie dookoła palca. Chyba robię się miękki na starość...

Esko spojrział na niego z rozbawieniem. Mantilini miał teraz dwadzieścia siedem lat.

– I co ty na to?

– Z radością wybuduję dom dla ciebie.

– Naprawdę?

– Jasne.

– To wspaniale. – Mantilini uśmiechnął się lekko, prawie nieśmiało. – Mam parę spraw do załatwienia w Europie. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy popłynąć tym samym statkiem. Omówilibyśmy wtedy wszystkie szczegóły, no i poznałbyś moją żonę.

Esko skinął głową. Nie widział żadnego powodu, aby odmawiać.

Samolot buczał jak wielki bąk, lecąc wzdłuż rzeki Hudson. Niedługo potem ujrzeli w dole Nowy Jork. Gdy byli nad Harlemem, Esko pomyślał, jak solidne, logiczne i w pełni zrozumiałe wydawało się miasto widziane z lotu ptaka. Wyglądało jak dobrze rozrysowany plan, siatka ulic była wyraźna i czytelna. Skręcili ku East River, której spokojne wody pruća właśnie węglowa barka. Tuż za barką podążał holownik, dumnie wypuszczając w powietrze pióropusz białego dymu, a w porcie czekały statki towarowe. Esko już z daleka zobaczył swój drapacz chmur, który wydawał się wznosić na powitanie.

Charlie dotknął kapelusza i odwrócił się do nich z uśmiechem.

– Czy o to chodziło? – zapytał.

Mantilini kiwnął głową.

– Tak. Właśnie to chcemy zobaczyć.

– Wyłączę silnik.

Samolot sunął dalej w zupełnej ciszy, popychany przez wiatr. Charlie zbliżył się do drapacza chmur i powoli schodził coraz

nizej, aż wreszcie Esko ujrzał za oknem, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, sylwetkę człowieka. Stał na belce, którą wielki żuraw dźwigał na szczyt budynku, gdzie czterech innych czekało, aby przygotować belkę dla nitowaczy. Belka przechyliła się, kiedy stojący na niej robotnik postąpił naprzód i nakierował jej koniec ku czekającym, którzy szybko zakotwiczyli ją metalowym łańcuchem. Potem mężczyzna zeskoczył na najwyższą część stalowej konstrukcji.

– Pamiętasz? – odezwał się Mantilini, kręcąc głową. – Mówię ci, Esko, nigdy nie wróciłbym do tej roboty, za żadne skarby świata. Czy ktoś już zginął przy budowie twojego wieżowca?

Esko podniósł pięść z mocno zaciśniętym kciukiem.

– Nie? To prawdziwe szczęście.

Silnik ożył i Charlie wszedł wyżej, ustawiając maszynę pod takim kątem, aby Esko mógł spojrzeć w dół z innej perspektywy. Po obu stronach centralnego drapacza chmur trwały jeszcze roboty ziemne pod budowę szpitala, wielkiego hotelu, teatru i mniejszych biurowców. Sam wieżowiec osiągnął już prawie pełną wysokość. Czterdzieści pięć pięter obłożono pięknym, drogim kamieniem wapiennym z Indiany, natomiast najwyższa część konstrukcji była jeszcze naga i przypominała stalową klatkę. Wstawiono już niektóre okna i ich szyby błyszczały w słońcu. Kiedy samolot okrążał plac budowy, Esko zauważył cztery ciężarówki z wielkimi, otwartymi przyczepami, które jedna za drugą podjeżdżały do ogrodzenia. Jego drapacz chmur był rzeczywisty, prawdziwy. Świat godności, nowych możliwości i jasnego światła, którego był symbolem, z każdym dniem wznosił się coraz wyżej, teraz zaś Esko krążył wokół niego na pokładzie samolotu. Ten świat zapadał w duszę Esko, budząc w niej uczucie bliskie ekstazy.

Mantilini zobaczył na twarzy Esko wyraz dumy oraz wielkiej radości.

– Ja jestem tylko jednym ze środków, za pomocą których osiągnąłeś swój cel, Esko – powiedział gangster. – I jestem z tego dumny. Teraz widzę zwieńczenie dzieła. To zupełnie jak z Lindym... Twój drapacz chmur też będzie przypominał ludziom o tym, co w Ameryce najlepsze.

– Dziękuję, że w końcu zgodziłeś się na drugi wywiad – powiedziała Marion Bennett. Stała oparta o biurko O’Geehana w biurze kierownika budowy, stalowej budce przytulonej do stóp wieżowca. W rękę trzymała papierosa, ubrana była w szerokie szare spodnie, szare buty w męskim stylu oraz białą bluzkę z mnóstwem falbanek. Paznokcie pomalowała krwiście czerwonym lakierem. – Dobrze wyglądasz, Esko. A twój drapacz chmur... Cóż, jestem całkowicie zaskoczona, kochanie. Nie spodziewałam się, że urośnie tak szybko.

– Nie marnujemy czasu – rzekł Esko, wskazując ścianę budki, na której przypięto rozrysowany przez niego i O’Geehana plan budowy, z różnokolorowymi liniami, które krzyżowały się i nakładały na siebie, a każda z nich przedstawiała inny etap prac. – W tej grze wszyscy uwielbiają szybkość i sprawność. Chcesz wiedzieć, co ma największe znaczenie przy budowie drapacza chmur?

– Mam nadzieję, że mi powiesz.

– Hydraulika i windy. Jeżeli one nie sprawiają kłopotów, cała reszta jakoś się układa. Dzielimy każde duże zadanie na wiele mniejszych. Potem wszystko działa jak w automacie – ten sam fragment budujemy raz za razem, aż pod sam dach. Wszystko odbywa się podobnie jak w fabryce Forda.

Marion wypuściła z ust obłok dymu.

– A więc twój sen naprawdę się ziścił... Budujesz swój drapacz chmur, najwyższy w mieście.

– Najwyższy na świecie, przynajmniej na razie.

– Jak wysoki?

– Ma czterysta metrów wysokości.

Marion oderwała się od biurka.

– Mogę wjechać na szczyt?

– Oczywiście. Przecież po to tu przyszedłeś, prawda?

Jej bystre, ciemne oczy obserwowały go uważnie, oceniały.

– Unikałeś mnie, Esko? – zapytała.

– Oprowadzę cię – powiedział, otwierając drzwi biura i wpuszczając do środka hałas z budowy. Sprowadził Marion po

drewnianych schodkach wprost na usiane dziurami i wybojami pole bitwy. – Na każdym piętrze znajduje się miniaturowa kolejka, podobna do takiej dla dzieci – rzekł, wskazując w górę. – Tymi wagonikami rozwożone są wszystkie materiały. Codziennie rano drukujemy rozkład dnia, aby każdy wiedział, czego i kiedy dokładnie może się spodziewać. Nikt nie musi szukać rzeczy, jakich potrzebuje, ponieważ ma wszystko pod ręką. Materiały, które ładujemy do wagoników, dostarczane są ciężarówkami. Wszystko jest szczegółowo przemyślane i zaplanowane – pora przyjazdu ciężarówek, czas trwania ich podróży, czas przybycia na miejsce, pewien margines na ewentualne opóźnienia i tak dalej.

– Zupełnie jak kampania wojskowa – zauważyła Marion, biorąc Esko pod ramię i pozwalając prowadzić się przez plac.

– Brałem udział w kampanii wojskowej – rzekł Esko. – I wierz mi, nie była tak dobrze zorganizowana. Jeszcze trzydzieści lat temu głównym problemem przy budowie wysokościowców była liczba wind i ich szybkość. Ponieważ wind było mało, trzeba było długo na nie czekać, więc ludzie tracili cierpliwość, a właściciel budynku tracił dzierżawców przestrzeni. Doszedłem do wniosku, że nikt nie powinien czekać dłużej niż trzydzieści sekund. Moi przyjaciele z firmy Otis obiecują, że windy, które tu zainstalujemy, będą pokonywać czterysta metrów w ciągu minuty. Niestety, kodeks miejski z 1910 roku zakłada, że szybkość windy nie powinna przekraczać dwustu trzydziestu metrów na minutę. Są to regulacje prawne z czasów, kiedy ludzie czekali cały dzień, żeby wjechać na szczyt Flatironu. Staramy się wyeliminować te nonsensy.

– Chcesz, żebym napisała propagandowy tekst? – Marion rzuciła mu ironiczne, lekko zaniepokojone spojrzenie.

– Odrobinę propagandowy. – Esko pokazał dwoma palcami, jak niewiele od niej wymaga. – *Pikkusen*. Bardzo by mi się to przydało.

Wjechali na górę zewnętrzną windą, zbitą z desek klatką przymocowaną do południowej ściany budynku. Wzniesli się nad okalające plac ogrodzenie, nad kanały sąsiednich ulic, nad powoli płynące rzeką barki i statki. Wzniesli się nad wijące się

nitki ulic, docierające do Grand Central i nad markizy nad wejściami do kin, wyglądające jak dywaniki do odprawiania modłów. Wkrótce setki automobili, sunących alejami pod nimi, wyglądały jak drepczące gęsiego żuki, a piętnastopiętrowe biurowce jak brudne kostki cukru. Nawet Most Brookliński robił wrażenie zabawki. Słońce odbijało się od dalekiej kopuły na szczycie jednego z wieżowców w centrum. Wiatr uderzał w ich twarze i przyklejał cienką wełnę spodni Marion Bennet do jej nóg. Marion, kobieta o nerwach ze stali, stała obok Esko, na wszelki wypadek trzymając go za ramię. Wznosili się coraz wyżej, a nawinięte na bloczki liny trzeszczały i skrzypiały rozpaczliwie. Winda, kołysząc się i grzechocząc, brnęła wyżej, z wysiłkiem wspierając się o ścianę budynku. Wreszcie minęła linię, gdzie mur się kończył, a stalowa konstrukcja obejmowała tylko powietrze. Marion i Esko spojrzeli w dół, na inny drapacz chmur, budowany przy Madison Avenue. Wjechali na sam szczyt najwyższego budynku na świecie, a budynek ten był dziełem Esko.

Na siedemdziesiątym piętrze czekał na nich jeden z brygadystów. Podał Marion Bennett rękę i ostrożnie sprowadził ją na tymczasową podłogę z desek. Esko machnął ręką w odpowiedzi na propozycję pomocy i sam zeskoczył z progu windy.

Marion powoli odwróciła się najpierw na wschód, potem na zachód, delektując się niezwykłym widokiem.

– To lepsze od Coney Island – rzekła.

– Wjeżdżam tu prawie codziennie, a mimo to jeszcze do tego nie przywykłem.

– Musisz być z siebie bardzo dumny, Esko. To ty jesteś autorem tego cudu.

– Tak, jestem z tego dumny – przytaknął, czując, że nawet jeżeli on sam jest zbrukany, to jego dzieło, ten budynek, nie ma żadnych skaz. Drapacz chmur był symbolem możliwości, potęgi ludzkiej woli, jego własnej woli i determinacji, nie mógł jednak zapomnieć, że rozlał krew, aby osiągnąć swój cel. Wieżowiec wydawał mu się czasem dziwnie złowrogi, lecz Esko powtarzał sobie, że przyczyną tego stanu rzeczy jest jego spaczony, naznaczony tragedią punkt widzenia. Inni ludzie dostrzegali tylko

czyste linie budynku, jego smukłą sylwetkę, krystaliczną doskonałość konstrukcji.

Marion Bennett zapaliła następnego papierosa. Przez chwilę szarpała się z zamkiem torebki, usiłując wrzucić zapalniczkę do środka.

– A co z Andrew MacCormickiem? Co wiesz o jego zniknięciu?

– Dokładnie tyle, co ty – odparł Esko, nienawidząc siebie za to, że okłamuje tę twardą i ambitną kobietę, którą darzył szczerą sympatią. – Tyle, ile przeczytałem w gazetach – dokończył.

– Gazety pełne są najróżniejszych, szalonych plotek. Wiesz, gdzie on jest?

– Nie – powiedział krótko. Pomyślał, że przynajmniej tym razem nie skłamał, bo Mantilini nigdy nie zdradził mu, w jaki sposób pozbył się ciała.

– Spójrz na to z mojego punktu widzenia, punktu widzenia dziennikarki – mruknęła Marion. – Jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce wsiada na statek do Buenos Aires, w każdym razie tak utrzymują świadkowie. W kasie firmy zajmującej się sprzedażą biletów na te linie znajduje się kopia biletu wystawionego na jego nazwisko. Ale MacCormick przez całą podróż nie wychyla nosa z kabiny, a potem znika. Mija osiemnaście miesięcy i nadal go nie ma. To dość długi okres, prawda? Nigdy nie miałam kaca, który trwałby aż tak długo. Co takiego jest w Argentynie? Krowy, kowboje i tłumy Anglików. Dlaczego miałby tam pojechać?

– Nie mam pojęcia. Może tobie przychodzi do głowy jakieś rozwiązanie tej zagadki?

– Powiem ci coś, Esko. Dwa miesiące temu przyszedł do mnie Joe Lazarus i opowiedział mi niesamowitą historię. Oświadczył, że miał przejąć ten projekt, MacCormick zamierzał sprzedać działkę i cały pakiet jemu i jego inwestorowi. – Marion wyjęła notes i pióro, i uśmiechnęła się, nie starając się ukryć stalowego błysku w oczach. – Mógłbyś to jakoś skomentować?

– Joe Lazarus to wariat. Stary człowiek, który powoli traci grunt pod nogami i nie może się z tym pogodzić. To, co mówi czy robi, nie ma najmniejszego znaczenia.

- Jesteś gotów autoryzować tę opinię?
 - Oczywiście. Nie powiedziałbym tego, gdyby było inaczej.
- Marion Bennett uśmiechnęła się i szybko zapisała coś w notesie.
- Nadal często widzisz się z Paulem Mantilinem?
 - Niezbyt często.
 - Kiedy widziałeś go ostatni raz?
 - Parę tygodni temu. Tak się złożyło, że razem wracaliśmy do Nowego Jorku z Chicago.
 - Co tam robiłeś?
 - Miałem spotkanie w sprawie projektu budowy następnego drapacza chmur. Nie miało to nic wspólnego z Paulem.
 - A Mantilini? Po co wybrał się do Chicago?
 - Skąd mogę wiedzieć? Nie rozmawialiśmy ani o tym, ani o innych poczynaniach Paula Mantiliniego.
 - Poczynania Paula Mantiliniego sprowadzają się najczęściej do zakupu kilkunastu nowych garniturów lub zaplanowania kilkunastu zabójstw.
- Esko westchnął ciężko.
- Nie mam o tym wszystkim najmniejszego pojęcia, Marion – powiedział. – Lubię Paula. Kirby i ja zbudowaliśmy dla niego trzy kluby rozrywkowe i uznaliśmy, że interesy robi się z nim doskonale. Od tamtej pory rozmawiałem z nim zaledwie parę razy.
 - Nie spotkałeś się z nim po powrocie z Chicago?
 - Nie – odparł Esko zgodnie z prawdą. Sam wybrał się na oględziny działki, którą Mantilini kupił w Connecticut. Sam stał na szczycie wzgórza i patrzył na piękny teren rozciągający się aż do jeziora. – Rozmowa z tobą zaczyna przypominać przesłuchanie, Marion. Zdajesz sobie z tego sprawę?
 - A czy wywiad i przesłuchanie to nie to samo? – zapytała słodko. – Mówisz więc, że nie wiesz, gdzie znajduje się Andrew McCormick?
 - Nie wiem.
 - Myślisz, że jego żona wie coś więcej?
 - Nie mam pojęcia. Musisz ją o to zapytać.
 - Już to zrobiłam.

Po raz pierwszy go zaskoczyła. Przerwał, korzystając z głośnego warkotu nitownicy, który właśnie wypełnił powietrze. Robotnicy byli już po lunchu i wkrótce na ostatnim piętrze miała się rozszaleć kakofonia dźwięków.

– Rozmawiałaś z Kateriną?

– Wróciła do Nowego Jorku – powiedziała Marion. – Mówi, że skoro dziennikarze piszą, iż jej mąż przebywa w Argentynie, to ona nie widzi powodu, aby im nie wierzyć. Podobno dostała kilka telegramów od MacCormicka, wysłanych z Buenos.

Ach, tak, pomyślał Esko. Dostała kilka telegramów z Buenos... No, proszę... Na pewno Mantilini jakoś to zorganizował. Mantilini był mistrzem tego rodzaju detali.

– Muszę przyznać, że to rzeczywiście bardzo nowoczesne małżeństwo – mruknęła Marion bez złościwości. – Może napiszę o nich sztukę? Słyszałam, że pod jego nieobecność ona ma nieograniczony dostęp do pieniędzy i sama podejmuje ważne decyzje dotyczące jego projektów budowlanych. Szczęściara z niej, nie da się zaprzeczyć.

3

Tego ciepłego, pogodnego wieczoru Esko zostawił płaszcz w pracy. Wyszedł z biura i szybkim krokiem ruszył przez miasto. Urzędnicy wysypywali się z wysokich budynków, zmierzając w stronę najbliższej stacji metra lub klubu czy kawiarni. Ulice zapchane były samochodami, których klaksony przekrzykiwały się ze wszystkich sił. W dzielnicy teatrów neony zaczynały już protestować przeciwko staromodnym ograniczeniom, jakie narzucała im noc. Lato wisiało w powietrzu, sycąc je świeżym aromatem oczekiwania i nadziei.

Wbiegał właśnie na schody prowadzące do znajdującej się na parterze galerii, kiedy przed drzwiami pojawił się łysiejący mężczyzna o dużych uszach, czerwony z oburzenia.

– Pieprzony skandal! – wykrzyknął, wymachując rękami. – Pieprzony skandal, słowo daję! Powinno się zamknąć tego, kto pozwolił na to cholerne świństwo!

Obok rozwścieczonego mężczyzny pojawił się drugi, sporo młodszy.

– Ach, zamknij się, stary pierniku! – rzucił ze złością.

Obaj podnieśli zaciśnięte pięści i zaczęli szykować się do walki, starszy podpity, młodszy rozindyczony i zaczepny.

– Przepraszam – wymamrotał Esko, wymijając ich i wchodząc do galerii.

Na podłodze niedaleko wejścia leżała jakaś kobieta, którą kilka osób wachlowało z zapalem, podczas gdy parę innych na czworakach zbierało z podłogi rozsypane kamienie z pękniętego naszyjnika ofiary omdlenia.

– Pozwólcie jej złapać oddech – odezwał się mężczyzna, który przecierał czoło kobiety jedwabną chustką zwilżoną wodą kolońską o przyjemnym zapachu.

Ktoś zachichotał nerwowo, ktoś inny krzyknął głośno. Esko odwrócił się i zobaczył kobietę w długiej białej sukni, z przerażonym i nieprzytomnym wyrazem twarzy. Wyglądała tak, jakby ona także miała lada chwila zemdleć.

Esko wziął katalog ze stolika przy drzwiach. „Widok na Amerykę – wystawa nowych fotografii Kate Małyszewej”, przeczytał.

Spojrzał na pierwsze zdjęcie. W ostrej czerni i bieli widać było ciało rozciągnięte na podłodze pustego kasyna, ułożone w sposób, w jaki nigdy nie mogłaby leżeć żywa osoba, z otwartymi oczami i twarzą naznaczoną wielkim zaskoczeniem. Spodnie mężczyzny były poplamione moczem, a nad jego głową stał bilardowy stół, na którego blacie ktoś starannie ułożył bile do nierozpoczętej partii. W bilach odbijało się jasne światło lamp.

Esko poszedł w lewą stronę. Kolejne zdjęcie ukazywało spoczywające na chodniku zwłoki, z kałużą czarnej, lśniącej w błysku flesza krwi obok głowy. Tuż przy twarzy zabitego leżał but, a tłumek podekscytowanych przechodniów powstrzymywało dwóch uzbrojonych w pałki policjantów.

Na następnym głowa siedzącego przy stole mężczyzny odrzucona była do tyłu, kark złamany, zmiażdżony kulą, która wpadła przez okno z boku. Na ścianie za zamordowanym zwiślała pod dziwacznym kątem pusta rama, pozbawiona obrazu. Czwarte

zdjęcie przedstawiało trupa z głową opartą o krawędź chodnika, tuż nad ściekiem, z jego oczu krew tryskała jak z odkorkowanych butelek. Na piątym nienaturalnie skrzycone ciało leżało w brudnym, topniejącym śniegu. Na szóstym...

W sali rozwieszono czterdzieści osiem takich obrazów, dzikich i gorączkowo lśniących, wstrząsających poczuciem dystansu. Wszystkie wykonano z pewnej odległości, dzięki czemu bardzo wyraźnie widać było otaczające zwłoki detale. Esko pomyślał, że ten sposób fotografowania jest swoistym komentarzem na temat obojętności, z jaką świat wita odejście kolejnych mieszkańców. Każda sfotografowana ofiara była mężczyzną, każde zdjęcie spokojnym spojrzeniem w głąb jakiegoś lodowatego piekła.

Esko wziął kieliszek czerwonego wina i przeszedł do drugiej sali. Głównym przedmiotem pierwszego zdjęcia była kobieta, sfotografowana z tak bliska, że pory skóry wyglądały jak krater. Wyraz niepokoju na jej twarzy był błaganiem o chwilę uwagi, a równocześnie strasznym wyrzutem pod adresem widza. Następna fotografia także przedstawiała kobietę. Mokra, żółtawa twarz była poorana głębokimi zmarszczkami, w oczach płonęło szaleństwo. Trzecia ukazywała kobietę o gładkiej, pozornie spokojnej twarzy. Spomiędzy jej warg zwisał ogon myszy. Czwarta kobieta była wyprostowana i dumna, piękna, lecz z oczami pełnymi łez. Piąta...

W sali umieszczono trzydzieści sześć kobiecych portretów, z których każdy był przejmująco, rozpaczliwie smutny. Wszystkie kobiety zdawały się zsuwać ku jakiejś tragicznej, straszliwej otchłani. Kolory, a także faktura zdjęć, były tu o wiele bardziej wymowne. W paśmie dzielącym czerń i biel Katerina odnalazła szeroki wachlarz pośrednich odcieni i emocji. Niektóre zdjęcia były ciemne, prawie przydymione, inne surowo lśniły srebrem. Esko czuł się tak, jakby ktoś dał mu nowe oczy do postrzegania cierpienia i smutku.

Czując nagle mrowienie karku odwrócił się, przekonany, że ujrzy Katerinę, ale zobaczył tylko ubranego w intensywnie błękitny garnitur Paula Mantiliego, który zmierzał ku niemu przez salę, prowadząc wspartą na jego ramieniu Ruthie.

– Czy tak właśnie wyglądają wystawy sztuki? – zapytał, błyskając zębami w rekinowatym uśmiechu. – Może mnie także udałoby się coś wystawić...

– Akurat – mruknęła Ruthie. – Nie masz zielonego pojęcia o sztuce.

Jej senne oczy wydawały się jeszcze większe niż zwykle pod kloszowym kapelusikiem z delikatnej złotej siateczki.

Mantilini wsunął dłonie do kieszeni. Do złudzenia przypominał teraz pewnego siebie prezesa wielkiej firmy.

– Co też ty powiesz? Myślałem, że prowadzasz mnie na te wszystkie wystawy po to, żebym wreszcie zdobył jakąś edukację.

– Marne szanse – odparowała Ruthie.

– Kim jest facet, który zrobił te zdjęcia? – zainteresował się Mantilini.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to nie facet, lecz kobieta.

– Żartujesz? Skąd wiesz?

– Przeczytałam w katalogu. Poza tym ona mnie kiedyś sfotografowała.

– Tak? – Mantilini zmarszczył brwi. – Nic mi o tym nie mówiłaś.

– Bo to moja tajemnica – odpowiedziała, przykładając dłonie do jego policzków, przyciskając usta do jego ust i przylegając do niego całym ciałem.

– Nie lubię tajemnic – rzekł Mantilini, zmuszając się do uśmiechu. – Poza moimi własnymi.

– Wydawało mi się, że wszystkie twoje tajemnice już dawno znalazły się na dnie rzeki – zauważyła niedbale Ruthie.

Metalizowana siatka na jej głowie lśniła w świetle.

– Naprawdę? – warknął z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Ciekawe, co ty możesz o tym wiedzieć?

Esko miał już odejść i zostawić ich samych sobie, ale właśnie wtedy podeszła do nich Katerina. Jej krótkie włosy przykrywał beret, długa, łabędzia szyja wznosiła się z wycięcia żakietu bez kołnierza, stylizowanego na męską marynarkę, zielone oczy były zaczerwienione od papierosowego dymu, którym przesiąkło powietrze w galerii. Esko wstrzymał oddech, potem zaś powoli

wypuścił powietrze z płuc, głęboko poruszony i zaniepokojony. Wiedział, że nie powinien był przychodzić, ale nie potrafił się powstrzymać. Nie mogliby być razem teraz, kiedy między nimi trwała pamięć o MacCormicku, nie mogliby istnieć razem w rzeczywistości naznaczonej jego śmiercią, rzeczywistości, która w każdej chwili groziłaby im krzesłem elektrycznym. A jednak w tej chwili pragnął jedynie wykorzystać szansę, jaką podarował mu los...

– Miło cię widzieć, Ruthie – odezwała się Katerina i odwróciła się ku niemu. – Esko...

Jej głos brzmiał bardzo zdecydowanie, jakby spodziewała się go tu zobaczyć i nawet miała nadzieję, że tak się stanie. Zdjęcia były przejmujące, tragiczne, ale ona wyglądała dobrze, może właśnie dlatego, że je zrobiła.

– Nazywam się Paul Mantilini – rzekł Mantilini, obserwując ją spod zmrużonych powiek.

Esko odgadł, że Mantilini nie przypomina sobie, iż widział ją na pogrzebie Kirby'ego, jeśli w ogóle ją wtedy zauważył.

– Kate Małyszewa – powiedziała, zaciekawionym spojrzeniem ogarniając garnitur Mantiliniego i jego inteligentną, arogancką twarz.

– Mały...? Małyszewa? Co to za nazwisko?

– Rosyjskie – wyjaśniła Ruthie. – Kate była w Rosji w czasie rewolucji.

– Naprawdę? – Mantilini włożył rękę do kieszeni marynarki i zabrzęczał monetami. – Po której stronie się opowiedziałaś?

– Po stronie przegranych.

– To chyba tłumaczy sens zdjęć przedstawiających ofiary zabójstw – powiedział Mantilini powoli, z namysłem, jak prawdziwy krytyk dzieł sztuki.

– W pewien sposób – odrzekła, unosząc brwi. – Muszę przyznać, że nie patrzyłam na to z tej perspektywy. Czy ten temat bardzo pana interesuje, panie Mantilini?

Mantilini zademonstrował w uśmiechu półksiężyc białych zębów. Był wyraźnie rozbawiony i nie miał najmniejszego zamiaru odpowiadać na pytanie Kateriny. Ani na chwilę nie spuszczał z niej swoich twardych oczu. Zastanawiał się, kim jest ta

kobieta i czy kiedykolwiek może być dla niego użyteczna lub niebezpieczna. Esko wyczuwał, że Katerina fascynuje Mantilinię. Może było tak dlatego, że nigdy dotąd nie spotkał nikogo podobnego do niej...

– Musiała pani sporo przeżyć, żeby zrobić takie zdjęcia – rzekł Paul.

– Aparat fotograficzny mnie chroni. Przeżyłam gorsze rzeczy.

– Na przykład?

Powoli pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że teraz ona zignoruje jego pytanie. Esko zorientował się, że znowu wstrzymuje oddech.

– A ty, Esko? Co myślisz o moich zdjęciach?

– Przerazają mnie – odparł. – Ale są poruszające.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Co byś powiedział, gdybym znowu, po raz trzeci, poprosiła cię, żebyś wyjechał ze mną z Nowego Jorku?

– Który pociąg chcesz złapać?

– Kiedy rozmawialiśmy o tym ostatnim razem, uznałeś to za zły pomysł.

– Uważam, że teraz jest jeszcze gorszy.

Katerina się roześmiała. Esko kątem oka dostrzegł, że Mantilini wyjmuje coś z kieszeni. Był to nóż, ale nie jakiś tam nóż. Paul trzymał w ręku *puukko*, nóż, który jeszcze niedawno należał do Esko.

– Co się... – zaczął Esko.

W tej samej chwili zobaczył Marion Bennett, a obok niej Bo, swego dawnego kolegę z grupy nitowaczy, Szweda, który kiedyś był zaręczony z siostrą Mantilinię i razem z nim handlował przemyconym alkoholem.

Bo podszedł do nich szybko, bez wahania, odgarniając z czoła mokre od potu rude włosy, i pchnął Mantilinię w pierś.

– No, dalej – powiedział, znowu popychając Paula otwartymi dłońmi. – Walcz ze mną! Bij się, ty malowana laleczko! Wydaje ci się, że taki z ciebie waźniak? Wcale nie jesteś twardym facetem, o, nie! Gdzie są teraz twoi kumple od brudnej roboty, Paul? Jakoś nie widzę ich w pobliżu! Wreszcie rozstrzygniemy to między sobą, tylko ty i ja, chłoptasiu!

Bo nie zauważył noża, który Mantilini przyciskał do zewnętrznej strony uda. Paul cofnął się o krok, potem o drugi. Cofał się bez przerwy, strząsając z siebie dłonie Bo i patrząc mu prosto w oczy. Uśmiechał się swoim najokrutniejszym, najbardziej bezwzględny uśmiechem i grał na zwłokę, bezlitośnie zwodził Szweda. W jego oczach czaiła się zimna jak lód chęć mordy.

Nagle rzucił się do przodu, mierząc nożem prosto w gardło Bo, lecz w tej samej chwili na przegubie jego ręki zacisnęła się silna dłoń Esko.

– Nie rób tego, Paul. Mówię poważnie. Nie rób tego.

Krew odpłynęła z twarzy Włocha, a jego ciemne, podobne teraz do dwóch kropek oczy zabłyśły ponuro na tle bladej skóry. Spojrzenie nadal pełne było morderczej wściekłości, lecz teraz cała ta szalona złość skoncentrowana była na Esko. Esko był o wiele wyższy i potężniej zbudowany, a mimo to nie zdołał powstrzymać dłoni Mantiliniego, która uniosła nóż i zatrzymała go w odległości kilku milimetrów od zdrowego oka Fina.

– Wiesz, co to jest, Esko? Poznajesz ten kawałek stali?

W sali zapadła kompletna cisza. Esko widział uśmiech Mantiliniego i czuł zapach spalin, napływający tu z Piątej Alei.

– Jasne, Paul. Poznaję go. Za sekundę puszcze twoją rękę, a ty zrobisz, co zechcesz.

Czubek *puukko* jeszcze przez chwilę wisiał w powietrzu tuż przed galaretowatą powierzchnią oka Esko, lecz zaraz zamigotał w świetle, gdy Paul go opuszczał, krojąc puste powietrze.

– Nie pomyliłeś się – rzekł Mantilini, rozluźniając i napinając mięśnie ramion pod tkaniną marynarki. – Mogę zrobić wszystko, co zechcę. Jestem Paul Mantilini i naprawdę mogę wszystko. Nie radzę ci o tym zapominać.

Odprężył się, uśmiechnął i wsunął nóż do pochwy, którą miał w kieszeni.

– Przedstawienie skończone, dobrzy ludzie. Życzę wszystkim przyjemnego wieczoru. Kiedy obejrzycie zdjęcia, zapraszam do jednego z moich klubów. Powiedzcie barmanowi, że Paul Mantilini zaprosił was na jednego na koszt firmy. Chodź, Ruthie,

idziemy – dorzucił, ujmując dziewczynę za ramię. – Interesująca rzecz, ta sztuka.

Gdy wyszli, w sali wybuchł pełen ulgi gwar. Kelnerzy roznosili koktajle, imię Paula Mantiliniego było na ustach wszystkich, jak refren piosenki. Esko poczuł na sobie wzrok Kateriny. Przygryzła dolną wargę, a on uśmiechnął się, próbując dodać jej odwagi. Właśnie wtedy zorientował się, że Marion Bennett obserwuje ich uważnie, odgadując istnienie jakiejś tajemnicy, czegoś, co ich połączyło. Żołądek skurczył mu się boleśnie. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że zaraz coś się stanie, że siły, nad którymi nie był w stanie zapanować wprawiły w ruch koło losu, bo od zawsze czekały na ten moment...

Tylko Szwed Bo nie zdawał sobie sprawy, że powietrze aż iskrzy od ukrytych napięć. Podrapał się w kroku, uśmierzając strach kieliszkiem wina, który chwycił z tacy przechodzącego kelnera.

– Chyba wreszcie mu pokazałem – rzucił bez przekonania w przestrzeń i uśmiechnął się niepewnie.

4

Od wejścia na pokład „Île de France” Mantilini był w znakomitym nastroju. Razem ze swoją rodziną zajmował apartament prezydencki i zadbał, aby Esko przydzielono nieco mniejszy, lecz także luksusowy apartament w pobliżu.

– Powiedziałem im, że jesteś najślawniejszym architektem w Nowym Jorku – oznajmił, pokazując Esko wspaniałe kosze z owocami i równy szereg butelek z szampanem. – I najlepszym. Ci Francuzi uwielbiają takie historyjki.

Pogwizdując pogodnie, zamknął za sobą drzwi. Esko usłyszał, jak na korytarzu woła Gardellę. Usiadł na jednej z sof i spojrzął na zegarek. W tej samej chwili drzwi otworzyły się szeroko. Znowu pojawił się Paul Mantilini, tym razem z listą pasażerów pierwszej klasy.

– Dziś wieczorem siedzimy przy kapitańskim stoliku – rzucił. – I tak powinno być. Będzie nam towarzyszyło dwóch guber-

natorów, biskup, minister spraw zagranicznych Brazylii i... No, zgadnij, kto jeszcze?

– Kto?

– Esko, wiem, że będziesz w siódmym niebie – oświadczył Mantilini. – Chaplin.

– Charlie Chaplin?!

– „Pan Chaplin”, tak tu napisali – powiedział Paul. Zmarszczył brwi i ujął płatek ucha między kciuk i palec wskazujący, wyraźnie zaniepokojony nieprzyjemnym pomysłem, że mogłoby chodzić o jakiegoś innego Chaplina. Oparł się o framugę drzwi, wysuwając jedną stopę przed drugą. – Esko, słuchaj, chciałem z tobą porozmawiać o tamtym wieczorze...

Esko podniósł dłoń.

– Zapomnij o tym.

Tuż pod szczęką Mantiliniego nerwowo zadrgał mięsień. Esko uświadomił sobie, że Paul nie przywykł, aby mu przerywano, i że być może wcale nie zamierzał go przeproszać. Przecież to Mantilini decydował o wszystkim, nie on.

– Niewykluczone, że wtedy, wobec całego tego tłumu, zrobiłbym coś, czego potem mocno bym żałował – rzekł Mantilini. – Więc dziękuję ci. Ale ten Bo... – Pokręcił głową. – Zdarza się, że ktoś nadepnie mi na odcisk o jeden raz za dużo. Do zobaczenia na kolacji.

Pół godziny później znowu rozległo się pukanie do drzwi. Była to Katerina, za którą szedł niosący dwie walizki steward.

– Mogę wejść?

– Oczywiście – odparł, wchłaniając jej zapach. Z uśmiechem cofnął się do środka, a kiedy drzwi zamknęły się cicho, Katerina pozwoliła zamknąć się w pierścieniu jego ramion i przyłgnęła policzkiem do jego piersi, w miejscu, gdzie mocno biło serce. – Bałem się, że nie przyjdiesz.

– Powiedziałeś już Mantilinemu?

– Jeszcze nie – odparł.

– Esko... Nie mam zamiaru przez pięć dni ukrywać się w szafie, nawet jeżeli ten gangster pomógł nam wybrnąć z beznadziejnej sytuacji.

Esko znacznie wcześniej powiedział jej wszystko o Mantilinim.

– Wiem.

Spuściła oczy, błyszczące pod zielonym kapeluszem, i wsunęła papierosa do hebanowej lufki.

– Więc co? – odezwała się, kiedy pospiesznie podsunął jej zapalniczkę. – Co proponujesz?

– Może Mantilini dostanie choroby morskiej...

Roześmiała się głośno, z nieoczekiwaną beztroską, i przytuliła się do niego. Kiedy oderwali się od siebie, jej spojrzenie padło na rysunki, które rozłożył na stole. Były to szkice zmodyfikowanych wersji kompleksu East River, drapacza chmur, który miał zbudować w Helsinkach oraz domu Mantiliniego w Connecticut. Ich widok przejął ją dreszczem.

– To takie piękne, cudowne rzeczy – powiedziała cicho. – Czy ja cię zniszczyłam, Esko?

– Stworzyłaś mnie – odparł.

Nie chciała spojrzeć mu w oczy.

– To moja wina – szepnęła, drżąc na całym ciele. – Nie powinnam była za niego wychodzić. To był zły wybór, dokonany ze złego powodu. Ale lubiałam go... Nie był złym człowiekiem...

– Wiem – powiedział.

– I w końcu go zabiłam.

– Zrobiliśmy to obydwójce. – Esko pochylił się ku niej nad stołem. – Dlatego, że próbował mnie zabić. I co tu kryć, cieszę się, że to on nie żyje, bo w przeciwnym razie martwy byłby Esko Vaananen.

Spojrzała na niego i czubkami palców lekko dotknęła jego warg.

– Czy naprawdę możemy być razem szczęśliwi, ty i ja? Czy mamy jakąś szansę na normalne życie? Co teraz zrobimy?

– Zapomnimy – odparł, całując jej palce i wargi. – Wydarzyło się dużo złych rzeczy, ale mimo wszystko nie jesteśmy złymi ludźmi. Pozbędzimy się niedobrych wspomnień i zaczniemy życie od nowa. Będziemy szczęśliwi, zobaczysz.

Esko poczuł, jak statek zaczyna wibrować i pulsować pod jego stopami. Silniki poszły w ruch i wielkie łopaty potężnych śrub okrętowych „Île de France” zaczęły powoli obracać się głęboko pod wodą. Niedługo potem ujrzeli przez okno apar-

tamentu sunący do tyłu zarys Manhattanu, ostro odcinający się od jeszcze błękitnego nieba. Esko wiedział, że oboje muszą stawić czoło pewnym sprawom, ale postanowił odłożyć to na później. Ten wieczór i noc miały należeć wyłącznie do nich. Bez słowa wziął Katerinę na ręce i zaniósł do łóżka.

Następnego dnia przed lunchem Esko znalazł Mantiliniego w barze pierwszej klasy. Paul siedział sam, palił papierosa i sącył whiskey. Słyszając skrzypnięcie drzwi, podniósł wzrok znad swego czarnego notesu i w wiszącym za kontuarem baru lustrze z lekko matowego szkła obserwował, jak Esko idzie ku niemu i siada obok.

– Nie jesteś chory? – zapytał, przenosząc spojrzenie na malowidło ścienne nad lustrem, przedstawiające postaci w szybkim tańcu, prawdopodobnie w rytm jakiejś jazzowej melodii. Niektóre z nich leżały na podłodze, inne podnosiły się, jeszcze inne wirowały, posłuszne muzyce. – Nie przyszedłeś na kolację.

– Nie mam skłonności do choroby morskiej – rzekł Esko. – A ty?

– Nie. Ocean nie robi mi krzywdy. Jesteśmy prawdziwymi szczęściarzami, prawda? – Mantilini uważnie oglądał swoje wypielęgnowane dłonie o długich palcach, spoczywające na błyszczącym kontuarze, tuż obok popielniczki, do której odłożył papierosa. – Zgadnij, kogo widziałem przed chwilą na pokładzie?

– Widziałeś Kate Małyszewą – odparł spokojnie Esko, przywołując barmana. – I wiesz już, że była żoną MacCormicka, człowieka, którego zabiłem. Tak, mamy romans. Tak, byliśmy kochankami już wtedy, gdy zastrzeliłem jej męża. Tak, Kate mieszka ze mną.

Mantilini zakołysał się na barowym stołku, ze świstem wypuszczając powietrze spomiędzy warg. Parsknął głośno, może gniewnie, a może z politowaniem, i westchnął ciężko. Potem przycisnął palce do skroni i mocno potarł oczy. Żyłki na jego szyi nabrzmiały i zaczęły pulsować.

– Ty idioto – powiedział. – Ty pieprzony idioto! Jezu, Esko... – Potrząsnął głową, wycierając dłonią usta. – Co jeszcze powinienem wiedzieć?

- Nic. To wszystko.
- To wszystko! Jeezuuu...

Mantilini zerwał się na równe nogi. Chyba miał zamiar kopnąć stołek, ale wszystkie były przyśrubowane do pokładu, więc się rozmyślił. Poprawił krawat, krótkim spojrzeniem w lustro sprawdził, czy dobrze wygląda, rzucił uśmiech barmanowi i szybko się opanował.

– Czy nadal chcesz, abym wybudował ci dom? – zapytał Esko.

Paul pogroził mu palcem.

– Nie drażnij mnie, Esko, nie drażnij, bo jeżeli przesadzisz, to zaraz po powrocie wybudujesz mauzoleum, w którym zamuruję twoje zwłoki. Czy teraz powiedziałaś mi już wszystko?

- Wszystko.
- Lepiej, żeby to była prawda.
- Mówię prawdę.

Mantilini wrócił na stołek przy barze, położył przed sobą czarny notes i wyjął złoty ołówek. Dokonał jakiegoś błyskawicznego obliczenia, zapisując i dodając liczby, potem zaś energicznie zatrzaskał notes.

– Chodźmy – rzekł z uśmiechem, który był teraz odrobinę bardziej ostrożny, zupełnie jakby Esko odebrał mu jego zwykłą pogodę i jasność. – Chcę przedstawić ci moją żonę i dzieci.

Później Esko opowiedział Katerinie, co zaszło między nim i Mantilinem.

– Nie podobało mu się to, ale z jego punktu widzenia i tak niczego to nie zmienia. Tyle że zapewne od dziś nie będzie mi całkowicie ufał.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytała, biorąc go pod ramię.

Spacerowali po pokładzie, zmagając się z ostrym wiatrem. Atramentowe chmury wisiały nisko nad statkiem, niebo obniżyło swój pułap, łącząc się z oceanem.

– Nie – odpowiedział Esko i nagle uświadomił sobie, że nie mówi prawdy. Bardzo zależało mu, aby Paul Mantilini dobrze o nim myślał. – To nie ma znaczenia.

Trzymając się lin, zmierzali ku rufie. Po drodze spotkali

młodego czarnowłosego mężczyznę, którego chłopięca twarz wyglądała spod daszka włożonej na bakier czapki.

– Jestem pilotem pocztowym – wyjaśnił po angielsku, nieco się zacinając i wskazał im mały wodolot, który właśnie mocowano do parowej wyrzutni katapultowej na dolnym pokładzie. – To moja maszyna.

Kilka dni później, kiedy „Île de France” miał znaleźć się w odległości mniej więcej sześciuset mil morskich od Hawru, wodolot zamierzano wystrzelić z pokładu z pilotem w kabinie. Celem tego opracowanego przez francuskie linie okrętowe eksperymentu było skrócenie czasu dostarczania przesyłek z Nowego Jorku do Paryża o ponad dwadzieścia cztery godziny. Nikt nie był do końca pewny, czy katapulta zadziała zgodnie z oczekiwaniami.

– A jeżeli nie? – zapytała Katerina, mocno ściskając ramię Esko i ogarniając spojrzeniem mały samolocik na tle potężnego Atlantyku, którego wody wznosiły się i opadały, podobne do wyniosłych, zwieńczonych ostrymi zębami grzbietów górskich.

– Wtedy utonę, mademoiselle – odparł młody człowiek.

Esko milczał, poruszony jego dumą, smutkiem i ślepą, nieokiełznaną odwagą.

– Na pewno się uda – odezwał się w końcu. – Wszystko będzie w porządku.

Pogoda poprawiła się i teraz „Île de France” płynął po spokojniejszym morzu. Okazało się, że Charlie Chaplin rzeczywiście płynął z nimi, i pewnego ranka Esko zobaczył go pod wielką salą na pokładzie pierwszej klasy. Wielki aktor był niskim, elegancikiem i przystojnym mężczyzną, teraz już nieco pulchnym, ubranym w garnitur w tenisowe prążki. Jego łagodne oczy z nieśmiałym zaciekawieniem spoczęły na chwilę na twarzy Esko. Chaplin stał obok Mantiliniego, obserwując, jak pilot pocztowy sprawdza maszynę, zdejmując czapkę z daszkiem z głowy i wręcza ją operatorowi katapulty, wkłada hełm oraz obszyte futrem gogle, potem zaś, na cześć gwiazdora, kaczym krokiem obchodzi samolot dookoła, wymachując niewidzialną laseczką. Wszyscy, włącznie z Chaplinem i Mantilinem, wybuchnęli śmiechem i zaczęli głośno klaskać, wyrażając uznanie dla młodego człowieka.

Katerina z całej siły zacisnęła palce na ramieniu Esko. Pilot zatrzaskał zasuwana górną kabinę, a trzask ten żywo przypominał dźwięk towarzyszący zamykaniu drzwi windy. Silnik zaniósł się ostrym terkotem, lotnik poprawił gogle i wysoko uniósł oba kciuki. Wystrzelony z katapulty samolot na moment znikł z pola widzenia, jakby naprawdę spadł z krawędzi statku i runął do oceanu. Katerina jęknęła, lecz zaraz jej oczy rozjaśnił uśmiech, bo znowu dojrzała samolot, sunący brzuchem po falach i wreszcie wzbijający się wyżej i wyżej, niczym strzała wymierzona w słoneczną tarczę.

5

Pociąg toczył się wśród krajobrazu, w którym bardzo szybko zaczęła dominować woda. Była to pora gęstego, magicznego północnego światła. Słońce przed chwilą zaszło, lecz ciemność jeszcze nie zapadła. Nad wysokimi drzewami unosiły się woale mgły, jakby las oddychał, zmęczony długim dniem. Wydawało się, że jeziora podobne do ogromnych oczu, skradły blask milionom gwiazd, które lato wyгнаło z nieboskłonu. Katerina spała, natomiast Esko stał przy oknie przedziału. Jechali na północ z Helsinek, gdzie spędzili trzy dni. Esko spotkał się z Diktoniusem i innymi biznesmenami, planującymi budowę drapacza chmur przy Aleksanterinkatu i cierpliwie udzielił kilku wywiadów dziennikarzom „Hufvudstadsbladet” oraz „Helsingin Sanomat”. Część poczucia obcości, jakie towarzyszyło jego powrotowi do Finlandii, miała swe źródło w tym, że zaraz po przyjeździe Esko odkrył, iż w swoim rodzinnym kraju jest o wiele bardziej znany niż w Ameryce. Dla rodaków był teraz niczym bezpieczna lokata bankowa, doskonały towar eksportowy, który wreszcie można wykorzystać także i w domu. „Architektura albo rewolucja”, napisał w swojej książce Le Corbusier. W Finlandii rewolucja poniosła klęskę i być może dlatego wiele osób pokładało duże nadzieje w architekturze. Esko Vaananen miał im zbudować szklany drapacz chmur w samym centrum stolicy.

W czasie pobytu w Helsinkach Esko i Katerina odwiedzili także budynek Diktoniusa, który wkrótce miał być zburzony. Esko porozumiał się z inwestorami i ustalił, że jego winda, a raczej winda ich obojga, bo tak teraz o niej myślał, zostanie wyjęta z budynku przed rozpoczęciem prac i przesłana statkiem do O'Geehana w Nowym Jorku. Chciał też zdjąć tynki ze swoimi malowidłami i umieścić je wewnątrz ekspresowej windy w drapaczu chmur kompleksu East River.

Na stacji czekała na nich mała czarna bryczka na resorach. Woźnicy nie było nigdzie widać, a koń stał bez ruchu, z cierpliwą obojętnością, jak prawdziwy Fin. Przysadziste nowe budynki stacyjne, świeżo pomalowane, otaczały zaczątki miasta. Kolej wreszcie tu dotarła, co oznaczało początek gwałtowniejszej cywilizacji. Przyglądając się budowanym domom, Esko zauważył, że drewniane belki cięto piłą mechaniczną, nie toporem. Był to najbardziej wyraźny znak nowych czasów. W pobliżu dostrzegł także pocztę oraz mały hotelik.

– Gdzie się podziali ludzie? – zapytała Katerina. – Nie ma żywej duszy...

– I tak panuje tu o wiele większy ruch niż kiedyś, możesz mi wierzyć – rzekł Esko.

Katerina z uśmiechem wzięła go za rękę i zakołysała ich złączonymi dłońmi.

Drzwi hotelu otworzyły się i z wewnątrz wytoczył się stary człowiek. Rozejrzał się nieprzytomnie, potknął i upadł, oślepiiony słońcem. Przez kilka minut leżał na ziemi, wreszcie podniósł się, otrzepał i zawrócił do hotelu z obrażoną, wyniosłą miną, najwyraźniej przekonany, że zasłużył na co najmniej jeden kieliszek. Jest dziewiąta rano i jesteśmy w Finlandii, pomyślał Esko. Świat może próbować wdrzeć się tu wszystkimi możliwymi szparami, ale pewne rzeczy nie zmieniają się nigdy.

Z hotelu wyszedł drugi mężczyzna, woźnica bryczki. Był trzeźwy, w każdym razie takie robił wrażenie, i wkrótce ruszyli, najpierw po gładkiej, betonowej nawierzchni koło stacji, potem po wyboistej leśnej drodze, między srebrzystymi brzoźami nad jeziorem. Był spokojny letni dzień bez śladu wiatru, chociaż co jakiś czas Esko widział fale, przecinające równą powierzchnię

niebieskiego jeziora. Wysoko na niebie trwało nieruchomo kilka pierzastych białych chmurek, słońce przeświecało przez liście. Zapach rozgrzanych słońcem brzoź i suchego siana unosił się w powietrzu, słodki jak wspomnienie niewinności. Idący przez łąkę chłop przystanął na chwilę, zsunął kapelusz z czoła i z ciekawionym spojrzeniem zmierzył przejeżdżającą bryczkę. Esko przypomniał sobie, że Finowie nie przepadają za obcymi. No, cóż, na szczęście on nie był tu obcy, w każdym razie nie całkiem obcy... Tak czy inaczej, nie wiedział, czego może się spodziewać i jakie emocje wywoła jego przybycie. Kiedy bryczka skręciła, oddalając się od jeziora, dłoń Kateriny spoczęła lekko na jego ręce.

– Oto one – powiedział Esko, podnosząc się z miejsca i wskazując dwie wieże kościoła.

Nie usiadł już aż do końca. Bryczka minęła pierwszy z czterech cmentarzy, gdzie kwiaty późnego lata zdobiły nagrobki z czarnego marmuru. To tu pochowana była jego matka. Przejechali obok zarośniętych ruin domu, w którym Esko o mały włos nie zginął podczas pożaru, potem obok drugiego, nadal stojącego domu, z którego pewnej nocy uciekł przed pięściami ojca. Dziwne, ale te wspomnienia nie wydawały mu się już bolesne. Były cieniami wydarzeń i napięć, które go ukształtowały. Teraz, gdy wrócił, miały w sobie nawet coś dobrego i uspokajającego. Wioska była początkiem wszystkiego, czym starał się stać i Esko zrozumiał, że przyjazd do Pyhajarvi to dobry pomysł.

Daleko na łące dojrzał stodołę pomalowaną na czerwono i zbudowaną w starym stylu, z klinami sterczącymi spomiędzy belek. Na tej łące poznał Katerinę.

Na plebanii czekał już na nich zarządca, czerstwy starszy mężczyzna z *puukko* u pasa i z mapą w ręku, uzbrojony we wszystkie informacje, na których Esko zależało – które działki nadal stanowiły własność Vaananenów, a które należały do rolników gotowych sprzedać część swojej ziemi. Przez resztę dnia chodzili po gęstym lesie, wybierając drzewa nadające się do ścięcia i wysłania do Nowego Jorku. W Helsinkach Katerina kupiła mały, mieszczący się w ręku aparat fotograficzny, pathé

9, i od czasu do czasu podnosiła go jak pistolet, utrwalając jakiś widok. Esko gawędził z zarządcą, mocował się z toporem, żartował. Słońce podświetlało ogniście jego włosy. Cieszył się powrotem do krajobrazu swego dzieciństwa i obecnością obserwującej go z miłością Kateriny, Kateriny, którą odzyskał po tylu cierpieniach.

Następnego dnia wielkim czarnym renault z szoferem przyjechał do Pyhajarvi z Vassa Kalliokoski. Postarzały, bardziej siwy, szczuplejszy, zadbany, oczywiście bardziej wpływowy i potężny niż kiedykolwiek. Doskonale pamiętał swoje pierwsze spotkanie z Kateriną, kiedy jako mała dziewczynka przyjechała do Finlandii razem z ojcem. Uściskawszy ją serdecznie, złożył jej kondolencje z powodu straty całej rodziny.

Tylko mimochodem wspomniął o projekcie budowy dwunastu kościołów, z którego Esko zrezygnował, wyjeżdżając do Nowego Jorku, i więcej nie wracał do tego tematu. Stali wtedy w ogrodzie przed plebanią, obok lśniącego dystyngowaną czernią renault.

– Pod pewnymi względami nie zasługujesz na ciepłe uczucia – powiedział, kładąc rękę na ramieniu Esko. – Czasami zastanawiam się, dlaczego tak cierpliwie znoszę wszystkie twoje wybryki. Chociaż nie, właściwie to nieprawda. Dobrze wiem, dlaczego tak się dzieje.

Zwrócił pełne rozbawienia i autoironii oczy ku Katerinie i wziął ją pod ramię.

– Kiedy byłem młody, do szaleństwa kochałem się w jego matce – rzekł bardzo cicho. – Och, naturalnie nigdy do niczego między nami nie doszło, ale gdy umarła, przysiągłem, że zawsze będę nad nim czuwał. Mam nadzieję, że dotrzymałem tej obietnicy, w każdym razie starałem się ze wszystkich sił. – Podniósł nieco głos. – Teraz wszyscy jesteśmy z niego bardzo dumni i cieszymy się, że odniósł taki sukces w Ameryce. Liczę też, że skoro wrócił, to może zastanowi się nad projektem następnego kościoła...

Kalliokoski został na kolacji, w czasie której zabawiał ich dwoje oraz młodego wikarego opowieściami o walkach z bolszewikami. Potem opowiedział im wstrząsającą historię o tym, jak bolszewicy wymordowali kilkuset fińskich socjalistów

i wrzucili ich zwłoki do masowego grobu pod Leningradem, bo tak teraz nazywa się Petersburg. Esko poczuł, jak ogarnia go wielka fala gniewu. Słowa Kalliokoskiego były przypomnieniem faktu, że Finlandia jest dumnym, lecz małym państwem, ściśniętym między potężnymi sąsiadami. Silna, ogromna Ameryka oddychała spokojnie, nie myśląc o problemach narodowej tożsamości, komplikacjach losu i historii. Ameryka miała mnóstwo szczęścia – była młoda, zepsuta, piękna i rozkochana w wielkich gestach. Nic dziwnego, że symbolem architektonicznym tego kraju stał się drapacz chmur...

Esko pociągnął łyk wina, spoglądając na Kalliokoskiego ponad migoczącym płomieniem świecy.

– Miałeś jakieś wiadomości o moim ojcu? – zapytał.

– O Timo? – powiedział powoli Kalliokoski. – W sprawie Timo powinienesz chyba skontaktować się z Anną.

Esko przesunął kieliszek i znowu postawił go na miejscu.

– Z Anną? Nie jestem pewien, co masz na myśli.

– Anna spodziewa się, że się do niej odezwiesz – rzekł Kalliokoski, ignorując zdziwienie na twarzy Esko. – Tylko to mam na myśli, nic więcej.

Po kolacji obaj uściskali się mocno, klepiąc się po ramionach i plecach. Kalliokoski ucałował Katerinę w oba policzki.

– Życzę ci szczęścia, moja droga – powiedział. – Z Bogiem. I opiekuj się nim!

Potem Esko i Katerina patrzyli, jak tylne światła renault znikają w letnim mroku, migając między rzędami wysokich sosen.

– Polubiłam go – szepnęła Katerina.

Było już późno, kiedy wybrali się na długi spacer przez las w kierunku jeziora. Esko niósł kosz, do którego włożyli butelkę wina, korkociąg i dwa kieliszki owinięte w lniane serwetki. Esko ze smutkiem myślał o Annie i zastanawiał się, dlaczego Kalliokoski powiedział, że jeśli chce dowiedzieć się czegoś o ojcu, powinien skontaktować się ze swoją żoną. Nie miał pojęcia, co robić. Od jego wyjazdu z Finlandii upłynęło już ponad sześć lat. Sześć lat! Jakże długo... A korespondencja między nim i Anną ustała bardzo dawno temu...

Znad jeziora napływały pasma mgły, owijając się wokół świerków i brzoź. W tajemniczym, srebrzystym szarym zmroku dostrzegł garbate wzgórki na leśnym podłożu, olbrzymie mrowiska, które tylko czekały, by wessać nogę aż po udo, i wielkie granitowe głązy, rzucone tu przez cofający się lodowiec tysiące lat temu, stanowiące świadectwo nieustannego przemijania. Wraz z nadejściem zimy wszystkie te nierówności, przykryte śniegiem, wyglądały jak grobowce wojowników. A może to tylko Esko tak myślał, gdy był małym chłopcem... Kiedy dotarli nad wysrebrzone księżycowym światłem jezioro, gdzie na piasku leżała mała łódka ze skrzyżowanymi wiosłami, przypomniał sobie, że w dzieciństwie rzeczywiście czasami omijał z daleka niektóre z tych wzgórków, przekonany, iż są to kurhany kryjące kości pradawnych rycerzy.

Fale cicho uderzały o brzeg u ich stóp. Esko spojrział na Katerinę, myśląc o przejażdżkach łódką, na które kiedyś często zabierała go matka. Odpływali z tego samego miejsca. Nagle poczuł, że gdzieś w głębi jego serca zasklepia się stara, boleśnie rwąca rana, jakby coś, co paliło go żywym ogniem cierpienia przez wiele lat, wreszcie doznało ukojenia.

– Weźmiemy łódkę?

– Oczywiście – odpowiedziała.

Za ich plecami w lesie coś trzasnęło głośno, zaskrzypiało, jakaś gałąź pękła z hukiem. Esko odwrócił się, zeszywniały ze strachu i prawie przekonany, że ujrzy wyłaniającego się spośród drzew niedźwiedzia, lecz w tej samej chwili usłyszeli bardzo ludzkie przekleństwa i okrzyki.

– Chłopiec od wigund!

Te słowa natychmiast wywołały z pamięci Esko prawie zapomnianą twarz.

– Turkkila?

Zza rosnących na brzegu zarośli wyłoniła się postać w kapeluszu, z wysoko uniesionymi w jednej ręce butami i butelką czule przyciśniętą do piersi.

– Chłopiec od wigund, słowo daję! Znowu próbujesz ukraść moją łódź? Zrobiłeś to przedwczoraj, pamiętasz?

Przedwczoraj? Dwadzieścia siedem lat temu, pomyślał Esko.

– Turkkila? Czy to naprawdę ty?

Turkkila jedną ręką załopotał kieszenia, jakby szukał zapalek, tytoniu lub czegoś innego, i dopiero potem przypomniał sobie o drugiej ręce, tej, którą tulił do piersi butelkę. Pociągnął ostatni łyk, beknął i rzucił butelkę przez ramię. Szkło zaśniło w ciemności i zniknęło bez śladu i dźwięku, jakby wcale nie upadło na ziemię, lecz zostało pochwycone w powietrzu i uniesione przez fińskiego bożka lasów, pragnącego wysączyć ostatnią kroplę.

Turkkila wydmuchał nos w otwartą dłoń, uważnie ją obejrzał i wytarł w sztywną, błyszczącą klapę swej haftowanej starej kurtki. Potrząsnął prawą stopą, potem lewą i znowu zaczął trzepać się po kieszeniach. Płomyczek zapalki wydobyl z ciemności zapadnięte policzki, podobne do kraterów wulkanów, nos w kształcie rozgniecionej bulwy i jeden kiel, sterczący nad opuchniętą dolną wargą.

– Chłopiec od wigund! – powtórzył, rozprzestrzeniając wokół siebie trudny do zniesienia odór siarki, taniego tytoniu i jakiejś okropnej, pędzonej w domu wódki. – Jak nazywa się to coś, co leci aż do nieba?

– Winda.

– Właśnie, winda. Myślałem o tobie, chłopcze od wigund. Często o tobie myślałem.

Stary pijak hałaśliwie odchrząknął, splunął i zamknął oczy. Niskim, głębokim głosem zaczął śpiewać piosenkę o pięciu chłopcach, którzy opuścili wioskę. Jeden szukał orzechów, drugi miał zbierać pszenicę, trzeci chciał łowić ryby, a czwarty postanowił zapolować na zające. A piąty? Nikt nie wiedział, dokąd poszedł i chociaż czterej pierwsi dawno już wrócili, jego wciąż nie było. Mieszkańcy wioski zorganizowali poszukiwania. Przeszukali wielkie lasy, chodzili po rozległych polach, wyruszyli na wody jeziora, aż w końcu usłyszeli z wysoka głos:

Hej, słuchajcie, tu jestem
chmura trzyma mnie za głowę
syn chmury za nogi
jej wujowie za ramiona
chmury mnie zabrały
złowiły w pułapkę na niebie.

Turkkila otworzył oczy, splunął jeszcze raz, z większym niż poprzednio rozmachem. Piosenka się skończyła. Turkkila przeciągnął palcami pod swoim okropnym nosem i dotknął kapelusza.

– Kto tu jest z tobą, chłopcze od wigund? Kobieta? Wygląda jak tancerka, mała tancereczka. Czy obtańcowała cię dookoła? – zapytał, zginając się wół w ataku kaszlu. – Przepraszam – powiedział w końcu, pociągnął nosem i znowu splunął. – Znalazłeś ją, co? Małą dziewczynkę, która jeździła w samochodzie... Chłopiec od wigund myślał, że uda mu się ukraść tę córkę diabła z piekielnej maszyny. No, może stary Turkkila trochę się pomylił, nie wiadomo. – Zmierzył ich chytrym, przebiegłym spojrzeniem. Jego nozdrza zadrgały. – Co macie w tym koszyku? Butelkę? Nalejcie sobie trochę wina do kieliszków, tylko nie za dużo, a resztę dajcie staremu Turkkili. Stary Turkkila najlepiej lubi pić z butelki...

Katerina, która przez cały czas uważnie obserwowała starego człowieka, teraz wzięła go za rękę.

– Czy w tej piosence chmury puszczają małego chłopca wolno? – zapytała.

– Skąd mógłbym to wiedzieć, panienko – odparł, niespodziewanie zawstydzony. – Weźcie moją łódkę, proszę bardzo.

– Tu jest wino – rzekł Esko.

– Przysługa za przysługę – oświadczył z satysfakcją Turkkila. – Do widzenia, panienko, do widzenia, chłopcze od wigund. I pamiętaj, co ci kiedyś powiedziałem – wystrzegaj się tych tam wind. Unikaj ich jak ognia!

Esko podał Katerinie rękę i pomógł jej usadowić się na rufie. Zepchnął łódkę na płyciznę i wskoczył do środka, potem umocował wiosła w pierścieniach, splunął w dłonie i zaczął wiosłować prężnymi, energicznymi ruchami. Początkowo łódź posuwała się do przodu krótkimi skokami, lecz wkrótce pomknęła gładko po powierzchni jeziora. Katerina odchyliła się do tyłu i zanurzyła dłoń w chłodnej wodzie, nie przejmując się, że zmoczy rękaw sukni.

– Kim jest ten staruszek? – zapytała, nie otwierając przy-mkniętych oczu.

– Turkkila? Kiedyś był grabarzem. Mam wrażenie, że mieszka tu od zawsze. Jeżeli zapytałabyś o to ludzi z wioski, kilkoro z nich z pewnością by ci powiedziało, że faktycznie jest tu od niepamiętnych czasów. Mówią, że potrafi rozmawiać z duchami, i to nie tylko wtedy, gdy wytrąbi całą butelkę wina.

– Przykra historia z tymi windami. – Katerina podniosła powieki i patrzyła na niego z ironicznym uśmiechem. – Bo przecież jesteś architektem, który projektuje drapacze chmur...

– Tak, to rzeczywiście kłopot. – Esko się roześmiał.

Katerina uniosła dłoń. Jej rękaw ociekał wodą.

– Czy to w tym jeziorze utopiła się twoja matka?

Eskko kiwnął głową i mocniej poruszył wiosłami.

– Nie czujesz się tu trochę dziwnie? Teraz, po tak długiej nieobecności?

– Chwilami mam wrażenie, jakby prześladował mnie jakiś duch, ale to ja jestem tym duchem. Spoglądam przez ramię i wszędzie widzę małego Esko.

– Lubiłam małego Esko. Nosił takie zabawne, sztywne ubranie... Ale patrzył na mnie w sposób, którego nigdy nie zapomniałam. Długo trwało, zanim sama nauczyłam się patrzeć tak na innych ludzi, ze świadomością, że oni mogą cierpieć nie mniej niż ja...

Esko zastanawiał się, czy ma zadać jej pytanie, które dręczyło go przez wszystkie te lata. Co naprawdę powiedziała tamtej nocy, bardzo dawno temu? Czy powiedziała: „Przejedź go”? Zdawał sobie sprawę, że nie ma to znaczenia, bo nawet jeśli tak było, teraz nie myślała w ten sposób i nigdy już tak nie pomyśli.

– Czy wrócisz kiedyś do Petersburga, Leningradu, czy jak tam musimy nazywać twoje miasto?

– Dla mnie Petersburg to Petersburg i nigdy nie będzie inaczej. Wracam tam każdej nocy, ale tylko w snach.

Esko wyciągnął wiosła z wody i ułożył je na dnie łodzi. Potem ostrożnie przeszedł na rufę i usiadł obok Kateriny, tak aby mogli na w pół leżeć w swoich ramionach i patrzeć w górę, usiłując wypatrzeć jedną gwiazdę w dziwnej szarości letniego nieba. Drobne fale rozbijały się o burtę. Dwa ptaki, żurawie, nawoływały się gdzieś daleko, tuż nad wodą wędrował zapach

ogniska. Wydawało się, że od Nowego Jorku i drapacza chmur dzieli Esko coś więcej niż tylko ocean. Gdyby przeniósł spojrzenie odrobinę w lewo, ujrzałby wyśniony drapacz chmur z okresu swego dzieciństwa, wznoszący się nad jeziorem.

– Przez wiele lat wiedziałam, jak być sama, jak być wobec siebie surową i milczącą. Chcę, żeby teraz to się zmieniło. Chcę, żebyśmy byli razem, Esko. – Palce Kateriny lekko muskały jego pierś. – Myślisz, że moglibyśmy?

– Oczywiście.

– Nie wiem, czy okaże się to możliwe, ale chciałabym, żebyśmy mieli dziecko.

Esko poczuł, jak ogarnia go wielka fala radości. Całe jego ciało pulsowało radością letniej nocy.

– Zamawiam sobie dziewczynkę – powiedział poważnym głosem. – Będę ją kochał, a ona będzie mnie uwielbiała. I będzie musiała nauczyć się grać na fortepianie.

– Moja matka była dobrą pianistką – rzekła Katerina.

– Takie zdolności są dziedziczne. Córka Vaananenów będzie bardzo muzykalna. Gdzie się urodzi?

– W Ameryce, naturalnie. Jak najbliżej twojego drapacza chmur.

– Powiem jej, że jej matka jest najpiękniejszą kobietą świata i że wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla niej. Aż do dzisiaj, powiem. Bo od dziś będę pracował także dla mojej dziewczynki. Tak jej powiem...

Rozmawiali przez wiele godzin, pływając łódką po spokojnym, gładkim jak szklana tafla jeziorze. Marzyli o przyszłości z optymizmem, wierzyli w swój dobry los i wierzyli w siebie. Trzymali się w ramionach aż do świtu, kiedy słońce znowu pojawiło się na niebie, które nigdy nie okrywało się zupełną ciemnością.

6

Anna nie nosiła już prostej i skromnej złotej obrączki, którą Esko wsunął jej na palec ponad sześć lat temu. Jej ramiona były dumnie wyprostowane, wyglądała znakomicie. Stała za biurkiem

w swoim gabinecie, spokojnie obserwując zbliżającego się Esko. Wiedział, jak boleśnie ją zranił, a teraz patrzył, jak zmaga się z tym cierpieniem. Wreszcie mięśnie jej ramion rozluźniły się nieco, a z piersi wyrwało się ciche westchnienie.

– Esko Vaananen – odezwała się, wychodząc zza biurka. – Esko Vaananen...

Mocno chwyciła obie dłonie Esko i długo wpatrywała się w jego twarz, porównując każdy zapamiętany szczegół z rzeczywistością, jakby chciała się upewnić, że jej mąż nie jest duchem.

– A więc jesteś! Tak, to naprawdę ty! – Zaśmiała się i wspięła na place, aby pocałować go w policzek.

Esko przytulił ją mocno. Niepokój, jaki budziła w nim myśl o tym spotkaniu, odpłynął w jednej chwili.

– Przepraszam, Anno. Przepraszam za wszystko.

– Ciiii... – powiedziała, ruchem dłoni nakazując mu milczenie. – Znam cię, Esko i wiem, że jest ci przykro. Mnie także. Mamy wiele spraw do omówienia, ale najpierw chciałabym ci się spokojnie przyjrzeć.

Cofnęła się o krok i znowu ogarnęła go uważnym spojrzeniem, tym razem pełnym nie miłości, lecz błyskotliwej inteligencji.

– Dużo się wydarzyło, prawda? Musisz mi wszystko opowiedzieć. Widziałam zdjęcia twojego projektu East River. Jest wspaniały, po prostu świetny.

Esko przeniósł ciężar z jednej stopy na drugą, jednocześnie zawstydzony i ucieszony jej pochwałami, i szybko rozejrzał się po gabinecie. Były tu deski kreślarskie, dwa ciężkie dębowe biurka, kaflowy piec, teraz oczywiście zimny, i duże okna, szeroko otwarte, aby wpuścić do środka jak najwięcej ciepłego, nagrzanego słońcem powietrza. To duże, uporządkowane wnętrze przypominało Esko pracownię Arnefelta i Bromberga. Naturalnie, na ścianach wisiały zupełnie inne szkice – tu były to projekty kościołów, koszar wojskowych, szkoły, kilku domów, wszystkie w prostym, modernistycznym stylu. W rogu pokoju wisiał oprawiony pierwszy szkic projektu kościoła Cienia św. Krzyża, który wyszedł spod ręki Esko.

– Doskonale sobie radzisz – zauważył.

– Jesteśmy pionierami – odparła, wruszając ramionami z typową dla siebie autoironią, chociaż rzeczywiście świetnie jej się powodziło. Założyła biuro projektów wraz z trzema innymi kobietami architektami. – Na początku trzymałyśmy wszystkie pieniądze w starym pudełku po cygarach, żeby ta, która akurat była w potrzebie, mogła trochę wziąć. Byłyśmy biedne jak myszy kościelne...

Przez pewien czas rozmawiali o młodych współpracownikach Anny, o projekcie drapacza chmur dla Helsinek, o East River Plaza, o Ameryce, o nowych rzeczach, które budowano teraz w Finlandii. Esko uświadomił sobie, że mimo tych wszystkich rzeczy, które się między nimi wydarzyły, nadal może rozmawiać z Anną o wszystkim w całkowicie naturalny i niewymuszony sposób. Potem Anna zaproponowała mu wspólny spacer, więc poszli w dół ulicy Marienkatu w stronę portu u stóp wzgórza, nadal rozmawiając i ciesząc się swoją obecnością. Był piękny, typowy dla Helsinek letni dzień – ciepły, lecz z mocnym wiatrem od morza. Przechodzili przez Plac Senatu, kiedy Anna przystanęła i chwyciła go za ramiona.

– Kalliokoski powiedział mi, że przyjechałeś z Kateriną – rzekła. – To chyba znaczy, że chcesz dostać rozwód.

– Ta sama dawna Anna! – Roześmiał się, rozbrojony jej intuicją i szczerością. Tego samego ranka właśnie o tym rozmawiał z Kateriną. – Nie uciekaj przed bykiem, jeżeli możesz chwycić go za rogi – oto twoje motto.

– Więc jak? Chcesz dostać rozwód?

– Tylko wtedy, jeżeli zgodzisz się go dać.

– Ten sam dawny Esko. Chcesz dostać to, na czym ci zależy, ale jednocześnie pragniesz zostać przyzwoitym facetem, a ja mam ci w tym pomóc, prawda?

– Anno, nie chcę się z tobą kłócić.

– Więc nie będziemy się kłócić – powiedziała zdecydowanym tonem. – Ale ty też musisz mi pomóc. Sądzę, że Kalliokoski wspominał ci, iż twój ojciec wrócił do Helsinek. Sześć miesięcy temu służba bezpieczeństwa aresztowała większość członków komunistycznego podziemia. Nie udało im się dopaść Timo.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – rzekł Esko. Ojciec należał do mistrzów sztuki ucieczki.

– Timo się ukrywa...

– I przyjął pseudonim „Offermans” – dodał Esko.

Anna spojrzała na niego z nieukrywanym zdumieniem.

– Skąd o tym wiesz, na miłość boską?

Esko wzruszył ramionami.

– To rodzinna tradycja.

– Chcesz się z nim zobaczyć? – zapytała.

– Kiedy?

– Teraz.

Esko spojrzał na schody prowadzące do katedry, wspominając człowieka, który zginął na nich, zastrzelony przez jednego z towarzyszy Czerwonego Timo. Był przekonany, że nie chciał spotkać się z ojcem, nie chciał go więcej widzieć. Takie spotkanie nie było ani pożądane, ani potrzebne, ale skoro Annie na tym zależało...

– Jeżeli mogę ci w ten sposób pomóc, to oczywiście...

– Dziękuję, Esko.

– Ale właściwie... W jaki sposób ma ci to pomóc, Anno?

– Zobaczysz – odpowiedziała. – Jest trudnym, nieznośnym człowiekiem. I bardzo dzielny.

Poprowadziła go między stojącymi w porcie straganami z kwiatami, obok kamiennej figurki pulchnej, urokliwej syrenki Vallgrena, przez tłum przechadzający się po Plantach, wokół delikatnej żelaznej kraty, odgradzającej od ulicy kawiarnię Kappeli.

Podczas wojny i po jej zakończeniu Esko często widywał zdjęcia ojca w gazetach, lecz naprawdę ostatni raz widział go na politycznym wiecu w 1917 roku. Jego wcześniejsze wspomnienie o Timo pochodziło sprzed ponad dwudziestu pięciu lat – zapamiętał go stojącego u stóp dzwonnicy kościoła w Pyhajarvi, z uniesioną do ciosu pięścią. Teraz Timo był starym człowiekiem o pomarszczonej, pooranej bruzdami twarzy i białych jak śnieg włosach, już nie długich, lecz krótko ostrzyżonych.

Znajdował się w odległości mniej więcej dziesięciu metrów

od Esko. Stał na czworakach w trawie, wykonując rytmiczne ruchy ramionami i sapiąc jak lokomotywa.

– Czu, czu, czu, czu! – krzykiwał.

– Nie, dziadku – odpowiedział mały chłopiec. Miał może trochę ponad pięć lat, jasne włosy i poważny, skupiony wyraz twarzy. Ubrany był w skórzane buciki, niebieskie spodniki i grubą niebieską koszulę, którą wiatr wydał jak żagiel, kiedy mały podbiegł po trawie do Timo i pchnął go w pierś. – Ty jesteś wagonem, a ja lokomotywą. Masz jechać za mną, rozumiesz?

Esko zamknął na sekundę oko, a gdy znowu je otworzył, wydało mu się, że cała konstrukcja znanego mu świata pękła i załamała się, przy czym kolejne filary, podtrzymujące ten świat waliły się na ziemię wraz z każdym ruchem jego syna. Wiedział bowiem, że jest to jego syn. Nie musiał pytać. Ta informacja zakodowana była głęboko w jego sercu.

– Jak ma na imię? – zapytał ochryłym, cichym głosem, który z trudem udało mu się wydobyć ze ściśniętego gardła.

– Sakari – odparła Anna.

– Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś? Pisałaś te wszystkie listy i ani słowem o nim nie wspomniałaś...

– Poszedłem własną drogą, Esko, i miałem po temu ważne powody. Nie chciałam cię szantażować. A poza tym... Czy to by cokolwiek zmieniło?

Esko był wstrząśnięty, ponieważ nie znał odpowiedzi na to pytanie. Czy wiadomość o narodzinach jego syna cokolwiek by zmieniła? Czy opuściłby Nowy Jork i wrócił do Finlandii?

– Może rzeczywiście nic...

– Za to teraz masz szansę wszystko zmienić – powiedziała Anna. – Sakari! Sakari! – zawołała, machając ręką.

Mały chłopiec ruszył pędem w jej stronę, ramionami mieląc powietrze jak wiatrak i trzymając w obu dłoniach małą drewnianą kolejkę. Niósł ją z takim namaszczeniem, jakby było to niezwykle cenne trofeum, które przed chwilą zdobył i zamierzał ofiarować matce.

– Mamo! Zobacz, co dał mi dziadek! – zawołał pewnym, poważnym i pełnym energii oraz entuzjazmu głosem.

– Ho, ho, niezła kolejka – rzekła Anna, delikatnie targając jasne włosy synka i klękając przed nim na trawie. – Sakari, skarbie, pamiętasz, o czym rozmawialiśmy przy śniadaniu? Przywitaj się ze swoim tatą.

Anna wstała, Sakari zaś pospiesznie ukrył się za jej spódnicą, zerkając zza niej na Esko intensywnie niebieskimi oczami, które były raczej zaciekawione niż przestraszone.

– Jest bardzo brzydki, mamó. Ma tylko jedno oko. Czy jest piratem?

– Dobre pytanie – rzekł Timo, robiąc krok do przodu. – Witaj, Esko.

Esko przez chwilę wpatrywał się w dłoń ojca, zanim zamknął ją w swojej.

– Sakari wygląda dokładnie tak jak ty w jego wieku. Mały chuligan.

Esko kiwnął głową, nie spuszczając wzroku z syna. Słowa ojca nie wywarły na nim żadnego wrażenia.

– Sakari, zostawię cię teraz na trochę z twoim ojcem – odezwała się Anna, odgarniając chłopcu włosy z czoła. – Bądź bardzo, ale to bardzo grzeczny, dobrze? I nie martw się, przez cały czas będę blisko. Może tata zabierze cię na ciastko albo na lody, co ty na to?

Sakari rzucił jej niepewne spojrzenie.

– Mamó! – zawołał głośno, kiedy Anna wzięła Timo pod rękę i zaczęła się oddalać.

– Co się stało? – Anna odwróciła się zaniepokojona.

Sakari zmobilizował całą swoją siłę woli i odwagę. Podniósł głowę i uśmiechnął się lekko drżącymi wargami. Jest prawdziwym Finem, pomyślał Esko z dumą.

– Do zobaczenia później! – krzyknął chłopiec do matki, machając ręką.

Esko, pozostawiony oko w oko z tą małą, ubraną w niebieski strój osobą, swoim synem, uświadomił sobie, że nagle musi wykazać się przytomnością umysłu w dziedzinie, o której nie miał najmniejszego pojęcia. Zakasłał.

– No, Sakari, więc jak? Pójdziemy na lody? – Ledwo wypowiedział te słowa, a już zdał sobie sprawę, że brzmią bardzo sztywno, nienaturalnie, prawie przypochlebnie. Uklękął przed

chłopcem na trawie i spojrzał mu prosto w oczy. – Dlaczego masz na sobie taką grubą koszulę, na miłość boską? – zapytał. – Nie jest ci w niej za gorąco?

– Lubię, jak jest mi gorąco – odpowiedział mały, marszcząc brwi. – Lubię być spocony. Dlaczego płaczesz?

– Nie wiem. – Esko pospiesznie przełknął łzy. – Pamiętaj, żebyś ty nigdy nie płakał.

Sakari potrząsnął głową, wyraźnie przerażony na samą myśl o tak otwarcie okazanej słabości, szeroko otwierając niebieskie oczy. Esko pomyślał, że chłopiec trochę udaje. Na pewno te aktorskie skłonności wyzwołyły się w nim pod wpływem Timo. Trzeba je będzie ukrócić.

– Nigdy – powiedział Sakari. – Ja nigdy nie płacę.

– To dobrze – rzekł Esko. Nie wątpił, że mały czasami jednak płacze, lecz uroczyście obiecał sobie, iż dołoży wszelkich starań, aby nigdy nie stać się przyczyną jego smutku. – A teraz chodźmy na lody. Wiesz, gdzie tu można je kupić?

Sakari pokręcił głową. Jego jasne loki pofrunęły raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Na stacji kolejowej! – wykrzyknął Esko z satysfakcją.

Sakari wydał triumfalny indiański okrzyk.

7

– Musisz zostać i lepiej go poznać – powiedziała Katerina. Oczy miała spuszczone, aksamitne wargi ściągnięte.

– Ty też zostaniesz?

– Nie – powiedziała cicho, bardzo zdecydowanym tonem. – Wrócę do Nowego Jorku.

– Beze mnie? – zapytał.

Starsza pani w kapeluszu ozdobionym piórami odwróciła się, zaskoczona jego podniesionym głosem, kładąc palec na ustach. Było późne popołudnie tego samego dnia. Katerina i Esko byli w galerii Muzeum Ateneum. Stali przed odlaną z brązu statuetką tańczącej dziewczyny, wirującej w lekkiej jak płomień sukni. Przez głowę Esko przemknęła nagle myśl, że Katerina być

może chciała tu przyjść właśnie po to, aby powiedzieć mu o swojej decyzji. W końcu muzeum nie jest miejscem, w którym można robić gwałtowne, rozdzierające serce sceny.

– Bardzo panią przepraszam – powiedział, przepraszając unosząc kapelusz i uśmiechając się do starszej pani. – Wrócimy do Nowego Jorku razem, Katerino – szepnął.

– Masz syna – odezwała się cicho. – To wspaniała nowina. – Ruszyła powoli dalej, podnosząc wzrok dopiero wtedy, gdy zatrzymali się przy następnej rzeźbie Vallgrena, kolejnej dziewczynie w powłóczyściej sukni. Ta klęczała przed jakimiś drzwiami, błagając, aby je otworzono. – Wiesz, jak to jest, kiedy dorasta się bez ojca. Twój Sakari musi stać się częścią naszego życia.

– Oczywiście, stanie się nią – rzekł Esko, zaniepokojony jej chłodnym tonem i jednocześnie szczęśliwy, że Katerina mówi o ich wspólnym życiu. Było w niej teraz coś, co nie do końca rozumiał, jakiś dziwny dystans. Naturalnie, nie spodziewał się, że zażąda, aby nigdy więcej nie spotykał się z Anną i Sakarim, poświęcając swój czas wyłącznie jej, czcząc ją i podziwiając, bo Katerina była na to zbyt trzeźwa, rozsądna i opanowana. Lecz z drugiej strony w głębi duszy miał nadzieję, że jego ukochana właśnie tak się zachowa, dając mu w ten sposób do zrozumienia, iż naprawdę potrzebuje jego miłości. Tak czy inaczej, nie przyszło mu do głowy, że w ogóle nie okaże zaskoczenia czy niepokoju. – Nie masz mi za złe całej tej sytuacji, Katerino? Na pewno?

– Dlaczego miałabym mieć ci to za złe? Ożeniłeś się z Anną, bo byłeś przekonany, że nie żyję.

Nagle przyszło mu do głowy coś jeszcze.

– Anna wcale nie chce, żebym do niej wrócił. Może pomyślałaś, że...

– Muszę wrócić do Nowego Jorku – przerwała mu spokojnym, cierpliwym tonem. – Moja wystawa przenosi się wkrótce do Chicago.

– Popłynę z tobą – powiedział. – O’Geehan najprawdopodobniej niepokoi się moją długą nieobecnością.

Położyła dłoń na jego rękawie, oparła się o niego z tolerancyjnym uśmiechem.

– Dopiero wczoraj mówiłeś, że O’Geehan nie cierpi, kiedy zbyt często pokazujesz się na budowie. Nie musisz własnoręcznie wbijać każdego nitu, prawda? Drapacz chmur stanie i bez ciebie, doskonale o tym wiesz.

– Myślałem, że chcesz, żebyśmy byli razem. Rozmawialiśmy o tym...

– I będziemy razem, możesz być tego pewien. Ale teraz w grę wchodzi także dobro dziecka, twojego dziecka. Boisz się, że mnie stracisz, Esko?

– To chyba oczywiste.

– Kiedy miałam w ręku broń, wybrałam ciebie – szepnęła, rozglądając się dookoła. – Dlaczego więc teraz sądzisz, że mogę zmienić zdanie?

Przeszli do następnej sali i przystanęli przed obrazem zatytułowanym „Ogród śmierci”. Była to humorystyczna scena, przedstawiająca trzy kościotrupy, z czułością pielęgnujące dziwne doniczkowe rośliny o bladych, delikatnych kwiatach. Katerina uśmiechnęła się lekko.

– Może właśnie w takim miejscu dusze zmarłych czekają na przyjęcie do nieba – powiedziała.

Esko na moment przyłożył dłoń do czoła. Nie miał ochoty rozmawiać o sztuce.

– Moglibyśmy stąd wyjść? – zapytał.

– Podobają mi się te obrazy.

Westchnął.

– Naprawdę chcę spędzić trochę czasu z Sakarim.

– Więc to już postanowione – zauważyła Katerina.

– I bardzo chciałbym, żebyś została ze mną w Helsinkach.

Odrzuciła do tyłu głowę i zamknęła oczy.

– Rozmawialiśmy już o tym.

– Nie mam zamiaru puścić cię samej...

– Proszę cię, puść mnie – jęknęła cicho.

– ...ani na chwilę – dokończył. Zacisnął palce na jej ramieniu, zanim ostatnie słowa w pełni do niego dotarły. Proszę cię, puść mnie, powiedziała... Opuścił rękę i cofnął się o krok. – Chcesz wracać sama, prawda?

– Muszę ci coś wyznać... – zaczęła.

Miał wrażenie, że jej twarz oddala się od niego, jakby patrzył na nią przez niewłaściwy koniec teleskopu.

– Co takiego?

Próbowała wziąć go za rękę, ale teraz to on był sztywny i oficjalny. Znowu wróciły do niego tamte słowa sprzed lat. Przejedź go...

– Nie chciałam ci tego mówić. – Jej chłód i opanowanie zniknęły w jednej chwili. Zadrżała, a kiedy podniosła oczy, zobaczył, że są pełne łez. Wzięła głęboki oddech. – Dziś rano, kiedy wybrałeś się na spotkanie z Anną, poszłam za tobą. Szłam drugą stroną ulicy, z kamerą w rękę. Przyszło mi do głowy, że nakręcę krótki film – Esko w Helsinkach. Wiem, że brzmi to dziwnie, może nawet głupio, ale ja właśnie tak przeżywam rzeczywistość, tak radzę sobie ze światem. Z wielką dumą obserwowałam, jak idziesz szybkim krokiem, mijając innych przechodniów i zerkając na budynki. Oto mój mężczyzna, myślałam sobie. Z wyrazu twojej twarzy potrafiłam bez trudu odgadnąć, które domy ci się podobają, a które nie. Kiedy wszedłeś na górę, do biura Anny, czekałam na dole, a potem poszłam za wami przez plac, obok kościoła, do parku. Nakręciłam kilka ujęć, na których jesteś z Sakarim, ale zaraz potem przestałam filmować... Był tam pewien mężczyzna... Stary, siwowłosy człowiek...

Głos Kateriny zamarł. Zapadła cisza.

– To mój ojciec – odezwał się Esko, ujmując jej dłoń i muskając ją wargami. – Katerino, o co chodzi? – zapytał, przerażony na myśl o tym, co mogłaby mu powiedzieć.

– Nigdy wcześniej nie widziałam twojego ojca, ale wiem, kim był. Komunistą. Bolszewikiem. To on próbował kiedyś zabić mojego ojca. Wszystko to razem jest takie dziwne... – Z trudem przełknęła ślinę, zamykając oczy i mocno przyciskając wewnątrz swojej zimnej dłoni do jego ust. – Przepraszam cię, Esko... – Potrząsnęła głową, westchnęła. – Nagle ogarnęło mnie jakieś straszne uczucie, uczucie, którego nie ma nawet w moich wspomnieniach... Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Znowu byłam w Petersburgu. Widziałam, jak duża mosiężna klamka w drzwiach do naszego domu porusza się... Potem drzwi otwo-

rzyły się z hukiem i do środka wpadli tamci... Widziałam moją matkę z poderżniętym gardłem... Mój tata... Patrzyłam na twojego ojca i czułam zimne ostrze noża, wbitego między moimi nogami... Patrzyłam na niego i myślałam, że umrę...

Esko objął ją mocno i przytulił do piersi. Jego ręce gładziły jej głowę. Słabe ciepło jej ciała wydawało się gasnąć pod cienką letnią sukienką.

– Był jednym z nich?

– Nie – odpowiedziała, przyciskając twarz do jego piersi. – Ale kiedy go zobaczyłam, wróciłam do tamtych chwil. Całe moje ciało wróciło do tamtego wieczoru.

Esko wreszcie zrozumiał, dlaczego Katerina nie mogła zostać ani chwili dłużej w Helsinkach. Zawstydzony swoimi początkowymi wątpliwościami, zabrał ją do hotelu. Nadal upierał się, że wróci z nią do Nowego Jorku.

– Nie – powiedziała. – Musimy skończyć z tym, co złe. Może zło nas nie opuści, może to po prostu niemożliwe, ale musimy spróbować. Odnaleźliśmy się, a teraz ty odkryłeś, że masz syna. Musisz zacząć budować życie dla nas trojga. Potrafisz to zrobić, prawda, Esko?

Północ zastała ich pod kopułą dworca kolejowego w Helsinkach. Esko wniósł walizki Kateriny do przedziału sypialnego pierwszej klasy, tuż za lokomotywą. Chociaż niebo było dość jasne, zrobiło się chłodno. Katerina włożyła beret i podniosła kołnierz płaszcza. Esko starał się zachowywać zupełnie normalnie. Po powrocie do hotelu kochali się i celowo przyjechali na dworzec późno, starając się skrócić smutne chwile pożegnania. Dookoła nich przechodzili pasażerowie i bagażowi, w powietrzu unosiła się para oraz zapach oleju i węgla. Katerina jechała pociągiem do Turku, stamtąd promem do Sztokholmu, potem zaś statkiem do Hawru i Nowego Jorku. Drzwi się zatrzasnęły, rozległ się ostry gwizd i Esko w końcu wyrwał się z jej ramion, w ostatniej chwili zeskakując na peron.

– Do zobaczenia za parę tygodni, kochany – powiedziała, posyłając mu pocałunek.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

- Spokojnej podróży. Uważaj na siebie.
- Kocham cię.

Trzymając jej wysuniętą przez otwarte okno dłoń, przyspieszył kroku i zaczął biec wzdłuż peronu. Biegł, dopóki pęd pociągu nie wyrwał jej palców z jego uścisku, a potem patrzył w ślad za wagonem, machając wysoko uniesioną ręką, tak długo, aż jej głowa stała się malutką kropką, zamazanym punktem i wreszcie znikła zupełnie, zasłonięta oddalającymi się wagonami.

8

Noce stawały się coraz dłuższe, nad Helsinkami gromadziły się chmury, temperatura spadła i zaczął padać deszcz, najpierw kapuśniaczek, później ulewa. W ciągu kilku dni koniec krótkiego fińskiego lata stał się początkiem wczesnej fińskiej jesieni. Kiedy Esko wychodził z hotelu i spoglądał w kierunku portu, nie mógł dostrzec, gdzie kończy się morze i zaczyna niebo. Powietrze składało się chyba z samej wilgoci. Konie unurzane były po kłęby w błocie, tramwaje pryskały nim spod rozchwianych w pędzie brzuchów, ludzie ślizgali się na bruku, a koła ciężarówek buksowały w błocie i z trudem docierały na ulicę Aleksanterinkatu, gdzie wyburzano już Budynek Diktoniusa, oczyszczając plac pod budowę nowego gmachu.

Esko odkrył, że Sakari uwielbia błoto. Chłopiec z rozkoszą skakał po nim, ślizgał się, a już ze szczególną przyjemnością obrzucał nim Esko. Anna skarżyła się, że ze wspólnych wypraw z ojcem ich syn zawsze wraca ubłocony po szyję, lecz w gruncie rzeczy wcale jej to nie przeszkadzało. Esko napełniał wannę w jej mieszkaniu, sprawdzał, czy woda nie jest zbyt gorąca i kąpał Sakariego, namydlając całe jego ciało i włosy, i ku wielkiej radości małego, polewając go wodą z gąbki. Po skończonych ablucjach otulał chłopca w gruby ręcznik, który Anna wcześniej ogrzewała, starannie wycierał mu głowę i zanosił do łóżeczka, aby przeczytać bajkę na dobranoc. Był zupełnie nieprzygotowany na rozkwit intymności i zaufania między nim i dzieckiem, lecz każde nowe doświadczenie przyjmował z nie-

gasnącym entuzjazmem i wzruszeniem. Anna także była zadowolona, że obaj, Sakari i Esko, pozwolili ogarnąć się uczuciu, które się między nimi narodziło.

– Sakari interesuje się teraz Bogiem – powiedziała do Esko pewnego wieczoru, kiedy Sakari już zasnął, a oni popijali wino w salonie. – Przedwczoraj zapytał, czy Bóg jest zabawką. Chciał wiedzieć, dlaczego nie może go zobaczyć. Powiedziałam mu, że właśnie to, iż nie może Boga ujrzeć, stanowi dowód na to, że jest wszędzie.

Esko nieustannie myślał o Katerinie. W dzień swojego wyjazdu powiedziała, że powinien zacząć budować życie dla nich dwojga i Sakariego. Nie zamierzał zawieść jej oczekiwań. Wyznał Annie, że rozważa możliwość zakupu domu pod Helsinkami, być może starego dworu, który mógłby w ciekawy sposób przebudować. Uznał, że musi mieć jakąś stałą bazę na czas budowy drapacza chmur na Aleksanterinkatu i kościoła, który miał nadzieję zaprojektować dla Kalliokoskiego. Chciał także kupić mieszkanie na Manhattanie. Dlaczego nie, myślał. Był architektem cieszącym się dużym uznaniem i powodzeniem, nic więc nie stało na przeszkodzie, aby planował dalszą karierę na obu kontynentach. Oznaczałoby to, że przez najbliższych kilka lat Katerina i on dużo podróżowaliby między Nowym Jorkiem i Helsinkami, oczywiście, jeśli Katerina w ogóle dałaby się namówić na powrót do Finlandii.

– Katerina prosiła, żebym cię o coś zapytał – powiedział teraz. – Czy Sakari mógłby kiedyś przyjechać do nas do Nowego Jorku i zostać na jakiś czas?

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytała Anna, leniwie sącąc wino.

Siedziała na sofie, z podwiniętymi nogami, a łagodny blask rozpalonego w kominku ognia rozświetlał pokój.

– Przyjechałbym tu po niego, a potem odwiózł go do Helsinek. Albo może ty także przyjechałabyś do Ameryki... Wszystko zależy od ciebie, Anno.

– Zastanowię się nad tym... – rzekła z wahaniem. – No, dobrze. Spróbujemy.

Esko chciał ją poprosić, by ograniczyła Timo dostęp do

Sakariego, ale nie był do końca przekonany, czy to sprawiedliwe, więc zamilkł na chwilę. Anna także uważała, że Timo w stosunku do chłopca jest zbyt zaborczy, ale Timo kochał wnuka i w jego towarzystwie zawsze wydawał się spokojniejszy, rozluźniony i złagodniały. Esko czuł przerażenie na myśl, że wcześniej czy później musi spotkać się z ojcem i uporać się z tym, co ich dzieliło.

Wszystkie dni ze spędzonych w Helsinkach dwóch tygodni były dość podobne do siebie. Rano Esko spędzał kilka godzin z Sakarim. W porze lunchu układał telegramy do Kateriny, które następnie wysyłał, korzystając z uprzejmości przedstawicielstwa francuskich linii oceanicznych w Helsinkach. Potem, kiedy dotarła już do Nowego Jorku, codziennie wysyłał listy na adres przyjaciółki, u której się zatrzymała do powrotu Esko. Usiłował też rozwiązywać na odległość wszystkie trudności, o jakich powiadał go O’Geehan. Popołudnia spędzał w hotelu, szkicując projekty w swoim pokoju, wieczory zaś nieodmiennie należały do Sakariego i Anny.

Dzień przed wyjazdem miał zabrać Sakariego do kina. Kiedy zjawił się w mieszkaniu Anny, zastał tam Timo, ubranego w palto z brązowego tweedu, które wydawało się nie mieścić jego potężnej, kościstej postaci. Białe ręce starego człowieka wystawały z rękawów. Timo przyszedł bez uprzedzenia i poznawszy plany Esko na ten wieczór, natychmiast wprosił się na trzeciego.

– Oczywiście zapłacisz za mój bilet – oświadczył. – A po seansie możesz postawić mi kolację w jakiejś drogiej restauracji. Czy ta knajpa w hotelu Kamp jest tak dobra, jak mówią? Nigdy tam nie byłem.

– Bolszewicy nie są tam mile widziani – rzekł Esko z sarkastycznym uśmiechem, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że został wpuszczony w maliny.

Timo był krótkowidzem, o czym Esko nie wiedział, musieli więc usiąść w pierwszym rzędzie. W czasie seansu pod ich stopami powoli rosły kałuże wody, ociekającej z płaszczy, butów oraz parasoli siedzących wyżej widzów. Sakari wziął Esko za rękę i mocno zacisnął na niej małe palce. Kurtyna się rozsunała,

pomarańczowe światła w sali przygasły, usadzony z boku ekranu pianista energicznie uderzył w klawisze i drżący promień białego światła przebiegł nad ich głowami, odbijając się od białej płaszczyzny. Pierwsze dwa filmy były krótkometrażówkami, w których beznadziejnie gruby mężczyzna bezlitośnie psuł wszystkie plany swego smutnego i chudego przyjaciela. Potem Chaplin szalał na polu golfowym, z zapalem wymachując kijem, kiedy nagle uświadomił sobie, że nie ma piłki. Sakari, Timo i Esko wybuchnęli śmiechem dokładnie w tym samym momencie i śmiali się z takim samym entuzjazmem, prawdę mówiąc ryczeli ze śmiechu, zupełnie jakby gen poczucia humoru odezwał się niespodziewanie w trzech pokoleniach rodu Vaananenów. Esko był rozbawiony faktem, że Timo-rewolucjonista, Czerwony Timo, Timo Rzeźnik zaśmiewa się jak mały chłopiec ze sztuczek człowieka w meloniku i za dużych butach.

– Sam widzisz, Sakari – powiedział Timo, kiedy po skończonym seansie wyszli do holu. – Chaplin to dobry człowiek, przedstawiciel ludu.

Esko zagryzł wargi i przykucnął, aby zapiąć płaszczyk Sakariego i poprawić mu czapkę.

– Za co lubisz Chaplina, Sakari? – zapytał.

– Jest śmieszny – odparł chłopiec, biorąc ojca za rękę.

– Masz rację, synku.

Timo przystąpił do ataku, kiedy odprowadzili Sakariego do matki i przeszedłszy przez Planty, zasiedli przy stoliku w rogu hotelowej restauracji. Esko uświadomił sobie, że jest to ten sam stół, przy którym kiedyś powiedział Oskarowi Brombergowi o swoim zamiarze wyjazdu do Ameryki. Na ścianie nad stołem wisiał ten sam obraz, przedstawiający tych samych pijanych Finów. Timo zerknął na płótno, chrząknął i w milczeniu usiadł. Wygląda staro, pomyślał Esko, lecz zaraz przypomniał sobie, że Timo nadal ma w sobie mnóstwo wścieklej energii.

Timo jadł jak człowiek, który co najmniej od miesiąca nie mógł sobie pozwolić na porządny posiłek. I może faktycznie tak było, pomyślał Esko, zdobywając się na odrobinę litości i obserwując, jak ojciec pochłania kilka śledzi, półmisek łososia i dwie porcje pieczeni wołowej z chrzanem, buraczkami

i ziemniakami. Timo nie żałował też sobie wina i co jakiś czas przywoływał kelnera. Mniej więcej z taką samą częstotliwością spoglądał w kierunku wejścia, jakby się spodziewał, że do restauracji lada chwila wpadnie tajna policja.

– Sakari jest dobrym chłopcem – oznajmił Timo, zamawiając trzecią karafkę wina. – Ty też taki byłeś.

– Serdeczne dzięki, ojcie – rzekł Esko sucho. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że teraz usłyszy długi wykład.

– Podobno jesteś teraz kapitalistą, mój mały Esko. Budujesz biurowce dla biznesmenów.

Esko pociągnął łyk wina. Nie miał zamiaru dać się wciągnąć w dyskusję o architekturze z człowiekiem, który nic nie wiedział o tej dziedzinie sztuki. Mój ojciec jest zwykłym ignorantem, pomyślał i natychmiast zawstydził się swego snobizmu. Postanowił być sprawiedliwy.

– Przysporzyło mi to wielu kłopotów, jeśli chcesz wiedzieć – ciągnął Timo. – Nawet w Moskwie niektórzy towarzysze dopytywali się, czy mam coś wspólnego z Vaananenem, tym architektem.

Esko wyobrażał sobie, że Timo musiał mieć z tego sporo frajdy.

– Zaprosili mnie do udziału w konkursie na projekt nowego drapacza chmur, który chcą postawić ku czci Stalina i partii – powiedział spokojnie.

– Wiem – warknął Timo. – Próbowałem przekonać ich, że jest to kompletnie absurdalny pomysł.

– Jasne. Jakże mógłbyś postąpić inaczej.

– W czasie wojny walczyłeś po stronie Białych – rzekł Timo. – Wstydzę się tego.

– Ojcie, nie mówmy o tym, dobrze?

– Przecież to moje życie. W Rosji zaczyna się właśnie druga rewolucja, Stalin oczyszcza partię ze śmieci. – Timo odchylił się do tyłu w krześle, oparł ręce o blat stołu i pokiwał głową. – Tutaj także może się to jeszcze wydarzyć. To musi się wydarzyć...

Esko ostrożnie przyglądał się ojcu. Wiedział, że nigdy nie będą myśleli w podobny sposób, zdawał też sobie sprawę, że

utopia, której hołdował Timo, na zawsze pozostanie tylko utopia, między innymi dlatego, że jej twórcami i propagatorami byli ludzie przekonani, iż świat można zamknąć w butelce i poprawić go, wstrząsając nią arogancko. Zadawał sobie też pytanie, czy w ogóle ma prawo zabierać głos w tej sprawie, skoro sam osiągnął swoje cele dzięki nieczystemu mariażowi przemocy i wielkich pieniędzy. Szybko doszedł do wniosku, że powinien milczeć. Zresztą, co mógłby powiedzieć? Świat jest jaki jest, i chociaż cel nie uświęca środków, uczciwość i rozsądek w dążeniu do celu są znacznie lepszą gwarancją ostatecznego rezultatu niż mistyczny zapach, wszystko jedno jaki – religijny, polityczny czy chociażby architektoniczny. Takie było zdanie Kirby'ego. Dlatego Kirby wolał wizjonerski pragmatyzm Wrighta od heroicznej czystości środków wyrazu, charakterystycznej dla Le Corbusiera. Esko wiedział, że Kirby miał rację. Świat był tak elastyczny, tak zmienny, raz biały, raz czarny, że najlepszym ze stylów był styl ewolucyjny. Wszelkie dogmaty okazywały się niebezpieczne, ponieważ świat stale zmieniał kształt i formę. Timo zestarzał się, ale nie dojrzał.

Wpatrując się w usta ojca, Esko uświadomił sobie, że od co najmniej pięciu minut wcale go nie słucha.

– Jesteś bardzo milczący, mały Esko. Rozmyślasz o swoich pieniądzach?

– Nie, ojcze. Myślałem o człowieku, którego kiedyś znałem.

Esko nie był pewien, czy Timo stara się go tylko rozdrażnić, czy też w jego słowach kryje się prawdziwa zazdrość, gniew i nienawiść.

– Pamiętasz, kiedy umarła twoja matka, mały Esko?

– Oczywiście.

Oczy Timo zabłysły złowieszczo.

– To był czarny dzień – mruknął, pocierając na policzku zarost, ostry jak papier ścierny. – Najczarniejszy dzień mojego życia. A teraz powiem panu Esko Vaananenowi, amerykańskiemu architektowi, coś, o czym dotąd nie wiedział.

Esko postanowił zignorować zaczepkę.

– I cóż to takiego?

– Twoja matka nie utopiła się w jeziorze.

- O czym ty mówisz?
- Pamiętasz, jak wbiegłeś do środka? Ona tam była. Była w domu.

Serce Esko zakołatało boleśnie i zamarło na chwilę. Gardło ścisnął mu paniczny lęk.

- Nie, to niemożliwe.
- Spaliła się, Esko. Mogłeś ją uratować, ale zawiodłeś. Nie miałeś dość odwagi, dość siły woli...

Esko opanował się w ostatniej chwili. Wygodnie rozparł się w krześle i pociągnął łyk brandy, nie pozwalając, aby Timo się zorientował, jak bardzo wstrząsnęły nim te słowa. Czy rzeczywiście tak właśnie było? Czy naprawdę zawiodł? Wspomnienia tamtego dnia były czyste i ostre, aż do chwili, kiedy wpadł do płonącego domu. Potem nie pamiętał już nic. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał, nie był w stanie wyważyć zamkniętych drzwi pamięci. Czy mały Esko zawiodł swoją matkę? Czy aż tak strasznie ją zawiodł?

Esko przełknął ślinę, wstrząśnięty podłością ojca.

- Posłuchaj, ty stary... – zaczął i natychmiast przerwał, widząc uśmiezek, który wypełził na twarz Timo. Stłumił gniew, wiedząc, że gdyby jego matka rzeczywiście była w ogarniętym płomieniami domu, zrobiłby wszystko, aby do niej dotrzeć. Mały Esko przedarłby się przez każdy ogień, by ją ratować.

- A ty, ojcze? – przemówił spokojnie. – Jak ty się czujesz? Zawiodłeś przecież i ją, i mnie...

Mięśnie twarzy Timo zadrgały nagle i Esko uświadomił sobie coś jeszcze.

- Bardzo ją kochałeś, prawda, ojcze? Kochałeś ją, straciłeś i od jej śmierci starasz się obarczyć mnie winą za to, co się stało. Ale ja nie zamierzam tego dłużej znosić.

Timo szybko zamrugał powiekami, zbyt dumny, aby otwarcie płakać.

- Teraz ja także jestem ojcem. I nie pozwolę ci zatruć Saka-riego nienawiścią, którą w sobie nosisz.

Wargi Timo zadrzały, wygięły się lekko.

- Chcesz powiedzieć, że nie mogę widywać mojego wnuka?

– To byłoby zbyt łatwe, nie sądzisz? Wtedy znowu mógłbyś rzucić całą winę na mnie. Chcę powiedzieć, że chociaż ty i ja nigdy zapewne się nie zrozumiemy, i nie pocujemy do siebie sympatii, musisz zostawić to wszystko za sobą, dla dobra Sakariiego. To trochę tak jak w polityce, więc nie powinno ci sprawić wielkiej trudności.

– Kocham tego chłopca – rzekł Timo. Robił wrażenie dziwnie słabego i starego.

Esko westchnął ciężko, myśląc o wiecznie samotnym życiu ojca, o jego twardej krnąbrności, o nieustannych próbach zmiany świata. Timo także przeżył swoje tragedie.

– Wiem – odparł. – Dlatego od tej chwili starajmy się być dla siebie uprzejmi. Dla dobra Sakariiego.

Timo długą chwilę siedział ze wzrokiem wbitym w kieliszek. Potem podniósł głowę.

– Ja również uważam, że Chaplin jest zabawny – powiedział szybko, prawie dławiąc się tym zdaniem.

Esko skinął głową, pragnąc mieć to już za sobą.

– Wiem, że tak uważasz.

Na ulicy, kiedy uścisnęli sobie dłonie, Esko długo patrzył na swego ojca, który oddalał się w kierunku, z którego jakiś czas temu przyszli. Potem odwrócił się i poszedł do Anny.

Sakari już spał. Esko pocałował synka w czoło i szepnął mu do ucha błogosławieństwo. Rozmawiał z Anną do późnej nocy i rozstał się z nią z uczuciem, że osiągnęli porozumienie, którego jeszcze miesiąc wcześniej nie byłby sobie nawet w stanie wyobrazić. Pobyt w Helsinkach okazał się jednym z najlepszych okresów jego życia. Bardzo tęsknił za Kateriną, lecz wiedział, że już niedługo znowu ją zobaczy i czuł się szczęśliwy, bezpieczny w miłości, która ich połączyła. Wydawało mu się, że chyba rzeczywiście zdoła zbudować dla nich wszystkich nowe życie, nawet jeśli będzie musiał pokonać nieprzewidziane, ogromne trudności.

Esko wszedł na pokład w Hawrze parę godzin przed podniesieniem kotwicy, ponieważ, jak się wkrótce okazało, „Île de France” wypłynął z portu ze sporym opóźnieniem. Nikt nie wyjaśnił pasażerom powodu tego stanu rzeczy, lecz przechadzający się po pokładzie Esko zauważył portowy dźwig, ostrożnie, prawie z czułością przenoszący do jednej z ładowni lśniący, złoty automobil. Rolls-royce, pomyślał Esko i zaraz zapomniał o tym fakcie.

Nim rozpakował rzeczy, poszedł do kabiny radiotelegrafistów i podyktował dwie depesze – jedną do Kateriny, drugą do O’Geehana, zawiadamiając tego ostatniego, że jest już w drodze. Potem wrócił do siebie i rozłożywszy szkicownik na biurku, zauważył, że jego ręka lekko drży. Silniki poszły w ruch i cały statek pulsował życiem. Chwilę później Esko przez bulaj dostrzegł uciekające w tył nabrzeże Hawru, a dalej przetaczające się ciężko fale Atlantyku.

Wziął prysznic i przebrał się do kolacji, potem zaś wypił martini w barze pierwszej klasy i wybrał się na przechadzkę po osłoniętym pokładzie, ponieważ padał deszcz. Nagle przystanął, nasłuchując. Gdzieś niedaleko trzasnęły drzwi. Ledwo słyszalne dźwięki orkiestry tworzyły tło dla jednostajnego warkotu turbin. W sali w głębi korytarza odbywało się jakieś przyjęcie, prawdopodobnie z okazji wyjścia z portu. Przed Esko ciągnęły się stalowe ściany pomalowane na kremowy kolor i długi szereg pokrytych czarnym lakierem drzwi ze złotymi cyferkami.

I wtedy zza rogu wypadł nagle Paul Mantilini. Jego przystojna twarz była opalona, miał na sobie czarny garnitur w szerokie białe prążki, czarne włosy lśniły od brylantyny, a zęby połyskiwały w rekinowatym uśmiechu. Był coraz bliżej. Esko odsunął się na bok. Serce biło mu mocno i szybko, z jakiegoś tylko na wpół uświadomionego strachu.

– Paul... – zaczął, ale Mantilini przemknął, prawie spychając go z drogi.

Szedł bardzo szybko, w charakterystyczny sposób lekko powłócząc nogą. Esko ujrzał Gardellę w kapeluszu umieszczonym

idealnie na środku głowy, mierzącego świat obojętnym wzrokiem, kilku innych stałych członków orszaku Mantiliniego oraz parę nowych twarzy. Uświadomił sobie, że na krótko wstrzymał oddech. Cała ta scena wydała mu się dziwna, prawie nierealna, jak ze snu, kiedy jednak wszedł do jadalni, zajął swoje miejsce i podniósł wzrok, ujrzał, że Mantilini siedzi nie przy kapitańskim stole, pod biblijnym freskiem, lecz w otoczeniu swoich ludzi, przy okrągłym stole w rogu sali. Esko sięgnął po szklanke i napił się wody, pragnąc pozbyć się uczucia suchości w gardle. Dookoła niego ludzie wymawiali nazwisko Mantiliniego z pełną ekscytacją przyjemnością, a nawet z nabożnym podziwem.

- ...Mantilini...
- ...Gubernator siedzi u niego w kieszeni...
- ...Mantilini...
- ...Robi film z Chaplinem...
- ...Mantilini...
- ...Świetnie gra w tenisa...
- ...Mantilini...
- ...Próbuje całkowicie opanować rynek zbytu kawy...
- ...Mantilini... Mantilini... Mantilini...
- ...Zatrzymali statek w porcie specjalnie dla niego...
- ...Mantilini... Mantilini...

Wreszcie Esko postanowił stawić czoło sytuacji. Odstawił szklanke, rzucił serwetkę na stół i przeszedł przez salę, czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych w sali. Gwar głosów nieco przycichł, a kelnerzy spokojnie mijali Esko, roznosząc błyszczące wazy z zupą.

- Paul, o co chodzi? – zapytał Esko.

Mantilini błyskawicznie podniósł wzrok, wycierając usta serwetką. Chwycił napełniony do połowy kieliszek i napił się czerwonego wina.

- O jedenastej – powiedział rozkazującym tonem. – W mojej kabinie.

Esko uważał swoją kabinę za luksusową, dopóki nie zobaczył apartamentu Mantiliniego. Liczni ochroniarze i towarzysze Mantiliniego stali pod ścianami, podobni do poubieranych w dwurzędowe garnitury posągów, z wykałaczkami sterczącymi spomiędzy

warg, jakby celowo upozowani między marmurowymi stolikami, parawanami z jedwabiu, kryształowymi wazonami i obitymi lśniąca satyną krzesłami. Mantilini siedział pośrodku salonu, obok naturalnej wielkości łabędzia wyrzeźbionego z lodu i obitym kawiozem. Pozował do portretu, który artysta, krzepki, energiczny Włoch koło trzydziestki, malował farbami olejnymi. W rogu salonu Ruthie tańczyła w rytm melancholijnej jazzowej melodii, kołysząc swym kuszącym ciałem. Na widok Esko przerwała taniec, aby ponownie nakręcić victrolę. Esko przez chwilę zastanawiał się, jak to się stało, że Mantilini wypłynął z Nowego Jorku z żoną, a wracał z kochanką, i z nadzieją pomyślał, że może fatalny nastrój gangstera z nim nie ma nic wspólnego.

Mantilini przywitał go lekkim skinieniem głowy.

– Malowałeś coś kiedyś, Esko?

– Dawno temu.

– Powiedz mi, co o tym myślisz.

Portret był niezłe namalowany, dość realistyczny, lecz w stylu pozostającym pod wyraźnym wpływem kubistów. Robiło to takie wrażenie, jakby fragmenty twarzy Paula Mantiliniego zostały od nowa zestawione w całość, aby podkreślić barokowe, fascynujące aspekty jego osobowości. Esko był zaskoczony – wybór takiego stylu stanowił dowód wyrafinowanego gustu artystycznego, zaraz jednak doszedł do wniosku, że żadne posunięcia Mantiliniego nie powinny go dziwić.

– Jest bardzo dobry – rzekł. – Myślę, że będzie ci się naprawdę podobał.

Mantilini powoli kiwnął głową, nie okazując choćby cienia satysfakcji.

– Wyjdźcie wszyscy – rzucił rozkazująco. – Wynoście się, ale już. – Oskarżycielskim gestem wymierzył palec w Esko. – Ty zostajesz.

Gardella pospiesznie wyprowadził obecnych.

– Ty też, Gardella – powiedział Mantilini. – I ty, Ruthie.

Gardella kiwnął dużą, okrągłą głową i posłusznie ruszył ku drzwiom, pokazując szerokie, potężne plecy, natomiast Ruthie tylko zmieniła płytę i nakręciła victrolę. Znowu zaczęła tańczyć

i uśmiechnęła się, muskając palcami perły okalające jej delikatną czarną szyję.

– Ruthie – odezwał się Mantilini lodowatym tonem. – Mogłabyś zobaczyć coś, czego nie chcesz widzieć. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi.

Ruthie spojrzała na podłogę, przybrała taneczną pozę i przechyliła głowę na bok, demonstrując bardzo białe, drobne, o idealnym kształcie zęby. Paznokcie miała pomalowane na różowo i wyglądała jak niegrzeczna dziewczynka, która rano zamiast codziennej porcji mleka napiła się opium.

Mantilini przez chwilę przyglądał się jej ze zdumieniem.

– Jak sobie życzysz – mruknął w końcu, kręcąc głową i potrząsając monetami w kieszeni spodni. – Głupia suka...

Potem zatrzasnął drzwi i stanął twarzą w twarz z Esko.

– Rzeka wyrzuciła ciało MacCormicka na brzeg – rzekł ostro. – Policja aresztowała twoją przyjaciółkę, tę Rosjankę. Przyznała się do morderstwa. Przedstaw mi konkretny powód, dlaczego nie miałbym zabić cię teraz, na miejscu, a ją kazać zabić jutro.

Słowa Mantiliniego były jak uderzenie w twarz. Esko cofnął się, podnosząc rękę do niewidzącego oka.

– Kiedy? – wyrzucił z siebie. – Kiedy to się stało?

– Nie masz prawa zadawać mi żadnych pytań! Chcę usłyszeć wyjaśnienie. Dlaczego nie miałbym cię zabić, Esko?

Esko nie wpadł w panikę. Nie usiłował blefować czy wymigiwać się, nie podniósł też dłoni, aby pokazać Mantiliniemu bliznę świadczącą o ich braterstwie krwi. Jeśli chciał ratować Katerinę, musiał utrzymać się przy życiu. Spokój, jaki przyniosła mu świadomość tego celu, ogarnął go jak ciepła fala i natychmiast zapuścił w nim korzenie. Jego spojrzenie stało się czujne, skupione.

– Czekam na odpowiedź – odezwał się Mantilini.

– To nie ja zastrzeliłem MacCormicka – przemówił Esko. – Biliśmy się, tak jak ci mówiłem. Rewolwer upadł na podłogę, Katerina podniosła go i strzeliła do niego.

Mantilini nawet nie drgnął. Esko nigdy nie widział go tak nieruchomego. Po policzku płynęła mu kropla potu. Na moment

zamknął oczy, mięśnie jego twarzy napięły się boleśnie, jakby nie mógł uwierzyć w to, że Esko go okłamał. Został oszukany, wywiedziony w pole. Oszukany tamtej nocy, oszukany później...

– Kazałem jej wyjechać z Nowego Jorku – dodał Esko. – Całą resztę znasz.

Na twarzy Mantiliniego pojawił się zimny uśmiech.

– Nie całą – powiedział. – Co ona wie? Czy wie o mnie?

– Wie wszystko.

Mantilini pochylił głowę, błyskawicznym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął niklowany pistolet.

– Nie powie ani słowa – rzekł Esko cicho.

Z lufy trysnął ogień. Kryształowy wazon podskoczył i opadł na ziemię, roztrzaskując się na drobne kawałki. Dym i zapach prochu wypełniły kabinę, lecz Esko ani na chwilę nie przestał się wpatrywać w twarz Mantiliniego.

– Nic ci nie grozi, Paul.

Mantilini znieruchomiał z dymiącym pistoletem w ręku.

– Jasne, że nic mi nie grozi. Zabiję ciebie i ją. W ten sposób będę zupełnie bezpieczny.

– Katerina jest dumna. Nie wspomni ani o mnie, ani o tobie.

Mantilini znowu wystrzelił, tym razem rozbijając lodową rzeźbę. W powietrzu zatańczyły przejrzyste drzazgi.

– Daję ci słowo, Paul, Katerina nie powtórzy ani słowa z tego, co powiedziałem jej o tobie.

– Nie powtórzy, bo będzie martwa.

Mantilini mierzył teraz prosto w serce Esko.

– Esko ma rację – odezwała się nagle Ruthie. – Ona nic nie powie.

Paul złapał się za głowę, nie wypuszczając broni z ręki.

– Jezu, nie mieszaj się do tego, Ruthie! Nie masz o tym wszystkim zielonego pojęcia, do diabła!

– Znam ją. Będzie milczała, żeby go chronić, chociaż to szaleństwo. – Ruthie dotknęła lekko pereł na szyi. – Czy ty zrobiłbyś coś takiego dla mnie, panie Mantilini? Bardzo w to wątpię. – Znowu nakręciła victrolę i uniosła ręce nad głowę, kołysząc smukłym ciałem w rytm przejmująco smutnego refrenu. – Jesteś tylko pieprzonym, złym gangsterem, którego nic i nikt nie obchodzi.

– Więc co powinienem zrobić? – Mantilini rozłożył szeroko ramiona. – Otaczają mnie sami wariaci, na miłość boską! Och, cholera jasna...

Rzucił pistolet na krzesło, zacisnął dłoń w pięść i mocno uderzył Esko w twarz. Esko runął na podłogę. Kiedy po chwili z trudem dźwignął się na czworaki, z nosa kapąła gęsta krew.

– Masz szczęście, wiesz? – Mantilini rozmasował sobie knykcie. – Zabiła go, no, dobrze. Jeżeli będzie milczała, dostanie wyrok i tak będzie sprawiedliwie. Najlepiej, żeby tak właśnie się stało. – Poruszył ramionami, jakby chciał rozluźnić mięśnie.

Esko oparł się o brzeg stołu, wstał z podłogi i serwetką otarł krew z twarzy.

– Nic z tego – powiedział. – Muszę wydostać ją z więzienia, a ty mi w tym pomożesz.

– Gówno prawda! – wykrzyknął Mantilini.

Esko nabrał palcami trochę kawioru i włożył go sobie do ust, z przyjemnością rozgryzając słonawe grudki.

– Jeżeli odmówisz, powiem glinom, co zrobisz.

Mantilini, którego wściekłość przygasła już kilka minut temu, wsadził ręce do kieszeni i roześmiał się.

– Blefujesz.

– Wcale nie – zaprotestował Esko. – Pójdę do radiotelegrafisty i nadam depeszę o odpowiedniej treści. „Paul Mantilini wrzuca zwłoki finansisty do rzeki”. Jeżeli chcesz mnie powstrzymać, będziesz musiał mnie zastrzelić.

Ruthie zostawiła victrolę, przeszła obok roztrzaskanego lodowego łabędzia, wdzięcznie opadła na krzesło i założyła nogę na nogę. Jej jedwabne pończochy zaszeleściły cicho. Nie chciała stracić ani chwili z tej podniecającej sceny. Zawsze uwielbiała tańczyć na krawędzi niebezpieczeństwa, nic nie wydawało jej się bardziej ekscytujące. Jej spojrzenie wędrowało od Mantiliniego do Esko i z powrotem.

– Masz prawników – ciągnął Esko. – Możesz to zrobić. Założę się, że już wysłałeś kogoś ze swoich ludzi na rozmowę z policją i Kateriną. Kogoś, kto wyniucha, co się dzieje...

Mantilini wrzuszył ramionami. Esko mówił prawdę.

– Jakie dowody mają przeciwko niej?

– Słabe. Nie ma broni, nie ma świadków zbrodni. Jedyne motyw to mniej więcej dwieście milionów dolarów i jej zeznanie. Powiedziała, że go zabiła, ale tak czy inaczej to dziurawa sprawa.

– Więc postaraj się. Pokaż mi, jak potężny jest Paul Mantilini.

Mantilini uśmiechnął się niewyraźnie, jakby nie miał ochoty tłumaczyć się, dlaczego nie może spełnić prośby Esko.

– Rzeka wyrzuciła zwłoki sławnego, bardzo bogatego faceta, Esko. Gliny mają ciało i teraz muszą kogoś udupić, bo gazety rozpisują się o tym morderstwie. Muszą aresztować podejrzanego.

– Wyślij depezę do Nowego Jorku. Niech twoi prawnicy zawiadomią policję, że zaszła pomyłka, której konsekwencją może być poważne naruszenie prawa. Niech powiedzą, że znają nazwisko prawdziwego zabójcy MacCormicka. Wydobądź Katerinę z więzienia i oddaj im mnie.

– Ciebie? Oszalałeś?

– Przysięgam, że nigdy nie wymienię twojego nazwiska. Zeznam, że zabiłem go i sam pozbyłem się zwłok. Jeżeli wyjaśnisz mi, jak to zrobiliście, moja historia zabrzmii jeszcze bardziej przekonująco.

Mantiliniemu nie spodobał się ten pomysł. Przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami spacerował po kabinie, potem strzelił palcami, podrywając Ruthie na nogi, wreszcie sam usiadł, oparł łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach. Potarł mocno twarz i wyciągnął rękę, aby pogłodzić Ruthie po obleczonej w jedwab nodze.

– A East River? – zapytał. – Zaresztują cię w porcie.

– To nie ma znaczenia – odparł Esko. – Nie obchodzi mnie, czy zobaczę swój drapacz chmur, ani to, że prasa natychmiast zacznie rozpisywać się o mordercy, który go zbudował. Trudno. Niejedno miasto chlubi się budynkami, które zbudował bandyta, za kilka lat wszyscy o tym zapomną. East River zostanie i ludzie będą się nim albo zachwycać, albo wręcz przeciwnie. A Katerina będzie wolna...

Mantilini zerwał się z krzesła.

– Mogę wyciągnąć ją z więzienia i wsadzić na jej miejsce

ciebie, czemu nie. Ale będziesz musiał to wytrzymać. Będą cię obrzucać błotem, będą cię oskarżać... Nie wszyscy siedzą w mojej kieszeni i zawsze znajdzie się jakiś pieprzony purytanin, który z radością dojdzie do wniosku, że może mi się dobrać do skóry. Będziesz musiał trzymać się swojej wersji, Esko, i najprawdopodobniej trafisz na krzesło elektryczne.

Esko wytarł ręce i odrzucił zakrwawioną serwetkę.

– To bez znaczenia. Pójdę na krzesło, tylko uwolnij Katerinę. – Zacisnął dłoń na ramieniu Mantiliniego.

Gangster skinął głową. Blizna na jego powiece była biała jak marmur, szczupła, przystojna twarz wydawała się zupełnie obojętna. Nie uśmiechał się i nie był zły. Ruthie podeszła do gramofonu i kabinę znowu wypełniły dźwięki jazzu.

Było gorąco i parno, jak to w Nowym Jorku, w środku lata. Esko obserwował z pokładu zbliżające się ku niemu sylwetki wieżowców na Manhattanie i gęste, przelewające się powoli fale w porcie. Drapacze chmur tańczyły w rozgrzanym powietrzu, stale zmieniając położenie i kąt ustawienia na niebie. Teraz najwyższym budynkiem był drapacz chmur East River, jego drapacz chmur. Obok Esko jakiś tęgi mąż rozmawiał ze swoją pulchną żoną.

– To drapacz chmur Vaananena – powiedział.

Esko zastanawiał się, co mężczyzna o nim słyszał.

Kiedy ciężko dyszące holowniki ciągnęły „Île de France” do doku, Esko ani na chwilę nie odrywał wzroku od swego wieżowca. Nie zrobił tego nawet wtedy, gdy na pokład wyszedł Mantilini, nawet wtedy, gdy w dole pojawił się sierżant policji z oddziałem i podniósł do ust biały megafon. Poczł, jak ktoś trąca go łokciem w bok.

– Wreszcie go dopadli – mruknął mężczyzna, który przed chwilą mówił żonie o drapaczu chmur Vaananena, równo przystrzyżoną bródką wskazując Paula Mantiliniego.

Esko potrząsnął głową. Policjanci nie czekali na Mantiliniego. Czekali na niego. Od zawsze...

Cela miała około trzech metrów powierzchni i dwa metry wysokości. Metalowa prycza przytwierdzona była do ściany z nagiej cegły, przykryta cienkim materacem i szarym kocem. Nie było tu ani okna, ani umywalki, tylko wiadro, które miało pełnić rolę ubikacji. Okratowany otwór w czarnych stalowych drzwiach wychodził na kamienny korytarz i zewnętrzny mur więzienia, gdzie docierało światło dzienne, przefiltrowane przez wysoko osadzone okna, przesłonięte drucianą siatką.

Lunch, albo obiad, jak mówiono w więzieniu Tombs, roznoszono o jedenastej trzydzieści. Zwykle była to zupa z soczewicy i potrawka mięsna. Chłopak w sąsiedniej celi strażnikowi, który przywoził posiłek, codziennie składał długie i szczegółowe skargi w sprawie menu. Na spacer wyprowadzano ich między drugą a czwartą po południu. Ponieważ więzienie nie miało dziedzińca, podejrzani spacerowali po okalającym blok wybiegu. Sąsiad Esko miał dziewiętnaście lat, pulchną, ospowatą twarz i dwie szcerby na przodzie. Ukradł samochód, a potem kogoś zastrzelił. Zwykle to właśnie on nadawał tempo codziennym spacerom. Chodził bardzo szybko, jakby miał nadzieję, że w jakiś cudowny sposób wyrwie się wreszcie na otwartą przestrzeń. Dwóch innych więźniów, sporo starszych, trzymało się razem. Wyglądali na braci i zawsze szeptali do siebie o tym, co zrobią po wyjściu na wolność i na jakie konie postawią. Kolejny mieszkaniec bloku dla podejrzanych o morderstwo, czarnowłosa mężczyzna o nieruchomych oczach, z wyraźną niechęcią odnosił się do wszystkich, którzy usiłowali się do niego zbliżyć i Esko szybko nauczył się trzymać od niego z daleka. O czwartej dostawali kolację – mielonkę wołową i czekoladowy pudding, a o piątej strażnicy zamykali już cele.

Najtrudniejsze były noce. Choć w Tombs zapadała ciemność, cuchnące powietrze nigdy nie robiło się chłodniejsze, a z zewnątrz dobiegały różne niepokojące, szarpiące nerwy odgłosy. Więźniowie chrapali, jęczeli i bełkotali we śnie. Z wybiegu słychać było kroki, raz ciche, to znów głośniejsze, zbliżające się i po chwili oddalające. Esko słyszał też dziwne po-

mruki i brzęk metalu o metal, jakby budynek był żywą istotą, a więźniowie koszmarными pasożytami, żerującymi na jego ciele.

Nie mógł spać. W czwartą noc od uwięzienia leżał na pryczy z rękami pod głową i z zamkniętym okiem, usiłując skoncentrować się na wspomnieniach o dniu, który oboje z Kateriną spędzili w lesie w Finlandii, chodząc wśród srebrzystych brzoź, podobnych do biegnących ku niebu promieni światła. Daremnie. Z pamięci napływały zupełnie inne, niechciane obrazy. Widział siebie zakutego w kajdanki, zamkniętego w tylnej części policyjnej furgonetki. Wspominał kolejne przesłuchania. Najpierw rozmawiał z nim prowadzący sprawę oficer policji, potem zastępca prokuratora okręgowego, który najwyraźniej nie do końca uwierzył w historię Esko.

– Nie podoba mi się, że zeznania w tej sprawie sypią się jedno za drugim, jak dojrzałe jabłka – oświadczył.

Esko nie mógł też pozbyć się wspomnień ze swego przesłuchania w sądzie i przybycia do Tombs, kiedy to jakiś strażnik pokazał mu przez kraty gazetę z nagłówkiem: „Architekt przyznaje się do zamordowania milionera”.

Zmęczony i znękany, podniósł się z łóżka i zaczął chodzić w tę i z powrotem po celi, drobnymi krokami, aby trwało to dłużej. Wiedział, że żadne z tych wspomnień by go nie nękało, gdyby był pewien jednego: że Katerina jest na wolności. Ale wynajęty przez Mantiliniego adwokat, który codziennie odwiedzał Esko, nie chciał dotąd o tym rozmawiać. A jeżeli ona nadal siedzi w więzieniu? A jeżeli Mantilini zdradził go, albo nie był w stanie załatwić jej zwolnienia? Sama myśl o tym doprowadzała Esko do szału. Czuł się całkowicie bezradny. Mógł tylko czekać.

Kraźki srebrnego światła zaczęły tańczyć na podłodze celi. Zdumiony, usiadł na brzegu pryczy, a wtedy światła przesunęły się po jego twarzy i po ciele. Podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz przez okratowany otwór w drzwiach. Zerknąwszy w górę, ku zadrutowanym oknom w zewnętrznym murze, ujrzał na niebie smukłe, srebrne cygaro. Był to zeppelin, długi, na pewno dłuższy od oceanicznego statku, zmierzający gdzieś przez wysrebrzone księżycowym światłem niebo. Esko poczuł się nagle tak, jakby jakaś część jego podświadomości, cała jego

tęsknota i poczucie winy, zostały uwolnione i zawisły nad miastem, powoli przesuwając się nad więzieniem i obdarowując go tym niezwykłym blaskiem. Poruszający się w całkowitej ciszy zeppelin wydawał się znajdować tak blisko, że gdyby nie kraty, można by wspiąć się do niego po drabinie. Esko zadrżał. Była to jedna z najbardziej niezwykłych, cudownych rzeczy, jakie w życiu widział, wspaniałe owoc ludzkiej myśli, zdolny przebyć ogromną odległość w powietrzu, z Europy do Ameryki. Zdumiewające, pomyślał Esko. Jakież to niezwykłe, że człowiek zdołał zbudować coś takiego... Potem zeppelin zniknął z jego pola widzenia i w celi znowu zapadła ciemność.

Następnego ranka strażnik uderzył pałką w jego drzwi.

– Masz widzenie, Vaananen!

W sali widzeń znajdowały się dwa rzędy oszklonych kabin, nieco mniejszych od budek telefonicznych, umieszczonych w odległości kilkudziesięciu centymetrów od siebie. Więźniowie siedzieli po jednej stronie, ich goście po drugiej, a przestrzeń między nimi była jasno oświetlona odrutowanymi żarówkami, zwisającymi z niskiego sufitu. To pasmo światła podkreślało jednak tylko mrok panujący w kabinach.

Esko usiadł na ławeczce z drewna i metalu, i pochylił się do przodu, na moment oślepiony światłem. Nie mógł dojrzeć, kto siedzi po przeciwnej stronie, jeżeli jego gość w ogóle już przybył. Dookoła panował ogłuszający gwar głosów mówiących różnymi językami i dialektami. Więźniowie i goście wrzeszczeli do siebie, starając się przekrzyczeć pozostałych. Jakaś kobieta przysięgała, że nie zdradziła swego partnera, jej głos przypominał wojenne okrzyki Komanczów. Ktoś krzychał, że potrzebne mu są skarpetki i bielizna. Sala rozbrzmiewała zadaniami wykrzykiwanymi w języku włoskim, polskim, w jidysz. W końcu Esko dostrzegł jakiś cień naprzeciwko siebie i wydawało mu się, że z kakofonii dźwięków wyłowił dobrze znany głos.

– Esko!

– Co? Katerina? To ty?

– Ledwo cię widzę, kochany!

– Katerina! – Esko poczuł, że jego mięśnie stężały z pod-

niecenia, a zaraz potem rozluźniły się pod wpływem ogromnej ulgi. – Wypuścili cię!

Obok ktoś krzyczał coś po węgiersku i Katerina podniosła głos, usiłując pokonać hałas.

– Ty też wychodzisz!

– Co? Nie słyszę cię!

– Mówię, że jutro się zobaczymy! Ty też wychodzisz!

– Co?

– Spójrz! – Przytknęła jakieś zdjęcia do metalowej siatki, lecz Esko i tak nie widział, co przedstawiają. – Twój drapacz chmur! Zobaczymy się na szczycie twojego drapacza chmur!

– Katerino, oszalałaś?!

– Na szczycie wieżowca! Jutro!

Reszta dnia – obiad, spacer i kolacja, a także cała noc upłynęła Esko na zastanawianiu się, co właściwie Katerina chciała mu powiedzieć. Następnego ranka, zaraz po śniadaniu, drzwi celi otworzyły się i strażnik podał mu owiniętą w szary papier paczkę. Wewnątrz znajdowały się rzeczy, które zabrano mu po przewiezieniu do Tombs.

– Chodź – powiedział strażnik i poprowadził go więziennym korytarzem do dużej sali, gdzie urzędnik w cywilu podetknął Esko jakiś papier do podpisania. – Jesteś wolny – usłyszał.

Parę chwil później Esko stał pośrodku ulicy Center, spoglądając przez ramię na ponure gmaszysko, z którego wypuszczono go w tak, wydawałoby się, zwyczajny sposób. Był pogodny październikowy dzień, słońce świeciło jasno, od cypla wyspy ciągnęła lekka bryza. Przy krawężniku zatrzymał się nagle żółty rolls-royce. Drzwiczki samochodu otworzyły się szeroko.

– Podwiozę cię – powiedział Paul Mantilini.

Esko się zawahał. Przynajmniej część tajemnicy się wyjaśniła. Wiedział teraz, komu zawdzięcza uwolnienie, ale nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób Paulowi udało się to osiągnąć.

– Wsiadaj, Esko. Zdążyłeś mnie już chyba poznać, co? Wynająłem dla ciebie apartament w hotelu Plaza – oświadczył gangster, ubrany w białą koszulę i szkarłatny garnitur. – Pomyślałem, że na pewno będziesz chciał się trochę odświeżyć.

Esko wsiadł do auta, zamknął drzwi i usadowił się na obitym

miękką skórą siedzeniu. Siedzący za kierownicą Gardella ruszył powoli, zmierzając w stronę centrum.

– Ruthie przesyła ci pozdrowienia – odezwał się Mantilini.

– Gdzie Katerina? Jest bezpieczna?

– Tak, chyba że skaleczyła się dziś rano, wkładając pończochy. – Mantilini lekko szturchnął kolano Esko. – Spokojnie, odpręż się. Wyszła dwa dni temu, a ty dzisiaj. Koniec kłopotów. Wszystko załatwiłem. Na szczęście znam ludzi, którzy byli w stanie was uwolnić...

Esko milczał. Usiłował opanować wzruszenie.

– Naprawdę myślałeś, że pozwolę ci pójść na krzesło? – zapytał Mantilini. – Jesteś moim bratem, zapomniałeś? – Błysnął w uśmiechu równymi zębami. – Wygrałeś ze mną wtedy na statku, wiesz? Niewielu ludzi może się tym poszczycić!

Wyjrzał przez okno, lekko marszcząc brwi, jakby tamto wspomnienie zdenerwowało go, a może zaniepokoiło.

– Hej, popatrz, Esko, koniecznie musisz zobaczyć ten film – powiedział, wskazując jeden z plakatów na Times Square. I natychmiast zaczął opowiadać główny wątek filmu o gangsterze z Chicago oraz jego kumplach. Jego oczy błyszczały podnieceniem. – Wielkie miasto w środku nocy... Pusta ulica... Drapacz chmur... Samochód, z piskiem hamulców wyjeżdżający z za rogu...

Mantilini naśladował efekty dźwiękowe, najwyraźniej bardzo zadowolony, że przemysł filmowy wreszcie zainteresował się urokami jego profesji.

– Dzięki temu szeroka publiczność wie, jak wygląda życie w kraju – oświadczył poważnie. – Tak działa amerykański system...

Włożył ciemne okulary i uśmiechnął się lekko, spoglądając na Broadway. Był w tej chwili prawdziwym królem swego świata.

– A teraz pora na mój dom – powiedział. – Jesteś mi winien dom, Esko.

W apartamencie w hotelu Plaza Esko znalazł pudła z ubraniami, które Mantilini zamówił dla niego w jednym z wielkich domów towarowych. Wszystko było w jego rozmiarze, koszule, jedwabne skarpetki, a garnitury wyglądały na doskonale dopasowane. Esko ogolił się, wziął prysznic i włożył te same rzeczy, które miał na sobie poprzednio. Powoli budził się do rzeczywistości, nagle wypełnionej wolnością, i dopiero dojrzywał do dokonywania wszystkich wyborów, przed którymi znowu stanął. Podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę o połączenie z mieszkaniem jednej z przyjaciółek Kateriny, gdzie, jak sądził, zatrzymała się po powrocie do Nowego Jorku. Telefon milczał, lecz nagle rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł windziarz, niosąc białą kopertę na srebrnej tacy. Esko wsunął mu do ręki banknot i szybko otworzył list.

„Mój ukochany,

Będę czekała na ciebie na szczycie drapacza chmur, twojego *pilvenpiirtaja*. Pragnę cię objąć, poczuć twoje wargi na moich, kochany, i oddawać ci pocałunki. Na zawsze. Nie pozwólmy, aby cokolwiek znowu nas rozdzieliło. Te ostatnie dni były prawdziwą męką, ale teraz wszystko jest cudownie. Kocham cię, Esko, całą duszą i sercem.

Katerina”.

Esko biegł przez hol hotelu, kiedy z jednego z foteli podniosła się Marion Bennett.

– Napijesz się? – zapytała, biorąc go pod ramię i unosząc ku niemu bladą, przesłoniętą woalką twarz.

– Trochę za wcześnie na drinka, nie sądzisz?

– Na drinka nigdy nie jest za wcześnie – odparła. – Poza tym pomyślałam, że chętnie się napijesz po tym wszystkim, co przeszedłeś.

– Nie teraz.

Lekko szarpnęła go za rękę.

– Zwolnij trochę, Esko. Możemy porozmawiać? Chciałam cię przeprosić. Zawsze bardzo cię lubiłam, ale jakiś czas temu

byłam przekonana, że to ty zabiłeś MacCormicka. Napisałam nawet o tym artykuł...

– Wszystko w porządku – rzekł Esko.

– Cieszę się, że się myliłam. Na szczęście zastrzelił go inny architekt.

Esko ogarnęło nagle dziwne uczucie. O czym ona mówiła?

– Inny architekt?

Marion Bennett uważnie obserwowała go spod woalki.

– Widzę, że jeszcze nic nie wiesz. Policja wystawiła nakaz aresztowania Joe Lazarusa. Podobno znaleźli w jego mieszkaniu rewolwer. Lazarus uciekł.

– Wyszadzany brylantami rewolwer?

– Skąd wiedziałaś?

Esko westchnął. Oczywiście była to robota Mantiliniego. Zastanawiał się, jakie jeszcze obciążające dowody znalazła policja w mieszkaniu Lazarusa. Będzie musiał porozmawiać o tym z Paulem...

– Joe Lazarus nie zabił MacCormicka – powiedział po prostu. – Powiedz im to, Marion. Rozumiesz? Joe Lazarus jest złym człowiekiem, ale nie zamordował Andrew MacCormicka. Powiedz im.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Więc kto go zastrzelił?

Za ich plecami, w recepcji, zabrzączał dzwonek.

– Przepraszam cię, Marion, bardzo się teraz spieszę.

– Hej, Esko! – zawołała, kiedy był już przy drzwiach.

Odwrócił się. Podniosła woalkę i z kącika jej umalowanych ust zwisał papieros.

– Słyszałeś wielką nowinę? – zapytała, kładąc dłoń na biodrze. – Wczoraj ktoś ogłosił plan budowy nowego drapacza chmur. Ma być o sześćdziesiąt metrów wyższy od twojego.

Esko uśmiechnął się.

– To dobrze – powiedział spokojnie.

Jego drapacz chmur, biały, prosty obelisk, wzbijał się w niebo elegancką, czystą linią. Obok niego, jak sadzonki, rosły inne

budynki i teraz można było wyobrazić sobie, jak ostatecznie będzie wyglądał cały kompleks.

Konstrukcja elementów stalowych w dwóch mieszkalnych budynkach narożnych była już prawie ukończona, gotowy był też hotel. Robotnicy kopali doły pod fundamenty szkoły i szpitala, wyniosłe szyje dźwigów kołysały się na tle nieba. Właśnie podjechały z warkotem trzy ciężarówki. Betoniarki turkotały, obracając się powoli. W powietrzu unosił się zapach świeżego betonu i rozgrzanego kamienia, którego podziemne złoża niedawno wysadzano dynamitem. Ludzie pracowali na ziemi i wspinali się wysoko na stalowe szkielety, a wszystko to z jego powodu, z powodu kilku szkiców, które pewnego wieczoru nakreślił na obrusie w restauracji, siedząc przy stole z Kirbym i Kateriną. Francja przez całe średniowiecze budowała katedrę Notre Dame, natomiast on poświęcił dużą część swego życia, aby w Ameryce, w epoce jazzu wznieść drapacz chmur. Dopiął swego właśnie w Ameryce, dobrej i złej, jasnej i ciemnej, chciwej i szczodrej, spragnionej przemocy i spokoju... Tylko tu mogło mu się to udać, tylko tu, nigdzie indziej...

Ogarnęło go dziwne i uderzające do głowy uniesienie. Należał do tego świata, był dumny z tego, czego dokonał, a jednak... A jednak czegoś było mu brak, dręczyła go tęsknota za czymś trudnym do opisanego, niemożliwym do określenia... Ten przyciągający wzrok, nieprawdopodobnie wysoki drapacz chmur nie był tamtym *pilvenpiirtaja*, który jako mały chłopiec ujrzał pewnego dnia nad zamarznętym jeziorem... Ten drapacz chmur nie był czysty jak kryształ, nie był wystarczająco piękny. Jego niedoskonała, skażona uroda budziła w jego sercu nie tylko radość, ale również ból.

– Wspaniała bestia – rzekł O’Geehan, odwracając się ku niemu. Zdjął kapelusz i wytarł spocone czoło. – Cudowny. O tym właśnie myślałeś, co, Esko?

– Słuchaj, O’Geehan... – zaczął Esko, czując, jak mroczny cień ustępuje przed ogarniającym go podnieceniem. Zaraz zobaczę Katerinę, pomyślał, i położył rękę na ramieniu Irlandczyka. – Jesteś gotowy zbudować następny? Chciałbyś zbudować prawdziwy drapacz chmur? Bo już od pewnego czasu noszę się z pewnym pomysłem...

O’Geehan roześmiał się, rozbawiony jego entuzjazmem.

- Naprawdę? Więc dopuść mnie do tajemnicy!
- Jaką wysokość możemy osiągnąć?
- Co powiesz na pięćset metrów?
- Nie dość wysoko.
- Sześćset? Sześćset pięćdziesiąt?
- Wyżej – powiedział Esko, unosząc ramię ku niebu. – Zbudujemy najwyższy, najpiękniejszy budynek całej Ameryki, co tam, całego świata!

Weszli do wykładanego marmurem holu drapacza chmur, kierując się do windy, której drzwi stały otworem. Esko zajrzał do środka i spostrzegł, że ściany i sufit zostały już ozdobione freskami, które przewieziono statkiem z Budynku Diktoniusa w Helsinkach.

- Są bardzo ładne – rzekł O’Geehan. – Gdzie je znalazłeś?
- Sam je namalowałem, oczywiście wiele lat temu.
- Naprawdę? – zdziwił się O’Geehan. – Nie wiedziałem, że malujesz.

– Niezbyt dobrze, ale może kiedyś będę miał szansę nad tym popracować. – Esko wszedł do windy i spojrzął na swoje obrazy. Był tu dzieciół, łódź, jezioro zimą, zraniony anioł i niewidome dziecko. Na chwilę wstrzymał oddech, a potem wypuścił powietrze z płuc, czując ogromną wdzięczność i nadzieję. Wiedział, że ma wielkie szczęście i że sumienie każe mu wykorzystać każdą podarowaną przez los szansę. Przeszłość przestała go już obchodzić, interesowało go tylko to, co niesie przyszłość. Sporo osiągnął, ale najlepsze jest jeszcze przed nim – miłość, rodzina, doskonalsze drapacze chmur... Drugi, trzeci, czwarty wieżowiec... Miał jeszcze szansę zostać kimś, być może nawet przyzwoitym, dobrym człowiekiem. Serce biło mu coraz szybciej. Przeczuwał spełnienie się tych wspaniałych, choć może absurdalnych marzeń i uśmiechnął się, kładąc rękę na dźwigni, która miała posłać windę wysoko w górę.

Jakiś człowiek szedł szybko przez hol. Prawie biegł... Esko kątem oka dostrzegł potężną, ciemną postać. Mężczyzna odepchnął O’Geehana na bok i sięgnął do kieszeni. Esko ujrzał brodę i włosy ufarbowane na czarny, zbyt czarny kolor. Tym mężczyzną był Joe Lazarus.

Nie było już czasu na lęk.

Błysnął nóż, Lazarus rzucił się do przodu i Esko poczuł ostry ból w brzuchu. Przycisnął ręce do rany, zacisnął je na rękojeści noża, swojego własnego *puukko*.

Na chwilę ogarnęło go ogromne zdziwienie. W jaki sposób Joe Lazarus zdobył jego nóż? Wtedy przypomniał sobie wszystko i podniósłszy wzrok, spojrzał w twarz Lazarusa, pobladłą z podniecenia, pełną skupienia i wściekłości.

Lazarus wyciągnął spod płaszcza pistolet. Z lufy trysnął ogień.

Pierwsza kula trafiła Esko w pierś, odrzucając go pod tylną ścianę windy. Druga chybiła celu. Trzecia rozdarła czarną przepaskę na jego lewym oku i utkwiała w mózgu.

Z pochyloną głową powoli osunął się na podłogę, znacząc ścianę krwią. Drzwi zamknęły się i winda ruszyła w górę, stopniowo przyspieszając. Esko miał wrażenie, że jego ciało jest lekkie jak piórko, że w ciągu jednej sekundy potrafi bez trudu przebyć ogromną odległość. Zdrowym okiem wpatrywał się w jezioro, które sam namalował, nie widząc już nierówno rozłożonego pigmentu, lecz prawdziwe jezioro. Chłodne fale lekko muskały policzki... Rozłożył ramiona i pomknął w górę, niesiony na skrzydłach leciutkiej bryzy... Czy to jest śmierć? – pomyślał.

Z kręgu światła spieszyła ku niemu jakaś postać. Kobieta, piękna kobieta w czarnej sukni... Jakiś głos mówił coś, błagał, aby nie odchodził, lecz ten głos docierał do niego z bardzo daleka. Światło kusiło go, przyzywało... Dusza Esko była drapaczem chmur, który wznosił się poprzez chmury, prosto w przestworza, zmierzając do serca słońca, tam, gdzie czekała Katerina... Katerina, która zawsze na niego czekała...

Potem światło zgasło.

Katerina uklękła przy Esko i wsparła jego głowę na swoich kolanach. Jego palce na sekundę zacisnęły się wokół jej dłoni, plamiąc rękawiczki krwią, i opadły bezwładnie. Katerina zaszlochała. Zaczęła szeptać do swego ukochanego i ogrzewać jego wargi oddechem, jakby łudziła się, że jej pocałunki są w stanie wskrzesić zmarłego.

Epilog: 1933

Anna Vaananen przyjechała do Nowego Jorku ze swoim synem, Sakarim, pod koniec 1933 roku, trzy tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia, w mrocznym okresie depresji i załamania amerykańskiej gospodarki. Właśnie w tym roku porwano i zabito dziecko Lindberghów, na myśl o czym jej serce ścisnęło się boleśnie. W Niemczech spłonął Reichstag i Hitler wydał prawo, zezwalające na sterylizację niedorozwiniętych umysłowo oraz chorych psychicznie, a także drugie, w imię którego Żydzi stali się obiektem napaści i agresji. W Helsinkach Anna oblała winem fińskiego architekta, który w jej obecności oświadczył, że Hitler jest dobrym politykiem, bo skutecznie próbuje pozbyć się komunistów. Europa zmierzała ku następnej wojnie, Finlandia zaś, jak zwykle, trwała skulona między potężniejszymi sąsiadami. Czy Stalin naprawdę był lepszy od Hitlera? Może trochę, myślała Anna, ale cóż to za wybór, na miłość boską... Sytuacja polityczna była niepewna i z miesiąca na miesiąc coraz bardziej niebezpieczna. Może już zawsze tak będzie.

Do Nowego Jorku zaprosiła ją firma, która chciała wykupić licencję na kilka projektów drewnianych mebli, wykonanych kiedyś przez Esko, i uruchomić ich masową produkcję dla szkół i szpitali, budowanych w ramach programu rządu federalnego. Prawa do tych projektów stanowiły teraz własność Anny i Sakariego. Wyglądało na to, że są sporo warte i Anna cieszyła się ze względu na syna.

Zatrzymali się u Kateriny, w jej pięciopokojowym mieszkaniu w Greenwich Village. Anna odniosła wrażenie, że Katerina była bogata, podobnie jak kiedyś w Rosji, ale większość jej pieniędzy przepadła na początku wielkiego kryzysu, w 1929 roku. Teraz

Katerina po raz kolejny zaczynała wszystko od początku. Mieszkanie było pomalowane na biało i prawie nie umeblowane, aseptycznie czyste i wysprzątane, anonimowe, pozbawione jakichkolwiek cech indywidualnych. Wydawało się, że Katerina wprowadziła się tu zaledwie wczoraj i jest gotowa w każdej chwili ruszyć dalej.

Było tu tylko jedno zdjęcie, brązowawy dagerotyp, zbyt stary, aby to ona mogła go zrobić. Fotografia przedstawiała młodego chłopca ubranego w sztywny tweedowy garniturek. Twarz chłopca była naznaczona bliznami, na jednym oku nosił czarną opaskę i wpatrywał się w obiektyw z pełną zdumienia pewnością siebie. Oczywiście był to Esko, Esko jako chłopiec, a zdjęcie wykonano w dniu, kiedy po raz pierwszy ujrzął Katerinę. Katerina wyruszyła w długą podróż do Oulu i Vaasa, aby odnaleźć człowieka, który je zrobił. Pojechała tam pod koniec 1928 roku, niedługo po śmierci Esko, kiedy przywiozła jego prochy do Finlandii. Anna i Katerina długo rozmawiały, zanim w końcu podjęły decyzję, gdzie mają spocząć prochy Esko. Ostatecznie zawiozły je do majątku jego kolegi z Białej Armii, Selina, i umieściły pod murami kościoła Cienia św. Krzyża.

Anna i Katerina były teraz przyjaciółkami. Często pisywały do siebie, chociaż w listach rzadko wspominały o Esko i okolicznościach, które je zbliżyły. Być może było to dziwne, lecz w pełni zrozumiałe.

Kateriny nie było teraz w Nowym Jorku. Wyjechała na zdjęcia do obu Karolin i miała wrócić za kilka dni.

Pierwszego ranka po przyjeździe Anny i Sakariego do Ameryki, przyszedł po nich kolega Esko, Irlandczyk O'Geehan.

– No, młody człowieku – powiedział, lekko targając jasne włosy Sakariego i wręczając mu wielkie pudło. – Nadal interesujesz się pociągami?

Wkrótce po podłodze kursowała czerwona elektryczna lokomotywa, ciągnąca kilka wagoników towarowych i osobowych, a Anna i O'Geehan pili kawę w kuchni. O'Geehan opowiedział Annie, co zaplanował na ten ranek i przeszedł się po mieszkaniu.

– Ta Katerina to jest dopiero twarda sztuka – rzekł, z wyraźnym irlandzkim akcentem, z podziwem kręcąc głową. – Odwiedza takie zakątki tego kraju, gdzie ja sam bałbym się pojechać...

– Myślę, że umie o sobie zadbać – zauważyła Anna. Od razu polubiła Irlandczyka, ale wiedziała, że nie docenia on jej przyjaciółki. – W niektórych gazetach pisano o jakimś przemytniku alkoholu, który podobno znał Esko. Wie pan coś o tym?

– O Paulu Mantilim? Nigdy go nie widziałem. Prohibicja już się skończyła i Mantilini chyba pojechał do Kalifornii, a może do Nevady, nie pamiętam... Tak czy inaczej, jego życie toczy się dalej, niewątpliwie nadal w atmosferze sensacji. – O’Geehan uśmiechnął się, stawiając filiżankę na spodeczku. – Czy mogę dostać jeszcze trochę kawy?

– Zaraz zaparzę. – Anna zerwała się z krzesła i zajęła się kawą.

O’Geehan gadał, elektryczna kolejka dzwoniła, zza okna dobiegały odgłosy wielkiego miasta. Anna pomyślała, że to właśnie jest najwspanialsza rzecz – może rozmawiać, poruszać się, spacerować... Ludzie popijają kawę, przyjeżdżają do Nowego Jorku, wyjeżdżają do Kalifornii albo do Rosji, jak uczynił to Timo Vaananen, obowiązkowy dziadek i nawiedzony polityk... Inni, jak Joe Lazarus, zabójca Esko, tkwią zamknięci w zakładzie psychiatrycznym, jeszcze inni podróżują po całym świecie... Historia ich życia trwa.

Niezależnie od tego, jakie zdarzenia mają miejsce, kto umiera, jezioro życia nie wysycha, wznosi się i opada, zamraża i topnieje, marszczone wiatrem, złocone słońcem, rok po roku. Na tym polega tragedia ludzkości i jednocześnie jej wielka nadzieja. Na tym polegała tajemnica ducha Esko, jego upor, walki, serca, które pokonało wszelkie przeciwności, miłości zbyt silnej i wielkiej. W jego oczach zawsze błyszczał ogień. Tyle zniósł i nigdy się nie poddał. Zginął, ale czyż nie zwyciężył?

Na East River Plaza było mnóstwo ludzi. Siedzieli na ławkach, wchodzili i wychodzili z budynków, kupowali i sprzedawali coś do jedzenia, rozmawiali przy fontannie, której wodne pióropusze znieruchomiały wysoko w powietrzu, skute mrozem.

Centralny drapacz chmur był jedną z najwspanialszych rzeczy, jakie Anna kiedykolwiek widziała. Przypominał wielki, samotny palec, wymierzony prosto w niebo. W Nowym Jorku były już wyższe budynki, ale żaden nie posiadał równie szlachetnej, inspirującej sylwetki. Anna ogarnęła spojrzeniem narożne budynki mieszkalne, szkołę, szpital, kino i pomyślała o podróży przez Włochy, którą kiedyś odbyła razem z Esko, i o wielkim podziwieniu, jakim jej mąż darzył przestrzenne włoskie place, będące nie tylko centralnym punktem miast, ale także głównym centrum życia społecznego jego mieszkańców. Podobna aura otaczała ten zakątek Nowego Jorku. Nie był to tylko samotny, na wpół pusty biurowiec, taki jak budynek Chryslera czy Empire State Building, które podupadały teraz, w dobie kryzysu. Tu panował gwar, hałas, w kolejce po darmową zupę stali bezdomni i bezrobotni, wszędzie dookoła kręcili się ludzie, kobiety i mężczyźni, którzy przynajmniej na chwilę odzyskiwali tu pogodę ducha, jakby zostali dotknięci nieśmiałą chłopięcą czułością i tęsknotą Esko.

Anna poprawiła czapkę na głowie Sakariego.

– Twój ojciec to zbudował – powiedziała.

Prawie jedenastoletni chłopiec przyjął tę wiadomość bez słowa, z wyrazem skupienia na twarzy, tak podobnej do twarzy Esko.

– Zaprojektował to w głowie i proszę, oto jest – dodała Anna.

Sakari rozejrzał się dookoła, jakby śledził spadającą z nieba gwiazdę. A potem pobiegł przed siebie, ślizgając się na lodzie obok fontanny.

Podziękowania

W środku fińskiego lata 1990 roku poznałem moją żonę, Paivi Suvilehto. Bez niej książka „Dosięgnąć nieba” nigdy by nie powstała, a nawet jeśli, to na pewno nie doczekałaby się druku. Nie da się tego ująć inaczej. Tę powieść dedykuję jej i naszym dzieciom, z wyrazami najgłębszej miłości.

Mój wydawca, Dan Conaway, jako pierwszy wyciągnął do mnie pomocną dłoń, dodawał odwagi, zachęcał i wspierał, obiektywnie oceniając kolejne szkice i wspaniale redagując ostateczną wersję tekstu. Nigdy nie zdołałem mu się za to odwdziaczyć. Dziękuję ci, Dan, jesteś najlepszym z najlepszych. Dziękuję także Nikoli Scott z wydawnictwa HarperCollins, za wsparcie i ciężką pracę, jaką włożyła w moją książkę.

Serdecznie dziękuję także:

Moim przyjaciołom z Helsinek, którymi są: Mika Kaurismaki, Aki Kaurismaki, Riita Nikula, Jaakko Tapaninen, Sinikka Partanen, Niko Aula i Soila Lehtonen, której dziękuję za jej nieoceniony magazyn „Książki z Finlandii”.

Moim przyjaciołom z Pyhajarvi: Erkki Suvilehto, Riitta Suvilehto, Eero Suvilehto, Hussi Suvilehto.

Przyjaciołom z Nowego Jorku: architektowi i historykowi Jamesowi Saundersowi, Jonowi Levi i Ricowi Burnsowi, oraz mojemu wspaniałemu agentowi Jeffowi Posternakowi.

Przyjaciołom z Los Angeles: Peterowi Loewenbergowi, Michaelowi Santowi, Robertowi Yagerowi, a w sposób szczególny Mirji Covarrubbias i wszystkim znajomym z fińskiego konsulatu.

Dziękuję również pracownikom Muzeum Architektury w Hel-

sinkach, Biblioteki Publicznej w Nowym Jorku, Biblioteki Naukowej Uniwersytetu Kalifornii w Los Angeles, wszystkim znanym z wydawnictwa Monacelli Press, wydawnictwa Architectural Press przy Uniwersytecie Princeton oraz MIT Press, wydawcom znakomitych książek o architekturze.